

ŚWIĘTA
BERNADETTA SOUBIROUS

Siostra Maria Bernarda
ze Zgromadzenia Sióstr Miłości
i Wychowania Chrześcijańskiego w Nevers
(1844 — 1879)

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
Poznań — Warszawa — Lublin

J. E. KS. BISKUP THĒAS DO AUTORA

Hal, 2 lutego 1953

Drogi Księżu Prałacie!

Na wezwanie biskupa Tarbes i Lourdes, który sam uzyskał zgodę siostr z Nevers, podjąłeś się napisania niniejszej biografii świętej Bernadetty Soubirous.

Prosiłem Cię o nią, ponieważ podoba mi się Twoja metoda pisania i Twój styl. Czerpiesz ze źródeł, by ożywić osoby, których piszesz historię; i wkładasz w to całą swą inteligencję, całe serce: dowodem tego Twój Święty Franciszek Salezy, Twoja Joanna Jugan, Twój Proboszcz z Ars... Akademia Francuska, przyznając Ci tak cenioną nagrodę Georges Grenete'a, uznała pośrednio trafność mojego wyboru.

Oto więc, co skłoniło mnie — z okazji zbliżającej się wielkiej setnej rocznicy — by zwrócić się do Ciebie o napisanie życiorysu Bernadetty autentycznej, o napisanie ścisłej, szczegółowej, jak najzupelniejszej historii małej lurdzianki, którą wraz z jej rodzicami nędza przerzuca z młynna do młynna i wreszcie wtłacza w mroczny, niezdrowy „loch więzienny” na Petits-Fossés; pasterki jagniąt na słonecznych wzgórzach Bartrès; jasnowidzącej w zachwycie wobec *P a n i*, która jej powierza swoje tajemnice i swoje zlecenia; zakonnicy z Nevers, tak pokornej, która się doskonalila w cierpieniu i której głęboka dusza za szczególniejszą łaską Bożą przeszła przekształcającą próbę „nocy ducha”; i wreszcie świętej cudotwórczyni, którą Kościół wyniósł na ołtarze Pańskie.

„Gdzie znaleźć — jeszcze w roku śmierci s. Marii Bernardy zastanawiał się ks. Forcade, były biskup Nevers a aktualny arcybiskup Aix — rękę dość biegłą i dość pobożną, która by nam przedstawiła Bernadettę taką, jaką znałem i jaką ona była? Niechby wreszcie zaprzestano zniekształcać ją — z uprzedzenia czy z lekkomyślności — skracaniem lub fałszowaniem jej historii (Z *Notice sur la vie de Soeur Marie-Bernard*, 1879, s. 51).

Tak myślał też jeden z moich czcigodnych poprzedników, ks. bp Jourdan. Listem z dnia 25 listopada 1878 roku powiadamia on papieża Leona XIII, że „polecił podjąć poszukiwania mające na celu zebranie wszystkich autentycznych dokumentów dziejów Matki Bożej Lurdzkiej”. A Jego Świątobliwość w piśmie z dnia 10 grudnia raczył mu m. in. powiedzieć: „Wszystko przemawia za tym, że nadeszła pora rozpoczęcia badań i poszukiwań, których wymaga tego rodzaju praca.”

Jezuita, o. Cros, otrzymał zlecenie przeprowadzenia ankiet i poszukiwań. Lecz się nie łudził: dokumentami swoimi, „ułożonymi w porządku chronologicznym i metodycznym”, chciał tylko „pomóc przyszłemu i ostatecznemu historykowi wydarzenia... Gdy nadejdzie godzina — dodaje o. Cros — Bóg będzie umiał wzbudzić historyka tego wielkiego wydarzenia 1858 roku i zgromadzić w nim bardzo rzadkie dary potrzebne do spełnienia takiej misji”.

Otóż, Drogi Księżę Pralacie, do tych „bardzo rzadkich darów” zaliczam — że się powtórzę — Twój styl i Twój sposób pisania oraz jakość Twoich uczuć. „Pisz słowami wszystkich ludzi” — zaleca Charles Braibant w przedmowie do książki *Le métier d'écrivain*. Już od dawna stosujesz się do tego zalecenia. Ale te „słowa wszystkich ludzi” trzeba szczęśliwie, harmonijnie powiązać; zastosować ich brzmienie do drgań serca. Zresztą — wydaje mi się — szukałeś wysoko mistrza sztuki pisarskiej „Ponieważ rzeczy dotyczące Lourdes mają tak wielkie podobieństwo z tymi, które opisują ewangeliści — mówi z naciskiem ks. Paulin Moniquet — przeto nie ulega wątpliwości, że historyk cudownych faktów lurdzkich nie może mieć przed oczyma wzoru lepszego nad ten, który nam daje Ewangelia święta. Chcę przez to powiedzieć, że — o ile to tylko możliwe — dzieje te powinny być spisane z tą samą skromnością i prostotą”.

Chcę jeszcze złożyć Ci uznanie za to, że zawsze wiernie cytujesz swoich świadków i skrupulatnie podajesz odnośniki. Tego dotychczas nie czynił nikt z tych, co opowiadali o faktach massabielskich: stąd u niektórych wiele szczegółów fantastycznych, wiele stron powieściowych, co oczywiście jest niedopuszczalne. Z Tobą można iść krokiem pewnym.

Stronice Twojej książki są dobrze wypełnione: wszędzie tam promieniuje miła postać Bernadetty. Ty sam jednak zawsze się jak najstaranniej kryjesz. Mimo to na każdym miejscu łatwo odgadnąć, jak autor kocha i podziwia to urocze dziecko, które Bóg i Najświętsza Dziewica dali naszym Pirenejom.

Pod gościnnym niebem Belgii, w cieniu bazyliki Naszej Pani z Hal, gdzie kończy się mój długi i aż nazbyt konieczny wypoczynek, czytałem odbitki Twojego dzieła z niesłabnącym zainteresowaniem — zawsze, a ze wzruszeniem — często. Pozwól, niech Ci podziękuję za pociechę i radość, jaką mi przyniosły. Im dalej zagłębiałem się w czytaniu, tymi bardziej zwiększało się moje przekonanie, że nasza Bernadetta jest nie tylko postacią nader sympatyczną, ale także bardzo wielką świętą.

Niech więc ta piękna książka przyczynia się do jej lepszego poznania, gorętszego ukochania, częstszego wzywania!

Z całego serca, Drogi Księżę Pralacie, życzę Twojej książce jak największych sukcesów w dziele apostołstwa.

PRZEDMOWA BIBLIOGRAFICZNA

I

Źródłami, na podstawie których napisano tę historię, są przede wszystkim manuskrypty:

własnoręczne listy św. Bernadetty, przechowywane jako relikwie już to w archiwum sanktuariów w Lourdes, już to w archiwum klasztoru Saint-Gildard w Nevers, gdzie jest także notes prywatny Świętej, jej notatki z rekolekcji i lektury, jej przepisy infirmeryjne;

akta parafialne w Momères, Bartrès i Barèges; akta parafialne w Lourdes, a przynajmniej to, co uratowano z pożaru w dniu 1 stycznia 1896 r.:

korespondencja i notatki osobiste ks. Laurence'a, biskupa diecezji Tarbes; listy ks. Fourana, wikariusza generalnego; ks. kanonika Fourcade'a, sekretarza generalnego kurii biskupiej; ks. prałata Peyramale'a, proboszcza Lourdes; rodziny Bernadetty; Sióstr Miłości i Wychowania Chrześcijańskiego w Nevers;

akta notarialne u mecenasów Rebeyrola i Canone'a w Lourdes;

akta stanu cywilnego i obrad rady miejskiej w Lourdes;

urzędowe dokumenty „sprawy Lourdes”, złożone w Archiwum Narodowym: listy, raporty lub noty służbowe ministra spraw wewnętrznych (Fortoul), ministra sprawiedliwości (Delangle), ministra oświaty i wyznań religijnych (Rouland); prefekta departamentu Hautes-Pyrénées (baron Massy); podprefekta w Argelès (Duboé-Doucet); burmistrza Lourdes (Anzelm Lacadè); władz bądź sądowych, bądź policyjnych: prokuratora generalnego w Pau (Falconnet), prokuratora cesarskiego w Lourdes (Dutour), komisarza policji w Lourdes (Jacomet), oficerów i podoficerów żandarmerii, żandarmów, urzędników miejskich, strażnika polowego;

dwa raporty Komisji Biskupiej powołanej przez bpa Laurence'a do zbadania objawień — jeden raport z datą 17 listopada 1858, drugi z datą 7 grudnia 1860;

„Sprawa beatyfikacji i kanonizacji sługi Bożej, s. Marii Bernardy Soubirous”: proces biskupi i proces apostolski w Tarbes, proces biskupi i proces apostolski w Nevers;

Dziennik klasztorny i Dziennik nowicjatu sióstr w Nevers;

różne pamiętniki dotyczące wydarzeń w Massabielle. Wymienimy tylko głównych autorów, a więc księża: Pène, Labeyle, Fontan, Glère, Dézirat; br. Leobard; nauczyciele: Antoni Clarens i Jan Barbet; doktorzy: Lacrampe, Peyrus i Balencie; por. żandarmerii Bourriots; wachmistrz d'Angla; Joanna Maria Védère, w klasztorze s. Maria Gertruda; panna Emanuela Estrade.

II

Po manuskryptach — czasopiśma.

Najpierw kilka ówczesnych czasopism: *Lavedan*, tygodnik kantonu Lourdes, zastąpiony w roku 1866 przez *Journal de Lourdes*, który z kolei w roku 1898 zmienił tytuł na *Journal de la Grotte de Lourdes*; *Ere Impériale* i *Intérêt Public*, wychodzące w Tarbes; *Mémorial des Pyrénées*, drukowany w Pau; *Univers*, *Mémorial Catholique*, *Siècle*, *Constitutionnel* — z Paryża; *Annales de Notre-Dame de Lourdes*, miesięcznik (14 numerów od sierpnia 1868 do listopada 1869); *Revue Bernadette*, Nevers-Lourdes, dwumiesięcznik (październik 1932 — kwiecień 1940).

Następnie broszury i książki.

Liczba ich jest pokaźna. Narzuca się tu oczywiście konieczność wyboru między autorami, którzy wnieśli coś nowego lub zużytkowali dokumenty z pierwszej ręki, a zwykłymi kompilatorami. Tamtych prace pokrótce omówimy, tych wymienimy tylko nazwiska, bez względu na ich wiedzę, wyobraźnię, zapał a nawet talent.

Dnia 24 stycznia 1862 r. drukarnia Fouga w Tarbes wydała książkę zawierającą 106 stron pt. *L'apparition à la grotte de Lourdes, en 1858. Notice rédigée par M. l'abbé Fourcade, chanoine, secrétaire de la Commission approuvée par Mgr l'Evêque de Tarbes, et contenant l'ordonnance et le mandement du prélat sur la question*. Książkę tę krótko, lecz wymownie pochwali sam bp Forcade, pisząc dnia 28 listopada 1869 r.: „Jest to streszczenie sprawozdania Komisji Biskupiej”. Ordynariusz Tarbes słusznie sądził, że kiedyś ukaże się szczegółowsza historia objawień, albowiem świat katolicki był spragniony gruntownego poznania wydarzeń massabielskich.

Siedem lat czekano na dzieło, które miało wslawić Henryka Lasserre'a.

Uzyskawszy magisterium praw, Lasserre porzucił palestrę, by stać się dziennikarzem. Jego artykuły, ogłaszane w *Réveil* albo w *Pays*, niemal wszystkie wydano w tomach zatytułowanych: *L'opinion et le coup d'Etat* (1851); *L'esprit et la chair. Philosophie des macérations* (1859); *L'aveugle et sa compagne* (1860); *La Prusse et les traités de Vienne* (1860); *Serpents et sophistes* (1861).

Jak to się stało, że ten pisarz, tak mało wówczas znany, mógł zdobyć sobie zaufanie bpa Laurence'a? Otóż Lasserre utracił prawie zupełnie wzrok, odzyskał go nagle po użyciu wody z Groty. Chwytał wtedy książkę *La notice rédigée par M. l'abbé Fourcade* i nie wypuścił jej aż o zmroku. Ona go jeszcze bardziej przekonała o realności cudu. Było to w październiku 1862 r. Pod koniec roku Lasserre, mając 35 lat², odbywa pielgrzymkę dziękczynną do Lourdes. Tutaj zapoznaje się z ks. Peyramale'em. Rozmawiają o historii wydarzeń. Wreszcie ksiądz proboszcz postanawia skontaktować go z ordynariuszem, biskupem Laurence'em, który utworzył mu archiwum biskupie. Po upływie czterech lat — jak to Lasserre sam wyznał — nie zabrał się jeszcze do pracy³.

W tym czasie raz po raz ukazują się książki Lasserre'a: *L'évangile selon Renan* (1863); *Le Maudit, roman par l'abbé* (1864); *Les épopées françaises* (1866); *Les deux Hugo* (1867). Biskup dziwi się, że na dzieje objawień wciąż jeszcze nie nadchodzi kolej. W końcu, zawiedziony, zwraca się do kapelanów sanktuarium, których wówczas było czterech, i poleca im założyć czasopismo, które by było organem Groty, nie chce już bowiem „dłużej narażać publiczności na zawód”⁴. W tym celu jednemu z nich, mianowicie o. Duboé, który był rzetelnym pisarzem i dobrym stylistą, udostępnił tę samą dokumentację, co Lasserre'owi.

Od tego czasu obaj pisarze zaczynają jakby wyścig pracy. W numerze z 10 grudnia, 1867 r. czasopisma *Revue du Monde Catholique* ukazują się pierwsze strony książki Lasserre'a *Notre-Dame de Lourdes*. Ostatnie strony będą wydrukowane w numerze z 25 kwietnia 1869 r. Jednakże wydawnictwo Palmé spieszy się i już w czerwcu 1869 roku wydaje dzieło, w objętości 480 stron⁵. W kwietniu 1868 r. ukazuje się pierwszy numer miesięcznika pt. *Les Annales de Notre-Dame de Lourdes*, którego się domagał ks. biskup. W piśmie tym, w numerach od sierpnia 1868 r. do listopada roku następnego, d. Duboé będzie drukował swoją pracę pod skromnym tytułem *Petite histoire de Notre-Dame de Lourdes*; ma też nadzieję, że uda mu się wydać ją jak najprędzej w formie książki.

Radość ta nie będzie mu dana. Oto bowiem ledwie się ukazał trzeci odcinek *Krótkiej historii*, Lasserre występuje z gwałtowną skargą. Czyż ordynariusz diecezji Tarbes przyjmując go jako historyka wydarzeń lurdzkich, tym samym nie

zapewnił mu wyłączności w tym względzie? A oto zjawia się współzawodnik, i to jeszcze... jaki współzawodnik: „umysł pozbawiony krytycyzmu”, „niezmiernie prostoduszny”; który pisze „na podstawie tego, co mówi prosty lud; który depcze Prawdę, zastępując Historię Legenda...”.

O. Duboé mógł się bronić, a mógł też pominąć ataki milczeniem i wydać swoją *Petite histoire*. Jednakże dla świętego spokoju zamilczał i zaniechał swego. Lasserre długo sam będzie tryumfował.

Powodzenie jego książki było olbrzymie: styl nieco rozwlekły, modny wówczas; lecz za to ruch, blask, przesada w sądach i atakach, która zresztą podobała się w tych czasach; struktura powieści, w której silnie uwypuklają się przeciwieństwa; a przede wszystkim nowość faktów, które w szczególny sposób wraziły się w pamięć — oto, co stanowi urok Lasserre'owej historii objawień lurdzkich.

Mimo szkód materialnych i moralnych, które mogło z tego powodu ponieść Dzieło Groty, będące już w pełnym rozkwicie, o. Duboé i jego współpracownicy zrobili ofiarę ze swej pracy. A jednak — jak się wyraził jeden z ich następców, którzy ją wydadzą pod odpowiedniejszym tytułem: *Notre-Dame de Lourdes, par ses premiers chapelains, PP. Sempé et Duboé* (Paryż, Letouzey) — był to „dokument pierwszorzędny (...) zupełniejszy niż Lasserre'a”, „dzieło podstawowe”, w którym „ton zestraja się z charakterem faktów i religijnie respektuje ich znaczenie i wewnętrzną pozycję”. Niestety, książka ta ukaże się dopiero w roku 1931 z opóźnieniem 72 lat.

Bez obawy można twierdzić, że gdyby to dzieło, poparte aprobatą biskupią, ukażało się równocześnie z Lesserre'owym, tryumf Lesserre'a, którego biskup wreszcie przestał popierać, byłby podzielony.

Lecz zostawmy tę kłótnię⁸, by się zastanowić, czy Historia — przez duże H, które Lesserre lubi jej dawać — nie ma do niego słusznych pretencji. W niniejszej biografii św. Bernadetty Soubirous wykażemy, że zbyt surowo potraktował on władze świeckie wmieszane w wydarzenia massabielskie. To jedno. A drugie: powodując się żywą sympatią do proboszcza Lourdes, przypisał mu — ze szkoda biskupa Tarbes — za wielki udział w początkach i w rozwoju słynnego pątnictwa⁹.

W roku 1874 bez żadnego przykrego wypadku ani sprzeciwu dr Piotr Roman Dozous (1798—1883) wydał w księgarni Chanche w Auch książkę zawierającą 323 strony pod tytułem *La grotte de Lourdes, sa fontaine, ses guérisons*. Jest to książka szczerą, i prawdziwie szczerą, „cenne świadectwo naocznego świadka”¹⁰. Pisząc stylem bezpretensjonalnym i prostym, po krótkim przedstawieniu przebiegu objawień, po rozprawie nad obyczajami rodziny Soubirous, której był lekarzem, nad „stanem umysłowym Bernadetty”, nad „charakterem, rodzajem, przyczynami jej ekstazy”, doświadczony ten lekarz rozwodzi się obszernie o cudownych uzdrowieniach w sanktuarium lurdzkim, dodając swoje osobiste spostrzeżenia co do dwudziestu siedmiu kolejnych uzdrowień, a szczególnie jednego z pierwszych, mianowicie uzdrowienia kamieniarza Ludwika Bouriette.

Pod koniec roku 1879 pewne zainteresowanie wzbudziła 62-stronicowa broszura pt. *Notice sur la vie de Soeur Marie-Bernard (Bernadette de Lourdes) dans l'Institut des Soeurs de la Charité et de l'Instruction Chrétienne de Nevers*. Autor tej broszury, ks. Augustyn Forcade, arcybiskup Aix, były ordynariusz Nevers, ujawnia dotychczas nie znane szczegóły z czasów zakonnego życia Bernadetty. Nie zatrzymuje się nad wydarzeniami massabielskimi, lecz, korzystając ze swych wspomnień osobistych, opowiada — właściwym sobie stylem nerwowym, prostym — o powołaniu jasnowidzącej, o jej wstąpieniu do Saint-Gildard, o nowicjacie, profesji, zajęciach w domu macierzystym, o jej życiu ukrytym.

Nowe, obfite i ściśle wiadomości o wydarzeniach massabielskich poda dopiero w roku 1899 dzieło Jana Estrade'a, emerytowanego poborcy w Lourdes¹¹, pt. *Les Apparitions de Notre-Dame de Lourdes. Souvenirs intimes d'un témoin* (wyd. Ma-

me). W roku 1858 Estrade zaczyna pisać króciutkie opowiadanie zaledwie 20 stron objętości o „wizjonerce (sic!) z grotty w Lourdes”. Począwszy od roku 1858 — na wyraźne życzenie kardynała Langénieux, arcybiskupa Reims, dawnego biskupa Tarbes — ten naoczny świadek wielu ważnych faktów zabrał się do ich szczegółowego opisywania. Pewnego dnia swoje relacje (spisane w nie używanej księdze podatkowej przeznaczonej na rok budżetowy 1874/75) przyniósł ojcu Dupuy, misjonarzowi w Garaison, prosząc, by je uważnie przejrzał, gdyż są przeznaczone do druku. Styl Jana Estrade'a jest spontaniczny, jędrny, miejscami nieco zaniedbany. O. Dupuy uporządkował tę pracę, lecz nic istotnego w niej nie zmienił. Dzięki temu powstało dzieło równie pouczające, jak ciekawe.

W dziesięć lat później ukazały się inne, niemniej wartościowe, notatki. W roku 1909 adwokat Antoni Barbet ogłasza u wydawcy paryskiego, Leschera, książkę pt. *A Lourde (sic!). Bernadette Soubirous. Sa naissance, sa vie, sa mort, d'après des documents inédits de M. Jean Barbet, ancien directeur de l'école supérieure de Lourde*. Książka ta informuje szczególnie o początkach życia Bernadetty, o jej pobycie w Bartrès, o stanie okolicy Massabielle w czasie objawień¹².

W roku 1901 o. Leonard Cros T. J. wydał tom u Privata w Tuluzie zatytułowany: *Notre-Dame de Lourdes. Récits et mystères*. W zamyśle autora praca ta, stosunkowo krótka, mieszanina erudycji i pobożnych spostrzeżeń, była tylko wstępem do innej, trzyltomowej, w której miały być zawarte wyniki rozległej ankiety, zapoczątkowanej w roku 1877 pod patronatem ks. Jourdana, biskupa Tarbes. O. Cros już wcześniej interesował się wydarzeniami massabielskimi: jego pierwsze widzenie z Bernadettą miało miejsce w listopadzie 1865 r. Dzieło, które planował, zamierzał dać tytuł: Kronika Najświętszej Panny Lurdzkiej. Jego zamiarem, o ile można go dociec, było więc — jak to zresztą stwierdzą księża z Tarbes, którym zlecono zbieranie rękopisów — zarejestrować „całość wiarogodnych dokumentów, przy pomocy których historię Najświętszej Panny Lurdzkiej można oprzeć na czystej prawdzie”.

Nie ulega wątpliwości, że — jak zaświadcza matka Maria Teresa Bordenave, przełożona generalna sióstr z Nevers, która o. Crosa dobrze знаła — o. Cros był badaczem „skrupulatnym... szczerym”. Jednakże pisząc zgodnie ze swym założeniem (oczywiście spornym), że wielkie łaski Boże spływają na najbardziej wydziedziczonych, naraził się na zarzuty niepobłażliwe i niesłuszne, jakoby poniżał rodzinę Soubirous i robił jej krzywdę. A także, „chcąc, zapewne w dobrym zamiarze, uwypuklić w niej czynnik nadprzyrodzony, ...powiększył wady s. Marii Bernardy”¹³. Lecz skoro wyłączymy ze zbioru sądy ludzi złośliwych i pewne oceny nazbyt oryginalne, przyczynek o. Crosa do „czystej prawdy” okaże się cenny i niemały.

Niestety, nie doczekał się on ogłoszenia drukiem wyników swej ankiety. Dopiero w dwanaście lat po jego śmierci, która nastąpiła w roku 1913 w Vittoria w Hiszpanii, Beauchesne wyda jego trzy tomy, zawierające 1300 stron, które ich nakładca, o. Ferdynand Cavallera, zatytułował: *Histoire de Notre-Dame de Lourdes, d'après les documents et les témoins*. Jednakże tylko fragmenty tej masy świadectw i oryginalnych wspomnień znalazły się w tych trzech tomach¹⁴.

Proces beatyfikacyjny Bernadetty, zapoczątkowany w sierpniu 1908 roku w klasztorze w Nevers, miał rzucić nowe światło na sławne wydarzenia z roku 1858 i na ich skromniutką bohaterkę. Otóż w Saint-Gildard nikt nie poświęcił więcej trudu i czasu dla wślawienia powiernicy Najświętszej Panny niż matka Maria Teresa Bordenave, sekretarka matki Marii Józefiny Forestier, przełożonej generalnej. Już samo jej stanowisko jakby ją przeznaczyło do tego zadania. Nadto miała ona dary historyka: wnikliwość umysłu i wybitną wrażliwość. Troszcząc się o dokładność, wyzyskała liczne zeznania i dokumenty. Lecz ze skarbca, który był przed nią otwarty, czerpała bardzo ostrożnie. Pewien autor powie o niej, że zbierała tylko najlepsze kłosy¹⁵. Była tak bezinteresowna, że praca jej dopiero w wydaniu pośmiertnym

będzie podpisana jej imieniem. Pierwsze wydanie, które wyszło spod prasy w roku 1912 pt. *La Confidente de l'Immaculée, Bernadette Soubirous (...) par une religieuse de la Maison-Mère*¹⁶, było przede wszystkim poświęcone Bernadecie, mniszce z Nevers, s. Marii Bernardzie.

Uzupełnieniem tej książki czysto historycznej jest studium duszy: *Sainte Bernadette. Sa vie intérieure* (wyd. Apostolat de la Prière, Tuluza 1934). Autor jego, ks. kanonik Piotr Lemaître, założyciel i dyrektor pisma *Revue Bernadette*, promotor wiary w procesie biskupim, był przez niemal 30 lat kapłanem domu macierzystego w Nevers.

Chcąc dobrze poznać zgromadzenie, w którym jasnowidząca z Lourdes spędziła resztę swego życia, trzeba się odnieść albo do biografii założyciela: *Un moine bénédictin nivernais au XVII^e siècle, dom de Laveyne*, napisanej przez matkę Marię Teresę Bordenave, albo do monografii, tak udokumentowanej, pióra Franciszka Veullota: *Dom de Laveyne et la Congrégation des Soeurs de la Charité et de l'Instruction Chrétienne de Nevers* (wyd. Alsatia, Paryż 1939).

Skoro trybunał biskupi w toku 133 posiedzeń spisał zeznania około 160 świadków, a matka Maria Teresa Bordenave dokonała już swego żniwa, to czyż nie pozostało jeszcze kłosów na rozległym polu historii Lourdes? Żyli jeszcze współcześni Bernadetty, którzy ją znali: duchowni, zakonnice, dawne pensjonarki lub uczennice, dawne służące domu macierzystego. „Pozostały więc okruchy, odłamki diamentu, które należało zebrać i zachować.” Lecz trzeba było się spieszyć. Tak myślał ks. kanonik Guynot, kapłan wykształcony i gorliwy czciciel Bernadetty, regens wyższego seminarium biskupiego w Nevers. Po długich badaniach, przeprowadzanych początkowo w Nevers a następnie w Lourdes i w wielu innych miejscowościach Francji, po przesłuchaniu 60 zakonnice i 40 osób świeckich wydał w roku 1936: *Sainte Bernadette. Souvenirs inédits*¹⁷. W zajmującej tej książce szczegółowo przedstawione jest pokorne i wzniosłe życie Świętej.

Szczęśliwym trafem, w czasie kiedy ks. Guynot zabierał się do swych staranych badań, ksieni monasteru cysterskiego w Blagnac (Haute-Garonne) zbierała inne nieznanne dokumenty, mianowicie wspomnienia mniszki zmarłej w roku 1899, Joanny Védère (w zakonie s. Maria Gertruda), ciotecznej siostry Bernadetty. Były to poufne zwierzenia o jasnowidzącej: o jej rodzinie, chrzcie, pobycie w Momères, w Bartrès, w Lourdes przy ul. Petits Fossés, o jej widzeniu (szczególnie szesnastym, w dniu 4 marca 1858), pragnieniu wstąpienia do cysterek. Tak więc powstało dzieło: *En marge de l'histoire de Lourdes. Bernadette et Jeanne Védère. Notes intimes sur Bernadette et les Apparitions*¹⁸.

W roku 1935 i 1936 o. Petitot, dominikanin, wydał kolejno (u Desclégo) dwa ważne dzieła: *Histoire exacte des Apparitions de Notre-Dame de Lourdes à Bernadette* i *Histoire exacte de la vie intérieure et religieuse de sainte Bernadette*. Już same tytuły tych dzieł jasno wskazują, że autor chciał być dokładnym, co zresztą u historyka jest rzeczą naturalną. Postanowił on sobie — na wzór matki Marii Teresy Bordenave — przeciwdziałać niepokojącej tendencji do powieściowego sposobu pisania o wydarzeniach lurdzkich, do ich upiększania i tłumaczenia. Źródłem informacji były więc dla niego dokumenty sprawy przechowywane w Nevers. Chciał także — jak tego dowodzi przedmowa do jego pracy — sprawiedliwie traktować wszystkie osobistości, zarówno sympatyzujące jak i nieprzychylne, związane ze sprawą słynnych objawień. W pracy tej pomagała mu jego reputacja wnikliwego psychologa i doświadczonego teologa mistycznego, którą zdobył napisaniem przepięknej książki: *Sainte Thérèse de l'Enfant-Jésus. Une renaissance spirituelle*. Pewne braki usprawiedliwia fakt, że w czasie, kiedy przystąpił do badań sprawy lurdzkiej, był już dotknięty paralizem.

Gdy się ukazały te dwie jego książki, pismo *Revue Bernadette* nie szczędziło im pochwał, na które zasłużyły. Jednakże dyrektor pisma, ks. kanonik Lemaître, przedstawił też pewne uzasadnione zastrzeżenia. W użyciu tekstów autor kilkakrotnie „nie zatroszczył się o ich datę”, co znaczy, że naraził się na błędy perspektywy a nawet psychologii. Oto kilka przykładów: W jednym z dokumentów procesu Świętej jest powiedziane, że przełożona przytułku lurdzkiego oświadczenia Bernadetty co do widzeń massabielskich uważała przez pewien czas za podejrzaną, lecz tylko „na początku” — wyraźnie zaznacza tekst. Natomiast o. Petitot przedłuża tę atmosferę wrogości aż do odejścia przełożonej z Lourdes. Podobnie, przypisze przełożonej generalnej i mistrzyni nowicjuszek w Nevers „antypatię” do Bernadetty, która ledwie co przybyła do Saint-Gildard, podczas gdy w istocie była tam tylko niechęć wzrastająca, i to jedynie ze strony mistrzyni nowicjuszek. Nadto, *Revue Bernadette* gani go za to, że uznał praktycznie 19 objawień, zamiast 18; że powiększył wady świętej jasnowidzącej; że nie kłopotał się o odnośniki, co bardzo utrudnia kontrolę; że nie uszanował tekstów. „Nie można mieć żadnego zaufania do jego cytatów — twierdzi surowy krytyk — ponieważ prawie zawsze wprowadza warianty, które często zmieniają sens oryginału.” Jeśli chodzi o odnośniki, to o. Petitot naśladował swoich poprzedników, żaden bowiem z historyków Lourdes czy Bernadetty nie zadał sobie przed nim trudu stwierdzenia autentyczności dowodów¹⁹.

Aczkolwiek o. Petitot umieścił w tytułach swych dzieł określenie „dokładne”, to jednak oświadczył szczerze, że „nigdy nie rościł sobie pretencji do powiedzenia wszystkiego i do niepopelnienia żadnego błędu”. Rozumiemy jego skromność i jego obawy. Dlatego nie mielibyśmy odwagi samorzutnie podjąć się opracowania biografii Bernadetty, gdyby autorytet J. E. ks. biskupa Théasa nie skłonił nas do tego. Ks. biskup Tarbes i Lourdes pragnął, by praca taka była oparta na źródłach, które byłyby we właściwy sposób wskazane; pragnął, by z bogatej dokumentacji wybrał autor to, co w niej odpowiada rzeczywistości. Tego miłego i trudnego zadania podjęliśmy się całym sercem.

Uważamy za obowiązek uznać na początku tej książki wartość dzieła głównych kronikarzy Najświętszej Panny Lurdzkiej, tych mianowicie, którzy przyczynili się do ustalenia zarysów jej historii. Trzeba było miejscami historię tę albo prostować, albo bronić. Mimo to jednak miło nam jest wyrazić tym wszystkim pionierom cudownych dziejów głęboką wdzięczność za usługi, jakie nam oddali²⁰.

CZEŚĆ PIERWSZA

DZIECIŃSTWO

Z MŁYNA DO MŁYNA

We wtorek, 9 stycznia 1844 roku, w kościele Św. Piotra¹ w Lourdes ks. dziekan Dominik Forgue udzielił chrztu św. dziewczynce — pierwszemu dziecku Franciszka i Ludwika (z domu Castérot) Soubirous, których ślub odbył się w tym samym kościele dokładnie rok temu. Któż by pomyślał, że chrzcielnica, przy której trzymano to niemowlę, będzie później zachowana od zburzenia i czczona ze względu na nie²?

Dziewczynka przyszła na świat w niedzielę wśród oktawy Trzech Króli, o godzinie 2 po południu, kiedy w kościele śpiewano nieszpory.

Przez cały czas obrzędu chrztu nie przestawała kwilić, co wreszcie wywołało smutne zdziwienie w oczach jej ciotecznego brata i zarazem ojca chrzestnego, Jana Marii Védère. Był to 11-letni uczeń³, który wraz z rodzicami i 14-letnią siostrą, Joanną, przybył na tę uroczystość z Mômes kolo Tarbes.

Ojciec dziecka zauważył, że podczas ceremonii ks. proboszcz nazwał je Marią Bernardą. Gdy tedy wszyscy znaleźli się w zakrystii, zwrócił uwagę księdzu — w czym zresztą poparła go matka chrzestna i ciotka dziecka, Bernarda Castérot — że dzień przedtem zarejestrowano je w magistracie jako Bernardę Marię. Mimo to ks. Forgue, natchniony, napisał w rejestrze parafialnym: Maria Bernarda, jakby naprawdę miał rozmyślny zamiar już na samym początku oddać dzieciątko w opiekę Najświętszej Panny⁴.

Jednakże uparta matka chrzestna nie ustąpi: jej chrześniaczka dopiero w odległej przyszłości odzyska swe imię maryjne. Tymczasem w Lourdes wszyscy będą ją nazywać Bernadettą — gwarowym zdrobnieniem francuskiego imienia Bernarda.

Przy radosnym graniu dzwonów (młodzi rodzice mogli jeszcze sobie pozwolić na ten luksus) skromny orszak wracał do domu.

Rodzina Soubirous mieszkała wówczas w młynie Boly, nazywanym tak od nazwiska lekarza angielskiego, który był jego właścicielem w XVII wieku⁵. A nie był to najmniejszy spośród sześciu młynów rozrzuconych na wschód od miasta Lourdes wzdłuż obfitującego w wodę strumienia

Lapaca⁶, dopływu Gave-de-Pau. Urządzenia młyńskie zajmowały znaczną część budynku, tak że do zamieszkania pozostały tylko trzy pokoje i kuchnia⁷.

Zbliżając się do progu domu Janek Védère, idący obok ojca Bernadetty, wskazując na chrześniaczkę palcem, rzekł z pewnym rozczarowaniem: „Cały czas tylko płakała: będzie złośliwa!”⁸

Uwagę tę zagłuszyły radosne głosy: już sprzed domu pozdrawiano młodą matkę, która czekała na swą Bernadetkę. Ze łzami radości w oczach dobra ta chrześcijanka ucałowała dziecko w czoło, by uczcić łaskę jego chrztu.



Dzielnica Lapaca była wtedy odcięta od reszty miasta i zarząd miasta wcale się tym nie przejmował. Wzdłuż młynów ciągnęła się kamienista droga. Piesi przez strumień przechodzili kładką, wozy zaś przejeżdżały brodem, co podczas roztopów nie było zbyt bezpieczne.

Z młyna Boly widać było tylko inne młyny oraz — w kierunku łąki Ribère — szereg drzew i krzewów zawieszonych nad krętymi brzegami Gave. Południową część horyzontu zasłaniał zamek warowny. Ta stara, nieprzydatna już forteca w roku 1844 była zwykłą placówką wojskową i składem amunicji. Olbrzymi jej cień przyspieszał zapadanie mroku w dolinie Lapaca. Ulice, uliczki i wąskie zaułki śródmieścia, tulące się do wschodnich stoków tego akropolu — splątane i zabudowane niskimi, szarymi domami — nie robiły imponującego wrażenia. Mniej więcej w epoce, kiedy się zaczyna nasze opowiadanie, pewien pisarz umieścił w swym dzienniku podróżnym krótką notatkę:

„W pobliżu Lourdes wzgórza szarzeją, krajobraz staje się smutny. Lourdes jest tylko kupą dachów o matowej, posępnej barwie ołowiu, rozrzuconych wzdłuż dróg”⁹.

Hipolit Taine przez swe okulary zdaje się nie dostrzegać tuż blisko ani zielonej wstęgi Gave, przybranej białą pianą, ani świeżej zieleni dolin jaśniejących licznymi zwierciadłami przezroczystych wód: dla niego również — w mglistej dali znikają czarujące ramy Pirenejów ozdobionych pasami śniegu.

Lourdes liczyło wówczas około 4000 mieszkańców. Było to miasteczko kantonalne, któremu przysługiwał onieśmielający przywilej posiadania — oprócz sądu grodzkiego — sądu karnego z sędziami, prokuratorem cesarskim, adwokatami, urzędnikami sądowymi i oczywiście komisariatu policji oraz żandarmerii, z więzieniem na dodatek.

W dniach rozpraw nieustanny ruch sędziów, ludzi procesujących się i świadków nieco powiększał zwyczajne ożywienie, lecz i tak ulice miasta — z wyjątkiem dni o obfitych opadach śniegu — nigdy nie były puste. Codziennie po nierównych jego brukach słychać było nieustanne dud-

nienie drewniaków. To liczni mężczyźni spieszyli do kopalni marmuru czy lupku, rozrzuconych po stokach okolicznych gór, lub ubogie kobiety podążały do gminnego lasu w Subercarrère, skąd wracały, niosąc na głowach wiązki chrustu lub suchych gałęzi. Około dziesiątej pasterze przy dźwiękach fujarek pędzili stada wieprzy, owiec czy kóz na niczyje pastwiska wśród skał lub nad brzegami Gave. Wiosną odbywały się tu, na placu Marcadal, tradycyjne targi, na które przybywali nie tylko rolnicy z bliższych i dalszych okolic oraz górale z wysokich dolin pirenejskich, ale nawet handlarze koni z Gaskonii, Langwedocji i aż z Aragonii. Z nadziejścień cieplej pory — wśród krzyków i dźwięków dzwonek częściej przystawały przed stacją pocztową luksusowe powozy i wielkie dyliżanse natłoczone turystami i kuracjuszami zdążającymi do Baréges, Luz, Caunterets, Bagnères-de-Bigorre. Właściciele restauracji i sklepikarze cieszyli się tą gratką, a nawet młynarze znad Lapaca mieli z tego korzyść, gdyż zwiększały się zamówienia na ich mąkę.

*

W chwili urodzenia Bernadetty, ojciec jej był dwa razy starszy od matki. Skąd ta dysproporcja?

Dnia 1 czerwca 1841 roku zmarł w 41 roku życia Justyn Castérot, pozostawiając żonę w kłopotliwej sytuacji¹⁰. Był on dzierzawcą młyna Boly, którego właściciel, niejaki Abadie-Boly, mieszkał we wsi Lézignan, odległej o milę od Lourdes. Czy go zupełnie spłacił, nie wiemy. Sprawę tę osłaniała mgła tajemnicy. Faktem jest tylko, że młyn był obciążony długami. Castéroci, jak zresztą wszyscy inni okoliczni młynarze, tuczyli świnki otrębami, które im zostawiano jako mlewne. Otóż Abadie-Boly corocznie zabierał sobie jedną, jaką chciał. Był to — pisze Jan Barbet, nauczyciel w Lourdes — podatek uciążliwy, stanowiący znaczną część dochodów Castérotów¹¹. Jeśli tedy w rocznym budżecie młynarzy wieprz stanowił tak poważną pozycję, dochody ich musiały być mizerne.

Dziecinna wyobraźnia Joanny Védère przechowała wspomnienie „znacznej nieruchomości”¹². W rzeczywistości jednak był to młyn dosyć prymitywny, mający tylko dwie pary kamieni i jakieś takie urządzenie do czyszczenia zboża. Nawet w Lourdes niektórzy konkurenci stali technicznie o wiele wyżej. Poza tym czynnik zużycia odgrywał pewną rolę: trzeba było nie tylko od czasu do czasu wykuć kamienie, ale także umocnić koło o drewnianych łopatkach za każdym razem, gdy w czasie roztopów wezbrana Lapaca energiczniej nim potrzasała. Prócz tego „młyn — pisze Jan Barbet — z braku wody często był nieczynny, jak zresztą wszystkie inne młyny zbudowane nad Lapaca. Te przyczyny, a nadto wydatki na dość liczną rodzinę i, być może, niejaki nieporządek w gospodarce sprawiały, że pozycja Castérotów była dosyć niepewna”¹³.

Oto co się składało na „kłopotliwą sytuację” Klary Castérot (z domu

Labit) po śmierci jej małżonka, Justyna. Umierając pozostawił on 11-letniego syna, Jana Marię, i cztery córki: 18-letnią Bernardę, przyszłą matkę chrzestną Bernadetty, Ludwikę, Bazylę i Lucylę, która miała zaledwie 11 miesięcy¹⁴. Jedynie mężczyzna — zięć — mógł zapewnić regularną pracę młyna.

Castéroc, mimo skromnych środków utrzymania, bynajmniej nie uchodzili za ubogich; wręcz przeciwnie: uważano ich za ludzi żyjących raczej dostatnio. Kilku konkurentów ubiegało się o rękę Ludwiki. Lecz tylko jeden z nich, 34-letni kawaler, Franciszek Soubirous¹⁵, był młynarzem. Rodzice jego, Józef i Maria z domu Dassy¹⁶, dzierżawili pobliski młyn Latour. Już przedtem pomagał on sezonowo Justynowi Castérotowi w pracy. Jako „człowiek prosty i łagodny”¹⁷, poważny i uczciwy, zawsze się zgadzał z pracodawcą. Jego tedy wybrano.

Wdowa Castérot daremnie rozwodziła się w pochwałach nad swą starszą córką, Bernardą. Nieśmiały Franciszek upodobał sobie młodszą, Ludwikę, bez wątpienia ładniejszą i będącą w kwiecie siedemnastej wiosny.

On był typem mieszkańca tej okolicy: silny i szorstki, o twarzy płaskiej, rysach ostrych, oczach szczerych, lecz przysłoniętych zmarszczkami powiek, wargach cienkich, które nie umiały ani kłamać, ani się skarżyć. Ona, wzrostu średniego, blondynka o niebieskich oczach¹⁸, nie była bez wdzięku, nawet w dzień powszedni, z fularem zawiązanym na boku głowy; a cóż dopiero w dni świąteczne, gdy przyodziła się w biały, niemal zakonny kapturek, którego fałdy tak wdzięcznie owijały jej ramiona — jakże wtedy wydawała mu się imponująca!

Joanna Védère pisze o swym wujku, że był wzorowym chrześcijaninem. Także Ludwika wiernie spełniała obowiązki religijne: pacierz rano i wieczór, niedzielna msza św., spowiedź wielkanocna — wszystko to było dla niej obowiązkiem.

W chwili ich zaręczyn sprawy spadkowe nie były jeszcze uregulowane. Uznano tedy za konieczne, żeby Franciszek jak najprędzej wszedł do rodziny. Dlatego postanowiono przyspieszyć ślub. Miał on się odbyć 19 listopada 1842 r. Lecz oto w cztery tygodnie przed tą datą w sąsiednim młynie umiera niespodzianie matka przyszłego zięcia. Czyż więc nie wypada odłożyć tradycyjnych uroczystości weselnych?

Tak też uczyniono. Dnia 19 listopada młodzi narzeczeni stawili się w magistracie w celu dopełnienia formalności stanu cywilnego, a ceremonię kościelną odłożono. Franciszek w dalszym ciągu mieszkał w domu rodzinnym, lecz mógł występować wobec notariusza jako prawny małżonek, zięć i szwagier. W toku postępowania prawnego okazało się, że młyn Boly, jeszcze nie wypłacony, nie przedstawiał fortuny. Lecz zarówno on, jak i Ludwika mieli dużo odwagi. Przyszłość ich zbytnio nie przerażała.

Poślubili się 9 stycznia 1843 r. w obecności ks. wikarego, Zefiryne Vergeza.

Dziewięcioro dzieci urodziło się z tego małżeństwa¹⁹.

Franciszek i Ludwika Soubirous przejęli młyn na siebie za cenę czynszu, który wypłacali wdowie Castérot. Oczywiście, teściowa w dalszym ciągu mieszkała w młynie wraz ze swymi pozostałymi dziećmi; miała tam nawet coś do powiedzenia z racji swego dużego doświadczenia — umiała notować zamówienia, prowadzić rachunki, podczas gdy Franciszek i Ludwika nie podpisali się nawet na akcie ślubnym... Nie chodzili do szkoły.

•

Bernadetta przyszła na świat wpośród ostrej pirenejskiej zimy. Ludwika uczyła się więc „zawodu” matki przy kominku, gdzie paliły się suche gałęzie uzbierane nad brzegami Lapaca, porośniętymi olchami i brzoza-
mi. W czasie długich wieczorów żywczy kaganek oświecał migotliwym mdłym światłem matkę i dziecko.

Dziecinka skończyła dziesięć miesięcy i zaczynała już stawiać pierwsze kroczki, gdy zdarzył się wypadek, który po raz pierwszy miał ją odłączyć od matki. Było to w listopadzie 1844 roku. Gdy Ludwika stała przy kominku, przewróciło się na nią płonące luczywo, podpalając jej stanik. Aczkolwiek oparzenia były niegłębokie, nie mogła już karmić swego maleństwa. Prócz tego na luty lub marzec spodziewała się nowej pociechy, odczuwała więc zmęczenie. Dla Bernadetty trzeba było mamki.

Tymczasem zdarzyło się, że we wsi Bartrès, odległej o 3 km na północ od Lourdes, dobrym klientom młyna, Bazylemu i Marii (z domu Aravant) Lagües, dnia 22 listopada zmarło pierwsze dziecko po przeżyciu za ledwie dwóch tygodni. Zmartwionej młodej matce małżonkowie Soubirous zaproponowali wziąć ich Bernadettę. Maria Lagües zgodziła się, lecz raczej dla oszukania swego bólu niż dla wynagrodzenia, które wynosiło 5 franków miesięcznie, płatnych gotówką lub mąką.

Z pomocą ciotki Bernardy zaniósł ją matka w kołysce swój skarb do Bartrès. Ponieważ jednak dziecko podejrzewało w tym jakiś podstęp, ciocia pozostała przy nim kilka dni, dopóki się nie przyzwyczało do nowych twarzy.

13 lutego następnego roku urodził się w młynie Boly chłopczyk, Jan Soubirous, którego Bernadetta pozna dopiero w niebie, odleciał bowiem dnia 10 kwietnia, by powiększyć grono aniołków.

Bernadetta znalazła w Marii Lagües drugą matkę. Wbrew wróżbom swego młodego ojca chrzestnego nie okazała się ani beksą, ani złością; wręcz przeciwnie: była miłutką, roześmianą. Wkrótce polubiła ją cała wieś.

Lecz jakże kochała ją jej właściwa matka! Jej boleść po śmierci Janeczka nie ustępowała. Odczuwała wtedy coraz bardziej potrzebę Bernadetty. Doszło więc do tego, że po upływie dziesięciu miesięcy dobra mamka ze łzami w oczach, odniosła ją do młyna Boly.

Bernadetta wkrótce będzie miała 2 lata i zna już wiele wyrazów

tego śpiewnego narzecza miejscowego, którym posługuje się lud prosty zarówno w Lourdes, jak i w Bartrès. Ptaszące szczebiotanie dziewczynki, zmieszane z monotonnym pomrukiem młyna, rozwesela wszystkich. Lecz nade wszystko cieszy się tatuś, jej ulubiony przyjaciel, cały ubielony mąką. Dla młynarzy Soubirous, których pożycie małżeńskie było doskonale zgodne i którzy przecież byli w stanie odłożyć miesięcznie 5 franków, nastaly dni pokoju, dni względnej pomyślności.

Maria Lagües serdecznie się przywiązała do Bernadetki. Z tkliwości więc i z obawy, by dziecko jej nie zapomniało, przybywając na targ do Lourdes, wstępowała do młyna z niespodzianką dla pieszczoszki, która dobrze umiała wyszukiwać ciastka w głębi wielkiego kosza mamki.

Umówiono się, że rodzice będą ją przyprowadzać przynajmniej na zapusty i na doroczną uroczystość, obchodzoną tam w dniu św. Jana Chrzciciela. Lecz mamce niekiedy czas się dłużył. Przychodziła tedy niespodziewanie po Bernadetkę. Tak więc od czasu do czasu dziewczynka powracała na kilka dni na wieś. Tam lubiła wychodzić z pasterką owiec na pola. Stęskniony za dziecięcym szczebiotem ojciec — twierdzi Joanna Védère — szukał wtedy pretekstu, aby codziennie pieszczoszkę odwiedzić. A przecież pretekstów nie brakowało: a to zabrać worek od zboża, a to zanieść komuś garść mąki... Czyż nie miał klientów w tej wiosce?



Od roku 1844 do 1848 młyn zdawał się przynosić dostateczne dochody, ujmujące oboje Ludwika i jej matki zatrzymywało i przyciągało klientów. Licznej rodzinie młynarzy było jednak ciasno w trzech pokojach. W roku 1848 wdowa Castérot z synem Janem i trzema córkami: Bernardą, Bazylą i Lucylą, które chciała już wydać za mąż, przeprowadziła się na ulicę de la Forêt. Dnia 1 lutego roku następnego, gdy jej chrześniaczka kończyła piąty rok życia, Bernarda poślubiła Jana Tarbèsa, kupca z ulicy du Bourg²⁰.

Niemal do końca piątego roku życia Bernadetka dobrze wyglądała i rozwijała się normalnie, gdy nagle wystąpiły objawy astmy, która miała ją nękać aż do końca życia. Teraz dziecko rośnie wolniej, jednakże — chociaż napady duszności zaskakują ją często w czasie zabaw — słodki uśmiech nie schodzi z jej twarzyczki. Zaczyna już pomagać mamusi: bawi małą siostrzyczkę, Tosię.

Nie ma już babci Castérot... Odejście jej mogło oddalić nieco starych klientów. Dotychczas ona prowadziła notatki rachunkowe, teraz wszystko polega na pamięci młodej młynarzowej. Tymczasem ta ciągła krzątanina wśród klientów i w domu jakby ją oszalała: pamięć ją zawodzi, stąd pewne długi pozostają nie zapłacone. A nadto — szczególnie wzruszający i przynoszący zaszczyt tej skromnej kobiecie — z miłości bliźniego darowuje pewne długi. „Matka Bernadetty — stwierdza ks. Andrzej Labayle

— była bardzo dobra i bardzo miłosierna. Pożyczała — jak sama mi o tym opowiedziała — pszenicy rodzicom Marii Cazaux i mawiała im: Zapłacicie mi, gdy będziecie mieli pieniądze²¹. Równie pochlebną opinię wydaje nauczyciel Barbet: „Młynarze Soubirous byli to ludzie zacni, uczynni, a nawet dobroczynni; chętnie dawali swoim klientom mąkę na rachunek. Dlatego cieszyli się powszechnym szacunkiem”²². Clarens, dyrektor gimnazjum lurdzkiego, dodaje, że byli oni ludźmi nieposzlakowanej uczciwości.

Joanna Védère jest zdania, że ich wielka miłość bliźniego i pewien brak porządku nie zdołałyby ich zrujnować, gdyby nie marnotrawstwo, uprawnione — rzecz by można — starodawnym zwyczajem posiadaczy tego młyna. Z Lourdes i okolicznych wiosek wiele kobiet przynosiło do zmielenia tyle pszenicy, by starczyło na chleb na cały tydzień. Niegdyś za dobrych czasów ustalili się zwyczaj, że klientki, czekając na mąkę, urządzały sobie podwieczorek. Każda z nich bardzo niewiele przynosiła z sobą. Lecz podczas gdy Franciszek Soubirous był zajęty przy kamieniach, Ludwika hojną ręką dodawała resztę. „Dla nich — wyjaśnia Joanna Védère — zawsze był chleb, wino i ser, tak że często więcej otrzymywały od młynarzy, niż im dawały”²³.

Z czasem sita się zużywały, robiły się w nich dziury, a Franciszek nie mógł ich naprawić. Klienci opuszczali go, skarżąc się, że ich mąka jest gorsza, bardziej zanieczyszczona otrębami niż mąka z innych młynów.

Soubirous popadali w ruinę. W roku 1854, na świętego Jana, już nie byli w stanie zapłacić dzierżawnego. Właściciel, Abadie-Boly, postanowił więc pozbyć się młyna, który nie dawał mu dochodu. 19 listopada 1852 roku kupił go krewny Franciszka, Amand Soubirous, by go eksploatować na swój koszt²⁴.

*

Co począć?...

Wdowa Castérot, by umieścić całą rodzinę i dać jej utrzymanie, postanowiła nająć na swe własne nazwisko inny młyn, zwany firmą Laborde albo młynem Laborde-Lousi.

Dotychczas Soubirous zajmowali pewne miejsce wśród młynarzy. Teraz je tracą: ich upadek społeczny będzie się pogłębiał. Młyn Laborde jest mało wydajny; a nadto, jego bogaty sąsiad, młyn Lacadé po prostu miażdży go swoją konkurencją. Dlatego też z braku klienteli młyn Laborde pracuje tylko z przerwami. W takich warunkach chleb codzienny jest niepewny. Franciszek w dni wolne od pracy u siebie pracuje jako zwykły wyrobnik u tego lub owego...

Niestety, dla Soubirous pamiętny dzień 8 grudnia 1854 roku (przypadający wówczas na piątek) minął niepostrzeżenie. Dla nich, ludzi ciężko pracujących, był to dzień roboczy, tak jak poprzedni i następny. Do mły-

na Laborde nie dotarło nawet echo wspaniałych uroczystości rzymskich; nie wiadano tam, że pod promieniejącą kopułą bazyliki Pius IX „poważą świętych Apostołów Piotra i Pawła i własną” ogłaszał jako dogmat, że „błogosławiona Dziewica Maria była zachowana od wszelkiej zmaży grzechu pierworodnego od pierwszej chwili swego poczęcia”.

We młynie Laborde ciężka troska o chleb codzienny spychała wszystko inne na dalszy plan. A oto w tym krytycznym okresie nowe usta wołają: jeść! 28 lutego 1855 przychodzi na świat Justyn Soubirous.

Bernadetta ma lat jedenaście. W okolicznych dolinach i w Argelès wybuchła epidemia cholery. Wdziera się do Lourdes i porywa ofiary, zwłaszcza wśród dzieci. Pochwyciła w swe szpony wątłe dziewczątko, które jednak cudem się jej wyrwało: wszak tyle błagań wzniosło się z młyna Laborde do Najświętszej Panny, do której od niepamiętnych czasów mieszkańcy Lourdes mają wielkie nabożeństwo.

Tak więc już od dzieciństwa Bernadetta przeszła różnego rodzaju próby fizyczne i moralne. Lecz odniosła z tego pożytek dla swej duszy: widząc cierpienie innych i sama go doznając, dojrzała wcześniej, odrywając się od tego „złego świata”²⁵, by dążyć, na razie nieokreślonym pragnieniem, ku rzeczywistości wyższej i czystszej. Była na przemian poważna lub uśmiechnięta, lecz — prawdę mówiąc — nie śmiała się prawie nigdy. Szczupła i niska, często dręczona astmą, oddaje się pracom na pozór ponad swe siły. Nosi na rękach, jak tkliwa matka, najmłodszego braciszka, Justyna; karc i ucisza starszych psotników, Janka i Tosię. Teraz już matka może spokojnie przyjąć pracę poza domem: pod czujnym okiem Bernadetty nic złego w domu się nie stanie.

Pewnego dnia lipcowego, roku 1855, Ludwika ze swoją powinowatą, Katarzyną Soubirous, i inną kobietą najęły się do żniwa u rolnika nazwiskiem Mingelatte²⁶. Będzie to okazja do zdarzenia, które uwydatni zdecydowanie i roztropność Bernadetty.

Mingelatte'owie mieszkali przy ulicy de Langelle w pobliżu kościoła. Między dziewiątą a dziesiątą rano staje na ich progu Bernadetta z Justynkiem na ręku. Wita ją Romka, córka gospodarzy. Całe swoje życie będzie sobie przypominać to spotkanie. Zapamięta nawet, że jej koleżanka, której „twarz była okrągła i milutka, oczy piękne i bardzo łagodne”, miała zwykłą chusteczkę na głowie, szal na ramionach, była w drewniakach bez pończoch, a sukienka jej sięgała aż do ziemi. Wydawała się zmęczona. „Wchodzi więc — opowiada dalej Romka Mingelatte — i pyta się bardzo prosto, lecz i bardzo grzecznie: Czy nie byłibyście, Państwo, tak dobrzy powiedzieć mi, gdzie jest wasze pole? Muszę zanieść braciszka do maćki, bo on chce ssać”. Sąsiadka udająca się do pomocy żniwiarzom natychmiast zabrała Bernadettę²⁷.

Skutki śmierci matki będą podwójnie przykre dla biednych Soubiours. Zabraknie im jej doświadczonych rad. Pozostawała ona głucha na gadanie złośliwych ludzi, krzywdzące nieszczęśliwe dzieci. Dlaczegoż to — szeptały złe języki — lepiej nie czuwali nad swoimi sprawami? Dlaczego brali udział w uctach klientów?... Nigdy niesprawiedliwymi wyrzutami nie zasmuciła zięcia czy córki. Między nimi wszystkimi panował zawsze pokój.

Ze śmiercią tą kończy się również wspólnota interesów Castérotów i Soubiours. Z podziału majątku rodzicom Bernadetty przypada 900 franków.

Trzeba znów zmienić mieszkanie. Lecz małżonkowie nie rezygnują z twardej walki o chleb codzienny dla rodziny: raczej wszystko inne, niż wyciągać rękę!

Na skraju wsi Arcizac-ès-Angles, przy drodze do Bagnères-de-Bigorre, za wsią Lézignan i o 5 km na wschód od Lourdes najęli sobie lepiankę. Ludwika będzie mogła pomagać okolicznym rolnikom, a Franciszek zabierze się do pracy w pobliskim młynie Escoubès, który wziął w dzierżawę. Koło młyńskie napędza strumień Magnas, dopływ Echez. Magnas obfituje w wodę. Żegnaj więc, kapryśna Lapaca, gdzie się tyle wycierpiał. Tego jesiennego popołudnia promyk nadziei ożywił wzrok rodziców i córki, gdy witali zalesione ustronie, w którym się kryło ich nowe mieszkanie.

Zima roku 1855 zapowiadała się szczególnie ciężka. Ciotka Bernarda, która po śmierci pierwszego męża, Jana Tarbèsa, wyszła za rolnika, Jana Nicolau, odwiedza krewnych. Słyszy, że chrześniaczka kaszle, chce więc ją zabrać. Chętnie ją oddano na okres zimy: w Lourdes nie będzie się nudziła z dwojgiem małych kuzynków.

Niezbyt daleko od ciotki, na zboczach wzgórz po przeciwnej stronie Lapaca, Siostry Miłości i Wychowania Chrześcijańskiego z Nevers, które przybyły do Lourdes w roku 1834, miały schronisko dla ubogich i szkołę żeńską. Otóż pomimo swych zajęć Bernardetta powinna była się kształcić u sióstr. I aż dziw, że ciotka jej do nich nie posyłała regularnie.

„Bernadetta — zeznała ciotka Nicolau — umiała «Ojciec nasz», «Zdrowaś Maryjo» i «Wierzę w Boga». Do szkoły chodziła rzadko. Zajęcia opiekuńcze dzieci nie pozwalały jej chodzić często, dlatego nie umiała czytać, a na Mszy św. zamiast książeczką posługiwała się koronką. W domu nie sprawiała nikomu przykrości. Zawsze widziałam ją w dobrym humorze i posłuszną. Gdy ją łajano, milczała”²⁸.

Katarzyna Fourcade, mieszkająca w Lourdes, zauważyła, że jej koleżanka, Bernadetta, często nie była na lekcjach. A Janka, siostra Kasi, znalazłszy się raz w kościele w pobliżu Bernadetty, stwierdziła, że to proste i niewinne dziecko całkiem naturalnie „ogłądało się jak inne dzieci i obserwowało, co się wokół niej dzieje”²⁹.

W tym to bez wątpienia czasie, kiedy Bernadetta przebywała u ciotki

Nicolau, zdarzył się drobny wypadek, w którym niektórzy surowi krytycy widzieli wybryk próżności. Wujek porzucił pracę na roli, a otworzył winiarnię. W czasie jednej ze swych podróży przywiózł ze słynnego miejsca pątniczego, Bétharram, pierścionki dla żony i szwagierek, Lucyli i Bazyli, a o Bernadecie zapomniał. Były to niemal przedmioty kultu, mające zamiast oczka miniaturowy owalny obraz Madonny. Ciotki, dla zabawy, przymierzały swoje pierścionki Bernadecie. Były jednak za luźne: nie trzymały się na jej palcach. Wtedy uczucie zawodu odbiło się w jej oczach. „No, dobrze. Przywiozę i tobie pierścionek” — przyrzekł wujek. Niestety, pierścionek przywieziony z nowej podróży był za ciasny nawet na mały palec dziewczynki. Mimo to udało się go włożyć. Krótka radość: palec nabrzmiał i zaczął boleć. Trzeba było uciec się aż do pilnika. Bernadetta, opowiadając pod koniec życia to „zdarzenie z młodości”, zakończyła z uśmiechem: „odtąd odechciało mi się nosić pierścionek”³⁰.

Optymizm nowego dzierżawcy młyna Escoubès trwał niedługo. Nowe rozczarowanie: właściciel przesadził wydajność młyna i napływ klienteli. Jednakże Soubirous starają się wytrzymać.

Z nadejściem wiosny Bernadetta zapragnęła powrócić do rodziców. U mamy kromki chleba są cieńsze niż u cioci... Mimo to jednak tu, nad brzegiem Magnas, którego krystaliczny nurt łączy się w czasie roztopów, spędzi z Jankiem i Tosią szczęśliwe chwile. Tutaj na zielonych łąkach, między skałami przyodzianymi mchem rośnie tyle i tak pięknych kwiatów! Bernadetta zawsze będzie kochać te kwiaty polne, piękne jak jej dusza. Wiązanki kwiatów i uśmiech córki przynoszą rodzicom pewną pociechę.

Jedna dziewczyna z Arcizac, która potem wyjdzie za Filipa Virona, policjanta w Lourdes, dosyć często bywała u Soubirous. Podziwiała, jak podczas ich nieobecności „Bernadetta opiekowała się domem i młodszymi braćmi”³¹.

II

W „WIEZIENIU” LURDZKIM

W roku 1856 Soubirous, doszedłszy do kresu możliwości materialnych, zmuszeni byli opuścić Arcizac. Widzieli tylko jeden sposób zarabiania na swe utrzymanie: pracować jako wyrobnicy. Można sobie wyobrazić, ile ich kosztowało powzięcie tego postanowienia.

Przenieśli się tedy do Lourdes, na ulicę du Bourg, znajdującą się na południo-wschód od góry zamkowej, gdzie u niejakiego Soubies-Pélat podnajęli sobie jeden pokój w zakątku domu Rives¹. Jakże to pachnie nędzą!

Praca im się trafiała. Czasami piekarz Bertrand Maisongrosse najmie Franciszka do roznoszenia mąki i chleba w rejonie od Lourdes do Saint-Jean-de-Luz, to znów właściciel przedsiębiorstwa przewozowego, pan Cazenave, powierzy mu opiekę nad swoimi końmi. Ludwika zaś będzie się najmować do pracy na roli lub zbierać na sprzedaż suche gałązki w lesie.

W tym czasie 12-letnia Bernadetta i Tosia, młodsza od niej o dwa lata, mają zajęcie w domu: opiekują się młodszymi braciszkami, z których jeden, Jan Maria, ma lat 5, a drugi, Justyn, roczek, pilnują ognia w kominku; podgrzewają rodzicom posiłki. Czasem też sprawiają im miłe niespodzianki: zaprowadzają chłopczyków do sąsiadów z prośbą, by się nimi opiekowali, a same biegną na miasto zbierać na śmietnikach gałgany, stare żelastwo, kości, które sprzedadzą szmaciarce Aleksynie Baon a pieniądze z radością oddadzą rodzicom.

Jest to epoka nie zorganizowanej dobroczynności (Towarzystwo św. Wincentego à Paulo będzie tu założone dopiero w roku 1874), epoka, w której zbyt wielu bogatych bez serca wyzyskuje pracę ubogich; w której matki licznej rodziny muszą cały dzień harować za marne wynagrodzenie². Jednakże Soubirous, chociaż zdołają zarobić na utrzymanie, nie mogą zapłacić komornego, mimo że jest ono skromne. A za bardzo są ambitni, by prosić o zwolnienie od niego.

Pewnego dnia roku 1856 — około Wszystkich Świętych — widzimy ich, jak przed domem Rives ładują na ręczny wózek swoje naczynia kuchenne i meble, a przynajmniej to, co zdołali zachować, bo np. szafa — cenna pamiątka ślubna — pozostanie jako zastaw w drapieźnych rękach Soubies-Péłata. Gdzież pójdą ci nieszczęśliwcy ze swoimi dziećmi? Jakież deski ratunku chwycą się ci rozbitkowie życia?

Równolegle do ulicy du Bourg, którą właśnie opuścili, na miejscu dawnej fosy zamkowej ciągnie się ulica des Petits-Fossés, na której rogu wznosi się gmach sądu. Nieco dalej na południe jest dawne więzienie. Ten smutnej pamięci dom zamieszkuje krewny Ludwika³, Andrzej Sajous, mistrz kamieniarski, któremu dom dostał się w spadku po wuju, Janie Piotrze Taillade. Gdy przed trzydziestu laty ze względów higienicznych przeniesiono stąd więzienie do wieży na ul. du Baous, Taillade nabył ten opuszczony loch.

„Można sobie wyobrazić — pisze Jan Barbet — czym była ta rudera, oparta o wielki mur ogrodzenia i mająca okna tylko od wschodu. Na piętrze były dwa pokoje, które zajmował Andrzej Sajous. Na parterze w jednej izbie kamieniarz miał pracownię. Za tą pracownią, na końcu

korytarza, było drugie, mroczne mieszkanie zwrócone na zachód, ku ma-
łemu dziedzińcowi”⁴.

Tę ustronną izbę, oddzieloną od pracowni przegrodą z desek, ludzie
z tej dzielnicy określali złowrogą nazwą więzienia.

Do tego to mieszkania nędzy, gorszego niż poprzednie, skierowała się
rodzina Soubirous. Posłuchajmy, co o nim mówi sam właściciel.

„W ścianie więzienia — opowiada Andrzej Sajous — zrobiłem drugie
okno, a wewnątrz postawiłem kominek. Próbowali tu mieszkać różni lu-
dzie: dzwonnik, kowal Lafitte, rzeźnik Blancard, lecz żaden z nich długo
nie wytrzymał. Aby mieć pożytek, choćby bardzo skromny, z tego nie-
zdrowego lokalu, zmuszony byłem wynajmować go najuboższym cudzo-
ziemcom, np. hiszpańskim robotnikom ziemnym, którzy, spędzając zimę
w Lourdes, przychodzili tu na nocleg. W końcu straciwszy nadzieję, że
trafi się jakiś lokator, założyłem na podwórzu skład gnoju, gdyż dogod-
niejszego miejsca nie miałem.

Wówczas to przybył do wujka Franciszek Soubirous i oświadczywszy
mu, że wraz z całą rodziną znalazł się na bruku, prosił go o wynajęcie
mu dawnego więzienia.

Gdy wujek powiadomił mnie o tej prośbie, byłem przeciwny przy-
jęciu Franciszka. Sami byliśmy biedni, mieliśmy pięcioro dzieci, a wie-
działem, że moja żona, która była bardzo dobra, będzie dożywać czworo
dzieci Soubirous. Jednakże nie śmieliśmy odmówić: Soubirous zajęli tę
niską izbę”⁵.

Bez wątpienia, nie mieszkają oni gorzej niż inne rodziny robotnicze
tej nędznej dzielnicy, lecz kiedyś, w młynie Boly, żyli dostatnio i cieszyli
się szacunkiem. Dlatego dzisiejsze ogołocenie jest dla nich bardziej upo-
karzające i twarde.

Joanna Védère, która tu będzie raz nocowała w marcu 1858 r., stwier-
dzi, że „nic absolutnie nie mają, tylko jakie takie meble i trochę bieliz-
ny”⁶. Jest tu przy tym ciasno, stoi bowiem skrzynia i kufer, kilka krze-
seł i trzy łóżka: dla rodziców jedno, dla dziewcząt jedno i dla chłopców
jedno, a izba ma tylko 4 na 5 m.

Daremnie matka z córkami porządkowały mieszkanie przed wprowa-
dzeniem się: kraty żelazne w jednym z okien, posadzka łupkowa, czarne
belki niskiego sufitu — wszystko to nadaje izbie wygląd więzienia. Wy-
starczy zresztą spojrzeć na zewnętrzne drzwi korytarza: masywne na-
warstwienie dębowych belek z olbrzymim więziennym rygłem...

•

Ach, ta „nora zapowietrzona i ciemna”⁷, do której nigdy nie przenika
słońce, to otoczenie nędzy i zniechęcającego smutku!... Jednakże Soubi-
rous nie tracą nadziei ponownego znalezienia się w młynie. W dalszym
więc ciągu ojciec wynajmuje się, gdzie tylko może; matka zbiera chrust

w lesie, pierze na mieście, chodzi na posługi. Tosia, która ma już lat dziesięć, ucześnie dosyć regularnie do szkoły sióstr.

Bernadecie zaś aż nazbyt często mówi się, że książki nie dla niej, że już skończyła 13 lat, że wreszcie siostry nie bardzo wiedzą, w której klasie ją umieścić, dotychczas bowiem ledwie nauczyła się kreślić jako tako na tablicy łupkowej kilka wielkich liter. Zresztą przeszkadza jej astma, a nade wszystko ma zajęcie w domu. Jest więc małą ofiarą, kopcuszką „lochu więziennego”.

A kiedy będzie jej pierwsza Komunia święta? Wszakże już Tosia niedługo dostąpi tego szczęścia, Tosia, która we wrześniu skończy dopiero 11 lat. Tak, lecz Tosia umie czytać i ponieważ ma lepsze zdrowie, można by sądzić, że jest starsza. A jednak — mój Boże — jakże ta Bernadetka chciałaby chodzić na katechizm! „Poczekaj jeszcze trochę — mówi matka — i ty będziesz chodziła”. Nocą, gdy astma nie daje jej spać, płacze biędactwo; płacze nad nędzą rodziny, nad nędzą swego nieuctwa i nieziszczonych pragnień — oto strapienie młodej opuszczonej duszy.

Lecz rano po odmówieniu paciorka odzyskuje radość dziecka. Umyje i ubierze swych braciszków i przyłączy się do ich zabaw. „Nigdy — zaświadcza Andrzej Sajous — nie narzekali, że im się jeść chce; natomiast często widziałem Bernadetkę, Jasia i Justynka śmiejących się i skaczących z pustym żołądkiem”⁸.

W istocie, zdarzało się, że z powodu braku zajęcia rodzice nie mogli dać dzieciom tego, co konieczne. Wtedy Franciszek Soubirous, pozostawiając dla rodziny skromne zapasy, nie wstawał przez cały dzień z łóżka, by w ten sposób lepiej móc znieść wilczy głód, szarpiący jego wnętrzności. Za nic w świecie nie zwierzyłyby się z tego kuzynowi Sajous.

Soubirous jadali — jeśli oczywiście mieli — tylko chleb z kukurydzy. Lecz chleb ten nie służył Bernadecie. Dlatego matka dawała jej chleb pszenny, trochę cukru i wina. Później, gdy ciężko zachoruje w Nevers, infirmerka zażąda dla niej „pożywienia bardziej apetycznego”. Na to nierozważnie odpowie kucharka: „A czyż matka codziennie jej dawała kurczęta?” Gdy Bernadecie powtórzono to zapytanie, nie mogła powstrzymać odpowiedzi: „Tak, to prawda, lecz to, co dawała mi matka, dawała tak chętnie!”⁹ Oprócz serca matki bywały także podarki od mamki. Tymi łakociami z Bartrés Bernadetta chętnie się dzieliła z siostrą i braciszkami.

Matka zastrzegła, że chleb biały, na który Jaś i Tosia rzucali pożądlive spojrzenia, jest wyłącznie dla Bernadetki. Lecz ta nie zawsze mogła się dostosować do życzeń matki. W „więzieniu” nie było ani ustalonego czasu, ani ściśle określonego miejsca na posiłki. Bernadettę często odwiedzała przyjaciółka, Joanna Abadie, mieszkająca na ulicy du Bourg. „Jakże często — opowiada Joanna — zastawałam Bernadettę jedzącą zupę z taniej miseczki na kamiennym parapecie okna przed tym murem i gnojowiskiem!”¹⁰ Otóż niekiedy udało się Jankowi i Tosi porwać kawałek

chleba leżący obok miseczki. Bernadetta jednak — jak później zezna Tosia — prawie że się nie sprzeciwiała i nie skarżyła rodzicom, gdy wrócili z pracy.

Czasami Janek, 6-letni milczący i uparty brzdąc, wylaamywał się spod opieki sióstr, by pójść „wałesać się” — według powiedzenia Tosi. Jedna z tych ucieczek miała ujawnić pewnej pobożnej osobie, Emanueli Estrade, młodszej siostrze poborcy podatków, do jakiego stopnia głód dręczył niektórych ubogich mieszczan. Oto jej opowieść:

„Pewnego dnia około drugiej po południu modliłam się przed ołtarzem Najświętszej Panny w kościele lurdzkim. Początkowo sądziłam, że jestem sama, lecz wkrótce usłyszałam, że ktoś przesuwają krzesła. Obejrzaawszy się, ujrzałam chłopca lat pięciu lub sześciu, ubogo ubranego. Twarzyczka jego była śliczna, lecz mizerna. Widać było, że jest źle odżywiany. Znowu zabrałam się do modlitwy, a on w dalszym ciągu robił swoje. Dałam mu znak, żeby się uciszył. Wówczas usiłował zachować się spokojnie, lecz mu się to nie udawało. Patrząc na niego zauważyłam, że się pochyla, skrobie posadzkę i następnie podnosi rękę do ust. Jadł wosk, który spłynął ze świec podczas nabożeństwa żałobnego.

— Ty jesz wosk? — zapytałam.

Przytaknął głową.

— Jesteś więc bardzo głodny. Czy chciałbyś zjeść coś innego?

I teraz kilku znakami głową odpowiedział twierdząco.

Natychmiast wyszłam z kościoła z tym biednym chłopczykiem, który stał się moim przyjacielem. Korzystając z moich zachęt, przez długi czas codziennie przychodził do nas jak pensjonariusz. Nigdy jednak nie udało mi się uprosić go do pokoju: pozostawał uparcie na stopniu schodów, który mu służył za stół”.

Nigdy ani pan Estrade, ani jego siostra nie zdołali się dowiedzieć, gdzie mieszka i jak się nazywa.

Ludwika Soubirous „lubiała porządek, lecz nie mogła go tak zachować, jakby chciała”¹¹. Wieczorami przy słabym świetle żywicznego kaganka starała się z Bernadettą łątać odzież dzieci. Zużywała się ona coraz bardziej. Matka z trwogą myślała, że nie zdoła jej zastąpić nową. Lecz ukrywała strapienie.

Pewego dnia tej zimy 1857 roku Bernadetka wyszła na miasto, prowadząc za rękę najmłodszego braciszka, który wówczas miał dwa lata. Biedactwo dreptało w drewniaczkach bez pończoszek. Spotkała ich pewna pani z córeczką. Była to Irma Jacomet ze swoją Armandą. Armanda, która miała pięć i pół roku, pobierała u sióstr w przytułku pierwsze lekcje roboty na drutach. Z pomocą starszych ukończyła właśnie swoje pierwsze wielkie dzieło, parę pończoszek. Uradowana powodzeniem zwierzyła się mamusi: „Chcę je dać najbiedniejszemu dziecku, jakie spotkamy, choćby nawet było hiszpańskie”. (Nie uszło uwagi córeczki komisarza policji, że robotnicy nawarscy i aragońscy byli najczęstszymi klientami jej

tatusia). Teraz spostrzegłszy Justynka Soubirous, pani Jacomet nachyliła się i coś szepnęła córce do ucha... Wybraniec Armandy został znaleziony... „Czy nie zechciałabyś pójść z nami do domu?” — pyta p. komisarzowa Bernadetty. Jacometowie mieszkali tuż obok kościoła, w pobliżu komisarjatu. Bernadetta się wahała. Ależ tak zimno!... Armanda włożyła pończoszki rozradowanemu Justynkowi. Z uśmiechem szczęścia Bernadetta grzecznie podziękowała swym dobroczyńcom, nie podając jednak imienia. Komisarz, wzruszony tym zdarzeniem, ucałował córkę za jej dobre serce¹².



Niestety, wkrótce jednak w rodzinie Justynka ze łzami będzie się mówić o komisarzu policji.

W czwartek, 27 marca, zjawia się w mieszkaniu Soubirous wachmistrz żandarmerii d'Angla wraz z innym żandarmem. Ojciec dopiero co wszedł. Śledzili go. Do niego bowiem coś mają stróżę porządku publicznego. W głębi mrocznej izby czworo wystraszonych dzieci tuli się do matki.

Żandarmi mają przeprowadzić śledztwo. Poprzedniej nocy zginęły dwa worki mąki z piekarni Maisongrosse'a. Piekarz rzuca podejrzenie na Franciszka Soubirous. Ten jednak zapewnia o swojej niewinności. Nigdy nie ukradł swemu pracodawcy. Zresztą wystarczy przeszukać jego jedyną izbę.

W mieszkaniu ani śladu worków. Żandarmi wyszli na podwórze. Wachmistrz ma dobry nos. Co tu robi ta żerdź, oparta o stary mur więziennego ogrodzenia? To podejrzone. Tego ranka wpłynęło do komisariatu anonimowe doniesienie o zniknięciu podobnej żerdzi. Czyż to nie jest *corpus delicti*? Dziwny zbieg okoliczności: w jakim zamiarze Franciszek Soubirous tak wcześnie rano wyszedł dziś z domu? Nie może zaprzeczyć tego tajemniczego wyjścia: wszak niedyskrecja sąsiada poinformowała o tym policję konną. Niechże się wytłumaczy, co robił...

„W istocie — napisze w protokole sędziego śledczego Rives — wstał on około trzeciej rano, by przynieść wiązkę drzewa z lasu w Bartrès. Lecz doszedłszy do ogrodu p. Dozous, zauważył żerdź opartą o ścianę. Zabrał więc ją do siebie”.

Chodziło tu o przedmiot tak małej wartości, że nikt nigdy nie upominał się o niego. Franciszek zeznał, że zabrał go, bo nie miał opału, a wiedział, że biorąc go, nie wyrządza nikomu krzywdy. Lecz prawo jest prawem: przywłaszczenie zostało stwierdzone; ocena czynu należy do sądu. Na oczach płaczącej matki i dzieci zabierają żandarmi Franciszka Soubirous. Staje kolejno przed komisarzem policji Jacometem i sędzią śledczym Rivesem. Wieczorem zamknięto go w więzieniu na ulicy Baous.

Dowód winy złożono tymczasowo na podwórzu magistrackim. Odnajdziemy tę żerdź w momencie niemal tragicznym tej historii.

Franciszek Soubirous przebywa w areszcie 9 dni. Sprawa tego ka-

wałka drzewa, którego właściciela nie zdołano ustalić, poruszyła wszystkich prawników lurdzkich. Świadczą o tym podpisy złożone pod protokołami i aktami procedury. Oto po kolei podpisują się: Adolf d'Angla, wachmistrz żandarmerii konnej; Dominik Jacomet, komisarz policji; Rajmund Prat, sekretarz sądu; Klemens Rives, sędzia śledczy; Jakub Witalis Dutour, prokurator cesarski.

Również Bernadetta wkrótce pozna tych panów.

A biedny Franciszek rozpacza w celi więziennej, myśląc o rodzinie pozbawionej jego zarobku. W innym „więzieniu” żona i dzieci też myślą o nim, o jego niedoli i bezradności; myślą i łzy nie wysychają z ich oczu. Podczas gdy matka musi teraz więcej pracować niż przedtem, a Tosia jest w szkole, Bernadetka bierze Jasia i Justynka i idzie z nimi do kościoła, do którego mają niedaleko. Kościół ten jest trochę ciemny, lecz Bernadetta go kocha: w nim otrzymała chrzest, w nim tak łatwo się modlić. A jak piękny jest on dla tego czystego dziewczątka ze swymi złotymi odblaskami figur i ołtarzy! Klęka z Jankiem przed ołtarzem Pocieszycielki strapionych, Wspomożycielki wiernych i wzięwszy przed siebie Justynka, składa jego rączki w swoich dłoniach.

W końcu w sobotę, 4 kwietnia, sędzia śledczy na rozporządzenie prokuratora cesarskiego zdejmuje areszt z oskarżonego¹³ i Franciszek zostaje wypuszczony na wolność.

Ludwika, witając go, nie wypowiedziała ani słowa nagany: jak jego krewni i sąsiedzi, tak i ona była przekonana, że nie zasłużył na tę karę. Także z ust Franciszka nie wyszło ani słowo skargi na oskarżycieli i sędziów. Wyraził tylko radość z powrotu do rodziny. Tam, w ponurym więzieniu, bynajmniej nie stracił wiary swych przodków; przeciwnie, wzmocnił ją. Wieczorem wszyscy jak zwykle zebrali się przed kominem, nad którym wisiał krzyż i różaniec. Ojciec ukląkł na swym zwykłym miejscu za dziećmi do wieczornej modlitwy. Matka na zmianę z resztą rodziny odmawiała „Ojczy nasz”, „Zdrowaś”, „Wierzę w Boga”. Andrzej Sajous, który słyszał, jak wieczorem odmawiali modlitwy¹⁴ — lubo tak mało uczuciowy — nie ma słów na wyrażenie żarliwości, z jaką Bernadetta i cała rodzina prosili Ojca Niebieskiego o chleb powszedni.



Po tylu przejściach, po tylu doświadczeniach chrześcijańska ta rodzina nie przestaje żyć nauką Ewangelii: zdaje się na wolę Bożą, podtrzymuje tam pokój; miłość spaja serca. „Nie było — powiedział Andrzej Sajous — klótni między Franciszkiem a Ludwiką. Nigdy nie słyszałem, by jedno na drugie powiedziało złe słowo. Również dzieci szanowały rodziców. Rodzice karcili surowo dzieci — jak to zwykle bywa u ludu — ale się nie znęcali nad nimi”¹⁵.

Jakże więc ci praktykujący chrześcijanie mogli dopuścić, by ich star-

sza córka do ukończenia trzynastu lat nie przygotowała się do pierwszej Komunii świętej? Wprawdzie pozwalali jej pójść czasami z młodszą siostrą na katechizm, lecz biedna Bernadetta, „nie umiejac ani czytać, ani pisać, nie znając zupełnie języka francuskiego, nie mogła się nauczyć lekcji, uważała się więc za ostatnią z dzieci swego wieku¹⁶ i istotnie się dała za innymi. Na pytania, czy to w języku francuskim, czy w narzeczu miejscowym, nic nie odpowiadała. Zresztą z powodu małego wzrostu zaliczano ją do dziewczynek o dwa lub trzy lata młodszych. Bernadetta nie prostowała omyłki, a ksiądz katecheta, nie informując się dokładnie, mówił sobie, że jeszcze jest dosyć czasu na nauczenie tej małej analfabety.

W uroczystość Bożego Ciała, w niedzielę 14 czerwca, procesja dzieci do pierwszej Komunii świętej. Bernadetta patrzy na nie i łzy toczą się po jej policzkach... Już nie można dłużej zwlekać. Matka ją pociesza i przyrzeka jej, że i ją to szczęście niedługo spotka.

III

NA WZGÓRZACH W BARTRÈS

Ponieważ Lagüesowie mimo nędzy rodziny Soubirous w dalszym ciągu utrzymywali z nią przyjacielskie stosunki, Ludwice przyszło do głowy, że Bernadecie łatwiej by było w Bartrès chodzić do szkoły i na katechizm.

Mamka chętnie się zgodziła wziąć ją do siebie, tym razem w charakterze pomocnicy służącej, chociaż bez zapłaty — z przyjaźni. W godzinach wolnych od lekcji Bernadetta będzie czuwała nad pięciorgiem dzieci Lagüesów: 11-letnim Dionizym, 9-letnią Józefą, 7-letnim Janem, 4-letnią Justyną i 2-letnim Janem Marią¹.

Tak więc pod koniec czerwca 1857 roku przyszła po Bernadettę służąca Lagüesów, Joanna Maria Garros. „Nie miała dużego pakunku do zabrania — opowiada Joanna — a w Bartrès nieraz pożyczalam jej bieliznę, gdy prała swoją”².

Podążając falistą drogą, która to wznosi się, to opada w kierunku wiojski, Bernadetta myśli sobie, że teraz nie oddała się z Lourdes na krótkie wakacje, lecz do pracy. Idzie do „panów”, którzy będą mieli swoje wymagania i już nie będą jej traktować jako kogoś z rodziny. Jednakże nie

traci odwagi. Jej czysty wzrok nabiera blasku: oto zza wzgórza wychyla się masywna dzwonnica dominująca swą lekką wieżycą nad zielenią drzew. Być może, w tym to kościele już wkrótce?... Jonanna Garros, wzruszona, pochyła się, by lepiej usłyszeć słodkie zwierzenie.

Wypada teraz bliżej się zapoznać z tą rodziną Lagües-Aravant. Naszymi informatorami będą osoby, które ją dobrze znały, a szczególnie Jan Barbet, który był nauczycielem w Bartrès w czasie, kiedy Bernadetta tam przebywała.

„Maria Lagües była pobożna, lecz chłodna i nieco skąpa... Umiiała trochę czytać”. Portret bez szminki. Uzupełnia go ks. Zefiryn Vergez, administrator parafii, który jednak znał ją dopiero w ostatnich latach jej życia: „Była to święta niewiasta: często przystępowała do Komunii świętej, różaniec odmawiała nawet trzy razy dziennie. Należała do III zakonu św. Franciszka”³. „Jej mąż, Bazyl Lagües, który przybył z Pouey-ferré⁴ — mówi dalej Jan Barbet — był zacnym człowiekiem, lecz bez żadnego wykształcenia”. Młodszy brat Marii, Jan Ludwik Aravant, otrzymał w roku 1855 święcenia kapłańskie i był wikarym Marsas w okręgu Bagnères.

Dom Lagüesów, zwrócony szczytem do drogi, stał na skraju wsi w pobliżu strumienia. Były w nim dwa pokoje duże, rozdzielone korytarzem, i jeden małeńki, przeznaczony dla służącej. Jedna z dużych izb stanowiła sypialnię z trzema łózkami, w drugiej był wielki komin kuchenny i również dwa łóżka. W tych wielkich izbach widziało się paki nici, wełnianych i lnianych, zawieszane u belek; kilka figur świętych; krucyfiks nad kominkiem; nad łózkami kropielniczki z wodą święconą, okolone różańcem i gałazkami z Niedzieli Palmowej; nadto kilka obrazów i modlitewników oraz stare księgi, pozostałe po jakimś zmarłym księdzu, których zresztą nigdy nawet nie otwierano.

„Gospodarze ci nieli wiele owiec, piękne krowy i duże działki ziemi, nieco rozrzucone. Pracy było więc niemało. Zimą wieczorami mężczyźni łuskali kukurydzę, naprawiali narzędzia rolnicze; kobiety przędły, robiły na drutach, reperowały odzież. Po pracy wieczornej wszyscy wspólnie odmawiali w narzeczu miejscowym pacierz i udawali się na dobrze zaśluzony spoczynek”⁵.

Wpływ Opatrzności dostrzec można w tym, że Bernadetta przybyła na dłuższy pobyt do rodziny Lagüesów. Zajęcia, które jej zlecają, dadzą jej okazję do spędzania długich godzin w samotności — tam, gdzie Bóg „mówi do serca”⁶.

Maria Lagües nie zaniedbała zaprowadzić Bernadetty do ks. Adera (który pełnił funkcję proboszcza), by ją przyjął na lekcję katechizmu. Ks. Ader pochodził z Vic-en-Bigorre i był kapłanem „gorliwym, wykształconym i bardzo pobożnym”, lubił poważne studia i oddawał się długim rozmyślaniom: w kościele i na plebanii wiódł życie zakonnika. Z takim usposobieniem prawdopodobnie mało się nadawał do pracy wśród ludu

rolniczego. Zresztą jego serce było podzielone: poza widnokreśm swęj parafii, ponad listowiem innych drzew dostrzegał inną dzwonniceę, prostszą smuklejszą, ponad murami surowego klasztoru. Gdy Bernadetta latem 1857 roku przybyła do Bartrès, ks. Ader, który tu przybył zaledwie w roku 1855, czekał na pozwolenie ordynariusza na wstąpienie do zakonu.

Nauki katechizmu udzielał w niedzielę i dwa razy w dni powszednie. W kościele nad chłopcami nadzór miał nauczyciel, Jan Barbet, nad dziewczętami — nauczycielka. Chłopcy i dziewczęta nie tworzyli dużych grup, ponieważ parafia liczyła zaledwie 250 osób. Jan Barbet znał cały ten światek, rychło tedy zauważył dziewczynkę z Lourdes, która stawała za innymi. Stwierdził, że w pierwszych tygodniach regularnie przychodziła na katechizm „w towarzystwie dzieci miejscowych i dzieci z przysiółków Saux i Granges, należących do parafii”.

Pewnego dnia młody nauczyciel sam miał okazję poznać jej zdolności umysłowe. Ks. Ader, zmęczony, prosił nauczyciela, z którym się przyjaźnił, by go zastąpił w nauce. Barbet chętnie się zgodził i na podstawie podręcznika opowiedział dzieciom kilka pięknych zdarzeń, następnie zachęcił je, a m. in. i Bernadette, do wypowiedzenia się gwarą ludową na temat lekcji. Gdy potem rozmawiał o tym z księdzem Aderem, taką wydał opinię o małej Soubirous: „Bernadecie trudno jest zapamiętać dosłownie nauki katechizmu, ponieważ, nie umiając czytać, nie może go studiować. Za to usilnie się stara przyswoić sobie znaczenie wyjaśnień. Jest zresztą bardzo uważna a nade wszystko bardzo pobożna i bardzo skromna”.

W tej to — być może — rozmowie ks. Ader wyjąwił, jakie wrażenie wywarła na nim Bernadetta: „Zapewniam pana, że patrząc na nią, wielkroć myślałem o dzieciach z La Salette. Zaiste, skoro Najświętsza Panna ukazała się Maksyminowi i Melanii, to musieli oni być tak dobrzy, prości i pobożni jak ona”⁷. Ks. Ader, gorący czciciel Matki Bożej, żywo się interesował wydarzeniem w La Salette, które miało miejsce w roku 1846, i wyobrażał sobie idealnie Maksymina Girauda i Melanię Calvat, małych jasnowidzących z dalekiej góry. Chociaż porównanie jest bardzo trafne, nie należy upatrywać intuicji proroczej w wypowiedzi, do której podstawę dała tylko szczerza pobożność i niewinność Bernadetty.

Gdyby potrzeby gospodarcze nie skłoniły Lagüesów do zmiany postanowienia, Bernadetta mogłaby dobrze się nauczyć katechizmu w Bartrès.

W początkach sierpnia, gdy krowy i owce pasły się w górach, odłączono od matek — jak zwykle — jagnięta przeznaczone do rzeźni i przyjędzono je do zagrody. Lagües, jako człowiek praktyczny, widząc, że starsza służąca ma wiele pracy w domu, a młodsza zajmuje się tylko jego dwojgiem najmłodszych dzieci, Justynką i Jankiem, postanowił powierzyć Bernadecie pieczę nad jagniętami.

„A szkoła?... a katechizm?... odezwała się nieśmiało Bernadetta.

— Bądź spokojna. — Odpowiedział gospodarz. — Mamka to wszystko załatwi, gdy przyjdzie na to pora”.

I tak Bernadetta stała się pasterką.

Wstaje wcześniej rano, pomaga matce umyć i ubrać dzieci, oporządza gospodarstwo z Joanną, wreszcie bierze Pigusia, jednego z psów gospodarzy, i idzie do chlewa. Uchyła drzwi i woła: uradowane jagnięta otaczają ją dokoła. Prowadzi je po rosie na łąkę Puyono, gdzie na falistych wzgórzach rosną fiołki i dziki tymianek, a trawa jest najlepsza. W koszyczku, założonym na rękę, niesie robótkę na drutach, coś z odzieży do naprawy i żywność na cały dzień.

W pobliżu szalasu ze słomianą strzechą, gdzie w razie burzy chroni się z trzódką, Bernadetta spędza czas — nieco według własnego upodobania — na pracy, zabawie i odmawianiu różańca, różańca „za dwa grosze”, z czarnymi paciorkami nawleczonymi na sznurek. Otrzymała go od matki⁸.

Jej zabawy są tak piękne, jak jej niewinna dusza. Czyż podczas nauk katechizmowych i nabożeństw niedzielnych — sumy i niesporów — na których zawsze można było ją widzieć w ławce Lagüesów — nie wpatrywała się w pozłocaną figurę Madonny o profilu tak czystym⁹, stojącą w wielkim ołtarzu pod romańską kopułą kościoła? Otóż pod wiekowym dębem ustawia z górskich kamieni ołtarz, na którym kładzie obraz Najświętszej Panny... Klęka przed tym ołtarzem, odmawia dziesiątek różańca i wstaje.

Bieluteńkie jagniątko, może najmłodsze ze stadka, jest jej pieścioszkiem. „Dlaczego to bardziej lubisz niż inne? — pyta ją Julka Garros, przyjaciółka z Lourdes, która przybyła ją odwiedzić. — Bo on jest najmniejszy, a ja lubię wszystko, co małe”. Woła je: jagniątko przybiega, wyciąga szyję. Pastuszka daje mu garstkę wybornej trawy, chleba z solą, który mu bardzo smakuje, i wreszcie, pogłaskawszy je, odsyła do gromady. Lecz niesforne jagnię lubi skakać. Zniża łepkę, rzuca się na stos kamieni i wywraca ołtarzyk. Teraz znów od nowa robotą. Bernadetta zwierzyła się koleżance z Lourdes, że to jagnię o wyglądzie tak niewinnym płało jeszcze inne psoty. Gdy na przykład „zwoływała stadko, białe jagniątko wyprzedzało inne i uderzało ją tak mocno, że aż upadała na kolana. „Ono się tak po swojemu pieści z tobą — objaśniła Julka Garros. — Bez wątpienia — odpowiedziała Bernadetta. — A ja go nagradzam mimo wszystko”¹⁰.

Na zboczach tej doliny niemal codziennie panuje niezmacona cisza. Piguś rzadko kiedy szczeka; najczęściej śpi sobie. Słychać tylko szum wielkich drzew, brzęczenie szerszenia wśród kwiatów, ćwierkanie ptaka i drżące beczenie jagnięcia. Bernadetta przyzwyczaiła się do tych głosów i niekiedy zdaje się ich nie słyszeć. Czasem siedząc na trawie, opuszcza nagle ręce z robótką i myśli.

Wzrok jej wybiega daleko, daleko poza niewidoczne stąd Lourdes,

ku tym Pirenejom, których — gdy zejdzie na kraniec doliny — dostrze-
ga kilka śnieżnych szczytów. Wszystko to Pan Bóg uczynił — mówi sobie.
Dla niej Pan Bóg — to Stwórca, a także Ten, co jest ukryty w taberna-
kulum. Oczy jej się zamykają, serce drży z wielkiego pragnienia.

Bernadetta zupełnie nie wie, co to znaczy rozmyślać. Jednakże młoda
jej dusza, której nie pociągają rzeczy ziemskie, wzniosła się sama ku
Bogu, a Duch Boży, który „poucza pokornych o swoich drogach”¹¹, zstą-
pił na nią; przygotowuje tę krystaliczną duszę do niezrównanej misji.

Gdy odmawia różaniec, myśl jej ulatuje także do „więzienia” w Lour-
des. Oddycha wśród tamtych pięknych wzgórz; tam są ci, których ko-
cha, tłoczący się w tej ciemnej norze lub harujący u obcych... O, jakże
są dobrymi chrześcijanami! Jakże umieją cierpieć!...

Ojciec tęskni do córki. Jak niegdyś, gdy była w Bartrès tylko chwi-
lowo, odwiedza ją jak najczęściej. Ona go przyjmuje zwykle okrzykiem
radości. Jednakże razu pewnego zastał ją smutną.

„Dlaczegoś taka zmartwiona, moja córeczko? — pyta się, sam za-
smucony.

— O, niech tatuś popatrzy, moje jagnięta są na grzbietach zielone”.

Tyle prostoty!... Ojciec wie, co to znaczy, lecz powstrzymuje uśmiech.
Istotnie, niektóre jagnięta mają na kędzierzawej wełnie zieloną dużą pla-
mę. To sprawka kupca, który bez wiedzy Bernadetty wszedł do owczarni.
Jednakże Franciszek Soubirous wypowiada zupełnie poważnie:

— „Są zielone na grzbiecie, bo za dużo zjadły trawy.

— Czy mogą z tego umrzeć?

— A jakże!”

A Bernadetta w płacz. Prędko tedy ojciec ociera jej oczy: „No, nie
płacz. To kupiec je tak pomalował”.

Towarzyszka, której później opowiedziała to zdarzenie, nie mogła po-
wstrzymać uwagi: „Aleś ty musiała być bardzo naiwna, by wierzyć w
takie rzeczy”. Na to Bernadetta odparła ze wzruszającą szczerością: „Prze-
cież ja nigdy nie skłamałam. Nie mogłam przypuszczać, że to, co mi oj-
ciec powiedział, nie było prawdą”¹².

Gdy około połowy października nauczycielka wznawia lekcje, Berna-
detta, jak zwykle, udaje się na łąkę Puyono. Tym jednak razem oprócz
jagniąt prowadzi także stare owce, które z nadejściem pierwszych mro-
zów sprowadzono z wyższych stoków. Tego poranka dwaj starsi synowie
Lagüesów, Dionizy i Józef, przygotowują zeszyty i książki i wybierają
się na lekcje p. Barbeta.

Bernadetta — jak zaświadcza Lagües — „bardzo dobrze pasła owce”.
Z tego właśnie powodu nie mógł się zdobyć na posyłanie jej do szkoły.
Ks. Aravant, przybywszy do rodziny na kilka dni wypoczynku, zwrócił
uwagę szwagrowi, że nie traktuje Bernadetty jak własne dziecko. Wy-
mówki podziały, lecz wtedy nie było okazji do poprawy; potem zaś po-
szły w niepamięć. Po otwarciu szkół pośle ją na lekcje tylko wówczas,

gdy np. niepogoda nie pozwoli jej pójść z owcami. „Czy Siostra chodziła do szkoły w Bartrès? — zapyta Bernadetty, już pod koniec jej życia, kronikarz poszukujący dokumentów. Na to ona odpowie: „Prawie że nie chodziłam do nauczycielki i niczego się u niej nie nauczyłam”¹³.

Przyzna również, że wówczas bardzo rzadko bywała na naukach katechizmowych. Próżno ksiądz administrator zwracał uwagę na jej pobożność i cichość: prawdopodobnie wcale się tym nie przejmował, że w dni powszednie już tylko bardzo rzadko widywał ją na swych katechezach; że i w niedziele nie zawsze na nich bywała. Zresztą, cóż zrobić: ta mała często chodzi do Lourdes odwiedzić swoich rodziców. Nauczyciel mówi, że jeśli kiedy ks. Ader spotkał ją na ulicy, „nigdy się do niej nie odezwał”. Później Bernadetta — jeśli w ogóle go знаła — nie przypomni sobie nawet jego nazwiska. Czy spowiadała się u niego? Joanna Caudeban, jej przyjaciółka z Bartrès i prawie rówieśnica, powie: „Nie widziałam jej przy konfesjonale”. Gdy jej samej o to ktoś zapyta, odpowie: „Nie przypominam sobie”¹⁴. Zresztą ks. Ader opuścił parafię w pierwszych dniach listopada, a następca nie zaraz przybył¹⁵.

Przyznawszy bez ogródek, że w istocie „Bernadetta czasem poszła do szkoły i czasem także na katechizm”, pani Lagües dodała: „Mimo zmęczenia, na które ją narażał jej krótki i utrudniony oddech, była wesoła, uśmiechnięta; nie skarżyła się na nikogo i na nic; każdemu była posłuszna i odpowiadała grzecznie. Nigdy nie sprawiła nam przykrości: brała, co jej dawano, i zawsze okazywała zadowolenie. Dlatego kochaliśmy ją bardzo...¹⁶” Lecz mamka bynajmniej nie miała intuicji prawdziwej matki: nie wyczuwała wewnętrznego utrapienia tej młodej duszy. Nie przypuszczała nawet, z jak podziwu godnym uczuciem znosiło niebożę swój twardy los.

Pewnego razu przyszła ją odwiedzić kuzynka z Momères, Joanna Védère, i zastała ją przy pasieniu jagniąt. Bernadetta opowiedziała jej, że ks. Aravant strofował gospodarza, dlatego nie posyła jej na katechizm i do szkoły, lecz wynik był nieznaczny...

„Dlaczego nie powiedziałaś tego ojcu? — zapytała Joasia.

— O, nie! — odpowiedziała pastuszka. — Myślę, że Pan Bóg tak chce. Gdy się pomyśli: dobry Bóg to dopuszcza, nie utyskuje się”¹⁷.

Nadszedł okres długich wieczorów spędzanych w kuchni przy świetle lampy. Przygotowując kądziątkę dla gospodyni lub motając szpulkę, Bernadetta rzuca zazdrosne spojrzenia w stronę starszego synka Lagüesów, pochylonego nad lekcją katechizmu, którą ma jutro wyrecytować nauczycielowi. Matka, obserwując ich, odczuwa pewne wyrzuty. Bądź co bądź, nie mam prawa do tego stopnia zaniedbywać religijnego wykształcenia tego dziecka — myśli sobie.

Postanowienie dojrzało: Skoro już nie ma księdza, Maria Lagües będzie się starała go zastąpić. Przechodzi ze swoją katechumenką do dużej sypialni i, aczkolwiek cierpliwość prawdopodobnie nie była jej cnotą

główną, wymawia powoli każde słowo lekcji i każe Bernadecie je powtarzać. Lecz to biedactwo jest już tak zmęczone całodzienną pracą! Oczy jej się kleją. Nie dość że pamięć jej tępieje, lecz nadto nie rozumie tylu wyrażeń, zbyt abstrakcyjnych dla niej... Ks. Vergez, następca ks. Adera, zbierze później wspomnienia pani Lagües o tych lekcjach katechizmu. „Mamka Bernadetty nieraz mi mówiła, że podejmowała się nauczyć ją katechizmu, że w niektóre dni pracowała z nią od siódmej do dziewiątej wieczorem, lecz Bernadetta nie zdołała zapamiętać ani jednego słowa. Dziewczynka, zmartwiona tym, że tyle trudu zadawała gospodyni, płakała często...”¹⁸ „Trzeba jej było każde słowo powtarzać trzy, cztery razy, i to nie mogła go zapamiętać — dodaje Joanna Garros. Mamka tedy, zrozpaczona, rzucała katechizm i mówiła: Nigdy niczego się nie nauczysz”¹⁹. Na to Bernadetta ze łzami w oczach rzucała się jej na szyję i prosiła o przebaczenie.

Po takim zajściu sen nie przychodził rychło. Ciężki smutek trapi biedną pastuszkę. Nie, w nauce religii wieśniaczka nie może zastąpić kapłana! Niestety, kiedy był ksiądz w Bartrès, prawie że nie chodziła na jego katechezy. W Lourdes pójdzie lepiej... Tatuś, mamusia zechcą ją posyłać na katechizm, zgodzą się wreszcie na wszystko. Czas wreszcie, by ich Bernadetka przystąpiła do pierwszej Komunii świętej. Będą ją posyłać do księdza proboszcza lub wikarego przy każdej okazji egzaminowania przyszłych komunikujących. I zaprowadzą ją do drogich sióstr z przytułku, które na pewno zechcą się nią zająć i nauczą ją czytać...

Gorące swe pragnienia zwierza cioci Bernardzie, swej matce chrzestnej, która w grudniu przybyła ją odwiedzić. Lecz ciotka wie, że rodzice nie spieszą się z zabranieniem jej do „lochu więziennego”, gdzie by ją czekała tylko nędza. Nie może jednak jej przekonać, by zaczekała jeszcze.

Tuż przed Bożym Narodzeniem pewna kobieta z Lourdes przechodząc przez Bartrès, odwiedza Bernadettę, na łące z owcami. Pastuszka zwierza się jej: „Ja się tu nudzę. Proszę zawiadomić o tym rodziców i poprosić ich, by przyszli po mnie. Pragnę powrócić do Lourdes, by chodzić do szkoły i przygotować się do Komunii świętej”²⁰.

*

Czy zlecenie zostało wykonane? Bez wątpienia. W każdym razie rodzice się nie ruszyli. W drugiej połowie stycznia 1858 roku służąca Lagüesów powiadamia Bernadettę, że idzie do miasta. „O — zawołało dziecko — powiedz mamusi, by przyszła po mnie!” Gdy Ludwika Soubirous i na tę prośbę pozostała głucha, córka — jak opowiada Joanna Garros — poprosiła gospodarza, by jej pozwolił pójść do Lourdes. Była niedziela. Gospodarz zgodził się, lecz polecił powrócić nazajutrz. Bernadetta zjawiła się dopiero we środę. Zapytana o przyczynę tego spóźnienia, odpowiedziała: „Muszę powrócić do rodziny. Ksiądz proboszcz będzie przygo-

towywał dzieci do pierwszej Komunii świętej. Jeśli będę w Lourdes, i ja do niej przystąpię". Nazajutrz odeszła. Było to w styczniu 1858 roku, a prawdopodobnie dnia 28 w czwartek²¹.

Rok 1858 jest dla ludu chrześcijańskiego rokiem wyjątkowym, to rok jubileuszowy, rok święty.

W roku 1857 papież Pius IX „odbył pobożną pielgrzymkę i dał nowy dowód czułego nabożeństwa do Najświętszej Panny, nawiedzając święty Domek Loretański, a nadto poświęcił kilka miesięcy na wizytację głównych miast swego państwa". Otóż na podstawie tej wizytacji papież mógł z bólem stwierdzić, że „aczkolwiek świat dzisiejszy zawiera wiele dobrego, to jednak dużo jest także pierwiastków zła, które fermentują i burzą się ze wściekłością... Dlatego też Pasterz Najwyższy wzywa świat chrześcijański do publicznych i uroczystych modłów... aby we wszystkich miejscach ziemi dobro zatryumfowało nad złem”²².

Bernadetta odeszła z Bartrès, pozostawiając po sobie miłe wspomnienia u mieszkańców całej wioski: ona tak grzecznie pozdrowiała, okazywała się tak wdzięczna za najmniejsze względy, umiała tak pięknie mówić: dziękuję! Trudno było nie uśmiechnąć się do niej, gdy, sama uśmiechnięta, wiodła swą beczącą armię. Jutro dowiedzą się o tej pastuszcze rzeczy tak nadzwyczajnych. Niektórzy będą wówczas twierdzić, że wśród własnych wzgórz widzieli ich zapowiedź w cudach godnych nowej *Złotej Legendy*²³.

Powracając do Lourdes Bernadetka ma już ukończone czternaście lat. Wygląda jednak na „dziesięć lub jedenaście”, tak jest mała. Jej twarz o cerze matowej jest „świeża i okrągłutka”²⁴. Pasiasty fular okrywa szatynowe pukle jej delikatnych i pięknych włosów. A nadto oczy, ocienione długimi rzęsami „aksamitne oczy” — jak często o nich się pisze; „oczy bardzo słodkie, bardzo głębokie pod łukami rzęs — mówi jedna ze współczesnych. — Nie były zupełnie czarne, jak to się zwykle powtarza, lecz ciemnobrunatne, z lekkim odcieniem szaroniebieskim. Zresztą, nie umiałabym ich dokładnie określić”²⁵. Jej usta są nieco duże, głos silniejszy, niżby można było wnioskować z wątlej piersi. Zauważa się już jej staranie o czystość ubrania, które jest z materiału bardzo skromnego i miejscami cerowane.

Bernadetka, uściskawszy rodziców i rodzeństwo, rzekła z radością: „Nareszcie będę mogła chodzić do szkoły i na katechizm, gdyż w tym celu powróciłam!”

Nigdy może niedostatek w „lochu” nie był tak dotkliwy jak teraz. Jednakowoż rodzice przyrzekli. Powrót najstarszej córki powiększał ich nędzę, lecz odczuwali potrzebę naprawienia krzywdy wyrządzonej temu zbyt opuszczonemu dziecku.

Nazajutrz Bernadetta Soubirous stawiała się w szkole siostr z przytułku. Tym razem postanowienia były poważne. Znając wzruszający powód jej powrotu do szkoły, siostry skwapliwie ją zapisały na listę przy-

szłych komunikujących, które w samym przytulku uczył katechizmu ksiądz kapelan Bertrand Maria Pomian, pierwszy wikary parafii.

Teraz, swobodna wsi Bartrès, gdzie powietrze jest tak lekkie i czyste, gdzie słońce tak wesoło odświeśla zbocza wzgórz ubielone szronem lub pozłoczone wrzosem, żegnaj na zawsze! Bernadetta woli wąską uliczkę des Petits-Fossés i czarne belki „lochu”.

W tym murze cienia otworzy się portyk światła.

Dlaczego ta mała, w łonie tej niedoli i tego zapomnienia, a nie inna dziewczyna francuska — ponieważ właśnie na francuskiej ziemi miłosierdzie Nieba postanowiło jeszcze raz objawić się światu — otóż dlaczego nie inna dziewica, ze szlacheckiego rodu czy z ludu, bogata czy uboga? Były przecież znakomite, o wiele więcej wykształcone, delikatniej wychowane, prawdopodobnie nawet pobożniejsze... Wybór jednak padł na najprostszą, najniższą. „W piętnastym roku życia, nie umiejąca ani czytać, ani pisać, dla której język francuski był zupełnie obcy, katechizm nieznan — uważała się za ostatnią z rówieśniczek”²⁶.

O godzinie oznaczonej nieskończenie słodki głos potwierdza odwieczny wybór: Ta!



CZĘŚĆ DRUGA

OBJAWIENIA

NIEBO NAWIEDZIŁO ZIEMIĘ

PIERWSZE OBJAWIENIE — CZWARTEK 11 LUTEGO 1858

Dzień 11 lutego 1858 roku¹ w Lourdes niczym się nie różnił od innych dni zimowych. Radosne promienie zorzy nie zdobiły horyzontu. Zasłona mgły otuliła miasto i góry. Aczkolwiek potem nieco się rozjaśniło, ciche powietrze pozostało wilgotne i zimne.

Był to tłusty czwartek, dzień wolny od nauki. Dlatego — mimo że ojciec, niezdrów, pozostał tego ranka w łóżku — mali Soubirous, ledwie tylko w nędznym mieszkaniu nieco się rozjaśniło, poczęli swawolić.

Kilka minut przed jedenastą matka przygotowywała się do wyjścia. Wczoraj bowiem, gdy zauważyła, że już nie starczy opału na dzień następny, oświadczyła: „Jeśli jutro będzie pięknie, pójdę zbierać suchych gałązek”. I już kładzie rękę na kłamce, gdy wtem na przejściu, łączącym ulicę du Bourg z ulicą des Petits-Fossés, zjawia się Joanna Abadie. Joasia, kształcząca się u sióstr w tej samej klasie, co Tosia, była silna i rozgarnięta na swoje 12 lat: rzutka, nieco mściwa, pierwsza do zabaw, odziedziczyła po swoich rodzicach przywisko Baloum, które nie ma określonego znaczenia w narzeczu. Prowadziła z sobą młodszego brata.

„Gdzie idziecie, Ludwiko? — zapytała poufale.

— Po drzewo.

— My pójdziemy!” — zdecydowała Joasia Baloum, wskazując równocześnie na Bernadetkę i Tosię. Dla tych dwu była to niespodziewana okazja wymknięcia się z tej ciemnej nory i swobodnego oddechu. Zawołały tedy z radością: „O tak, mamusiu, pójdziemy! Nieprawdaż?” A przewidująca Bernadetta dodaje: „Trzeba także wziąć koszyk, by zbierać kości, jeśli co znajdziemy”.

Miała lekki katar. Dlatego matka sprzeciwiła się, mówiąc: „Moja Bernadetko, wolałabym, żebyś w tak marny czas nie wychodziła.

— Ależ, mamusiu, w Bartrès w taki czas śmiało wychodziłam.

— Dobrze, niech będzie! Pójdiesz z Joasią i Tosią, lecz weź kapturek”.

Soubirous miały tylko jeden kapturek. „Nie był to nowy — oświadczyła Tosia — lecz stary biały kapturek, bardzo połatany, kupiony od sprzedawcy przed kościołem. Bernadetta kilka razy go prała. Nigdy nic nowego nie kupiliśmy. Chodziliśmy tylko w drewniakach”. Oczywiście, nakładano je na bosc nogi. Jednakże zimową porą ze względu na astmę matka kazała Bernadecie wkładać pończochy.

Dalszy ciąg opowiadania opiera się na relacjach i wspomnieniach Joasi, Tosi i samej Bernadetki, której pamięć tak wiernie zachowa nawet najdrobniejsze szczegóły tych niezapomnianych godzin.

Miały zamiar pójść tylko do lasu. Wybrały więc odpowiednią drogę. Szły wzdłuż cmentarza i kilku pól, a m. in. pola Mingelatte'ów, na które prawie przed trzema laty Bernadetka przyniosła Justynka do matki. Przeszły wąską dolinę, zwaną Doliną Rajską, i dotarły do Gave.

„Idąc — opowiada nam Tosia — zbierałyśmy drzewo i kości. Zanim przeszliśmy most, zauważyłyśmy pod nim pewną staruszkę, przezywaną Pigouno², która piorąc³, odezwała się do nas:

— A co wy tu robicie w taki ziąb?

— Zbieramy gałązki.

— Trzeba iść na łąkę pana de Laffitte'a; on ścinał drzewa, więc tam coś znajdziecie.

Bernadetta się sprzeciwiła z obawy, żeby nas nie wzięto za złodziejki”.

Jednakże na zapewnienie staruszki Pigouno, że po lewej stronie Gave można nazbierać kości i suchych gałęzi, Bernadetta, odpowiedzialna za trójkę, zgodziła się zejść z drogi wiodącej do lasu i pójść na łąkę.

Posiadłość Laffitte'a, do której był dostęp przez kładkę, tworzyła wyspę⁴ — trójkąt zieleni obsadzony topolami i bukami. Dwa jego boki stanowił zakręt Gave, a przeciwprostokątna — kanał Savy, którego prąd dostarczał siły napędowej tartakowi i młynowi, nazywanym również Savy. Nieco poniżej młyną wpadał do kanału strumyk Merlasse. Jeszcze trochę dalej, u podstawy skalnego przylądka Massabielle, stanowiącego przedłużenie masywu Béout i Espélugues, kanał Savy zwracał Gave jej wody.

Bernadetta pierwszy raz znalazła się w tej okolicy⁵.

Tego dnia tartak i młyn na kanale Savy stały nieczynne. Młyn był w naprawie i śluza opuszczona, dlatego wody w kanale prawie nie było.

„Czyje to dzieci? — zapytał młynarz Nicolau, widząc Bernadettę zbliżającą się z towarzyszkami do mostku, przez który mają przejść na wyspę.

— To małe Soubirous z przyjaciółką. Idą zapewne uzbierać trochę drzewa — odpowiedziano mu.

— Niechże idą — rzecze wreszcie młynarz. — Zapewne nie zabiorą dużo; zawsze i nam coś zostanie”.

Istotnie, niemal wszędzie na wyspie leżały suche gałązki. Jednakże Bernadetta jakby pod wpływem pierwszego — nie uświadamianego sobie — wewnętrznego wezwania wskazuje na kanał w kierunku skały Massa-

bielle i pyta Tosi: „Może pójdziemy wzdłuż niego, by zobaczyć, dokąd płynie?” Tosia, która przecież uczy się geografii, ma już gotową odpowiedź: „A jeśli płynie aż do Bétharram, pójdiesz tam?” Trochę dalej wznoszą się wysokie topole, „cały las topól” — według słów Joasi Abadie. „Tam Tosia i ja nazbierałyśmy gałęzi. Ciągnęłyśmy swoje wiązki, trzymając jeden ich koniec pod pachą. Bernadetta niewiele uzbierała”⁶.

Tak więc troje naszych dziewcząt, idąc z biegiem kanału, zmierza ku skałom massabielskim. Normalnie, aby dotrzeć do ich podnóża, trzeba by było obejść ich szczyt przełęczą od strony masywu Espélugues i następnie zejść niebezpieczną ścieżką, a właściwie „bruzdą, którą woda wyryla”⁷ wśród skał i zarośli. Tym to stokiem schodzili do Gavy rybacy na połów pstrągów i gminny pastuch świń, Paweł Leyrisse, przezywany Samsonem, który od ubiegłego roku dość często tu przypędzał swoje stada na pastwisko.

Olbrzymia skała poorana jest licznymi szczelinami, w których rosną jeżyny, bluszcz, bukszpan. W trzonie tej skały jest wydrążenie szerokości około 12 m i głębokości 8 m. Od brzegu kanału do głębi grotty „teren — wyjaśnia jeden ze współczesnych — tworzył jakby odcinek amfiteatru, ponieważ różne poziomy wód Gave wyzłobiły tam szerokie i bardzo nachylone stopnie”⁸. Z tej „piaszczystej pochyłości, zasianej z rzadka kamyczkami”⁹, wynurzał się wielki kamień w kształcie stołu. „Sucha przestrzeń przed grotą — zaświadcza znany już nam młynarz Nicolau — w okresie najniższego stanu wody mogła wynosić 5 m”¹⁰. U wejścia do grotty leżały rozrzucone głazy.

Była to ustronń bezładna i dzika.

Na prawo od wielkiego wydrążenia, o jakieś 3 m nad wąskim pasem brzegu kanału, była owalna nisza¹¹. Z tej jamy „wysuwały się — mówi świniarek Samson — pędy kilku krzewów i duże gałązki dzikiej róży. Te gałązki i pędy spadały bardzo nisko wzdłuż skały”. Wiosną róża stroiła się w białe kwiecie¹².

U stóp skały massabielskiej nie było drzew. Tylko po drugiej stronie rzeki stały wysokie topole.

„Stanęłyśmy naprzeciw grotty — mówi dalej Joanna Abadie. — W kanale było wody do kolan”. (Nie jest to sprzeczne z tym, co powiedziano wyżej, że woda przez kanał ledwie się przesączała, gdyż za dołem młyna wpada do kanału Savy strumyk Merlasse.) „Po drugiej stronie kanału w załomie skalnym zobaczyłam kość... Były tam także gałązki, które przyniosła woda”.

By dojść do grotty, trzeba było przebrnąć kanał. Przeskoczyć go się nie da, gdyż jest za szeroki. Tosia i Janka przerzucają więc drewniaczki na drugi brzeg, biorą wiązki pod pachę i śmiało zanurzają nogi w lodowaty nurt. Bernadetta je obserwuje. Tosia podniosła spódniczkę do kolan. Chociaż prawdopodobnie żadne niedyskretne oko ich nie widzi, wstydliva Bernadetta woła do niej: „Opuść spódniczkę!”

Woda tak zimna, że Joasi i Tosi aż lzy napłynęły do oczu. Posłuszna poleceniom matki, Bernadetta nie śmie wejść w wodę. Musi jednak przejść do groty, gdyż nie chce, żeby Tosia oddaliła się sama z Joasią Baloum. Błaga więc Tosię: „Rzuć kilka dużych kamieni w wodę”. Daremna prośba. Tosia usiadła na kamieniu i owinęła nogi spódniczką, by je trochę rozgrzać. Baloum jest dość silna, by mnie mogła przenieść na plecach — myśli sobie Bernadetta. Prosi więc:

— „Joasiu, przenieś mnie przez kanał.

— Co do pioruna! Możesz i ty zrobić tak jak ja. A jeśli nie, to siedź, kiedy ci się podoba!”

Przekleństwo to, dosyć pospolite wśród pirenejskich kamieniarzy, jest raczej drobnostką w ustach dziecka. Jednakże Bernadettę razi: „Oh, Baloum, jeśli chcesz przeklinać, idź gdzie indziej!”

Tosia i Janka zabrały się już do zbierania kości i gałązek. Minęły grotę i oddalały się brzegiem Gave. I tak stracimy je z oczu niemal na kwadrans.

Bernadetta jest sama.

Tam, za starym zamkiem, w dzwonnicy kościelnej uderzono dwanaście razy w dzwon na południe. Następnie zadzwoniono na Anioł Pański: niebo i ziemia zjednoczyły się w modlitwie.

W tym dalekim ustroniu Bernadetta nie słyszy dzwonów. Siedzi oparta o skałę, nieco na prawo od wielkiego wydrążenia. W końcu postanowiła się rozzuć: trzeba dopędzić towarzyszki.

Oto teraz rozpoczyna się ta seria dziwów, dla których bezwiednie przysłała ta predestynowana dziewczynka w to, a nie inne miejsce; w miejsce, dokąd nie miała zamiaru przyjść, a gdzie była oczekiwana. Lecz co do tego posłuchajmy opowiadania z jej własnych ust, tych ust tak szczerych i nie umiejących kłamać:

„Ledwie zaczęłam zdejmować pończochę, gdy usłyszałam szum wiatru, taki jak podczas burzy¹³. Odwróciłam się w stronę łąki i stwierdziłam, że drzewa wcale się nie poruszały. Dostrzegłam poruszanie się gałązek i jeżyn u groty, lecz nie zatrzymywałam na tym wzroku.

Rozzułam się i wkładałam już stopę do wody, gdy znów usłyszałam przed sobą ten sam szum. Podniosłam oczy i ujrzałam, że skupisko gałęzi i jeżyn poniżej najwyższego otworu groty miotano się to w tę, to w tamtą stronę, podczas gdy wokół nic się nie poruszało.

Za tymi gałązkami natychmiast ujrzałam białą Dziewczynę, nie większą ode mnie¹⁴, która mnie pozdrowiła lekkim pochyleniem głowy; równocześnie oddaliła nieco od siebie wyciągnięte ramiona otwierając dłonie jak Najświętsze Panny. Z jej prawego ramienia zwisał różaniec.

Ogarnął mnie strach. Cofnęłam się. Chciałam zawołać dwie małe, lecz nie miałam na to odwagi. Przetarłam kilka razy oczy: sądziłam, że się mylę.

Podniosłszy oczy zobaczyłam, że Dziewczyna z wielkim wdziękiem

uśmiecha się do mnie i zdaje się mnie zachęcać, bym się do niej zbliżyła. Lecz jeszcze się bałam. Nie był to jednak lęk, jaki odczuwałam innymi razami, gdyż pozostałabym na zawsze, by na T o¹⁵ patrzeć, podczas gdy mając strach, prędko się ucieka.

Wtedy przyszło mi na myśl, by się modlić. Włożyłam rękę do kieszeni. Wzięłam różaniec, który noszę zazwyczaj przy sobie. Uklękłam i chciałam zrobić znak krzyża. Lecz nie mogłam podnieść ręki do czoła; opadła mi.

Dziewczyna tymczasem stanęła obok i zwróciła się do mnie. Teraz wielki różaniec trzymała w dłoni. Przeżegnała się jak do modlitwy. Ręka mi drżała. Spróbowałam ponownie zrobić znak krzyża i mogłam go zrobić. Odtąd już się nie bałam.

Odmawiałam różaniec. Dziewczyna przesuwiała paciorki swojej koronki, lecz nie poruszała ustami.

Odmawiając różaniec patrzałam, jak tylko mogłam.

To miało białą suknię, sięgającą aż do stóp, których tylko końce było widać. Wokół szyi, bardzo wysoko, suknia była ściągnięta sznureczkiem, którego biały koniec zwisał z listewki. Biały welon okrywający głowę spływał po plecach i ramionach prawie aż do dołu sukni. Na każdej stopie widziałam żółtą różę. Pas sukni był niebieski i zwisał poza kolana. Łańcuszek koronki był żółty, paciorki białe, wielkie i daleko jeden od drugiego.

Dziewczyna była żyjąca, bardzo młoda i otoczona światłem.

Gdy skończyłam różaniec, pozdrowiła mnie uśmiechając się. Cofnęła się do niszy i nagle znikła¹⁶.

Zapytywana potem, Bernadetka opowiadała dalsze szczegóły o „Dziewczynie”, która jej się objawiła:

„Złota chmura” Ją poprzedza, następnie otacza, a po Jej zniknięciu nieco pozostaje. Ona sama jest jakby przeniknięta „łagodnym światłem”, które nie razi i nie olśniewa wzroku.

Twarz Jej jest owalna i „niezrówanego wdzięku”¹⁷, oczy niebieskie¹⁸, głos „delikatny, delikatny”¹⁹. Jej włosy, które na czole ledwie przeświecają przez welon, tylko na skroniach są dobrze widoczne; Bernadetta, zatoniona w ekstazie, nigdy nie zwracała szczególnej uwagi na ich kolor²⁰.

Jej bose stopy spoczywają na skraju wydrążenia na dywanie z trawy i gałązek, które dziewczątka nazwie czasem mchem. Dłonie Jej, gdy je trzyma złożone, dokładnie przylegają do siebie na całej ich długości²¹. Jej koronka z białymi paciorkami rozmieszczonymi w dużej odległości jeden od drugiego nie jest właściwym „różańcem”: ma tylko pięć dziesiątek, jak koronka Bernadetty. Zjawa i jasnowidząca przesuwają w palcach paciorki równocześnie²². Iecz — jak Bernadetta przy okazji wyjaśni — „Dziewczyna” z grotty podczas „Zdrowaś” i „Ojczy nasz” tylko przysłuchiwała się modlitwie, uśmiechając się, natomiast na „Chwała Ojcu” pochylała się i z uszanowaniem wymawiała te słowa²³.

Ten ostatni szczegół, którego proste dziewczątka nie mogło zmyślić, ujawnia głęboką prawdę teologiczną: „Chwała Ojcu” — pochwała Przenajświętszej Trójcy, pieśń nieba — jest istotnie jedyną częścią różańca, której odmawianie przystoi tej, której Bernadetta jeszcze przez kilka tygodni nie będzie знаła imienia; „Ojczy nasz” — to modlitwa biednych śmiertelników, kuszonych i grzesznych, podążających do Ojczyzny; „Zdrowaś” — to pozdrowienia anioła, mogło być odmawiane tylko przez jasnowidzącą, gdyż Najświętsza Panna nie mogła pozdrawiać sama siebie.

Jakie były rysy twarzy tej tajemniczej dziewicy? Z jakiej tkaniny była jej suknia i pas?²⁴ Z jakiego pozaziemskiego metalu, z jakich alabastrów czy szlachetnych opalów wykonany był jej jedyny klejnot, ta koronka zawieszona na prawym przegubie?...²⁵ Dlaczego kusić się na wyrażenie tego, czego nie da się wyrazić? Trzeba się zadowolić najprostszyimi słowami najprawdopodobniejszej Bernadetty, by opisać ten niewysłowiony uśmiech, to promieniowanie młodości, światła i piękna.

„Nie mogę panu wyjaśnić tych rzeczy — odpowie ona wkrótce policjantowi spisującemu protokół. — Mogę tylko stwierdzić, że ona jest rzeczywista i żyjąca, że porusza się, uśmiecha i mówi jak my”²⁶. Ks. Janowi Bertrاندowi Pène’owi i jego siostrze, którzy ją zapytają: „Czy nie znasz jakiejś innej pani tak pięknej jak ta z groty?”, odpowie krótko: „Oh, nie! Nic tak pięknego nigdy nie widziałam”²⁷. Znacznie później, gdy będzie już oczekiwała śmierci w zakątku infirmerii siostr w Nevers, s. Eleonora Cassagnes przyprowadzi do niej 5-letnią krewną innej siostry, Magdalenę Darfeuille, która z przejściem zada jej w toku rozmowy pytanie naprawdę nie oczekiwanego od tak młodego dziecka: „Ona była piękna? — Oh, tak! — zawołała Bernadetta. — Tak piękna, że skoro raz się ją widziało, chciałoby się umrzeć, by ją ponownie zobaczyć!”²⁸

*

Wizja trwała tyle, ile czasu potrzeba na odmówienie różańca bez pośpiechu.

Gdy już skończyły zbieranie gałązek i kości, Tosia i Joasia zawróciły w stronę groty. Tosia opowiada, że idąc dojrzały poprzez ogolone krzaki Bernadettę „jeszcze klęczącą i patrzącą w stronę niszy”. Było to już pod koniec ekstazy.

„Zawołałam na nią po trzykroć: Bernadetto! Nie odezwała się ani nie odwróciła głowy.

Zbliżając się do groty, rzuciłam w nią dwa razy kamykiem. Jeden utrafił w jej ramię. Mimo to nie poruszyła się wcale. Była biała, jak marta. Złękłam się. Lecz Joasia powiedziała: «Gdyby była nieżywa, to by leżała.» Chciałam przejść przez kanał...

Nagle Bernadetta stała się taka jak przedtem i patrzyła na nas. Zapytałam jej:

— Co ty tam robisz?

— Nic.

— Jakaś ty głupia modlić się tutaj!

— Modlitwy są dobre wszędzie. Bernadetta przeszła skromnie przez kanał²⁹.

Bernadetta zwierzy się później swojej siostrzenicy, Joannie Védère: „Wchodząc do kanału zdziwiłam się, że woda była raczej ciepła niż zimna”³⁰.

Tosia opowiada dalej: „Bernadetta usiadła na kamieniu i włożyła pończochy. Nie wydawała się zziębnięta... Potem odezwała się do nas:

— Niceście nie widziały?

— Nic. A ty widziałaś co?

— A więc i ja nic”³¹.

Joannie Abadie pilno było wracać do domu. Wzięła tedy koszyk z kośćmi na rękę, wiązkę na głowę i wyprzedziła koleżanki. Siostry zaś podzieliły swoje drzewo na dwie wiązki. Nie poszły jednak przez łąkę jak Joanna, lecz wspinały się stromą ścieżką poprzez grzbiet Massabielle.

„Szłam za nią z wiązką na głowie — zaświadcza Tosia — lecz to wspinanie mnie męczyło: trzy razy rzuciłam wiązkę. Gdy Bernadetta wyniosła swoją wiązkę na drogę, przyszła po moją. Powiedziałam jej: Jestem silniejsza od ciebie, a nie mogę nieść swojej wiązki”.

Jeszcze nie dotarły do Starego Mostu, a już Bernadetta musiała ulać nadmiaru zdziwienia i radości. Zresztą Zjawa nie wymagała od niej zachowania tajemnicy. „Widziałam — szeptała — Panią ubraną w biel z niebieskim pasem i żółtą różą na obu stopach...” Naprzeciw młyna Savy usiadły obie na chwilę przy drodze. „Mój Boże — westchnęła Bernadetta — jakbym ja chciała powrócić na brzeg massabielski!”

Między Starym Mostem a ulicą des Petits-Fossés prawie że nic nie mówiła. Tosia zauważyła, „że miała twarz inną, poważniejszą; widać było, że myśli o czymś”.

Przybywszy do domu, złożyły wiązki na korytarzu przy drzwiach. Tam też pozostała Bernadetta, onieśmielona widocznie koniecznością wytłumaczenia się. Tosia weszła więc sama do izby. Ojciec jeszcze był w łóżku. Matka zapytała córeczkę, czy wszystko odbyło się w porządku, na co ona odpowiedziała, że zebrały sporo kości, że Joasia Baloum mówiła o ich sprzedaży i że, jeśli mama pozwoli, pójdą razem do Aleksyny Baron. Słyszając to, mateczka pospieszyła uczesać rozczochrane kędziory Tosi. Ta zaś czuła nieprzepartą chęć opowiedzenia o wydarzeniu z grotty, począła więc pokaszliwać, by zwrócić na siebie uwagę.

„Dlaczego to robisz, Tosiu? — zapytała mama. — Możeś chora?

— Nie... lecz... No, zaraz mamusi powtórzę coś, co mi mówiła Bernadetta”.

„Bernadetta była wówczas na korytarzu — ciągnie dalej Tosia — a ja przy oknie. Opowiedziałam wszystko cichutko matce. Gdy skończyłam,

matka zawołała: «Ach, ja nieszczęśliwa! Co ty mówisz?!» Przywołała Bernadettę i wypytywała ją ze złością”.

Bernadetta nie zaprzeczyła, że Tosia mówiła prawdę...

Lecz cóż to znaczą te dziecinne plotki? Matka chwyciła „pręt, którym rozkładała kołdry przy zaścielaniu łóżek”. Bernadetta i Tosia nie prze-
rażają się zbyt, gdyż są już do tego przyzwyczajone. Każda otrzymała swoją porcję i kwita. „Tyś winna, że mama mnie bije” skarżyła się Tosia na Bernadettę, która jednakże „nic nie mówiła”.

Wobec tego milczenia matka łagodnieje. „Przywidziało ci się coś w oczach. Zapewne widziałas jakiś biały kamień — próbuje wmówić w Bernadettę i sama nie zdaje sobie sprawy, że w tej chwili rozpoczyna długie, roztropne i drobiazgowo śledztwo. — Nie! — odpowiada Bernadetta. — Ona ma piękną postać”.

Skromna jasnowidząca nie wiedziała jeszcze, jakie dać imię nadzwyczajnemu gościowi.

„Trzeba się modlić — kończy matka. — To może być dusza któregoś z naszych krewnych pokutujących w czyśćcu”. Ojciec natomiast, bardziej realny, laje córkę: „Już to chcesz zacząć jakieś głupstwa!” Zdaniem Tosi „ojciec sądził, że to widzenie było czymś złym”.

W domu była już pewna ilość kości. Około pół do czwartej Joasia Baloum przyniosła te, które pochodziły z Massabielle. Zanim noc zapadła, wyszły wszystkie trzy sprzedać je sznaciarce. „Otrzymałyśmy 30 centymów, za co kupiłyśmy funt chleba i weszłyśmy do Soubirous, by go zjeść. Dopiero wtedy dowiedziałam się, co Bernadetta widziała w grocie”³².

Tak więc doznawszy w krótkiej ekstazie widzenia raj, małe biedactwo spadło na ziemię. W jej życiu pełnym niedostatku nic się nie zmieniło w sercu jednak zmieniło się wszystko.

W dziesięć dni później powie komisarzowi policji: „Tego samego wieczoru podczas wspólnej modlitwy płakałam”³³.

Po modlitwie Ludwika Soubirous zażądała od córki, by przyrzekła, że już nie pójdzie do tej groty, której wspomnienie wywierało na niej tak silne wrażenie. I tak już dosyć nędzy było w domu.

Bernadetta przyrzekła.

Z MASSABIELLE DO MŁYNA SAVY

DRUGIE OBJAWIENIE — NIEDZIELA 14 LUTEGO

Rankiem 12 lutego Bernadetta Soubirous przyszła — jak by nigdy nie — do szkoły sióstr.

Poprzedniego dnia wieczorem i tego ranka Joanna Abadie nie mogła utrzymać języka. Wiele koleżanek z ulicy du Bourg i des Petits-Fossés wiedziało już o tym nadzwyczajnym wydarzeniu. Kilka z nich radziło Bernadecie, by powiedziała o nim parę słów jednej z sióstr. Akurat w tej chwili była na dziedzińcu szkolnym s. Damiana. „Ale ja nie umiem po francusku — odrzekła Bernadetta. — Opowiedzcie wy o tym s. Damianie”. Wówczas, uzupełniając jedna drugą, poczęły opowiadać zakonnicy szczegóły, które były im znane. Lecz i jasnowidząca przyłączyła się zaraz do nich, przerywając im tu i ówdzie słowami: „Nie mówiłam tak, lecz tak...” Samorzutnie ujawniła się w niej troska o prawdę i dokładność.

Dziecko było najzupełniej szczerze. Siostra Damiana nie wątpiła o tym. Obawiając się jednak złudzeń, uznała za konieczne udzielić rady: „Moja Bernadetko, nie mów o tym; ludzie będą się z ciebie śmiali”¹. Siostra Damiana sądziła krótkowzrocznie, że ta opóźniona uczennica, która rozpoczęła naukę dopiero przed dwoma tygodniami, nie miała dosyć powagi, by młodsze jej koleżanki uwierzyły jej opowiadaniom o tak nadzwyczajnym wydarzeniu. Oto już teraz niektóre z nich traktowały ją jak kłamczynię. Córka aptekarza, 9-letnia Zofia Pailhasson, okazała się przeciwniczką najzaciętszą: na opowiadanie Bernadetty zareagowała wymierzeniem jej policzka². Oczywiście za ten nieopanowany odruch buntu będzie potem gorzko żałowała.

Tego samego piątkowego poranka posłyszeli o wydarzeniu Bracia Wychowania Chrześcijańskiego z Ploërmel, którzy prowadzą w Lourdes gminną szkołę dla chłopców. Wkrótce dowiedzą się o nim dokładniej.

„Miałem w swej klasie Jana Marię Soubirous³, brata Bernadetty — zaświadcza br. Leobard Bourneuf. — Pierwsze objawienie wydarzyło się w czwartek. Nazajutrz rano, gdy Janek przyszedł na lekcje, powiedziałem mu: «Powiedz siostrze, że rad bym ją widzieć.» Bernadetta przyszła tego popołudnia i opowiedziała mi, co się zdarzyło w grocie”⁴.

Trudno uwierzyć, żeby wieść o widzeniu już w piątek rano nie do-

tarła do miejscowych księży. Jakkolwiek by było, nazajutrz, mimo że u konfesjonału ks. Pomiana z powodu czterdziestogodzinnego nabożeństwa było dużo wiernych, zgłosiła się do niego i Bernadetta — widocznie za poradą matki lub zakonnic. Było to już pod wieczór. Opowiedziała księdzu, co się jej zdarzyło w Massabille⁹. Na jej słowa spowiednik nie zareagował ani jakąkolwiek uwagą, ani zarzutem. To małe biedactwo, które swoją gwarą powierzyło mu rzecz tak zdumiewającą, poprosił tylko o pozwolenie opowiedzenia o tym księdzu proboszczowi, na co chętnie się zgodziła. Była więc o tym mowa wieczorem na plebanii.

Ks. Pomian przedstawił fakt, nie wydając żadnej opinii. Ks. Peyramale, kapłan bardzo poważny, który sądził, i zresztą całkiem słusznie, że miał prawo wglądu w to wszystko, co dotyczyło religii w jego parafii, okazał zdziwienie, że ten pierwszy wikary, w którym widział „zapal i rozumienie dobra⁶, uwierzył podobnym dziecinadom. Drugi i trzeci wikary dowiedzieli się o tym w niedzielę rano. Starszy z nich, ks. Serres, mało skłonny do mistycyzmu, roześmiał się na to. Młodszy, ks. Pène, 25-letni kapłan, który niedawno przybył do parafii, nie śmiał wyrazić swego zdania; wołał milczeć.

Gdy zapytano ks. Pomiana, jak wyglądała ta dziewczynka, która mu oświadczyła, że nazywa się Bernadetta Soubirous, i która mieszka na tej nędznej ulicy des Petits-Fossés, musiał przyznać, że z konfesjonału widział tylko jej niewyraźną sylwetkę i że nie jest w stanie jej rozpoznać, nawet na lekcji katechizmu, gdyż dotychczas ani nie zapoznał się z nią, ani jej nie pytał⁷.

*

W niedzielę zapustną, którą dobrzy parafianie — a byli nimi także Soubirous — nazywali raczej niedzielą czterdziestogodzinnego nabożeństwa, po sumie, tuzin uczennic otoczył Bernadettę przed kościołem. One same będą potem składały zeznania, dlatego też znamy je z nazwiska: Tosia Soubirous, Joasia Abadie, Augustyna Sarrat, Katarzyna Mengot, Maria Hillot, Paulina Bourdeu, Justyna Soubies, Teresa Courreau, Aneta Courèges, Katarzyna Grammont, Antonina Cazalas.

Bernadetka dobrze wie, dlaczego wszystkie te młode przyjaciółki otoczyły ją dokoła. Oto wyraziła Tosi swe pragnienie pójścia w niedzielę do grotty, a Tosia to rozgłosiła. Tymczasem Bernadetka jest zakłopotana. „Chciałabym pójść — wyjaśnia koleżankom — lecz nie śmiem prosić mamy”.

Oto już cała ta paczka jest na korytarzu „więzienia”. „Matka nie chciała pozwolić — zeznaje Tosia. — Lecz w końcu rzekła: «Poproś ojca o pozwolenie.» Poszliśmy do Cazenave’a. Ojciec czyścił tam konie w stajni. Na prośbę Bernadetty stanowczo odmówił. «Pozwól małej — rzekł mu łagodnie Cazenave. — Jeśli to, co ona widzi, ma koronkę, nie może być czymś złym.» Ojciec machnął ręką, lecz nie powiedział, że pozwala”.

W mig biegnie młodzieńcza gromada powiedzieć z tryumfem matce, że wszelki zakaz pójścia do groty został zniesiony. Pani Hillot dodaje, że na ulicy des Petits-Fossés córce jej, Marii, przyszła myśl zabrania wody święconej. „Co zrobimy — rzekła Tosia — jeśli to coś złego?” Wzięły więc z „więzienia” buteleczkę, napełniły ją wodą z kropielnicy kościelnej i ulicą du Baous oraz drogą Leśną skierowały się ku Massabielle. W drodze inne uczennice, a między nimi Maria Labayle i Cypryna Gesta, przyłączyły się do Joasi Abadie, która pozostawała nieco w tyle. „Było nas dwadzieścia, wszystkie biedne — opowiada Tosia — i nieco większe ode mnie”. Szły więc dwiema grupami, nieco zaniepokojone tym, co dalej będzie, lecz nie mające odwagi przyznać się do tego, ciekawe tylko dowiedzieć się, czy Bernadetta mówiła prawdę.

Taki był początek pielgrzymek do Groty Massabielskiej.

Bernadetta prowadząc zbiegała nadzwyczaj szybko po krętej ścieżce stromego zbocza, natomiast jej towarzyszki schodziły powoli, chwytając się krzaków. „Gdyśmy zeszły na dół, do groty — mówi Tosia — ona już była na kolanach. Kazała nam uklęknąć i wyjąć różańce”⁸.

Znów miało nastąpić objawienie. Tego dnia zachwyty pastuszki będzie miał dwie fazy.

Pod koniec pierwszego dziesiątka wspólnego różańca Bernadetta woła: „Oto jasność!” Następnie po chwili milczenia mówi dalej głośno, wyobrażając sobie, że towarzyszki również mają szczęście oglądać Wizję: „Patrzcie... Ona ma koronkę zawieszoną na prawym ramieniu. Patrzy na nas”⁹. Dziewczeta pytają się wzajemnie. Żadna nic nie dostrzega.

Lecz Bernadetta wstaje z klęczek i, wyprostowując swoją małą postać, postępuje parę kroków ku tajemniczej Istocie; prawie że dotyka krzewu róży. „Jeśli przychodzisz od Boga, zostań” — napomina Zjawę i ręką kropi skałę wodą święconą.

Nie tylko T o nie odeszło, lecz potwierdziło uśmiechem, że „pochodzi od Boga”. Uspokojona Bernadetta odeszła i uklękła wśród towarzyszek.

Milcząca, nieruchoma, utkwiała wzrok w miejsce, gdzie zjawilo się T o. Marysia Hillot zaczęła odmawiać z koleżankami nowy dziesiątek, gdy nagle ze szczytu Massabielle spadł kamień: uderzył w głaz, o który opierała się Bernadetta, i odbiwszy się, wpadł do kanału. Jasnowidząca drgnęła; następnie jej ręce z różańcem złożyły się, biust pochylił się naprzód, twarz stała się zadziwiająco blada, lecz nie sina — i tak pozostawała z oczyma wpatrzonymi w niszę, powyżej krzaka dzikiej róży. „Ona umarła!” — zawołało kilkoro dziewcząt, niezdolnych rozpoznać w tym zawieszeniu zmysłów cudu ekstazy¹⁰.

W tej chwili nadeszła Joanna Abadie z drugą grupą dziewcząt. To ona — by okazać swoje niezadowolenie, że nie zaczekano na nią — rzuciła nierozważnie ten kamień, który przed chwilą nabawił niepokoju dziewczęta przed grota. „Oh, Joasiu, zabiłaś Bernadette!” — zawołały one. Lecz Joanna widzi, że Bernadetta, klęcząc tak, nie mogła być martwa. „Twarz

jej jaśniała — zezna potem ten trzpiot. — Wszystkie dziewczęta płakały. I ja również”¹¹.

Naradzają się, jak pomóc tej biednej Bernadecie. Wołają ją po imieniu, potrząsają nią. Bernadetta pozostaje jakby nieczuła i nie przestaje się uśmiechać. Postanawiają ją zabrać. „Nie udało się to nam — opowiada jeszcze Joanna Abadie — gdyż strome zbocze nastęrczało zbyt wiele trudności”. Jednakże innego przejścia nie było. Kanału, który teraz cały był zapelniony, nie dałoby się przebrnąć.

Lękając się, by ich przyjaciółka im nie umarła, kilka uczennic wdziera się na szczyt skały i następnie biegnie szalonym pędem do młyna Savy. Joasia zaś, zostawiając Tosię przy siostrze, pędzi aż do „lochu” zawiadomić rodziców.

Jest za kwadrans pierwsza. Koło młyna przechadza się pani Nicolau ze swą siostrą Anną Marią. Poszły do groty i próbowały zabrać Bernadettę. Daremny wysiłek. Młynarka myśli sobie, że jej syn, tęgi 28-letni mężczyzna¹², poradzi sobie. Powracają więc obie do młyna, gdzie Antoni Nicolau wybiera się właśnie do miasta na zabawę karnawałową.

Oto jego proste, lecz dramatyczne i wspaniałe świadectwo:

„Bernadetta Soubirous — mówi mi [matka i ciotka] — jest u groty [massabielskiej]. Nie wiemy, co ona widzi. Nie możemy jej stamtąd wyciągnąć. Chodź nam pomóc.»

Bez kapelusza i marynarki podążyłem natychmiast za matką i ciotką i tą niewygodną dróżką zeszedłem do groty. Przychodząc ujrzałem tam troje lub czworo biednych dziewcząt, Tosię Soubirous i Bernadettę.

Bernadetta, blada, klęczała. Z oczu, szeroko otwartych i wpatrzonych w niszę, płynęły łzy. Ręce miała złożone i różaniec między palcami. Uśmiechała się i twarz miała piękną, piękniejszą niż to wszystko, cokolwiek widziałem. Odczuwałem równocześnie przykrość i przyjemność i przez cały dzień — gdy tylko pomyślałem o tym — serce mi się wzruszało.

Pozostałem jakiś czas nieruchomy, patrząc na nią. Dziewczynki stały jak i ja; matka i ciotka były także zachwycone... Mimo że się uśmiechała, żal mi jej było, gdyż była tak blada. Zbliżyłem się wreszcie do niej, bo matka powiedziała mi: Weź ją; zabierzemy ją do siebie.

Ująłem ją za prawe ramię. Opierała się. Oczy jej w dalszym ciągu były wlepione w górę. Żadnego jęku. Lecz po tym oporze oddech był trochę przyspieszony. Podniosłem ją za jedno ramię, potem za drugie; mama wzięła jedno ramię. Podnosząc ją otarłem jej oczy i zasłoniłem je ręką, by nie widziała. Próbowałem także nachylić jej głowę, lecz podnosiła ją i otwierała oczy z uśmiechem...

Z wielką trudnością szliśmy ścieżką pod górę. Matka trzymała za jedną rękę, a ja za drugą, i ciągnęliśmy ją naprzód, a ciotka i dziewczyny szły za nami. [Bernadetta] starała się zawrócić, lecz nic nie mówiła. Trze-

ba było być silnym, by ją pociągnąć: sam, chociaż jestem bardzo mocny, tego bym się napracował.

Gdyśmy szli pod górę, twarz [Bernadetty] pozostawała blada, a oczy otwarte i utkiwone w górę.

Gdyśmy stanęli na płaskowzgórzu, byłem spocony.

Do młyna szliśmy leśną drogą, prowadząc dziecko jak od początku — mama i ja. Matka zadawała jej pytania, ja także; ona nic nie odpowiadała. Byłem smutny i przestraszony. Twarz i oczy były takie same jak u groty. Łzy płynęły bez ustanku. Kładłem jej [jeszcze] od czasu do czasu rękę przed oczami i ocierałem łzy. Uśmiechy nie ustawały aż do młyna.

Wchodząc na samym progu spuściła oczy i głowę i kolory powróciły na jej twarz. Zaprowadziliśmy ją do kuchni i kazaliśmy usiąść. Dziewczynki weszły z nami. Gdy usiadła, zapytałem ją: «Co ty widzisz tam w tej dziurze? Czy widzisz coś, co nie jest ładne?» Ona odpowiedziała: «O, nie! Widzę bardzo piękną Panią¹³. Ona trzyma na ręce różaniec i dłonie ma złożone.»

Mówiąc to, Bernadetta złożyła dłonie.

Poszedłem następnie do miasta i wszedłem do jej matki chrzestnej [ciotki Bernardy], która ma oberżę. Opowiedziałem jej rzecz, a ona powiedziała: «O mój Boże! Co ta mała sobie myśli, chodząc tam?»¹⁴

Od chwili, gdy popędliwa Joasia Abadie rzuciła kamień, aż do przybycia do młyna Savy, Bernadetta jest więc w zachwyceniu: nie jest zemdlna, bo uśmiecha się i równocześnie płacze; nie jest w stanie kataleptycznym, bo — zamiast być sztywną jak trup — idzie i stawia opór osobom, które ją odprowadzają od groty. Dla niej nie istnieje ni czas, ni przestrzeń: nie mogłaby powiedzieć, czy widzenie trwało godzinę czy minutę. Gdy powraca — spokojnie, bez wstrząsu — do stanu normalnego, dziwi się, że jest u młynarza Nicolau. Aż do tej chwili Zjawa ustawicznie stała przed jej oczyma. Czy to ekstaza trwała mimo oddalenia, czy też w rzeczywistości P a n i, przemieszczając się jednocześnie z Bernadettą, przeniosła się nad stromym zboczem, następnie nad płaskowzgórziem Massabielle, by zniknąć aż na progu młyna Savy?

Wtedy to dopiero Bernadetta powraca do rzeczywistości tego nędznego świata. Niestety, niemal natychmiast ją pozna.

Ot z laseczką w ręku nadchodzi — w towarzystwie sąsiadki, Cypryny Gesta, i Joanny Abadie — Ludwika Soubirous, która nie żartuje, gdy jej dzieci nie idą drogą prostą. Tłum ludzi, który zastaje, wytrąca ją do reszty z równowagi. „Był już pełen młyn ludu” — opowiada Cypryna Gesta. Byli to widocznie ciekawscy, którzy w drodze między Massabielle a młynem zetknęli się z jasnowidzącą i jej zapłakany orszakiem. „Zastaliśmy Bernadettę siedzącą nie opodal ognia — mówi dalej Cypryna. — Łzy płynęły z jej oczu”¹⁵.

Ludwika poczęła lając córkę tym narzeczem, którego różnych odcieni

znaczeniowych niesposób oddać innym językiem: „Jak śmiesz, ty mały gałganie, wodzić ludzi za sobą?!”

Joanna Abadie zauważyła, jaki spokój zachowała Bernadetta. „Ależ mamusiu — odparła głosem uległym — nikomu nie nakazuję, żeby siedł za mną”.

Matka podnosi rękę. „Ludwiko, co robicie? — perswaduje jej młynarka. — Po co bić? Wasza córka to anioł z nieba!”

Na te słowa matka upada na krzesło i płacze.

Wzięła wreszcie Bernadettę za rękę i obie powróciły do „więziennego lochu”.

Tymczasem wieść o nadzwyczajnych wydarzeniach w Massabielle rozchodzi się po Lourdes i okolicy. Sprzyja temu okoliczność, że dnia tego uciechy niedzieli zapustnej zwabiły do miasta dużo ludzi z okolicznych wsi i przysiółków. Już przed południem dosyć liczny orszak Bernadetty zwrócił uwagę osób, które widziały te dziewczęta biegające z ożywieniem po mieście¹⁶. A co dopiero wieczorem! Antoni Nicolau przy kieliszku opowiadał o wydarzeniu licznym gościom oberży; dziewczęta też zapewne nie odmieniły swej kobiecej natury po powrocie do domów. W rezultacie przed zapadnięciem nocy proboszcz w Ormex i jego gospodyni — w odległości sześciu kilometrów od Lourdes odbierają echo tych dziwnych wiadomości. Wszak jego parafianki, J. Poueymari i Antonina Primou, nie na próżno spotkały się z grupą rozczulonych ludzi eskortujących Bernadettę z Massabielle do młyna Savy¹⁷. Podobnie było w innych wioskach.

III

PRYZRZECZENIE SZCZĘŚCIA

TRZECIE OBJAWIENIE — CZWARTEK 18 LUTEGO

Rozczulenie Ludwika nie trwało długo. Przybyła ją odwiedzić jej siostra, Bazyla. W toku rozmowy wrażliwa kobieta zwraca się z błagalną prośbą do siostry: „Ludwiko, proszę cię, zatrzymaj córkę w domu”; następnie odzywa się do siostrzenicy: Bernadetto, „przykrość, jaką odczuwamy, słuchając, co ludzie o tobie mówią, nabawi nas wreszcie choroby”¹.

„Zapewniam cię, Bazylo — oświadcza ojciec — że nasza córka już nie pójdzie do Massabielle”.

A więc sprawa załatwiona — raz na zawsze!

Gdy Bernadetta przyszła do szkoły w poniedziałek rano, 15 lutego, siostra wychowawczyni zaprowadziła ją do przełożonej przytułku. Bernadetta, opowiedziawszy jej swoje wczorajsze widzenie, z bolesnym zdziwieniem ponownie stwierdza niedowierzanie u tych dobrych zakonnic, do których miała nieograniczone zaufanie: „Słuchaj, mała — mówi jej tonem politowania siostra przełożona — nie trzeba się tym zajmować; to złudzenie”². Mimo zawodu dziewczynka natychmiast poszła się bawić z koleżankami.

We wtorek, 16 lutego, koło południa, pani Millet, która także mieszka przy ulicy des Petits-Fossés i u której Ludwika Soubirous czasami pracowała, przysłała swoją służącą po Bernadettę. Jakże odmówić pani Millet?

„Pani Millet, dawniej służąca, dziś — dzięki małżeństwu ze swym ostatnim panem — w posiadaniu dosyć pięknego majątku”³, kobieta pobożna, lecz nieco przyziemna, podejrzliwa i chępliwa, na swój sposób wzruszyła się pogłoskami o wydarzeniach w Massabielle. — To małe biedactwo... o, zaiste!... I zapragnęła przekonać się o tym. Zwierza się więc Antoninie Peyret, córce komornika, która na cztery dni (od poniedziałku do czwartku) zgodziła się u niej szyć: „Poślę po Bernadettę i wypytam ją, by zobaczyć, czy nie kłamie”.

Bernadetta, idąc do szkoły, zaszła grzecznie do pani Millet. Po rozmowie zaraz odeszła. Panny Peyret jeszcze nie było. Gdy nadeszła, p. Millet powtórzyła, jak mogła, opowiadanie Bernadetty. Jednakże podejrzania trudno się wyzbyć. — Ta młoda Soubirous nie wygląda na kłamczynię — to prawda. Lecz dlaczegoż by na miejscu, w Massabielle, nie sprawdzić jej wiarogodności?... Wieczorem, gdy panna Peyret odeszła do rodziców, pani Millet w największej tajemnicy zbacza do „lochu”.

Bernadetta była w mieszkaniu. Rodzice informują panią Millet o swoim niezłomnym postanowieniu: nie, ich córka już nie pójdzie do tej groty! — Bez wątpienia, wyjaśnia gość, trzeba było być przezornym i nie pozwolić Bernadecie pójść do Massabielle w samo południe wśród grona hałaśliwych dziewcząt. Lecz cóż by w tym było złego, gdyby tam poszła o świcie, w towarzystwie osób statecznych, nie przymierzając — takiej pani Millet i panny Peyret?... Trudno było się sprzeciwiać ich życzeniom. Soubirous skłonili głowy.

W czwartek 18 lutego, nieco po piątej trzydzieści, obie panie zapukały do drzwi Soubirous. Matki już nie było, poszła pracować do Fanny Nicolau. Bernadetta odpowiedziała, że dopiero wstaje. Szybko jednak się ubrała i stanęła na progu. „Ujrzałam ją wtenczas po raz pierwszy” — zaświadcza Antonina Peyret.

Dzwoniono na pierwszą Mszę św. Weszły do kościoła, wysłuchały

Mszy św. i zaraz cichutko zniknęły we mgle. Pani Millet pod długą pelearną ukryła gromnicę; panna Peyret miała w kieszeni kartkę białego papieru, pióro i kałamarz, które zabrała z gabinetu swego ojca. — Przedmioty te wzięłam po to, objaśnia po drodze swojej towarzyszce, „aby Zjawna na prośbę Bernadetty pisemnie wyraziła swoje życzenia”.

„Sądziłam — oświadczy ona później — że skoro objawia się jakaś pani w białej sukni z niebieskim pasem i koronką, to jest to nasza prezka Dzieci Maryi, Eliza Latapie, która zmarła przed miesiącem, gdyż istotnie w dniu wpisania się do tego stowarzyszenia i w czasie pogrzebu nosimy medalik z niebieską wstążką i różaniec na przegubie. Myślałam tedy, że jeśli potrzebuje modlitw, to napisze swoją prośbę...” Później Julia Garros zapyta Bernadetty: „Czy szaty [Zjawy] były podobne do szat lurdzkich członkiń kongregacji”. Na co ona odpowie: „Ani suknia, ani pas, ani welon w niczym nie były podobne”⁴. Lecz Antonina Peyret знаła odzież Zjawy tylko z opowiadania pani Millet, która przecież mogła pomieszać wstążkę z pasem.

— Otóż, ciągnie dalej panna Peyret, „weszliśmy na drogę do Massabielle... Po dojściu do drogi wiodącej do grotty Bernadetta wysunęła się naprzód i, biegnąc po stoku, znikła jak błyskawica. My zaś musiałyśmy trochę przysiąść i wreszcie przybyłyśmy z wielkim trudem”.

Tego poranka jakaż cisza w tej dzikiej dolinie! Oto już wszystkie kłęczą: Bernadetta w środku, pani Millet po prawej, panna Peyret po lewej stronie. Krawczyni zapaliła świecę -- prawdopodobnie pierwszą świecę, która tu kiedykolwiek płonęła — i umieściła ją w zaciszu za skałą.

Wszystkie trzy wyjęły różańce. Bernadetta, zwróciwszy oczy na krzak róży, skupia się głęboko. Nagle woła: „Oto jest!”

„Cicho!” — ośmiela się rozkazać pani Millet, nie dowierzając jeszcze, a także zapewne urażona, że nic nie widzi. „Odmawiajmy różaniec” — radzi panna Peyret.

Bernadetta wyraża zgodę. Na zewnątrz nic się w niej nie zmieniło: wpatruje się w Zjawę, lecz tym razem jej duch nie opuszcza ziemi. W jej rysach, w jej oczach nic nie świadczy o ekstazie. Tego poranka jest łącznikiem między dwoma światami, porusza się więc swobodnie. Działa z zupełną swobodą i jasnością umysłu, całkiem inaczej niż osoby znajdujące się w stanie halucynacji, których oczy są nieruchome, a zachowanie się — jak automatu.

Ponieważ nasza trójka nie modli się wspólnie, Antonina Peyret, której usta są biegłejsze, skończywszy pierwszą pięć tajemnic różańca, zwraca się do dziecka, którego wzrok nie opuszcza niszy nad dziką różą, i mówi: „Idź zapytać P a n i, co ona chce”. Bernadetta, trzymając w ręku przybory pisarskie, które jej dała Antonina, wstaje, idzie naprzód, niemal ociera się o zwisające gałązki dzikiej róży. Lecz nagle zbacza i kieruje się ku grocie. Obie kobiety domyślają się, że chce położyć papier, kałamarz i piórona płaskim jak stół głazie, który jest niemal w środku grotty.

„Chciałyśmy pójść za nią — opowiada panna Peyret — i postąpiłyśmy już dwa czy trzy kroki, lecz ona, nie oglądając się, dała nam znak prawą ręką, byśmy się cofnęły. Odeszłyśmy tedy za załom skalny na końcu ścieżki i tam uklękłyśmy”. Poczynano już świtać. Z tego więc miejsca można było obserwować jasnowidzącą.

Oto obie kobiety widzą, jak Bernadetta wspina się na palcach i podaje papier i pióro. Teraz się okazuje, że P a n i po to weszła do grotty, by ułatwić swej pupilce dostęp do siebie⁵. „Bernadetta — stwierdza panna Antonina — oświadczyła później, że rozmawiała z P a n i ą, lecz myśmy nie słyszały jej głosu”.

Okazuje się, że w ekstazie — choćby niezupełnej, jak ta z 18 lutego — głos Bernadetty był niesłyszalny. Czasem tylko widać było, że wargi jej się poruszają. Ona jednak, „czując, że mówi”⁶, wyobrażała sobie, że osoby obecne ją słyszą. „Mówiłam bardzo głośno, tak jak teraz” — nieraz wyjaśniała tym, co ją wypytywali o jej rozmowy z massabielską P a n i ą⁷.

Co się w tym czasie działo? Posłuchajmy jasnowidzącej:

„Gdy się do Niej zbliżałam, P a n i się cofnęła, jakby chciała wejść do swoich pokoi, tak że kładąc przedmioty na głazie, ujrzałam ją przed sobą... Dała mi znak, żebym pozostała, a inne żeby się oddaliły. Wówczas rzekłam do Niej: «Czy P a n i nie byłaby tak dobra napisać swoje nazwisko?»

Pierwszy raz usłyszałam jej głos”⁸.

Ks. Pène, wikary lurdzki, który wkrótce potem zapytał ją, czy wyraźnie słyszała głos Zjawy, usłyszał od niej wzruszającą odpowiedź: „O tak, bardzo wyraźnie. Jednakże wydaje mi się, że dźwięk jej słów dochodzi tu”. Mówiąc to, położyła rękę na piersi⁹.

„Rozmowy Zjawy z Bernadettą były więc przede wszystkim rozmowami duszy, rozmowami serca, którym towarzyszyło powstające w wyobraźni wrażenie prawdziwego dźwięku, rzeczywistej barwy dwu głosów”¹⁰. Lecz słowami ludzkimi trudno wyjaśnić podobną tajemnicę.

Zjawa mówiła więc, mówiła narzeczem lurdzkim. Odpowiedź Jej była negatywna. Bernadetta natychmiast poszła zakomunikować ją dwom towarzyszkom: czyż te kobiety nie były żadne jej poznanie? Gdy się zbliżała, wstała.

„T o zaczęło się śmiać — wyjaśnia posłanniczka — i rzekło: »Tego, co mam powiedzieć, nie potrzeba pisać«”¹¹.

„Idź znów — prosi pani Millet — i zapytaj jej, czy możemy powrócić”. Czy wdowa Millet naraz przypomniała sobie, że kiedyś w jej dzielnicy krążyły nie bardzo pochlebne wieści o niej?¹² Możliwe. Wspomnienie to musiało ją zaniepokoić: a nuż Bernadetta istotnie widziała kogoś i słyszała rzeczy z tamtego świata!... Dlatego kamień spadł z jej sumienia, gdy dziecko przyniosło jej odpowiedź: „Możecie swobodnie przyjść”. Obie kobiety zbliżyły się, uklękły i znów odmawiały swoje zdrowaśki.

Stojąc przed blokiem skalnym, Bernadetta znowu słucha: po wtóre rozbrzmiewa „przesłodka głos”:

„Pragnę, żebyś tu przychodziła przez piętnaście dni. Czy zechcesz uczynić mi tę łaskę?”¹³.

„Po uzyskaniu pozwolenia rodziców będę przychodziła” — zgadza się Bernadetta.

Wtedy aby dać zrozumieć malemu biedactwu z „lochu więziennego”, że ma tu przybywać zupełnie bezinteresownie, nie spodziewając się żadnych względów ludzkich, żadnej radości ziemskiej, zwodniczej i ulotnej — w istocie, cóż to dla pobożnego dziecka znaczyło w porównaniu ze szczęściem bez miary i końca? — Zjawa dodała: „Obiecuję uczynić cię szczęśliwą nie na tym świecie, lecz na tamym”¹⁴.

„Gdy to powiedziała, uniosła się ku sklepieniu i znikła”¹⁵.

Bernadetta z jak najnaturalniejszym wyrazem twarzy odeszła i uklękła między towarzyszkami. Wszystkie trzy jeszcze modliły się kilka chwil. Przed powstaniem mała jasnovidząca pochyliła się do ucha panny Peyret i powiedziała jej: „T o, uśmiechając się, patrzyło na panią”. „Lecz — przyzna się potem roztropne dziecko Maryi — ja wtedy nie wierzyłam w prawdziwość tych objawień. Wracając do Lourdes — tak jak i w drodze do grotty — mówiłyśmy Bernadecie: «Strzeż się! Jeśli kłamiesz, Bóg cię skarże.»” Nie wiadomo, czy dziewczynka zapewniała o swej szczerości. Prawdopodobnie — cała przeniknięta jeszcze słowami Zjawy i swoim zobowiązaniem — milczała, ufając, że pewnego dnia prawda zatryumfuje.

Dlatego też spostrzegłszy na ulicy matkę, zmierzającą do niej, nie straciła spokoju, choć niespodziewane było to spotkanie.

Ludwika Soubirous piorąc opowiedziała pannie Nicolau, jak tego ranka Bernadetta miała znów się udać do Massabielle pod opieką osób bezwzględnie pewnych. „Co wy mówicie, Ludwiko? — zawołała nauczycielka. — Dlaczego pozwalacie tej małej tak chodzić do grotty? Możecie mieć nieprzyjemności z komisarzem”¹⁶.

Jakże to ona mądra, ta panna Nicolau!... Zresztą czyżby dlatego, że Bernadetta chodziła modlić się daleko od centrum Lourdes, przed ustronną grotą, czyżby dlatego komisarz policji, ten straszliwy Jacomet, który ubiegłego roku narobił ojcu tyle przykrości za drobnostkę, miał mu znowu sprawić jakąś przykrą niespodziankę? Ciekawe, co o tym myśli Franciszek Soubirous?... Postanowienie Ludwiki w mig zamienia się w czyn. Rzuca kijankę i biegnie do domu. Niestety, Bernadetty już nie było, i to od godzin. Matka pędzi ku Massabielle.

Pani Millet bez trudu ją uspokoiła: Co tu ma komisarz do roboty? Nikt się nie zajmował Bernadettą ani gdy szły tam, ani gdy wracały. Nie ma tu obawy jakiegokolwiek nieporządku, a więc i wtrącania się policji. Mała nic złego nie zrobiła, zobowiązując się chodzić do grotty...

„Jeszcze przez piętnaście dni — wyjaśnia Bernadetta — Mamusia

zgadza się na to, nieprawdaż?” Powtarza prośbę i przyrzeczenie Zjawy. Pani Millet nalega: „Ludwiko, pozwólcie małej chodzić. Pójdę z nią i wy także przyjdziecie. Nikt nas nie zauważy i na lekcje córka zdąży, gdyż i jutro wyjdziemy bardzo rano”. Ludwika Soubirous nie śmie powiedzieć: nie.

Pani Millet uradowana dodaje, że jeśli matka by zechciała powierzyć jej córkę na cały dzień, córka by odpoczęła u niej, z dala od hałaśliwych zabaw siostry i braciszków. Bernadetta brałaby posiłki u jej stołu z panną Peyret i spałaby w wygodnym łóżku... Ludwika, zmieniona, zgadza się na wszystko.

Otóż gdy nasze cztery znajome tak rozmawiały ze sobą, ludzie zewsząd ciągnęli na targ. Nieco później, gdy znów prała u Fanny Nicolau, Ludwika Soubirous nie widziała, jak grupki wieśniaków i mieszczan kierują się z placu Marcadał na drogę Leśną; w tym dniu wymiany towarów i myśli wiadomość stopniowo się rozchodzi. „Pogoda była wspaniała”¹⁷, gdyż słońce wcześniej rozproszyło mgłę. Wielu chciało zobaczyć nieznaną grootę, gdzie — jak mówiono — działy się tak dziwne rzeczy. Ktoś, co pochodził z nieba czy czyścica — tego dokładnie nie wiedziano — zjawił się tam.

Przed południem gruchnęła wieść, że objawienia będą się jeszcze ponawiały — począwszy od jutra — przez piętnaście dni. Ciekawość wskutek tego wzrosła niepomiernie.

Ożywienie rozmówców, niezwykły odływ ludzi w stronę Massabielle nie uszły czujnej uwagi żandarmów stojących na czatach — jak zwykle w targowe czwartki — na placu Marcadał lub sąsiednich ulicach. Pytają się — niechcący, przy okazji — kilku przechodniów o wyrazie twarzy zdradzającym skłonność do wynurzeń. Po powrocie do koszar zdają pierwszy raport. Wachmistrz d’Angla w oka mgnieniu uświadamia sobie powagę sytuacji. Nie zwlekając ni chwili zawiadamia porucznika Bourriotsa w Argelès. Porucznik natychmiast wysyła list do dowódcy szwadronu żandarmerii w Tarbes, Renaulta.

„PRZEZ PIĘTNAŚCIE DNI”

„UCIEKAJ”

OD CZWARTEGO DO SZOSTEGO OBJAWIENIA — PIĄTEK 19, SOBOTA 20,
NIEDZIELA 21 LUTEGO

Bernadetta, tak przekonana o rzeczywistości poprzednich wizji jak o własnym istnieniu, ani na chwilę nie wątpiła, że pierwsze z tych szczęśliwych piętnastu spotkań nastąpi zaraz na drugi dzień po trzecim objawieniu, czyli w piątek, 19 lutego.

Ta mała, czternastoletnia dziewczynka czuje się utwierdzona w swej pewności. Prózno siostry, z przytułka czy ze szkoły, początkowo niedowierzające, drwią z niej: „Poproś Pani, żeby ci pomogła nauczyć się katechizmu”. Wrodzony zdrowy rozsądek mówi jej, że jej nieuctwo a łaska Nieba to dwie rzeczy całkiem różne. Już teraz przyjmuje postawę, którą najczęściej zachowa wobec niezrozumienia, niepoważnych żartów, obelg, refleksji, które do niczego nie prowadzą: grzeczne milczenie, zaakcentowane czasem smętnym uśmiechem.

Komisja kościelna, której biskup Laurence powierzył wstępne zbadanie sprawy, pozostawi tylko aż nazbyt krótkie streszczenie wydarzeń tych piętnastu dni:

„Bernadetta jest wierna przyrzeczeniu: przychodzi do groty przez piętnaście dni. Otrzymuje tam te same łaski codziennie, prócz dwu dni, w których objawienia nie było.

Lecz odtąd towarzyszą jej coraz liczniejsze tłumy ludności.

Gdy ma szczęście widzieć Wizję, zapomina o wszystkim; nie ma świadomości tego, co się wokół niej dzieje; jest całkowicie zaabsorbowana.

Bernadetta widziała zazwyczaj Wizję w otworze wyżej wskazanym; czasami w innym załomie groty, bardziej wewnątrz. Wizja zawsze miała białe szaty, pas niebieski, twarz porywającej piękności”¹.

Na szczęście mamy o tych pamiętnych dwu tygodniach bardziej bezpośrednie i szczegółowe świadectwa.

W piątek rano, 19 lutego, Bernadetta z panią Millet, u której spędziła noc, wysłuchała pierwszej Mszy św. Jest bardzo zimno. Przypadkowa opiekunka włożyła na biały kapturek dziewczynki kapturek czarny². W „lochu więziennym” na powrót córki z kościoła czeka matka, gotowa jej odtąd towarzyszyć do groty, jeśli będzie potrzeba. Przed drzwiami

stoi kilka innych niewiast mających chęć pójść z nimi, a między nimi szewcowa Józefa Baringue z domu Ouros.

„O świtaniu”³ całe grono zapuszcza się w ulicę Leśną (du Baous, du Bois, dzisiaj de la Grotte). Umówione pukanie do okna ciotki Bernardy. Wychodzi ciotka, trzymając w ręku świecę. „Trzeba” bowiem „mieć tam coś poświęconego”. Świeca ta jest drogą pamiątką. Otrzymała ją ciotka Lucyla przy wpisie do stowarzyszenia Dzieci Maryi.

Ciotka Bernarda idzie tu pierwszy raz i jest zdumiona, widząc, że jej chrześniaczka, zwinna jak kozica, „ucieka ku rzece ścieżką wijącą się wśród zarośli”. Wreszcie nadchodzą stateczne matrony i znajdują Bernadettę „klęczącą na piaszczystym brzegu pochylonym ku kanałowi”. Zapalają świecę, którą dziewczeczka bierze w lewą rękę, gdyż w prawej ma koronkę.

Przy trzecim Zdrowaś wpada w zachwycenie.

„Skoro tylko Zjawa się ukazała — zeznała Józefa Baringue — uśmiech Bernadetty stał się śliczny, a wyraz twarzy się zmienił. Pozdrowiała ręką i głową, aż miło było patrzeć na nią. Miało się wrażenie, jakby przez całe życie nic nie robiła, tylko uczyła się kłaniać”⁴.

[Także ciotka Bernarda zauważyła u Bernadetty „uśmiechy i ukłony oraz od czasu do czasu lekki ruch warg... Płakać się chciało, gdy się patrzyło na jej twarz”.

Istotnie, w toku tego czwartego objawienia były chwile wzruszające. Wokół Bernadetty — która „nie zdawała się być z tego świata”⁵, a raczej która, biała jak jej świeca, zdawała się opuszczać ten świat — wszystkie kobiety powstały. „Jakże ona teraz piękna!” — wołała jedna. „Ona umarła” — szeptała inna. „Ach, moja mała!... Biada mi!” — szlochała ciotka Bernarda, Matka zaś zasyłała do Pana życia i śmierci błaganie: „Boże mój, zaklinam cię, nie zabieraj mi dziecka!”⁶

Po upływie mniej więcej pół godziny widzenie minęło. Bernadetta padła w ramiona matki. Uczyniła tak bynajmniej nie dlatego, jakoby tę 30 minut błogostanu ją wyczerpały, gdyż „nie odczuwała zmęczenia po objawieniach”, lecz dlatego, że „wrażenie jej oczu po ekstazie było wrażeniem, które się odczuwa, gdy z jasnego słońca wejdzie się do miejsca ciemnego”⁷. Łatwo więc można zrozumieć, że w sekundzie tego niesłychanego przejścia z jednego stanu w drugi, czując się oślepią, szukała kogoś, kto by ją podtrzymał.

Wracając do domu, Bernadetta opowiedziała, jak w pewnej chwili Zjawa okazała się inna niż zwykle. Nagle dzikie wrzaski wydobywające się z Gave zmałyły uroczystą ciszę Massabielle. Wrzaski te „nawolywały się, krzyżowały, zderzały jak krzyki kłóącego się tłumu”. Ponad tą wrzawą górowało wołanie bardziej wściekłe niż inne: „Uciekaj!... Uciekaj!...” Bernadetta dobrze czuła, że to nienawistne usiłowanie zastraszenia nie odnosiło się tylko do jej skromnej osoby, lecz także do świetlanej Wizji stojącej nad krzewem dzikiej róży.

Ta jednak tylko zwróciła oczy w stronę potoku. Ten wzrok jedyny, wzrok królewskiej powagi, zmusił do milczenia niewidzialną czeredę; wróg wszelkiego dobra nie wypędzi Jej z groty, gdzie udziela audiencji⁸.

„Wścieka się... Tym lepiej! — mawiał o szatanie święty proboszcz z Ars. — Sam mi zwiastuje przybycie wielkich grzeszników”⁹. Przyszłość pokaże, że w Massabielle zły duch tym napadem wściekłości przyznał się do klęski: nie przeszkodzi niezmiernemu promieniowaniu tego zakątka ciszy i pokoju, gdzie tyłu grzeszników porzuci występek.

Na ulicy du Baous Bernadetta wstąpiła pozdrowić ciocię Bazylę, która, zaciekawiona rozgwarem, otwierała właśnie okno. Matka zaś, spiesząc się do pracy, poszła dalej.

„Dziewczynka wracała w towarzystwie wielkiej liczby osób — opowiada ciotka. — Były tam kobiety z miasta i ze wsi. Każdy chciał ją widzieć i z nią pomówić... Bernadetta, zewsząd otoczona, zawołała do mnie: «Z Bogiem, ciociu!» Była rozradowana. Uwolniwszy się od kobiet, które jej towarzyszyły, weszła do mnie. Poczęłam na nią burczeć: «Dużo się mówi o tobie; opowiada się wiele rzeczy. Nie trzeba już tam chodzić!» A ona mi na to: «Ludzie mi nic nie robią. Niech mówią, to nic nie szkodzi... A gdybyś ty chciała jutro pójść ze mną?» Poczulałam dreszcz w sobie. «Chętnie pójdę — odpowiedziałam — lecz chciałabym, żeby tam nie było tyłu ludzi. Idźmy albo wcześniej, albo później.» Stańło na tym, że wyjdziemy o 6 rano”¹⁰.

W pół godzinki po tej krótkiej rozmowie uczennica, nie myśląc nawet o sławie rosnącej i pełnej niebezpieczeństw, podążyła do sióstr sylabizować w elementarzu, stawiać laseczki w zeszytcie, bawić się zapamiętane z dziewczętami z najniższej klasy.

*

Rozyna Cazenave, 34-letnia mieszkanka Lourdes, powracając w piątek ze Mszy św., „spotkała panią Millet z dziewczynką otuloną w czarny kapłurek”. „To — wyjaśniano jej — ta Bernadetta Soubirous. Idzie do groty modlić się. Jutro znów tam pójdzie”. Dogodna okazja dla panny Cazenave, która, nie dowierzając, sama chciałaby widzieć. „Poszłam — zeznaje ona — do jednej z naszych przyjaciółek, Germany Raval — która wtedy miała 20 lat, a dziś jest siostrą miłosierdzia — poprosić ją, by w sobotę rano towarzyszyła mi do Massabielle”¹¹.

Gdy Bazyla Casterot ze swą siostrzenicą, wyprzedzając o parę kroków Ludwikę Soubirous, stanęły przed grota, ciotka z zadowoleniem stwierdziła, że „było tam mało ludzi”¹² — zapewne z powodu nie ustającego dokuczliwego zimna oraz wczesnej pory, a także dlatego, że wiele pobożnych osób pragnących widzieć Bernadettę w ekstazie nie chciało opuścić codziennej Mszy św., podczas gdy Bernadetta, by nie sprzeciwić się woli ciotki, zrobiła ofiarę ze skłonności swego serca.

Bernadetta klęczy ze świecą w jednej ręce, a różańcem w drugiej. „Ja także trzymałam różaniec, lecz z powodu niej byłam roztargniona — przyznaje się zacna mieszcanka, Ludwika Lannes, z domu Baup, która tam przyszła ze swą służącą. Po chwili twarz jasnovidzącej stała się roześmiana. Wtedy kobiety, które tam były, poczęły mówić: «Teraz ona Ją widzi!» Patrzała w górę, uśmiechając się; potem stawała się zamyślona, a następnie zdawała się słuchać z wielką miłością i szacunkiem. Byłam blisko niej i kilka razy zauważyłam, jak z ust jej ulata długie, bardzo słabo wyczuwalne tchnienie, jak gdyby wymawiała: tak, bardzo ciche i bardzo długie”¹³.

„Jakkolwiek byłam bardzo uprzedzona do tych rzeczy — wyznaje Rozyna Cazenave — nie mogłam się oprzeć uczuciu podziwu na widok oblicza, uśmiechu i pięknych ukłonów Bernadetty...¹⁴” „Byłam naprzeciw niej w odległości jakichś dwu metrów — opowiada Romana Poueyto, z domu Mingelatte, której mąż miał wtedy gospodarstwo rolne pod górą Espélugues. Żeby tak ksiądz widział jej oczy!... Na kolana by się rzucił”¹⁵. „Nie poznaję swej córki!”¹⁶ — zawołała Ludwika Soubirous, rozczulona i oczarowana.

Zwolnionym krokiem wszyscy wracają do miasta. Dzisiaj bardziej niż wczoraj cudowną dziewczynkę zewsząd otacza ciekawość i sympatia. Idąc zwierzyła się najbliższym osobom, że Wizja, powtarzając cierpliwie słowo w słowo, nauczyła ją modlitwy, którą tylko ona ma co dzień odmawiać przez całe swoje życie¹⁷. Jakies dwadzieścia lat później oświadczy¹⁸: „Odmawiam ją codziennie. Nikt (oprócz mnie) jej nie zna”¹⁹.

Ponieważ ta modlitwa jest jej tajemnicą, łatwo się domysleć, jakich podstępów będą niektórzy używać, by wydrzeć tę tajemnicę. Nie zdradzi jej nikomu. Po cóż więc dociekać treści tego niebiańskiego dyktanda?

W Tarbes tego samego poranka szef szwadronu żandarmerii, Renault, zawiadamia swojego sekretarza, wachmistrza Bigué: „Nadzwyczajne rzeczy dzieją się w Lourdes: ludzie chodzą do jakiejś groty, by być obecnymi przy wizjach. Pojedziemy tam dziś po południu”.

„Jakoż około drugiej wyjechaliśmy konno — zaświadcza wachmistrz. — Przybyliśmy nocą, zostawiliśmy konie w żandarmerii i zjedliśmy obiad w hotelu.”²⁰

•

Upłynęło 10 dni od pierwszego objawienia. Jest 21 lutego, pierwsza niedziela wielkiego postu — uroczystość, w której Bernadetka dozna wielu niespodzianek.

Tego poranka, gdy przy świszczącym wietrze w towarzystwie matki i ciotki Bernardy przybywa do Espélugues, tłum zalega najbliższą okolicę. Jest tu wiele kobiet: gospodyń, pracownic rolnych; a także dużo męż-

czyn: sklepikarzy, rzemieślników, łupkarzy, kamieniarzy, rolników. Wszyscy ci dziś mogą swobodnie opuścić swoje miejsca pracy.

Na mocy jakiegóż to hasła zebrały się te pierwsze tłumy?

Każdy widzi, że duchowieństwo, które trzyma się na uboczu, nie ma żadnego wpływu na wydarzenia u groty; prasa również, jedyne bowiem pismo miejscowe, tygodnik *Lavedan*, nie pisało o nich ani słówkiem. Jedyne ludzie prości otwarcie je omawiają. Mieszczanie okazują więcej powściągliwości; i oni jednak mówią o wizjach.

Z tego powodu rozmowy w klubie Św. Jana nabierają nowegożywienia. Do klubu należą sami wybitni obywatele miasta: rentierzy, lekarze, adwokaci, urzędnicy sądowi, funkcjonariusze wszystkich stopni²¹. Posiedzenia ich odbywają się — jak przystoi na elitę lurdzką — w jednej z sal *Café Français*, w pobliżu kościoła.

Bywalcy klubu Św. Jana nie są antyklerykałami — już sam ich patronat przemawia na ich korzyść. Żaden z nich nie minąłby się z księdzem proboszczem, by go nie pozdrowić lub przy okazji nie zamienić uścisku dłoni. Do większości z nich można by nawet — bez obawy pomyłki — zastosować ocenę, którą wachmistrz żandarmerii lurdzkiej wydał w lutym 1858 roku palestrze i policji swego miasta:

„Wierni w wypełnianiu swych funkcji urzędowych, prywatnie dobrzy mieszczanie. Kto by mnie zapytał o ich postawę religijną, odpowiedziałbym, że w niedzielę widywało się ich na Mszy św. Nie do mnie należy dociekać, co ich tam sprowadzało: pobożność czy zwyczaj. Faktem jest, że przychodzili.”²²

Zresztą nikt z przełożonych nie mógłby im uczynić żadnej przykrości z powodu ich przekonań czy praktyk religijnych. W tym czasie rząd cesarski jest przychylny katolikom. Wtedy bowiem, nazajutrz po politycznym zamachu Orsiniego, który miał miejsce 14 stycznia tegoż — 1858 — roku, rewolucja nie zdążyła jeszcze „odzyskać Napoleona III”²³.

Jednakże w klubie Świętego Jana — mimo jego nazwy — wolterianizm miał pewne wpływy, aczkolwiek członkowie klubu może nie uświadamiali sobie tego w pełni. Na stołach *Café Français* leżały dwa dzienniki paryskie: *Presse* i *Siècle*, „które — jak powiedział Montalembert — same mają trzykroć więcej prenumeratorów niż wszystkie inne dzienniki razem i prawie codziennie atakują religię i duchowieństwo”²⁴. Jeden tylko klubowiec, aptekarz Pailhasson, prenumeruje wielkie katolickie pismo codzienne *Univers*²⁵. Inni sądzą bez wątpienia, że ten ultramontański dziennik zapalczywego Ludwika Veuillota za bardzo wysuwa papieża nad cesarza, woła więc *Siècle* i *Presse*. Otóż pisma te regularnie przypominają swoim czytelnikom, że dopuszczać możliwość objawień i cudów w epoce telegrafu i maszyny parowej — to naiwność, głupota i zaco-fanie.

Wczoraj wieczorem w klubie lurdzkim, między dwiema partiami brydża, najbardziej wyzwolona grupa przyjaciół nie nudziła się dzięki hi-

storii tej małej chorej na newrozę, która co ranka wpada w ekstazę u podnóża massabielskich skał. Lecz od dyskretnego śmiechu tych panów szyby *Café Français* nawet nie zabręczały.

Zapał tłumów tego niedzielnego ranka jest najzupełniej spontaniczny: nie było ani naganiaczy, ani prowodyrów. To, co je zgromadziło wokół Massabielle lub na łące po przeciwnej stronie Gave, to coś o wiele więcej niż ciekawość. „Wśród ludu wszyscy od pierwszej chwili byli przekonani o nadprzyrodzonym charakterze zjawisk u grotty” — napisał jeden z naczynych świadków²⁶. Ci poczciwi ludzie wiedzą, że mała Soubirous widzi kogoś, kogoś życzliwego, miłego, a ten ktoś... Pobożne usta już wymawiają imię szczególnie czcigodne. Bernadetta, co prawda, nie przestała dotychczas na każde pytanie odpowiadać, że Zjawa nie wymieniła jeszcze swego imienia. Mimo wszystko niejednemu wyrwa się serdeczne westchnienie: „Ach, gdybyż to była Ona!..”

Wśród oczekującego tłumu żadnej wrogiej postaci. Jednakże w porannej szarówce zarysowują się niepokojące sylwetki.

Zrazu trzech żandarmów. Kilka galonów lśni na mankietach najstarszego: to dowódca szwadronu Renault w otoczeniu wachmistrza Biguë z Tarbes i żandarma Malé z Lourdes. Są o „piętnaście kroków” od Bernadetty, którą dobrze widzą w migotliwym blasku świecy. Każdy się domyśla, że spełniają swój obowiązek. Nic agresywnego w ich postawie; stoją i obserwują. Zresztą czy zachodzi potrzeba ich interwencji? Żadnej sprzeczki, żadnego nieporządku, zajścia czy wypadku. Trzej żandarmi pozostaną tam około kwadransa. „Gdy dowódca szwadronu dosyć się natrzy, odejdzie.”²⁷

Jednakże bardziej jeszcze niż trzej żandarmi zwraca na siebie uwagę jakiś pan elegancko ubrany. Któż by się spodziewał znaleźć przed grotą dra Dozous’a? Słynie on ze swej nauki i dobroczynności, lecz jest to człowiek, który do kościoła przychodzi tylko na pogrzeby i na uroczystości oficjalne. Po co tu przyszedł? Dlaczego zajął miejsce tuż obok Bernadetty?

Nikt w otoczeniu Bernadetty nie może wiedzieć, że w klubie Świętego Jana doktor wyraził poważne przypuszczenie odkrycia w niej ciekawego przypadku choroby nerwowej. Oto zaskoczy młodą wizjonerkę w chwili kryzysu, u samej grotty. Przez proste zbadanie tętna wykryje w niej bezbłędnie i zaburzenia systemu czuciowego, i brak równowagi umysłu. Wtedy naiwni, którzy tłumnie przybywają do tego dzikiego zakątka, tak umiejętnie przemienionego przez zręcznego praktyka w gabinet lekarski, nie będą już mieli po co tu przychodzić.

Lecz najprostsza sprawa będzie posłuchać dra Dozous’a, który osobiście zdaje rzetelnie sprawę z doświadczenia:

„Skoro tylko Bernadetta przyszła przed grotę, uklękła, wyjęła z kieszeni różaniec i poczęła się modlić, przesuając jego paciorki.

Twarz jej uległa wkrótce przemianie, którą zauważyli wszyscy, co obok niej stali, i która wskazywała na jej obcowanie ze Zjawą.

Podczas gdy w prawej ręce przesuwała różaniec, w lewej trzymała płonąca świecę. Panujący tu nad Gave silny wiatr często ją gasił, lecz za każdym razem Bernadetta podawała ją najbliższej osobie, żeby ją natychmiast zapalono.

Ja, który z wielką uwagą śledziłem wszystkie ruchy Bernadetty, by ją dokładnie zbadać pod niejednym względem, chciałem się w tej chwili dowiedzieć, jaki mógł być stan krążenia jej krwi i jej oddechu. Wziąłem tedy jedno jej ramię i położyłem palce na arterii promieniowej. Tętno było spokojne, regularne, oddech łatwy: nic w dziewczynie nie wskazywało na to, żeby jakieś nerwowe podniecenie podziało w sposób szczególny na cały organizm.

Gdy wypuściłem jej rękę, posunęła się nieco w górę groty. Wkrótce jej twarz, która dotychczas miała wyraz najdoskonalszej błogości, zasmuciła się; dwie łzy wypłynęły z jej oczu i stoczyły się po policzkach."

Dr Dozous pisze dalej w swym raporcie, że skoro „tajemnicza istota zniknęła i Bernadetta skończyła modlitwy”, nie mógł się oprzeć chęci zapytania jej, dlaczego te łzy po tych uśmiechach odzwierciedlających szczęście. Na to dziewczynka odpowiedziała:

„P a n i na chwilę przestała patrzeć na mnie i skierowała swój wzrok daleko ponad moją głowę; następnie gdy zapytałam, co Ją zasmuca, znów zwróciła go na mnie i odrzekła: «Módl się za grzeszników...»²⁸ Wyraz dobroci i pogody, który zaraz ujrzałam na Jej obliczu, uspokoił mnie. [P a n i] natychmiast znikła.”²⁹ Przyjdzie czas, kiedy jasnowidząca z Massabielle będzie „nieustannie zajęta nawracaniem biednych grzeszników”.

„Bernadetta — pisze na końcu doktor — oddaliła się w postawie jak najprostszej, jak najskromniejszej, nie zwracając uwagi na publiczną owację, której stała się przedmiotem.”³⁰

„PRZEZ PIĘTNAŚCIE DNI”

AKCJA WŁADZ PAŃSTWOWYCH

NIEDZIELA 21 LUTEGO

Zimą niedzielne poranki w Lourdes były jak najspokojniejsze. Żadnej pracy. Na głos dzwonów wierni podążali do kościoła na jedną lub drugą Mszę św., podczas gdy obojętni wysypiali się, jeśli nie mieli chęci pójść do obozów. Po każdej Mszy św. żandarm pełniący służbę, grzeczny jak dobrze wychowane dziecko, przemierzał powolnym krokiem plac przed kościołem, zamieniając uściski dłoni i rozdając urzędowe listy.

Lecz tej niedzieli, 21 lutego, dzieje się coś niezwykłego. Ci rzemieślnicy, sklepikarze, kamieniarze, którzy przed świtem byli w Massabielle, zamiast się rozproszyć po krótkiej pogawędce, pozostają, gromadzą się. Wymieniają hałaśliwie swoje wrażenia, rzucają pytania kolegom tak lurdzkim, jak hiszpańskim. Hiszpanie — być może ze złości, że nie skorzystali z okazji bezpłatnego widowiska — krzyczą, że to farsa, kłamstwo. Ludzie dyskutują, zapalają się, potwierdzają i przeczą z uporem... Wprawdzie do rękoczynów jeszcze nie doszło, ale niewiele brakowało.

Nic przeto dziwnego, że około godziny 10 lurdzka żandarmeria konna¹ stoi niemal w komplecie w rogu placu przed kościołem. W dwurożnym kapeluszu, z szablą u boku, 42-letni wachmistrz d'Angla, pięknie się prezentujący w mundurze, rozmawia z podwładnymi. Niekiedy wszyscy żandarmii jednocześnie, jakby na komendę, zwracają głowy w stronę magistratu, który stoi w pobliżu kościoła.

Tam bowiem dla naradzenia się nad sytuacją zebrali się: burmistrz Lacadé, prokurator cesarski Dutour, dowódca szwadronu Renault, sędzia śledczy Rives, komisarz policji Jacomet. I powiedziec, że wszystkie te urzędowe osobistości zmuszone są przerwać niedzielny odpoczynek z powodu jakiejś nieletniej Soubirous, jakiegoś ubogiego dziecka, które mieszka na des Petits-Fossés!

Chcąc sobie wyrobić sąd o tych ludziach z roku 1858, nie należy rozpatrywać ich czynów na tle wydarzeń już wyświetlonych przez historię, lecz trzeba je umieścić we właściwym czasie, na początku wypadków, w godzinie pomyłek, szukania po omacku i nieuniknionej nerwowości. Trzeba się także wczuć w ich mentalność urzędników państwowych, ma-

jących obowiązek czuwania nad porządkiem publicznym. Oni nie są przygotowani do przeprowadzania śledztwa w sprawach nadprzyrodzonych. Ta młoda Soubirous opowiada rzeczy, które, zbyt daleko wykraczając poza ich zwyczajny zakres działania, wydają się im oparte na złudzeniu, jeśli nie na oszustwie. A wkrótce będzie ich zdumiewać i drażnić „dziwny fakt tego przekonania, do którego tak wielu dochodzi, opierając się jedynie na słowach ubogiej i słabo rozwiniętej dziewczynki.”²

Ustawy miejskie, tak jak i prawa cesarskie, są formalne: wszelkie zbiegowiska, w których łatwo mogą powstać bójki, są niedozwolone. Zresztą notariusz Anzelm Lacadé z natury nie lubi „historyj”. Jest on, jak słusznie twierdzi jego współobywatel, „katolikiem praktykującym i całkowicie oddanym sprawie religijnej”, lecz nadto jest burmistrzem i zależy mu na zachowaniu odznak swej godności³. Z drugiej strony komisarz policji i żandarmi na to są, by zapobiegać wszelkiemu zamieszaniu, wszelkim możliwościom wypadków, a w ostateczności tłumić je. Otóż to wzburzenie uliczne... to utrudnienie dostępu do Massabielle... Czyż trzeba czekać, aż zwolennikom i przeciwnikom rzekomych objawień wyczerpią się zwyczajne argumenty? Aż wody potoku zaczną wyrzucać trupy na brzeg?

Środki działania? Nic prostszego: usunąć przyczynę, zabronić dziewczynce chodzić do Massabielle. Bez względu na to, czy udaje, czy popada w halucynacje, zmusi się ją do zaprzeczenia sobie samej. I to będzie koniec komedii.

„Podejmuję się tego” — oświadczył komisarz. — „Po mnie” — poprawił prokurator.

Na tym skończyło się posiedzenie. Odchodząc prokurator Dutour powiedział coś dozorca domu, następnie udał się prosto do sądu.⁴

*

Podczas gdy w magistracie naradzano się nad Bernadettą, ona, okryta zwykłą chustką fularową (jedyne białe kapturek nie przypadł dziś dla niej), klęcząc w ławkach przeznaczonych dla uczennic sióstr, bierze udział we Mszy św. Paciorki wielkiego różańca przesuwiają się z wolna w jej palcach. Tej niedzieli zakonnica opiekująca się dziewczętami spostrzeża, że Bernadetta nie wydaje się ta sama, co przed dwoma tygodniami: modli się z większą uwagą. „Módl się za grzeszników” — zaleciła jej ta Zjawa, w którą siostry z uporem nie chcą wierzyć.

Wczoraj wieczorem biedaczka po raz ostatni przyjęła posiłek u wdowy Millet. Rodzice byli wdzięczni tej pani za opiekę, lecz nie chcieli, by ich córka była dłużej ciężarem. Bernadetta powróciła więc — bez najmniejszego niezadowolenia — do swego zwyczajnego ubożego życia w „lochu więziennym.”

Gdy po sumie uczennice wychodziły z kościoła, woźny magistratu po-

lecił Bernadecie, by, wracając do domu, stawiała się w sądzie. Znała aż nazbyt dobrze ten gmach stojący na rogu ulic du Tribunal⁶ i des Petits-Fossés.

Tam czeka ją zaszczyt rozmowy z Dutourem, prokuratorem cesarskim.

Jakub Witalis Dutour, urzędnik pochodzący ze starego mieszczaństwa, jest jeszcze młody: ma 42 lata. Funkcje prokuratora cesarskiego pełni już od siedmiu lat. Jest szanowanym ojcem rodziny, dobrym chrześcijaninem i szczeni się, że dwie jego siostry wstąpiły do zgromadzenia Córki Miłości⁶. „Subtelnego umysłu i prawego serca — stwierdza Adolf d'Angla — każdy go szanuje i kocha.”⁷ Bywa w *Café Français*, lecz nie podziela sceptycyzmu niektórych członków klubu w sprawach wiary i możliwości cudów. Lecz tego poranka jest on tylko prokuratorem, zobowiązanym do ścigania wszelkich wykroczeń przeciw prawu przed trybunałem pierwszej instancji w Lourdes.

W surowej sali kancelarii zapelnionej rejestrami siedzi pan prokurator przy kominku, w którym właśnie zapalono. Myśli i trochę się denerwuje: ani on, ani jego pisarz nie mają zwyczaju bywać w tym miejscu w dni odpoczynku.

Ach tak, ta dziewczynka... Urzędnik rozpatruje się w sytuacji. Niedawno komisarz policji przypomniał mu, że ta mała „osobistość” jest córką jednego z oskarżonych w ubiegłym roku, mianowicie zrujnowanego młynarza, Franciszka Soubirous, którego załamana postawa i lży istotnie stają mu w tej chwili przed oczyma. Prokurator wyciąga plikę aktów... Kradzież z biedy: kawałek drewna, którego właściciela nie ustalono, wzięty spod ściany pewnej zimowej nocy... Sprawę złożono do akt, oskarżonego zwolniono bez procesu... To drobnostka w porównaniu z działalnością córki: być może, halucynacja; prawdopodobnie jednak udawanie... Następnie to zbiorowe bredzenie ludu, te zbiegowiska, które dopiero są w pierwszej fazie: tym Pirenejczykom w głowie płonie; do czego to wszystko może doprowadzić: awantury, bijatyki!... A czy wizjonerka nie ma współników? Rodzice muszą być wplątani w tę sprawę. Znana jest przebiegłość tych biedaków, którzy wyręczają się dziećmi w pracy. Wizje, objawienia — świetny pomysł, który zresztą już przyniósł pewną korzyść. Dzięki swemu wielkiemu przyjacielowi, wachmistrzowi d'Angli, ten przebiegły agent Jacomet wie wszystko: wdowa Millet, wiedzona próżnością, chcąc uchodzić za wspaniałomyślną i zaimponować światu, złapała się na haczyk. Oto młoda Soubirous — może już córka przybrana, dziedziczka — mieszka u niej... To także może być przestępstwem kwalifikowanym: wyzyskiwanie miłosierdzia, nadużycie zaufania...

Stukanie drewniaków na korytarzu wyrывa prokuratora z zamyślenia. To ta wezwana!

Wchodzi z kapturkiem czarnego płaszczyka odrzuconym na plecy. Prokurator nie wyobrażał sobie, że jest tak szczupła, tak pełna godności i — zaiste — tak sympatyczna. Być może staje mu w tej chwili przed oczyma

obraz Córki Miłosierdzia pochylonej nad dzieckiem tak biednym jak ona. Lecz opanował się: jego obowiązkiem jest dokonać przesłuchania i nic więcej. Będzie się trzymał z daleka, lecz jednocześnie jako światowiec będzie się zwracał przez wy do tej córki biedaków. Mógłby poprosić Bernadettę, by usiadła, lecz nie uczyni tego z obawy, by nie uwłaczać swej godności. Dziewczątka będzie mu „odpowiadała, stojąc oparte o jego biurko”.

Wieczorem tegoż 21 lutego p. Dutour naszkicował koncept urzędowego raportu przeznaczanego dla prokuratora generalnego w Pau. Nieco później — by odpowiedzieć na oszczerce insynuacje — napisze krótkie wspomnienie, w którym przedstawi swoją postawę podczas wydarzeń lurdzkich. Najpierw opisuje pojawienie się Bernadetty:

„Bernadetty nikt nie przyprowadzał do prokuratora cesarskiego: przyszła dobrowolnie na zwykłe ustne zaproszenie... Nikt jej nie towarzyszył.

Gdy się ukazała, nic w jej postawie nie wskazywało, żeby miała jakąś niechęć do przewyciężenia, lęk do opanowania. Jej wyraz twarzy był pogodny, ufny, bez bojaźliwości jak i zbytnej śmiałości. To, co usłyszała, nie zdawało się wywoływać u niej żadnego zamieszania. Wszystko mówiła — swoim narzeczem — z prostotą, bez zakłopotania i bez potrzeby ponagłania.”

A oto jej portret, pióra tego prawnika, przed którym stawało zwykle w tym miejscu co innego niż niewinność.

„U Bernadetty Soubirous wszystko było proste, nawet pospolite — na pierwsze wejście. Na jej spokojnej twarzy nic szczególnie godnego uwagi. Żadnej elegancji w jej odzieży; jedynie nienaganna czystość, oznaka szacunku dla samej siebie i godności w ubóstwie. Chustka (coś w rodzaju madrasu, którego deseń już się niemal zatarł od częstego prania) zakrywała do połowy jej czoło i ściśle obejmowała włosy. Szyja, ramiona, talia, opatulone w fałdy tkaniny podobnej do tej, z której była chustka, przypominały biusty ledwie naszkicowane dłutem rzeźbiarza. Dotknięte chorobą dróg oddechowych, biedne dziecko z trudem oddychało pod bezkształtnym i ciężkim pancerzem, który miał je chronić od zimna.

Prawdą jest, że gdy mówiła, jej naiwny język, jej akcent łagodny i pełen przekonania zjednywały zaufanie. Prawdą jest również, że gdy wyrażała uczucie szlachetne lub myśl mniej powszednią, w jej rysach uwypuklał się czar, który był tym więcej ujmujący, że odkrywało się w nim tylko objaw niewinnej duszy.”⁸

Nie ulega wątpliwości, że autor tych słów — ujawniających nie wygasłe, nawet po latach, szczerze współczucie dla dziecka — w chwili ich pisania był dotknięty w swej czułości mężczyzny i ojca. I tym jednak razem starał się z całym obiektywizmem przedstawić przebieg przesłuchiwania.

A więc wymieniła swe imię i nazwisko, oświadczyła, że ma trzynaście lub czternaście lat, że nie umie ni czytać, ni pisać, że jeszcze nie była

u pierwszej Komunii św. Następnie opowiedziała pierwsze objawienia. Podczas opowiadania prokurator, zadając jej od czasu do czasu podstępne pytania, robił pospieszne notatki. Gdy skończyła, uczył, że jego prawnicza surowość ugięła się: czyż naprawdę będzie miał odwagę robić przykrości temu dziecku? Jednakże urzędnik w nim dominuje; głos jego brzmi pewnie. Niektóre jego insynuacje są okrutne:

— „Czy pani ma zamiar tak co ranka chodzić do groty?

— Tak, proszę pana. Przyrzekłam chodzić tam piętnaście dni.

— Lecz przełożona przytułku i siostra wychowawczyni, które są kobietami bardzo pobożnymi, powiedziały pani, że nie trzeba się zajmować tymi rzeczami, że pani widzenie jest marzeniem, złudzeniem. Dlaczego nie pójść za ich radą? Nie zajmowano by się panią.

— Doznaję zbyt wiele radości, gdy chodzę do groty.

— Mogłaby pani powstrzymać się od niej... a zresztą można by pani przeszkodzić.

— Czuję, że pociąga mnie nieprzeparta siła.

— Proszę się strzec! Wielu przypuszcza, że pani i jej rodzice chcecie wyzyskać ludzką łatwowierność. Ja sam skłonny jestem w to wierzyć. Rodzina pani jest bardzo uboga. Od czasu nawiedzeń groty staje się pani przedmiotem względów, których dotąd nie знаła; a nadto spodziewa się większych. Jestem zmuszony oświadczyć pani, że jeśli by nie była szczerą w opowiadaniu o objawieniach albo jeśli by pani sama lub jej rodzice czerpali z nich jakieś zyski, narazi się pani na dochodzenia sądowe i surową karę.

— Nie spodziewam się żadnej korzyści w tym życiu.

— Pani tak mówi. Lecz czyż pani nie przyjęła gościnności pani Millet? Czy pani rodzice nie spodziewają się poprawić swojej pozycji, posługując się panią i jej wizjami, chociaż — być może — są one tylko marzeniami lub, co gorsza, kłamstwami?

— Pani Millet chciała mnie zabrać do siebie. Przyszła po mnie. Udałam się na jej prośby, by jej sprawić przyjemność. Nie myślałam o sobie. Nie okłamałam ani jej, ani nikogo innego.”⁹

Te ostatnie słowa wyszły z ust Bernadetty tak spontanicznie, a przy tym była ona tak spokojna, że prokurator już nie wątpił w jej szczerść. Ta dziewczynka nie usiłowała oszukiwać. Nie wyzyskiwała łatwowierności ludu. Nie znalazł więc w jej sprawie „materialnych elementów akcji przestępczej”.¹⁰ Żyd, muzułmanin może pojedynczo się modlić, gdzie mu się podoba, a dlaczegóż by dziecko katolickie nie mogło uklęknąć przed ustronną grotą? Fakt, że tego ranka udała się tam znaczna liczba ludzi, nie czyni tej groty miejscem kultu wymagającym legalizacji. Ostatecznie więc nie zachodziła potrzeba jakiegokolwiek represji.

Memorandum prokuratora dowodzi, że dręczące przesłuchanie dobrze się zakończyło:

„Jeśli — pisze o sobie Dutour — początkowo (nie bez poważnych po-

wodów) prokurator cesarski powziął pewne podejrzenia, to po widzeniu i słyszeniu Bernadetty w dniu 21 lutego zaczął podzielać opinię większości co do szczerości dziewczynki. Uznawszy ją tedy za szczerą, nie zakazywał jej chodzić do groty, nie ograniczał jej swobody. Lecz odrzucenie podejrzeń o oszustwo nie było równoznaczne z wypowiedzeniem ostatniego słowa przez prokuratora cesarskiego.”

W dalszym ciągu zobaczymy, że pozbywając się podejrzeń o nieszczerść Bernadetty, Dutour nie uwolni się tak rychło od podwójnego uprzedzenia: Ta dziewczyna po pierwsze jest szczerze przekonana, że widzi coś w Massabielle, w istocie zaś niczego nie widzi; a po drugie bez względu a to, co mówi, może być — sama o tym nie wiedząc — narzędziem w rękę kogoś innego. A zatem pozwolenie na swobodne chodzenie do groty uzależnia się od opinii władz miejskich.

W tym sensie prokurator przedstawił swoje konkluzje komisarzowi, który po śniadaniu przyszedł do niego po wiadomości. Wewnętrznie przekonany, że mu się lepiej powiedzie, komisarz policji obmyślał atak.

•

Nadeszła pora wyrażenia w toku tej historii wspaniałomyślnego podziękowania wszystkim urzędnikom i agentom policji. Należy się im wdzięczność za to, że mimo woli stali się nieocenionymi pomocnikami Opatrzności, dostarczając ludzkich dowodów jej cudownej interwencji. Ponieważ duchowieństwo zachowywało milczenie, ci funkcjonariusze świeccy sami się ustanowili pierwszorzędnymi historykami objawień.

Wywiadowcy surowi, niejednokrotnie twardzi i nie szczędzący upokorzeń, wyprzedzą szczęśliwie ordynariusza i księży parafialnych w koniecznej kontroli. Ich wielokrotne szturmowanie, sidła zastawiane na naiwną prostotę małej Soubirous dadzą temu dziecku okazję poparcia swych widzeń zwycięskimi dowodami.

Oto właśnie ich protokoły, noty, raporty etc. historyk wydarzeń ludzkich umieszcza na początku swej pracy, aby uniemożliwić wszelką poważną negację. aby położyć silny i niewzruszalny fundament, na którym się oprze wiara chrześcijan. Wywiadowcy wszelkiego pokroju w rezultacie wykazali — często wbrew własnym pragnieniom — że Bernadetta nie była ani symulantką, ani wyzyskiwaczką, ani histeryczką.

Już 15 czerwca tegoż 1858 roku pewien prawego serca uczony z Tuluzy, Vène, inspektor pirenejskich wód mineralnych, będzie miał jakby wyczucie tej nieoczekiwanej roli, jaka przypadła policjantom i sędziom. Oto w jego liście do dra Dozous czytamy:

„Ja — równie jak Pan — nie mogę zrozumieć, dlaczego władze usiłują przeszkadzać swobodnemu ujawnieniu się tego faktu. Być może, przeszkody są konieczne, aby to ujawnienie mogło nastąpić: Tak czy ina-

czej, możemy śmiało powiedzieć, że jeśli w tym jest palec Boży, wszystkie wysiłki ludzkie nic nie dokazaą.”

*

Wyszędłszy z sądu, Bernadetta udala się do rodziców. Skoro prokurator cesarski tolerował nawiedzenia groty, rodzice wcale się nie zaniepokoiili faktem jej przesłuchiwania przez tę wysoką osobistość. Wkrótce dziecko poszło na nieszpory.

Niedługo potem tą samą drogą szli dwaj mężczyźni. Stanęli nie opodal kościoła, na placu, którym będzie wracała Bernadetta. Nieliczni przechodnie poznali w nich komisarza Jacometa i strażnika polowego Piotra Calleta.

Nic by tu nie zastąpiło cennego świadectwa Calleta:

„Pan Jacomet mnie wezwał. Poszedłem do niego.

— Wydaje się — rzekł do mnie — że ta Bernadetta jest w kościele. Trzeba mi się z nią zapoznać. Niech pan idzie ze mną.

Stanęliśmy przed kościołem. Pan Jacomet nie był w uniformie komisarza, lecz po cywilnemu. Nawet czapki nie miał.

Gdy tłum odpłynął, zobaczyłem Bernadettę z jakimiś krewnymi i rzekłem do p. Jacometa:

— Oto ona.

— Która?

— Tamta.

Wtedy on dotknął ramienia Bernadetty i rzekł jej:

— Pójdiesz ze mną.

Bernadetta odpowiedziała:

— Dobrze, proszę pana, gdzie tylko pan zechce.

Znała p. Jacometa, jak wszyscy inni. Krewne nic nie mówiły.”

Te krewne to ciotka Bernarda i ciotka Lucyla, które przy wyjściu spotkały się z siostrzenicą. Lucyla Castérot zostawiła Bernardę, by powiadomić rodziców siostrzenicy. W tym czasie komisarz z Bernadettą i strażnikiem podążał do swego mieszkania.

„Wówczas jeszcze nie było posterunku policji — ciągnie dalej Piotr Callet — ...Jeszcześmy nie wyszli za magistrat, gdy dały się słyszeć głosy: «Biedna Bernadetto, zamkną cię w więzieniu!» Ona zaś, śmiejąc się, odpowiedziała: «Ja się nie boję: jeśli mnie zamkną, to i odemkną.» Tłum podążał [za nami].”

Komisarz, który miał wówczas 37 lat¹¹, zajmował jako lokator parter domu Cénac przy ul. Św. Piotra, którą przedłuża ulica Tarbes. Na pierwszym piętrze mieszkał Jan Estrade, 38-letni kawaler, z siostrą, młodszą o 3 lata; na drugim — jeden z wikarych, ks. Jan Bertrand Pène, również z siostrą.

Posłuchajmy dalej Calleta:

„Gdy stanął we drzwiach, p. Jacomet rzekł do małej:

«Chodź za mną», a do innych ludzi: «Nie macie tu nic do powiedzenia.» Miał on wielką powagę i niezmierną pewność siebie... Wszedłem z p. Jacometem i Bernadettą do pierwszej sali, gdzie było biuro. Pan Jacomet otworzył inny pokój, wychodzący na podwórze, i wszedł do niego z Bernadettą. Gdyśmy weszli, pani Jacomet była w pierwszym salonie. Pozostałem tam z nią. Podczas przesłuchiwania przyłożyła ucho do drzwi i śmiała się do mnie...”

Pani Jacomet, która bez wątpienia była kobietą dobrego serca, nie wydaje się tutaj zbyt delikatna. Natomiast o jej małżonku, który potem będzie tak poniewierany, ówczesny pisarz sądowy Rajmund Prat wyrazi się z najwyższym uznaniem: „P. Jacomet był człowiekiem nader inteligentnym i bardzo dobrze spełniał swe funkcje komisarza.”¹² Już samo to by wzbudziło podziw strażnika polowego dla jego szefa. Oto dalsze słowa Calleta:

„Nigdy nie mieliśmy podobnego komisarza w swoim mieście. Bano się go, a jednak nie był on tak zły, by z byle czego spisywać protokół i za byle co oddawać pod sąd... Był to ładny mężczyzna, bardzo ujmujący, wesoly. Twarz jego każdemu się podobała, zwłaszcza gdy był w mundurze i kapeluszu dwurożnym — rzekłbyś generał...”

Jeśli kiedy udawał się na wieś, pierwszą wizytę składał proboszczowi i zawsze księża mile go przyjmowali. Często mu towarzyszyłem w drodze. Nigdy wtedy nie słyszałem od niego ani słowa przeciw religii czy przeciw księżom; żadnego grubiaństwa, żadnego przekleństwa. Nigdy nie mówił o rzeczach nieprzyzwoitych.”¹³

Podobnie przedstawia swego współlokatora Jan Estrade:

„Urzędnik ten miał twarz szczerą, otwartą, zadowoloną, którą od razu zjednywał sobie ludzi. Nadto był inteligentny i wykształcony, co do jego zalet fizycznych dodawało pewnej dystynkcji. W Lourdes wielcy i mali zamieniali uścisk ręki z p. Jacometem, a jego niewdzięczny urząd w niczym nie umniejszał popularności jego osoby. Żaden komisarz nie umiał lepiej od niego wykryć przestępcy i skłonić go do przyznania się...”¹⁴

Psychika komisarza Jacometa uległa — całkiem naturalnie — zawodowej deformacji starego policjanta, którego badawczy wzrok częściej pada na łotrów niż ludzi uczciwych i który skłonny jest dopatrywać się oszustwa w każdym, ktokolwiek stawi się w jego biurze.

Tymczasem — zaświadcza żandarm Malé — „p. Jacomet, jako człowiek sprawiedliwy, ludzki, przed sprawą z grotą cieszył się sympatią nawet prostego ludu, gdyż był bardzo pobłażliwy”¹⁵ dla ubogich.

Jego nieszczęściem było, że został wmieszany w wydarzenia o światowym rozgłosie, których zrazu wcale nie rozumiał. Nie przeniknął tajemnicy i nie mógł przewidzieć przyszłości. Na opowiadania o widzeniach Bernadetty wzruszał ramionami. Lecz czyż nikt inny w jego najbliższym otoczeniu nie śmiał się z tego, co się działo w grocie? Przecież jego żona

w dość licznym towarzystwie żartowała z tej nieznannej Pani, która miała zaszczyt prosić... pannę Soubirous o składanie sobie wizyt.

Nie ulega wątpliwości, że komisarz policji byłby ostrożniejszy, gdyby miał przynajmniej cień przypuszczenia, że znajdzie się w sprzeczności z miejscowym duchowieństwem i palestrą. Lecz było wręcz przeciwnie: on tuszyl sobie, że prokurator cesarski przyjmie jego wnioski, i przypuszczał — wcale nie bezpodstawnie — że pogrzebanie tej sprawy widzeń nie wywoła niezadowolenia ks. dziekana Peyramale'a. Miesiące całe upłyną, a proboszcz lurdzki "zachowa — według własnego powiedzenia — jak największą ostrożność i bezwzględne milczenie: nie zna tej groty" i nie chce jej znać¹⁶.

"Dlaczego — zapytuje pisarz sądowy Prat — p. Jacomet wykazał tyle energii w tej sprawie? Sądzę, że działał w dobrej wierze. Wszak nigdy nie zauważyłem u niego czegoś, co mogłoby świadczyć o jego niereligijności, lub czegoś nagannego w jego moralnym prowadzeniu się. (Potem wierzący widzieli w nim swego nieprzyjaciela i łatwo by się znalazło dwieście kobiet, by go wrzucić do Gave."¹⁷

Dobrze! Jacomet, sądząc, że tylko spełnia swój obowiązek policjanta, stracił popularność. Lecz historia nie ma prawa niesprawiedliwie podzielać krótkotrwałych uraz. Otóż pierwszy kronikarz objawień pozwolił sobie nakreślić obraz-karykaturę komisarza lurdzkiego, w którym ten urzędnik nigdy nie mógł poznać swoich rysów. A nawet — jak mówią — surowa ocena jego postępowania, ogłoszona drukiem, skróciła dni jego życia:¹⁸ zmarł 5 sierpnia 1873 roku mając lat 52. Według Henryka Lasserre'a:

"Człowiek ten, bardzo swobodny wobec spraw brudnych i skomplikowanych, mieszał się w obliczu prostoty. Prawda zbijała go z tropu i wydawała mu się podejrzana; bezinteresowność wzbudzała jego nieufność; szczerłość torturowała jego umysł żądny odkrywania wszędzie dwulicowości i wykrętów. Z powodu tej monomanii świętość niewątpliwie wydawałaby się mu najpotworniejszym oszustwem... Był on jak te ptaki nocne, które widzą tylko w ciemności, lecz w jasny dzień uderzają się o ściany, o drzewa".

Zresztą ten sam autor pod adresem zarówno komisarza policji lurdzkiej, jak i prokuratora cesarskiego nie szczędzi ponurych wyzwisk: „Herod, Kajfasz, Pilat... otwarci wrogowie, tchórze, słabi, sceptycy..."¹⁹

Lecz zostawmy ten nieprzyjemny epizod.

Oto więc tego niedzielnego popołudnia Bernadetta znajduje się u komisarza policji. Każe jej usiąść przed biurkiem, bo rozmowa może być długa.

Patrzy jej w oczy. Odkrywa w nich tylko szczerłość. Być może sądził, że czyta w nich lęk. Lecz nie. „Już nie byłam sama, nie bałam się — zwierzy się później Bernadetta jednej z towarzyszek²⁰. Było we mnie coś, co mi umożliwiło przewyciężenie wszystkiego.²¹ Tym czymś, można

śmiało twierdzić, była siła z góry, łaska stanu świadków tego, co nadprzyrodzone.

Jan Estrade, mieszkający w tym samym domu i dobrze obeznany ze wszystkim, napisze, że początkowo „p. Jacomet, jako komisarz policji, w kształtującym się fakcie massabielskim widział tylko nadużycie dobrej wiary ludzi łatwowiernych i używał swej władzy jedynie po to, by zapobiec wypadkom, które by mogły zakłócić spokój publiczny”.²² Dlatego dzisiaj będzie wypytywał Bernadettę tylko o fakty zewnętrzne, wchodzące w zakres jego uprawnień. Nie uczyni wobec niej żadnej aluzji do nędzy jej rodziców ani też nie posądzi ich o niskie pobudki korzyści materialnej, które niedawno przypisywał im prokurator cesarski.

Ledwie Bernadetta usiadła, gdy otwierają się cichutko drzwi. To panna Estrade wchodzi. Pani Jacomet przyrzekła jej, że ją powiadomi o przybyciu Bernadetty na przesłuchanie.

„Zaledwie weszłam — pisze panna Estrade — gdy zrobiło mi się mocno przykro, że mój brat nie będzie słyszał Bernadetty. Wychodzę natychmiast i co tchu biegnę go zawołać. Pisał w tej chwili i uparcie nie chciał pójść. Wzięłam go za ramię, usunęłam krzesło i popchnęłam go ku drzwiom. Ustąpił wreszcie i weszliśmy do salonu.”

Podczas gdy jego siostra, siedząc w głębi pokoju, mogła widzieć Bernadettę tylko z tyłu lub z profilu, Jan Estrade, dając komisarzowi „znak wyjaśniający cel swojej wizyty”, usiadł na miejscu, z którego mógłby „dobrze postrzegać rysy i słowa młodej ekstatyczki”.

„Dziewczynka, która siedziała przede mną, a której nie znałem — napisał w swej nie wydanej historii — wyglądała na lat 12, lecz miała 14. Twarz jej była świeża, okrągłutka. Wzrok świadczył o wielkiej łagodności i wielkiej prostocie. Głos, chociaż nieco silny, miał przyjemną barwę. Siedząc swobodnie i bardzo naturalnie, trzymała ręce skrzyżowane na kolanach, a głowę miała lekko pochyloną. Odzienie jej było ubogie, lecz czyste.”

Gdy nadszedł Estrade z siostrą, komisarz wykladał na biurko arkusz białego papieru i ołówek.

Przyjął ton najbardziej ujmującej dobroduszości i odezwał się do dziecka: „Nie bój się. Mówiono mi o niezwykłej P a n i, która miała ci się objawić w grotach massabielskich. Jak wiesz, ludzie mówią o tym niedokładnie. Chciałbym sam się o wszystkim dowiedzieć.”

Aczkolwiek notatek komisarza nie odnaleziono²³, tekst wypytywania łatwo można odtworzyć dzięki dwom uzupełniającym się wspomnieniom Jana i Emanuela Estrade:

- „Jak się nazywasz?
- Bernadetta Soubirous.
- A jak nazywa się twój ojciec?
- Franciszek Soubirous.
- A matka?

- Ludwika... Ludwika z domu Castérot.
- Co robisz w domu?
- Chodzę do szkoły siostr, pomagam matce, opiekuję się małym braciszkiem.
- Opowiedz mi, coś widziała w Massabielle”.

Teraz Bernadetta posłusznie powtarza komisarzowi to opowiadanie, które niedawno słyszał prokurator.

Jednakże komisarz niby dla głębszego wtajemniczenia się przerywa jej od czasu do czasu:

- „Czy ta pani jest piękna?
- O tak, proszę pana, bardzo piękna!
- Czy tak piękna jak pani X, jak pani Z?
- Piękniejsza. Cóż one wobec niej znaczą²⁴!
- Czy jest młoda?
- Tak, bardzo młoda.
- Czy widać jej stopy?
- Niewiele: suknia i róże je zasłaniają z wyjątkiem palców.
- Czy widać jej włosy?
- Troszkę, spod welona.
- Mówisz, że to Najświętsza Panna ci się ukazuje?
- Nie wiem, czy to Ona: ona mi tego nie mówiła.
- Czy rozmawiałaś z rodzicami o tym, coś widziała w Massabielle?
- Tak, proszę pana.
- Co powiedzieli rodzice?
- Początkowo mówili, że się mylę i że nie trzeba chodzić do Massabielle.

— Tak, Bernadetko, nie trzeba tam chodzić. Wszyscy się z ciebie śmieją. Twoją wyobraźnia wprowadziła cię w błąd: ta Pani, którąś zdawała się widzieć, w rzeczywistości nie istnieje.

— Ależ, proszę pana, widziałam ją kilka razy. Nie mogę zawsze się mylić”.

Po każdej odpowiedzi Jacomet pisał.

— „Popatrz, ja zapisuję wszystko, co ty mówisz. Biada ci, jeśli kłamiesz!

— Ja pana nie okłamałam.”

Dotychczas komisarz policji nic nie wygrał z tą małą dziewczynką. Lecz czyż nie ma sposobu chwycić ją za słowo i skłonić do zaprzeczenia sobie samej? Skoro nie wpada w sidła, trzeba podnieść głos. Zresztą Jacomet denerwuje się: ci świadkowie sceny są mu trochę niewygodni; nie chce uchodzić za pokonanego, upokorzonego przez nieletnią córkę wyrobnika.

— „Nie ty nie mówisz prawdy — nalega komisarz. — Jeśli nie wydasz, kto cię namówił do opowiadania tej historii, staniesz przed sądem jako kłamczyni.

— Niech pan robi, jak się panu podoba.”

„Tym gorzej! — powiedział wtedy komisarz sam do siebie. — Skoro tego chce, będzie ukarana.” Następnie podniósł uroczyście papier na wysokość oczu, chcąc przez to pokazać, że to nie są żarty. Dalszą część sceny sama Bernadetta opisuje:

„Po zapisaniu kilku zdań podyktowanych przeze mnie, pisał coś innego, czego nie znalazłam. Następnie zapowiedział, że aby się przekonać, czy się nie pomylił, przeczyta mi, co napisał. Słuchałam pilnie. Ledwie przeczytał kilka wierszy, w których były błędy, zawołałam żywo: «Proszę pana, ja tego nie mówiłam!» Lecz on, rozgniewany, wmawiał we mnie, że tak; ja zaś powtarzałam, że nie. Sprzeczka ta trwała kilka minut. Widząc, że nie przestanę wytykać mu pomyłki, czytał dalej. Lecz znów zaczął swoje. I tak to trwało godzinę, półtorej”.²⁵

— „Mówiłaś mi początkowo — zaznacza z naciskiem komisarz — że jakaś kobieta tak piękna jak pani X...?”

— Ależ nie, proszę pana! Powiedziałam, że ona była piękniejsza od tych wszystkich pań.

— Niech będzie!... Że objawiła się w głębi groty?

— Ależ nie! Nad krzewem.

— Że Jej włosy opuszczały się z tyłu jak welon?

— Wcale nie. Mówiłam, że miała biały, bardzo długi welon... Włosy Jej ledwie było widać.

— Że miała żółtą różę u pasa?

— Nie, proszę pana. Pan mi wszystko pozmieniał. Ma niebieski pas, a różę u pasa nie ma; róże są na stopach: na każdej jedna.”

„Pan Jacomet — zaświadcza panna Estrade — obrobił opowiadanie Bernadetty na wszystkie strony. Groził jej wzrokiem a nawet ręką. Dziewczynka się nie zmieszała; jej opowiadanie było zawsze to samo. Nic mnie tak nie uderzyło, jak ta postawa Bernadetty wobec komisarza.”

— „Ta komedia musi się skończyć — rzekł wreszcie. — Czy chcesz przyrzec, że już nie pójdziesz do Massabielle?”

— Proszę pana, przyrzekłam chodzić tam piętnaście dni.”

Tą odpowiedzią komisarz czuł się szczególnie dotknięty, gdyż przekonał się, że uparta pastuszka będzie mu stawiać czoło aż do końca. Stracił zimną krew. „Chcesz jeszcze tam chodzić?! — wykrzyknął. — Więc idę po żandarmów. Przygotuj się pójść do więzienia!” I ręka jego tak się trzęsła — mówi Bernadetta — „że nie mógł znaleźć otworu kałamarza”. Ona zaś odpowiedziała spokojnie: „Tym lepiej! Będę mniej kosztowała swego ojca, a pan będzie przychodził do więzienia uczyć mnie katechizmu.”²⁶

Sprawa się psuła. Jan Estrade uznał za stosowne wdać się w nią. „Przybliżyłem się do dziewczynki — pisze on — i, udając z kolei, że przejmuję jej interesy w swoje ręce, nakłaniałem ją do odwołania tego,

co powiedziała. Lecz ona instynktownie zrozumiała, że nie byłem uprawniony do wtrącania się w spór, i nic mi nie odpowiedziała.”

Przez cały czas przesłuchiwania dochodził z zewnątrz do Bernadetty — jak sama powie — szmer głosów. Tłum ludzi zapełniał ulicę Św. Piotra przed domem komisarza. Nagle, gdy Estrade przemawiał do Bernadetty, rozległ się na korytarzu tupot podkutych trzewików: w na wpół uchylonych drzwiach ukazał się Franciszek Soubirous. Czując, że nad jego ukochanym dzieckiem wisi groźba, ten ubogi, wstydzący się żebrać, którego w zeszłym roku żandarmi przywiedli w to miejsce, dziś sam się odważył tu przyjść.

— „Jestem ojcem tej dziewczynki — oświadczam.

— Ach, to wy, Soubirous — odpowiada komisarz. Dobrze, żeście przyszli, gdyż miałem właśnie posłać po was. Znacnie komedię, którą od kilku dni odgrywa wasza córka. Wszystko to byłoby tylko śmiesznością, gdyby nie zakłócało spokoju miasta. Trzeba położyć temu kres. Wasza córka jest niepełnoletnia, wy więc za to odpowiadacie...”

Groźba przeszła na kogo innego. Dawny młynarz widzi się znowu przyprowadzonym przed komisarza, oskarżonym; jeszcze raz uwięzionym, i nie wiadomo, na jak długo!... Zadrżał. Ustąpił przed siłą.

— „Panie komisarzu — odpowiedział pokornie — i ja chcę z tym skończyć. Moja kobieta i ja jesteśmy zmęczeni tym, co się dzieje, i tym napływem ludzi do nas. Posłużę się pańskim zakazem, by ich nie przyjmować.

— Ot, co się zowie mówić!” — zakończył komisarz.

Wstał i „wyprowadził ojca i córkę przeciwległymi drzwiami. Tłum się rozproszył.”²⁷

Gdy powrócił na salę, odezwał się do Estrade’ów:

— „Wszystko to jest machinacją dewotek.

— Moim zdaniem — odpowiedział Jan Estrade — nie ma w tym zorganizowanego oszustwa, lecz tylko urojenia dziecka.

— Mój drogi panie — odparł tamten, przekonany o swej słuszności — pan nie jest policjantem!”

W każdym razie obaj — jak pisze Jan Estrade — „wylaczyli hipotezę nadprzyrodzoności”²⁸. Rzecz sfabrykowana czy halucynacja — mniejsza z tym: ich zdaniem w tej historii był tylko czynnik ludzki. Trudno wyrzucać poborcy czy policjantowi, że nie znają danych teologii mistycznej o objawieniach i zachwytach.

Jacomet był zadowolony, że dla niego te pół dnia było dosyć pomyślnie. Bądź co bądź ten stary Soubirous w porę przyszedł, by przywołać do porządku swoją upartą córkę. Słowem: komisarz lurdzki, który nie był bez ambicji (gdy się zbliża czterdziestka, aspiracje do wyższego stanowiska są najzupełniej usprawiedliwione), mógł być zadowolony z obrotu rzeczy.

Odwiedził burmistrza i prokuratora cesarskiego. Dutour, wyraziwszy

komisarzowi dobrze zasłużone gratulacje, śmiejąc się przyznał się do porażki. Tak, on miał mniej szczęścia niż komisarz. Co prawda, nie przeprowadził właściwego przesłuchiwania i brak mu było poparcia ojca dziewczynki. Jednakże tryumf uważał za przedwczesny. Sam fakt, że Bernadetta nie będzie chodziła do Massabille, nie uspokoi podniecenia tłumów. Zresztą czy Jacomet jest tak pewny, że batalion dewotek, których machinacje chciał za wszelką cenę wykryć, nie zaprowadzi tam dziecka?

Tego pamiętnego wieczoru władze lokalne z ulgą się dowiedziały, że dowódca szwadronu Renault — przed odjazdem do Tarbes wraz ze swym sekretarzem Bigué — zostawił wachmistrzowi żandarmerii lurdzkiej notę tej treści:

„Każdego ranka wyśle Pan do słynnej groty żandarma, który zda Panu sprawę, a Pan mnie zda sprawę z tego wszystkiego, co się tam będzie czynić i mówić, oraz z liczby osób, które się tam gromadzą, i z czego się składa tłum”.

Ze swej strony burmistrz i komisarz policji polecili swoim podwładnym „zwracać baczną uwagę na młodą Bernadettę Soubirous i zbierać wszystkie szeptki tłumów chodzących za nią”.²⁹

Tej nocy rodzice zauważyli stłumione łkanie biednego dziewczątka. Nie rozumieli, dlaczego dławiała ją taka udreka.

Ona przecież dała przed ludźmi świadectwo swej słodkiej P a n i; sumienie jej nic nie wyrzuca. Bernadetta nie płakała nad sobą, lecz nad rodzicami, których znała odwagę, których dzieliła niedostatek. Czyż mają cierpieć z jej powodu?... Piętnaście dni... Przymknęła nawiedzać grootę przez piętnaście dni... Ma więc tam jeszcze chodzić dni dwanaście. Oczywiście, będzie się usilnie starała być posłuszna ojcu... Lecz czy zdoła się oprzeć sile przyciągania massabielskiej skały? Jutro o świcie niebieska Wizja będzie jej bez wątpienia oczekiwać, a ona stanie się niewierna przyrzeczeniu!... Boże, co robić?...

„PRZEZ PIĘTNAŚCIE DNI”

SMUTEK Z POWODU NIEOBECNOŚCI, RADOŚĆ PONOWNEGO WIDZENIA,
TRZY SEKRETY

PONIEDZIAŁEK 22, WTOREK 23 lutego — SIÓDME OBJAWIENIE

Dla Bernadetty ten poniedziałek 22 lutego jest dniem bólu i rozterki.

Najprzód pozbawiona jest Mszy św. Rodzice okazali się nieugięci: któż ich zapewni, że ich córkę co nie skusi pójść bezpośrednio z kościoła do grotty? Gdy nadeszła pora, dziewczynka, nie skarżąc się na nikogo, bierze torebkę szkolną, w której jest elementarz z krzyżykiem¹, i idzie ulegle do przytułku.

Zandarm, wysłany bardzo rano do „sławnej grotty” na czaty, już powrócił. Z rozpromienioną twarzą zameldował swemu szefowi, że tym razem nie było nic do zanotowania w Massabielle.

Biedna Bernadetta! Na dziedzińcu szkolnym wszyscy wiedzą o jej wczorajszych przygodach: ona była... niemal w więzieniu! „Dobrze jej tak! dobrze jej tak!” — powtarzają jak refren najśmielsze. W chwili, kiedy biedna dziewczynka z „lochu więziennego” tak by potrzebowała nieco zrozumienia i czułości, siostry patrzą na nią surowo: co? jedna z ich uczennic wezwana do sądu a potem przed komisarza policji... Zaiste, to mało chlubne dla ich szkoły! Dlatego przełożona przytułku, która wszystko trzyma w swych rękach, czeka przy wejściu na tę Bernadettę, o której teraz wszyscy w Lourdes mówią. W wyobraźni przełożonej tkwią jeszcze sceny tych groteskowych zabaw, których dalekie echa gorszyły ją przed ośmiu dniami. Gdy tedy dziewczynka się ukazała, rzuca jej wśród łajania pytanie: „Jużes skończyła te swoje maskarady zapustne?” Bernadetta „nic nie odpowiedziała i pozostała spokojna” — zaświadcza jej dawna koleżanka z ławy szkolnej².

Dosyć wcześnie rano pobożne kobiety, a m. in. Anna Dupas, kupcowa, i Marią Segot, „święta stara panna, która często chodziła pracować do braci”, szły ulicą des Petits-Fossès. Próżno czekały na Bernadettę na drodze wiodącej do grotty. Chciały się więc dowiedzieć, dlaczego dzisiaj tam nie poszła. „Zastałyśmy matkę w drzwiach — opowiedziała Anna Dupas. — Trzymała na ręku ślicznego chłopczyka o jasnych kędziorkach...

— Gdzie jest Bernadetta? — zapytałyśmy.

— Jest w szkole. Nie chcę, żeby chodziła do groty”³.

Gdy uczennica przyszła do matki na skromny południowy posiłek, zakaz ponowiono. Mało w domu mówiła i zaraz po obiedzie odeszła do przytułku.

Otóż — zwierzy się wkrótce pannie Estrade — mając wejść na dziedziniec zewnętrzny przytułku „nie mogłam się ruszyć w żadną inną stronę jak tylko ku Massabielle”. Tym razem miała nadzieję, że uda się jej uniknąć eskorty, dlatego zamiast przejść przez miasto, postanowiła obejść zamek od zachodu. Lecz na rogu ulicy wiodącej do przytułku stoi dom żandarmerii. Właśnie zauważono tam oknem oporną dziewczynę. I oto, gdy jest już nad Lapaką, słyszy za sobą kroki dwóch żandarmów. „Dokąd idziesz? — pytają. — Do groty” — odpowiedziała, nie spoglądając na nich ani nie zwalnając kroku.

Ci dwaj ludzie są posłuszni poleceniu komendanta z Tarbes, który nie rozkazał zatrzymywać jej, lecz tylko obserwować. Są ubrani służbowo: sznury na ramionach, epolety, żółty pas. Gdyby Bernadetta była sama, przesłaby dla wielu niepostrzeżenie, lecz ta straż przyboczna ściąga na nią uwagę wszystkich. Wiadomość rozchodzi się tak szybko, że według świadectwa panny Estrade „znaczna liczba ludzi zebrała się na skrzyżowaniu drogi Leśnej i ścieżki biegnącej od zamku. Wszyscy mieli oczy zwrócone na tę ścieżkę... Większość poczęła wołać: «To ona! to ona!»”

„Istotnie — ciągnie dalej Emanuela Estrade — była to Bernadetta. Wtedy po raz pierwszy ujrzałam czarującą twarz uprzywilejowanej córki Maryi. Szła między tymi dwoma żandarmami spokojna, pogodna, skromna, tak jakby to byli jej rodzice.

Gdy przechodziła obok nas, słyszałam, jak jeden z żandarmów mówił: «I to w dziewiętnastym wieku mamy wierzyć w takie przesady!»⁴

Chybił cel: nikt nawet nie zwrócił uwagi na tę złośliwą wypowiedź. Bernadetta, nie tracąc swej spokojnej pewności siebie, zatrzymała się przed grupą, która na nią oczekiwała, i ujrawszy znajomą twarz, rzekła: „Proszę was bardzo, przynieście mi świecę, która jest u matki chrześnej.” Następnie puściła się w dalszą drogę. Przed starym Mostem ponownie przystanęła, by zaczekać na świecę. Wkrótce przyniosła ją sama ciotka Lucyla z inną ciotką, Bazylą.

Przyszedłszy do groty Bernadetta jak zwykle klęka; jeden z żandarmów staje po jednej jej ręce, drugi po drugiej. Następnie wyjmuje koronkę, zapala świecę i z żarliwą pobożnością odmawia pięć tajemnic różańca... Nie pochyla się naprzód z oczami pełnymi zachwytu, twarz jej się nie przemienia, lecz zasmuca...

Podczas gdy ona się modliła, przybył w codziennym ubraniu wachmistrz d'Angla i, wychodząc poza rozkazy swego komendanta, stanął naprzeciw klęczącej dziewczynki — jakby umyślnie, by jej zasłonić grootę. („Dopiero dwadzieścia lat później emerytowany kapitan żandarmerii d'Angla pochylił głowę przed prawdziwością lurdzkiego cudu”⁵).

Ta niepoprawna postawa człowieka, który nie miał prawa dokuczać Bernadecie, dodaje jej przykrości. Czy odtąd za każdym jej pobylem w Massabielle ktoś będzie sobie pozwalał na takie wybryki? Po odmówieniu różańca dziewczynka nie może powstrzymać słów skargi. Wachtmistrz odwrócił się do niej. Myślał, że ona boi się, widząc jego tak blisko siebie. „Klepiąc ją przyjaźnie po ramieniu, by — jak sam mówi — jej nie przestraszyć”, szepcze jej do ucha: „Gdybyś nie była głuptaskiem, wiedziałabyś, że Najświętsza Panna (jeśli to Ona) nie boi się żandarmów, ponieważ jest bez zarzutu. Dlaczego ty się ich boisz? Może przypadkiem dlatego, że czujesz się winna kłamstwa? [Przecież] ja patrzę tak jak ty, a nic nie widzę. No, więc i ty tyleż widzisz, co i ja!”

Tym razem żandarm miał zupełną słuszność. Bernadetta, boleśnie rozczarowana, wstała. Otoczyło ją kilka przyjaznych osób. „Widziałabyś Ją — pocieszano ją — gdybyś była przyszła do groty jak zwykle, wcześniej rano. Lecz bądź spokojna. Ona przyjdzie jutro.” Inni oddalając się potrząsali głowami i mruzczyli: „Już po objawieniach!” A sceptycy pozostający w mieście, gdy się dowiedzieli o przykrym zawodzie tych, co się na darmo fatygowali, drwili sobie: „Massabielska «P a n i» boi się żandarmów: już się nie pojawi!”

Bazyła i Lucyła odprowadzały siostrzenicę.

— „A więc nie widziałaś Jej? — pytały.

— Nie — odpowiedziała smutnie Bernadetta. — Nie wiem, w czym Jej uchybiłam.”

Twarz jej zdradzała zmęczenie. Ciotki zaprowadziły ją do młyna Savy. Prawie zaraz nadeszła Ludwika Soubirous, którą powiadomiono o ucieczce córki. Panna Estrade i inne mieszkanki z Lourdes przybyły również do młyna.

„Bernadetta — opowiada siostra poborcy — siedziała, a obok niej była jakaś kobieta. Nie wiedziałam jeszcze, że to jej matka... Biedna ta kobieta była blada i od czasu do czasu rzucała na dziewczynkę spojrzenie pełne trwogi. Zapytałam jej, czy zna tę małą.

— Ach pani! ja jestem jej nieszczęśliwą matką...

— Nieszczęśliwą? — mówią jej — dlaczego?

— Pani dobrze widzi, co się dzieje. Grożą nam więzieniem. Jedni się z nas śmieją, inni litują się nad nami i mówią, że Bernadetta jest chora.

— A wy co o tym myślicie? — zapytuje.

— Mała nie kłamie; uważam, że jest niezdolna nas oszukiwać. Nie jest również chora: gdy się jej pytam, czy jej co dolega, odpowiada, że nie. Zakazałam jej chodzić do groty. Mimo to poszła. A jednak ona nie jest nieposłuszna. Lecz mówi mi, że coś, czego nie umie wytłumaczyć, zmusza ją, by tam chodziła...»

Biedna kobieta wzbudzała litość!”⁶

Przybywszy do „lochu więziennego” matka i ciotki usilnie się starały przekonać ją, że nie powinna chodzić do groty. Ona zaś ze smutkiem od-

powiedziała im: „Bardzo mi jest przykro: muszę nie słuchać albo was, albo tej P a n i.” Na to myśmy odpowiedziały — dodaje ciotka Bazyla: „Lecz jeśli wtrąca do więzienia, będziesz zmuszona okazać się Jej nieposłuszną.” Ona zaś na to: „Ach, to co innego! Jeśli nie będę mogła tam iść, nie pójdę!”

Dlaczego tego popołudnia Wizja się nie ukazała? Byłoby dziecinną rzeczą twierdzić, że była to dla Niej niestosowna pora. Zresztą czy P a n i była tak daleko? Któż więc przywiódł dziewczynkę sprzed samej szkoły do groty, jeśli nie Ona, niewidoczna tym razem, lecz obecna? Któż tak nią kierował, że, idąc do przytułku, spełniała wolę rodziców, a następnie, udając się do Massabielle, dotrzymała przyrzeczenia Zjawie? Któż tak zrzadził, że i wobec ziemi, i wobec nieba nie popełniła żadnej winy? Klęcząc przed grota, a nie widząc Tej, która ją tu pociągnęła, Bernadetta nie przeprowadziła tego rozumowania, które byłoby ją nieco pocieszyło: P a n i prosiła ją, by przez piętnaście dni przybywała do Massabielle, lecz sama się nie zobowiązała ukazać się tam tyleż razy.

Nie ukazując się Bernadecie, która tak gorąco pragnie znów Ją ujrzeć, P a n i pierwszy raz zadaje kłam urzędnikom i uczonym, którzy się zawzięcie starają wytropić w massabielskich wydarzeniach albo samolubne rachuby ubogiej rodziny, albo halucynacje biednego dziecka. Tego poniedziałkowego popołudnia, 22 lutego — równie jak wczoraj rano — Bernadetta klęczała w tym samym miejscu, trzymała w ręku tę samą koronkę i tę samą świecę. Jeśliby więc była dotknięta jakimś słodkim obłędem, wyobraźnia jej, mimo obecności żandarmów, ponownie by wytworzyła przedmiot jej marzenia. Otóż ona ze swym zwyczajnym spokojem przyznaje się, że nic nie widziała ...Gdyby sprężyną tego wszystkiego były świętokradzkie machinacje rodziców, ciotki: Lucyla i Bazyla musiałyby być w zмовie. Otóż nie dosyć, że nie szepczą siostrzenicy: Mów: „widziałam”, ale jeszcze zabierają ją z Massabielle i nalegają usilnie na nią, by już tam nie chodziła.

A oto ważniejsza racja: Zjawia, sprawiając swej ulubienicy tak gorzki zawód, chciała ją doświadczyć i jednocześnie pouczyć. Pograżona w ciemnościach, Bernadetta powinna w dalszym ciągu wierzyć światłu; niedojście do skutku widzenia nie pozbawi jej ufności w Tą, która ją obdarzy szczęściem jedynie prawdziwym. Oceniając wolę Niebios według właściwej jej wartości, nie podporządkuje jej ludzkiemu widzimisie.

I wreszcie racja, być może, najwyższa: Trzeba, żeby to niewinne dziecko, które wzięło na siebie misję modlenia się za grzeszników, zaczęło pokutować za nich. Trzeba, żeby nadchodzącej nocy z jej biednej, udreżonej duszy wyrwał się ku tej P a n i, której sam widok wprawiał ją w zachwyty, krzyk trwogi: „Dlaczego mnie opuściła?”

Tymczasem wśród głębokiego milczenia ludzi i rzeczy Franciszek i Ludwika Soubirous rozważali za i przeciw. Nie pozwalać córce chodzić do groty, tak jak to uczynili dziś rano, skoro jakaś tajemnicza siła ją

tam pociąga — to daremny trud... Czyż P a n i, nie pokazując się, nie dała lekcji raczej rodzicom niż dziecku? Nie mieli racji walczyć z niebem... Ale komisarz policji ze swymi pogrozkami? Oto właśnie ks. Pomian oświadczył, że nikt, absolutnie nikt nie ma prawa zabraniać Bernadecie chodzić na modlitwę do grotty⁸.

W końcu małżonkowie Soubirous powzięli ostateczną decyzję: skoro z nadejściem poranka córka ich z wewnętrznego natchnienia o niczym innym nie myśli, tylko o Massabielle, pozwolą jej tam chodzić.

*

„Co mi tam komisarz!... Niech licho weźmie żandarmów!” Okrzyki tego rodzaju w niejednym lurdzkim domu musiały rozbrzmiewać we wtorek 23 lutego przed świtem. I setka ludzi ruszyła w drogę ku brzegom Gave.

Przy migotliwym świetle latarni przechodnie, dopędzając jeden drugiego, usiłują się rozpoznać. Od czasu do czasu słychać okrzyk zdziwienia: „Och!” Że doktor Dozous podaży tam, by w dalszym ciągu przeprowadzać doświadczenia, które go interesują, to nic dziwnego, ale kapitan z fortecy, ale de Laffitte, oficer intendenty, ale adwokat Dufo, były burmistrz Lourdes, ale Estrade z izby skarbowej, który pisuje w gazetach!... W jakim celu ci panowie idą do Massabielle?

Jakim sposobem Estrade, główny świadek wypytywania Bernadetty przez komisarza, znalazł się w liczbie tych nieoczekiwanych pielgrzymów, opowie nam jego siostra — z całą tą właściwą sobie troską o szczegóły. Otóż dnia poprzedniego dobre przyjaciółki postanowiły wybrać się razem do Massabielle. Jednakże tym razem „trzeba było wyjść przed brzaskiem, a nie wypadało, żebyśmy o tej porze zapuszczały się same w drogę, którąśmy uznawały za nie uczęszczaną. Przyjaciółki moje skłoniły mnie, bym poprosiła brata o towarzyszenie nam. Lecz on, który jest z natury bardzo usłużny, w tej okoliczności początkowo okazał się całkiem inny: uparcie odmawiał. Wieczorem widział się z ks. Peyramale'em i mówił mu o moich natarczywych prośbach. «Niech Pan idzie z tymi paniami — rzekł mu proboszcz — niech Pan tam idzie. Dużo się mówi o tej sprawie. Nie będę się gniewał, jeśli kilka poważnych osób będzie świadkami tego, co się tam dzieje.» Brat dał się nakłonić i to, co z przyjaciółkami planowałam, zostało urzeczywistnione...

Brat dobrze słyszał zeznania Bernadetty, które były tak pełne prostoty, że tchnęły najczystszą prawdą. Szczerze wierzył, że ona nie kłamie; lecz przecież może ulegać złudzeniom. Jego refleksje na ten temat rozśmieszyły nas. Mówił tak, bo nie widział dziewczynki w obecności Zjawy.

Przybyliśmy do grotty nie za bardzo skupieni. Zastaliśmy już tam

kilka osób z miasta i ze wsi, które modliły się, klęcząc z różańcami w ręku.”⁹

Przyczyną pewnego rozproszenia tych pań były drwiny „dowódcy kompanii”, te „głupie i wulgarnie żarty” — jak sam to określił. Kilka z nich przytoczył nawet: „A czy która z was ma przynajmniej świecę?... Czyście się zaopatrzyły w wodę święconą?... Czy zabrałyście z sobą lornetki?...”¹⁰

On przybywa tu jako przymuszony widz. Znalazłszy się w Massabielle, zauważył „w jednym z rogów groty” kapitana z panami Laffitte’em, Dourzour’em i Dufo, którzy rozmawiali „z wielkim ożywieniem”.

„Przylączyłem się do tych panów — pisze Jan Estrade. — Naturalnie, przedmiotem ich rozmów była sprawa Bernadetty: Jedni widzieli w niej przejaw chorobowy, inni szczególny przypadek *fata morgana*; ten mówił o wpływach okultyzmu, tamten o fanatyzmie religijnym, a żaden nie pomyślał o interwencji z nieba.

Padło też pytanie, czy przypadkiem gdzieś w załomie skalnym nie ma jakiegoś dziwnego kształtu, czy nie zachodzi jakaś gra światła zdolna zmylić odpowiednio usposobione oko dziewczyny. Zbadaliśmy więc grootę we wszystkich kierunkach i byliśmy zmuszeni stwierdzić, że jakiegokolwiek złudzenie tego rodzaju wydawało się niemożliwe.

Kończyliśmy właśnie nasze badania, gdy zmieszane wołania oznajmiły nam, że jasnowidząca nadchodzi. Przecisnęliśmy się przez tłum i stanęliśmy obok Bernadetty.”¹¹

Dziecko będzie dziś widziało Panią po raz siódmy. Sprawozdanie Jana Estrade’a, który tu przybył, by „drwić i naśmiewać się”, jest niezastąpione:

„Bernadetta uklękła, wyjęła z kieszeni koronkę i głęboko się skłoniła. Wszystkie te ruchy wykonała swobodnie, bez wyteżenia i zupełnie w taki sposób i tak naturalnie, jakby przybyła do kościoła parafialnego, by tam oddawać się swoim zwyczajnym praktykom pobożnym. Gdy przesuwiała w palcach pierwsze paciorki koronki, podniosła na skałę badawczy wzrok, w którym odbijało się niecierpliwe oczekiwanie.

Nagle drgnęła jakby pod wpływem błyskawicy i wyraz podziwu odbił się na jej twarzy. Zdawało się, że przeszła do innego życia. Oczy jej zapłonęły i rzucały blaski, seraficzny uśmiech pojawił się na ustach, niewypowiedziany wdzięk rozlał się po całej postaci. Dusza jasnowidzącej zdawała się wyłamywać z ciasnego więzienia ciała, by móc swobodnie wyśpiewać swą radość. Bernadetta już nie była Bernadettą!...

My, wszyscy mężczyźni, którzyśmy tam byli, zdjęliśmy spontanicznie kapelusze i pochyliliśmy się jak najprostsze kobiety. Godzina rozmowań minęła. Jak wszyscy inni, którzy patrzeli na tę niebiańską scenę, przenosiliśmy wzrok z ekstatyczki na skałę, ze skały na ekstatyczkę. Nie widzieliśmy nic, nie słyszeliśmy nic (zresztą, na cóż to mówić?). Lecz nie,

myśmy widzieli, rozumieli, że nawiązała się rozmowa między tajemniczą P a n i ą a dzieckiem, któreśmy mieli przed oczyma.

Po pierwszych uniesieniach radości wywołanych przybyciem P a n i, jasnowidząca istotnie przybrała postawę osoby słuchającej. Jej wyraz twarzy, jej gesty odtwarzały wszystkie fazy prawdziwej rozmowy.

Bernadetta, na przemian uśmiechnięta lub poważna, potwierdzała głową lub zdawała się sama pytać. Gdy P a n i mówiła, dziewczynka drżała ze szczęścia; gdy zaś ona sama przedstawiała P a n i swe błagania, upokarzała się i wzruszała aż do łez.

W pewnych chwilach można było zauważyć, że rozmowa się urywała. Wtedy dziewczynka powracała do różańca, lecz nie odrywała oczu od skały: rzekłbyś — bała się spuścić powieki, żeby nie stracić zachwycającego przedmiotu swej kontemplacji.

Ekstazy zwykle kończyła modlitwy ukłonami składanymi ukrytej P a n i. Bywałem w świecie (być może aż nazbyt!) i spotykałem wzory wdzięku i wytworności. Nigdy jednak nie widziałem, żeby ktoś kłaniał się z takim wdziękiem i dystynkcją jak Bernadetta.

Podczas ekstazy dziecko niekiedy się też zegnało. Otóż tego samego dnia, powracając od grotty, powiedziałem, że jeśli w niebie robi się znak krzyża świętego, to koniecznie tak jak Bernadetta.

Ekstaza trwała około godziny. Pod koniec jasnowidząca, idąc na kolanach, podeszła z miejsca, gdzie się modliła, aż pod dziką różę, zwisającą ze skały. Tam skupiła się jakby do adoracji, ucałowała ziemię i powróciła, również na kolanach, na poprzednie miejsce. Twarz jej zajaśniała ostatnim blaskiem. Później stopniowo, bez wstrząsu, prawie niepostrzeżenie, wyraz zachwytu przemijał, aż znikł zupełnie.

Modliła się jeszcze chwil kilka. Lecz teraz mieliśmy tylko przed sobą twarz wprawdzie miłą, ale wieśniaczą, Bernadetty Soubircus. W końcu wstała, podeszła do matki i zgubiła się w tłumie...

P a n i ze skał daremnie się kryła: czułem jej obecność i miałem przeświadczenie, że macierzyński jej wzrok unosił się nad moją głową. O uroczysta godzino mego życia! Umysł mój mącił się aż do szaleństwa na myśl, że mnie, szyderycy i zarozumialcowi¹², wolno było zająć miejsce obok Królowej Nieba...¹³

Większa część tłumu opuściła już Massabielle, a myśmy ciągle jeszcze stali nieruchomi, z odkrytymi głowami, przytłoczeni, zmieszani. Wreszcie skierowaliśmy się ku kanałowi i szliśmy w milczeniu wzdłuż jego brzegu. Wielka zmiana dokonywała się w nas; przesady się rozpraszały. W końcu dając upust długo tłumionym uczuciom, wołaliśmy na przemian: «To cudowne!... to wzniosłe!... to boskie!...»¹⁴

W drodze powrotnej, idąc z matką, ciotkami i sąsiadkami, Bernadetta odczuwa, jak zwykle, potrzebę krótkich zwierzeń: P a n i z nią rozmawiała, lecz w tym, co jej powiedziała, jest coś niewysłowionego; coś, co na zawsze pozostanie dla niej samej¹⁵.

Wizja powierzyła jej wszystkiego trzy sekrety, ale czy podczas jednej ekstazy, tego nie można twierdzić. Raczej nie. „W przeciągu piętnastu dni — pisze Bernadetta — [P a n i] mi zawierzyła trzy tajemnice.”¹⁶ „Przypuszczam — zaświadcza jej ciotka, Bazyla — że jedna z tych tajemnic musiała ją zasmucać, bo gdy raz, spotkawszy ją płaczącą, zapytałam o przyczynę smutku, odpowiedziała mi: «Nie mogę tego powiedzieć»”¹⁷ Być może, że ów bolesny sekret, jak też jeszcze inny, stał się jej własnością w czasie siódmego objawienia.

Jakkolwiek by było, Bernadetta aż do ostatniego tchnienia „wiernie dochowa”¹⁸ tych trzech tajemnic, jak zresztą i modlitwy, której się nauczyła w Massabielle. Przez dwadzieścia lat jedni będą usiłowali podchwycić ją w słowach, inni wydobyć z jej zachowania się jakąś oznakę nieświadomego wyjawienia. Lecz ona nigdy się nie zdradzi.

Czy na przykład P a n i nie przepowiedziała jej, że będzie krótko żyła? Ależ tak! Bernadetta nie wzbrania się tego powiedzieć. „Dlaczego — zapytała jej raz pewna osoba z Lourdes — nie prosisz Najświętszej Panny, by cię uzdrowiła? — To zbyteczne — odrzekła Bernadetta. — Ona mi powiedziała, że umrę młodo.”¹⁹

A może w jednym z tych nietykalnych zwierzeń chodziło o jej powołanie zakonne? Wielu było tego zdania. I właśnie co do tego najczęściej ją wypytywano.

„Pewnego dnia — opowiada br. Leobard — rozmawiając z Bernadettą w przytułku, zapytałem jej:

— P a n i powierzyła ci jakieś tajemnice?

— Tak, drogi bracie.

— Dotyczące Francji?

— Nie, drogi bracie.

Zadałem jej jeszcze parę innych pytań, na które odpowiedziała przecząco.

— A więc te sekrety są osobiste — dodałem.

— Tak, drogi bracie.

— Znam z nich co najmniej jeden: zostaniesz zakonnicą.

Bernadetta spuściła głowę i nic nie odpowiedziała.”²⁰

Kiedykolwiek kto będzie usiłował wydrzeć jej słówko co do jednej lub drugiej tajemnicy, zawsze będzie umiała zachować przezorną powściągliwość. Raz tylko wyrwie się jej nieco zagadkowy okrzyk, którego jednak nie należy uważać za wyjawienie. Pewnego dnia w Nevers ks. bp Forcade, ordynariusz diecezji, zapytał ją znienacka, czy P a n i jej nie przepowiedziała, że wstąpi do klasztoru: „Ach, Ekscelencjo!... — odrzekła z minką tajemniczą i bojaźliwą. I to była cała jej odpowiedź.”²¹

•

Tego wtorku 23 lutego po południu Anna Dupas, która rankiem pierwszy raz widziała Bernadettę w ekstazie, zapragnęła ją ponownie widzieć.

„Poszłam do Ludwika — zeznała — Anna Dupas — i prosiłam ją, by pozwoliła Bernadecie przyjść do mnie. «Niech pani ją zatrzyma — odpowiedziała mi Ludwika — gdy będzie wracała ze szkoły.» Czatowałam na nią, zauważyłam ją i poprosiłam, by weszła. Chętnie to uczyniła.

Przybiegły sąsiadki i zadawały jej wiele pytań. Jedna z kobiet zapragnęła ją ucałować. «Ja nie będę miała przyjemności widzieć Najświętszą Pannę — rzekła kobieta. — Pozwól, niech ucałuję ciebie, która Ją widzisz.»

Pragnęłam jej co dać, lecz nie jestem bogata. Jabłka niezbyt obrodziły poprzedniego roku. Miałam jeszcze jedno, które było bardzo ładne. Przyniosłam je z szafy i dałam jej. Ona mi podziękowała, lecz nie wzięła. Bardzo ją prosiłam, ale daremnie: stale odmawiała.”²²

Ubogie dziecko odmawia przyjęcia tak rzadkiego pod wiosnę przysmaku — jakież zaparcie!

Coraz więcej ludzi zaczęło napływać do Soubirous. Ich kuzyn Andrzej Sajous, w którego domu mieszkali, zrozumiał, „że byłoby rzeczą niedelikatną wprowadzać te osoby do mieszkania Soubirous — tak z powodu nędzy, jaka tam panowała, jako też zaduchu od gnojowiska, które było na podwórzu”.²³ Wymógł tedy, by przynajmniej Bernadetta mieszkała u niego na piętrze.

Tam więc — pisze panna Estrade — wieczorem 23 lutego zastałam jasnowidzącą „przy na wpół wygasłym ogniu z dzieckiem na kolanach. W chłopczyku, który był obok nie, poznałam naszego pensjonariusza, Jana Marię. Mocno się tym ucieszyłam, gdyż uświadomiłam sobie, że on był więzią, która mnie już od dawna łączyła z umiłowaną przez Boga rodziną.”²⁴

Tak. Tylko od tego wieczoru Jan Maria Soubirous, chłopczyk mający 6 lat i 9 miesięcy, który wracając ze szkoły miał zwyczaj brać podwieczorek na progu mieszkania państwa Estrade, już nie pokazywał się na schodach „domu Cénac”.

VII

„PRZEZ PIĘTNAŚCIE DNI”

WEZWANIE DO POKUTY — CUDOWNE ŹRÓDŁO

SRODA 24, CZWARTEK 25 lutego — ÓSME I DZIEWIĄTE OBJAWIENIE

Dopiero w dwanaście dni po pierwszym objawieniu bardzo zniekształcone echo wydarzeń lurdzkich odezwało się w miejscowej gazecie.

Pan Cazenave, redaktor odpowiedzialny i naczelny pisma *Lavedan*, nie raczył ani posłać reportera do groty, ani zasięgnąć źródłowych wiadomości czy to np. u miynarza Nicolau, czy u komisarza policji. Adwokat Bibée, któremu poruczono sprawę poinformowania opinii publicznej o wydarzeniach massabielskich, potraktował swe zadanie dosyć lekkomyślnie. Sądził, że wystarczy wyzyskać opowiadanie „żandarmów, którzy w danym czasie pełnili służbę, a którzy sami zebrali swe informacje w środowisku ludowym”. Mając tedy do dyspozycji tak „poważną” dokumentację, mecenas Bibée współpracował z wachmistrzem d'Anglą nad sporządzeniem pierwszej kroniki, która miała służyć dwom celom: udzielać wiadomości, w formie raportów, porucznikowi Bourriotsowi z Argelès, a przez niego komendantowi Renaultowi z Tarbes, oraz informować czytelników kantonalnego pisma *Lavedan*.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie było zdziwienie większości oraz oburzenie i protesty dokładniej poinformowanych — po przeczytaniu w swym piśmie¹ tej wiadomości:

„Pewna dziewczyna, co do której każdemu nasuwa się przypuszczenie, że jest dotknięta katalepsją, od kilku dni zwraca na siebie uwagę i podnieca ciekawość ludności lurdzkiej. Wszak chodzi tu o objawienie się Najświętszej Panny. Oto w jakich okolicznościach ono nastąpiło:

Trzy małe dziewczynki przyszły zbierać gałęzie pozostałe po wyrębie tuż za miastem. Zaskoczone przez właściciela, uciekały co sił i wreszcie skryły się w jednej z grot znajdujących się nie opodal drogi wiodącej do lasu lurdzkiego.

Bohaterka tej historii usiadła na kamieniu i oparła głowę na kolanach. Pozostawała w tej postawie chwil kilka. Zdawało się, że zasnęła. Nagle zcrwała się na równe nogi i poczęła wołać do towarzyszek: «Widzicie, widzicie tę Panią ubraną w biel? Przed chwilą mówiła do mnie. To Matka Aniołów. Nie mogąc mi pomóc na tej ziemi, przyrzekła mi

miejsce w królestwie wybranych, jeśli każdego ranka przez piętnaście dni będą jej ofiarowywała swe modlitwy w tym miejscu.» I wskazywała na jeden z otworów groty.

Zbyteczne dodawać, że dziewczynki pobiegły na wyścigi opowiedzieć swym rodzicom słowa biednej wizjonerki.

Nie będziemy opowiadać tysiąca krążących wersji tego zdarzenia. Nadmienimy tylko, że co rano dziewczynka chodzi modlić się ze świecą w rękę u wejścia do groty. Towarzyszy jej przeszło pięćset osób.

Będziemy stale informować naszych czytelników o tej awanturze, która zyskuje sobie codziennie nowych adeptów.”

Lavedan nie był właściwie przeciwny religii. Nigdy nie „atakował” religii, dyskretnie posługując się delikatną aluzją, podszeptem. Czasem nawet jej bronił. I teraz więc, występując przeciw wydarzeniom massabielskim, zapewne miał na celu obronę wiary. Jego dyrektor bynajmniej nie uchodził za człowieka złego: przyjaźnił się z ks. Serres'em, drugim wikarym parafii. Lecz właśnie — jeśli mamy wierzyć doktorowi Dozous, którego informował siostrzeniec, adwokat Roman Cadevielle, dziennikarz — ks. Serres początkowo był mocno przeciwny faktom massabielskim „i wydawca Cazenave prawdopodobnie dawał mu do przejrzenia artykuły, zanim je ogłosił w gazecie”².

Mecenas Bibée, klekąc swoją pierwszą próbę prozy, w której Bernadetta nie została nawet wymieniona, zapewne nie wiedział, że kilku wybitnych obywateli miasta jest już gorącymi zwolennikami tej, którą on nazwał „biedną wizjonerką”, w przeciwnym bowiem razie śpiewałby innym tonem.

Tak jak komisarz Jacomet podczas swego pierwszego przesłuchiwania, adwokat Bibée tuszył sobie jedynym artykułem zadać śmiertelny cios łatwowierności ludu. Wbrew oczekiwaniu będzie musiał jeszcze powrócić do przedmiotu w drugim artykule (czwartek 25 lutego) i w trzecim, który — co prawda — rozpocznie się wyrocznią:

„Jeszcze Bernadetta! — powiesz nam, Szanowny Czytelniku. — Trochę cierpliwości! Uznaliśmy za konieczne dać jeszcze kilka szczegółów, które jednakże — sądzimy — będą ostatnie.”

Dalszy ciąg wydarzeń dowiedzie, że — podobnie jak komisarz policji, prokurator cesarski i wszyscy badacze, życzliwi lub nieżyczliwi — mały lurdzki *Lavedan* bezwiednie spełniał rolę opatrnościową. Wydawało mu się, że trąbi na odwrót, gdy w rzeczywistości wzywał do natarcia: jego bezpłatna i niesmaczna reklama poruszy obojętnych, zdobędzie tysiące „nowych adeptów tej awantury”.

Oto nieoczekiwana pomoc, która nadchodzi w oznaczonej porze. Dotychczas — jak można przypuszczać — P a n i starała się o wewnętrzne urobienie swej młodej powiernicy. „Brała — powoli, lecz z każdym dniem coraz zupełnie — błogosławioną dziewczynkę w swoje posiadanie; przygotowywała ją do jej misji; wielokrotnym cudem tej spokojnej ekstazy

usposabiała lud, by przyjął tę ubogą i prostą Bernadettę jako wyrazicielkę Jej woli.”³

Publiczne posłannictwo Bernadetty rozpoczyna się w środę 24 lutego, kiedy to miało miejsce ósme objawienie.

*

W raporcie skierowanym do swego zwierzchnika w dniu 27 lutego wachmistrz lurdzki stwierdza, że w środę 24 lutego zastał w Massabielle, dokąd przybył ze strażnikiem połowym Calletem, „400 do 500 osób”. Również i tego poranka stanął dumnie początkowo przed ludem a następnie przed Bernadettą, już zatopioną w ekstazie. Protesty kilku mężczyzn, całkiem zrozumiałe, zakłóciły na chwilę to miejsce modlitwy; następnie panowała niezamącona cisza. Jasnowidząca dziś nie zaprotestowała najmniejszym ruchem; „nic nie spostrzegła i zapewne nic nie słyszała”⁴.

„Wszystko odbywa się w najzupełniejszym spokoju, a nawet w skupieniu — przyzna *Levedan* z datą 28 lutego. — Dziecko to jest dzisiaj dla masy wyrazicielką, jeśli nie obrazem, potęgi wyższej.”

Tego ranka panna Estrade z powodu czekania, i to daremnego, na swego brata, spóźniła się do groty. Naszym sprawozdawcą będzie więc 36-letnia Dominika Cazenave z Lourdes, która pierwszy raz przybyła do Massabielle i która miała szczęście być tuż koło ekstatyczki. Otóż to, co tylu innych wcześniej zauważyło, stwierdza teraz Dominika.

Tym razem Bernadetta, nie skończywszy jeszcze pierwszego dziesiątka różańca, „łagodnym ruchem podała korpus naprzód jakby na widok przedmiotu, który ją zachwycał”. Początkowo pozostawała nieruchoma, z oczami otwartymi, lecz nie rozszerzonymi, i brwiami nie ściągniętymi; potem nastąpił „piękny uśmiech i piękne ukłony, które zasyłała, nie przestając jednak wpatrywać się w jeden punkt”.

Nagle po upływie pięciu do sześciu minut zachwyty ustępuje. Bernadetta wstaje i woła z płaczem: „Kto się dotknął jeżyny?” (Tak nazwała dziką różę). Tę długą kolczastą gałąź, która, spadając z niszy, dosięga aż ziemi, poruszyła pewna dziewczyna, która, by lepiej widzieć jasnowidzącą, pochyliła się naprzód. Dla Bernadetty ten pęd, na którym spoczywają stopy ozdobione złotymi różami, to coś świętego. Dotknąć się go bez uszanowania — to uchybić szacunkowi należnemu zaziemskiemu gościowi. Czyż nie z tego powodu przemiała audiencja została przerwana?...

Lecz w sercu dziecka rozbrzmiewa wezwanie. Oddaje świecę najbliższej sąsiadce i „powolnym krokiem” posuwa się „w głąb groty, jakby czegoś szukając”.

„Równocześnie — ciągnie dalej Dominika Cazenave — słyszałam trzy lub cztery razy ciche jęki. Gdy Bernadetta tak szła, pani Dufo, żona adwokata, która stała koło mnie, rzekła zasmucona: «Biedaczka!» Twarz

Bernadetty sposepniała, jak posepnieje ziemia, gdy skryje się słońce; lecz nagle znów się rozjaśniła, a z ust dziewczynki wyszło ledwie dosłyszalne «ach!», jak gdyby chciała powiedzieć: «Ach, co za szczęście! Oto jest!» Rozważając to wszystko, myślałam: ta mała nie udaje...⁷⁵

Uklękła na skraju groty. Ci, co podeszli za nią, stwierdzili, że znów się zasmuciła. O czym rozmawiała z nią P a n i? Z tego, co nastąpi, można wnosić, że oczom swej czystej powiernicy ukazała straszny obraz ludzkich grzechów i ujawniła jej nagłą konieczność przebłagania Nieba.

Bernadetta wstaje zapłakana z rękami złożonymi na koronce. Wydaje się, że chce przemówić do tłumu. Najbliższe osoby słyszą jej słowa, wymawiane jeszcze w ekstazie: „Pokuty... pokuty... pokuty!”

Głos jej rozchodzi się jak fala.

Bernadetta przekazała pierwsze orędzie P a n i.

*

Wczoraj tłum, powracając z Massabielle, powtarzał z przejęciem surowe napomnienie, które wyszło z ust P a n i, a którego Bernadetta była tylko wyrazicielką. Tak więc dziecko zjednało dla swej sprawy i umysły, i serca.

Dzisiaj zaś w oczach tych samych widzów — którzy nie uchwycą ani sensu, ani doniosłości jej czynów, lecz stwierdzą tylko ich pozorną dziwaczność — straci cały swój prestiż.

A jednak ten czwartek 25 lutego 1858 roku — to dzień cudowny, dzień wiecznej pamięci: jeśli wczoraj Wizja tak wymownie wskazywała grzesznej ludzkości wielką drogę zbawienia, to tego ranka pochyli się z czynnym współczuciem nad jej niedolą, nad jej cierpieniami, i dla ulżenia im złoży jej królewski dar.

W tym dziewiątym dniu objawienia uprzedza P a n i zorzę poranną.

„Jeszcze była noc. Przyświecała nam latarnia” — opowiada Elfryda Lacrampe z Lourdes, szczególnie szanowana przez Jana i Emanuelę Estrade. Rodzice jej prowadzili „Hotel Pirenejski”. Przybywa tu pierwszy raz. Jest usposobiona nie tylko sceptycznie, lecz nawet wrogo.

„Wkrótce nadeszła Bernadetta.”⁷⁶ Początkowo szła rażnym krokiem za matką chrestną. Potem jakby stęskniona za tajemniczą Przyjaciółką i pragnąc Ją choć minutę dłużej widzieć, wyprzedza ciotkę Bernardę i grupom ludzi, które nie rozstępowały się tak szybko, jak tego pragnęła, rzuca wezwania: „Pozwólcie mi przejść!... Pozwólcie mi przejść!...” „W tej chwili — ciągnie dalej Elfryda Lacrampe — gdy niemal wszyscy ciekawi już się zeszli, sądzę, że przed grotą i w najbliższej okolicy było około czterechset osób.”

Przed grotą, nieco na lewo, „płaski kamień wystający z ziemi”⁷⁷ oznaczał miejsce, gdzie jasnowidząca zwykła się modlić. Nazwano je „miejs-
cem Bernadetty”⁷⁸. Wszyscy je szanowali i pozostawiali wolne. Jasnowi-

dżająca przyszedłszy tu „podkasała nieco sukienkę, by jej nie uwałać, i uklękła”. Wyjęła koronkę i przeżegnała się krzyżykiem. Wszystkie jej ruchy bacznie i bez życzliwości obserwowała panna Lacrampe, która stała „na prawo przy skale, prawie pod niszą, w której ukazywała się Zjawa”. Oto jej sprawozdanie:

„Dziewczynka nie skończyła jeszcze jednej tajemnicy różańca, gdy nagle poczęła na kolanach czolgać się po pochyłości do wnętrza groty. Przeszła nie opodal mnie. Wchodząc pod sklepienie, nieco odchyliła — nie zatrzymując się — gałęzie zwisające ze skały... i poszła dalej w głąb groty. Tłum cisnął się za nią...

Przybywszy do głębi groty, Bernadetta, ciągle na kolanach, odwróciła się i zaczęła schodzić z powrotem po pochyłości. Widziałam w tym tylko dowód zręczności, a powinna bym więcej podziwiać swobodę, godność ruchów tej dziewczynki, idącej w takiej postawie po terenie bardzo pochylonym, nierównym, zasianym kamieniami, które tu i ówdzie miały bardzo ostre krawędzie. W tej chwili w ruchach Bernadetty poza przejawem zręczności widziałam tylko śmieszne miotanie się — śmieszne, bo wydawało się bezcelowe”.

Teraz obserwatorka, stojąca ciągle pod skałą, straciła z oczu Bernadettę, którą otoczył tłum. Lecz szła za nią ciotka Bernarda. „Wszyscy — opowiada ona — byli zdziwieni. Dziecko, nie znalazłszy nic pod skałą, skierowało się ku rzece.”⁹

Na cóż ta niezrozumiała krzątanina? Bernadetta sama dała wyjaśnienie:

„P a n i mi powiedziała: «Napij się ze źródła i umyj się w nim.»¹⁰ Nie widząc źródła, szła do Gave napić się. Ona mi powiedziała, że nie tam. Pokazała mi palcem źródło.¹¹ Poszłam tam. Zobaczyłam tylko trochę wody brudnej. Włożyłam tam rękę; nie mogłam jej nabrać. Drapałam i woda wyszła, lecz zmacona. Trzy razy ją odrzucałam; za czwartym razem mogłam jej trochę wypić.”¹²

Cała istota rzeczy uwypukla się w tych kilku wierszach.

Jeśli niewyczerpalne źródło, które ujawni się pod niepewnymi paluszkami dziewczynki, nie zostało w owej chwili stworzone cudem Bożej wszechmocy, to jego odkrycie byłoby nie mniejszym cudem.

„W tej epoce nie było w Massabielle żadnego widocznego źródła; za ledwie okresowe sączenie się.”¹³ Nad jednym z takich sączeń znalazła się właśnie Bernadetta, gdy po kamienistej pochyłości schodziła „napić się ze źródła i umyć się w nim”. Otóż gdy kilka razy grzebnęła rękami, ukryte źródło zaczęło tryskać do poziomu, którego woda nigdy przedtem nie osiągnęła.

Grota lurdzka „leży na jednej z tych starych dróg wodnych, od dawna już wyschłych”, które w czasach przedhistorycznych wily się po wapieniach i łupkach masywu Béout, a którego Massabielle jest skrajnym przedłużeniem. Otóż pod „piaszczystym żwirem, którego tu nanosił nurt

Gawe w czasie jej wezbrań, a który podwyższył dno groty o półtora metra, znajdowały się jeszcze „materiały morenowe”, tj. szczątki skał, kamyczki, piaski granitowe, przyniesione aż do tej doliny Gawe przez „wielki lodowiec z Argelès”, który w czasie jakiegoś przewrotu geologicznego spłynął z obecnego obszaru Gavarnie. Pogrzebane pod tym grubym stożkiem, drzemało źródło „wybitnie czyste i przezroczyste”, którego obecności nic w grocie nie zdradzało. „Milczące i nie znane, spływało” podziemiem „ku Gawe”.

Rozkazującym ruchem ręki naprowadza P a n i swą powiernicę na łożysko źródła. Dzisiaj, gdy sprawę autorytatywnie wyjaśnił kompetentny geolog, wiemy, co znaczą słowa: „Drapałam i woda wyszła, lecz zmacona”. Szczeliną skalną, skąd źródło bije, woda wzniosła się, w sposób po ludzku niewytłumaczalny, poprzez kamienie, piaski i żwir aż do delikatnej rączki dziecka w ekstazie.

I wtedy to na oczach wszystkich zaczął istnieć zdrój, o którym mówiła Wizja¹⁴.

Gdy Bernadetta po „umyciu się” podniosła głowę, różne okrzyki wzniosły się z tłumu. „Było się zaskoczonym — oświadcza Marcin Tarbès — nie rozumiało się, co to może znaczyć.”¹⁵ Nic w tym dziwnego, nikt bowiem nie dostrzegał P a n i, której dobroczynna woła kierowała ruchami jasnowidzącej. Podszedłszy nieco w jedną stronę, następnie w drugą, pochyliwszy się ku ziemi, Bernadetta wreszcie się unosi... z twarzą ubrudzoną błotnistą wodą. Przykre uczucie napelniało serca. „Wszyscy poczęli wołać: «Szalona!»”¹⁶ Ciotka Bernarda szybkim ruchem otarła buzię i podbródek chrześniaczki.

Rozczarowanie wszystkich wzrosło, a krzyki: „Szalona!” jeszcze się wzmogły, gdy dziewczynka, stale klęcząc, wyciągnęła rękę ku górze stożku, wyrwała „trzy małe garstki bardzo niskiego ziele”¹⁷ i włożyła je do ust.

Również tę czynność wykonała z polecenia P a n i, która jej rzekła: „Zjedz to ziele, które tam znajdziesz.”¹⁸

Oto jak to ostatnie zdarzenie opowiada jedna z jej towarzyszek katichizmowych, Julia Garros, która się znajdowała tuż obok niej: „Widziałam, jak Bernadetta z rozkazu Zjawy, na którą nie przestawała patrzeć, oderwała korzenie rośliny, którą miała w rękę, i starała się zjeść kilka jej listków. Żuła je jakiś czas, a następnie prawdopodobnie wyrzuciła, gdyż — jak sama mi potem powiedziała — ziele to było twarde i niesmaczne.”¹⁹

„Spełniwszy to — zaświadcza ciotka Bazyla — zeszła na dół.” Wpatrywała się jeszcze „parę minut” w Zjawę, która pozostawała w samej grocie. „Towarzyszyłam jej z obawy, żeby nie upadła.” Znów uklękła i powróciła na kolanach na swoje zwykłe miejsce. Wtedy to pan Estrade zauważył „jej wspaniały znak krzyża świętego”²⁰.

„Po ekstazie — kończy melancholicznie matka chrzestna — zabraliśmy

ją. Ludzie się śmiali. Szliśmy szybko, by odłączyć się od tłumu. Podążano za nami, jakby to była komedia.”²¹

Zamiast zbadać ten dołek w piasku, gdzie woda, napływając coraz obficie, zaczynała się już oczyszczać, wszyscy — jakby upokorzonymi, że tu przyszli — myśleli tylko, żeby jak najprędzej stąd się oddalić.

Szczególnie spiesznie umykał z siostrą pan Estrade, zbity z tropu i zakłopotany. Wszak zachęcał pannę Lacrampe, by przyszła do groty, a teraz usłyszał z jej ust wyrzut: „Lepiej by było, gdybyście byli mnie nie zapraszali tutaj: mało wierzyłam dotąd, a teraz jeszcze mniej. Oto coście zyskali!” Zauważył też na tym „dziwnym widowisku” żonę komisarza, która zapewne „nie przyniosła do domu wiadomości sprzyjających rozwojowi wiary”.

Wróciwszy do siebie brat z siostrą w dalszym ciągu wymieniali swoje wrażenia: Mimo wszystko czyż to możliwe, żeby dziewczynka tak spokojna, tak powściągliwa, zwykle tak doskonale zrównoważona — o czym po raz pierwszy przekonali się podczas badania komisarza — żeby dziewczynka, którą jeszcze wczoraj podziwiali zatopioną w ekstazie, poczęła nagle dawać dowody dziwactwa a nawet obłądu?!...

„A jednak trudno mi było — pisze Jan Estrade — pozbyć się mych słodkich złudzeń. Wieczorem tego dnia pełnego niejasności kazałem zwołać Bernadettę do siebie. Chciałem ją widzieć, zapytać, zbadać; słowem: chciałem upewnić się o jej stanie umysłowym.

Dziewczynka zjawiła się, jak zwykle, z miną spokojną, ufną, sympatyczną. Umyślnie doprowadziłem do tego, że się rozgadała, rozszczebiotała. Sprzeciwiałem się jej, starałem się ją podejść, doprowadzić do sprzeczności w opowiadaniu: nic w jej odpowiedziach i refleksjach nie pozwalało podejrzewać o jakiegokolwiek zboczenie psychiczne.”

Bernadetta opowiedziała, jak dostosowywała swoje ruchy i całe zachowanie się do życzeń P a n i.

„Lecz dlaczego — zapytał p. Estrade — P a n i zmuszała cię pić brudną wodę i myć się w niej, skoro miałaś czystą w Gave? — Nie wiem — odpowiedziało dziewczątko.”

„Scena z groty nie była jeszcze wyjaśniona.”²²

Dopiero w przyszłości można było ją zrozumieć.

Chodzenie na kolanach po ostrych kamieniach, wypicie błotnistej wody i „umycie się” w niej, jedzenie dzikiej rośliny o wstrętnym smaku, a wreszcie wzdurliwe okrzyki tłumu — to pierwsze wprowadzenie w czyn własnego surowego wezwania z dnia wczorajszego: Pokuty, pokuty!... Czyny te stanowią jeszcze praktyczną naukę dla duszy, która tęskni za życiem wzniosłym i pięknym, lecz której wzlot hamuje miłość własna, duch niezależności, umiłowanie przyjemności. „Wyrzec się siebie, bądź posłuszny, pokorny” — już pierwszym swoim szemrzeniem powtarza cudowne źródło, które zresztą raz jeszcze udowadnia światu, że Bóg, jeśli zechce, najskromniejszymi środkami dokonuje wielkich rzeczy.

„PRZEZ PIĘTNAŚCIE DNI”

„KAPLICA”

DZIESIĄTE I JEDENASTE OBJAWIENIE — SOBOTA 27 I NIEDZIELA 28 LUTEGO

I jeszcze jeden dzień pokuty dla Bernadetty: w piątek, 26 lutego, nie otrzymała oczekiwanej pociechy.

Gdyby tu chodziło o wydarzenia czysto ziemskie — dobrze zorganizowane oszustwo lub wybryki dziewczynki dotkniętej halucynacją — logicznie biorąc, poranek 26 lutego powinien był zamknąć okres licznego napływu ludu do massabielskiej grotty. Skąd to pochodzi, że Massabielle zachowa tę tajemniczą siłę przyciągania? Osoby, które powtórnie w ciągu dnia wczorajszego przybyły do grotty, ze zdziwieniem stwierdziły nowy fakt: Oto „z miejsca, gdzie grzebała Bernadetta, spływa wstęga wody, której dotychczas nigdy nie zauważyły; strumyczek wzrastał z minuty na minutę”¹. Zabrały z sobą tej wody, obiecując sobie powrócić do Massabielle.

I więcej jeszcze. Wczoraj był jarmark w Tarbes. Na placach publicznych, w gospodach słyszało się rozmowy na tematy dotychczas nie znane: o objawieniach, o wizjach mówiono jak o interesach. Wieczorem zjawili się w Lourdes jacyś obcy ludzie. Przybyli aż z Pau. Chcieli tu przenocować, by jutro raniutko udać się do grotty. Przykład jest zaraźliwy: ci mieszkańcy Lourdes, którzy jeszcze rano zapewniali, że dosyć już mają komedii, teraz oświadczyli, że spieszno im znowu widzieć grootę. Zaiste, łaska Boża pracuje w sercach.

Dr Dozous, który i dziś tam był, opisał krótko scenę:²

„W piątek, 26 lutego, Bernadetta wyszła z domu o świtaniu i wśród bardzo liczного tłumu skierowała się ku massabielskim grotom...

Tam uklękła i długo się modliła, przesuwając paciorki różańca. Pani się nie pokazała.

Bernadetta wstała smutna, strapiona, że tego dnia nie mogła się cieszyć widokiem niebieskiego gościa.”³

Gdy się oddaliła z matką i ciotką Bernardą, żadnego głosu niezadowolonia, żadnego szemrania wśród tłumu: każdy był zbudowany, wzruszony, widząc ją modlącą się z takim skupieniem, i każdy łączył się na swój sposób z jej modlitwą.

Aczkolwiek — jak dalej mówił dr Dozous — Bernadetta miała „wielką pewność powrotu P a n i, która dotychczas była tak życzliwa dla niej”⁴, to jednak „plakała w ramionach swej ciotki przez całą drogę”⁵, a nawet jeszcze w domu jej nabrzmiałe bólem serce szukało ulgi we łzach.

Sobota, 27 lutego 1858 roku... Temu mglistemu dniowi zawdzięczać będzie Lourdes budowle jedyne w swym rodzaju, których sam widok wywołuje tak pożądany nastrój i sprawia, że pobożny pielgrzym wspomina o reszcie świata.

Powietrze było lodowato zimne. Mimo to napływ do grotty był nie mniejszy niż dotychczas. Wręcz przeciwnie, zesłi się ludzie z całej okolicy, nawet z dosyć daleka. „Wyruszyliśmy z Saint-Pé o pierwszej po północy — opowiada Janina Laborde-Cassus. — Było nas troje. Nasz sąsiad z żoną byli pierwszy raz. Około trzeciej byliśmy na miejscu; modliliśmy się do Pana Boga.”⁶

Mniej więcej o tej samej porze przybywa, również po raz pierwszy, przyszedł kierownik lurdzkiej szkoły podstawowej, Clarens. Jego żona pochodziła z Soubirous, był on więc krewnym Bernadetty i mieszkał w sąsiedztwie ulicy des Petits-Fossés, lecz dotychczas nie zadawał sobie trudu, by pójść popatrzeć na swoją młodą kuzynkę w ekstazie. Tej nocy z 26 na 27 lutego rozdrażniony „nieustannym łoskotem drewniaków na ulicy, pobudzany zarówno gniewem, jak i ciekawością”⁷, wstał, ubrał się i wyszedł.

Była trzecia rano, a mimo to — oświadcza p. Clarens — „przybyłem nieco późno”: na całym piaszczystym brzegu rzeki — między kanałem a skałami massabielskimi — tłoczyła się „zwarta masa... a skała stercząca nad Gave cała była zapelniona. Wówczas to doszedłem do przekonania, że mylili się niektórzy statystycy, twierdząc, jakoby w zwartej masie ludzkiej na jednym metrze kwadratowym płaszczyzny mogło być co najwyżej sześćcioro ludzi: tutaj na metrze kwadratowym stało 10 do 12 osób.” Joanna Laborde-Cassus zaświadcza, że lud stał nawet na łące za Gave.

„Wreszcie — ciągnie dalej nauczyciel Clarens — o pół do siódmej przybyła Bernadetta. Trzeba było wtedy zrobić jej przejście aż do grotty... Wielki tumult przez kilka minut. Jednakże skoro uklękła, zrobiła się ogólna cisza. Wszędzie można było zauważyć skupienie, które sprawiało radość duszy.”

„Milczenie tego tłumu — zaświadcza strażnik polowy, Piotr Callet — było czymś nadzwyczajnym. Czuło się tam jak w kościele.”⁸

O tym milczeniu Cypryna Gesta z Lourdes powiedziała: „Podczas ekstazy wszędzie był przerażający spokój. Było się przestraszonym, lecz chciało się pozostać dłużej.”⁹ Jednakże inni doznawali raczej uczucia radości. Oto co mówi o sobie i swoich młodocianych koleżankach Magdalena Courrade z Lourdes: „U grotty, dopóki Bernadetta się modliła, wiele innych osób się modliło. Gdyśmy tam były, byliśmy zadowolone: chciałyby się tam na zawsze pozostać.”¹⁰ Katarzynę Oustalet wzrusza samo pięk-

no widoku: „Płakałam często. Jakże to pięknie było widzieć tyle głów na skale, w zaroślach a także przed skałą — tam, gdzie teraz jest krata; a także na głazach [naprzeciwko groty]!”¹¹

Clarens mógł obserwować Bernadettę prawie przez cały czas tego dziesiątego objawienia. „Zwróciła swe oczy na otwór z dziką różą, modliła się kilka chwil ze świecą w ręku w postawie nieruchomej; wkrótce potem pobladła, uśmiechnęła się, pochylając głowę na pozdrowienie; następnie zasmuciła się, jakby chciała płakać; znów się uśmiechnęła i posłała ukłon... Zdawała się nie być z tego świata.”

Janina Laborde zauważyła, że Bernadetta wpadła w zachwyty „prawie natychmiast po ukłęknięciu” i że zachwyty ten „trwał około piętnastu minut”. „Następnie podniosła się — ciągnie dalej Clarens — znowu ukłękła i, często całując ziemię, na kolanach wpinała się ku grocie przejściem, które jej uczyniono.”

„Całowała ziemię...” Nie widziano jeszcze Bernadetty spełniającej ten akt pokory i pokuty. Po ekstazie wyjawi, że czyniąc to, spełniała tylko polecenia P a n i: „Ucałuj ziemię w duchu pokuty za grzeszników.”¹²

Po powrocie do normalnego stanu przybyła do cudownego źródła i, kilkakrotnie czerpiąc dłonią z niego wodę, napiła się jej, a następnie nieco się w nim omyła i zerwała kilka ździebeł trawy¹³.

W drodze powrotnej Bernadetta opowiada coś nadzwyczajnego ciotce Bernardzie, której teraz najchętniej się zwierza. Otóż otrzymała od Pani polecenie: „Powiesz kapłanom, by zbudowali tu kaplicę.”¹⁴

W rzeczywistości przez wyraz „kapłani” Zjawa rozumiała duchowieństwo z całą hierarchią, a więc miała na myśli również ordynariusza. Dla Bernardy Castérot kapłani — to proboszcz lurdzki i jego wikarzy. Ale dla ks. Peyramale’a ma ona jakiś lękliwy szacunek, radzi więc chrześniacze pójść do jej spowiednika, ks. Pomiana. Ten zaś, nie chcąc zajmować jakiegokolwiek stanowiska w tej sprawie, postąpił we właściwy sposób: wysłuchał Bernadettę i, „nie wyjawiając jej swej myśli”, odesłał ją do proboszcza.

Bernadetta, która — jak sama oświadczyła — „zawsze natychmiast spełniała polecenia”¹⁵ massabielskiej P a n i, śmiało udała się na plebanię¹⁶.

Lecz czas już lepiej się zapoznać z tym, którego ma tam spotkać.

Ks. Maria Dominik Peyramale był synem lekarza osiadłego w Momères, miejscowości rodzinnej ojca chrzestnego Bernadetty. Urodził się 9 stycznia 1811 roku. W lutym 1858 r. miał więc 47 lat. Proboszczem w Lourdes był od roku 1854¹⁷. Dziwny zbieg okoliczności, na który ks. proboszcz sam zwracał uwagę: minister wyznań podpisał jego nominację 6 grudnia, a dekret nominacyjny wysłano ordynariuszowi 9 grudnia, podczas gdy 8 grudnia Pius IX ogłaszał w Rzymie dogmat Niepokalanego Poczęcia.

Pewna młoda osoba z Nantes, która odwiedziła ks. Peyramale’a w ma-

ju 1859 roku, tak go opisała pod względem fizycznym: „Mężczyzna wysokiego wzrostu, o wysokim, odkrytym czole, chodzie poważnym i majestatycznym, oczach pełnych ognia...”¹⁸ Podobnie opisuje go Jan Estrade, lecz nadto szkicuje jego temperament: „Był to góral ogladzony, lecz nie całkowicie pozbawiony cech typowych... Mówił krótko i zimno i początkowo nie czuło się do niego pociągu... Było w nim dwóch ludzi: jeden bardzo szorstki, drugi bardzo dobry, bardzo prosty, bardzo czcigodny. Drugi sprawiał, że zapominało się o pierwszym.”¹⁹

A więc osobowość oryginalna i silna. Był nieco zazdrosny o swoją władzę, zresztą nie kwestionowaną. W razie więc sprzeciwu zdarzały mu się napady złego humoru, w czasie których głos jego stawał się podobny do grzmotu. „Z usposobienia rzutki i entuzjastyczny, o duszy głęboko wrażliwej” — według opinii Henryka Lasserre’a²⁰ — miewał godziny przygnębienia i melancholii. Lecz jego bezinteresowny zapał, dziecięca pobożność i złote serce naprawiały wszystko. Jeśli tylko odkrył gdzie nędzę, natychmiast spieszył z pomocą, i tym się rujnował. Bywała czasami krótkotrwała rozbieżność poglądów między proboszczem a wikarymi, lecz wszyscy stwierdzają, że księża lurdzcy żyli w jak najlepszej zgodzie.

Jednakże jego poważny wygląd nieco onieśmielał prosty lud. Wachmistrz d’Angla, który „kilka razy go widział w epoce objawień”, pisze, że w parafii „bardziej go szanowano niż kochano”. Najpopularniejszym księdzem — zdaniem tegoż zandarma — był ks. Pomian, „pełen zdrowego rozsądku i humoru, jednocześnie ojcowskiego i młodego”²¹.

Ks. Peyramale, pochodzący z rodziny mieszczańskiej, żywił słabość do społeczeństwa lurdzkiego. „Człowiek towarzyski, obdarzony umysłem subtelnym i tryskającym żywym dowcipem” — jak zauważa jego wikary, ks. Pène — a nadto bardzo czytany, mógł w rozmowie stawiać czoła najbardziej wykształconym osobistościom w mieście. Nic więc dziwnego, że szukał ich towarzystwa. I — ciągnie dalej ks. Pène — „tych spośród nich, którzy praktycznie byli najmniej religijni, darzył pewnymi względami”, zapewne w celu zbliżenia ich do siebie. Ten sam wikary zdaje się sądzić mniej słusznie, kiedy pierwsze sprzeciwienie się proboszcza wydarzeniom massabielskim przypisuje jego skrytemu pragnieniu „zjednania sobie lub zatrzymania poparcia tych panów”. Nie ulega wątpliwości, że motywy jego postępowania były mniej osobiste.

Jakkolwiek by było, faktem jest, że zabronił swym wikarym „brać najmniejszego udziału w wypadkach massabielskich, choćby nawet w charakterze zwykłych widzów”²².

Tak więc dzięki swoim zaletom i wadom ksiądz Peyramale stał się człowiekiem godnym chwili: jego besztanie i szorstkość uwydatnią anielską słodycz młodej parafianki; jego przezorne powątpiewania w prawdziwość objawień, powątpiewania, które się przemieniały w niezachwianą wiarę — przysłużyły się prawdzie, zmuszając Bernadettę do wyjaśnień i do bronięcia się.

Według rozumnej uwagi św. Grzegorza Wielkiego „niewiara Tomasza była pożyteczniejsza dla naszej wiary niż wiara innych uczniów.”²³ Podobnie, można twierdzić, proboszcz lurdzki z natury łagodny, dający się łatwo przekonać, mniej by się przysłużył sprawie Zjawy niż szorstki i ostrożny ks. Peyramale: ten swoją opozycją — co prawda nie tak otwartą, jak opozycja policji i prawników — dokaże tylko tego, że prawda zajaśnieje większym blaskiem.

Ks. Peyramale chciał się skontaktować z ordynariuszem. Od piątku 12 lutego do czwartku 25 lutego bp Laurence, wizytując diecezję, przebywał w parafii Montléon-Magnoac, przy świątyni Matki Bożej z Garaison, do której przybywały liczne pielgrzymki. Zamieszkał tam u księży misjonarzy diecezjalnych, których był właściwym założycielem. Parafia ta, położona na krańcu departamentu Haute-Garonne, była w tym sezonie trudno dostępna dla ks. Peyramale’a. Dotąd musiał więc zadowalać się informowaniem biskupa o wydarzeniach massabielskich poprzez regularną korespondencję. Listy jego, nie pozbawione ironii i polotu, były oparte na raportach mniej lub więcej dokładnych. Biskup nie skompromitował się w swoich kilku odpowiedziach. Zresztą były one krótkie. Wolał ustnie wyrazić swe zdanie. Stąd audiencja proboszcza w piątek 26 lutego.

Po krótkim sprawozdaniu z wydarzeń przedstawił zachowanie się swoje własne i wikarych: swoją postawę wyczekiwania, spokojne i pobłażliwe zaprzeczenia ks. Pomiana, stanowczą opozycję ks. Serres’a, reakcje — niekiedy bardzo żywe — młodego ks. Pène’a. Wróciwszy zapoznał wikarych z wynikami audiencji:

„Przedstawiłem ks. biskupowi nasze zapatrywania: jedni z nas — rzekłem — twierdzą, że możemy bez szkody być u groty, inni zaś są przeciwnego zdania. W końcu zapytałem: «Ekscelencjo, czy możemy tam chodzić, czy też należy trzymać się na uboczu?» Ks. biskup po krótkim zastanowieniu odpowiedział: «Chodźcie». — «Ekscelencjo, jeśli będziemy chodzić, ludzie powiedzą, że to my każemy tej dziewczynie tam uczęszczać i odgrywać komedię». — «O, to nie chodźcie!» — odpowiedział ostatecznie biskup.”²⁴

Wkrótce duchowieństwo całej diecezji wiedziało, że surowy i rozumny bp Laurence, bezpośrednio poinformowany przez lurdzkiego proboszcza, prywatnie „śmiał się z Bernadetty i jej widzeń”²⁵. I bynajmniej nie był w tym odosobniony. Pewien młody kapłan, ks. Antoni Dézirat, który — jak sam to wkrótce opowie — tego ranka był świadkiem dwunastego objawienia, wpadłszy do małego seminarium duchownego w Saint-Pé, rozmawiał z kilku profesorami o Massabielle. Otóż „wszyscy się śmiali z jego łatwowierności”. Podążając nazajutrz do swej rodziny w Barbazan-Debat, miał sposobność spotkania się z innymi kapłanami.” „Powiedziałem im — mówi — o wydarzeniu, które miało miejsce w Lourdes; wszyscy przyjęli moje słowa z uśmiechem politowania.”²⁶

Właściwie Lourdes nie miało plebanii. Ks. Peyramale zamieszkiwał jako lokator dom Lavigne, stojący przy drodze z Tarbes do Argelès. Był to budynek kwadratowy, jednopiętrowy, o wyglądzie pospolitym²⁷. Otaczał go ogród, przed którym był dziedziniec.

Bernadetta śmiało otwiera bramę i oto prawie natychmiast staje przed proboszczem²⁸, który, lekceważąc zimno, odmawia brewiarz na dworze. Sprawozdanie o wizycie pozostawia nam p. Estrade, oświadczając, że szczegóły te uzyskał bezpośrednio od ks. Peyramale'a.

„Na skrzypnięcie furtki kapłan podniósł oczy i ujrzał dziewczynę zbliżającą się do niego. Nie znał Bernadetty lub — co najwyżej — widział ją raz w kościele... Zamknął brewiarz i zapytał, kto ona jest i czego by chciała.

— Jestem Bernadetta Soubirous.

— A, to ty! — ciągnie dalej proboszcz, mierząc młodą wieśniaczkę groźnym spojrzeniem. — Dziwne się rzeczy słyszy o tobie, moja biedna Bernadetto!”

Rzekłszy to, ks. Peyramale, skierował się do mieszkania, a „za nim Bernadetta jak jagniątko”. „Chodź!” — wzywa ją ksiądz, „nie odwracając się nawet”. Wszedł do salonu i, „usiadłszy pyta jej:

— No, czego sobie ode mnie życzysz?

Bernadetta, która „zatrzymała się przed nim, nie zrażając się sposobem przyjęcia”, odpowiedziała po prostu:

— „Księżę proboszczu, P a n i z groty poleciała mi powiedzieć kapłanom, że pragnęłaby mieć kaplicę w Massabielle.”

„Na to — „tonem niezbyt przyjemnym” — co zauważyła sama Bernadetta, odpowiedział:

— „Któż to jest ta P a n i?

— To bardzo piękna P a n i, cała otoczona światłem, która mi się objawia w Massabielle.

— Nic nie rozumiem. Jak ci się ta P a n i pokazuje?”

Wówczas Bernadetta „z akcentem szczerości wzbudzającym zupełne zaufanie” powtórzyła to, co już opowiedziała prokuratorowi cesarskiemu i komisarzowi. Według p. Estrade'a ksiądz musiał siłą powstrzymywać łzy, które mu napływały do oczu. Nie zdradzając jednak wzruszenia, w dalszym ciągu wypytywał Bernadettę tym samym tonem:

— „Jak się nazywa ta P a n i?

-- Nie wiem.

— Nie pytałaś jej?

— Tak, lecz gdy pytam, Ona się uśmiecha, nic nie odpowiadając.

— I twierdzisz, że poleciała ci powiedzieć mi, iż chce mieć kaplicę w Massabielle?

— Tak.”

Na tak stanowcze twierdzenie impulsywny ks. Peyramale wypada z równowagi.

„Moja córko — woła — tracisz głowę. Jak to?... Jakaś P a n i, która się zaczepia na skale!... jakaś P a n i, której nie znasz!... jakaś P a n i, która, być może, jest szalona jak i ty — przyjdzie ci powiedzieć, żebyś nas wezwała do zbudowania jej kaplicy u groty!... I ty przyjmujesz podobne zlecenia?... I ty przypuszczasz, że jesteśmy na tyle głupi, by się na nie zgodzić?... No, moja córko, jesteś tylko małą komediantką!...”

Spostrzegłszy się, że za ciężkiej broni używa, że za daleko się zagalopował, ks. Peyramale przestaje grzmieć.

„Ponieważ ci zależy na tej P a n i — dodał, jakby chwytając myśl, która snuła mu się po głowie — dowiedz się najpierw, kim ona jest; następnie — czy ona sądzi, że ma prawo do kaplicy. Zażądaj w moim imieniu, żeby dowiodła swoich praw, nakazując róży, która tam rośnie, natychmiast zakwitnąć.”

Powiedział to bez głębszego zastanowienia, a przynajmniej nie wziął pod uwagę, że już źródło, o którym zapewne słyszał, mogło być znakiem z nieba. Nie zdążył także sobie uświadomić, że stoi tu wobec alternatywy: albo przed Bernadettą, tak zadziwiająco skupioną, była tylko pusta dziura w skale: a w tym wypadku soki starego krzewu róży polnej, zmrożone przez srogą zimę, pozostaną w dalszym ciągu uspione; albo raczej Zjawa skalna jest, jak twierdzi Jej powiernica, żywą rzeczywistością, tj. osobą stojącą ponad naszą ludzką naturą, bliską boskości, a więc panią swej woli, której śmiertelnik nie może rozkazywać. A wobec tego fakt, że w dniu zimowym róża nie wyda nagle wiosennego kwiecica, nie dowiedzie, jakoby ta tajemnicza Istota, z której nakazu massabielskie źródło przebiło nieprzewyciężalne przeszkody, nie była zdolna dokonać nowych i jeszcze większych cudów... W tej sytuacji proboszcz lurdzki lepiej by postąpił, gdyby był zażądał, żeby Pani ukazała się oczom tłumów.

I Bernadetta też nie rozważała długo tego zagadnienia w swej młodej główce. „Gdy burza minęła — kończy Jan Estrade — wstała bojaźliwie, spojrziała jeszcze raz, lecz bez cienia urazy, na księdza proboszcza, skłoniła się mu i wyszła.”²⁹

*

W ostatnich godzinach nocy na niedzielę 28 lutego padał deszcz³⁰. Mimo to przed grotą zgromadziło się ludzi więcej niż zwykle. Według oceny Jana Estrade’a było tam 2000 osób, a między nimi liczni robotnicy i kilku żołnierzy z załogi zamkowej, liczącej 60 żołnierzy.

Bernadetta przybyła w okolice Espélugues na krótko przed siódmą. Jest „czyściutka, ubrana w skromną, niedzielną odzież”. Towarzyszy jej ciotka Lucyla, niosąca świecę. Dziecko trzyma już w ręku różaniec i już z daleka „patrzy na dolinę Gave z wyrazem człowieka, któremu się spieszy dokądś”³¹.

Lecz przez zwarte szeregi przeciska się bardzo powoli. Na szczęście

strażnik polowy Callet, który czekał na nią u drzwi „więzienia”, teraz, w pobliżu grotty, z własnej pobudki toruje jej drogę, wołając: „Na bok!... Bernadetta idzie!” Nie przeszkadza to pocziwemu człowiekowi ostrzegać nieroztropnych, którzy, trzymając się krzaków, niemal wisieli „nad przepaścią... Trzymali się oni — stwierdza strażnik — jak ptaki na gałęziach... Oczywiście musiałyby Najświętsza Panna tym się zająć. Byli tam od trzech, czterech godzin w tak straszliwy ziąb.”³²

Znamienną cechą tego jedenastego objawienia są dowody większej niż zwykle pokuty Bernadetty. Zatopiona w ekstazie, Bernadetta, odmówiwszy dwie czy trzy tajemnice różańca, nagle usiłuje czołgać się na kolanach. Tłum jednak tak zwarcie ją otacza, że nie może się posunąć. Widząc to, dwaj żołnierze garnizonowi przedzierają się do niej, biorą ją w środek i, wołając: „Miejsce, miejsce!”, prowadzą, dokąd pragnie dojść. Ona zaś wspina się „7 do 8 metrów”, następnie schodzi na swoje miejsce; i tak wchodzi po raz drugi i trzeci, tylekroć, ilekroć P a n i poleci jej to pokutne ćwiczenie.

„Gdy się chciało podejść na stopach [w głąb grotty], nogi się ześlizgiwały, ponieważ ziemia była pokryta śliskim mułem — stwierdza Piotr Callet. — Nie widziałem, żeby odzienie Bernadetty było zabrudzone. Inni też zauważyli, że się nie brudziła”. Jednakże — szczególnie ten nie ujdzie uwagi Jakubie Pène — „całując ziemię, brudziła sobie wargi i ręce, lecz tym się nie zrażała”.

„Przeszła obok mnie i jeszcze miała przechodzić — ciągnie dalej panna Pène. — Odezwałem się do starego strażnika polowego, który obok stał:

— Dzisiaj coś nowego.

Pocziwy strażnik był już bardzo wruszony. Moje słowa dopełniły miary:

— O, tak! — odpowiedział — i to coraz mocniej!

A następnie, zwróciwszy się do tłumów, zawołał donośnym głosem:

— Całujcie ziemię!... wszyscy!

Tłum usłuchał. Ci, co mogli, upadli na kolana, całując kilkakrotnie ziemię, tak jak Bernadetta. Było tyle ludzi, że większości tłok nie pozwolił dosięgnąć ziemi, lecz wszyscy się starali spełnić polecenie. Strażnik polowy dał przykład, uklękawszy i ucałowawszy kilkakrotnie ziemię...

Czy to z szacunku, czy z konieczności tłum nie chronił się od deszczu. Prawda, że parę parasoli rozwinęło się, lecz zaraz poczęły rozbrzmiewać wołania: «Precz z parasolami!»

Ks. Pène zapytał swej siostry, „czy Bernadetta podczas czołgania się na kolanach i całowania ziemi stale pozostawała w ekstazie”. Na to ona mu odpowiedziała: „Tak, stale, i to do tego stopnia, że wydawała się cała pochłonięta tymi czynnościami. Miało się wrażenie, że ona czuje się, jakby była sama jedna na świecie, że żadne szmery, żadne wydarzenia nie

przeszkadzają jej być tak zajętą czy to kontemplacją P a n i, czy spełnianiem Jej poleceń.”³³

W minutach ekstazy poprzedzających czołganie się na kolanach Bernadetta nie zapomniała o kłopotliwym żądaniu księdza proboszcza. Żądanie to zostało przyjęte tak, jak na to zasługiwało. Sama jasnowidząca opowiada, że „po odmówieniu różańca” raz jeszcze z ramienia ks. proboszcza poprosiła, by P a n i podała swoje imię i udowodniła swoją obecność cudem natychmiastowego zakwitnięcia dzikiej róży. „W drodze powrotnej zaszłam do księdza proboszcza, by mu powiedzieć, że spełnilam jego zlecenie, lecz P a n i tylko się uśmiechnęła.”³⁴

IX

„PRZEZ PIĘTNAŚCIE DNI”

PROCESJA

BERNADETTA PRZED SĘDZIĄ SLED CZY M — NIEDZIELA 28 LUTEGO.

DWUNASTE I TRZYNASTE OBJAWIENIE — PONIEDZIAŁEK 1 MARCA, WTOREK 2 MARCA

Można sobie wyobrazić zakłopotanie władz państwowych w Lourdes: burmistrz, komisarz, prokurator cesarski nie byli nieprzyjaciółmi czynnika nadprzyrodzonego, lecz uznali za rzecz rozsądną wyłączyć go ze „sprawy Soubirous”. W niedzielę, 21 lutego, wieczorem, panowie ci udali się zadowoleni na spoczynek w przeświadczeniu, że ostatecznie odwrócili od grotty Bernadettę i wszystkich jej współników — jeśli ich miała. Nie, ta komedia w Massabielle już się nie powtórzy. Żandarmi, policjanci, strażnik połowy czuwają: Ich szefowie mogą spać spokojnie.

Nieprzyjemne obudzenie: znowu to łomotanie drewniaków przesuwające się powoli ku Massabielle i to -- o ironio! — coraz silniejsze!... Z kogo tu drwiny?

Redakcja biednego *L'avedan* wcale temu nie winna. Wszak ona ma do dyspozycji tylko pioruny tygodniowe, które zresztą — na domiar nieszczęścia — uderzają z opóźnieniem. Drugi numer, który opowiada o „awanturze”, ma datę 25 lutego 1858 r., tylko że jego skład ukończono 1 marca... No, ale za to są w nim wiadomości z tego właśnie marcowego

poranka. — To kpiny! — mówią sobie władze. Aby na czas oświecić opinię publiczną, trzeba by znowu wziąć się do dzieła.

Jednakże z obawy ośmieszenia się Dutour nie chce się zadawać — zaledwie w tydzień po pierwszej porażce — z tą upartą Soubirous. Zresztą już i tak zaczynają się dla niego nieprzyjemności. Krążą po mieście jakieś plotki, które bawią członków klubu z *Café Français*, a które zmuszają dewotki do żegnania się. Oto Anna Dupas — że przytoczymy tylko jedną — dowiaduje się od sklepikarki Casterets, która mieszka niedaleko Dutour, że prokurator „chciał jeszcze zbesztać Bernadettę”, lecz widział „strach”... Doszło do tego, że — według wymienionej Casterets — „wychodząc z klubu Świętego Jana” prosił notariusza Claverie, by go odprowadził do domu. Znalazłszy się nawet w swoim pokoju, widział tam „ponad sto zapalonych świec”¹. Podobne ploteczki oczywiście nie wpłynęły na postanowienie prokuratora. Nie miał on po prostu dość siły do bezpośredniego wystąpienia przeciw jasnowidzącej.

Według jego zdania wypada teraz sędziemu śledczemu, Klemensowi Rives’owi, wziąć sprawę w swoje ręce. Jego tytuł robi wrażenie: Dla prostego ludu stanąć przed sędzią śledczym to tyle, co być pozwanym przed sąd. A przecież z sądu do więzienia niedaleko... W danym więc wypadku można liczyć na skutek zastraszenia. Zresztą K. Rives w razie potrzeby umie mówić brutalnie. Zeszłego roku postępował bezwzględnie z Franciszkiem Soubirous, teraz nie ma zamiaru być delikatniejszym dla jego córki.

Jednakże żadnego pisemnego wezwania, żadnej formalności sądowej. Bernadettę przyprowadzi dobroduszny dróżnik Latapie.

Usposobiony sceptycznie względem objawień, Rives nie zdawał się brać poważnie przesłuchiwania jasnowidzącej. Nie zostawił z niego żadnych notatek. Jego odezwania się były krótkie, cięte, groźące, szydercze — w tonie człowieka pewnego zwycięstwa. Nie dla niego żarciki w stylu *Café Français*!

Dróżnik Latapie, który miał dobrą pamięć, odtworzył scenę łatwo i żywo².

„Po sumie komisarz zatrzymał mnie przed kościołem i rzekł mi:

— Proszę się trochę ze mną zatrzymać.

W chwili wyjścia siostr z przytułku i ich uczennic zwrócił się do mnie:

— Zna pan małą Bernadettę?

— Znam.

— Pan ją weźmie natychmiast po wyjściu z kościoła.”

Gdy wyszła w szeregu innych uczennic, wzięłam ją delikatnie za ramię.

— Dlaczego pan ją bierze? — zapytała siostra opiekunka i poczęła płakać.

— Mam rozkaz.

Bernadetta rzekła mi:

— Co pan ode mnie chce?

Odpowiedziałem:

— Musisz małą pójść ze mną.

Ona zaś zaczęła się śmiać i rzekła:

— Proszę mnie mocno trzymać, bo ucieknę.

Szedłem obok niej, a komisarz za mną. Ludzie, zdziwieni, patrzyli się, nic nie mówiąc.

Poszliśmy do p. Rives'a, sędziego śledczego, który mieszkał u notariusza Claverie. Gdyśmy weszli, sędzia odezwał się do Bernadetty w narzeczu:

— Jesteś więc, urwiszu.

— Tak, proszę pana, jestem.

— Zamkniemy cię... Po co chodzisz do grotty? Dlaczego tak wodzisz tylu ludzi za sobą? Inni cię do tego zachęcają. Zaraz cię wtrącimy do więzienia.

— Jestem gotowa. Zamknijcie mnie. Lecz więzienie niech będzie silne i dobrze zamknięte, w przeciwnym razie ucieknę.

Ci panowie się nie śmiali. Sędzia rzekł.

— Musisz się wyrzec chodzenia do grotty.

— Nie odmówię sobie chodzenia tam.

— Będziesz zamknięta.

— Jeśli nie będę mogła, to nie pójdę.

— Skażę cię na śmierć w więzieniu!

W tej chwili płacząc weszła siostra przełożona przytulku i odezwała się:

— Proszę was, panowie, zostawcie nam małą. Nie skazujcie jej na śmierć!

Bernadetta musiała być święta lub mieć dużo natchnienia, żeby tak zachować zimną krew. Sędzia rzekł do komisarza:

— Co mamy z nią zrobić? Wypuśćmy ją. Nie ma tu o co zahaczyć.

Bernadetta siedziała przed sędzią, sędzia za stołem, a p. Jacomet się przechadzał; ja stałem obok Bernadetty.

Wtedy poszła z siostrą, a wychodząc rzekła:

— Będę tam chodziła. Czwartek będzie ostatnim dniem"³.

W kilka chwil potem Rives i Jacomet spotkali się z Dutourem. Wszyscy trzej wkrótce uzgodnili swoje poglądy: władze sądowe, policja miejska, już to natrafiając sprzeciw, już to nie mając odpowiedniej pomocy, nie doprowadziły do uspokojenia. Trzeba tedy oprzeć tę sprawę na szerszej podstawie prawnej. Prokurator cesarski ma poinformować szczegółowym raportem swego zwierzchnika, prokuratora generalnego, rezydującego w Pau.

Skreśli mu więc, w słowach umiarkowanych, krótką historię wydarzeń od czwartku 11 lutego do poniedziałku 1 marca. Nadmieni, że dotychczas policja „musiała się ograniczać do obowiązku czuwania.”⁴, lecz

że zachodzi wielka obawa, „czy nie będzie zmuszona interweniować”, albowiem „Bernadetta Soubirous ma nieprzepartą siłę przyciągania... W przyszły czwartek, 4 marca, ma być ostatnie nawiedzenie groty”. Na ten czwartek, który jest dniem targowym, należy przewidywać olbrzymi napływ ludzi”. Co się może stać?... Roztropność radzi uniemożliwić dziecku dostęp do miejsca jej „długotrwałych ekstaz”. Jednakże dla osiągnięcia tego celu „trzeba by się uciec do ostatecznego środka, do uwięzienia”. Niestety, „środek ten trudno by było usprawiedliwić w zbiegu wypadków, gdzie ustalenie złej wiary domniemanej wizjonerki, jako też materialnych elementów czynu przestępczego, byłoby rzeczą niemożliwą”. Gdyby jeszcze można było zapewnić sobie współdziałanie miejscowego duchowieństwa! „Duchowieństwo zachowuje w tym względzie nadmierną rezerwę.” Jakkolwiek by było, prokurator cesarski „porozumie się z władzami miejscowymi w celu zapobieżenia zaburzeniom. Jeśli zajdzie potrzeba stanowczych posunięć, będzie to uważał za zgodne ze swym obowiązkiem...”

Tego południa, gdy Bernadetta wchodzi do swoich, matka na jej widok nie może się powstrzymać od łez. „Nie płacz, mamusiu — woła Bernadetta, rzucając się jej na szyję. — Matka Boska będzie nas broniła!”⁵

*

Nazajutrz o siódmej dziecko, równie śmiałe jak wczoraj, przybywa do Massabielle. Jest poniedziałek, 1 marca, dwunasty dzień wzruszającej „piętnastki”.

Tym razem obok Bernadetty jest nie tylko matka, ale i ojciec. Franciszek Soubirous, zaniepokojony faktem, że jego mała podczas zachwyków jest zewsząd otoczona niedyskretnym tłumem, w który mogą się wśliznąć osoby nieżyczliwe, przybył jej bronić.

Dzielność tych rodziców zasługuje na podziw. Od ośmiu dni żyją w atmosferze podejrzliwości. „Śledzono każdy ich krok — zaświadcza Jan Estrade. — Starano się zrećennie podejść ich dzieci by uzyskać od nich jakąś niedyskretną wiadomość. W nocy tajemnicze osobistości zaczynały się za drzwiami, za oknami, by przez szpary podpatrzeć, co się działo w podejrzanym mieszkaniu.”⁶ A przede wszystkim nad głową ukochanej córki stałe się unosiły niepokojące pogroźki porwania lub wtrącenia do więzienia... Mimo tego, oto jedno i drugie obok niej — jakby protest i szaniec — przed tą grota, do której nie wolno jej chodzić. Zaiste, tego ranka Franciszek i Ludwika Soubirous musieli usłyszeć, tak jak ich córka, wewnętrzne wezwanie P a n i.

Tego poniedziałku, 1 marca, zajdą jeszcze inne, nowe i nie mniej godne pamięci, fakty.

Ksiądz w Massabielle... Był to 27-letni Antoni Dézirat, wyświęcony na kapłana 19 września 1857 r. Czekał na nominację, mieszkał u swych

rodziców w Barbazan-Debat w kantonie Tarbes. Wracał teraz z odwiedzin księdza Glaire'a, który dawniej był proboszczem jego miejscowości rodzinnej, a obecnie był na tym samym stanowisku w Osmets w północnej części diecezji. „Dopiero teraz właśnie — opowiada ks. Dézirat — dowiedziałem się o dziwnych wydarzeniach w Lourdes. Byłem ciekaw zobaczyć...”⁷

Wyruszył wozem z mieszkańcami Osmets bardzo wcześnie rano. Wypadło jechać przez Lourdes. Lecz ponieważ ks. Peyramale zakazał księżom udawać się do grotty, ks. Dézirat polecił ominąć to miasto, mimo że zakaz ten dotyczył tylko duchownych dekanatu i że zresztą — było jeszcze ciemno. Do grotty przybył o świtaniu. O objawieniach tych nie miał żadnego z góry powziętego sądu. Jednakże obawiał się złudzeń lub podstępów szatana „przemienionego w anioła światłości”. Był to piękny umysł, serce delikatne i pobożne aż do skrupułów.

Komisarz w swoim raporcie z datą 2 marca podaje, że „w poniedziałek rano 1 marca... naliczono 1300 osób wracających do miasta”; a na drogach wiodących do wiosek mogło być drugie tyle.

Byli tam „różni ludzie: robotnicy, wieśniacy, mieszczenie i kilku wojskowych”. Dołączyli się do nich przybysze z Osmets. Tak więc ks. Dézirat będzie mógł porównać Bernadettę „powszednią” z Bernadettą tonącą w głębokim zachwycie.

„Przybyła ona mniej więcej po upływie godziny — pisze ks. Dézirat. — Skoro się pojawiła, przypatrywałem się jej uważnie: jej wyraz twarzy był spokojny, wzrok skromny, chód bardzo naturalny, ni za wolny, ni za pospieszny; żadnego objawu egzaltacji, ani śladu choroby...”

Tłum znajdujący się na drodze pospieszył za nią na miejsce objawień. I ja skierowałem się tam razem z tym tłumem. Gdyśmy stanęli naprzeciw grotty, ktoś się odezwał: «Przepuście tego księdza.» Słowa te, chociaż wymówione cicho, łatwo można było słyszeć, ponieważ wszędzie panowało głębokie milczenie... Zrobiono miejsce. Postąpiwszy o kilka kroków, stanąłem tuż obok Bernadetty, nie dalej niż o metr od niej...

Od chwili, gdy się znalazłem przy niej, do rozpoczęcia wizji nie upłynęło więcej czasu niż potrzeba na odmówienie jednego dziesiątka różańca...”

Zakaz proboszcza niepokoi młodego kapłana. Chce jak najprędzej odejść. Całą więc uwagę skupia na młodej ekstatyczce.

„Z jej postawy, z rysów twarzy widziało się, że dusza jej była w zachwycie. Jakiż głęboki pokój! Jaka pogoda! Jak wysoka kontemplacja! Uśmiech był nad wyraz cudny. Wzrok dziecka, skierowany ku Zjawie, nie mniej zachwycał niż uśmiech. Niemożliwe wyobrazić sobie coś równie czystego, słodkiego, kochającego...”

Ze skrupulatną dokładnością obserwowałem Bernadettę, gdy szła do grotty. Jakaż różnica między tym, czym wówczas była, a tym, co widzia-

łem w czasie trwania objawienia: taka sama różnica jak między materia a duchem...”

A tłum?

„Tłum doznawał słodkiego wzruszenia. Wprawdzie tylko Bernadetta widziała Zjawę, lecz wszyscy jakby wyczuwali Jej obecność... Radość zmieszana z obawą malowała się na każdej twarzy. Trudno sobie wyobrazić bardziej religijny widok... O, jakże błogo tam było! Czuję się jak w przedśionku nieba.”

Ks. Dézirat nie był do końca ekstazy. „Musiałem odejść — dodaje — lecz tylko z wielkim trudem zdołałem się oderwać od tego błogosławionego miejsca.” Inni będą świadkami zdarzenia, którego znaczenia tłum nie uchwyci, a którego tłumaczenia będą niekiedy fantastyczne.

Oddajmy głos Estrade'owi, który był w Massabielle podczas tego dwunastego objawienia.

„Tego dnia byłem świadkiem wspaniałego objawu entuzjazmu religijnego. Bernadetta, wróciwszy spod niszy na swoje zwyczajne miejsce, uklękła i — jak zwykle — wyjęła z kieszeni koronkę. Lecz w chwili, gdy zwróciła wzrok na uprzywilejowany krzak, twarz jej się zasmuciła... Z wyrazem zdziwienia podniosła koronkę na całą długość ramienia... Minuta oczekiwania. Nagle chowa tę koronkę do kieszeni, a wyjmuje inną, potrząsa nią i podnosi jak najwyżej. Niepokój znika z jej twarzy. Skłania się, znowu się uśmiecha i rozpoczyna modlitwę.

Wszyscy spontanicznym ruchem wyjmują koronki i potrząsają nimi. Wznoszą się okrzyki: «Niech żyje Maryja!» Wreszcie każdy klęka i modli się ze łzami w oczach.

Przeciwnicy objawień rozpuścili pogłoskę, że dnia tego Bernadetta poświęcała różańce.”⁸

Pogłoska ta była fałszywa, bo tegoż dnia dziewczynka sama wyjaśniła znaczenie swojego postępowania. Otóż pewna pobożna krawczyni z Lourdes, Paulina Sans, nie mogąc z powodu słabego zdrowia udać się do Massabielle, wyszła na spotkanie jasnowidzącej i prosiła ją — jak o wielką łaskę — by się modliła u grotty na jej różańcu.

„Przyrzekłam jej to uczynić i rzeczywiście uczyniłam — odpowiedziała potem Bernadetta ks. Pène'owi i jego siostrze. — Pod koniec objawienia Pani zapytała mnie, gdzie mam swój różaniec. Odpowiedziałam, że jest w kieszeni. Ona zaś rzekła: «Pokaż go.» «Wtedy włożyłam rękę do kieszeni, wyjęłam różaniec i pokazałam jej, trzymając go chwilę w powietrzu. Pani mi powiedziała: «Posługuj się tym.»⁹ Uczyniłam to natychmiast.”

Mimo tak prostego wyjaśnienia ks. Pène, zbity z tropu pogłoska, która już zaczynała krążyć po mieście, zapytał jej: „Czy to prawda, że dziś rano poświęcałaś różańce u grotty?” A ona, uśmiechając się delikatnie, odrzecz mu: „Ależ nie! Kobiety nie noszą stuły.”¹⁰

Jest rzeczą wzruszającą, że Pani poleciła Bernadecie używać tylko

własnej, taniej koronki. Ma się z nią nie rozstawać — to jej skarb. Polecenie to jest lekcją pokory i ukochania ubóstwa: Bóg nienawidzi wystawności, która nawet w praktykach pobożnych byłaby tylko wystawnością.

*

Koniec lutego, początek marca 1858 roku. Coraz bardziej wydłużone twarze pojawiają się w *Café Français*. Tam niby się chce zasięgnąć wiadomości, a właściwie tylko podrażnić lub wydrwić kogoś. Skupiają się więc przy wybitnych obywatelach, którym wydarzenia massabielskie i tak nie dają spać. Stracili oni swoją wspaniałą pewność siebie; te dziwne wydarzenia panują nad nimi. Po ośmiu dniach miało to wszystko zniknąć jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej, a oto jeszcze trwa. Tego ranka łomot drewniaków po bruku wydał się dwa razy intensywniejszy niż wczoraj. Czyż to nie doprowadza do rozpacz?

Zaczyna się poważniejsza dyskusja. Istotnie — mówi Dutour — „to już nie grupa osób idzie za Bernadettą, lecz cały tłum... jakieś poruszenie umysłów, równie dziwne jak szybkie...” Prokurator cesarski podnieca się: „Czyż religia zyska co na tym widowisku?”¹¹

„Czemuż więc wy, prawnicy, nie działacie?!” — odezwał się ktoś. Działać!... Łatwo radzić. Lecz machinę sądowniczą mogą puścić w ruch tylko rzeczywiste i ważne powody. A oto już dziesięć dni upłynęło, a tam, w tej niebezpiecznej dolinie, nie zaszła ani jedna sprzeczka między ciekawymi, żadne wykroczenie czynem czy słowem przeciw policji. Z drugiej strony w tym samym czasie ani dziewczynka, ani jej rodzice nie uczynili nic, co by podpadało pod paragraf: agent Filip Viron, wyznaczony potajemnie do obserwowania „wizjonerki”¹², nie mógł jej na niczym przyłapać; ludzie wynajęci przez policję przybywają do Soubirous litować się nad ich ubóstwem, ofiarować im pieniądze: ci nędzarze okazują się nieprzekupni¹³... Jeśli tak dalej będzie, sąd i sędziowie stracą cały swój prestiż, prowadząc głuchą walkę z przeciwnikami chronionymi — o, ironio! — prawem przed prawnikami.

A u źródła wydarzeń, które wstrząsają cichym miasteczkiem Lourdes — czternastoletnia dziewczynka, zupełna analfabetka, lecz — jak zaznaczają niektórzy członkowie klubu — mająca gotową odpowiedź na wszystko.

Jej zwolennicy twierdzą, że w czwartek 4 marca, kiedy to ostatni raz odwiedzi Panią w Massabielle, wydarzy się tam jakiś cud. Oczywiście, na ten dzień spodziewany jest wielki napływ ludzi. Jednakże policja przedsięwzięła wszelkie środki ostrożności: na wtorek 2 marca prokurator cesarski spodziewa się przybycia do Lourdes Duboé, podprefekta z Argelès.

W ten wtorek Bernadetta, otoczona tłumem jeszcze bardziej zwar-

tym niż dnia poprzedniego, miała szczęście widzieć P a n i ą na skale po raz trzynasty. Publiczność stwierdziła tylko, że to objawienie trwało krócej niż poprzednie.

Gdy jednak w godzinę później zauważono, że dziecko z ciotką Bazylą i Bernardą podąży do plebanii, domyślano się, że zaszło coś nowego.

Nie ulega wątpliwości, że Bernadetta Soubirous żywiła głęboką cześć dla ks. proboszcza, ale też osoba jego wzbudzała w niej niemałą bojaźń¹⁴. „Bała się go bardziej niż żandarma” — zapewnia Bazyla Castérot. Lecz umiała przezwyciężyć ten lęk, gdy trzeba było przekazać mu zlecenie P a n i, była bowiem przekonana, że to jej obowiązek.

Mimo wszystko zrozumiałe wydaje się jej postanowienie udania się z kimś starszym do tego straszliwego księdza, tym bardziej że jeszcze była pod wrażeniem przyjęcia, jakiego ostatnio doznała od niego.

„Wyprzedziły nas już inne osoby — opowiada ciotka Bazyla — które przedstawiły księdzu proboszczowi życzenie P a n i. My zostałyśmy źle przyjęte.”

Istotnie, atak był tak nagły, tak zrażający, że Bernadetta, zmieszana, opuściła połowę swego zlecenia. Ks. Peyramale tego dnia mówił tym głośniej, że był bardziej zachrypnięty”.

— „Ach — zawołał — to ty, która w dalszym ciągu chodzisz do groty! Czego tu znowu chcesz?

— P a n i mi powiedziała, że chce, aby urządzono procesję do groty...

— Lecz — jeszcze raz pytam — jakże się nazywa ta P a n i?

— Nie wiem, księżę proboszczu. Ona nie chce powiedzieć swego imienia.

— Więc dobrze, skoro ona nie chce wymienić swego imienia, ty jesteś kłamczynią! To skandal! Robotnicy opuszczają pracę, by iść zobaczyć kłamczynię! Wieśniacy tracą cały poranek, by iść zobaczyć kłamczynię!... Czy ty wiesz, że w świecie całym będzie się mówić o tobie, o twojej grocie? (Zali ks. proboszcz przypuszczał, że to się sprawdzi?)... Wszyscy będą wiedzieli, jakie ty zgorszenie siejesz... Postępowałaś jak bydłeta: jadłaś trawę... Procesja do groty!... Jeśli P a n i jej żąda, niech się zwróci nie do mnie, lecz do biskupa. Czyż ona tego nie wie? Jak ty, kłamczuchu, obrażasz sobie tę procesję?... Zrobimy lepiej: damy ci świecę, a ty sama urządzisz procesję. Dostyć ludzi za tobą chodzi, nie potrzebujesz księży!”

Dziewczynka odpowiedziała: „Nikommu nic nie mówię; nie proszę, żeby mi towarzyszone.”

„Ks. proboszcz — ciągnie dalej Bazyla Castérot — chodził rozgniewany po pokoju i mówił: «Jakież to nieszczęście mieć taką rodzinę, która wywołuje zamieszanie w mieście!... Patrzcie! Patrzcie!... P a n i... procesja!...» Strach było patrzeć na niego i słuchać jego słów. Mała biedaczka, cała schowawszy się w kapturek, siedziała jak trusia, nie śmiając się nawet ruszyć”.

Wejście ks. Pomiana spowodowało odprężenie.

— „Niech ksiądz spojrzy na tę małą, która chodzi do groty — rzekł mu proboszcz. — Naopowiadała nam kłamstw.”

— „Opowiadałaś kłamstwa. Bernadetto? — zwrócił się do niej ks. Poman.

— Nie, proszę księdza...”

„Ks. proboszcz — dodaje ciotka Bazyla — zakończył tę scenę, mówiąc mi: «Odejdźcie już. Umieście ją w szkole. Nie puszczajcie jej do groty. Niech się to raz skończy!»¹⁵

Po wyjściu Bernadetta wyraża żal: powinna była także przypomnieć ks. proboszczowi, że P a n i żądała od niego, by zbudował jej kaplicę¹⁶. Co teraz robić? Jeszcze tegoż dnia znowu pójść... na plebanie!... Lecz ciotka ani słuchać nie chce. Taki strach!... „Bernadetta — opowiada Bazyla Castérot — cała onieśmielona, rzekła mi: «P a n i chce, żebym tam poszła.» Ja zaś odpowiedziałam: «O, mój Boże, jeszcze?» Na głos księdza proboszcza — kończy ciotka — calesmy drżały jak listki osiki.”

Przypadkowe spotkanie wybawi biedną Bernadettę z kłopotu. Tego samego dnia zeszła się z dobrą sąsiadką, Dominiką Cazenave, która jest dzieckiem Maryi i ma już 36 lat, nie jest więc tak bojaźliwa. „Bardzo panią proszę — rzekła dziewczynka — niech mi pani towarzyszy do ks. proboszcza; ani matka, ani ciotki nie chcą pójść ze mną.” Dominika nie śmie odmówić.

„Wyprzedziłam Bernadettę — opowiada ona — i rzekłam ks. proboszczowi:

— Mała, która chodzi do groty, pragnie z księdzem porozmawiać, a nikt z rodziny nie chce jej towarzyszyć. Kiedy można ją do księdza przyprowadzić?

— Proszę ją przyprowadzić o siódmej wieczorem.

— Bardzo księdza proboszcza proszę, by jej nie onieśmielał.

— Nie, nie.

— Księżę proboszczu, jakże ja żałuję, że ksiądz nie widzi tej dziewczynki w ekstazie!

Wieczorem o siódmej Bernadetta wzięła mnie za rękę i poszłyśmy na plebanie... Ks. proboszcz kazał nam usiąść.”

Bez żadnego wstępu jasnowidząca powtarza pierwsze zlecenie P a n i: chodzi o kaplicę, „choćby całkiem małą” — wyjaśnia, jak gdyby po to, by nie zrażać przyszłego budowniczego. Ks. Peyramale rozprawia się krótko: „Zapytaj P a n i jeszcze raz, jak się nazywa. Gdy poznamy jej imię, zbudujemy jej kaplicę; i nie będzie ona całkiem mała, przeciwnie: całkiem duża.”

Ks. proboszcz, któremu ta późna wizyta była niewygodna (dowiemy się niebawem, dlaczego), wypowiedział — nawet się tego nie domyślając — jeszcze jedno proroctwo. „Odeszłyśmy — ciągnie dalej Dominika. — Bernadetta ujęła mnie za rękę i rzekła: «Jestem zadowolona. Spełniłam polecenie.» Zachęcałam ją, by zapytała P a n i a o imię, gdyż bez te-

go nie będzie kaplicy. «Dobrze — odpowiedziała — jeśli sobie przypomnę.»¹⁷ Przez te słowa chciała powiedzieć, że podczas zachwyceń, zapominając o ziemi, była mniej pewna swej pamięci.

Wizyta i zlecenie na razie całkiem bezcelowe! W chwili, gdy Bernadetta ponownie przybywa do ks. proboszcza, on już ma gotowe postanowienie. Dowodem tego raport, tak umiarkowany co do formy, którego pisanie kończył — być może w tej samej godzinie — prokurator cesarski z zamiarem przesłania go prokuratorowi generalnemu w Pau:

„Oto mamy 2 marca. Liczba pielgrzymów, którzy co rano podążają za Bernadettą, zwiększa się z dniem każdym. W czwartek, 4 marca, upływa ostatni z 15 dni, w czasie których ta dziewczyna przyrzekła wiernie przychodzić do grotty. W dniu tym będzie targ w Lourdes. Jakiegoż to napływu ludzi trzeba się spodziewać!...

Z depeszy dowiaduję się, że p. podprefekt przybędzie porozumieć się ze mną co do zarządzeń, jakie należy wydać. Wszystko na to wskazuje, że w czwartek droga do massabielskiej skały będzie zatłoczona. Do grotty prowadzą ścieżki po urwistym, stromym zboczu: bezładny ruch tłumu, który zgromadzi się na płaskowzgórzu, na ścieżkach i nad brzegami Gave, bez wątplenia musi doprowadzić do poważnych wypadków.

W konferencji, którą odbyli, podprefekt i prokurator cesarski doszli zgodnie do porozumienia, że w obecnym stanie rzeczy mają tylko obowiązek nadzoru i że o ich zamiarach wypada powiadomić lurdzkich przedstawicieli władzy kościelnej, która oczywiście nie może być obojętna na te manifestacje.

Udali się tedy do ks. Peyramale'a i wyjawili mu swój zamiar wydania rozporządzeń, w myśl których mały oddział piechoty oraz żandarmi i policjanci miejscy przyczynią się do zachowania środków bezpieczeństwa, jakich wymaga ukształtowanie terenu.

Ks. Peyramale wyraził swą wdzięczność; zaaprobował planowane środki bezpieczeństwa i uznał je za nieodzowne. Będąc temperamentu, który uniemożliwia tajenie myśli i tłumienie uczuć, opowiedział o zabiegach Bernadetty u niego. Oto, co jej odpowiedział: «Powiedz tej — która, jak mniemasz, wysłała cię — żeby — jeśli chce mnie skłonić do wiary w twoją prawdomówność — spowodowała rozkwit dzikiej róży. Gdyby Najśw. Panna chciała procesji, skierowałaby cię nie do mnie, lecz do biskupa.» Taka odpowiedź oczywiście nie zachęciła posłanki do nalegania.”

Z tego raportu wynika, że w istocie proboszcz, prokurator i podprefekt są w zgodzie: ich zdaniem Bernadetta żyje w świetle urojeń, sama zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy; i można by to zlekceważyć, gdyby tej jej niewinne marzenia nie były poruszyły tłumów. Teraz jednak nie można postawić tamy fali ludzkiej, która się przelewa do Massabielle.

Wystarczy wszakże pozwolić jej swobodnie przejść i... rozplynać. Dziewczątka samo się do tego walnie przyczyni: gdy za kilka dni dom-

niemana P a n i przestanie się ukazywać w grocie, i ono nie będzie tam chodzić.

Porządek zostanie przywrócony.

X

„PRZEZ PIĘTNAŚCIE DNI”

NIEPRZEPARTY PĘD TŁUMÓW

CZTERNASTE I PIĘTNASTE OBJAWIENIE —
ŚRODA 3 MARCA, CZWARTEK 4 MARCA

Jedna próba pociąga za sobą drugą: już po raz wtóry nie przychodzi P a n i pocieszyć Bernadetty swym uśmiechem po jej przykrych przeżyciach dnia poprzedniego. Chce Ona, bez wątpienia, raz jeszcze zahartować duszę pokornej jasnowidzącej na nowe walki i nowe zwycięstwa.

Rankiem 3 marca szczególnie ból przygniała serce biednego dziewczątka: wspomnienie jej ostatnich widzeń z ks. proboszczem przytłacza ją bardziej niż wszystko inne. Kapłan, do którego P a n i posyła ją ze zleceniem, stale nie chce jej wierzyć, podczas gdy ona ma przeświadczenie, że nie kłamie, albo też żąda zuchwale — jako warunku swej wiary — cudownych dowodów, których niebo ma prawo mu nie dać.

Lecz tego poranka zmartwienia pochodzące od ludzi szybko pójdą w niepamięć!... Pierwsze zorze wybiegają na spotkanie Bernadetty w Masabielle. Przybyła z matką. Obie klękają i długo się modlą.

Niestety, podnoszą się z łkaniem i odchodzą wśród śmiertelnej ciszy.

Trzy tysiące ludzi — według oceny Clarensa, który wtedy był obecny — było świadkami ich niepowodzenia. I znów odzywają się wśród tłumu głosy „ludzi oświeconych”: Bernadetta się myli... zwodzi... podlega halucynacjom. Lecz znów ludzie nieuprzedzeni zaczynają się zastanawiać. Clarens jest z ich liczby: gorzkie rozczarowanie jasnowidzącej nie uszło jego uwagi.

„Wizja — pisze on w swym raporcie z 4 marca, przeznaczonym dla prefekta — nie objawiła się dziewczynce, co zdało się mocno ją przejąć. Warto zwrócić uwagę na ten szczegół, który — być może — nie wydaje się popierać podejrzeń o halucynację.”

Także pewien woźnica, Jan Cazenave, zauważył „ból Ludwiki Soubirous i jej córki”.

„Powiedziałem sobie: gdyby mała zwodziła, cóż by jej przeszkodziło powiedzieć, że również tego ranka widziała tak samo jak innymi dniami?”¹

Bernadetta powróciła do domu. Przybyła tam wkrótce przyjaciółka rodziny Soubirous, Anna Dupas, przyprowadzając dwie nauczycielki pragnące poznać jasnowidzącą. „Zastałyśmy ją — opowiada Anna — opartą o łóżko z twarzą w dłoniach i smutną. Mówiła: «Cóż ja Jej zrobiłam? Może się Ona na mnie gniewa?»”²

Okolo pół do dziewiątej nadszedł kuzyn Andrzej Sajous. Był on o siódmej przed grotą i widząc lzy dziewczynki zaproponował jej: „Jeśli byś chciała jeszcze raz dzisiaj tu przybyć, i ja przyjdę z tobą.” Otóż Bernadetta znowu słyszała głos wewnętrzny zapraszający ją na tak upragnione spotkanie. Lecz chciałaby być tam sama. „Jeśli chcesz — podsuwa jej myśl Andrzej Sajous — pójdziemy drogą pozaforteczną. W ten sposób ominiemy miasto i nikt za nami nie przyjdzie.”

„Takeśmy też uczynili — ciągnie dalej Sajous. — Byli ludzie, ale nie tak dużo: wielu z tych, co tam spędziło noc, już odeszło... Przybyliśmy tam około dziewiątej.

Bernadetta uklękła, wyjęła koronkę, ujrzała Zjawę i odeszła uradowana.

W mieście mówiono: «Już Jej nie zobaczy. Niektórzy nieodpowiednio się zachowali u grotty.»”³

Wieczorem tego czternastego objawienia przybyła z Momères ciotka Bernadetty ze swą córką, Joanną Marią Védère. Pragnęły być u grotty w ostatnim dniu „piętnastki”.

„Powiedziano mi — opowiada Joanna — że Bernadetta jest u ks. proboszcza... Gdy powróciła, zanim zasiedliśmy do stołu, rzekłam do kuzynki:

— Słyszałam, że dziś rano nie widziałas P a n i i może się zdarzyć, że i jutro Jej nie zobaczysz.

Ona zaś odpowiedziała:

— Lecz widziałam Ją w ciągu dnia.

Zapytałam następnie:

— Dlaczegoś Jej nie widziała tego ranka?

Ona mi odpowiedziała, że P a n i jej wyjaśniła:

— Nie widziałas mnie rankiem, bo były tu osoby, które pragnęły widzieć twoje zachowanie się w mojej obecności, a które nie były tego godne: spędziły noc w grocie i zbecześciły ją.”

Zapytana potem co do jej krótkiej wizyty na plebanii, jasnowidząca śmiało powiedziała, że na rozkaz P a n i już po raz trzeci poszła przypomnieć ks. proboszczowi rzecz, na której tak Jej zależało.

„Co mi powiesz?... Co ci powiedziała P a n i?” — zapytał ks. Peyramale, tym razem przyjemnym tonem. Dziecko, ośmielone, odpowiedziało:

— „Uśmiechnęła się, gdy Jej powiedziałam, że ksiądz proboszcz żąda od Niej cudu. Powiedziałam Jej, żeby kazała zakwitnąć róży, która jest obok Niej; Ona znów się uśmiechnęła. Lecz Ona żąda kaplicy.

— Czy masz pieniądze na jej zbudowanie?

— Nie, księżu proboszczu.

— I ja też nie mam. Powiedz P a n i, niech ci ich da.”⁴

Po tym dygnąwszy, dziecko odeszło.

*

A więc to jutro, 4 marca, ten wielki dzień.⁵

Przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności na wypadek zaburzeń. Ostatnimi czasy porucznik żandarmerii Bourriots przybył z Argelès do Lourdes, „by zbadać bliższą i dalszą okolicę groty, której plan zrobił. Zbadał również dostęp do domu Bernadetty.”⁶

Oto przez osiem dni w mieście departamentalnym śmiano się z wydarzeń lurdzkich; teraz, gdy ciekawi w dalszym ciągu napływają do Massabielle, uśmieшки są mniej szczerze. Lecz cóż robi ten Lacadé? — pyta się prefekt Hautes-Pyrénées. Baron Oskar Massy, przed dziesięciu miesiącami mianowany przez Piusa IX komandorem orderu Św. Grzegorza, jest praktykującym katolikiem. Pan Lacadé, także praktykujący, utrzymuje jak najlepsze stosunki z ks. Peyramale'em; chętnie przejmuje jego sposób widzenia. Odnośnie do wizji Bernadetty — stwierdza szczerze dróżnik Latapie — „p. Lacadé był kontra, tak jak i ks. proboszcz”⁷. Jednakże gdy okoliczności stają się coraz bardziej delikatne, burmistrz wolałby pozostawić żandarmerii całą tę nieprzyjemną sprawę środków represyjnych. Lecz oto chcąc nie chcąc musiał ulec trybom machiny administracyjnej. W środę 3 marca o 7 wieczorem otrzymuje ekspres z Tarbes.

„Trzeba koniecznie — poleca prefekt burmistrzowi lurdzkiemu — wydać rozporządzenia zapewniające porządek. Proszę Pana, by w tym celu porozumiał się z prokuratorem cesarskim i komendantem oddziału żandarmerii.”

Lacadé spieszy do prokuratora, a sekretarz magistratu Joanas biegnie do koszar wezwać wachmistrza żandarmerii. W toku tej pospiesznej narady prokurator Dutour okazuje pewien pesymizm. Wszak porucznik żandarmerii Bourriots powiedział, że jeśli jutro będzie piękna pogoda, na jarmark do Lourdes może przybyć 25000 ludzi, a większość, zajęta ciekawością widzenia cudu, uda się do groty. A niechby tylko w tym wąwozie massabielskim zebrało się dwadzieścia tysięcy i niech no te głowy pirenejskie się podniecą...

Lecz wachmistrz udaje spokój: on ma ściśle instrukcje⁸. Podżegacze do rozruchów, jeśli się znajdą, będą unieszkodliwieni. Na posterunku stoi

„koń pod siodłem i człowiek, który hy” na wypadek poważniejszych zaburzeń, „mógł na pierwszy sygnał ruszyć z ordynansem do Tarbes”. Prócz tego na szóstą rano przybywają znaczne posiłki żandarmerii z Saint-Pé, z Argelès i z Luz. A oto co jeszcze dla onieśmienia tych porywczych Pirenejczyków. „Czytajcie sami, panowie” — woła wachmistrz d’Angla:

„Polecić każdemu wziąć karabinek i mieć pistolet w kieszeni. Broń niech będzie nabita.

Strój ma być regulaminowy, taki jak pod broń, a nie zwykły służbowy. Polecić opuścić podpinki pod brodę i przed wyruszeniem przeprowadzić inspekcję Waszych ludzi, którzy stale winni być w rękawiczkach. Proszę tego dopilnować...

Zalecić Waszym ludziom wiele spokoju. Tych, co najmniej odznaczają się tą zaletą, miejcie przy sobie, by w razie potrzeby można było ich powściągnąć.

Ruch na drodze do groty trzeba uporządkować. Każdy winien iść lewą stroną. Rozrządzenie winno nastąpić w punkcie najodpowiedniejszym, najwęższym i najbliższym miasta. Nad jego zachowaniem będą czuwać żołnierze, odpowiednio rozstawieni. Zażądajcie do tego zadania piętnastu ludzi.”

„To wszystko nie wystarczy” — westchnął burmistrz. W rezultacie pięć minut później wspina się po stopniach do zamku sztafeta z misją oddania do rąk własnych „Pana Komendanta fortecy w Lourdes” tej naglącej i unizonej prośby:

„Przewidywany na dzień jutrzejszy znaczyny napływ przybyszów zmusza mnie prosić Pana, by w interesie dobra publicznego dał do mojego rozporządzenia swoje wojsko. Proszę Pana uprzejmie by wyznaczeni żołnierze przybyli jutro na 6 rano do magistratu.”

Tak więc Lourdes przebudzi się w stanie oblężenia.

Lecz czyż jeden z urzędników prefektury nie puścił pogłoski, że ludzie mający złe zamiary ukryli bomby zegarowe w grocie lurdzkiej, że — w najlepszym wypadku — fanatycy lub figlarze mogli tam przygotować iluminacje, jeśli nie ognie sztuczne? Tej środy o jedenastej wieczorem „wszystkie zakątki groty — jak notuje komisarz policji — szczegółowo przejrzą” następujący urzędnicy: komisarz Jacomet, sekretarz magistratu Joanas jako delegat burmistrza i wachmistrz d’Angla. Nadto trzech policjantów miejskich stanie na posterunku u podnóża skał masabielskich i nie opuści stanowiska aż nazajutrz po manifestacjach.

W grocie nic nadzwyczajnego: ani machin morderczych, ani lampionów, ani rakiet. Badając teren wokół źródła, nasi trzej inspektorzy znaleźli jedynie ten skromny łup: 6 monet, stary różaniec, kilka gałązek warzyny związanych w bukiety wokół dwu paczków róży. Oprócz tego inspekcja wykazała, że nie ma tu ani żadnego współdziałania z jasnowidzącą ani oszustwa.

W czwartek o czwartej rano ponownie przetrząsnięto grootę. Tym razem niezmordowanemu komisarzowi towarzyszy adiutant Armand Capdeville — obaj przepasani szarfami. Ta druga rewizja „nie zmieniła wyniku z ubiegłego wieczoru.”⁹

O piątej rano na ulicy des Petits-Fossés czeka kilka grup „pielgrzymów”, nad którymi rozciąga kontrolę dyskretna służba porządkowa.

Okolo piątej trzydzieści trzech lekarze z Bordeaux, przyproawdzeni przez jakąś panią z Lourdes, pukają do drzwi „lochu więziennego”. Joanna Védère, która o tym opowiada, nie wiedziała, czy przybyli oni na prośbę prefektury, czy też prywatnie. Oświadczają, że chcieliby zbadać Bernadettę. Ta im cierpliwie odpowiada na wszystkie pytania. Powrócą po południu, gdy Bernadetty nie będzie w domu, i oświadczą jej rodzicom, że ją uznają za „zdrową fizycznie i umysłowo”¹⁰.

O szóstej jasnowidząca jako też jedna z ciotek lurdzkich oraz krewna z Momères są w kościele. I podczas gdy cała okolica z powodu niej jest poruszona, ona modli się nieco na ustroniu, tak jakby była sama.

Ere Impériale, półoficjalny organ prefektury Tarbes, dziennik o opinii chwiejnej, w numerze z datą 4 marca tak opisuje tę prawdziwą mobilizację duchową:

„Od wczoraj rana w całym departamencie wszystkie drogi zatłoczone są wozami, jeźdźcami, pieszymi podążającymi do Lourdes. Wizjonerka oświadczyła, że dzisiaj, 4 marca, o 12.30, istota nadprzyrodzona, z którą ona obcuje, ma jej powierzyć nadzwyczajne objawienia.”

Jakaż wiara, jakiż religijny zapał u tego ludu w pochodzie, do którego pobudza nadzieja:

„Było nas przeszło stu, którzyśmy w nocy przyszli z Saint-Pé. Mówiono: «Matka Boska się objawi i wszyscy Ją ujrzą.» Proszę wyobrazić sobie, jakeśmy szli.”¹¹

Jakaż pobożność ich ożywiała!

„Modliliśmy się przez całą drogę. Śpiewaliśmy. Niemal cała wieś poszła.”¹²

„Odmówiliśmy — z całą gorącością serca — różaniec, litanie do Najświętszej Panny i Magnificat. Noc była cicha, gwiazdy świeciły. Zdawałiśmy sobie sprawę z tego wszystkiego i uwielbialiśmy za to Najświętszą Panne.”¹³

Godność prokuratora cesarskiego pozwala p. Dutourowi podejść tylko do podnóża zamku. Stanął tam, obserwował i liczył ludzi idących od miasta: naliczył ich około 8000. Lecz wachmistrz d'Angla, który na swym wierzchowcu dziesięć razy przebył drogę: plac Marcadal — Massabielle, ocenia, że „było tam co najmniej 20000. Cała okolica była dosłownie zatłoczona tą ruchomą masą. Aż pięknie było patrzeć na to mnóstwo, zgromadzone głównie po drugiej stronie Gave... Gdybyśmy chcieli zatrzymać falę tego ludu, musielibyśmy ustąpić: żadna tama, nawet z żandarmów, nie powstrzymałaby takiego wylewu.”¹⁴ „Wszystkie ulice — donosi *Ere*

Impériale z 5 marca — wszystkie drogi, pagórki, pola, skąd można było widzieć tajemniczą grote, były dosłownie pokryte ludem. Widok ten przypominał olbrzymie morze toczące zwaly fal.” Topole na łące przybrały się w grona dzieci i dorosłych mężczyzn. „Od strony Massabielle — zaświadcza żandarm Malé — tłum ludzi zawieszony był [na stromym zboczu] nad grota. Gdyby jeden spadł, dziesięciu by za sobą pociągnął. Dziwi mnie, że ludzie się nie pozabijali.”¹⁵

Dla wielu było to niemal heroizmem. Lecz nikt się nie skarżył. Wręcz przeciwnie. Oto co opowiada nauczycielka Joanna Adrian z Gavarnie:

„Przybywszy do groty o jedenastej wieczorem, zdołałam zająć po lewej stronie niszy objawień trochę miejsca na bardzo ostrych kamieniach i musiałam pozostać w tej pozycji aż do dziewiątej rano, nie mogąc poruszyć ani nogą, ani stopą, miejsce bowiem, które zajmowałam, było ograniczone z jednej strony skałą a z drugiej ludźmi, którzy już przyszli z okolic Lourdes.

I dziwna rzecz: to bardzo niewygodne i długie stanie nie sprawiło mi żadnego cierpienia. Nie odczuwałam również zimna, które tam, tak blisko rzeki, powinno było dać się odczuć. Doznawałam bardzo słodkiej radości na myśl ujrzenia Bernadetty, której jeszcze nie widziałam. Serce mi drżało ze szczęścia.”

Pora, o której jej się spodziewano — około siódmej — już minęła.

A jednak ona się spieszyła: wyszła nagle z kościoła po komunii wiernych. Joanna Védère, która natychmiast się spostrzegła, wybiegła jej szukać. Znalazła ją w najodleglejszym rogu placu kościelnego.

— „Co ty! Takeś na zostawiła?”

— Odczułam wewnętrzne przynaglenie do odejścia — wyjaśniła jasnowidząca, uśmiechając się — a nie pomyślałam, by wam o tym powiedzieć.”

Joanna i Bernadetta z matką i kilkoma krewnymi w nadziei uniknięcia zatłoczenia puściły się drogą zaforteczną. Lecz droga była „zapełniona ludźmi” — stwierdza Joanna.

— „Ależ Bernadetko — woła na ten widok kuzynka — w grocie będziemy rozłączone!”

— Bądź spokojna: będziesz przy mnie.”

Od tej pory — zauważyła jeszcze Joanna — „była bardzo skupiona i sama nie przerywała milczenia”.

Przewidując olbrzymi napływ ludu, kilku członków kamieniarskiego Bractwa Wniebowstąpienia, a mianowicie (ich imiona należy bowiem uwiecznić): Marcin Tarbès i jego syn Jan Maria oraz ich przyjaciele Courtade i Fourcade nieco poszerzyli stromą ścieżkę łączącą drogę Leśną z grota, a najniższy odcinek ścieżki — dla ochrony samej jasnowidzacej — otoczyli silnymi barierami.

Oto wreszcie nadchodzi to dziecko oczekiwane przez rzesze. Dwóch żandarmów toruje jej drogę. „Dzień był piękny — stwierdza nauczyciel-

ka z Gavarnie... — Wszystkie oczy ześrodkowały się na jeden punkt; wszystkie głowy się odkryły... Nigdy nie zapomnę bicia serca, jakiego dostalam na widok tej dziewczynki..."

Przybywszy do grotty, Bernadetta upomina się o kuzynkę, którą przed chwilą wir tłumu odłączył od niej. Komisarz i towarzyszący mu żandarm — pełni dobrej woli — przyprowadzają ogrodzonym przejściem Joannę Védère; przyprowadzają bezpośredniego, drobiazgowego i sumiennego świadka piętnastego objawienia.

„Trzymając świecę w jednej ręce a koronkę w drugiej, Bernadetta — z oczyma zwróconymi na wydrażenie z dziką różą — odmawiała bez przerwy różaniec aż do trzeciego „Zdrowaś” drugiej tajemnicy. W tej chwili cudowna przemiana dokonała się w jej obliczu; wszyscy zawołali: «O, teraz ona widzi!» i padli na kolana..."

„Doznawałam wtedy — opowiada dalej Joanna — uczuć radości, szczęścia, których nie umiałabym wypowiedzieć: czułam obecność Istoty nadprzyrodzonej, lecz próżno patrzyłam: nie widziałam nic..."

Z twarzą ciągle zwróconą ku P a n i, Bernadetta nie przestawała odmawiać „Zdrowaś”. Po odmówieniu różańca dwukrotnie podnosiła do czoła palce, w których trzymała krzyżyk koronki. Nie mogła jednak dosięgnąć czoła. „Za trzecim razem zrobiła znak krzyża świętego, lecz tak piękny, jakiego jeszcze nie widziałam. Zapytałam jej później, dlaczego dopiero za trzecim razem mogła się przeżegnać. Na to ona mi odpowiedziała: «Dlatego że dopiero wówczas Zjawa, skończywszy przesuwanie koronki w palcach, uczyniła znak krzyża świętego.»”

„Bernadetta długo jeszcze pozostawała w tej samej postawie odmawiając różaniec. Oczy jej były nieruchome, zwrócone ku P a n i. Nie widziałam, żeby choć raz je spuściła. Liczyłam jej uśmiechy: uśmiechnęła się 18 razy..."¹⁶

W tej samej godzinie Lourdes, porzucone przez swych mieszkańców, wydawało się miastem martwym.

„Gdy wyszedłem, by pójść odprawić Mszę św. — pisze ks. Pène — uderzyła mnie cisza i pustka placu Marcadal, który zwykle bywał tak ożywiony. Był opustoszały i przypominał ul, z którego wyroiły się pszczoły. Zresztą tą sama pustką, to samo milczenie było wszędzie. Lourdes było podobne do miasta, którego mieszkańców wypędziła jakaś panika..."

Zakaz zmuszał mnie trzymać się na uboczu. Uległem jednak nieprzemyślanej ciekawości i udałem się na wzgórze położone na północ od drogi wiodącej do Pau, pokryte laskiem kasztanowym.

Była to godzina, w której Pani Niebieska udzielała Bernadecie audiencji. Niebo było czyste, słońce poczęło złocić góry i dolinę... Ileż myśli, ileż emocji w mej duszy! Jeszcze nie zupełnie wierzyłem w prawdziwość tych objawień, lecz tak bym chciał, by nam wolno było badać z bliska sceny, które — być może — ujawniają światu wolę Bożą...

Upłynęła godzina. Teraz to mnóstwo ludu poruszyło się, zaczęło krą-

żyć wokół widowni objawień i wreszcie przelewać się we wszystkie drogi.”

Joanna Védère stwierdziła, że Bernadetta trzy razy przesunęła całą koronkę przez palce. Podczas modlitwy oblicze jasnowidzącej odbijało radości i — chwilami — smutki Wizji; smutki, gdyż P a n i litowała się nad grzesznikami.

W pewnej chwili „wstała i skierowała się do grotty. Idąc weszła na duży kamień, którego nawet nie zauważyła... W grocie oczy jej robiły wrażenie oczu jednej z dwu osób stojących twarzą w twarz i patrzących na siebie... Mnie jednak — przyznaje się Joanna Védère, która za nią tu przyszła — ogarnął lęk. Gdy ujrzałam, jak Bernadetta skłania się wdzięcznie i uśmiecha, cofnęłam się nieco.” Na zapytanie Bernadeta wyjaśniła Joannie: „Zjawa była tak blisko, że mogłabyś Jej ręką dosięgnąć.”

W toku tej ekstazy, która prawdopodobnie była najdłuższa ze wszystkich dotychczasowych, Bernadetta ponownie weszła do grotty, by tam trochę postać. Następnie znów wyszła i uknęła na kamieniu, który jej służył za klęcznik.

A komisarz policji?... Jacomet postępuje podobnie jak Joanna Védère, tylko z innych pobudek. „Widziałam z przyjemnością pana komisarza klęczącego — opowiada prostodusznie nauczycielka Joanna Maria Adrian. — Był o cztery kroki od Bernadetty i zapisywał w notesie wszystkie zmiany, które od czasu do czasu zachodziły na jej obliczu.” Czy religijny szacunek dla Zjawy wpłynął coś na przybranie tej postawy? Nie, wtedy komisarz jeszcze do tego nie doszedł. Bez wątpienia w tych okolicznościach była to kwestia faktu, a może nawet zwykłej przeczności: przepasany szarfą, stojąc wśród tego klęczącego tłumu, za bardzo by się wyróżniał.

Widowisko to, nowe dla niego, musiało go poruszyć, chociaż nie przyznał się do tego. W każdym razie nie wyniósł z niego nickorzystnego wrażenia — jeśli mamy wnioskować z raportu, który tegoż ranka zredagował do prefektury i w którym co do faktów zewnętrznych zgadza się z relacją Joanny Védère.

Tak jak i ona krótko opisał koniec ekstazy: Bernadetta po drugim powrocie z wnętrza grotty „przeżegnała się, pomodliła się trochę i wstała... Odeszła. Nie rzekła ani słowa. Nikt o nic jej nie zapytał...”

Komisarz dodaje jeszcze (czego nie ma w relacji Joanny Védère): „Każdy czuł się rozczarowany, wszyscy mieli wrażenie, że ich okpiono, a jednak rzecz bardzo dziwna: w chwili, kiedy to piszę, tłum oblega jej mieszkanie.” To pierwsza tajemnica dla Jacometa. O oto druga: „Moim zdaniem — pisze on do prefekta Hautes-Pyrénées — uważam to za cud, że nie było najmniejszego przykrego wypadku.”¹⁷

Nie ulega wątpiwości, że tego pamiętnego poranka komisarz lurdzki nie posunął się naprzód w swych osobistych rozważaniach. Lecz — po dwu skrupulatnych przeszukiwaniach — przyznał wreszcie, że w Massa-

bielle nie było zakulisowych współników i że u źródła tego olbrzymiego ruchu tłumów Bernadetta była najoczywistej sama.

Lecz Jacomet mógłby także dojść do przekonania, że Bernadetta nie jest odpowiedzialna za pogłoski — które krążyły po całej okolicy — o mających nastąpić cudach: Nie było to winą małej Soubirous, że ks. proboszcz, nierozważnie podsuwając przeciwnikom objawień łatwy przedmiot drwin, pozwolił sobie zażądać cudownego zakwitnięcia róży jako warunku wiary w jej słowa; nie było również jej winą, że tłumy, kierowane bujną wyobraźnią ludową, zewsząd się wokół niej zgromadziły, by ujrzyć nadzwyczajny znak z nieba, wizję, która tym razem miała być widoczna dla wszystkich. „Spodziewaliśmy się wielkiego cudu” — oświadcza pewna mieszkanka Lourdes, która potem wstąpiła do zgromadzenia Córek Miłości.¹⁸ Ten rozgłośny cud nie nastąpił, można sobie wyobrazić „rozzarowanie”.

Tymczasem, zdaniem komisarza, zagadnienie przedstawiało się nieco inaczej. A jednak gdyby ten człowiek mógł się oderwać od swych zajęć inkwizytora i stróża porządku publicznego, pewne refleksje musiałyby utorować sobie drogę do jego umysłu. W istocie bowiem istnieje alternatywa: albo Bernadetta coś widzi, albo nic nie widzi. Jeśli nic nie widzi — sprawa kłopotliwa — jakże sobie wytłumaczyć pojawienie się tego niesłychanego piękna na jej twarzy, zwykle, bądź co bądź pospolitej? Jeśli nic nie widzi — sprawa drażniąca — to dlaczego wprawia w ruch cały aparat instytucji państwowych: policję, żandarmerię, wojsko, sądownictwo? Dlaczego drwi sobie z publiczności, wmawiając w nią, że coś widzi?... I publiczność ją czci, a przedstawiciele władzy państwowej ją szanują, co więcej: eskortują, chronią, spełniają jej życzenia!... Lecz jeśli Bernadetta widzi coś; jeśli jej piękność była tylko odblaskiem cudowniejszej piękności?...

Jacomet dopiero znacznie później znajdzie odpowiedź na te pytania. A tymczasem jest ona prosta, choć czyni silne wrażenie: Gdyby Bernadetta nic nie widziała, grota nie stałaby się miejscem modlitwy wzmacniającym wiarę, i gdyby w tej historii był tylko czynnik ludzki, to — wnosząc z tego, co tu nieco wyżej powiedziano — „rozzarowanie” tłumy, o którym mówi komisarz policji, wnet by się zamieniło w gniew. Otóż rozzarowanie zostało niejako zrównoważone słodkim odczuciem łaski, z którego jak najwyraźniej zdaje sobie sprawę wielu sprawozdawców. Zacytujemy tylko jednego, który starczy za wszystkich. Jest nim żandarm Bernard Pays:

„Żandarmi byli rozstawieni od grotty aż do miasta. Ja byłem przy Starym Moście. Fala ludzka przepływała jak procesja... Ujrzałem Bernadettę idącą... Wywarło to na mnie takie wrażenie, że wkrótce potem pewnego wieczoru poszedłem z żoną do grotty modlić się.”¹⁹

Czymże — jeśli nie spontaniczną podniętą — wytłumaczyć sobie ten pęd, który zmusił masy ludu do podążania za Bernadettą, tak że „za-

pełniły one ulicę des Petits-Fossés”? „Rzekłbyś — notuje w tej właśnie chwili komisarz — nikt nie chce opuścić Lourdes, nie ujrzawszy jej z bliska.”

„Ci, co byli najbliżej domu — zeznaje Marcin Tarbès — zdołali doń wejść.” Inni również usiłowali tego dopiąć. „Wszedłem z Bernadettą. Kazaliśmy jej pójść na piętro do kuzynów Sajous, dokąd poczęli napływać ludzie nieprzerwanym szeregiem. Pomagałem utrzymać porządek ruchu. Wszyscy wchodzili jedną stroną a — po dotknięciu ręki Bernadetty lub ucałowaniu jej — wychodzili drugą. Trwało to dobre dwie godziny.”²⁰ „Szłam za nią — woła z entuzjazmem nauczycielka Adrian — miałam przyjemność ucałować ją z całego serca!”²¹ Ona zaś była „zmęczona tym napływem ludu”.

Każdy podawał jej swój różaniec. Joanna Védère miała aż trzy. „Ja również — mówi ona — uczyniłam jak inni. — «Patrzcie! — odezwała się Bernadetta — i ty też?... No, co ja mam z nimi zrobić? Przecież nie jestem księdzem!»” Jednakże po chwili zastanowienia dodała: „Daj, dotknę nimi do swojego... Zachowaj je nie dlatego, że się ich dotknęłam, lecz że dotknęły koronki, którą miałam podczas objawień.”²²

Tymczasem z zewnątrz tłum domagał się Bernadetty, tak że w końcu była „zmuszona pokazać się w oknie... Odwiedziłam ją wieczorem — opowiada Dominika Czenave — i rzekłam jej: «Jesteś bardzo zmęczona?» Ona zaś odpowiedziała: «O, tak! Choćby tylko same uściski!»”²³

Podczas tych pobożnych wylewów uczuć żandarmi — jak zanotował wachmistrz d'Angla — „stanęli obozem u Soubirous”. Pozornie stało się to w celu zapobieżenia, żeby „ten ubogi domek nie znalazł się w kieszeniach” pobożnych amatorów pamiętek. W istocie jednak żandarmeria miała polecenie obserwowania Bernadetty i jej rodziny: zaliż naprawdę ci biedacy nie sfabrykowali massabielskich scen dla zdobycia pieniędzy?

O tej samej porze, gdy pobożne szeregi defilowały przed dzieckiem, komisarz policji, nie czekając na raport wachmistrza żandarmerii konnej redagował własne sprawozdanie, które tegoż poranka wysłał do prefektury:

„Rozeszła się pogłoska — pisał bez skrupułu — że rodzice [Bernadetty] każą płacić piętnaście centymów każdemu, kto pragnie ją widzieć. To może być prawdą, a nawet osobiście śmiem w to wierzyć. Lecz dotychczas nie można było stwierdzić faktu. Na szczególny ten zwracamy jak najpilniejszą uwagę.”²⁴

Dla tego, kto czyta między wierszami, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przyjęcie nawet najmniejszego datku pociągnęłoby za sobą natychmiastowe represje władz względem Bernadetty i jej rodziców. Anna Dupas zeznaje, że stojąc przy drzwiach, słyszała, jak żandarm pytał się wychodzących: „Daliście małej pieniądze?”, na co każdy odpowiadał: „Nie.” „I słyszałam to kilkakrotnie — mówi dalej Anna — ponieważ musiałam czas jakiś czekać w kolejce na wejście.”²⁵

Tak więc bardziej ściśle badanie dało wyniki negatywne. „Nigdy nie stwierdziłem — pisze wachmistrz żandarmerii — żeby Bernadetta czy ktokolwiek z jej rodziny przyjmował pieniądze.”²⁶

W niespełna piętnaście dni później prefekt Hautes-Pyrénées wbrew uprzedzeniom komisarza Jacometa doniesie ministrowi wyznań:

„Wyraża się opinię, że nie było oszustwa. Dziewczyna, chociaż uboga, nie przyjmowała żadnych datków pieniężnych, które jej ofiarowywano.”²⁷

Joanna Védère zaświadcza, że dnia tego Bernadetta znów poszła przypomnieć księdzu proboszczowi dwa orędzia odnoszące się do niego.

„Niech twoja piękna pani wyjawi swoje imię!” — raz jeszcze odpowiedział jej ks. Peyramale. „Gdybym wiedział — dowodził następnie już cierpliwiej niż za poprzednich widzeń — że to Najświętsza Panna, uczyniłbym wszystko, czego pragnie, lecz nie wiedząc tego, nic nie mogę zrobić... Nie kazała ci jeszcze raz przyjść?”

— Nie, księżę proboszczu.

— Powiedziała, że już nie przybędzie?

— Tego mi nie mówiła.

— Więc dobrze. Jeśli powróci, poprosisz ją, by ci powiedziała swe imię.”²⁸

„Jeśli powróci”... Jakby to jeszcze mało było, że przybyła tu już piętnaście razy. Czyż to chłodne żądanie ks. proboszcza nie wydaje się Bernadecie bardziej niepokojące niż jego nagłe wybuchy gniewu? Prawdopodobnie tak. Jasnowidząca obstawała przy swych orędziach — kapłan zdawał się przyjmować je z zimną obojętnością. A ona wiedziała, słyszała!... O, dlaczegóż nie mogła wpoić w niego niezachwianego przekonania?! Niestety, w tej tajemniczej P a n i, której kontemplacja zaledwie przed kilku godzinami napełniała ją bezmiarem błogości i szczęścia, proboszcz lurdzki w dalszym ciągu widzi tylko grę złudzeń biednej małej Soubirous.

Wracając do domu, ubłogosławione dziecko płakało.

WYJAWIŁA SWE IMIĘ

SZESNASTE OBJAWIENIE - CZWARTEK 25 MARCA

W piątek rano, 5 marca, nic nie pociąga Bernadetty do Massabielle. I tak upływie dwadzieścia kolejnych dni: nie chodzi tam ani nie mówi o pójściu. Odtąd ks. Peyramale utwierdza się w swej postawie rezerwy. Skoro ostatniego dnia sławnej „piętnastki” Zjawa nie powiedziała, kim jest, to — po ludzku sądząc — nie należy się już tego spodziewać.

Jednakże — oponuje ktoś — niebo może jeszcze powiedzieć swoje ostatnie słowo. Ks. Peyramale raczy się z tym zgodzić. Ależ tak, jeśli niebo się wypowie, on skłoni głowę. Ks. Pène przechował jedną z roztropnych instrukcji udzielanych przez dziekana swoim podwładnym: „Nie wście się, Drodzy Księża, pojawiać u grotty... Gdyby bowiem sprawa spaliła na panewce, my byśmy się niezmiernie ośmieszyli i religia ucierpiałaby z powodu nas. Jeśli jest w tym czynnik Boży, to on i bez nas zwycięży.”¹ Azali ks. Peyramale przypuszczał, że tak mądrze się wypowie?

Gdy minęła niepokojąca manifestacja z dnia 4 marca — ostatnia jak mniemano — odetchnęli też prawnicy i policjanci.

Komisarz Jacomet, dokładnie informowany o zachowaniu się Bernadetty, powiadomił prefekta w dniu 24 marca, że „od 4 marca wizjonerka nie pokazała się u grotty”².

W szkole zaś, przeciwnie, pokazywała się bardzo regularnie, cała zajęta myślą o katechizmie — warunku przystąpienia do pierwszej Komunii świętej. Widząc ją „zawsze równie prostą i równie grzeczną jak przedtem”³, idącą ze swą siostrą Tosią do przytułku, wielu dziwiło się, że była ona kiedyś przedmiotem owacji tłumów. „Zdawała się nie znać swej przeszłości; niczym się nie wyróżniała od rówieśniczek”⁴; „bardzo się dziwiła, że wszyscy darzą ją sympatią”⁵. Była figlarna i „lubiła się niewinnie bawić”⁶, dlatego też wodziła rej w zabawach⁷.

Jednakże — co nie uszło uwagi ani zakonnic, ani jej rodziców — dokonała się w niej zmiana w ciągu tego ostatniego miesiąca. Nie, nie na próżno miała widzenia i lekcje niebiańskie: sposób, w jaki czyni znak krzyża świętego — na czym na razie polega cała jej teologia — wzbudza już podziw. Nie zna jeszcze alfabetu, lecz widząc lży, jakie massabielska

Pani wylewała nad grzechem i grzesznikami, zrozumiała wielki obowiązek wynagradzania i modlitwy.

Wierny swej taktyce pogardy i oczerniania, lurdzki tygodnik *Lavedan* w numerze z 4 marca na swój sposób opowiada wydarzenie dnia. Oczywiście, anonimowy autor artykułu uprzedza czytelników pisma, że tych „kilka szczegółów” o Bernadecie podaje prawdopodobnie już po raz ostatni.

„Nadszedł wreszcie ten dzień tak upragniony, tak niecierpliwie oczekiwany. Cztery do pięciu tysięcy ludzi zgromadziło się zarówno na wzgórzach otaczających grotę, jak i na prawym brzegu Gave, oczekując zapowiedzianego wydarzenia: objawienia się Najświętszej Panny, jednym słowem: cudu.

Jakież rozczarowanie! Iluż biednych łatwowiernych zostało upokorzonych!... Tłum odplynął milczący, niezadowolony. Ileż osób poznało wten czas, lecz — niestety — za późno, śmieszność swego zachowania się i oplakiwało swoją nadmierną łatwowierność! Nasi czytelnicy powinni być dziś przekonani...

Koło groty płynie źródło, którego woda — jak mówią — jest nieco słonawa... Od pierwszego dnia tłum jej używał: ten do obmycia nogi, tamten ręki, jeszcze inny oczu. Jedni ją piją dla wyleczenia się z kataru, a wielu innych przychodzi (z odległości dwu kilometrów) czerpać ją dla celów domowych...”

Zaiste, gdyby to było wszystko, *Lavedan* miałby rację: na cóż dłużej bawić podobnymi błahostkami ludzi najbardziej oświeconych spośród ludności, której „część jest naiwna, łatwowierna, dająca się łatwo przekonać i sprowadzić na manowce”.

W Tarbes wtóruje *Ere Impériale* artykułem zamieszczonym w numerze z 6 marca:

„Dziewczynka się zbliża — ironizuje dziennik — ...Lud się pochyla i oczekuje nadprzyrodzonego wydarzenia, które ma zajść, objawienia, które ma się dokonać. Co to będzie? Czy wyrok śmierci na doliny lawedańskie? Czy Lourdes nie doświadczy losu Niniwy?...

Dziewczynka jest po prostu katalptyczką... Nie doszłoby do tego, gdyby rodzice domniemanej świętej poszli za radą lekarzy, którzy ich zachęcali, by oddali dziecko do zakładu...”

Lecz oto odprawa. W numerze z 9 marca pisma *Mémorial des Pyrénées*, wychodzącego w Pau, adwokat Roman Capdevielle roztropnie rozpoczyna kampanię na korzyść massabielskich wydarzeń. Autor kończy swój artykuł słowami:

„Jak wyjaśnić to, co zaszło? Czy nauka da nam do tego klucz? Czy stan nerwów lub mózgu Bernadetty wystarczy do wyjaśnienia jej dziwnych wizji? A może jakiś późniejszy fakt potwierdzi poglądy tych, co wierzą w nadprzyrodzoność massabielskich wydarzeń?

Oto kwestia, której rozwiązania nie możemy się podjąć.

Jest wszakże jedna okoliczność, która opowiadaniom tego dziecka (bo ostatecznie wszystko polega na jej opowiadaniach) nadaje szczególną cechę, a mianowicie prawdopodobieństwo dobrej wiary, którą wszyscy ci, co z nią rozmawiali, zgodnie stwierdzają w jej słowach."

Autor artykułu jest dokładnie obeznany ze stanem opinii publicznej; bacznie śledzi knowania policji: w numerze z 16 marca z umiarkowaną stanowczością występuje przeciw podszeptom nieżyczliwych:

„Bernadetta żywo zainteresowała wszystkich, którzy ją poznali z okazji tego dziwnego wydarzenia...

Jest to dziewczyna bardzo roztropna, bardzo cicha i bardzo pobożna, a nade wszystko bardzo wesola. Chodzi do szkoły sióstr z Nevers, które nic — oprócz wielkiej niewiedzy — nie mają jej do zarzucenia. Jej spowiednik, czcigodny kapłan lurdzki, wydaje o niej bardzo dobrą opinię.

Rodzice są tak dalecy od wpływania na nią w tym względzie, że zakazali jej chodzić do groty... Zresztą ona i jej rodzina, mimo ubóstwa, są wypróbowanej bezinteresowności: absolutnie nic od nikogo nie przyjmują...

Od 5 marca Bernadetta nie chodzi do groty. Jest w doskonałym zdrowiu i wydaje się zupełnie obojętna na uwielbienia jednych i szyderstwa drugich...

Jeśli chodzi o same wypadki, to zbyteczne powtarzać, że charakter ich w dalszym ciągu pozostaje nie wyjaśniony."

Gdyby jedynym skutkiem wydarzeń były utarczki dziennikarzy, prefekt Hautes-Pyrénées byłby z tego bardzo zadowolony. Lecz na nieszczęście (dla jego osobistego spokoju) otrzymuje ze stolicy list z nagłówkiem: Ministerstwo Oświaty i Wyznań Religijnych.

„Paryż, 9 marca 1858

Panie Prefekcie,

...Donoszą mi, że ludność schodzi się gromadnie, by słuchać czy też podziwiać jakiegoś osobnika⁸, który twierdzi, że jest w ekstatycznych stosunkach z Matką Boską.

Nie wiem, ile jest prawdy w tych dość dziwnych pogłoskach, dlatego proszę, by Pan mi natychmiast nadesłał jak najdokładniejsze dane.

Jest rzeczą ważną, żeby PP. Prefekci dokładnie informowali ministra wyznań o wszystkich faktach religijnych dotyczących jego administracji i skupiających uwagę społeczeństwa."

Baron Massy ma akurat „jak najdokładniejsze dane”. Panowie Lacadé, Dutour i Jacomet w swoich raportach dali mu jasno do zrozumienia, że historie z grotą lurdzką należy uważać za nie istniejące. Sądzi więc, że dalsze badania są całkiem zbędne i wysyła ministrowi uspokajającą odpowiedź:

„...Przechodzę, Panie Ministrze, do tego, co porusza opinię publiczną... Powiadamy przez burmistrza i komisarza policji z Lourdes oraz

przez podprefekta o tym, co się działo, sądziłem, że w podobnych wypadkach obowiązkiem władz jest nie interweniować, dopóki spokój nie zostanie zakłócony. Postępując inaczej — moim zdaniem — nadałoby się rzeczy znaczenie, na które ona nie zasługuje...

Dzisiaj, Panie Ministrze, wszystko już ucichło, a ci co uwierzyli słowom dziewczyny, przyznają, że stali się ofiarami jej halucynacji...

Muszę sprawiedliwie stwierdzić, że duchowieństwo diecezjalne dało dowód wielkiej roztropności i rezerwy. Trzymało się zupełnie na uboczu... W Lourdes domagano się procesji; proboszcz temu się sprzeciwił; dzisiaj zapewne jest zadowolony ze swego postępowania.”⁹

Mija tydzień bez nowych komplikacji... Lecz oto znów raport — całkiem nieoczekiwany — od komisarza Jacometa pisany 19 marca. Cóż to znaczy? Czy już nigdy nie skończą z tą massabielską grota? O nią bowiem chodzi, a biedny komisarz, przewidując niepożądaną reakcję prefekta, zaczyna od usprawiedliwień:

„Przykro mi, że jeszcze będę Panu pisać o wizjonerce, lecz muszę to uczynić, aby Pan znał dokładnie wszystkie drobne fakty, które codziennie zachodzą i które zdają się mnożyć w chwili, kiedy uznano, że wszystko rychło się skończy.”

Mimo usunięcia się Bernadetty w cień, „w piątek, 5 marca, i w dni następne był nieustanny napływ” do groty „kobiet i dzieci”; widywało się także „mężczyzn z klasy robotniczej i ze wsi”. Potem wskutek niepogody „nawiedziny były rzadsze”. Po roz pogodzeniu się „zapal gorliwców objawia się z nową siłą i czynami całkiem niedwuznacznymi”.

Otóż od niedzieli 14 marca „grota była codziennie oświetlona: owej niedzieli — dwie świece, w poniedziałek trzy...” Wypadek o wiele poważniejszy: od wtorku 16 marca wystawione są w grocie emblematy religijne, „otoczone gałązkami wawrzynu i bukszpanu”, mianowicie: „krzyż kościelny i trzy obrazy Matki Boskiej. Dziesięć świec paliło się przez całą środę i następującą po niej noc.”

„Dowiaduję się właśnie w tej chwili — pisze dalej komisarz — że ponieważ trudno jest ustawić świece na ziemi, przygotowuje się w mieście deskę, w którą można będzie zatknąć wielką ich liczbę...”

Ludzie stale przychodzą do groty jedni po drugich. Prawie wszyscy klękają i modlą się. Ani jeden nie odejdzie, jeśli się nie napije z cudownego źródła lub przynajmniej nie zabierze z sobą wody. Dotychczas to pielgrzymowanie odbywa się w spokoju a w wielu wypadkach nawet z pewnym skupieniem. Nie stwierdziliśmy żadnego nieporządku.

Codziennie wiernie informuję p. burmistrza Lourdes o tym, co się dzieje. Urzędnik ten sądzi, że na razie nie należy przeciwdziałać, że ludziom wreszcie się naprzykrzy i wówczas wszystko się skończy.

Wczoraj, w dzień targowy, liczba odwiedzających z dalszych okolic była bardzo znaczna. Wielu przybyło do domu wizjonerki, by ją zobaczyć. Nikogo nie przyjęto: drzwi były zamknięte dla wszystkich.”

Przynajmniej dostęp do grotty jest dla wszystkich otwarty. Przycho-
dzą tam ludzie zaczerpnąć wody i już wśród „prostaczków i łatwowie-
rnych” krążą pogłoski o uzdrowieniach. Komisarz Jacomet ubolewa nad
ich nieświadomością. Żeby przynajmniej prasa spełniała, co do niej należy!

Ale gdzież tam! *Mémorial des Pyrénées* „zdaje się usiłować ożywić
niemal już wygasłe emocje i ośmiela się mówić o cudownych uzdrowie-
niach dokonanych przez tę wodę!”

Otóż podczas gdy prefekt, rozdrażniony utyskiwaniem komisarza po-
licji, zaklina burmistrza, by skończył z tymi pozorami kultu w grocie,
strażnik cesarskich pieczęci (minister sprawiedliwości) Delangle, zaalar-
mowany przez ministra wyznań, Roulanda, ożywia zapał prokuratora ge-
neralnego Falconneta, który z kolei budzi z ospałości prokuratora cesar-
skiego Dutoura... Tak więc ta „sprawa lurdzka”, która — gdyby się do niej
właściwie ustosunkowano — powinna by była pozostać wydarzeniem lo-
kalnym, poruszyła nie tylko urzędników departamentalnych, ale także
wywołała zaniepokojenie w najwyższych sferach rządowych.

*

Lecz i w samym Lourdes burmistrz, prawnicy, policjanci, żandarmi py-
tają się: czy właściwie postawa duchownych jest naprawdę taka, jaka
być powinna? Dlaczego np. *Mémorial des Pyrénées* z 16 marca kładzie
nacisk na „bardzo dobrą opinię”, jaką daje o Bernadecie „jej spowied-
nik, czcigodny kapłan lurdzki”? Każdy zresztą w Lourdes wie, że ks. Po-
mian nie tylko sam nie zakazał swej penitentce chodzić do Massabielle,
ale nadto oświadczył, że nikt nie ma prawa tego czynić. A gdyby i pro-
boszcz tak nie domagał się od dziewczynki, by mu powiedziała imię rze-
komej P a n i?... Lepiej by zrobił, gdyby był w ogóle zakazał tych urojo-
nych rozmów.

Znów coś nowego: Ludzie szepczą sobie do ucha, że księża zmieniają
sвій stosunek do Bernadetty. Jej wytrwałość w spełnianiu misji, w któ-
rą tak głęboko wierzy, bardzo im się podoba.

Inna sprawa wchodzi tu jeszcze w grę: Minęła połowa postu (Wielka-
noc w tym roku przypada 4 kwietnia). Już 15 marca ks. Peyramale zawi-
adamia ordynariusza, że to, co się działo w Lourdes, głęboko poruszyło —
w sposób uzasadniony czy nieuzasadniony — całą ludność. Nigdy nie wi-
dziano takiego napływu na tygodniowe nauki. Gorliwy duszpasterz za-
pytuje się więc biskupa, czy „ze względu na okoliczności” wypada ogła-
szać jubileusz? Po cóż bowiem ćwiczenia i nauki nadzwyczajne, skoro
wypadki massabielskie sprowadzają grzeszników do Boga? Spowiednicy
to spostrzegają — ku wielkiej swej radości — w miarę jak zbliża się
Wielkanoc.

Zaczyna się też mówić o uzdrowieniach, które nastąpiły po zastosowa-
niu wody z grotty. Pewien piętnastoletni chłopczyk — opowiada biskup

wi ks. Peyramale — obmył tą wodą swoje oczy bardzo chore i zawsze zabandażowane. „Dzisiaj oczy jego są w bardzo dobrym stanie: widziałem go. Jego matka, która ma sklep z tytoniem, woła, że to cud... Inny znów chłopczyk u państwa Piqué, mający lat 12, był chory od Bożego Narodzenia. Wszelkie wysiłki lekarzy były daremne... Chłopczyk zapragnął napić się wody z grotu i widzieć Bernadettę... Byłem z wikarym u niego i stwierdziliśmy znaczne polepszenie jego stanu. Jeśli zupełnie wyzdrowieje, będziemy mogli powiedzieć za św. Augustynem: *Causa finita est.*”¹⁰

Teraz ks. proboszcz za bardzo się spieszy. Co innego, gdyby był znał uzdrowienie kamieniarza Ludwika Bouriette'a. Sumienny doktor Dozous nie podaje dokładnej daty tego faktu. Pisze tylko, że zaszedł on „pewnego dnia roku 1858 wkrótce po wydarzeniach u grotu massabielskiej”. Ponieważ — jak twierdzi doktor — był jeszcze błotnisty osad na dnie źródła, można wnioskować, że mogło to być w pierwszej połowie marca. Otóż Ludwik Bouriette wskutek wybuchu miny nie widział od przeszło dwudziestu lat na prawe oko. I oto nagle jego lekarz, spotkawszy się z nim, wobec dwudziestu innych robotników stwierdza różnymi metodami, że widzi on na oba oczy; po zastarzałej ranie pozostała tylko blizna¹¹. Środek leczniczy? — Przetarcie chusteczką umoczoną w wodzie, której jego córka przyniosła z massabielskiego źródła.

Czytając list proboszcza, ks. biskup najbardziej cieszy się dobrem duchowym, którego zasiewem były wydarzenia massabielskie. Skoro nad Lourdes przeszło tchnienie łaski, skoro grzesznicy, za których Bernadetta modliła się i kazała się modlić, przybywają do trybunału pokuty, to czyż ten tajemniczy głos, który jej polecał modlić się i wzywać do modlitwy, może być tylko złudzeniem i kłamstwem? Od tego czasu ks. biskup nie kwituje wspomnienia o grocie delikatnym uśmiechem, poczyna się zastanawiać, prosić Niebo i ludzi o światło.

I burmistrz Lacadé, jako dobry administrator, zaczyna patrzeć na wypadki z innego punktu widzenia. Oto dnia 4 marca zwierza się prefektowi ze swoich planów:

„Grota znajduje się na prawym brzegu Gave, naprzeciw łąki Ribère, w odległości około jednego kilometra od miasta... Jest to jedno z najbardziej malowniczych miejsc. Sądzę przeto, że turyści będą je zwiedzać w sezonie.”

Jeszcze wymowniejsza jest uwaga prokuratora Dutoura, niedwuznaczne echo aspiracji mieszkańców Lourdes.

„Wielu mieszczan pragnie, żeby do Lourdes przybywało jak najwięcej gości, dających miejscowemu przemysłowi możliwość jak największego rozwoju.”¹²

Po pielgrzymie przedsiębiorca. Lurdzkie władze miejskie rychło zrozumiały, że powinny jednemu i drugiemu sprzyjać i służyć. Stąd troska o umiarkowanie podczas tygodni, które nadejdą.

W miarę jak czas upływa, grota stopniowo traci coś ze swego dzikie-

go i chaotycznego wyglądu. Jacomet, który nieustannie wszystko bacznie obserwuje, stwierdza, że „oświetlenie jej jest okazale”, w niedzielę 21 marca o czwartej wieczorem pali się tam 19 świec. We wtorek 23 marca o ósmej wieczorem (komisarz lubi dokładność) istna procesja sześciuset osób bierze udział w akcji umieszczenia w grocie „kapliczki ozdobionej mchem i kwiatami, w której umieszczono gipsową figurkę Matki Boskiej”. W tej drucianej kapliczce — wyjaśnia Paulina Bourdeu, której rodzina pożyczyła figurkę — „corocznie podczas Bożego Ciała umieszczano Przenajświętszy Sakrament na ulicy du Baous”¹³.

Komisarz donosi nadto prefektowi, że „nawiedziny grotty, które dotychczas odbywały się tylko w dzień, poczynają przedłużać się do późna w noc. Od rana aż do godziny 9-10 wieczorem nieustanny ruch osób wszelkiego wieku, stanu i płci. Widzieliśmy kilka wozów z Tarbes i Pau, którymi przyjechali ludzie wyłącznie w celu nawiedzenia grotty.”¹⁴

A prefekt przed dwunastu dniami zapewniał ministra wyznań, że „wszystko już ucichło”! Niech lichy weźmie tego komisarza lurdzkiego razem z jego uprzykrzonymi i aż nazbyt prawdziwymi raportami! Przy najmniej w tym nadzieja, że — według Jacometa — „wizjonerka wydaje się obojętna na ten ruch”.

W nocy na czwartek 25 marca budzi się ona nagle z pierwszego snu: słodki głos, który przed trzema tygodniami mówił do jej serca, znów daje się słyszeć. „Tatusiu, mamusiu — zwierza się rodzicom — trzeba, żebym poszła do grotty!” Miała napady kaszlu, które w połączeniu z atakami astmy męczyły ją ostatnimi dniami. Nic nie szkodzi! Massabielska Pani jeszcze raz się do niej uśmiechnie. Rodzice nie pozbawiają dziecka tak wielkiego szczęścia.

Lecz na zasadzie jakiegoż to dziwnego przeczucia szeptano wczoraj w Lourdes, że następnego dnia mała Soubirous ma znowu przyjść do grotty? Wszak jutro jest Zwiastowanie! Pobożne osoby musiały wywnioskować, że w to maryjne święto może zajść coś nowego. Komisarz pisze do prefekta dnia 25 przez południem:

„Wczoraj wieczorem obiegła miasto pogłoska, że dzisiejszego poranka wizjonerka uda się do Massabielle. Nawiedzanie trwało do późnej nocy. Dziś rano tłumy cisnęły się w pobliżu grotty, przemienionej w ołtarz.”

Czy Bernadetta słyszała w kościele albo w szkole, że w tym dniu obchodzi się jedną z wielkich tajemnic Najświętszej Dziewicy? Tego nie można twierdzić. W każdym razie brak oświecenia religijnego sprawiał, że wyraz „Zwiastowanie” — czy to w formie francuskiej, czy też gwarowej — zapewne był dla niej pustym brzmieniem.

Jednakże wiedząc, że jest w grocie oczekiwana, powzięła zamiar nawiedzić ją w tym dniu, zupełnie tak samo jak nawiedzała innymi razy podczas przedziwnej „piętnastki”¹⁵. Idąc tam około piątej rano, każe poprosić ciotkę Lucylę, by wzięła świecę i poszła z nią.

Gdy odnalazła swoje zwyczajne miejsce modlitwy między kanałem

a skałą, już nad różą jaśniało przesłodkie światło. Na to szesnaste, rozstrzygające spotkanie P a n i wyprzedziła swą powiernicę. „Była już tam — opowiada Bernadetta — spokojna, uśmiechnięta, i patrzyła na tłum, jak patrzy kochająca matka swe dzieci. Gdy uklęknęłam przed Nią, przepraszałam Ją, że przychodzę tak późno. Ona zaś, zawsze dobra dla mnie, skinieniem głową dała mi znak, że nie potrzebuję się usprawiedliwiać. Wówczas wyraziłam Jej wszystkie swoje uczucia miłości, szacunku oraz całą niezmierną radość z tego, że Ją znów mogę widzieć. Gdy już się z Nią narozmawiałam o tym wszystkim, co mi leżało na sercu, wyjęłam różaniec.”¹⁶

Niebo było czyste. Grzbiety gór, białe od śniegu, odbijały pierwsze promienie zórz.

W tej chwili głos wewnętrzny bardziej niż kiedykolwiek przynagła Bernadettę, by się dowiedziała, kim jest ta tajemnicza Istota, która ją wprawia w taki zachwyty.

Lecz oto owal światła opuszcza niszę, zniża się i zatrzymuje w głębi pod ścianą grotu. Bernadetta natychmiast wstaje i podchodzi do Wizji. Teraz stoi trzymając w ręku zapaloną świecę. Rodzice i kilka przyjaciółek podążają za nią i stają obok niej po obu stronach¹⁷. Na lewo, wzdłuż skały, modlą się mieszczańki, które urządziły ołtarzyk w grocie.

Stojąc tak sam na sam, Bernadetta znów zaczyna rozmowę z P a n i ą. Jakże to ważne, jakże konieczne poznać wreszcie Jej imię! Tylko pod tym warunkiem księży, którym powtarzała Jej zlecenia, zbudują Jej kaplicę i będą urządzać procesje do grotu. Dlatego też odzywa się tak śmiało:

„Czy P a n i nie byłaby tak łaskawa powiedzieć mi, kim jest?”¹⁸

Niestety, czyż więc i teraz tak jak przedtem? Pozdrowienie lekkim pochYLENIEM głowy, uśmiech! Bernadetta nalega. Jakaś siła wewnętrzna zmusza ją do tego!

„O P a n i, czy nie byłabyś tak łaskawa powiedzieć mi, kim jesteś?”

I znów ukłon i uśmiech. W tej chwili, być może, kapłan odprawiający w Lourdes Mszę św. o Zwiastowaniu Najświętszej Maryi Pannie czytał w graduale: „Wdzięk jest rozlany na wargach Twoich, dlatego ubłogosławił Cię Bóg na wieki.”¹⁹

Bernadetta prawdopodobnie uświadamia sobie, że ta okazja dowiedzenia się jest jedyna. Nie zraża się więc. „Nie wiem, dlaczego — zwierzy się ona później — lecz czułam się bardziej odważna. Ponownie poprosiłam, żeby raczyła wyjawić swoje imię.”

Dziewczynka ponawiając swą prośbę po raz trzeci, mimo dwukrotnej odmowy, daje dowód wielkiej ufności i praktykuje cnotę natarczywości, zaleconą przez Ewangelię. To usposobienie podoba się Zjawie, daje się więc wzruszyć. Rozkłada tedy ręce, które dotychczas miała modlitewnie złożone, opuszcza je, tak jak przedstawiono na Cudownym Medaliku, pozwalając przy tym koronce ze złota i alabastru zsunąć się aż do przegubu — to błogosławieństwo dla odkupionej ziemi; następnie składa ręce i zbli-

ża je do piersi, jakby chciała przytłumić bicie serca; wreszcie wznosi oczy ku niebu i w postawie antycznego Magnificat wyjawia swoją tajemnicę:

„JESTEM NIEPOKALANE POCZĘCIE.”²⁰

Po tym Zjawa „uśmiechając się zniknęła: więcej nic nie powiedziała.”²¹

Ciotka Lucyla opowiada, że „pod koniec ekstazy” Bernadetta poprosiła ją, by jej podarowała swoją świecę. Lucyla jak najchętniej się zgodziła. Wtedy dziewczynka dodała: „Czy Ciocia pozwoli mi zostawić ją w grocie?” Na znak potwierdzający „poszła zatknąć tę świecę, zapaloną”, wśród innych, które już tam płonęły. (W liście do prefekta z dnia 27 marca komisarz stwierdzi, że dnia 25 około południa było w Massabielle 65 świec).²²

Ciotka Lucyla zapyta ją potem: — „Dlaczegoś tak zrobiła? — P a n i — odpowiedziała Bernadetta — zapytała mnie, czy chciałabym zostawić w grocie płonąca świecę, a ponieważ ta świeca była Cioci, nie mogłam jej zostawić bez Cioci pozwolenia.”²³

Gdy Bernadetta zabierała się już do odejścia, otoczyli ją świadkowie sceny. Przyjaciółka jej rodziny, Filias-Nicolau, pierwsza chwytła ją w objęcia i ścisłym głosem pyta: „Bernadettko, może wiesz coś?” Na to dziewczynka „poczęła się śmiać; cała jej twarz promieniała radością”. Przyjaciółka nalega: — „Skąd to pochodzi, że wydajesz się tak szczęśliwa? — Ona mi powiedziała: Jestem Niepokalane Poczęcie.”²⁴

W drodze powrotnej jedna z jej koleżanek szkolnych, Joanna Maria Tourré, idzie przy niej. Słyszy, jak jasnowidząca powtarza te same słowa. „Co ty tak powtarzasz, Bernadettko? — zapytała jej. — Powtarzam imię, które mi P a n i powiedziała. Boję się, żeby go nie zapomnieć.”²⁵

Co znaczą słowa „Niepokalane Poczęcie”, Bernadetta nie miała żadnego pojęcia. Lecz ponieważ Zjawa zaczęła od wyrazu „jestem”, to oczywiście muszą one być jej imieniem...

O, nareszcie ks. proboszcz będzie zadowolony!

Ledwie weszła do rodziców, Bernadetta mówi, że idzie do niego. Wychodzi więc w towarzystwie grupki kobiet oraz ciotki Bazyli Castérot, która już raz się odważyła stanąć przed surowym duszpasterzem podczas pierwszej wizyty we wtorek, 22 lutego, kiedy to była mowa o procesjach do grotty. Ta nowa, zupełnie nie przewidziana wizyta przeszkadza księdzu. Nagłe przybycie dziewczynki, która — zamysłona o czym innym — nawet go nie pozdrowiła, nie podobało się mu. „Nie zostałyśmy dobrze przyjęte”²⁶, i tym razem stwierdza ciotka Bazyla.

„Ujrawszy Bernadettę wchodzącą, ks. Peyramale rzekł jej:

— Czego chcesz dzisiaj?

A ona, nie mówiąc ani „dzień dobry”, ani „dobry wieczór”, wyrecytowała:

— Jestem Niepokalane Poczęcie.

— Co ty mówisz, mały pyszałku? — zawołał proboszcz.

— Jestem Niepokalane Poczęcie... (Teraz dopiero jej myśli skupiły się, dodaje więc:) To P a n i niedawno co powiedziała te słowa.

— No, nareszcie! — odpowiedział kapłan, tłumiąc emocje. — A wiesz, co to znaczy?

— Nie, księżę proboszczu.

— Widzę, że znów jesteś w błędzie. Jak mogłaś zapamiętać słowa, których nie rozumiesz?

— Od groty aż dotąd stale powtarzałam: Jestem Niepokalane Poczęcie.

— No, dobrze!... Zastanowię się, co trzeba robić — dodał kapłan. I pożegnał gości."²⁷

Scenę tę Bernadetta sama odtworzyła swojej kuzynce, Joannie Védère.

Wkrótce potem ks. Peyramale wstąpił do sklepu kolonialnego państwa Ribettes. „Oto — rzekł do pani domu — co mi przed chwilą doniosła Bernadetta Soubirous: P a n i jej powiedziała: «Jestem Niepokalane Poczęcie». Byłem tym tak wstrząśnięty, że zachwiałem się i o mało nie upadłem.”²⁸

Ks. Peyramale przeżywa ważną godzinę swego istnienia, ważniejszą niż sobie wyobraża. Jednakże w każdej jego czynności, w każdym postępku zdradza się w dwojaki sposób jego uczuciowy charakter. Początkowo szorstka odprawa tej biednej dziewczynki, o której zapewne zaczyna już tworzyć sobie dobre wyobrażenia, lecz która nie umie się dostosować do form grzecznościowych; następnie zaś, gdy przemówiła, ogarnia go wzruszenie, doznaje zawrotu głowy: teolog zetknął się nagle z nadprzyrodzonością i — zadrżał ze strachu.

Od kogóż ta mało rozwinięta dziewczynka zasłyszała te słowa, których treści nie zna, których więc nie mogła wymyślić sama? Oznaczają one najwyraźniej Najświętszą Pannę w pierwszym z Jej przywilejów. Czyżby więc P a n i przepasana lazurem była rzeczywistością? Oto przed trzema tygodniami proboszcz lurdzki w przystępie złego humoru nazywał Bernadettę kłamczynią. Lecz jeśli dzisiaj mówiła prawdę?... Jeśli istotnie słowa te były wypowiedziane w Massabielle?... „Kłamie się słowami znany, lecz nigdy takimi, których sensu się nie zna.”²⁹

Że słowa „Niepokalane Poczęcie” w uszach Bernadetty są tylko dźwiękiem, na to ks. proboszcz może mieć tyle dowodów, ile tylko będzie sobie życzył.

Chętnie widuje się on z Estrade'em. Ten zaś 25 marca poprosił Bernadettę do siebie, by mu opowiedziała przebieg tego szesnastego objawienia. Po skończeniu opowiadania zwróciła się do Estrade'a i jego siostry pytając z prostotą dziecka: „Co to znaczy Niepokalane Poczęcie?”³⁰ Przy tym nie umiała poprawnie wymówić, nawet w swoim narzeczu, wyrazu „Poczęcie”.

Znacznie później odtwarzała na życzenie pani Ribettes i jej córki

Marii Idy swą ekstazę takim tonem, gestami i wyrazem twarzy, że „lży cisnęły się do oczu”. Otóż — mówi dalej Maria Ida — „gdy moja matka zapytała jej, co znaczą słowa: Jestem Niepokalane Poczęcie, odpowiedziała, że ich nie rozumie”³¹.

Oczywiście, ks. Peyramale nie przeczy, że dziewczynka mogła rzeczywiście słyszeć słowa, które powtarza z tak wzruszającym przekonaniem. Mimo to nie może się wyzbyć skrupułów i wątpliwości. Duch ciemności — jak twierdzą święci — przybiera niekiedy postać ducha światłości. Czyż Księga Joba nie ukazuje nam, jak świat pozaprzyrodzony, który jest światem szatana, przenika do świata nadprzyrodzonego, który jest światem Boga Najwyższego?... Ks. proboszcz szuka porady u autorów mistycznych, studiuje w ich dziełach rozdziały o prawdziwych i fałszywych objawieniach. Daremny trud. Niestety, wkrótce zdumiewające fakty, których widownią będzie dolina massabielska, uczynią jego wahania bardziej uzasadnionymi. Dlatego podczas świąt wielkanocnych nie wyda publicznego oświadczenia, którego jego parafianie zdają się spodziewać. W sprawie tak delikatnej proboszcz lurdzki wypowie się jedynie na podstawie opinii ordynariusza.

Bernadetta zaś zażywa swego spokojnego szczęścia. Wyjaśniono jej i ona rozumie, że Niepokalane Poczęcie — to Najświętsza Dziewica, którą ona tak kocha. „Kierując się — pisze Estrade — jakby natchnioną ostrożnością, nigdy w okresie ekstaz nie wymówiła świętego imienia Tej, która zapełniała jej duszę.”³² Z przyzwyczajenia w dalszym ciągu będzie mówiła: P a n i, lecz odtąd w jej myśli będzie to Nasza Pani Massabielska.

W tym dniu Zwiastowania radość, którą promieniowała Bernadetta po wyjściu z ekstazy, odbijała się w oczach tych wszystkich, którzy jej wierzyli. Wielka nowina szybko się rozeszła. W mieście tedy, po wsiach i przysiółkach, na polnych drogach pozdrawiano się słowami: „Jakież szczęście!... Wyjawiała swe imię!... Od razu wiedzieliśmy!... Tak, to Najświętsza Panna!...”

I niejednen kapłan mówił sobie: Oto przed trzema laty Ojciec święty ogłosił jako dogmat wiary, że Błogosławiona Dziewica Maryja od pierwszej chwili swego poczęcia była zachowana i wolna od wszelkiej zmayı grzechu pierworodnego. Otóż właśnie Najświętsza Panna podpisała w Lourdes bullę papieską z 8 grudnia 1854 roku; co więcej: streściła ją we wzruszającym skrócie, który dotychczas nawet na myśl nie przyszedł komukolwiek z duchownych: Jestem Niepokalane Poczęcie.³³

„Wkrótce (4 kwietnia) nadeszły wielkanocne święta... Szczęśliwi i dumni, że Królowa Nieba stała się ich współobywatelką — pisze Estrade, który pierwszy skorzystał z tego dobrodziejstwa odrodzenia dusz — mieszkańcy Lourdes z zapalem pospieszyli do uczyty eucharystycznej. Z wyjątkiem kilku filozofów uniesienie było powszechne.”³⁴

Upokorzeni, że znaleźli się w znikomej mniejszości, niedowiarkowie ci nie śmieli podnieść głowy. Zauważono także, że podczas tych tygodni,

jedynych w dziejach Lourdes, miejscowy dziennik zachował głuche milczenie, za które zresztą społeczeństwo było mu wdzięczne. Widocznie ks. Serres, lepiej poinformowany i doprowadzony do skruchy, doradził wreszcie adwokatowi Bibéemu, by zamilczał.

Jednakże pewne urzędowe osobistości w Pau, w Tarbes, a nawet w Lourdes przeciwdziałają w dalszym ciągu. Nie mogą się zdecydować, aby dać za wygraną.

XII

RAPORTY LEKARZY I PRZEDOSTATNIE OBJAWIENIE

„CUD ŚWIECY” — ŚRODA 7 KWIECZNIA

Przebiegając oczyma korespondencję z Lourds prefekt Hautes-Pyrénées denerwuje się.

Burmistrz Lacadé nie przestaje popisywać się swym najbardziej uspokajającym optymizmem. Chociażby dwadzieścia tysięcy ciekawskich tłoczyło się wokół massabielskich skał, dla niego zawsze panuje tam wzorowy porządek: „Panie Prefekcie, osoby, które przychodzą do grotty, przychodzą tylko po to, aby się pomodlić, i odchodzą w milczeniu.”¹ Lecz właśnie baron Massy nie chce, żeby ta grotta nad brzegiem potoku stała się nielegalnym miejscem kultu!

Jeszcze bardziej drażniące są raporty komisarza Jacometa. Według niego pewnego wieczoru w miasteczku idealny spokój; lecz nagle nocą olbrzymi napływ ludu — policjanci i żandarmi w pogotowiu. „Sprawa lurdzka” w opinii tego dziwnego człowieka to jak pożar, który zdaniem komendanta straży jest już stanowczo ugaszony, lecz który ponownie wybuchą, przygasa i znów się wzmacnia... Wykazał tyle gorliwości, pięć czy sześć razy ogłaszał swoje zwycięstwo, a teraz... oto do jak rozczarowującego wniosku dochodzi: „Panie Prefekcie, śmiało twierdzą, że ta sprawa... która nabiera pewnej powagi... nigdy się sama przez się nie skończy i liczenie na to byłoby złudzeniem.”²

Ta sprawa lurdzka dzięki panu, panie komisarzu, już dawno powinna była się skończyć! Ale czy to wskutek pecha, czy własnej niezręczności nie mógł pan odkryć tego „występku zupełnie stwierdzonego”, na który

zwracał uwagę minister sprawiedliwości. W każdym razie skoro sprawa nie może sama się skończyć, to się jej w tym pomoże — przed świętami!

W czwartek, 25 marca, minął się list Lacadégo z depeszą barona Massy'ego. Burmistrz podejrzewa prefekta, że zaaprobował — jeśli nie podsunął — te zdania, zamieszczone w *Ere Impériale*, urzędowym dzienniku prefektury: „Wypadki nie zaszłyby tak daleko, gdyby rodzice domnieманej świętej poszli za radą lekarzy, którzy zalecali umieścić chorą w zakładzie. Tego zdania są wszyscy rozumni ludzie.”³

Autor tych słów miał na myśli zapewne zakład nie w Lourdes, lecz w Tarbes, gdzie łatwiej by było zamknąć „wizjonerkę”. W związku z tym, rankiem 25 marca, Lacadé pisze:

„Panie Prefekcie, zamknięcie tej dziewczyny w zakładzie byłoby prawdopodobnie błędem. Obawiałbym się, żeby ten krok nie rozdrażnił ludności, której wiara [w nadprzyrodzoność massabielskich faktów] jest głęboko zakorzeniona. Moim zdaniem, krok ten powinno się podjąć tylko na wypadek zakłócenia porządku publicznego...”

Tegoż dnia wieczorem prefekt odpowiada:

„Proszę Pana, Panie Burmistrzu, by Pan poddał tę dziewczynę badaniom lekarza i by — zależnie od wyników tych badań — ocenił, czy należy ją umieścić w zakładzie.”

W liście, który nazajutrz pośle do ministra wyznań, Massy nie napisze „umieścić”, lecz „zamknąć” w zakładzie; a także doda:

„Zastanawiam się, jaką wobec tego rolę powinny przybrać władze państwowe. Oczywiście, nawiedziny grotty nie są przestępstwem: wszystko dotychczas odbywało się w jak największym porządku. Sądzę więc, że jedynie na interwencję duchowieństwa demonstracje te mogą być zaniechane.”

Lecz czyż można się spodziewać tej interwencji? By zapewnić sobie współdziałanie duchowieństwa, baron Massy wezwał proboszcza Lourdes i wikariusza generalnego z Tarbes na konferencję. (Ordynariusz był wtedy na wizytacji duszpasterskiej, z której miał powrócić dopiero 28 marca). Prefekt rychło się spostrzegł, że zapatrywania władzy świeckiej i władzy duchownej już się różnicowały. Obaj kapłani, postanowiwszy obwarować się zupełną rezerwą, nie ujawnili mu swej myśli. Prefekt, niezadowolony, niespokojny, sądził tedy, że tłumaczył właściwie ich milczenie, gdy w kilka godzin po widzeniu się z nimi pisał do ministra Roulanda:

„Duchowni ci, aczkolwiek sami wcale nie wierzą w rzekomy cud, nie wydają mi się bardzo skłonni występować formalnie i publicznie przeciw tym faktom.

Zresztą, Panie Ministrze, stanowisko kleru już nie jest to samo, co do niedawna. Niektórzy duchowni zdają się chcieć porzucić tę przezorną ostrożność, którą zachowywali dotychczas.”⁴

W tym czasie burmistrz Lacadé porozumiał się z doktorem Janem Balencie. Jest to lekarz przytulku lurdzkiego, a więc praktyk jakby spe-

cialnie przeznaczony do zbadania młodej Soubirous, która w dalszym ciągu chodzi tam na lekcje. Ma on zdecydować, czy należy ją odosobnić. Burmistrz wcale nie ukrywa, że chętnie przekazuje mu to zadanie. „Ależ, Panie Burmistrzu, to rzecz poważna! I ja nie chcę brać na siebie podobnej odpowiedzialności.” Więc dobrze. Przydzielają mu jeszcze dwu kolegów: Peyrusa i Lacrampe’a, gdyż o doktorze Dozous nie można nawet myśleć: stał się gorącym zwolennikiem Bernadetty. Doktorzy: Balencie, Lacrampe i Peyrus są praktykującymi katolikami, lecz dotychczas nie zwracali wielkiej uwagi na massabielskie wydarzenia. Żaden z nich nie zna Bernadetty, żaden nie był u groty. Jednakże dla zaspokojenia sumienia proszą adwokata Romana Capdevielle’a, by ich „poinformował o tym, co się działo podczas objawień.”⁵

W sobotę przed niedzielą palmową, 27 marca, lekarze przybywają do przytułku. Jest godzina lekcyjna. Jedna z zakonnic, nie mówiąc ani słowa, wyprowadza Bernadettę spośród jej koleżanek. Zaczyna się badanie.

Doktorzy — jak wskazuje ich raport — mają odpowiedzieć na dwa pytania: „Czy ta dziewczynka jest dotknięta chorobą umysłową? Czy należy ją leczyć?” Przeprowadzą więc badanie równocześnie pod względem i fizycznym, i psychicznym.

Zwracają uwagę na cerę i wzrost małej Pirenejki. Pytają się jej, jak się czuje, każą jej oddychać i nie oddychać, a przede wszystkim z największą skrupulatnością badają jej głowę, „by — według teorii Galla — odkryć na niej tzw. protuberancje obłądu”⁶. Muszą jednak stwierdzić, że głowa jest normalna.

Oto zresztą wyniki ich badań:

„Bernadetta jest konstytucji delikatnej, temperamentu limfatycznego i nerwowego. Ma lat trzynaście, lecz nie wygląda na więcej niż jedenaście. Jej wyraz twarzy jest miły, oczy mają żywy wyraz, głowa jest ukształtowana regularnie, lecz wąska i raczej mała niż duża.

Mówi, że czuje się bardzo dobrze, nigdy nie cierpiała na ból głowy, nie miała ataków nerwowych; pije, je i śpi znakomicie. Jednakże nie ma ona tak dobrego zdrowia, jakby można było przypuszczać: jest najoczywiściej dotknięta astmą; oddech jej jest lekko niespokojny i świszczący, czasami nawet dość znacznie.”

Dotychczas spostrzeżenia lekarzy są trafne. Istotnie, jest to dziewczynka grzeczna, rozumna, źle odżywiona, mająca nieodpowiednie mieszkanie; organizm jej, który nie może się pozbyć skutków dawno przebytej cholery, potrzebuje dobrego odżywiania i świeżego powietrza... Ale czy to mizerne dziecko, porywające za sobą tłumy, nie jest przypadkiem niezrównoważone umysłowo? Aby zdać sobie z tego sprawę, lekarze wdają się z nią w rozmowę.

Ona zaś, nawet nie domyślając się ich zamiaru, opowiada im o swoich widzeniach. W zapisywaniu tych opowiadań w raporcie, który prześle burmistrzowi Lourdes, przejawia się pewna troska o dokładność. Jednak-

że nie podzielają poglądów mecenasa Capdevielle'a na wydarzenia massabielskie, zachwyty Bernadetty mogą oni wyjaśnić tylko przyczynami naturalnymi: halucynacja... egzaltacja. Co więcej: dla wzmocnienia swej tezy zniekształcili pewne informacje adwokata lurdzkiego. Dr Balencie kiedyś ze skruchą wyjawi ten fałsz. Otóż adwokat Capdevielle w celu odmalowania pokutniczego zapалу Bernadetty powiedział, że „zdawała się jeść ziemię”. Lekarze zaś przekręcili: „Widziano ją, jak padła na twarz i w przystępie szału kaślała ziemię.”

Posłuchajmy — jeśli można, bez śmiechu — tych poważnych doktorów — uznających się oczywiście za mniej naiwnych od swego kolegi, Dozous, którego ośmielają się wprost ganić — posłuchajmy ich, jak przedstawiają swe wnioski pierwszemu urzędnikowi miasta:

„Nic nie wskazuje, jakoby Bernadetta chciała zaimponować publiczności. Dziewczynka ta jest wrażliwa, mogła przeto stać się ofiarą halucynacji. Odblask światła skierował bez wątpienia jej uwagę na grotę; jej wyobraźnia pod wpływem moralnej predyspozycji stawia jej przed oczyma postać Matki Boskiej, którą przedstawiają figury naszych ołtarzów, tak uderzające dzieci. Bernadetta opowiada swoje widzenie przyjaciółkom, które ją pociągają do groty. Wiadomość rozchodzi się po mieście. Lud woła, że to cud, że to objawienie się Matki Boskiej. Czy to nie wpływa coraz bardziej na stan moralny dziecka? Czyż jej egzaltacja nie dochodzi do szczytu? To, co początkowo było tylko zwykłą halucynacją, potęguje się, pochłania ją coraz bardziej, odgradza ją w chwili objawienia nawet od świata zewnętrznego; i tu właśnie mamy prawdziwy stan ekstazy, to uszkodzenie inteligencji, które oddaje tego, co mu podlega, pod panowanie idei, która go pochłania. Przykłady tego rodzaju podają zresztą różni autorzy.

Wobec powyższego niżej podpisani sądzą, że Bernadetta Soubirous mogła przedstawić stan ekstazy, który kilkakrotnie się ponawiał; że polega on na cierpieniu moralnym, którego skutki wyjaśniają zjawiska wizji.”

Członkowie konsylium powołanego przez burmistrza Lourdes dają wyjaśnienie massabielskich wypadków tak dziwne, jak same wypadki: oto odbłask światła na szarych skałach wystawionych na północ halucynuje dziewczynkę piętnaście razy w ten sam sposób, o jakiegokolwiek porze: w jasne południe zarówno jak o piątej rano w zimie, i to do tego stopnia, że wprowadza ją w prawdziwy stan ekstazy! Żeby jeszcze ci panowie sami obserwowali fakty na miejscu, zamiast badać je u „autorów”!...?

Lecz czytając ich raport, który mu wręczono w środę, 31 marca, p. Lacadé chce się jak najprędzej dowiedzieć, co w końcu postanowiono. Oddycha z ulgą: jego przewidywania były trafne, a pragnienia się ziściły. Czyż nie pisał do prefekta 30 marca:

„Stosownie do listu, który Pan Prefekt raczył do mnie skierować 25 bm., poleciłem miejscowym lekarzom zbadać Bernadettę.

Panowie ci obiecują mi doręczyć swój raport jutro wieczorem. Będę miał zaszczyt przesłać go Panu pocztą pojutrzejszą. Tymczasem pragnę wyrazić przypuszczenie, że nie uznają tej dziewczyny za chorą.”

Istotnie, Lacrampe, Peyrus i Balencie, którzy niedawno dopatrzili się u ekstatyczki „obrażenia inteligencji”, teraz, na końcu swego pracowniczego raportu, zadowolają się stwierdzeniem choroby, która właściwie nie jest chorobą, lecz tylko zwykłym zmęczeniem, łatwo uleczalnym poza zakładem:

„Czy jest potrzeba leczenia tego cierpienia? Niewiele mamy do powiedzenia na ten temat. Choroba, którą — sądzymy — wolno nam przypisać Bernadecie, w rozmiarach, jakie stwierdzamy, nie naraża jej zdrowia na żadne niebezpieczeństwo.

Przeciwnie: Jest rzeczą prawdopodobną, że skoro tłumy nie będą jej niepokoić, nie będzie się żądać od niej modlitw, gdy wróci ona do normalnego trybu życia — przestanie myśleć o grocie i o cudownościach, które opowiada.”⁸

Baron Massy natychmiast po otrzymaniu raportu przekazuje go ordynariuszowi i prokuratorowi cesarskiemu.

Dutour, który długo się zastanawiał nad faktami massabielskimi, 2 kwietnia — w Wielki Piątek — przesyła Falconnetowi, prokuratorowi generalnemu, swoje refleksje, zabarwione sceptycyzmem, a nawet ironią, lecz których doniosłość i realizm — mimo wszystko — nas zadziwia.

„Nie wdaję się w to, czy raport usprawiedliwia umieszczenie Bernadetty w szpitalu, wyrażam tylko powątpiewanie o skuteczności takiego środka...

Duchowni lurdzcy, a przynajmniej wikarzy, popierają pielgrzymki do grotty; ludność czuje pociąg do tego miejsca; władze miejskie wydają się mało skłonne do zapobieżenia temu; ten stan rzeczy będzie trwał bez względu na to, czy Bernadetta będzie miała w tym udział, czy nie...

Myli się Pan Prefekt, gdy wzbudzenie ruchu, który zdawał się zamrzeć 4 marca, przypisuje okoliczności, jakoby Bernadetta wznowiła pielgrzymki do grotty. Nie, Bernadetta po przerwie pokazała się tylko raz u grotty, mianowicie 25 marca, w dzień Zwiastowania.

A więc już to nie ona prowadzi tam tłumy, nie od niej wieje wiatr, który podnosi fale. Jej rola jest teraz bardzo ograniczona i bierna.

Uwaga skupia się coraz bardziej na grocie. Tam raczyła się objawić Najświętsza Panna; tam Ona chce być czczona, w kaplicy, którą należy zbudować; tam dusze będą się poić u niewyczerpalnego źródła łask, a ciała trapiące chorobami i cierpieniami znajdą inne źródło, widzialne i dotykalne, tryskające ze skały, mające ceną moc leczenia i niesienia ulgi.”

Oczywiście, prokurator nie bierze na swój rachunek tych „błądzeń wyobraźni”, tych odchyłeń „uczucia religijnego, które, niestety, czasami

pod wpływem błędu i kłamstwa ulega zaślepieniu — jak wszystkie inne uczucia — i które wówczas wiedzie do zabobonu, jak to zauważył Pan Prefekt”. Jakim sposobem można by naprowadzić zbłąkanych na właściwą drogę? Och, tylko bez gwałtu! Może bariery? „Władze miejskie okazują się mało skłonne do wzniesienia barier na drodze do grotty.” I znowu Dutour bezwiednie wróży:

„Jest rzeczą pewną, że jakiegokolwiek środki wywołałyby tu ogromne niezadowolenie. Grota z wielu względów stała się dla Lourdes miejscem drogim: Pobożność — godna szacunku w swej podstawie, lecz niedyskretna w swym zapale i mało rozsądna w swym przedmiocie — czyni z grotty czcigodną i nietykalną świątynię; łatwowierność czyni z niej miejsce upodobania Bożego i pole codziennych cudów.

Dla ubogich to nadzieja obfitych jałmużn.

Dla różnych gałęzi przemysłu — okazja znacznych zysków (o czym mówiłem gdzie indziej)...”

Sprzymierzyło się tyle interesów! Któż może z nimi zwycięsko walczyć? Tylko duchowieństwo, oczywiście po prefekcie — myśli sobie prokurator cesarski. Lecz (ach, to straszliwe lecz)... duchowieństwo okazuje się coraz mniej pewne. Proboszcz lurdzki, człowiek tak inteligentny, gorliwy, dobroczynny, tak skądinąd mądry — dymy kadzideł pana prokuratora zaczynają go już dusić — „wprowadzony zapewne w błąd informacjami, które nie dość starannie sprawdził, pozwolił, żeby zbyt wielkie wrażenie wywarły na niego fakty, którym by odmówił wszelkiej wartości, gdyby był zwrócił uwagę na poczytalność i stan moralny osób, które mu o nich donosiły. Refleksje ks. proboszcza wzbudziły nierozważny zapal wikarych”... Ks. proboszcz dopuścił, by wzniesiono w grocie „coś w rodzaju ołtarza”; pozwolił rozdawać ubogim pieniądze składane u stóp tego ołtarza. Dlatego — aby go nie urazić — pieniądze te (z 25 marca 61 franków, z 1 kwietnia 75 franków) z polecenia władz administracyjnych składa się do kasy Biura Dobroczynności.

Kończąc swój długi list, prokurator cesarski oświadcza, że jest wrogiem półśrodków, i gani usługą bierność władz miejskich:

„Kwestionuje się kompetencję władz świeckich, ich intencjom odmawia się szczerości. Jeśli one nie będą zmierzać do celu śmiało i otwarcie, uzna się je za bezsilne...”

Pan, Panie Prokuratorze Generalny, oceni, czy w takim stanie rzeczy względ na porządek publiczny, na zdrową moralność, a nawet na religię oświeconą nie wymaga zamknięcia drogi do grotty, mimo że porządek materialny nie został do dziś zakłócony i że nie stwierdzono żadnego przestępstwa.”

Zdania te są zapowiedzią pewnych bardzo przykrych wypadków, które niebawem się zdarzą.

Pozostaje jeszcze zbadanie myśli ks. biskupa. Prefektowi zależy, aby

ks. biskup ujął w swe ręce sprawę, która należy przede wszystkim do kompetencji władzy duchownej.

Roku 1858 ks. bp Laurence liczył sobie 67 lat życia i 13 lat biskupstwa. Kariera tego kapłana była wyjątkowa. Jego spóźnione powołanie przypomina św. Jana Vianneya. Urodzony ze zwykłych rzemieślników gdzieś w zakątku prowincji Béarn, w dwudziestym roku życia ledwie umie czytać i pisać. W trzydziestym pierwszym roku jest kapłanem; prawie natychmiast jego ordynariusz poleca mu stworzyć w Saint-Pé, w ruinach monasteru benedyktyńskiego, małe seminarium, którego zostaje superiorem. W roku 1834 ks. Double, biskup Tarbes, przybiera go sobie za wikariusza generalnego, a następnie powierza mu kierownictwo swego wielkiego seminarium. Ks. bp Laurence był więc doskonale przygotowany do zadań wodza duchowego swych współziomków. Diecezja zawdzięcza mu ojców Misjonarzy w Garaison i siostry Świętego Józefa w Tarbes, trudniące się nauczaniem i pielęgnowaniem chorych. Ks. Laurence pozostawi po sobie sławę wielkiego i świętego biskupa.

Nieobecny w swojej stolicy przez około sześć tygodni w lutym i marcu tego — 1858 roku, — po powrocie przytłoczony zajęciami, nie mógł on sobie wyrobić dokładnego pojęcia o spornych wydarzeniach (wizje Bernadetty znał tylko z opowiadań ks. Peyramale'a). Cóż więc mógł postanowić w sprawie tej dziewczynki na podstawie jednego dokumentu, mianowicie raportu lekarzy? Wiedział doskonale, że biskup nie wdaje się w sprawę widzeń, prawdziwych czy domniemanych, nie mając o nich dokładnego raportu własnej komisji. Na razie o komisji biskupiej nie mogło być mowy: pierwsze objawienie w Massabielle miało miejsce zaledwie przed dwoma miesiącami, a ostatnie przed dwoma tygodniami. A nóż nastąpią dalsze?... Nie, dla ordynariusza jeszcze nie pora brać sprawy w swe ręce.

11 kwietnia — w niedzielę przewodnią — ks. bp Laurence odpowiada prefektowi. Rezerwuje sobie przezornie przyszłość. Teraz nie chce do siebie zrażać ani zwolenników, ani przeciwników. Lekarze mogą mieć słuszność, lecz pewnego dnia może się też okazać, że ci, co wierzą w nadprzyrodzony charakter objawień, mają rację. Anioł nie zstąpił z nieba objawić biskupowi prawdy. Teraz jest godzina człowieka. Lecz ks. bp Laurence przyznaje, że i godzina Ducha Świętego może nadejść. Uspokoiwszy prefekta co do postawy duchownych lurdzkich, którzy mają „dobrą wolę popierania intencji władz państwowych”, czcigodny biskup dodaje:

„Przeczytałem raport lekarzy, którzy badali dziewczynę interesującą nas ze względu na jej postępowanie.

Wyłączają oni oszustwa — to jeden punkt. Dopatrują się halucynacji i ekstazy jako skutku uszkodzenia mózgu. To możliwe, bardzo możliwe; to nawet bardzo prawdopodobne. Takie jest też moje założenie.

Nadmieniam tylko, że czynnik nadprzyrodzony uważam za możliwy.

Czekam jednak innych dowodów, by móc go stwierdzić w tym wypadku.”

Co do praktycznych zarządzeń odnoszących się do Bernadetty, biskup nadmienia tylko o jednym:

Przedwczoraj, tj. 9 kwietnia, napisałem do ks. proboszcza Lourdes, że on i jego wikarzy winni starać się wszelkimi dostępnymi im sposobami nie dopuścić, by dziewczyna chodziła do grotty, i w ten sposób zaoszczędzić środków zaradczych, które władze świeckie zamierzają przedsięwziąć dla osiągnięcia tego celu...”

Lecz co by się stało, gdyby Bernadetta znowu poczuła się pociągana do Massabielle siłą, której nie jest w stanie się oprzeć? Otóż właśnie tak się stało, zanim ks. bp Laurence napisał do księdza Peyramale’a.

*

Mała Soubirous uczęszcza na nabożeństwa wielkotygodniowe. Całując w Wielki Piątek stopy Zbawiciela, mówi sobie — tak jak u grotty — że to za grzeszników.

Tego poranka ktoś puścił fałszywą pogłoskę, że wcześniej, około południa, Bernadetta uda się do Massabielle. Zaraz zgromadziło się przed grotą „przeszło sześćset osób. Ledwie przybyły — notuje komisarz — oświadczono im w mojej obecności, że mała nie przyjdzie i że nie wie, czy [w ogóle jeszcze kiedykolwiek] przyjdzie.”⁹

Naoczny świadek Jan Estrade opowiada, że w Wielkanoc w godzinach, kiedy się odprawiają Msze św., kościół lurdzki był przepelniony.

Tego dnia od piątej rano do jedenastej wieczorem nieustanna defilada wiernych, którzy idą podziękować Naszej Pani Massabielskiej za łaski. Komisarz policji przeliczał ich jak skąpiec pieniądze: policjanci i strażnik połowy donieśli mu, że w „w dzień wielkanocny, 4 kwietnia” było u grotty „wszystkiego 3625 osób, mianowicie: 1400 mężczyzn, 1431 kobiet i 794 dzieci”.

Nazajutrz od rana do wieczora napływ pielgrzymów będzie jeszcze większy: 3433 przybyszów i 2012 mieszkańców Lourdes, razem 5445 osób, mianowicie: 1656 mężczyzn, 2682 kobiet i 664 dzieci. Łączna liczba osób, które w tych dwu dniach nawiedziły grotę, wynosi 9070.”¹⁰

A cóż dopiero, gdyby Bernadetta przybyła do Massabielle?! „Wizjonerka — pisze Jacomet we wtorek, 6 kwietnia — nie była u grotty od Święta Zwiastowania.”¹¹

Otóż tego samego wtorku wieczorem dostrzega ona w swym sercu nowe zaproszenie Niepokalanej.

Przed kilku dniami pobożne panie z Lourdes ustawiły na kwiecistym aksamitnym dywaniku w wydrążeniu skalnym, w którym ukazywała się Matka Boża, Jej figurkę z gipsu. Przed tą figurką klęka Bernadetta w środę wielkanocną¹² około szóstej rano. Komisarz policji pisze, że już „grotta była oblegana przez przeszło 1200 osób”¹³. Wszyscy — według

powiedzenia burmistrza — „modlili się z dużym skupieniem”, tak że „nie przestał panować najdoskonalszy porządek”¹⁴.

Wkrótce zachwyconym oczom dziecka ukazuje się w skalnym owalu żywa postać Najświętszej Panny z niewymownym uśmiechem. Ekstaza trwała „około trzech kwadransów”.

Dwóch najbardziej uważnych obserwatorów stale towarzyszy Bernadecie. Są to Jacomet, który ze względu na swój raport nie traci z oczu ani jednego jej ruchu, i dr Dozous, który idzie za nią „krok w krok, z oczyma ustawicznie w nią utkwionymi”, by raz jeszcze móc gruntownie zbadać interesujący go przypadek.

Komisarz raportuje: „Bernadetta się uśmiecha, kłania, następnie przebywa przestrzeń dzielącą ją od grotty i zatrzymuje się tam nieruchomo; czasem tylko się uśmiechnie i skłoni.”

Ostatnią fazę tego siedemnastego objawienia znamionuje zjawisko, które zwykło się nazywać cudem świecy.

Bernadetta, według świadectwa doktora Dozous, „trzymała dużą, poświęconą, płonąca świecę”¹⁵. Była to — zapewnia ze swej strony Andrzej Sajous — „świeca za jednego franka”¹⁶. „Gdy nastąpiło objawienie — dodaje Julia Garros — „świeca osuwała się stopniowo, tak że oparła się wreszcie na ziemi, a jej płomień znalazł się wewnątrz dłoni”¹⁷. Jan Maria, mały braciszek Bernadetty, przypomina sobie, że „bardzo dobrze widział, jak ten płomień przechodził przez jej palce”¹⁸. Trzynastoletniemu uczniowi, Bernardowi Joanasowi, który kiedyś zastąpi ks. Pomiana jako kapelan lurdzkiego przytułku, udało się wkręcić aż na odległość dwu metrów od klęczącej Bernadetty. „Twarz jej — opowiada ten świadek — była zasłonięta przez postać dra Dozous. Lecz widziałem, jak tenże lekarz obejmował jej rękę w przegubie, jakby chciał zbadać tętno, i równocześnie jak płomień świecy przechodził przez palce jej ręki. Gdy to zauważono, osoby znajdujące się w pobliżu wołały: «O Boże, ona się sparzy!»”, na co lekarz odpowiedział: „Zostawcie ją!” „Pozostawiono tedy rękę nad płomieniem przez kilka minut.” „Tymczasem Bernadetta nawet się nie poruszyła.”¹⁹

Wreszcie ku wielkiej uldze świadków zachwycenie się kończy, świeca się przewraca. „Jeszcze dziś widzę — zeznaje ks. Bernard Joanas — jak dr Dozous bierze rękę dziewczynki, jeszcze widzę, jak ją łokciem obciera (było bowiem na niej trochę dymu), i słyszę jeszcze, jak woła głośno: «Nic nie znać!» Po tych słowach, które szybko się rozeszły, ogarnął tłumy entuzjizm graniczący z szałem.”²⁰

Tymczasem doktor w dalszym ciągu prowadził swoje doświadczenia. Oto wyjątek z jego notatek:

„Poprosiłem osobę, która podjęła świecę, by ją zapaliła i podała mi. Natychmiast podsunąłem kilkakrotnie płomień świecy pod lewą dłoń Bernadetty, która ją bardzo szybko odsunęła, mówiąc: «Pan mnie parzy.»

Fakt ten przytaczam tak, jak go widziałem i jak stwierdziło go wiele

innych osób, które także były obok Bernadetty²¹. Przytaczam go tak, jak zaszedł, nie tłumacząc go.”²²

W zdumiewającym „cudzie świecy” — który zresztą według poważnych świadków wydarzył się w Massabielle co najmniej dwa razy²³ — należy widzieć nie cud odosobniony, lecz po prostu jeden ze skutków jeszcze większego cudu: zachwytu Bernadetty obcujałej z Najświętszą Panną. Jak nauczają autorzy mistyczni, zatopienie w Bogu spowodowane ekstazą może doprowadzić do zawieszenia czynności zmysłów — nawet zewnętrznych — do tego stopnia, że stają się zupełnie niewrażliwe. Dowodzi tego choćby wypadek ze św. Tomaszem z Akwinu, który, pochłonięty objawieniem Bożym, nie zauważył, że świeca dopala się w jego ręku.²⁴

XIII

„SZATAŃSKIE SZTUCZKI” I FAŁSZYWE BERNADETTY

Ten błady wosk, który paląc się niszczy, którego płomień przygasa i znów się ożywia, dosyć dobrze symbolizuje dalsze etapy życia Bernadetty.

Począwszy od wizji z 7 kwietnia tłumy już się nie gromadzą wokół niej, by podziwiać ją w anielskiej piękności zachwyceń. Później jej imię, razem z imieniem Matki Bożej Lurdzkiej, niewątpliwie rozpowszechni się po świecie całym. Lecz i wtedy będzie ona tylko małą gwiazdką, która znika w blasku słońca. Na razie spełnia ona swą misję: przekazała kapłanom polecenia Niepokalanej. Nieprzerwana procesja pątników, nie kończące się „Ave” u grotty — te święte inwokacje, które się zrodziły z jej świadectwa — już nie potrzebują jej obecności.

Zresztą mała Soubirous, cała zajęta myślą o pierwszej Komunii świętej, pragnie być zapomniana, pragnie się usunąć w cień.

Tymczasem nowa burza zbiera się nad nią.

•

Nieprzyjaciel wszelkiego dobra, szatan, któremu Bóg tajemniczym zrządzeniem pozwala w pewnych granicach sprawować władzę, zawsze jest tym węzłem z pierwszych stronic Pisma świętego: Tam, gdzie Nie-

wiasta predestynowana postawi swą dziewiczą stopę, on będzie się starał ukąsić ją w piętę. W Lourdes Nowa Ewa objawia się niewinnemu dziecku, a więc w Lourdes bardziej niż gdzie indziej zagrożone są wpływy szatana.

Ujawnia się on nagle w piątek 19 lutego, kiedy Bernadetta po raz czwarty wpatruje się w Niepokalaną. Na wściekłą groźbę: Uciekaj! — Matka Najświętsza odpowiedziała gestem odtrącającym. I to wystarczyło.

Gdy bezpośredni atak się nie udał, księżę ciemności obmyślił inny plan wojenny: swoimi sztuczkami zdyskredytuje widzenia Bernadetty, dokaże, że nazwą ją oszustką, dezorientuje i rozproszy zwolenników objawień... i odrażająca dolina stanie się pustynią¹.

Prosta kobieta (Antonina Garros z Lourdes) wcześniej odkryła ukryte sprężyny czartowskiej taktyki: „Wszyscy wkrótce będą chcieli widzieć Najświętszą Pannę i to może poniżyć prawdziwe objawienia.”²

Wszyscy — to przesada. Faktem jest jednak, że miesiącami całymi w okolicy Lourdes srożyć się będzie prawdziwa epidemia wizjonerów. Jednymi w sposób widoczny powodowały siły tajemne; inni byli igraszkami swego temperamentu: ludzie egzaltowani, chorzy na manię pokazywania się, notoryczni kłamcy, histerycy, na pół obłąkani itp., których cierpienia szatan mógł wyzyskiwać do celów przewrotnych; byli też wreszcie złośliwi figlarze. Pokazy tych wszystkich — to wykrzywianie twarzy; ataki nerwowe; postawy groteskowe, czasem nawet nieprzyzwoite; zemdlenia... Odwikać w tym wszystkim oszustwa ludzkie od fałszerstw szatańskich — to rzecz więcej niż trudna.

W każdym razie nasuwa się tu natychmiast niezwykle ważna uwaga: „Podejrzane objawienia nigdy nie miały miejsca w niszy, w której Bernadetta widywała zwykle Niepokalaną”, ani też w tym miejscu, „na które zstępowała czasem Najświętsza Panna dla dalszych rozmów z jasnowidzącą”³.

•

Początki tego były dosyć niewinne.

Od sklepienia wewnątrz grotty do owalnego wydrążenia — które znajduje się na zewnątrz skały po prawej stronie grotty głównej, a w którym ukazywała się Niepokalana — prowadzi poprzez skałę korytarz wydrążony w ciągu tysiącleci przez wodę. Korytarz ten w odległości dziesięciu metrów od sklepienia grotty tak się zwęża, że nie można się przezeń dostać do owalu, w którym rośnie dzika róża⁴. W Sobotę Przewodnią, 10 kwietnia, trzy kobiety postanowiły zbadać ten tajemniczy korytarz. Dwie z nich nie cieszą się zbyt dobrą opinią, a trzecia należy do stowarzyszenia Dzieci Maryi. Właśnie komisarz dziwi się, że widzi ją w takim towarzystwie. Otóż wspinają się one po drabinie, a następnie czołgają się jedna za drugą. Płomień świecy, którą wzięły z sobą, zdaje się ożywiać chropowatości skalne i stalaktyty.

Jedna z nich — dziecko Maryi — w „białym kamieniu” widzi „postać kobiety z dzieckiem na lewym ręku”; druga w „białym kamieniu” upatruje „coś z postaci 10-letniej dziewczynki”; ostatnia — „postać dziewczynki czteroletniej”⁵. A wszystkie wołają: „O Najświętsza Panno, jakaś ty śliczna!... Jak piękne włosy!” Przed zejściem całują nabożnie stalaktyt podobny „do główki anioła”⁶.

Oczywiście przykład zachęca do naśladowania. W środę, 14 kwietnia, pewna służąca dostrzega w głębi jamy „rodzaj oparu, jakby welon, a niżej suknię wlokącą się, lecz osoby nie widzi”. W sobotę, 17 kwietnia, wchodzi z lękiem w ten korytarz 15-letnia Józefina Albario; tam „okazuje zaniepokojenie, drży i płacze. Spuszczono ją na ziemię i odprowadzono do domu. Jej miotanie się dochodzi do tego stopnia, że muszą ją ułożyć na łóżku. Oświadczyła, że widziała Niepokalane Poczęcie z jakimś dzieckiem na ręku, a obok niej mężczyznę z długą brodą”⁷.

Po kilku dniach przybywa do groty Estrade z dwoma kolegami. Zastają tam tę samą Józefinę Albario klęczącą w postawie Mater dolorosa.

„Przez chwilę — opowiada Estrade — sądziłem, że widzę nową i prawdziwą ekstazyczkę. Jednakże coś tajemniczego hamowało mój podziw i zdawało się mnie ostrzegać, że nie tu jest prawda. Przeprowadziłem porównania i przypomniałem sobie, że wobec zachwyceń Bernadetty czułem się uniesiony, podczas gdy wobec zachwyceń Józefiny... byłem tylko zdziwiony. Zgłębiając pierwsze dostrzegałem w nich działanie naprawdę niebieskie; patrząc na drugie widziałem jedynie miotanie się organizmu silnie podnieconego...”

Jednej ze swych przyjaciółek, Antoninie Tardivail, Józefina Albario zwierzyła się, że „widziała Najświętszą Pannę w czarnej bluzie i czarnym welonie, jak płakała i mówiła: «To koniec świata.»”⁸ Eleonora Perard, która wstąpi do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, obserwowała z bliska Józefinę. Mogła więc stwierdzić: Józefina Albario „wykrzywiła twarz i wydawała niekiedy okrzyki a raczej wycia”⁹.

Na szczęście uzasadniona nieufność uchroniła to dobre dziewczę od dalszego zapuszczania się w tak wątpliwą drogę.

„Józefina — pisze dalej Jan Estrade — nie chciała, by jej ekstazy wprowadziły w błąd opinię publiczną. Zaledwie dwa czy trzy razy ponownie przysła do groty. Następnie oświadczyła szczerze, że pokazywały się jej różne tajemnicze osobistości... Lecz uważała je za mocno podejrzane.”¹⁰

Ks. kanonik Durosse, superior małego seminarium w Saint-Pé, człowiek bardzo rozważny, po zbadaniu przypadku Józefiny Albario i kilku podobnych, powiedział:

„Było w tym złudzenie zmysłów lub sztuczki szatana, a najprawdopodobniej i jedno, i drugie.”¹¹

Tymczasem pojawiają się w Massabielle nieszczęśliwi szaleńcy. W dzień Wniebowstąpienia, 13 maja, jeden z nich zaczyna wrzeszczeć

przed grotą. Ubrany całkiem na biało, w kapeluszu filcowym, któremu nadał formę szapoklaku, ogłasza się „prorokiem wysłanym przez Boga i Najświętszą Pannę” dla karania ludzkości... Kilka godzin później agenci policji zaaresztują tego niezrównoważonego fanatyka w oberży, gdzie zachowywał się gorsząco¹². Mniej więcej w tym samym czasie przybywa inny. „Na głowie ma wieniec wawrzynowy. Zwraca się do ludzi zatopionych w modlitwie i rozkazuje: «Odmawiajcie różaniec; Pan Bóg też będzie go odmawiał. — Ależ — protestuje Urszula Nicolau — to rzeczy niesłychane, żeby Pan Bóg modlił się do Najświętszej Panny! — Calujcie ziemię — woła szaleniec — czterdzieści razy... czterdzieści razy!» Śmiałam się — mówi pani Nicolau — lecz równocześnie złość mnie brała na te szatańskie komedie.”¹³

Czy w tych wyczynach histeryków i ludzi wytraconych z równowagi szatan miał udział, trudno z całą pewnością stwierdzić. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że otoczył Massabielle siecią swych piekielnych pułapek. By zaś móc łatwiej zniszczyć dzieło Niepokalanej, która objawiła się dziecku, dziećmi przede wszystkim będzie się posługiwał. Jednakże wszędzie, cokolwiek będzie on przy ich pomocy czynił, zdradzi się w jakiś sposób.

„Słyszałem — opowiada Dominik Vignes, wujek Bernadetty, zatrudniony w tartaku Savy, jak dziewczynka mająca dziesięć do jedenastu lat jęczała, krzyczała, wyła przed zagłębieniem skalnym, gdzie teraz jest mieszkanie strażnika. Dla niej objawienia tam miały miejsce.”¹⁴

Ks. kanonik Ribes, rektor seminarium duchownego w Tarbes, który przyszedł do grotty z pewnym kapłanem z innej diecezji, opowiada: Zastałem u wejścia do grotty „chłopca mającego lat dwanaście do czternastu, który, trzymając świecę w rękę, naśladował Bernadettę: przesuwiał paciorki różańca, kłaniał się jakiejś tajemniczej istocie, czolgał się na kolanach do podnóża skały... Rysy jego twarzy były ściągnięte i odrażające. Towarzysz mój zawołał do niego: «Odejdź stąd! Wykonujesz diabelską robotę!...» Na to wizjoner zgasił świecę i uciekł.”¹⁵

Pewnego dnia, w chwili gdy kobiety skończyły zwiedzanie górnego korytarza, Antoniemu Nicolau przyszedł do głowy dziki pomysł podniesienia do wlotu tego korytarza jednego ze swych siostrzeńców, małego Rufina Barraou. „No — rzekł mu wujek — popatrz na tę Matkę Boską, która jest tam w głębi.” Dziecko nic nie dostrzegало; przestraszone jednak, zażądało, by je zsadzić. Podniesione nieroztropnie ponownie do tego samego miejsca, oświadczyło, że coś widzi. Od tego czasu w pewnych godzinach biedny chłopczyk objawiał oznaki prawdziwego opętania. Pewnego razu strażnik polowy Callet, chcąc obserwować na nim przebieg ataku, udał się za nim aż do młyna. „Przyszedłszy do łóżka, chłopczyk począł się wspinać po zasłonach, pokazując przy tym straszliwe grymasy. Zgrzytał i szczekał zębami, a oczy jego miały coś dzikiego.”¹⁶

Według Estrade'a „wiele osób widziało osobliwe rzeczy, które niżej opisujemy”.

„Pewien młody wieśniak z doliny Batsurguère — oczywiście, podejrzanego prowadzenia się — niekiedy przybywał sam pod skałę massabielską. Gdy się zbliżał do groty, przejmował go jakiś dreszcz, następnie zaczynał się obracać z zawrotną szybkością. Gdy skończył to wirowanie, patrzył w górę i usiłował złapać rękami coś chimerycznego, przy czym wznosił się na kilka kroków po stromej ścianie skały i tam się zatrzymywał wbrew prawom natury¹⁷. Po powrocie do stanu normalnego oddalał się zmieszany i z oznakami osłabienia... Gdy go wypytywano, odpowiadał, że nie był panem swej woli i że jakiś tajemniczy motor, ukryty wewnątrz skały, zmuszał go czynić to, co czynił.”

„W tym samym okresie czasu” panna Estrade „pewnego popołudnia udała się do groty w celu odmówienia koronki.” Tam kobiety zwróciły jej uwagę na dziewczynkę mającą lat osiem do dziewięciu, która klęczała w głębi groty i której oczy były utkwione w coś „zagadkowego, co zdawało się zniewalać ją do wymuszonego półuśmiechu. Nagle mała wizjonerka upadła na wznak i jak wałek poczęła bezwładnie się staczać od głębi groty aż do brzegu Gavy.” Ledwie zdołano ją zatrzymać.

Jednego wieczoru pewna matka klęczała wśród innych kobiet na szczycie massabielskiej skały, obejmując rękami trzyletnią a może czteroletnią córeczkę. Dziecko stało spokojnie przed matką patrząc na potok. „Nagle wydało okrzyk zdziwienia, wysunęło się z rąk matki i, wyciągając rączki ku czemuś niewidzialnemu, postępowало naprzód. Okrzyk przerażenia wyrwał się ze wszystkich ust, a matka — jak lwica, której wykradają szczenięta — rzuciła się za dzieckiem i zatrzymała je nad brzegiem przepaści. Jeszcze krok, a obie by się stoczyły ze stromej skały.”¹⁸

Antonina Garros, licząca sobie wówczas 42 lata, bywając — nie bez wstrętu — na rzekomych ekstazach Marii Courrech, służącej burmistrza Lacadégo, musiała „kilkakrotnie z wielkim wysiłkiem” powstrzymywać ją od rzucenia się w nurty Gavy, którą chciała przejść, by zbliżyć się do Matki Boskiej.¹⁹

Brat Leobard pisze, że również Maria Pujol, lat piętnastu, „po swych wizjach byłaby się rzuciła w potok, gdzie by niechybnie poniosła śmierć, gdyby obecni przy niej ludzie nie byli jej zatrzymali.”²⁰

Pewnego popołudnia 17-letni mieszkaniec Lourdes, Julian Cazenave, zwany Minino, przybył z lasu do groty, by się pomodlić. „Gdy tam byłem — opowiedział później — przeszło mi przed oczyma coś, co miało twarz mężczyzny.” Bywając następnie jeszcze kilka razy w Massabielle, widział to samo widmo. Zdjęty strachem wołał do obecnych: „Uklęknicie!... Ucałujcie ziemię!” „Widziałem — dodał on — jak zjawa ta chodziła po łące od drzewa do drzewa.” Gdy kobiety go zapytały: „Coś ty widział?”, on odpowiedział: „Matkę Boską.” A jednak później stwierdził: „Widziałem raczej twarz mężczyzny. Twarzy ta często się zmieniała; cza-

sami była z brodą.” Dominującym uczuciem u Juliana był wówczas niezasadniony przestrah²¹. „Razu pewnego byłam jednym ze świadków widzeń Cazenave’a — oświadczyła Rajmunda Prat, żona sekretarza sądu. — Ryczał on, a twarz jego była tak okropna, że nie mogłam na niego patrzeć.”²²

Ten sam przestrah ogarnia Aleksandra Réau, który ma 11 lub 12 lat i który — tak jak Bernadetta — chodzi na katechizm przed pierwszą Komunią świętą. Jego ojciec jest fryzjerem i mieszka tuż obok państwa Estrade. Razu pewnego jego matka przybiega po pannę Emanueleę. Chłopiec ma czy silnie wytrzeszczone i, drżąc nerwowo, „odpowiada tylko rozpaczliwymi znakami”. Panna Estrade głaszcze go, uspakaja, dodaje mu odwagi. Wreszcie powraca on do zmysłów i może mówić. Poszedł z innymi dziećmi przechadzać się w pobliżu Massabielle. Stał przed grota, o niczym nie myśląc. Nagle ujrzał jakby wychodzącą ze skały i idącą ku niemu „złotą panią, całą pokrytą falbanami. Pani ta — mówi dalej Olek — ręce i dolną część ciała kryła w popielatej chmurze, podobnej do chmury burzowej. Wpatrywała się we mnie czarnymi, wielkimi oczyma i chciała mnie złapać. Pomyślałem natychmiast, że to demon, i uciekłem.” Mówiąc to „dziecko drżało na całym ciele i trzymało się kurczowo sukni matki”²³.

Bernard Joanas, chłopiec rozważny — jak na swoje trzynaście lat — który poprzednio zachwycał się ekstazą Bernadetty, był obecny przy jednym z tych szatańskich fałszerstw. I ten, który — jak sam to powiedział — widział twarz prawdziwej jasnowidzącej „tak piękną...”, z tego innego widoku wyniósł wrażenie jak najbardziej przykre”. Otóż pewna część uczniów szkoły katolickiej spędzała czasem chwile popołudniowej przerwy w dolinie massabielskiej. „Zdarzyło się raz — ciągnie dalej Bernard — że jeden z nich padł na kolana. Jego twarz, która normalnie była raczej niemila, teraz stała się ohydna. Wszyscyśmy mieli wrażenie, że on widzi coś nadzwyczajnego... Gdyśmy zeszli ze wzgórza i byli już w pobliżu młyna Savy, wizjoner zakreślił koło na drodze i rzekł: «Na dowód, że widziałem Najświętszą Pannę, ten, co pierwszy przejdzie przez to koło, będzie niezwłocznie ukarany śmiercią.» Prawie natychmiast pewien drwał, który wypił ponad miarę, parokrotnie przeszedł przez nie — mimo najenergiczniejszych ostrzeżeń — a wreszcie rozsiadł się w środku niego i oczywiście nic mu się nie stało.”²⁴

Ku wielkiemu strapieniu rodziców i nauczycieli bywały nawet godziny, w których psychoza widzeń owładała całymi grupami dzieci.

„Kilku moich uczniów — notuje br. Leobard — twierdziło, że miają objawienia. Często nie przychodzili na lekcje... Wyprawiali dziwactwa nie tylko u groty i nad strumykiem u podnóża skał, lecz także w swoich domach, gdzie urządzili sobie małe kapliczki”²⁵.

„Widziałem — oświadcza kto inny — chłopczyka imieniem Jan, dla

którego rodzice ustawili w górnym pokoju kapliczkę, jak schodził po schodach na czworakach i całował każdy stopień”²⁶.

„Mnóstwo chłopców i dziewczynek — zaświadcza brat Cérase — twierdziło, że widzieli Matkę Bożą. Raz spotkałem grupę takich dzieci na drodze do grotty. Klęczały ze świecą nad kałużami...”

Dalsze słowa brata Cerase’a ujawniają cel kusiciela:

„Uważałem to wszystko za czystą komedię i nasunęły mi się bardzo poważne wątpliwości co do widzeń Bernadetty, podczas których nigdy nie byłem u grotty.”²⁷

Maria Portau, gospodyni plebanii w Omex, spotkała grupę dzieci, które szły do grotty, niosąc „nowe, nie poświęcone różańce (innych nie chciały). Trzymały je na wysokości oczu tak, że krzyżyk był u góry, a reszta zwisała — i potrząsały nimi przed twarzą. Na pół pochylone, biegały z nimi na wszystkie strony z powykrzywianymi twarzami, rzucając się jak młode psy na zwierzynę.”²⁸

Jan Piotr Gesta, sąsiad Bernadetty, widział raz na łące nad Gawą jedną z takich grup dzieci podczas ich praktyk. „Wyprawiali nie kończące się głupstwa — opowiada Gesta. — Oczy ich były błędne. Wyglądali jak wariaci, chociaż były to tylko dzieci. Twarz Bernadetty miała zupełnie inny wygląd. Byli jednak ludzie, którzy wołali: «One Ją widzą!» Lecz ja odpowiedziałem im, a także innym: «Widzą diabła! Czy sądzicie, że tak się widzi Matkę Najświętszą?»”²⁹

Żandarmom i innym urzędnikom państwowym należy się pochwała za to, że nie tolerowali tego rodzaju manifestacji.

„Wiele razy w różnych miejscach widziałem wizjonerów — opowiada strażnik polowy Jan Vergez. — Lecz omijali mnie z daleka, gdyż zaraz ich pędziłem. Czasami się zdarzało, że ścigałem ich aż do lasu.”³⁰ Gdy kilku ich zebrało się na szczycie Massabielle, żandarmi wypłoszyli ich, wołając: „Wychodźcie stamtąd, gałgany!”³¹ Jeśli zaś chodzi o komisarza, to wystarczyło, żeby tylko się pokazał, a już umykali wszyscy podejrzani³².

Zamieszanie to powiększali jeszcze ludzie naiwni. W czynach pierwszych wizjonek, tj. kobiet, które zwiedzały korytarz skalny, „tłum” — jeśli mamy wierzyć prokuratorowi cesarskiemu — widział praktyki do naśladowania, a w ich wizjach — dalszy ciąg widzeń Bernadetty Soubirous³³. Ludzie rozsądni mogli tylko ubolewać nad tymi upokarzającymi scenami, które groziły sprofanowaniem grotty. Inni zaś, miesząc widzenia prawdziwe z fałszywymi, stawali się igraszką własnej łatwowierności.

Kilku wizjonerów szło od strumyka Merlasse ku grocie. „Chodźcie wszyscy z nami” — rzekł jeden z nich do przechodniów. „Natychmiast kobiety poszły procesjonalnie za nimi.”³⁴ Ernest Sarrat, 12-letni chłopiec z przysiółka Batsouriguère, przeszedł całe miasto „mając wokół głowy wstążkę, którą odjął od czepka pewnej dziewczyny”. Na zapytanie wy-

jaśnił: „Matka Boska tak mi poleciała.” Niektórzy mówili: „On jest wariatem”, lecz większość utrzymywała, że miał widzenie ³⁵.

Wszystkie te dziwne wypadki zdarzyły się między kwietniem 1858 roku a lutym roku następnego. Początkowo były one częstsze, potem stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie te przejawy piekła zostały całkowicie stłumione potęgą wyższą. Wtedy mieszkańcy Lourdes odetchnęli z ulgą. Bywały bowiem dni, w których — jak, oczywiście nie bez przesady, mówi Antonina Tardhivail — „duchy były w powietrzu i w ogniu”³⁶.

Stopniowo uspokajali się nawet najwrażliwsi. I oni za fałszywymi Bernadettami poczęli dostrzegać niepokojący cień „ojca kłamstwa”. Czyż to bowiem nie on szeptał do uszu małych dzieci, by zabierały kwiaty z ołtarzyka grotty i rzucały je do Gavy? Zaliż to nie on w profanacyjnych mamidlach stawiał przed oczyma pewnej młodej wieśniaczki trzy cienie, o ruchach mało przyzwoitych, przypominające Najświętszą Rodzinę? Czyżby kto inny usiłował zasiać nieufności w duszach najbardziej oddanych Maryi? Jednego dnia pewna młoda wizjonerka rzekła do „bardzo pobożnej niewiasty, Magdaleny Lacaze” idącej do Massabielle: „Kobieto, wróćcie się: Matka Boska nie chce, żebyście dalej szli.”³⁷ Czyż kto inny niż duch niezgody mógłby wszelkimi środkami dzielić opinię publiczną, wzbudzać zazdrość między wsiami, rzucać podejrzenie na prawdziwe objawienia w Massabielle, wmawiając w wiernych, że Najświętsza Panna dwudziestu miejscowościom wyświadczyła dobrodziejstwa swojej obecności? Były bowiem fałszywe objawienia niemal w całej okolicy Lourdes: w Ossen, Ségus, Omex, Labatut-Rivière; były też poza granicami departamentu Hautes-Pyrénées: w Saint-Palais w departamencie Basses-Pyrénées; w Fargues w departamencie Landes: w Pontet w departamencie Gironde... W tej odległej miejscowości jakiś opętaniec rzucił to perfidne hasło: „Pozostawcie Lourdes, gdzie uleczone są tylko ciała!... Tutaj jest Niepokalane Poczęcie, tutaj jest Lourdes dusz.”³⁸

Czas upływał, miazmaty się rozpraszały. Nietrudno uwierzyć, że te szatańskie fałszerstwa nie pozostawiły nawet przykrego wspomnienia w okolicy, w której występowały. Rodziny, z których dzieci — igraszki, lecz nie współnicy szatana — stały się materialnym podłożem tych fałszerstw, rzuciły na nie gęstą zasłonę zapomnienia.

Bernadetta, aczkolwiek nie była świadkiem żadnej z tych scen, to jednak wiedziała przynajmniej coś niecoś o nich. Nie protestowała, sądziła bowiem, że jeśli się Bogu podoba, inni także mogą otrzymać łaskę widzenia Najświętszej Dziewicy.

W rzeczywistości tylko ona była prawdziwą powiernicą Niepokalanej. Poza jej ekstazami wszystko inne było kłamstwem. Ponad fosforescencją koszmaru Bernadetta świeci jak gwiazda.

Szatan — jak to napisał jeden z pierwszych historyków lurdzkich objawień — „chciał wzbudzić nieufność do jej czystych i wspaniałych wizji. Żaden z tych, co obserwowali takie widowiska, nie dał się długo

oszukiwać. Widowiska te stały się ostatecznie tryumfującym sprawdzianem objawień, które miały zbeczczyć.”³⁹

XIV

PIERWSZA KOMUNIA ŚWIĘTA I OSTATNIA WIZJA

3 CZERWCA, 16 LIPCA

Wesoła, niekiedy figlarna a zawsze miła, Bernadetta poczęła więc regularnie uczęszczać na lekcje do sióstr. „Jak przed wakacjami — pisze Estrade — tak i teraz widywano ją każdego ranka idącą do szkoły z płaskim koszyczkiem, na dnie którego leżała robótka na drutach, kromka razowego chleba i elementarz z oślimi uszami. Podczas pauz spędzanych na dziedzińcu przyłączała się do zabaw z czarującą swobodą: śmiała się, śpiewała, skakała ze swoimi koleżankami.”¹

Trzeba przyznać, że błogie spotkania massabielskie, które swego czasu tak oświeciły jej myślami, nie miały wpływu na jej postępy w sztuce stawiania laseczek i uczenia się alfabetu: Niebieska Pani ukazywała się jej nie po to, by uczyć ją czytać i pisać, lecz m.in. po to, by oświecić i ożywić jej pobożność.

„Któż zdoła wyrazić — pyta pewien zakonnik — ile nadprzyrodzonego światła wizje massabielskie wlały w tę prostą i cichą duszę? Jakimż źródłem kontemplacji to niewysłowione wspomnienie na wpół otwartego nieba! Bernadetta słuchała słów Maryi. Nie zapamiętywała ich wszystkich, lecz całość pozostała w jej pamięci a przede wszystkim w sercu.”²

Podobnie jak pisklę, które nie będąc zdolne samo szukać sobie pokarmu, jest żywione przez rodziców, mała Soubirous, nie umiejac ni pisać, ni czytać, musiała, tak jak zeszłego roku w Bartrès, uczyć się katechizmu ustnie³, pracowicie, zgłoska po zgłosce. Jej nauczycielka, s. Maria Géraud, starała się jak mogła; także pewna pobożna pani poświęciła na to niejedną chwilę. Biedne dziecko miało tak wielkie pragnienie poznania katechizmu, że zgodziło się wkuwać także podczas pauz. Jej sąsiadka z ławy szkolnej, Julia Garros, aczkolwiek o 5 lat od niej młodsza⁴, miała polecenie powtarzania jej głównych ustępów. „Sądziłam — przyznaje się Julia — że czas na to był nieodpowiedni. Dlatego też niekiedy zostawiałam ją,

by pohasać z koleżankami. Byłam przekonana, że nauka przychodzi jej z trudem, że jest tępa, i dawałam jej to do zrozumienia.”⁵

Po lekcjach nasza uczennica wracała z ciężką głową do domu, lecz po to tylko, by zastać tam czekających na nią gości. Jeden chciał poznać pułkę Najświętszej Dziewicy i usłyszeć z jej ust opowiadanie o objawieniach, inny przyprowadzał jakiegoś chorego, aby się pomodliła za niego.

Te wizyty niepokoiły podejrzliwą policję. Około niedzieli przewodniej Bernadetta była wzywana kolejno przez prokuratora Dutoura i komisarza Jacometa. Teraz już nie chodziło o wydarzenia u grotty, prokurator odzyskał pewność siebie. Tym razem jasnowidzącej towarzyszy matka. Badania, długie i męczące, dotyczyły głównie odwiedzin w domu Soubirous, które stawały się coraz częstsze. Relacja z tego podwójnego śledztwa jest bardzo krótka.

„Jakiś czas temu — pisze p. Dutour w raporcie z datą 14 kwietnia — sam badałem Bernadettę i poleciłem komisarzowi policji wybadać ją co do uzdrowień, których — jak mówią — miała dokonać. Ona twierdzi, że widziała tylko dwu chorych, którzy nadal pozostali w tym samym stanie; że nie zna nikogo, kogo by uzdrowiła dotknięciem i modlitwą...”

Jak pierwszym razem, tak i teraz prokurator nie poprosił jej, by usiadła. Dziś jednak, gdy widzi, że ten światowiec pozwala jej matce stać, burzy się jej pirenejska krew: bez incydentu chyba się nie obejdzie. Właśnie przechodzi przez salę żona prokuratora. Widząc zmęczenie tych biednych niewiast, rzecze im z gestem, który zapewne miał być wyrzutem dla niedelikatnego męża: „Jest krzesło, możecie na nim usiąść. — Nie — odpowiedziała żywo Bernadetta — mogłoby się zabrudzić!”⁶

Nie wiadomo, czy ta przygana, zresztą aż nadto zasłużona, wyprowadziła go z równowagi, czy też teraz bardziej niż kiedykolwiek indziej uświadomił sobie, że ta dziewczynka o tak niewinnym wyrazie twarzy nie tylko sama bezpośrednio narobiła władzom państwowym tyle kłopotu, ale nadto, rozpętując całą zgraję historyków i wariatów, wciąż jeszcze zmusza policjantów i żandarmów do ustawicznego czuwania⁷ — dość że z zaciśniętych ust prokuratora wyszły cierpkie słowa... Ludwika Soubirous, którą przerażały groźby zaareztowania, zamknięcia w przytułku, w więzieniu, odeszła płacząc. „Po co płakać, mamusiu? — odezwała się Bernadetta. — Niceśmy złego nikomu nie zrobili.”⁸

Znając zamiary prefektury, Dutour istotnie wiedział, jaka groźba zawisła nad głową tego dziecka. Słowa prefekta: „postępowanie administracyjne” są dla prawnika pełne wymowy. Niech tylko ją przyłapią na „uzdawianiu” chorych, niech się odważy pojawić w pobliżu grotty, „władze państwowe — jak pisze prefekt Hautes-Pyrénées do podprefekta w Argelès — obmyślą środki, jakie trzeba będzie zastosować”⁹. W języku zwykłych śmiertelników znaczy to: natychmiastowe zamknięcie.

Na szczęście Opatrzność czuwa: rodzina Soubirous ma teraz potężnego obrońcę: ks. Peyramale poczuł się wreszcie odpowiedzialny — nie tylko przed Bogiem, ale i przed ludźmi — za tę skromną parafiankę, której jedyną wadą było to, że chodziła do Massabielle i tam miała ekstazy. W pewnej chwili zdeorientowały go dziwne „wizje” Marii Courrech i Józefiny Albario. Jednakże po osobistym ich zbadaniu przekonał się, że są fałszywe. Niech więc policja upora się z tymi wizjonerkami, lecz niech się nie waży tykać Bernadetty, tak pełnej godności, tak różnej od nich.

Dla odparowania ciosu — myśli sobie ks. proboszcz — czyż nie najprościej by było oddalić dziewczynkę na jakiś czas z Lourdes? Zresztą ona potrzebuje odpoczynku: oczy jej są podsiniałe, często kaszle; wreszcie 20 kwietnia rozchoruje się na dobre. Ks. Peyramale niepokoi się; porozumiewa się z biskupem. Trzeba to biedactwo posłać do cieplic mineralnych w Cauterets — radzi ks. bp Laurence.

Dnia 6 maja, gdy już miała się znacznie lepiej, odwiedziła ją tam kuzynka, żona policjanta Jana Segota¹⁰, który tam miał rodzinę. Kuzynka wzięła na siebie „koszty tej podróży, całkiem zresztą niewielkie o tej porze roku, kiedy cieplice są jeszcze niemal puste”¹¹

Jej odjazd z Lourdes, przybycie do Cauterets, jej cichy pobyt wśród gór — nic nie ujdzie uwagi agentów policji. Sam prefekt raczy zwrócić uwagę komisarza Cazeaux na nowo przybyłą:

„Polecam Panu obserwować pilnie, aczkolwiek dyskretnie, małą Bernadettę, jej ruchy i otoczenie, i zdać mi sprawę z tego wszystkiego, co zdaniem Pana mogłoby wzbudzać moje zainteresowanie.”¹²

Komisarz z Cauterets mimo najlepszych chęci niewiele zdobył. 22 maja, w wigilię Zielonych Świątek, kiedy się kończył jego mandat, pisał do swego przełożonego, prokuratora cesarskiego w Lourdes:

„Mam zaszczyt zdać Panu sprawę, że Bernadetta Soubirous, która podczas swego pobytu w Cauterets .była pod moim bardzo aktywnym nadzorem, opuściła dziś to miasto.

Dziewczyna ta regularnie brała kąpiele w zakładzie Bruzeauda. Z informacji, które uzyskałem, wynika, że kilka osób wypytywało ją w sprawie domniemanej wizji i że ona nie zmieniła swego zdania w tym względzie.

Kilku chorych zwracało się do niej, lecz cała jej pomoc ograniczała się tylko do powiedzenia, że jeśli wierzą w Boga, uzyskają zdrowie. Zawsze odmawiała wszelkiego wynagrodzenia.”

Kuzynka Segot dosyć wcześnie rano opuściła z Bernadettą miasto uzdrowiskowe w tę wigilię Zielonych Świątek. Co ją tak przynagliło? Ze szczegółowego raportu komisarza Jacometa dowiadujemy się, że „w poniedziałek o godzinie dziewiątej” będzie „Msza św. bractwa kobiet”, a pani Segot ma ofiarować na nią święcony chleb.

„Czy Pan wie, Panie Prefekcie, kogo ona wybrała do zanieśienia tego

chleba do kościoła na ołtarz? Bernadettę, która oczywiście zwróciła na siebie uwagę tłumu... To wystarczyło, by przez resztę dnia stała się przedmiotem rozmów tych, którzy o niej już niemal zapomnieli.”¹³

*

Gdy Bernadetta wróciła do Lourdes, każdy rozmawiał z nią przede wszystkim o jej ukochanej grotcie. Lecz, niestety, z rozmów tych dowiaduje się sporo smutnych rzeczy.

Dnia 4 maja prefekt przewodniczył komisji poborowej. Ledwie przybył, zwołał prokuratora, burmistrza i komisarza policji. Komisarzowi polecił „udać się do grotty, zabrać wszystkie przedmioty, które się tam znajdują, i złożyć je w magistracie do dyspozycji właścicieli”.

Prefekt — jak sam donosi ministrowi wyznań — skorzystał również z obecności trzydziestu siedmiu przedstawicieli kantonu, „by im wykazać całą śmieszność massabielskich scen i podkreślić zniesławienie, na jakie narażają one religię”. Nie ulega wątpliwości, że ostrze tej nagany było skierowane przede wszystkim w stronę Bernadetty. Tak czy inaczej, Massy przed odejściem „polecił komisarzowi policji obwieścić, że jeśliby ktoś występował jako wizjoner, będzie natychmiast aresztowany i odprowadzony do przytułku w Tarbes w celu leczenia go na koszt departamentu”¹⁴.

Jeszcze komisja poborowa nie zakończyła swych prac, a już gorliwy Jacomet ogołocił grotę, a prefekt z całym spokojem mógł napisać do ministra:

„Mogę Waszą Ekszelencję zapewnić, że kaplica po raz wtóry nie będzie już urządzona. Wydałem polecenie, żeby na wypadek umieszczenia tam nowych emblematów niezwłocznie je usunięto.”¹⁵

Tak więc zniknął na prędce urządzony ołtarzyk — na który Niepokalana patrzyła z upodobaniem — razem z figurkami, kwiatami, wotami, które złożyły wdzięczne serca.

Lecz co zrobić z tym źródłem rzekomo cudownym? Czyż można pozwolić, by ludzie nieoświeceni i łatwowierni w dalszym ciągu swobodnie i bezpośrednio z niego czerpali? Burmistrz Lourdes nie przyjmuje zaproszenia tajemniczej P a n i: „Napij się ze źródła i umyj się w nim!” On rości sobie prawo do trosk bardziej przyziemnych: burmistrz ma dbać o interesy obywateli swego miasta. Otóż trudno ludzić się nadzieją wzbogacenia ich na pielgrzymkach — to prawda, lecz dlaczego by ta woda, której wiara ludu przypisuje cuda, nie miała się stać źródłem pokaźnego dochodu? Zapewne musi mieć ona — w stopniu niezwykłym — naturalne własności lecznicze...

Burmistrz snuje więc olbrzymie marzenia (prokurator cesarski nazwie je drwiąco „planem przemysłowym”)¹⁶: Lourdes stanie się jednym z najsłynniejszych miast uzdrowiskowych; miastem, które podczas sezonu ścią-

gać będzie kuracjusów z najwyższych klas społecznych, a — kto wie? — może nawet samego cesarza, któremu się już znudziła jego rezydencja w Biarritz, i cesarzową Eugenię, która tęskni za swoimi Pirenejami. Właśnie na żądanie Lacadégo jeden z osobistych przyjaciół prefekta, Latour, aptekarz i radca główny w Trie, okręgu Tarbes, dokonał analizy wody z grotu. I cóż w niej odkrył? Rzeczy nadzwyczajne. Jego raport rokuje najpiękniejsze nadzieje.

Woda zaczerpnięta z massabielskiego źródła zawiera w wielkiej ilości liczne związki: chlorki, węglany, krzemiany, tlenki żelaza, siarczany sodu etc. „Woda ta — kończy aptekarz — bardzo lekko strawna i nadająca ustrojowi zwierzęcemu dyspozycję do zachowania równowagi czynności życiowych”, ze względu na ilość i jakość substancji, które zawiera, może być zaliczona „do wód, które stanowią mineralne bogactwo naszego departamentu”¹⁷.

Na nieszczęście dla naukowej reputacji Latoura i wspaniałych ambicji Lacadégo wielu radców miejskich dziwi się, że woda massabielska, która nagle wytrysła w pobliżu innych, najzwyczajniejszych źródeł, zawiera tak nieoczekiwane składniki. Na zebraniu odbytym 3 czerwca w magistracie zażądali oni analizy kontrolnej. Dokona jej Filhol, profesor wydziału przyrodniczego w Tuluzie. Wybitny chemik, przedstawivszy liczbowo składniki wody, pisze do burmistrza Lacadégo w liście z 8 sierpnia 1858 roku:

„Analiza ta zmusza mnie do uznania wody, o którą chodzi, za wodę pijalną, zawierającą te same składniki, co większość wód źródłanych spotykanych w górach, a szczególnie w tych górach, gdzie ziemia jest bogata w wapień.”¹⁸

A więc nic wspólnego z wodą mineralną! Był to śmiertelny cios dla „pobieżnej analizy” aptekarza z Trie.

O, gdybyż Lacadé miał cierpliwość zaczekać na orzeczenie kontrolne Filhola! Byłby zaoszczędził sobie przykrej pomyłki. W drugiej połowie marca rozeszła się wiadomość, że aptekarz lurdzki, Pailhasson, po zanalizowaniu wody massabielskiej „oświadczył, że jest bardzo niedobra”. Odtąd szeptano, że aptekarz obawiał się, by chorzy na oczy nie uznali wody z grotu za lekarstwo skuteczniejsze niż jego krcpelki¹⁹. Bądź co bądź te niepomysłne pogłoski wywarły wrażenie na burmistrzu. Potem nadszedł raport Latoura z jego chlorkami i węglanami, krzemianami i tlenkami. Mimo wszystko, jeśli — jak zapewnia aptekarz Latour — woda zawierająca tak różne składniki „nadaje ustrojowi zwierzęcemu dyspozycję do zachowania równowagi funkcji życiowych”, to musi to być woda mineralna pierwszorzędnej jakości... Wobec tego — myśli sobie p. burmistrz — pozwolić, by pod pozorem pobożności każdy ją pił — to marnować bezcenne skarby! Z dwu rzeczy jedna: albo woda z grotu kryje w sobie substancje szkodliwe — a wtedy należy przedsięwziąć środki ostrożności; albo jest cenną wodą mineralną, której używanie podlega

kontroli państwa — a wtedy należy wpieryw usunąć od niej pospółstwo, by potem przyjąć wykwinnych kuracjuszów.

Podobne rozważania doprowadziły do wydania postanowienia rady miejskiej z dnia 8 czerwca 1858 r.:

„Burmistrz miasta Lourdes

...Zważywszy, że w interesie religii jest rzeczą ważną położyć kres pożałowania godnym scenom, które się rozgrywają u grotty massabielskiej, położonej w Lourdes, na lewym brzegu Gavy;

zważywszy z drugiej strony, że obowiązkiem burmistrza jest czuwać nad zdrowiem publicznym danej miejscowości;

zważywszy, że wiele osób, tak miejscowych jak i obcych, przychodzi czerpać wodę ze źródła w rzeczonej grotcie;

zważywszy wreszcie, że woda ta najprawdopodobniej zawiera substancje mineralne i że roztropność wymaga nie udzielać pozwolenia na jej używanie, dopóki analiza naukowa nie określi, w jakich wypadkach medycyna może ją stosować; że zresztą w myśl ustawy na eksploatację źródeł mineralnych należy uzyskać pozwolenie władz państwowych.

Postanawia się:

Art. 1. Czerpanie wody z wymienionego źródła jest zabronione.

Art. 2. Niedozwolone jest także wchodzenie na posesję miejską zwaną Brzegiem Massabielskim.

Art. 3. Wzniesie się barierę zagrządzającą dostęp do grotty.

Postawi się także słupy, na których będzie tablica z napisem: Zabrania się wchodzić na teren tej posesji.

Art. 4. Wszelkie wykroczenia przeciw temu rozporządzeniu będą ściągane sądownie...”

Cztery razy wywrócono tę barierę, a nawet gdy stała, nie przeszkodziła czerpaniu wody z cudownego źródła.

Bernadetta wiedziała o tych wydarzeniach, przynajmniej w najogólniejszych zarysach. Nie objawiała z tego powodu żadnego zaniepokojenia. Zachowywała się tak, jak gdyby wiedziała o tym z góry. O, iluż to rzeczy musiała się dowiedzieć na massabielskich audiencjach! Gdy np. w czerwcu i lipcu tegoż roku „wszyscy w Lourdes byli podnieceni” obawiając się, żeby i profesor Filhol nie wydał o wodzie z tajemniczego źródła orzeczenia sprzecznego z celem, do którego wzbudziła je Zjawa, mała Soubirous „była spokojna i nic nie mówiła”²⁰.

Nie mogła jednak powstrzymać się od uśmiechu na wiadomość, że przedmioty kultu, złożone w magistracie, zostały zabrane przez właścicieli, lecz tylko po to, by jeden po drugim powrócić do grotty, gdzie znów powstała zakazana kaplica. Niemniej ucieszyła się Bernadetta, gdy się dowiedziała, że w przeddzień Wniebowstąpienia wierni po raz pierwszy urządzili procesję na cześć Niepokalanej, i to ze świecami. Istotnie, 12 maja 1858 r. — pisze komisarz — „masa ludzi wyruszyła procesjonalnie

od groty i przybyła tak aż do miasta, śpiewając litanie do Najświętszej Panny. Niektórzy z nich trzymali w ręku zapaloną świecę.”²¹

Pierwszą Komunię świętą ustalono na liturgiczną uroczystość Najświętszego Sakramentu, 3 czerwca. Na egzaminie poprzedzającym rekolekcje przygotowawcze pokazało się, że Bernadetta mniej umie niż większość jej koleżanek; należała jednak do najpobożniejszych i to było rozstrzygające.

Czterdzieści lat temu w lyońskiej kurii arcybiskupiej rozstrzygała się przyszłość pewnego kandydata do święceń kapłańskich. Był już w trzydziestym roku życia; prócz tego miał słabą pamięć, więc teologię musiał studiować w języku ojczystym; zresztą i tak niewiele mu z niej pozostało. „Czy ks. Vianney jest pobożny? — zapytał wikariusz generalny. — Czy ma nabożeństwo do Najświętszej Panny? Czy umie odmawiać różańca? — Tak — odpowiadano mu na każde pytanie. — Wobec tego dopuszczam go. Łaska Boża dokona reszty.”²² Bernadetta również odznaczała się nabożeństwem do Matki Najświętszej i gorliwością w odmawianiu różańca. Egzaminator, ks. Pomian, przyjął ją bez wahania, tym bardziej że miała w dalszym ciągu przychodzić na naukę katechizmu²³.

„Biedaczka przygotowywała się, jak tylko mogła”²⁴ — zeznał Jan Estrade.

Podobnie też pisał ks. Peyramale do biskupa: „Podczas nauk rekolekcyjnych, które głosiłem tym dzieciom, jej zachowanie się, skupienie, uwaga nie pozostawiała nic do życzenia. Wszystko rozwija się w niej w sposób zadziwiający.”²⁵

Ceremonia odbyła się nie w kościele, lecz w kaplicy przytułku, która w tym czasie mieściła się w jednej z sal parterowych²⁶. Ubrana, jak wszystkie inne dziewczynki, na biało, z peleryną na ramionach i welonem na głowie²⁷, Bernadetta weszła ze świecą w ręku do pierwszego szeregu klęczników. „Wydawała się bardzo przejęta tym, co czyniła” — dodaje ks. Peyramale.

„W Lourdes sądzono — pisze Estrade — że z okazji tej słodkiej i świętej uroczystości mała jasnowidząca otrzyma łaskę jednego z tych anielskich zachwyków, które były przedmiotem podziwu rzesz u massabielskich skał. Zachwytu jednak nie było. Bernadetta z rękami złożonymi przystąpiła do ołtarza, przyjęła Boga do dziewiczego serca i powróciła na swoje miejsce, ujawniając jedynie głębokie i bezmierne szczęście.”²⁸

Jedna z młodych świętych, które były najbardziej do niej podobne, zostawiła te płomienne słowa:

„Nie chcę, a zresztą nie mogłabym wszystkiego powiedzieć... Są myśli, których nie można wyrazić w języku ziemskim, gdyż natychmiast straciłyby swój głęboki i niebiański sens.

Ach, jakże słodki był pierwszy pocałunek Jezusa złożony na mojej duszy!... Już od dawna On i Terenia patrzeli na siebie i zrozumieli się... Sama radość niewysłowiona, głęboka napelniała moje serce.”²⁹

Uczucia, z jakimi przystępowała do pierwszej Komunii świętej, wyrazi Bernadetta wieczorem tego niezrównanego dnia słowami innymi, lecz ponad swój wiek:

„Gdy dziewczynka przyszła nas odwiedzić — pisze Jan Estrade — moja siostra jej zapytała:

— Powiedz mi, Bernadetko, co cię bardziej uszczęśliwiło: przyjęcie Pana Jezusa, czy rozmowa u grotty z Jego Matką?

Ona zaś po chwili wahania odrzekła:

— Nie wiem. Te rzeczy idą w parze i nie można ich porównywać. Mogę tylko powiedzieć, że w obu wypadkach byłam bardzo szczęśliwa.³⁰

W to święto Bożego Ciała niebo zesłało na Lourdes jeszcze inne łaski.

Dnia tego, jak wiemy, postanowiono zwrócić się do profesora Filhola z Tuluzy o sprawdzenie wyników analizy wody z grotty. Jego ostateczne wnioski okazały się nie podlegające dyskusji.

Po południu nastąpi u grotty nagłe uzdrowienie, którego nadprzyrodzonego charakteru nie sposób zaprzeczyć. Dr Dozous, naoczny świadek, pozostawił nam o tym wydarzeniu szczegółowe sprawozdanie „zaopatrzone — według słów jego autora — podpisami przeszło stu osób obecnych” przy uzdrowieniu.

Pod koniec kwietnia — jak pisze komisarz policji — dwudziestu robotników pod kierownictwem kołodzieja, Marcina Tarbès’go, dokonało — bez żadnego pozwolenia — pewnych prac w grocie i jej najbliższej okolicy: „podwyższyli i poszerzyli miejsce między grotą a Gave, przed ołtarzem ustawili drewnianą balustradę, ustawili długi i szeroki zbiornik z blachy cynkowanej, w który spływa teraz trzema oddzielnymi strużkami woda ze źródła”³¹.

W Boże Ciało oprócz mieszkańców Lourdes nawiedziło Massabielle 6000 przychodniów³². Dr Dozous mówi, że wśród tej rzeszy było „trzysta do czterystu osób dotkniętych wszelkiego rodzaju cierpieniami. Przybyli tu oni prosić Patronkę tego miejsca o uzdrowienie z chorób, wobec których nauka ludzka była bezradna.” Przybył też pewien biedny wiejski wyrobnik z okolicy Lourdes ze swoją żoną, niosącą na ręku chłopczyka lat pięciu do sześciu, dotkniętego paraliżem dziecięcym kręgosłupa. „Widok tego nieszczęśliwego dziecka — pisze dalej lekarz — wzbudził we mnie żywe zainteresowanie... «Ponieważ przyszlście — rzekłem do strokanego ojca — by otrzymać od Najświętszej Panny uzdrowienie, którego daremnie żądaliście od wiedzy ludzkiej, rozbierzcie dziecko i umieście je pod rurami źródła.» Ująłem chłopca za nogi, a ojciec za ręce i obaj przez pięć do sześciu minut obracaliśmy jego ciało pod strumieniem wody... Następnie po otarciu i ubraniu chłopca ułożono go na ziemi. Lecz on natychmiast sam wstał i skierował się ku rodzicom; szedł z wielką

łatwością. Ci zaś, wylewając łyzy radości, obsypywali go najczulszymi pieśczołami.”³³

A więc dzień szczególnie szczęśliwy dla sprawy Matki Bożej i młodocianej jasnowidzącej. Lecz na jego różowym horyzoncie pojawiają się czarne chmury.

Szatan knuje spisek. Tegoż samego 3 czerwca zdenerwowanie prefekta dochodzi do tego stopnia, że przestaje słuchać własnego rozumu: minister wyznań wyrzuca mu bezczynność — zobaczmy więc!

4 czerwca wzywa do Tarbes Jacometa, by mu udzielić tajnych instrukcji. Na mocy ustawy z 30 czerwca 1838 roku można umieścić w szpitalu każdego osobnika podejrzanego o chorobę umysłową. Raport trzech lekarzy nie sprzeciwia się takiemu potraktowaniu Bernadetty. Trzeba się więc jej wreszcie pozbyć. Żeby to tylko z nią samą był kłopot! Ale przecież z powodu tych jej domniemyanych widzeń tyle innych wizjonerów i wizjonek podnosi głowę w Lourdes. Ona jest u źródła tych wszystkich zaburzeń... Nadto, w celu odcięcia korzeni zła, trzeba zakazać wszelkiego dostępu do groty. Niech komisarz przekaże burmistrzowi te decyzje prefekta.

Otóż Lacadé, który dotychczas tak się wahał, teraz gotów jest wszystko uczynić. Można to łatwo wywnioskować z listu, który dnia 5 czerwca skierował do prefekta jego wierny sługa, komisarz Jacomet:

„Pan burmistrz wezwał mnie do p. prokuratora cesarskiego i powiedział, że postanowił z tym skończyć; że ten stan rzeczy nie może dłużej trwać; że jeśli dziś wieczór lub jutro Bernadetta pójdzie do groty, zaaresztuje ją, lecz potajemnie, by nie drażnić ludności, i dostarczy ją Panu do Tarbes w celu zamknięcia w przytułku.

Dodał, że w każdym razie w najbliższy poniedziałek uda się do Tarbes, by przedstawić do zatwierdzenia zakaz dostępu do groty...

Zaaresztowanie Bernadetty w dniu dzisiejszym byłoby — moim zdaniem — aktem korzystnym dla tej przykrej sprawy, którą zwalczamy.”

Dutour i Lacadé udali się, prawdopodobnie zaraz po wyjściu z kancelarii sądowej, na plebanię, potrzebowali bowiem aprobaty zwierzchnika parafii. Ks. Peyramale niedawno przesłał do ks. biskupa list zawierający wyraźną pochwałę Bernadetty. A oto teraz burmistrz oświadcza mu, że dobro religii wymaga, by ze względu na zachowanie się niektórych wizjonerów położyć kres pożałowania godnym scenom, które się rozgrywają w Massabielle³⁴; że w tym celu rada miejska wydaje rozporządzenie zakazujące dostępu do groty; że na wypadek, gdyby to doprowadziło do jakichś rozruchów wśród ludności, już i tak podnieconej, władze świeckie liczą na uspokajającą interwencję władzy duchownej... Ks. proboszcz wolałby zasięgnąć rady biskupa, lecz ostatecznie przyrzekł, że jeśli Massabielle stanie się terenem zakazanym, osobiście użyje swego wpływu dla uspokojenia parafian i poleci im uległość czynnikom oficjalnym³⁵. Wszakże oświadczył, że wszelka odpowiedzialność spada na władze cywilne,

gdyż pilnowanie porządku publicznego w dobrach gminnych nie należy do jego kompetencji.

Ośmielony uległością ks. proboszcza, Lacadé zwierzył mu się, jaki los zgotowano Bernadecie. I natychmiast poznał, że rozmawia już nie z sojusznikiem.

Kapłan chwilę milczał. Przed oczyma jego wyobraźni stała Bernadetta dnia wczorajszego, cicha, skupiona, cała w bieli swej niewinności. I oto teraz to jagniątko otaczają wilki. W Lourdes opowiadano grzecznym dzieciom, że pewnego zimowego wieczoru ich proboszcz przepędził, samym tylko podkutym kijem, trzy wilki górskie, które miały ślinkę na jego okazałą postać. Ks. Peyramale do dziś się nie zmienił. Będąc przez trzy lata kapelanem przytułku cywilnego i wojskowego w Tarbes, znalazł ten smutny oddział, w którym by mogła zniknąć jego parafianka, gdyby tylko wyszła z jego owczarni. Nasrożył się tedy i głosem nabrzmiałym od oburzenia odezwał się tymi mniej więcej słowy:

„Panowie, Bernadetta nie jest dotknięta chorobą, którą chcecie w nią wmówić; nie podpada pod prawo, na które się powołujecie; nie wywołuje żadnych zaburzeń, nie jest dla nikogo niebezpieczna. Ona jest słaba i biedną, lecz wiedźcie, że nie jest sama: jest z nią ten, któremu Bóg powierzył pieczę nad jej duszą... Proszę powiedzieć panu prefektowi, że jego żandarmi będą musieli po moim ciele przejść, by dotknąć włosa na głowie tego dziecka!”³⁶

Tym patetycznym protestem naprawił kapłan wiele nieporozumień i wynagrodził wiele przykrości.

Jego skutek był natychmiastowy. „Burmistrz i prokurator — pisze Estrade — przekazali do Tarbes pogróżki proboszcza. Prefekt uląkł się ich i wycofał swoje rozkazy.” Bernadetta pozostała w spokoju. Próby pozbawienia jej wolności już się nie powtórza.

*

Był w Lourdes zwyczaj, który siostry szanowały, że uczennice ich bezpłatnej szkoły po pierwszej Komunii świętej przerywały naukę. Większość z nich zaczynała pracować w jakimś zawodzie. O stałym zatrudnieniu Bernadetty nie mogło być mowy: była za wątła. Wróciła do domu, ale tu nie zaznała spokoju: naprzykrzali się jej ludzie odwiedzający. Niejeden czy niejedna z nich dziwiła się, że Soubirous, zarówno dzieci jak i dorośli, tak ubogo się ubierali i mieszkali. Lecz Bernadetty ten niedostatek wcale nie upokarzał. „Ubóstwo rodziny nie sprawiało jej przykrości, bo rodzina ta, jako głęboko chrześcijańska, była zawsze zadowolona ze swego losu.”³⁷

Tymczasem nigdy, być może, jej rodzice, utrzymujący się tylko z pracy rąk, nie byli w tak przykłej sytuacji materialnej jak teraz, kiedy goście zabierali im większość czasu. Doszło do tego, że Bernadetta ze

względem na resztę rodziny musiała niekiedy przyjąć w jałmużnie nieco chleba. Uśmiechała się wtenczas prostodusznie, mówiąc: „Jadaliśmy chleb czarny, będziemy jeść i biały.”³⁸

Od czasu do czasu — zapewne by zmniejszyć kłopoty swej rodziny — na prośbę sąsiadki Grenier-Manescau spędzała u niej kilka godzin, pielęgnując jej dzieci. Pani Grenier-Manescau zachowa o tej okazyjnej niańce jak najlepsze wspomnienia, streszczające się choćby tylko w tym jednym zdaniu: „Odznaczała się zawsze doskonałym posłuszeństwem i bardzo wielką pokorą.”³⁹

Pod koniec czerwca 1858 roku Bernadetta udała się na wakacje do ciotki Deluc w Tarbes. Wiadomość tę zawdzięczamy ks. kanonikowi Ribes'owi, który wtedy był rektorem seminarium duchownego i mógł stwierdzić wielką łagodność dziewczynki. Posłuchajmy jego opowiadania:

„Dnia 1 lipca pewna pobożna panienska rzekła do mnie: «Czy ksiądz rektor życzy sobie widzieć Bernadettę? Ona będzie w kaplicy podczas waszego obiadu. Ksiądz może z nią porozmawiać na początku rekreacji.»

Po wyjściu z refektarza skierowałem się do Bernadetty. Ona zaś otworzyła drzwi prowadzące na dziedziniec i, spostrzawszy seminarzystów idących przez salę gimnastyczną do kaplicy, stanęła zdumiona. Wzięła wody święconej, przeżegnała się bardzo powoli, i cała pochłonięta widokiem, jaki miała przed sobą, śledziła seminarzystów, objawiając wielkie zdziwienie...

Zaprowadzono ją do mieszkania dozorczy, gdzie wypytywałem ją o objawienia. Byłem oczywiście bardzo zadowolony z prostoty i szczerości jej odpowiedzi, lecz jeszcze bardziej z pewnego faktu, który mi w pełni ujawnił prostotę samej głębi jej duszy.

Był to jeden z dni jarmarcznych, w które liczni rodzice zwykli odwiedzać swoich synów. Alumni udawali się więc grupkami do rozmównicy. Kiedy tylko Bernadetta ich zauważyła, przerywała opowiadanie i, nie troszcząc się o współrozmówcę, z okrzykami «oh! oh!...» zwracała głowę i patrzyła na nich z ciekawością, a nawet zbliżała się do okna, by lepiej im się przypatrzeć...

Była więc bardziej zajęta tym widokiem, który — co prawda — obserwowała po raz pierwszy, niż rzeczami, które opowiadała, niż rolą, którą wyznaczyła jej Opatrzność, i zainteresowaniem, które jej osoba, a zwłaszcza wydarzenia lurdzkie, wzbudzały u wszystkich. Rzec by można, że dla niej te wielkie wydarzenia były rzeczą obojętną.

Jej niewinność i prostota, a nade wszystko ta bezinteresowność wywarły na mnie głębokie wrażenie. Odchodząc mówiłem sobie: «Bernadetta nie chce oszukiwać» i czułem się skłonny do uwierzenia w rzeczywistość objawień.”⁴⁰

Po pierwszej Komunii świętej ks. Pomian wpisał ją jako postulankę do stowarzyszenia Dzieci Maryi, których zebrania odbywały się w kaplicy przytułku.

Z tego mniej więcej okresu pochodzi wspomnienie jej młodej przyjaciółki, Julii Garros:

„Nosila mały fartuszek i zawsze jedną rękę trzymała w kieszeni. Zapytałam się jej raz, co ona ma w tej kieszeni: cukierki czy co innego. Odpowiedziała mi, że różaniec.

— Lecz dlaczego tak go ukrywasz?

— Dobrze jest czasem ukrywać przed oczami świata swoją pobożność, gdyż może nie być zrozumiana i doprowadzić do tego, że ludzie będą źle mówić o Najświętszej Pannie.”⁴¹

Od 7 kwietnia Bernadeta nie chodziła do grotty. Kierowała się w tym posłuszeństwem spowiednikowi, a prócz tego nie czuła wewnętrznego pociągu do Massabielle. Potem dołączyło się także przeświadczenie, że skoro Matka Boża jej tam nie wzywa, to nie trzeba się sprzeciwiać rozporządzeniom burmistrza. Tymczasem grotę otaczał ze wszystkich stron parkan z desek. Na górnym końcu ścieżki stał słup z napisem „Wejście na tę posesję zabronione”. Jasnowidząca nigdy się nie dowie, że ten słup jest ową belką, którą roku ubiegłego pozostawiono na drodze publicznej i którą następnie pewnej nocy zabrał jej ojciec, gdy w domu brakło drzewa⁴². Bernadetta mogłaby mieć urazę do prefekta, burmistrza i komisarza policji, że zakazali wszystkim dostępu do grotty i do źródła. Lecz nie: „Ci, co kazali wystawić barykady — powiedziała ona raz pewnego kuzynce, Joannie Védère — polecają je usunąć... Nie trzeba zwracać uwagi na ludzi; Pan Bóg to dopuszcza, trzeba być cierpliwym.”⁴³

Codziennie, gdy nie potrzebowała się zajmować swoimi małymi braćmi, gdy skończyła robienie porządków, załatwiła sprawunki, wchodziła do małego pokoiku na piętrze, który kuzyn Sajous dał jej na mieszkanie. Tam była figura Najświętszej Panny, którą „dziewczęta z Lourdes bardzo ładnie ozdobiły dla niej”⁴⁴. Miała zwyczaj patrzeć na nią przez pewien czas, następnie zamykać oczy i przeżywać niewysłowione widzenie. To jej dawało radość i odpoczynek.

W piątek rano 16 lipca ulice Lourdes są niezwykle ożywione.

Przed wszystkim dziś bractwo łupkarzy obchodzi swoje doroczne święto. Idą więc na Mszę św., niosąc swoją chorągiew, na której widnieje obraz ich Patronki, Najświętszej Panny z Góry Karmelu. Matka Boża pod tym wezwaniem ma już od dwustu lat kaplicę i ołtarz w lurdzkim kościele Św. Piotra⁴⁵. Liczna rzesza wiernych bierze udział w uroczystościach tych dzielnych kamieniarzy i komunikuje po nich.

Następnie tego ranka wszyscy zwolennicy grotty, którzy wczoraj mieli rzadkie miny, promienieją — według słów ks. proboszcza z listu do biskupa — „przeogromną radością”⁴⁶. W poniedziałek trzy kobiety z Lourdes, mianowicie Cypryna Gesta, Anna Dupas i Józefa Baringue udały

się do Pau, by tam stanąć przed sądem cesarskim. Czegóż to one się dopuściły? Ba — „rozpowszechniania fałszywych wiadomości”! Puszczały w obiegu huntuńskie pogłoski, jakoby sam cesarz życzył sobie, żeby odniesiono do groty wszystkie przedmioty, które stamtąd zabrano; jakoby cesarzowa polecała się modlitwom Bernadetty... Dwie z nich sąd pokoju w Lourdes uwolnił od winy, a trzecią, mianowicie Cyprynę Gesta — co do której widocznie biegli zgodnie orzekli, że ma najlepszy język — sędzia skazał na 5 franków grzywny. Prokurator Dutour uznał karę za niewspółmierną do przestępstwa. Owszem, cały wyrok uznał za nieważny. Zaaapelował... Lecz oto dnia 15 lipca wieczorem zabawna niespodzianka: uniewinnione wszystkie trzy, pojawiają się w swojej dzielnicy wśród okrzyków radości i śmiechu przyjaciół i znajomych. To wszystko było zapowiedzią powodzenia sędziego pokoju: w ciągu kilku godzin 42 osoby przyłapano na gorącym uczynku modlenia się u grotty wewnątrz ogrodu!

„Przed odjazdem na sprawę — opowiada Cypryna Gesta — Bernadetta uspokajała mnie: «Niech się pani nie boi: nic nie będzie.» Po moim powrocie ona, która nie jest rozmowna — albowiem na trzy słowa konieczne, zawsze dwa zatrzyma — spotkawszy się ze mną, śmiejąc się, szepnęła mi do ucha: «Przecież mówiłam pani!»”⁴⁷

Wieczorem mała Soubirous ponownie przyszła do kościoła. Rano — z nabożeństwa do Najświętszej Panny z Góry Karmelu, której szkaplerz nosi od czasu pierwszej Komunii św. — przystąpiła do Stołu Pańskiego, „po raz trzeci czy czwarty”⁴⁸ zdaniem Estrade’a. Za tę nową łaskę chce serdecznie podziękować. Otóż podczas modlitwy w jej sercu znów rozbrzmiewa, po trzymiesięcznym milczeniu, głos Matki Najśliczniejszej.

Bernadetta żegna się, wstaje i podąża do Lucyli Castérot, najmłodszej ze swoich ciotek. Ciociu, prędko, prędko do grotty! P a n i czeka! Lecz ciotka i siostrzenica wiedzą, że miejsce spotkania, otoczone barykadami, jest niedostępne. Idą więc drogą zaforteczną. Kilka kobiet z dzielnicy Lapaca puściło się w te pędy za nimi.

Oto już nasza grupka jest na łące Ribère na przeciw Massabielle. Na tym prawym brzegu Gave nie ma prawie nikogo. Jest około ósmej; dzień już gaśnie. Z miejsca, gdzie one są, widać poza potokiem sklepienie grotty, resztę zasłaniają deski ogrodzenia. Najwyższe pędy róży znikają w pierwszych cieniach.

Inne kobiety, które się tam modliły o tej późnej godzinie, zbliżyły się do nowo przybyłych. Bernadetta wyjęła różaniec i uklękła⁴⁹. Inne uczyniły to samo.

Kilka „Zdrowaś” — i ręce dziewczynki rozchylają się w geście szczęśliwego zdziwienia, na chwilę opadają i wreszcie wyciągają się ku cudownej Wizji. „Och, och, jest! — woła w pierwszym wzruszeniu ekstazy. — Kłania się nam i uśmiecha się do nas sponad bariery.”

„Objawiła mi się na zwykłym miejscu, nic nie mówiąc — oświadczyła Bernadetta. — Nigdy nie widziałam Jej tak piękną.”

Widzenie trwało około piętnastu minut.

-- „Lecz jakże mogłaś Ją dojrzeć z łąki Ribère? — zapytała jasnowidzącej jedna z jej wielkich przyjaciółek. — Gave w tym miejscu jest tak szeroka, a deski sięgają tak wysoko.

— W tej chwili nie widziałam — brzmiała odpowiedź — ani Gave, ani desek. Zdawało mi się, że przestrzeń między P a n i ą a mną nie była większa jak innymi razy. Widziałam tylko Ją samą.”⁵⁰

Osiemnaste i ostatnie objawienie. Na ziemi było to: Żegnaj! albo raczej: Do widzenia! w „szczęściu przyszłego życia”. Bernadetta zakończyła z uśmiechem rezygnacji: „Odtąd już Jej nigdy nie widziałam.”⁵¹

XV

DZIECKO ŚWIADECTWA

„Ona jest bardzo bystra”¹ — powiedział o Bernadecie komisarz policji, zdziwiony, że całkiem niewykształcona 14-letnia dziewczynka nie dała się pochwyć w żadną z jego pułapek.

Istotnie, jest to bardzo zdumiewające, że ona nie tylko nie kompromituje się z żadnym wizjonerem czy wizjonerką, którzy ją po fałszersku naśladowają, ale także nie uczestniczy w namiętnych dyskusjach, toczących się w Lourdes; że ma dosyć siły moralnej, by z pokojem w duszy czekać na tryumf prawdy.

Widzenia swoje opowiada — tym, co ją o to proszą — jak najkrócej. Jeśli kto chce z nią dyskutować, odpowiada mu spokojnie: „Nie kazano mi przekonywać, ale tylko opowiadać.”² Spowiednik zakazał jej chodzić do Massabielle, postanowiła więc sobie, że w tym kierunku nie wyjdzie poza Stary Most. Dlatego policja nie roztacza już tak ścisłego nadzoru nad nią i nad jej rodziną.

Dzięki temu pewien letnik, hr. de Bruissard, mógł swobodnie porozmawiać z Bernadettą w jej mieszkaniu. Posłuchajmy jego własnych opowiadań:

„W czasie, gdy tak wiele mówiono o lurdzkich objawieniach, byłem w Cauterets. Nie wierzyłem w nie, jak również i w istnienie Boga. Przecytawszy w dzienniku regionalnym, że Bernadetta miała 16 lipca nowe

objawienie, w toku którego Najświętsza Panna uśmiechała się do niej, postanowiłem udać się do Lourdes i złapać małą na gorącym uczynku kłamstwa.

Wchodzę do Soubirous i zastaję Bernadettę na progu zajęłą naprawianiem pończoch. Po długim wypytywaniu się co do objawień mówię jej: No, a jak się uśmiechała ta piękna P a n i?

Pastuszka spojrzała na mnie ze zdziwieniem, a następnie po chwili milczenia dodała: — Och, proszę pana, trzeba by być z nieba, żeby móc odtworzyć ten uśmiech.

— Czy nie mogłabyś go odtworzyć dla mnie? Jestem niedowiarkiem i nie wierzę w twoje objawienia.

Jej twarz się zasepila:

— Jak to? więc pan sądzi, że ja kłamię?

Czułem się rozbrojony. Nie, Bernadetta nie kłamała, a ja o mało co nie upadłem na kolana, by prosić ją o przebaczenie.

— Ponieważ pan jest grzesznikiem — mówiła dalej — odtworzę panu uśmiech Najświętszej Panny.

Jakoż podniosła się bardzo powoli, złożyła ręce i wyczarowała anielski uśmiech; uśmiech, jakiego nigdy nie widziałem na ustach śmiertelnych. Twarz jej rozjaśniła się przejmującym blaskiem. I tak uśmiechała się czas jakiś, patrząc w niebo. Ja zaś stałem przed nią nieruchomy, przekonany, że widzę uśmiech Najświętszej Panny na ustach Jej powiernicy.

Odtąd noszę w głębi swej duszy to boskie wspomnienie. Straciłem żonę i dwie córki, a jednak wydaje mi się, że nie jestem sam na świecie. Żyję z uśmiechem Najświętszej Dziewicy”.³

Środa 28 lipca 1858 r. pozostanie na zawsze pamiętnym dniem w dziejach Matki Bożej Lurdzkiej.

Około drugiej po południu jakaś dama, trzy panienki i zakonnica dzwonią do pokoju ks. Peyramale’a. Ponieważ proboszcza nie ma, przyjmuje je jeden z wikarych. Dama się przedstawia, że jest żoną admirała Bruata i guwernantką cesarskiego syna. W towarzystwie córek: Teresy, Berty i Małgorzaty, oraz s. Antoniny ze zgromadzenia Dobrej Pomocy wraca z uzdrowiska Saint-Sauveur. Wszystkie pragną usłyszeć opowiadanie o wizjach u groty z ust samej jasnowidzącej. Posłano po nią. Przyszła. Mówi do tych wielkich pań swoim narzeczem. Ksiądz służy za tłumacza. „Miała coś naprawdę niebiańskiego w oczach” — zanotowała s. Antonina.

„Prosiłam ją, by poszła z nami do groty — ciągnie dalej zakonnica. «Nie, nie — odpowiedziała — tego mi nie wolno; nie mogę.» Lecz dodała, że odprowadzi nas do mostu, co w istocie uczyniła. W drodze szła przy mnie, wzięwszy mnie pod ramię i ujawszy moją rękę w swoją.”⁴

Ledwie Bernadetta wróciła do rodziców, wezwano ją do Pailhasona. W salonie aptekarza — jak zapisał komisarz — „liczne zebranie”; samych księży było dwunastu⁵; wśród nich kanonik Darreé, wikariusz generalny księdza de Salinisa, acybiskupa Auch; ks. Dutirou, profesor wielkiego

seminarium w Auch; ks. Burosse, superior małego seminarium w Saint-Pé; księża Pomian i Pène, wikarzy lurdzcy... Ośrodkiem zainteresowania tych duchownych jest pewien pan, „którego sposób obejścia się — jak pisze *Intérêt Public* z Tarbes — jest bardzo wytworny”⁶. „Wzrostu powyżej średniego — powiedział kto inny o tym przybyszu — barczysty, muskularny, lecz giętki, jakby specjalnie stworzony do akcji i walki bez wytchnienia... czoło miał wysokie i szerokie — jasne... wspaniałe czoło. Ruchy jego były opanowane, eleganckie, głos poważny, cieniowany, harmonijny, czasem pieszczotliwy⁷. Widzieć, słuchać Ludwika Veuillota, naczelnego redaktora wielkiego dziennika katolickiego *Univers*, pisarza u szczytu swego talentu⁸, którego każdy artykuł wstępny całe duchowieństwo francuskie wita jako wydarzenie; widzieć i słuchać takiego gościa — co za szczęśliwy przypadek! Przebywając na wakacjach w Bagnères-de-Bigorre, sławny dziennikarz przybył do Lourdes, by zaspokoić ciekawość, całkiem zresztą zrozumiałą. Czytując lokalne gazety, doszedł do przekonania, że *Ere Impériale* i *Lavedan* zasługują na nauczkę.

Straszliwy polemista chętnie jej udziela: nie na próżno uchodzi za mistrza w tym względzie. Zbiera właśnie informacje. Był na plebanii, następnie w przytułku, gdzie siostry mówiły mu o objawieniach i Bernadecie. Stamtąd w towarzystwie ks. Pomina i kilku innych duchownych udał się do kościoła, by się pomodlić, przeszedł się wzdłuż i wszerz po placu Marcadal i w końcu wstąpił do apteki. Tutaj — będąc świetnym rozmówcą — trzymał wszystkich pod urokiem swojej inteligencji, dopóki nie wprowadzono Bernadetty.

Dziewczynka nie okazała nawet najmniejszej chęci dowiedzenia się, po co ci księża zebrali się wokół tego pana. „Opowiedziała bardzo prosto, lecz z wielką pewnością siebie — pisze w sprawozdaniu ks. Dutirou — wszystko, co widziała i słyszała, odpowiadając rzeczowo a przede wszystkim bardzo cierpliwie na pytania, które jej zadawano. Wszystkich nas przekonała o swojej doskonałej szczerości.”⁹

W drodze do groty towarzyszył Veuillotowi ks. Pomian, który jednak po dojściu do słupa zatrzymał się, by nie przekroczyć zakazu władz miejskich¹⁰. Dziennikarz zaś, głuchy na protesty strażnika Calleta, wraz z dwoma księżmi z Auch i księdzem Janem Labayle’em, proboszczem z diecezji Tarbes, który w przejeździe zatrzymał się w Lourdes — poszli aż do groty¹¹.

W tym czasie ścieżka prowadząca do Massabielle „biegła nie prosto, lecz zakosikami wśród wypukłości skalistego zbocza”¹². „U groty — opowiada ks. Dutirou — zastaliśmy admirałową Bruat z córkami, pobożnie klęczące na wielkich kamieniach.”¹³ Panie te trzymały w ręku gałązki dzikiej róży, które zerwał im — przeszedłszy przez palisadę — strażnik polowy. Skoro „Ludwik Veuillot” zbliżył się do nich — opowiada z kolei ks. Labayle — „ukłęknał. «Nie przyszedłem tu jako turysta — odezwał się do nas. Wprawdzie Kościół jeszcze się nie wypowiedział, lecz wszędzie

można się modlić.» Następnie umył sobie oczy wodą ze źródła — która wypływała otworem zrobionym pod barierą¹⁴ — i dodał: «Bardzo mi na tym zależy, żeby mi Bóg zachował oczy.»¹⁵

Dotychczas obeszło się bez przykrego incydentu, lecz skoro Veillot wstał z klęczek, stanął przed nim Jan Callet. Trudno — miał rozkazy. „Nie wolno wchodzić na tę posesję” — brzmiał zakaz burmistrza. Strażnik odezwał się głosem rozkazującym: „Protokół!” I spisał imiona głównych „przestępców”¹⁶.

Był to błąd, którego nie naprawią komisarz, burmistrz, prefekt — wszyscy razem.

Ks. Peyramale zacierał ręce, natychmiast bowiem zrozumiał, jakie będą tego następstwa. Oto, co pisał do swego biskupa nazajutrz, 30 lipca:

„Ekscelencja wie, że wikariusz generalny z Auch i p. Veillot poszli do grotty i że znaleźli się tam w dobrym towarzystwie. Wiadomo także Ekscelencji, że kazano im wymienić swoje nazwiska...

Wypadek jest bardzo kłopotliwy. Trzeba przyznać, że podobało się Bogu komplikować tę sytuację: światło zajaśnieje. Pani admirałowa zapewne opowie Najjaśniejszemu Państwu o wszystkim, co się tu dzieje. Można wątpić, żeby Cesarz pochwalił tak surowe traktowanie spokojnej, religijnej ludności...

Takie spotkanie w takim miejscu nie jest rzeczą przypadku; jest to bezsprzecznie zrządzenie Opatrzności.”¹⁷

Ks. Peyramale trafnie przewidywał: na dworze cesarskim będzie się mówić, i to nader życzliwie, o wydarzeniach lurdzkich, podczas gdy Ludwik Veillot zapozna z nimi całą Francję, niemal świat cały, tocząc swym żywym i jak miecz ostrym piórem zwycięskie polemiki z prasą przeciwną. Szczególnie *Lavedan* wyjdzie z nich mocno poturbowany: pożałuje on nie tylko, że przedrukowywał najzłośliwsze artykuły ze *Siècle* i *Presse*, ale również że ośmielił się zmierzyć z chłoszczącym *Univers*¹⁸. Veillot rozprawi się także z Prévost-Paradolem, redaktorem *Journal des Débats*, Guéroultem, redaktorem naczelnym *Presse*.

Wreszcie 28 lipca zaszedł fakt, który dla Bernadetty i jej świadectwa będzie miał o wiele większe znaczenie niż wizyta damy dworskiej i słynnego dziennikarza.

Kilku biskupów, udając się do uzdrowisk w Hautes-Pyrénées, zatrzymało się w Lourdes, by odwiedzić ks. Peyramale'a i Bernadettę. Jeden z nich, ks. Thibault, biskup Montpellier, „odjechał głęboko przejęty tym, co widział i słyszał”¹⁹. To on, sądząc, że skusi to dziecko wspaniałym koralowym różańcem na złotym łańcuszku, otrzymał odpowiedź: „Och, różaniec! Dziękuję Ekscelencji, ja mam swój.” Otóż 21 lipca zebrał się w Tarbes u ks. biskupa Laurence'a, biskupi: de Salinis, przebywający na

kuracji w Bagnères-de-Bigorre; Thibault, przebywający w Cauterets i de Garsignies, ordynariusz diecezji Soissons, przybyły z Saint-Sauveur²⁰. Bp Laurence nie ukrywał przed swymi czcigodnymi kolegami, że wydarzenia lurdzkie już od tygodni były przedmiotem jego rozważań i modlitw; że nawet rzucił na papier pewien projekt, który w odpowiednim czasie wykona, mianowicie projekt utworzenia komisji duchownych, którzy oficjalnie zbadaliby twierdzenia Bernadetty, by można było je zatwierdzić albo odrzucić.

„Ależ już wielki czas na to — zawołał biskup z Montpellier. — Niech Ekszelencja bez wahania podpisze ten projekt. Niech przyspieszy jego wykonanie... Gdyby ktoś niepokoił Ekszelencję z tego powodu, udam się do Paryża, by Go bronić!”²¹

28 lipca został podpisany dokument rozpoczynający się słowami:

„Zarządzenie Biskupa diecezji Tarbes ustanawiające komisję do zbadania autentyczności i natury faktów, które zaszły mniej więcej przed sześciu miesiącami z okazji objawienia się, prawdziwego lub domniemanego, Najświętszej Panny w grocie położonej na zachód od Lourdes”.

Zarządzenie to, zredagowane w uroczystym stylu listów pasterskich, zawiera następujące wyjątki:

„Największej wagi fakty dotyczące religii, a poruszające nie tylko całą naszą diecezję zaszły w Lourdes.

Trzynastoletnia dziewczynka z Lourdes, Bernadetta Soubirous, twierdzi, że w grocie massabielskiej miała widzenia Dziewicy Niepokalanej; pierwsze z nich odbyło się 11 lutego br. ...

Początkowo sądziliśmy, że jeszcze nie nadeszła pora, w której mogliśmy zająć się z pożytkiem tą sprawą; że aby móc wydać sąd, którego się od nas oczekuje, trzeba działać powoli, strzec się porywu pierwszych dni, pozwolić umysłom uspokoić się, dać czas do namysłu i pilnie obserwować wypadki.

Dzisiaj — aby oświecić wiarę i pobożność tylu tysięcy wiernych, aby zadośćuczynić publicznej potrzebie, usunąć niepewności i uspokoić umysły — ulegamy usilnym prośbom, które od dawna ze wszech stron nie przestają do nas napływać; przystępujemy do zbadania faktów, które w najwyższym stopniu interesują wiernych i mają najściślejszy związek z kultem Maryi i religią...”

Bp Laurence mówi dalej, że „postanowił utworzyć w diecezji stałą komisję, której zadaniem będzie zbierać i stwierdzać fakty, które się już wydarzyły, lub które mogą się jeszcze wydarzyć albo w grocie lurdzkiej, albo w związku z tą grotą...”²² Komisja — mówi dalej biskup — będzie nam przedstawiać tylko fakty oparte na solidnych podstawach; będzie nam przedkładać o tych faktach szczegółowe raporty i własną opinię...” Przede wszystkim komisja będzie się starała zbadać, „czy widzenia, które dziewczynka Bernadetta Soubirous miała mieć u grotty, są rzeczywiste

i, jeśli tak, czy można je wytłumaczyć naturalnie, czy też mają charakter nadprzyrodzony i boski”.

Jak widzimy, ten akt biskupi raz na zawsze rozstrzyga losy wszystkich wizjonerów, wszystkich fałszywych Bernadett — pomijając je milczeniem.

Jest on także dowodem, że ordynariusz Tarbes nie da się zastraszyć barierami materialnymi czy moralnymi wystawionymi wokół Massabielle: postanawia, nawet nie uprzedzając władz publicznych, że „komisja rozpocznie swe prace natychmiast”.

Zresztą bariery, jakiegokolwiek by były, wkrótce runą.

Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych nadzór nad okolicą grotty od drugiego tygodnia września przestaje być stały i dokuczliwy: racją bytu policji nie jest jedynie strzeżenie tego terenu gminnego.

Ten wrzesień cesarstwo spędzili w swej rezydencji w Biarritz. Poinformowany już o faktach przez admirałową Bruat, Napoleon III zażądał wyjaśnień od arcybiskupa z Auch, który jest metropolitą Tarbes i Lourdes.

W wyniku tego, w sobotę, 2 października, w wigilię Matki Bożej Różańcowej, Rouland, minister wyznań, przesyła bezpośrednio biskupowi Laurence'owi pomyslną nowinę: Jego Cesarska Mość „pragnie, żeby przystęp do grotty jako też korzystanie z wody ze źródła były swobodne”. Ostatecznie więc 5 października około trzeciej po południu strażnik polowy ogłasza wszem wobec i każdemu z osobna rozporządzenie burmistrza:

„Art. 1. Od dnia dzisiejszego dostęp do grotty jest wolny.

Art. 2. Stosownie do otrzymanych instrukcji, odwołuje się postanowienie z dnia 8 czerwca.”

Okrzyki radości i oklaski zagłuszyły ostatnie dźwięki werbla. Ludzie się cieszą, winszują sobie, spieszą do Massabielle. Burmistrz wyprzedził wszystkich: osobiście dogląda usunięcia barier i słupa. Jego podwładni mile go pozdrawiają i wyrażają mu swą wdzięczność. Wszyscy zwracają oczy ku grocie, modlą się klęcząc na obu kolanach, całują ziemię. „Do wieczora wszyscy mieszkańcy Lourdes napili się z cudownego źródła.”²³

*

Na marginesie tych wydarzeń życie Bernadetty, niby strumyczek ledwie widoczny wśród traw, znów poczęło płynąć cichutkim prądem.

8 września, w uroczystość Narodzenia Matki Bożej, po odbyciu rekolekcji, których udzielano Dzieciom Maryi w kaplicy przytułku, została przyjęta do tego stowarzyszenia. Na tę ceremonię przybyła ubrana już w kostium kongregacjonistek. Wystarczyło jej zresztą tylko przepasać białą suknię od pierwszej Komunii świętej przepisową niebieską szarfą i włożyć welon. Tego dnia była bardzo szczęśliwa. Potem, gdy opuści

Lourdes, będzie prosiła ks. proboszcza, by jej nie wypisywał z rejestru kongregacji²⁴. Pozostanie więc wieczystym dzieckiem Maryi.

Następnego dnia po jej przyjęciu o. Sempé, misjonarz z Garaison, który głosił nauki rekolekcyjne, a który jeszcze nie wierzył jej świadectwu, rozmawiał z nią w zakrystii. Na jego pytania odpowiadała „z tą prostotą, którą zachowała aż do śmierci”. Dał jej miedziany medalik bł. Germany Cousin²⁵ i korzystając z tej sposobności, powiedział jej „kazanko o pokorze”. Pastuszka z Pibrac — mówił gorliwy kapłan — niech ci służy za wzór pokory: „Czy Matka Boża ci się objawiła, czy nie — strzeż się zawsze podszeptów pychy, żebyś — uległszy im — nie zginęła na wieki”. Przemówienie zbyt surowe dla tej małej. Dziwne, że ta chęć przestrzegania lurdzkiej jasnowidzącej przed pychą — u wielu osób, które miały nad nią jakąś władzę, stała się istną obsesją. Czymże zresztą one się kierowały?... Jak to? Dlatego, że to dziecko zostało zaszczycone łaską obcowania z Królową Niebios, ma nieuchronnie podlegać pokusie pychy?! Misjonarz z Garaison kończy: Bernadetta „odpowiedziała mi z akcentem przekonania, który mnie głęboko wzruszył: «Bardzo Ojcu dziękuję.»”²⁶

Wydaje się, że w tym czasie Soubirou już nie mieszkali w brudnym „lochu”²⁷. Kuzynka Joanna Védère zaświadcza, że „wkrótce po objawieniach wynajęli dom koło kościoła”²⁸.

Aczkolwiek — jakeśmy już mówili — nie było w zwyczaju pozostawić w szkole dzieci po ich pierwszej Komunii świętej, ks. proboszcz „prosił siostry, by przyjęły Bernadettę jako eksternistkę”²⁹ do szkoły bezpłatnej na nowy rok szkolny. I już mała cieszyła się, że uniknie naprzykrzających się gości; i już z coraz większym zapałem kreśliła laski i litery, małe i duże, gdy znów tej jesieni 1858 roku zmuszono ją do wyjścia z cienia.

Komisja biskupia zabrała się do dzieła. 17 listopada wydelegowała do Lourdes ośmiu swoich członków z księdzem Nogaro, archiprezbiterem Tarbes, i ks. Fourcade'em, sekretarzem generalnym kurii biskupiej, na czele. Delegacja udaje się do grotty. Prowadzi ją ks. Peyramale. Proboszcz przybywa tu pierwszy raz. Jego wzruszenie jest wielkie. Daremnie stara się je ukryć. Towarzyszą mu dwaj jego wikarzy: Pomian i Pène. Duchowni ci — jak czytamy w protokole — „w celu uniknięcia natłoku” na próżno idą okrężną drogą. Zauważono ich. I oto czterysta osób otacza w Massabielle tych poważnych członków komisji.

Czekając na przybycie Bernadetty, po którą posłano do szkoły, księża „zbadali najpierw samą grotę, u kilku starszych mężczyzn, przebywających tu od dawna, a zwłaszcza u pewnego staruszka z folwarku Espélu-gues,³⁰ zasięgnęli dokładnych informacji co do źródła, które dziś jest tak przezroczyście i obfite, i co do tej jego siły leczniczej, której przypisuje się tyle nadzwyczajnych uzdrowień... Wszyscy zgodnie stwierdzali, że przedtem bywały tu zaledwie tylko ślady wody i że różnica między stanem poprzednim a dzisiejszym jest olbrzymia, mimo że nie podejmowano

żadnych prac w celu zatrzymania tych ledwie stwierdzalnych ilości wody.”³¹

Oto jest i Bernadetta.

„Ludzie się rozstępują, by zrobić jej przejście — czytamy dalej w protokole. — Przychodzi i staje wśród członków komisji z pełną szacunku skromnością, lecz i największą pewnością siebie. Wobec licznie zgromadzonego ludu, wobec poważnych kapłanów, których nigdy nie widziała, a których misję dobrze zna, zachowuje się tak spokojnie i swobodnie, jak gdyby była sama lub z rodzicami czy koleżankami”.

W tej chwili ks. Peyramale musiał w duchu zestawić Bernadettę Soubiours z tą piętnastoletnią wizjonerką, Józefiną Albario, również jego parafianką, w której w pewnej chwili zdawał się widzieć prawdziwą jasnowidzącą, a o której pewien poważny świadek jednak powiedział:

„Nie miałam do niej zaufania. Jej zakłopotanie wobec księdza proboszcza wywarło na mnie złe wrażenie. Nie śmiała mu w oczy spojrzeć. Zasłaniała sobie twarz kapturkiem i odpowiadała z odwróconą głową. (Zresztą wypowiedziała zaledwie tylko kilka słów)”³².

Przez trzy kwadranse członkowie komisji biskupiej wypytywali Bernadettę w grocie o jej wizje³³. Następnie po trzygodzinnej przerwie podjęli badania w zakrystii kościoła parafialnego „w ciszy i skupieniu, z dala od tłumu, który mimo całkiem odpowiedniego zachowania się nie ułatwiał skupienia uwagi” — stwierdza sekretarz komisji w protokole.

Ten urzędowy dokument, aczkolwiek zredagowany natychmiast, niestety, nie przekazał nam oryginalnego opowiadania jasnowidzącej. Jest to sucha i bezstronna relacja o osiemnastu massabielskich objawieniach, napisana po francusku w mowie zależnej. W dwa lata później, 7 grudnia 1860 r., ci sami członkowie komisji, lecz pod przewodnictwem samego bpa Laurence’a, zawezwą Bernadettę „po raz ostatni” i nowymi szczegółami uzupełnią raport z 17 listopada 1858 r.³⁴

•

Między tymi dwoma wydarzeniami Bernadetta znów będzie wiodła ciche i ukryte życie już to w szkole, już to w rodzinie.

Jej ojciec znowu stał się młynarzem: z pomocą proboszcza i biskupa wydzierżawił młyn Gras, stojący tuż pod zamkiem, niedaleko ujścia Lapy do Gavy³⁵, Młyn ten jest stary i mało ma klientów. Mimo to wśród pomruku kamieni Franciszek Soubiours odzyskał coś ze swego dawnego życia. Lecz na jak długo?...

W tym nowym mieszkaniu, przypominającym jej młyn, w którym spędziła dziecięce lata, Bernadetta ma wreszcie swój własny pokój. Oczywiście ustawiła tam na poczesnym miejscu figurkę Matki Bożej. Sprzed młyna Gras widać drzewa, których listki drżą pod tchnieniem wietrzyku wiejącego od Massabielle. Jasnowidząca rychło już ukończy 15

lat i wszystko dokładnie obserwuje. Lecz bogate stroje niejednej z odwiedzających ją osób nie robią na niej wrażenia: jej zamiłowanie do prostoty nie zmieniło się. Pewien profesor małego seminarium w Auch po odwiedzeniu jej w tym czasie napisał o niej: Jest to „mała wieśniaczka wątłej i delikatnej budowy ciała. Na głowie nosi chusteczkę perkalową. Jej twarz i krystaliczne oczy odbijają jak zwierciadło czystość, niewinność jej duszy.”³⁶

18 kwietnia 1859 r. przybył do hotelu Lafitte'a Anglik Standen. Był bezwyznaniowy, a zjawił się tu z przyjaciółmi z ciekawości — by odwiedzić Bernadettę. Natychmiast uległ jej urokowi. Oto jego wrażenia:

„Było to dziecko o ślicznej twarzy, oczach zadumanych, ruchach oponowanych... Poprosiła nas, byśmy za nią poszli do pokoju na pierwszym piętrze skromnego mieszkania, graniczącego z młynem jej ojca...

Znów nas przeprowadziła na parter. Gdyśmy przechodzili przez mączkarnie, zauważyła, że patrzymy z ciekawością na znajdujące się w niej urządzenia. Posłała tedy chłopczyka, który nas tu przyprowadził jako przewodnik (był to jej brat Jan Maria), by podniósł stawidło. Następnie bardzo inteligentnie objaśniła nam działanie urządzeń młyńskich.

W końcu pożegnaliśmy się z nią, przekonani, że rozmawialiśmy z bardzo miłą dziewczynką, grzeczną, i z wychowaniem nad swój wiek i pozycję społeczną.”³⁷

Niekiedy na prośby znamienitych gości ks. proboszcz wzywał Bernadettę na plebanię. „Postanowił jednak — z czym zwierzył się swym kolegom — tak sprawami kierować, żeby jak najrzadziej występowała wobec obcych.” A gdy się już pokazuje, „mawia im: «Oto mała, którąście chcieli widzieć. Najświętsza Panna obdarzyła ją łaskami, na które ona nie zasługuje. Niejedna jej rówieśniczka byłaby ich godniejsza.»” Bernadetta, nie mówiąc ani słowa, skłania się i siada na miejscu, które jej wskazują. Gdy ją proszą, by opowiedziała objawienia, czyni to tak, jakby chodziło nie o nią, lecz o kogoś innego. Zapytywana następnie, odpowiada „zadziwiająco rzeczowo, z ujmującym wdziękiem i prostotą”. Jeden z tych, co ją słyszeli, przyzna później, że „jakkolwiek uprzedzony jest do faktów nadzwyczajnych, których nie sprawdzono i których wiarygodności i charakteru on sam nie miał możliwości naukowo stwierdzić”, to jednak „szczerze opowiadanie Bernadetty i wyraz prawdy, którą tchnęła cała jej osoba”, mocno go uderzyły. „Wyniósł tedy nadzieję, że Kościół w stosownej chwili uzna prawdziwość i nadprzyrodzoność wypadków, których opowiadanie tak go wzruszyło.”³⁸

Podobne wrażenia odnosił każdy prawego serca, kto tylko miał szczęście słyszeć opowiadanie Bernadetty. Sam ks. Peyramale, chociaż nie chciał się do tego przyznać, dał się zjednać jak wielu innych; tylko że on tłumił swoje uczucia. „Czekam — mawiał — aż władze kościelne się wypowiedzą”³⁹.

Czy jednak będzie miał cierpliwość czekać?... Czyż już w grudniu 1858 roku nie zdradzi się — jeśli nie słowem, to czynem?

Sześć członkiń kongregacji Dzieci Maryi chce przygotować się noweną do uroczystości Niepokalanego Poczęcia. A gdzież można ją lepiej odprawić niż w Massabielle? Zbierają się więc w kościele na dźwięk dzwonów wzywających na Anioł Pański i wychodzą. Po wyjściu za bramę Baous zaczynają głośno odmawiać różaniec. Przed grotą po litanii do Najświętszej Maryi Panny śpiewają pieśń na Jej cześć. „Ale czy nie obawiacie się — zwracają im uwagę życzliwe przyjaciółki — że komisarz znów zamknie ten zakątek doliny?” Dzieci Maryi odnoszą się do ks. proboszcza.

„Nie obawiacie się — rzekł im kapłan — żebym miał wam zakazać śpiewać na cześć Najświętszej Panny. Śpiewajcie jak najgłośniej, żeby cały świat was słyszał. W wigilię święta odprawię za was Mszę św.» I rzeczywiście odprawił, bardzo rano. Poleciał także bić we wszystkie dzwony, tak jak na przywitanie biskupa, co nawet wywołało pewne zaniepokojenie w mieście⁴⁰.

Jednakże potem ks. Peyramale zastanawia się, czy bądź co bądź nie posunął się za daleko. Zresztą, natrętna myśl znów powraca: oczywiście, Bernadetta nie jest chora na halucynację, tego był całkiem pewny, lecz gdyby — jak kilka innych — była „igraszką szatana”?

Ach, żebyż wreszcie osiągnąć pokój w pewności, otrzymać znak, choćby byle jaki!... Lecz rychło świątobliwy kapłan wyrzuca sobie dawniejsze zarozumiałe wymagania. Nie, już nie będzie traktował Wizji tak poufale: w pokornej modlitwie prosi ją o łaskę czysto osobistą. I pewnej niedzieli podczas Mszy św. otrzyma tę łaskę. Zwierzy się z tego siostronom z przytułku. Oto sprawozdanie najmłodszej z nich, s. Aurelii Gouteyron, która miała dobry słuch i wierną pamięć:

„Zauważyłem przy stole Pańskim osobę z jasną aureolą wokół głowy. Byłem mocno zdumiony tym widokiem. Udzieliłem jej Komunii św., nie zdając sobie jednak sprawy, kto by to taki był. Lecz śledziłem ją wzrokiem, dopóki nie powróciła na swoje miejsce. I tam, gdy się odwróciła, by uklęknąć, poznałem w niej Bernadettę. Wnet pierzchnęły wszelkie niepokoje. Od tego czasu już nie miałem żadnych wątpliwości co do objawień.”⁴¹

Jak wędrowcowi, którego nocą burza zaskoczy na pirenejskich ścieżkach, od czasu do czasu na mgnienie oka zajaśniają, jako znak orientacyjny, wieczne śniegi znanego mu szczytu, tak w oczach lurdzkiego proboszcza odbłask massabielskiego światła jeszcze raz spoczął na czystym czole jasnowidzącej, by już nie wątpił, że u grotty widzenia niebieskie zachwycaly całą jej istotę.

Bernadetta — jak zaświadcza jej przyjaciółka, Julia Garros — „po pierwszej Komunii św. przystępowała, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, co miesiąc do stołu Pańskiego. Jakiś czas potem pozwolono jej, nieco wcześniej niż innym dzieciom, komunikować dwa razy na miesiąc⁴².

Udzielając jej tego przywileju ks. Pomian kierował się słusznymi motywami: pozornie mała Soubirous ze wszystkich uczennic najmniej umiała, lecz on, jej spowiednik, poznał, że dzięki wizjom miała o wiele głębsze zrozumienie tajemnic wiary, niżby jej wiek pozwalał przypuszczać. Zresztą jej pobożność, dotychczas bez oblicza, zaczynała coraz bardziej się uwypuklać: podczas modlitwy siostry widziały w jej oczach żywy płomień, którego nie dostrzegały u jej towarzyszek: nadprzyrodzone życie Bernadetty widomie się rozwijało⁴³.

Rodzina Soubirous w dalszym ciągu pielęgnowała zwyczaj wspólnego odmawiania wieczornego pacierza. Otóż pewnego razu — opowiada matka Maria Teresa Bordenave — brat Bernadetty Jan Maria, wówczas ósmioletni chłopczyk, „położył się, by — jak mi się przyznał — w łóżku leniwie się pomodlić; lecz siostra zmusiła go do wstania, by wspólnie ze wszystkimi i w postawie bardziej odpowiedniej odmówił pacierz”⁴⁴. Zresztą nie mogła w swoim otoczeniu ścierpieć tego, co się jej wydawało obrazą Bożą. Joasia Abadie — ta, którą, jak sobie przypominamy, skarciła Bernadetta za przekleństwo wypowiedziane bez złośliwości w dniu objawienia — pewnego razu pozwoliła sobie na poważniejsze przekleństwo wobec niej i jej siostry, Tosi. Na to Bernadetta odezwała się tonem surowym: „Już nie będziemy z tobą chodziły... Słuchaj, Tosiu, nie, nie chodź z Joasią, skoro ona zaczyna już tak przeklinać!”⁴⁵

W roku 1859 są dni, a nawet okresy, w których z powodu odwiedzin, a przede wszystkim z powodu zmęczenia i choroby Bernadetta opuszcza lekcje. Siostry chciały ją nauczyć języka francuskiego, by nie potrzebowały jej służyć za tłumaczy. Jednakże przy końcu roku w opowiadaniu objawień posługuje się jeszcze wyłącznie gwara. Wprawdzie już zaczyna sylabizować wyrazy w elementarzu, lecz ze złożeniem ich w zdanie ma kłopot. Otóż razu pewnego Elfryda Lacrampe zabrała ją z sobą do Massabielle, dokąd ks. proboszcz pozwala jej od czasu do czasu pójść. Bernadetta pije ze źródła i myje w nim twarz. Panna Elfryda spostrzega, że kilkakrotnie zwilża sobie oczy cudowną wodą:

- „Bernadetko, dlaczego tak przemywasz oczy?
- Muszę sobie umyć oczy, bo nie widzę.
- Jak to? Nie widzisz?
- Tak, nie widzę, bo nie mogę się nauczyć czytać”⁴⁶.

„Pokuty! pokuty!” To wołanie Najświętszej Panny często przychodzi jej na myśl. Na początku wielkiego postu wyraziła pragnienie poszczenia jak wszyscy dorośli aż do Wielkanocy. Matka jej surowo tego zakazała i powierzyła ją na kilka tygodni troskliwości kuzynki Segot, która tu przyjechała odwiedzić swoich krewnych z Cauterets. Nie mamy żadnego wspomnienia o tym drugim pobycie wypoczynkowym. Zupełne milczenie

policji wyraźnie świadczy, że przestała już ona podpatrywać „rzeczoną Bernadettę Soubirous”⁴⁷.

Gdy w sierpniu powróciła do Lourdes, ataki astmy zmusiły ją do zostawiania w łóżku. 13 sierpnia kilku księży dobrze mówiących narzeczem lurdzkim przybyło ją odwiedzić. Matka wprowadziła ich do jej pokoju. Wywiązała się uroczą sceną:

— „No, moje dziecko — pyta jeden z gości — jesteś chora?”

— Tak, proszę księdza.

— A co ci dolega?

— Piersi.

— Czy nasza obecność cię nie męczy?

— Ach, nie, proszę księdza. Dzisiaj mogę mówić.

— Czy nie pijesz wody z grotty?

— Tak, proszę księdza, piję.

— Woda ta leczy innych chorych: dlaczego tobie nie daje zdrowia?

— Może Matka Boska chce, żebym cierpiała.

— Dlaczego Ona chce, żebyś cierpiała?

— Och, bo cierpienie jest mi potrzebne.

— A dlaczego raczej ty jego potrzebujesz, a nie inni?

— Och, Pan Bóg to wie.

— Czy chodzisz jeszcze czasami do grotty?

— Chodzę, gdy ksiądz proboszcz mi pozwala.

— Dlaczego ksiądz proboszcz nie pozwala ci zawsze tam chodzić?

— Ponieważ wszyscy za mną chodzili...

— A jednak mówią, że w pewnym okresie chodziłaś tam, mimo że ci zakazywano.

— Tak, proszę księdza.

— A z jakiego powodu teraz już tam nie chodzisz?

— Och, bo wówczas byłam bardzo przynaglana (z silnym naciskiem)... i nie mogłam się powstrzymać...

— A teraz nie jesteś przynaglana?

— Nie, proszę księdza.

— Gdybyś była przynaglana jak kiedyś, co byś robiła?

— Bez wątpienia poszłabym jak kiedyś...

— A może Najświętsza Panna ci powiedziała, co trzeba robić, by pójść do nieba?

— Nie, proszę księdza. Tego nam nie trzeba. My i tak to wiedzieliśmy przedtem.

— Często z tobą rozmawiała?

— Tak, proszę księdza.

— Za każdym razem?

— Nie, nie za każdym razem...

Jej prostoduszny wygląd — stwierdza dalej ów kapłan — jej wyraz twarzy czysty, miły i wdzięczny wywarł na nas bardzo silne wrażenie.

Rozmawiała z nami bardzo grzecznie, za każdym zdaniem powtarzając: »proszę księdza«. Niemniej uderzająca była jej skromność... Zwraçała kilkakrotnie ku nam oczy, lecz bardzo powściągliwie... Odpowiadała z pewnością siebie i całkiem swobodnie... Odchodząc mówiliśmy do siebie, że to święte dziecko.”⁴⁸

We wrześniu wielka radość w młynie Gras: Bernadecie urodził się braciszek, Bertrand Piotr, którego ona zostanie matką chrzestną.

Lecz oto nadchodzi mglisty październik. Lekarz znów zaleca naszej małej astmatyczce wyjechać do cieplic: w kwietniu wróciła z nich z mniejszym ciężarem na piersiach. Odjeżdża więc wesola z kuzynką Segot, która ze swym małżonkiem, posterunkowym, korzystającym właśnie z dorocznego urlopu, udaje się do swoich krewnych. O tej trzeciej podróży Bernadetty do Cauterets wiemy coś niecoś dzięki temu, że lyoński pisarz Azun de Bernétas wciąż potrzebuje nowych tematów do swych książek.⁴⁹ Jemu to zawdzięczamy te „notatki kuracjusza”:

„Bernadetta była jeszcze w Cauterets w dzień Wszystkich Świętych, kiedy to widziałem ją komunikującą podczas Mszy św. o szóstej.

Rodziny wydierały ją sobie. Co ranka zapraszano ją to do księdza proboszcza, to do innych osób, by im opowiedziała objawienia.

Jej zaś te oznaki poważania i szacunku sprawiały przykrość, uchylała się więc, jak mogła, od tych przymusowych wizyt. Lecz ci, co się o nią ubiegali, zwracali się do jej krewnych, by skłonili ją do przybycia...

Każdy chciał mieć coś od niej. Lecz ona tym, co ją prosili o medalik lub jakiś inny przedmiot, odpowiadała: »Nie jestem przekupką«.

W mieszkaniu, jej rozrywką była zabawa z synkiem krewnych, mającym dwa do trzech latek.

Nigdy z nikim nie mówiła o objawieniach, chyba że ją zapytano”.

Nie, Bernadetta nie jest przekupką, o tym już dobrze wiemy. Wszak w zamian za swoje opowiadania i modlitwy nic nie chce przyjąć. A przecież ludzie ofiarują jej dary z tak szczerego serca. Wystarczyłoby jej tylko zamknąć rękę, a jej rodzice, którzy w biedzie żyją z dnia na dzień, nie potrzebowaliby tak ciężko harować. Razu jednego pewna matka, widząc, że Ludwika Soubirous „podaje do stołu posiłek bardzo skromny i bez wina”, litowała się nad nią. Na to w przystępie szczerości odpowiedziała matka jasnowidzącej: „Żylibyśmy dostatnio, gdyby moja córka chciała przyjmować rulony złota, które jej ofiarowywano, i to często z usilną prośbą o przyjęcie.”⁵⁰ Nie szkodzi! Niedostatek nie trwa wieki. Bernadetta, mimo że jeszcze tak młoda, uwielbia zrządzenia Opatrzności, które ubogich czynią bogatymi.

Na drogocenne przedmioty, które by mogły być jej własnością, nie patrzy okiem pożądlivym; gdy właściciel je zabiera, ona ich nie żałuje; nie zazdrości tym, co je posiadają. Patrzy na pieniądze — jak słusznie zapisał wachmistrz d’Angla — bez pogardy i bez buntu, lecz ich nie przyjmuje⁵¹.

Bezinteresowność prosta na pozór, lecz w rzeczywistości heroiczna. Liczne mamy na nią dowody.

Pewna pani wsuwa do kieszonki jej fartuszka jeden z tych rulonów złota, o których mówiła jej matka. Bernadetta natychmiast go wyjmując i zwraca ofiarodawczyni, jak gdyby to „złoto parzyło ją w palce”⁵².

Złota moneta zabłysła na dłoni pewnego księdza. Bernadetta w mig zrozumiała i uprzedza go żywo: „Proszę księdza, proszę to dać ubogim.”⁵³

Lecz skoro młodociana jasnowidząca jest tak nieprzejednana, to może jej rodzeństwo okaże się bardziej przystępne... Tak więc pani David z Oloron wciska dwa franki w rękę Tosi: „Nie, nie — woła Bernadetta tonem rozkazującym — bez pieniędzy!”⁵⁴

Mały Janek ma jeszcze mniej szczęścia niż siostrzyczka... Razu pewnego „przynosi z tryumfem dwa franki do domu” i wyjaśnia: Państwo, których odprowadził do groty i którym czerpał wodę z cudownego źródła, wynagrodzili go w ten sposób... Mniejsza z tym, czy to nagroda, czy nie nagroda, ale czyż nie zakazano mu przyjmować czegokolwiek?... Biedny chłopczyk! „Bernadetta — opowiada matka Józefina Forestier — bardzo niezadowolona, że przyjął te pieniądze, wycięła mu policzek («najpiękniejszy policzek, jaki kiedykolwiek otrzymałem» przyzna potem Janek) i kazała mu je oddać. Usłuchał, lecz gdy powrócił. Bernadetta zrewidowała go, by się przekonać, czy ich nie ukrył.”⁵⁵

„Bez pieniędzy!” To może podarki?... Nie! Pewni zamożni ludzie udający się do Cauterets wstąpili do ks. Peyramale’a i składając mu pieniądze, których jasnowidząca nie chciała przyjąć, poprosili, by obrócił je na biały chleb dla Bernadetty i jej całej rodziny. Podstęp się nie udał. Pierwszy dwunastofuntowy bochenek zwrócono piekarzowi Maisongrosse’owi nietknięty, a ksiądz proboszcz musiał odesłać pieniądze ofiarodawcom.

Bogaci wieśniacy z Béarn pytali się raz księży kapelanów z Bétharram, czy by wypadało złożyć dyskretnie rodzinie jasnowidzącej artykuły spożywcze. Ojcowie, nie podejrzewając, do jakiego stopnia Soubirous posuwają swoją bezinteresowność, pochwalili ten szlachetny plan. Jakież jednak było ich zdumienie, gdy wieczorem ujrzeli tych zacnych ludzi powracających z koszykami pełnymi żywności. Na ich nalegania rodzice Bernadetty powtarzali: nie i nie!⁵⁶

Pewna pani wysokiego stanu — opowiada dr Dozous — marzyła o przyjęciu Bernadetty do siebie. Zapewne by ją zaadoptowała. Propozycje poważnego wynagrodzenia nie zdołały skusić ni ojca, ni matki.⁵⁷

Okazywali się wszakże bardziej układni, gdy znani ludzie chcieli ją zabrać na kilka dni już to gdzieś w okolice Lourdes, już to do Tarbes, Pau czy Bagnères-de-Bigorre, by tam — jak w nich ci „świętokupcy” wmawiali — zaczerpnęła trochę zdrowia. Bernadetta bez entuzjazmu pozwalała się tak „uprowadzać”: przykro jej było, że opuszcza lekcje i katechizm.

Bierzmowanie w Lourdes odbywało się co dwa lata. Ostatnie było 10 lutego 1858 roku, w samą wigilię pierwszego objawienia. W roku 1860 bp Laurence zapowiedział swoje przybycie na niedzielę siedemdziesiątnicy, 5 lutego.

Bernadetta była jedną z kandydatek. Lecz oto któregoś tygodnia przed tym wielkim dniem nasza uczennica ściągnęła na siebie gromy z jasnego nieba siostry klasowej. Nauczyciel Jan Barbet tak nam opisuje tę zabawną „awanturę”:

„S. Maria Géraud opowiedziała nam, że pewnego dnia przed bierzmowaniem na lekcji katechizmu doszły z końca sali do jej uszu szepty i chichot. Natychmiast przerwała lekcję i odezwała się:

— Jestem przekonana, że w dniu bierzmowania Duch Święty nie zstąpi na głowy tych oto uczennic, gdyż są za bardzo rozproszone! Mówiąc to, wskazała na miejsce, gdzie znajdowała się Bernadetta. Bernadetta zaś, nieco zmieszna, wstała i rzekła:

— Proszę siostry, to ja sama jestem winna.

— Jakże, to ty robisz zamieszanie w klasie, ty, która dostąpiłaś łaski widzenia Najświętszej Panny?!

— Proszę siostry, siostra wie, że ze względu na astmę polecono mi zażywać tabakę. Otóż podałam niuch tabaki swoim sąsiadkom. Nie chciały przyjąć. Lecz zaczęły udawać kichanie — wszystkie naraz. I to je rozśmieszyło. Siostra więc widzi, że one nie są winne.”

Wspaniałomyślnie Bernadetta wzięła wszystko na siebie. „Łatwo można się domyślić — kończy Jan Barbet — że siostra nie ukarała nikogo, lecz tylko z wielką trudnością udało jej się zachować powagę”.⁵⁸

Pod datą 4 lutego 1860 roku ks. bp Laurence wpisał w swym *Ordo*⁵⁹, „O godzinie drugiej odjechałem do Lourdes. Odwilż polepszyła drogi. O czwartej przeegzaminowałem dzieci (150).”

A nazajutrz: „Niedziela 5 lutego. Bierzmowanie w Lourdes Msza św. śpiewana itd. od godz. 8 do 11,30. Wyraziłem życzenie widzenia Bernadetty, którą bierzmowałem.”

Nic więcej. A wielka szkoda. Jedyne szczegóły odnoszące się do bierzmowania Bernadetty, dotyczy jej toalety. Wydaje się, że nie było wtedy zwyczaju ubierania kandydatek do bierzmowania w ich suknie od pierwszej Komunii świętej. Strój Bernadetty musiał nie być ani bardzo modny, ani bardzo elegancki, skoro jej koleżnaka, Julia Garros, zeznała: „Przypominam sobie, że i dla mnie na tę uroczystość chciano kupić takie samo ubranie. Lecz ja nie chciałam, bo nie było w moim guście.”⁶⁰

Mimo zabawnej groźby s. Marii Géraud, Duch świętości i siły, uzupełniając łaski chrztu św., zstąpił na duszę Bernadetty. Jej usposobienie zadowalało spowiednika do tego stopnia, że pozwolił jej — jak stwierdza Julia Garros — komunikować co tydzień⁶¹, co w tej epoce było wyjątkową łaską. I ona sama czuła się jak odnowiona: siostry zauważyły, że pod-

czas modlitw w szkole i nabożeństw w kościele miała zawsze oczy zwrócone na ołtarz; otoczenie już jej nie rozpraszało jak dawniej.

Lecz za to większą niż dotychczas przykrość sprawiają jej wszelkie oznaki szacunku. Teraz jej rodzice, którym zwiększający się napływ odwiedzających przeszkadza w pracy, pozwalają każdemu wchodzić do jej pokoiku. Z tych zaś niektórzy posuwają oznaki uwielbiania do tego stopnia, że padają przed nią na kolana, jakby już była świętą kanonizowaną⁶²... A jakże przeszkadzają jej w dążeniu do chrześcijańskiej doskonałości te podróże, to ukazywanie się w świecie!

Ks. Peyramale usłyszał jej skargę. Tak, dla tego czystego i pobożnego dziecka trzeba miejsca spokojniejszego i bardziej strzeżonego. „W porozumieniu z burmistrzem Lourdes umieścił ją w miejscowym przytułku.”⁶³ Zakonnice przyjęły ją tam w połowie lipca 1860 r., lecz w charakterze uczennicy, a nie pacjentki.

Bernadetta Soubirous była wówczas panienką lat szesnastu i pół.

XVI

WYNIK MISJI: ORZECZENIE BISKUPIE

Kapłani, zakonnicy, zakonnice zwykle się zwierniają, że głos z nieba, wzywający ich do życia doskonalszego, posłyszeli w dniu pierwszej Komunii św. Z Bernadettą zaś, która, jak sobie przypominamy, komunikowała pierwszy raz w Boże Ciało 1858 roku, rzecz niewątpliwie miała się odmiennie.

Półtrzecia miesiąca wcześniej, w niedzielę 21 marca pewna nauczycielka z okolic Lourdes¹ przesyłała swemu krewnemu, księdzu, te ciekawe szczegóły, które mogła zawdzięczać komuś z otoczenia burmistrza:

„Burmistrz i kilku innych panów z Lourdes pytało się Bernadetty, jaki stan zamierza sobie obrać.

Zastanowiwszy się chwilkę, odpowiedziała, że chce zostać zakonnica. «Lecz może się zdarzyć, że zmienisz zdanie — odpowiedział burmistrz. — Tymczasem trzeba się nauczyć jakiegoś rzemiosła.» Na to dziewczynka odpowiedziała: «Nie zmienię zdania; a na razie będę robiła to, co moi rodzice będą sobie życzyli.»”

Sprawa jej własnego powołania zakonnego nie mogła być jedną z tajemnic powierzonych Bernadecie w Massabielle, gdyż z jednej strony

ona sama kilkakrotnie zaprzeczyła temu domysłowi, a z drugiej wcale nie ukrywała faktu, że Niepokalana jej objawiła przyszłość pod welonem, chociaż nie określiła jego koloru ani kroju. Zresztą czyż dla pobożnej dziewczynki kontemplacja tej nadziemskiej piękności nie wystarczyłaby, by oderwać się od świata i nieodwołalnie zapragnąć życia ukrytego w klasztorze? Czy głęboka racja jej powołania zakonnego nie ujawnia się w tym westchnieniu, które jej się wyrwało pewnego wieczoru Wniebo-wzięcia: „Gdy się Ją widziało, już nigdy nie kocha się ziemi.”²

Tak, niewątpliwie, jednakże pod warunkiem że tak wyjątkowa łaska nie stanie się dla osobnika, który jej doznał, a który bądź co bądź zawsze ma wolny wybór, zawinioną przyczyną duchowego umniejszania się. Któż z francuskich duchownych nie czytał w roku 1854 listu pasterskiego ks. bpa Ginoulhiaca z Grenoble, w którym ten książe Kościoła, każde słówko ważąc, nie wahał się tak surowo pisać o Melanii Calvat, jasnowidzącej z La Salette? Oto jego słowa:

„Od 19 września 1846 roku, kiedy to miało miejsce objawienie na Świętej Górze, bardzo wiele osób, nawet najpoważniejszych i najznakomitszych, okazywało Melanii Calvat uprzedzającą a delikatną grzeczność, szczególnie a tkliwy szacunek, graniczący niemal z kultem. Jeśli przez kilka lat mało się tym wzruszała, to czyż można się dziwić, że w końcu pod wpływem tego wytworzyło się w niej przywiązanie do swego zdania, przywiązanie, które jest jednym z największych niebezpieczeństw dla dusz obdarzonych nadzwyczajnymi łaskami?

Na to przywiązanie do własnego zdania i osobliwości, które są jego naturalnym skutkiem, zwróciliśmy naszą uwagę, skoro tylko nas o tym powiadomiono i mimo że jej macierzysty klasztor (Siostr Opatrzności w Corenc) złożył hołd jej pobożności i zapalowi, z jakim nauczała dzieci religii, uznaliśmy za swój obowiązek nie dopuścić jej do ślubów rocznych, aby jej dać okazję do skutecznego zaprawienia się w praktykowaniu chrześcijańskiej pokory i prostoty, które są koniecznym i najpewniejszym środkiem zabezpieczającym przeciw złudzeniom życia wewnętrznego.”

Biedna Melania! Woliała raczej opuścić klasztor Corenc niż ponowić nowicjat. Zapewne nie przypuszczała, że już nie zazna spokoju. Widzimy więc, że — jak słusznie mówi historyk La Salette — zamiast „traktować ją na równi z innymi”, otaczano ją „atmosferą nieomal uwielbienia”³, nawet podczas tej pierwszej próby jej zakonnego życia, i mimo woli złamano jej życie⁴.

Gdyby Bernadetta Soubirous, która podobnie jak Melania Calvat jest niskiego pochodzenia i równie jak ona nosicielką orędzia Najświętszej Panny, miała zaprzętnąć sobie głowę nierozumnymi pochlebstwami, odurzyć się objawami tkliwego szacunku, zapomnieć o swej właściwej roli, uchybić swemu powołaniu — jakież by to było nieszczęście, jaki upadek! Otóż mimowolna niezręczność może zwichnąć jej życie. Ks. Peyramale podczas rachunku sumienia uświadamia sobie, że nieroztropną rzeczą było pozostanie

stawiać przez dwa lata młodą jasnowidzącą w Lourdes niejako na łasce każdego, kto ją odwiedza. Dlatego w porozumieniu z matką Urszulą Fardes, przełożoną przytułku, zdecydował, że jej nowa pensjonarka może przyjmować wizyty tylko w obecności jednej z zakonnice. Jeśli ten środek nie zmniejszy napływu odwiedzających — myślał sobie prostodusznie ks. proboszcz — to przynajmniej będzie studił ich uniesienia podziwu i sympatii.

Ówczesny przytułek lurdzki niewiele się różnił od dzisiejszego. Dobudowano tylko poddasze i wzniesiono nową kaplicę. Była to długa budowla, której pierwsze piętro opierało się częściowo na słupach, tworząc rodzaj głębokiej werandy.

Siostry Miłości i Wychowania Chrześcijańskiego przyjęły Bernadettę z otwartymi rękami i odnosiły się do niej z szacunkiem. Minał już czas, kiedy należały do opozycji. Zresztą opowiadanie księdza proboszcza o aureoli zapewne rozproszyło resztki wątpliwości. „Nowo przybyłą — pisze Jan Estrade — obowiązywał inny tryb życia niż inwalidów i ubogich. Była ona dla zakonnice świętym depozytem, dlatego też przełożona domu umieściła ją w osobnym pokoju, bardzo słonecznym i zdrowym, i wyznaczyła jej wyjątkowe miejsce przy stole pensjonariuszek szkoły.”⁵ W zamian za to gościnny dom nie przyjął od nikogo ani grosza.

Bernadetta od razu zrozumiała, że to zakonne środowisko bardziej jej odpowiada niż młyn ojcowski z tym ustawicznym ruchem ciekawskich i klientów. Tutaj mogła swobodnie rozwijać swoje zamiłowanie do pobożności, pielęgnować umiłowane powołanie. Być może, wyobrażała sobie również, że siostry nikomu nie pozwolą jej odwiedzać i że wobec tego będzie mogła więcej czasu poświęcić na naukę.

Salę szkolne w przytułku mieściły się od strony zachodniej. Na parterze była szkoła bezpłatna, na pierwszym piętrze — dwie płatne: jedna po pięć franków miesięcznie, druga po dwa. Do tej ostatniej, gdzie siostry umieściły Bernadettę, uczęszczały córki zamożnych rzemieślników i kupców.

Jasnowidząca niczym się nie różniła od swoich towarzyszek: ani wzrostem, ani ubiorem. Wprawdzie w szkole pięciofrankowej, nazywanej szumnie pensjonatem, było kilka dziewcząt bogatych, którym matki narzucały noszenie torturującej krynoliny i których włosy podtrzymywały siatki, jednakże wszystkie uczennice szkoły dwufrankowej nosiły strój regionalny: spódniczka prosta, fartuszek i szal zapięty na piersiach. Kolorowa chusteczka, upięta artystycznie na szyi, dodawała dorastającej Bernadecie — jak świadczą jej fotografie z tego okresu — niemało wdzięku.

W szkole dwufrankowej świetna nauczycielka, s. Savignon, miała 40 uczennic. Salę oświetlało szerokie okno, skąd był widok na dolinę Gave.

Domyślamy się, co przypominały jasnowidzącej te szumiące wierzchołki nadbrzeżnych topól: grootę, Najświętszą Dziewicę, Jej uśmiech...

Opóźniona uczennica robi znaczne postępy w czytaniu, pisaniu, rachunkach. Co do pisania, to świadczy o tym długi list, który napisała 28 maja 1861 roku do o. Gondrana, oblata w Bétharran, a który zawiera jej pierwszy własnoręczny opis objawień. W przytulku lurdzkim przechowuje się jeden z jej zeszytów. Na jego drugiej stronie jest data: 21 lutego 1864 r. Nie ma w nim marginesów, co świadczy o oszczędności właścicielki, ale nie ma też ani jednej plamki, co wskazuje na jej wrodzone zamiłowanie do czystości. Pismo jej, w roku 1861 mocno pochyle, trochę się podniosło i zaczyna nabierać piękniejszego wyglądu. W zeszycie tym są zadania bieżące: dyktanda, ćwiczenia ortograficzne, odmiana czasownika, zdania kilkakrotnie przepisywane kaligraficznie, rozbiór zdań, próby pisania z pamięci... Po czterech latach pobytu w przytulku Bernadetta zdobywa elementarne wykształcenie przeciętnej małomiasteczkowej uczennicy tej epoki.

Wspomnienia zakonnice zgodnie świadczą, że była „bardzo uległa swoim wychowawczyniom, bardzo dobra dla koleżanek, nader budująca... Miała wesoły charakter i wyrządzała różne figle, nawet podczas lekcji”⁶.

Największą psotę, o jakiej zachowała się pamięć, spletała z koleżanką w sezonie truskawek. Poletko, na którym dojrzewały te soczyste owoce, rozciągało się pod oknem jednej z sal, gdzie pewna pani z miasta uczyła szycia grupę dziewcząt. Bernadetta była wśród nich. Obok niej siedziała niespokojna Julia Garros. „Było ciepło — opowiada Julka — otworzono więc okna. Patrzyliśmy pożądliwie na truskawki.” Pokusa była zbyt silna. Nastąpiła krótka pauza bez wychodzenia na dziedziniec. Julka namyślała się, jakiego by to fortelu użyć, żeby zdobyć pachnących owoców, gdy tymczasem znalazła nieoczekiwaną pomocnicę... w swej sąsiadce. „Upuszczę z okna bucik — rzekła rozbawiona Bernadetta — a ty pójdziesz po niego i przyniesiesz truskawek.” I rzeczywiście tak uczyniły⁷:

Miała też — któż się temu zdziwi? — inne kaprysy charakteru. Zdarzało jej się „być upartą — zaświadcza jedna siostra — lecz nie do tego stopnia, by to spostrzegały jej koleżanki”. Pewnej niedzieli po niesporach polecono jej zdjąć nową sukienkę: ona wymawia się. Innym razem chce koniecznie pójść do ojcowskiego młyna, by odwiedzić swojego braciśka i chrześniaczka w jednej osobce. Lecz któraś z sióstr przypomina jej, że to okazja do ofiary: Bernadetta rezygnuje ze swojego planu⁸.

A czy składała kokieterii powszechny haracz córki Ewy? Bardzo niewielki. Pewnego razu s. Wiktoryna zaskakuje ją, „jak rozszerza spódniczkę, by jej nadać wygląd krynoliny”; innym razem, „jak przyprawia do gorsetu rodzaj fiszbin”, zresztą za namową koleżanki. Ot, gorączka próżności, która szybko minie, nie pozostawiając ani śladu. Wszystko razem wzięwszy, „było to trochę dziecinady”⁹.

Pewnego razu, gdy Bernadetta była w Momères, kuzynka Joanna

Védère, przygotowując ją do fotografii, powiedziała: „Ależ p. Duffour, fotograf, chce, żebym cię zrobiła piękną, żebym ci włożyła inny ubiór. — Jeśli ten pan — odparła Bernadetta — nie uznaje mnie za dosyć piękną, to pozostaw mnie tutaj: nie wezmę ani szpilki więcej.”¹⁰

Podczas dłuższych przerw chętnie chciała uczestniczyć w hałaśliwych i bardzo ruchliwych zabawach koleżanek, lecz szybko się męczyła. Dlatego bardzo często trzymała tylko skakankę lub pilnowała szali i płaszczy bawiących się dziewczynek. Podczas krótkich przerw, by nie zostawić jej samej, otaczały ją ulubione przyjaciółki. Uczennice, te, które zdawały sobie sprawę z jej przeszłości, spoglądały czasem na nią oczyma, w których można czytać zdziwienie, szacunek, jakby lęk rzeczy Bożych: przecież to ta, która widziała Najświętszą Pannę!... Zresztą uczucia dzieci są zmienne.

Bernadetta z uwagą bierze udział w lekcjach haftu i szycia i dużo z nich korzysta. Czasem robi na drutach. Jest także zręczną prządką.

Zakonnice, które podczas Mszy św. i innych modlitw klęczą za uczennicami, nie widzą w Bernadecie nic nadzwyczajnego. Młoda pensjonarka nie lubi mnożyć zewnętrznych oznak pobożności. Lecz ten jej znak krzyża świętego... Jakże majestatycznie go robi, i to zarówno publicznie, jak i wtedy, gdy jest sama. A siostry wiedzą, z kogo ona wzięła wzór.

Mistrzynie budują się także jej odmawianiem „Zdrowaś”, wówczas bowiem jej wzrok odruchowo wznosi się do góry, daleko od ziemi. Przed zaśnięciem zawsze zawija koronkę na rękę. Podczas ataków astmy czuwająca nad nią siostra widzi, jak przyciska do chorych piersi paciorki, które przesuwa w palcach.

Spowiednik pozwala jej na częstą Komunię świętą. Ona zaś tak jej pragnie, że nawet po najbardziej wyczerpujących napadach nie przyjmuje lekarstwa, gdyż złamałaby post eucharystyczny i pozbawiła się Chleba Aniołów.

Zazwyczaj dwa razy na tydzień któraś z sióstr prowadzi ją do Massabielle; często jest to także okazją odwiedzenia rodziny i nacieszenia się swoim chrześniakiem. Nic prostszego niż te pielgrzymki: przybywszy na miejsce, całuje ziemię, pije troszkę wody cudownej, następnie — żeby jak najmniej zwracać na siebie uwagę — klęka w cieniu groty. Tam — jak opisuje naoczny świadek — skupiona, ukryta, często nie znana oddawała się rozmyśleniom i odmawiała nabożnie koronkę.”¹¹

W klasie zajmowała pierwsze miejsce przy drzwiach. Z tego samego pulpitu, co i ona, korzystała początkowo Maria Batac, a potem Adela Gesta. Adela była nieco płocha, a Bernadetta, jako jej krewna, dobrze ją знаła. Dlatego gdy ten trzpiot, siadał koło niej, na drugim miejscu, rzucała jej spojrzenie, które miało znaczyć: No, tylko mi nie bądź grzeczna!...

Jasnowidząca bez trudu odgadła, dlaczego wychowawczyni posadziła ją tak „na wylocie”; dlatego, żeby, wychodząc do rozmownicy, nikomu nie przeszkadzała. Istotnie, rychło po jej przybyciu zaczęli ludzie zgła-

sząć się do przytułku z prośbą o widzenie się z nią. Jeśli przełożona pozwoliła na widzenie, dawano specjalny sygnał dzwonkiem. Zdarzało się to kilka razy na dzień.

Na taki sygnał Bernadetta, westchnąwszy, natychmiast wychodziła, nawet nie prosząc nauczycielki o pozwolenie¹². Na dole schodów czekała na nią zakonnica, która ją prowadziła do gości. Wszyscy byli żądni jej widzenia, słyszenia. Ona zaś uprzejmie, lecz bez widocznego wzruszenia, bez sztuczności w postawie i spokojnym głosem mówiła im o Zjawie, odtwarzała te z Jej ruchów, które robiły najsilniejsze wrażenie. Odwiedzający chcieli mieć jakąś pamiątkę od wybranki Niepokalanej. Niejednokrotnie proszono ją o włosy. Zawsze uporczywie odmawiała¹³. Chętnie natomiast rozdzielała autografy, kreśląc chwiejnym piśmem na podsuwanych sobie obrazkach zawsze tę samą formułę: *p. p. Bernadette*, co miało znaczyć: proszę się modlić za Bernadettę (*riez pour Bernadette*). Czasami uczennice, w toku przekomarzania się wołały na nią: *Ehe! pepe Bernadetta!... pepe Bernadetta!* Jasnovidząca sama się z tego śmiała, lecz podpisu nie zmieniała.

Do znakomitszych osób, które ją odwiedziły, należy żona podprefekta i biskup diecezji Nimes.

Ks. Mingelatte, wikary w Argelès, rodem z Lourdes, żył w świetnych stosunkach z podprefektem Duboé. Pani Duboé gorąco pragnęła zapoznać się z Bernadettą. Ks. wikary skierował ją do swych krewnych, mieszkających na ul. de Langelle, niedaleko przytułku. Tam z babcią mieszkała bratanka ks. wikarego, imieniem Romana, zupełna sierota, o której już była mowa wyżej.¹⁴ S. przełożona uległa prośbom tej paniutki cieszącej się dobrą opinią i pozwoliła zabrać Bernadettę. Pani podprefektowa — opowiada Romka — niezmiernie uszczęśliwiona widzeniem Bernadetty „zadała jej mnóstwo pytań. Bernadetta odpowiadała — jak zawsze — krótko, po prostu, bez sztuczności ni pozowania i z tym przemiłym spokojem, który u niej był cechą rodzinną, albowiem Soubirous są usposobienia raczej poważnego i spokojnego. Rozmowa toczyła się w języku francuskim. Bernadetta dzięki lekcjom otrzymywanym u sióstr zaczynała już nim mówić płynnie.” Opowiadanie jej było jasne, chociaż w tym czasie zdarzały się jej błędy językowe. (Razu pewnego powiedziała na przykład, że widziała Matkę Bożą swymi własnymi okami¹⁵). „Na koniec p. podprefektowa zapytała:

— Panienska mówiła, że Najświętsza Dziewica powierzyła jej pewne tajemnice?

— Tak, proszę pani.

— Panienska mi zechce je wyjawić...

Na te słowa Bernadetta spoważniała, zupełnie się zmieniła. Jeszcze dziś mam ją przed oczyma. Wstała z krzesła, położyła rękę na piersiach i patrząc na tę wielką panią bez najmniejszego lęku, odpowiedziała tonem zdecydowanym, który odebrał wszelką chęć nalegania:

— Proszę pani, ja to zachowuję dla siebie”.

Wiele lat później pewien rektor wielkiego seminarium zada Romanie Poueyto, 89-letniej żwawej staruszce, następujące pytanie:

— „Czy rozmowa z tą światową damą wywarła na Bernadecie jakieś wrażenie? Czy uzewnętrzniło się na niej pewne zadowolenie z siebie samej, nieco dumy?

— Nic podobnego.

— O czym mówiłyście w drodze?

— O zbiorach. Gdyśmy przechodziły koło orzecha włoskiego, zapytała mnie, czy dużo orzechów mamy w tym roku... Gdyby nawet sam cesarz ją wypytywał, po rozmowie z nim tak samo by mówiła o orzechach i kukurydzy.”¹⁶

Wizyta ks. bpa Plantiera z Nimes stanie się dla Bernadetty okazją tryumfu. Jeśli sobie to uświadomiła, to jednak nic nie zamąci ani szczęścia jej prostego serca, ani pokoju jej niewinnych oczu; a jeśli się z tego wewnętrznie cieszyła, to dlatego, że z jej świadectwa, z jej „misji” — jak mawiała — Matka Boża Massabielska ma pewną chwałę.

Biskup Plantier, który jeszcze nie miał lat pięćdziesięciu, znany był we Francji, a nawet gdzie indziej, z jego listów pasterskich o synodzie Kościoła Reformowanego, który obradował w Paryżu w roku 1859. Dawny kaznodzieja katedry Notre-Dame, potężny, jasny i metodyczny apologeta chciał sobie wyrobić własny sąd o Bernadecie i wydarzeniach lurdzkich. Gdyby się wypowiedział za lub przeciw, jego zdanie miałoby niemalże znaczenie. Ks. Peyramale zdawał sobie z tego sprawę. Jednakże idąc do przytułku z biskupem i jego młodym sekretarzem osobistym, księdzem Cabrièresem, nie zwierzał się im ze swych myśli.

Biskup wypytywał Bernadettę dowolnie długo. Nieklamana pokora, oczywista szczerłość — oto dwa znamiona, po których poznał prawdę. Natychmiast uwierzył w rzeczywistość objawień. Po otrzymaniu pasterskiego błogosławieństwa Bernadetta skłoniła się i — nie mówiąc ani słowa — odeszła bawić się z koleżankami¹⁷.

Po przeszło dwuletnim zbieraniu informacji o wydarzeniach lurdzkich komisja biskupia przekazała wreszcie ordynariuszowi Tarbes rezultat swej cierplivej i drobiazgowej pracy. Tak, głos ludu był tutaj głosem Boga. Nie myliły się te tysiące pielgrzymów przybywające od lutego 1858 roku modlić się do Massabielle: P a n i z grotty była istotnie Matką Bożą.

Przed oficjalnym uznaniem wyników badań ks. bp Laurence sam przewodniczył na ostatnim posiedzeniu, które odbyli w zakrystii lurdzkiego kościoła ci sami członkowie komisji, co niegdyś.

Wobec tak imponującego zgromadzenia Bernadetta stanęła ze swą zwyczajną prostotą w kapturku i drewniakach. Jednakże w tej szczególnie

uroczystej godzinie, świadoma swej misji, mówiła ze wzruszającą powagą. Gdy powtarzając słowa: „Jestem Niepokalane Poczęcie”, opuściła ręce, następnie złożyła je i wzniosła oczy, była otoczona tak nadziemskim wdziękiem, że sędziwy biskup zdrztał ze wzruszenia. Dwie wielkie łzy spłynęły po jego policzkach. A gdy Bernadetta odeszła, zawołał — jeszcze pod wrażeniem doznanej emocji: „Czyście widzieli tę dziewczeczkę?”¹⁸

Po zbadaniu sprawy pozostało ogłosić prawdę.

W sobotę 18 stycznia 1862 roku, w uroczystość katedry Św. Piotra w Rzymie, biskup Laurence podpisał *Dekret zawierający orzeczenie w sprawie objawienia, które miało miejsce w lurdzkiej grocie.*

W tym pięknym dokumencie, dokładnie przemyślanym, ordynariusz Tarbes wpierw wykazał, że zjawiska nadprzyrodzone, bynajmniej nie będąc wyłącznym „udziałem pierwszych wieków chrześcijaństwa”, trwały — jak o tym świadczy historia — ze stulecia na stulecie, „na chwałę religii i dla zbudowania wiernych”; następnie przytoczył widzenia Bernadetty — „maluczkiej tego świata, 14-letniej dziewczynki, urodzonej w Lourdes, pochodzącej z ubogiej rodziny” — by wreszcie, przeszedłszy do spokojnego rozważania faktów, przytoczyć po kolei wnioski komisji badawczej i orzeczenia nauki.

„Jesteśmy przekonani — mówił dalej biskup — że objawienie jest nadprzyrodzone i Boże... Przekonanie nasze kształtowało się na świadectwie Bernadetty, lecz przede wszystkim według faktów, które zaszły, a które tylko działaniem Bożym można wyjaśnić...

Świadectwu Bernadetty, które samo w sobie jest ważne, nadają nowej siły, niejako je uzupełniają cudowne fakty, które od samego początku ustawicznie się wydarzają. Jeśli mamy sądzić drzewo według jego owoców, możemy powiedzieć, że objawienie opowiedziane przez tę dziewczynkę jest nadprzyrodzone i Boże, ponieważ pociągnęło za sobą nadprzyrodzone i Boże skutki”: nawrócenia — cuda łaski — uzdrowienia nadzwyczajne, natychmiastowe, trwałe, „które następują po użyciu wody pozbawionej wszelkich naturalnych właściwości leczniczych. Jakaż to siła dokonuje tych uzdrowień? Czy siła organizmu? Nauka, do której się zwrócono w tym względzie, odpowiedziała przecząco. Uzdrowienia te są więc dziełem Boga. A zatem mają związek z objawieniem; ono jest ich punktem wyjścia, ono wzbudza w chorych ufność. Między uzdrowieniami a objawieniem jest ścisły związek: objawienie jest Boże, ponieważ uzdrowienia mają charakter Boży.

Co pochodzi od Boga, jest prawdą. A zatem Zjawa nazywająca się Niepokalanym Poczęciem — co Bernadetta słyszała — jest Przenajświętszą Dziewicą!

Musimy tedy przyznać: Palec Boży jest tutaj!...

Mieszkańcy Lourdes, cieszcie się! Dostojna Matka Boga raczyła zwrócić na was swoje miłosierne oczy. Ona chce, by w pobliżu waszego miasta zbudowano Jej świątynię, gdzie będzie rozdawać dobrodziejstwa...

I wy wszyscy, najukochańsi nasi diecezjanie, otwórzcie serca nadziei: rozpoczyna się dla was nowa era łask... Odtąd w modlitwach i pieśniach będziecie dodawać imię Naszej Pani Lurdzkiej do błogosławionych imion Naszej Pani z Garaison, Poeylaün, Héas i Piétat..."¹⁹

A wreszcie klauzule oczekiwane:

„Art. 1. Orzekamy, że Maryja Niepokalana, Matka Boga, rzeczywiście objawiła się Bernadecie Soubirous 11 lutego 1858 roku i dni następnych, łącznie osiemnaście razy, w grocie massabielskiej, koło miasta Lourdes; że te objawienia mają wszystkie cechy prawdziwości i że wierni mają podstawy do uznawania ich za prawdziwe.

Sąd swój poddajemy pokornie sądowi Ojca Świętego, który ma poruczone rządy nad Kościołem Powszechnym.

Art. 2. Pozwalamy na kult Matki Bożej Massabielskiej w naszej diecezji...

Art. 3. Aby się dostosować do woli Najświętszej Dziewicy, kilkakrotnie wyrażonej podczas objawień, postanawiamy zbudować świątynię przy grocie na terenie, który się stał własnością biskupów diecezji Tarbes..."



Tak więc misja Bernadetty jako jasnowidzącej, świadka i posłanki Niepokalanej, została spełniona. Pasterz diecezji nie tylko wyznał publicznie swą wiarę w prawdziwość osiemnastu objawień, ale nadto podjął się spełnienia tego, czego dziewczynka żądała od kapłanów z polecenia P a n i. Teraz oto, skoro kult Matki Bożej Lurdzkiej jest dozwolony, lud chrześcijański z poważnym lub radosnym śpiewem na ustach będzie mógł podążać procesjonalnie do Massabielle, gdzie wkrótce stanie ta „kaplica”, do której Najświętsza Panna przywiązywała tak wielkie znaczenie.

CZĘŚĆ TRZECIA

POD WELONEM W NEVERS

Jakże się to stało, że Bernadetta, mając pociąg do życia zakonnego i swobodę pójścia za skłonnością serca, lata całe pozostała w Lourdes jako pensjonarka przytułku?

Pierwszą przeszkodą do odejścia była choroba. „Według oświadczeń s. przełożonej i s. Wiktoryny przeszła ona przez różnego rodzaju cierpienia: reumatyzm, plucie krwią i krwotoki, bicie serca, duszność a czasami tak gwałtowne ataki astmy, że trzeba ją było przenosić do okna, by mogła oddychać. W swym udręczeniu wołała: «Otwórzcie mi pierś!»”¹

Pierwsze tygodnie wiosny 1862 roku były zimne. Pod koniec marca Bernadetta rozchorowała się na dobre. Doktor Balencie, lekarz przytułku, stwierdza zapalenie płuc. Jednakże choroba zdaje się dosyć szybko ustępować. Wielką Niedzielę, 20 kwietnia, rozjaśniło piękne słońce: przechadzka dobrze robi rekonwalescentce. Ona zaś uśmiecha się anielsko: wszak siostry mówią o zaprowadzeniu jej do groty. Jakoż istotnie przybywa tam, ciepło ubrana. Niestety, po powrocie nastąpiło pogorszenie. Jakież wyrzuty robią sobie siostry, że nie usłuchały raczej swego rozumu niż serca tego dziecka. W poniedziałek, 28 kwietnia, lekarz nie tak poważnego niepokoju. Uczennice przychodzą modlić się u łoża drogiej towarzyszki, o której im powiedziano, że jest umierająca. „Najświętsza Panno! — wołają rodzice ze łzami — stracimy naszą Bernadettę!” Nadbiega ks. Pomian. Jego penitentka ledwie oddycha. Udziela jej ostatniego namaszczenia i wkłada do ust cząsteczkę Hostii.

Bernadetta otwiera oczy. „Wody z groty” — szepcze błagalnym głosem. Po wypiciu kilku kropel woła z radosnym westchnieniem: „Jestem uzdrowiona!... Nieco później wyjaśnia: „Uczułam, jakby góra spadła mi z piersi.”

Doktor Balencie miał ponownie przybyć do przytułku nazajutrz rano. Nie bardzo wierzył, że zastanie ją przy życiu. Prowadzą go do salonu... zapewne by oznajmić jej śmierć — myśli sobie doktor. Lecz któż to go przyjmuje? Bernadetta we własnej osobie. Nie mógł uwierzyć swym oczom. „Czy używała lekarstwa, które jej przeznaczył?” — zapytał. Gdzież tam! ani go dotknęła².

Uzdrowiając ją z zapalenia płuc, Matka Boża Lurdzka pozostawiła jej astmę, jako „narzędzie pokuty”, codzienny krzyż. W październiku posłano ją do cieplic w Bagnères-de-Bigorre, gdzie siostry z Nevers mają klasztor. Tutaj wśród gór „o tej porze roku 1862 powietrze było nadzwyczaj łagodne”. Okoliczne szczyty wznosiły się — „piękniejsze niż kiedykolwiek — w całym blasku zachwycającej świeżości, skąpane w jesien-
nym słońcu”³.

17 października Bernadetta dowiaduje się, że chce się z nią widzieć ks. Jaquet, biskup nantejski, który, również dotknięty chorobą piersiową, przebywa na kuracji w tym samym mieście. Dnia poprzedniego planował pielgrzymkę do Lourdes, lecz nagle podniesienie się temperatury udaremniło zamiary. Ale oto w zamian za tę ofiarę dane mu będzie porozmawiać z samą jasnowidzącą⁴.

Bernadetta osłupiała na widok tej twarzy barwy wosku, tych czarnych zapadłych oczu, w których można było wyczytać energię i dobroć. Codziennym przedmiotem rozmyślań biskupa było cierpienie. Gdy z ust Bernadetty usłyszał słowa Niepokalanej wzywające do pokuty za grzeszników, zachęcił ją, by z miłości ku Bogu ofiarowywała swoje cierpienia w tej intencji. Ks. Jaquet nosił pierścień i krzyż bp Affre'a, które ten, raniony śmiertelnie na barykadzie 25 czerwca 1848 r., oddał mu przed zgonem. Krzyż ten bp Jaquet dał do ucałowania Bernadecie.

Gdy podczas wizyt, które odbiera w przytułku, zapyta ją ktoś „o największe wydarzenie jej życia”, o objawienia, Bernadetta, zazwyczaj tak wesola, natychmiast poważnieje⁵, lecz jej odpowiedzi nigdy nie są ani chwiejne, ani niejasne. Jeśli następnie rozmowa zejdzie na temat jej przyszłości, ona gestem lub słowem daje do zrozumienia, że nic o tym nie wie. Niemniej jednak panie, a zwłaszcza zakonnice głośno wypowiadają przed nią swe myśli: ta, co miała szczęście widzieć Najświętszą Dziewicę, nie może żyć w świecie. O, ileż to mniszek pragnęło mieć tę perłę w swoim domu klasztornym!

„Wiem to od samej Bernadetty — opowiadała s. Wincenta Garros (dawna Julka) — że pewnego razu przybyły do Lourdes siostry miłosierdzia i przymierzały jej swój kornet. Lecz ona go nie chciała. Także siostry Krzyża Świętego próbowały ją przywabić do siebie. Włożyły jej swój długi kornet. Jedynym rezultatem ich zabiegów była odpowiedź: »Nie chcę tego tunelu«⁶ Pewien karmelita z Bagnères-de-Bigorre — uzupełnia s. Aurelia Gouteyron — rzekł jej z całą prostotą: — „Panienka powinna zostać karmelitanką.

— Bardzo kocham Karmel — odpowiedziała mu. Ale jeśli obiorę stan zakonny, będę chciała wstąpić do zgromadzenia, którego regułą mogłabym zachować.

— Ależ, moje dziecko, przełożeni mogą udzielić dyspens.

— Ojczy, ja nie chcę dyspens; chcę zachować regułę bez wyjątków.”⁷

W tym czasie skłaniała się — któż by uwierzył? — do cysterek. Ja-

kież są motywy tej nieoczekiwanej sympatii? Przede wszystkim osobowość egzaltującego i ujmującego ją św. Bernarda, który wspólnie z Najświętszą Maryją Panną jest jej patronem chrzestnym. Byłaby więc tutaj u Bernadetty kwestia raczej uczucia niż woli. A następnie w tym czasie, kiedy jej skupienie i spokój były na lasce każdego przychodnia, ona tak gorąco pragnęła samotności i milczenia! Może w refektarzu przytulku czytano głośno historię reformy zakonu cysterskiego. W każdym razie jej kuzynka Joanna Védère, która się skrycie nosiła z myślą wstąpienia do trapistek, była bardzo zdumiona, gdy pewnego dnia roku 1861 Bernadetta jej oświadczyła, że w czarno-białym habitcie zamierza zachowywać regułę św. Benedykta⁸.

Wiosną 1862 roku przybyła pożegnać się z Bernadettą daleka krewna, Magdalena Cassou, udająca się z trzema innymi dziewczętami do Nevers.

— „Bernadetko — zapytała Magdalena — powiedz, czy i ty wkrótce do nas nie przybędziesz?

— Mam być zakonnica — brzmiała odpowiedź — lecz nie wiem, w jakim zgromadzeniu. Najświętsza Panna mi tego nie powiedziała. Czekam.”⁹

A może wybór i decyzję zdała na kogo innego? Przymuszenie to nie wydaje się słuszne. Na razie, uznając się za „niezdatną do życia klasztornego z powodu braku zdrowia”, ukrywa w głębi duszy swoje pragnienie¹⁰.

„Zresztą siostry lurdzkie mają zakaz mówienia jej o wstąpieniu do klasztoru.”¹¹ „Zrozumiałam — oświadczyła matka Henryka Fabre — że nasze przełożone wcale się nie starały o przywabienie Bernadetty, a nawet zupełnie im nie zależało na tym, by ją mieć. Zawsze byłam przekonana, że racją ich postępowania była obawa odpowiedzialności, jaką by wzięły na siebie, przyjmując Bernadettę, która była obdarzona nadzwyczajnymi łaskami i która by z konieczności ściągала licznych odwiedzających do miejsca swego pobytu. Prawdopodobnie także to, co się stało z Melanią w następstwie objawień w La Salette, budziło nieufność przełożonych do Bernadetty.”¹²

Bernadecie zaś, pozostającej w dużych wątpliwościach, trzeba było wsparcia matczynego serca. Niestety w roku 1862 matka Urszula Fardes, przełożona, która szczerze ją kochała, przeniosła się z Lourdes do Puéchabon, w departamencie Hérault. Jej następczyni, matka Aleksandryna Roques, tak naprawdę dobra, jeszcze dostatecznie nie знаła ulubienicy Matki Najświętszej, tym bardziej że Bernadetta, obawiając się, czy przełożona zechce ją słuchać, gdy będzie jej mówić o tak osobistych aspiracjach, miała jej otworzyć swe serce dopiero w wiele miesięcy po jej przybyciu.

•

Z upływem lat Bernadetta widzi — ze zrozumiała radością, lecz nie czerpiąc stąd najmniejszej pożytki dla miłości własnej — jak znika cha-

os w Massabielle. Z groty usunięto nawarstwienia żwiru i kamieni, dzięki czemu — jak 22 stycznia 1862 roku ks. Peyramale pisze do bp Laurence'a — sanktuarium to wyolbrzymiało.

W lutym 1861 roku biskup nabył od miasta nadrzeczną okolicę Massabielle. Czyż bowiem nie należało niezwłocznie zbudować „kaplicy”, której żądała Niepokalana?¹³

Wprawdzie brakowało pieniędzy, ale biskup liczył na wspaniałomyślność ludu chrześcijańskiego; brakowało też miejsca, ale i na to znalazła się rada: pomysłowy architekt je utworzy.

Hipolit Durand, budowniczy diecezjalny, odrzucił pierwszy plan, według którego grota miała być ujęta w ściany kaplicy, a powziął śmiałą myśl — którą początkowo uważano za niewykonalną — ukoronowania skały objawień budowlą harmonizującą z okolem lekkich wzgórz, której wieża wznosiłaby się na sto metrów ponad Gave. Tym sposobem grota pozostałaby taka, jaką uświęciły wizje Bernadetty, dostępna szumowi drzew i szmerowi potoku, blaskom słońca i światłu gwiazd.

Dnia 14 października przystąpiono do przygotowywania terenu pod przyszłą świątynię. Zatrudnionych jest sześćdziesięciu robotników. Jedni usuwają ziemię aż do żywej skały, inni ścinają wierzchołek Massabielle: tutaj stanie przyszła bazylika. Bernadetta, gdy przychodzi do groty, cieszy się, że wśród innych robotników spostrzega swego ojca. Franciszek Soubirous jest dumny, że przynajmniej jako zwykły robotnik może się przyczynić do wzniesienia wspaniałego dzieła na cześć Niepokalanej. Oto od strony północnej, gdzie zbocze jest strome, wznosi się już wysoka ściana podwałowa.

Po całej okolicy rozlega się echo wybuchów ładunków dynamitu. Bernadetta czasem zadrzy, lecz jest to drżenie radości. W księdzu Peyramale'u, który często bywa na miejscu prac, huk i zapach prochu wywołują nastroje poetyckie i wojenne. Dowodem tego list z 30 października 1863 r. do ks. biskupa:

„Od kilku dni ma się wrażenie, że się jest w oblężonym Sewastopolu albo na błoniach Magenty. Echa eksplozji min, rozbrzmiewające wśród gór, świadczą, że dzielnie się pracuje dla Królowej Niebios. Od detonacji dygoce ziemia, niebo drży z radości.”

W godzinach popołudniowych 17 września 1863 r. przybywają z proboszczem do przytułku dwaj przybysze, mianowicie: ks. Blanc, kapelan panien Lacour w zamku Montluzin, w Chasselay koło Lyonu, oraz Józef Fabisch, profesor szkoły sztuk pięknych w Lyonie. Artysta wyjaśnia matce przełożonej, że panie Lacour za zgodą biskupa „pragną, żeby na miejscu objawień stała figura Najświętszej Panny z białego marmuru”¹⁴. Wykonanie tej figury powierzyły właśnie jemu, twórcy pięknej statuy Matki Bożej Saletyńskiej. Lecz przezorny artysta chce w pierw otrzymać wskazówki Bernadetty.

„Była chwila przerwy między zajęciami szkolnymi — opowiada Fa-

bisch. Gdyśmy w rozmownicy czekali na dziewczynę, ks. proboszcz powiedział nam, że ona właśnie całą duszą korzystała z wytchnienia, হাসając z uczennicami jak dziecko.”

Te nieoczekiwane słowa proboszcza budzą w artyście pewne zaniepokojenie: co poważnego da się wydobyć z tej opóźnionej pensjonarki? Zresztą kto wie...

„Lecz oto wchodzi w towarzystwie jednej z zakonnicek. Istotnie, nie wygląda na dziewczynę dwudziestoletnią, lecz na dziecko lat dwunastu... Cała uwaga zwraca się na jej twarz, która aczkolwiek nie ma tej regularności rysów tak poszukiwanej przez rzeźbiarzy, to jednak ma coś sympatycznego, jakiś urok zwracający się do najczystszych i najpogodniejszych władz duszy, wyraz tak słodki, tak prostoduszny, że zyskuje szacunek i zaufanie.”

Dotychczas mistrz obserwował tylko zewnętrzny wygląd jasnowidzącej: wkrótce ujawni mu się jej piękno mistyczne. Pyta się ją o wzrost, odzież, splendor Zjawy. Prosi wreszcie o odtworzenie jej postawy i gestów z chwili, w której mówiła: „Jestem Niepokalane Poczęcie.”

„Dziewczyna wstała z wielką prostotą — pisze dalej Fabisch. Złożyła ręce i wzniosła oczy ku niebu...”

Lecz ani Fra Angelico da Fiesole, ani Perugino, ani Rafael nigdy nie wykonali nic tak słodkiego a równocześnie tak głębokiego jak oczy tego dziewczęcia...

Nie, dopóki żyć będę, nie zapomnę tego zachwycającego wyrazu. Widziałem we Włoszech i gdzie indziej arcydzieła wielkich mistrzów, tych, co świetnie umieli oddać porywy miłości Bożej i ekstazy: w żadnym z nich nie znalazłem tyle słodczy...”

Pod koniec listopada proboszcz lurdzki otrzymał z Lyonu fotografię makiety. Przedłożono ją Bernadecie, która wskazała bardzo rozumne poprawki, a szczególnie radziła, by „całość odznaczała się większą pełnością”.

„Ja, co nie miałem szczęścia widzieć Niebios Królowej — pisze bez przesadnego pochlebstwa ks. Peyramale do rzeźbiarza Fabischa — uznaję model Pana za doskonały. Z Bernadettą rzecz się ma inaczej. Dlatego wątpię, czy na widok Pańskiego posągu — aczkolwiek bardzo może go podziwiać — zawoła z uniesieniem: to nie Ona! Proszę się jednak tym nie zrażać: Pańska figura niemniej jednak będzie piękna, a to uczucie Bernadetty będzie nowym dowodem prawdziwości objawień.”¹⁵

30 marca 1864 r. przybył artysta do Lourdes z dziełem ukończonym.

Posąg ten, wykuty z czystego kararu, „wiele zyskuje na piękności, gdy się go ogląda z bliska” — napisał pewien znawca sztuki, który miał możliwość patrzeć nań w ten sposób. „Z oddali biel marmuru... daje całości przykre wrażenie impastowania.” Lecz dla bliskiego obserwatora, jeśli „twarz — chociaż słodka — i postawa — chociaż skupiona i ekstatyczna — uwydatniają pewną sztywność, którą jeszcze zwiększa pozycja przedramion i ręce, złożone — jak się wydaje — za nisko... to jednak suknia,

umarszczona wokół szyi i przepasana w talii, jest arcydziełem delikatności, a biały welon, zarzucony na głowę i owijający niemal całą postać, jest tak lekki, że — zdaje się — najslabszy wietrzyk będzie nim powiewał”¹⁶.

Poświęcenie figury ustalono na poniedziałek po niedzieli przewodniej, 4 kwietnia — dzień, w którym tego roku Kościół obchodził uroczystość Zwiastowania NMP¹⁷. Niestety, ani ksiądz proboszcz, ani jasnowidząca nie mogli w nim wziąć udziału, oboje bowiem byli poważnie chorzy.

Po południu bp Laurence wyprowadził z kościoła procesję dwudziestu tysięcy osób. Ulice były wspaniale udekorowane: girlandy bluszczu lub bukszpanu łączyły wszystkie domy jeden z drugim; wszystkie ściany zawieszono dywanami, na których iskrzyły się gwiazdy.

Przybywszy pod dziką różę, biskup zdjął welon zasłaniający figurę, którą następnie okadził. Wierni pozostawali w milczeniu: jedynie modlitewny nastrój powstrzymywał ich od głośnych objawów entuzjazmu.

Teraz kaznodzieja, ks. Alix, kapelan honorowy kościoła Św. Genowefy w Paryżu, stojąc na katedrze z zieleni, komentuje z udzielającym się wzruszeniem ten tekst *Pieśni nad pieśniami*, który zresztą pierwszy musiał mu przyjść na myśl: „Powstań — mówi Oblubieniec do Oblubienicy — powstań, gołąbko moja, która przebywasz w szczelinach skalnych... Ukaż nam oblicze swoje i daj usłyszeć głos swój”¹⁸.

Jeden tylko człowiek, stojący wobec tej rzeszy, ma zmarszczkę troski na czole — to twórca dzieła:

„Muszę się zwierzyć — mówi Józef Fabisch — z jednego z największych zmartwień artysty, jakie kiedykolwiek miałem. Jest to zmartwienie, które mnie ogarnęło, gdy ujrzałem swoją figurę na miejscu, oświetloną światłem odbitym idącym od dołu ku górze i zupełnie zmieniającym jej wyraz. Ach, zrozumiałem wówczas, że starożytna i średniowieczna rzeźba wielobarwna miała rację bytu.”¹⁹

A jaka była ocena jasnowidzącej? Ks. Peyramale trafnie ją przewidział: Dziecko widziało to, „czego serce ludzkie pojąć nie zdoła”²⁰. Artysta wcale się temu nie dziwił: schylił głowę. Bernadetta po dojściu do zdrowia z radością udała się do grotty. Uklękła na tym samym miejscu, co ongiś, i odmawiając koronkę, długo się wpatrywała w białą figurę.

— „No, co o tym powiesz? — zapytano jej potem.

— Ach! to bardzo piękne — odpowiedziała — lecz to nie *Ona*.”

A gdy później zwrócono się do niej z zapytaniem: „Czy, patrząc na tę figurę, można sobie wyobrazić piękno *P a n i*”, ona odpowiedziała żywo: „Ach, nie! Różnica jest taka jak między niebem a ziemią.”²¹

Rankiem 25 września 1863 r. zaszło niespodziewane zdarzenie w przytułku lurdzkim.

Jeszcze trwają wakacje, Bernadetta obiera jarzyny w kuchni. Nagle słyhać dzwonek u furty. Za chwilę wpada do kuchni jedna z sióstr i woła: „To biskup z Nevers. Bernadetto, idź szybko oznajmić dzwonieniem przybycie ekscelencji.” Bernadetta sumiennie wywiązuje się z obowiązku... „Dosyć, dosyć, dosyć!” powtarza biskup z uśmiechem gwarowy rozkaz matki przełożonej, która go prowadzi. A nasza Bernadetta, ośmieszona tym uśmiechem, wraca do kuchni, „śmiejąc się serdecznie”²².

Biskup Teodor Augustyn Forcade miał wtedy 47 lat. Był synem urzędnika prefektury w Wersalu. Do stolicy biskupiej doszedł drogą niezwykłą. Przez rok był wikarym-administratorem parafii Sucy-en-Brie. Następnie wstąpił do seminarium Misji Zagranicznych w Paryżu, skąd wysłano go na japoński archipelag Riu-Kiu. Wkrótce po wylądowaniu uwięziono go. Gdy tylko został uwolniony, 16 marca 1846 roku Grzegorz XVI mianował 30-letniego kapłana biskupem Samosu i wikariuszem apostolskim Japonii. Ponieważ nie wolno mu było udać się do swego wikariatu, posłano go do Hong-Kongu z tytułem prefekta apostolskiego. W roku 1853 został mianowany biskupem Gwadelupy, a w osiem lat później powołany na biskupa Nevers.

Był to dostojnik o szlachetnym profilu, majestatycznym czole, oczach wyrażających dobroć. Prawy, energiczny, był on „człowiekiem z charakterem”. Był on też, prawdę mówiąc żywy i „czasem — pisze jego biograf — brakowało mu cierpliwości... Żadnej pozy, żadnej sztuczności, tylko uprzejmość i szczerłość... W codziennym obcowaniu był niezwykle wesoly. Lubił dowcipy i można mu było nawet zarzucić, że czasem posuwał się nieco za daleko.”²³ Człowiek modlitwy, z wielką regularnością odprawiał swoje ćwiczenia duchowne i wiódł życie bardzo surowe.

Ponieważ kongregacja sióstr z Nevers była wówczas tylko na prawach diecezjalnych, bp Forcade był jej przełożonym, i to bardzo aktywnym. Jej rozrost bardzo mu leżał na sercu. W tym też częściowo celu przybył do Lourdes.

Jeszcze nie przekroczył progu przytułku, a już podaje przyczynę swojego przybycia: „Pokażcie mi Bernadettę.” Tylko aby nie dać jej powodu do pomyślenia, że ona jest kimś bardzo ważnym, skoro biskup raczy ją odwiedzać, spotka ją niby przypadkowo podczas wizytowania zakładu. Istotnie, chodzi po salach, patrzy w lewo i prawo, zresztą wzrokiem dosyć roztargnionym. Wreszcie znalazł się u drzwi kuchennych. Przełożona puka; s. kucharka spieszy otworzyć. W kącie kominka jest ta dziewczyna, która niedawno tak zapalczywie pociągała za sznur dzwonka. Wygląda mizernie, ubrana ubogo, na głowie ma chusteczkę, zawiązaną z boku; siedzi na pniaku i nie przestaje skrobać marchwi. Matka Aleksandryna szepnęła do ucha ekscelencji: „Oto ona.” Po kilku słowach zachęty skierowanych do s. kucharki biskup zabiera się do odejścia. Bernadetta wstała, uklękła koło niej i ucałowała pierścień pasterski.

Łatwo zrozumieć, że bp Forcade nie zadowolił się tak przelotnym wi-

dzeniem. Po śniadaniu, podczas którego pomagała słudze biskupiemu usługiwać przy stole, wezwano ją do rozmownicy i pozostawiono samą z ekscelencją.

On zaś najpierw chciał, żeby jasnowidząca opowiedziała mu objawienia, następnie przedstawił jej swoje uwagi. Oto jego sprawozdanie z tej rozmowy: „Dziwię się łatwości, z jaką mnie rozumie i odpowiada na moje pytania. Wyraża się poprawną francuszczyzną jasno i zwięźle, wcale nie szukając słów; jest niewzruszona, nic nie wprawia jej w zakłopotanie. Ma się wrażenie, że wszystkie jej odpowiedzi, zawsze zadowolające, same wypływają jej z ust, poniekąd nieświadomie, jakby pod natchnieniem.”²⁴ Biskup z trudem tłumi podziw.

— A teraz, moje drogie dziecko — pyta ją — czym ty zostaniesz?

Po chwili wahania (Bernadetta odpowiedziała):

— Niczym.

— Jak to niczym? Trzeba przecież coś robić na tym Bożym świecie.

— No, wszak jestem u kochanych sióstr.

— Bez wątpienia, lecz tutaj jesteś i możesz być tylko przejściowo.

— Chętnie zostaną tu na stałe.

— Łatwo to powiedzieć, lecz trudno urzeczywistnić.

— Dlaczego trudno?

— Dlatego że nie jesteś siostrą. A przecież aby być ostatecznie przyjętą do społeczności sióstr, trzeba zostać jedną z nich... Tutaj niczym nie jesteś, w tym charakterze nigdy nigdzie nie można zagrzać miejsca.”

Pierwszy to raz przedstawiono naszej młodej pensjonarce niepewność jej sytuacji. Zamyśliła się i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Po chwili milczenia biskup podjął rozmowę:

— „Nie jesteś już dzieckiem. A może byś chciała znaleźć w świecie jakiegoś odpowiedniego przyjaciela życia?”

Odpowiedź była żywa i cięta:

— „Ach, cóż znowu? Nie, co do tego to nigdy!

— No, to dlaczego nie miałabyś zostać siostrą? Czy nigdy nad tym nie myślałaś?

— Ekscelencjo, to niemożliwe. Ekscelencja dobrze wie, że jestem uboga: nigdy bym nie zebrała koniecznego posagu.

— Lecz, moje dziecko, czasem przyjmuje się do klasztoru dziewczęta ubogie bez posagu, jeśli mają prawdziwe powołanie.

— Ale, Ekscelencjo, panienki, które Wasza Dostojność przyjmuje bez posagu, mają jakiś zawód, są wykształcone, więc prędko się odslugują... Ja zaś nic nie wiem i do niczego się nie nadaję.

— Och! Do niczego się nie nadaję! — zawołał biskup. — Przed chwilą w kuchni przekonałem się, że nadajesz się do czegoś. W klasztorze przełożone będą umiały cię wykorzystać. Zresztą w nowicjacie uzupełni się twoje wykształcenie.”

Uśmiech powrócił na usta Bernadetty.

— „No — kończył kapłan — pomyśl o tym, poradź się spowiednika, a nade wszystko proś Najświętszą Dziewicę, która raczyła cię się objawić, by ci wyjednała u swego Boskiego Syna światło i łaski, których ci potrzeba. A następnie, jeśli ci serce będzie dyktować, poprosisz matkę przełożoną, by powiadomiła o tym postanowieniu matkę generalną albo mnie, a ja resztę biore na siebie.

— Skoro tak, Ekscelencjo, to ja będę nad tym myślała, lecz jeszcze nie jestem zdecydowana.”²⁵

Z Lourdes bp Forcade udał się do Tuluzy, gdzie miał przewodniczyć rekolekcjom, które ks. Sourrieu, przysły kardynał-arcybiskup Rouen, miał głosić siostronom przełożonym z południowej Francji. Został tam przełożoną generalną z Saint-Gildard, matkę Ludwikę Ferrand, i jej sekretarkę, matkę Józefinę Imbert.

— „No więc, Matko, chcecie mieć Bernadettę? — rzekł biskup do przełożonej generalnej w toku poufnej rozmowy.

— Ekscelencjo — odparła matka Ludwika — Bernadetta nie ma zdrowia: będzie stałą pacjentką infirmerii... A zresztą ona niewiele umie. (Co do tego ostatniego punktu — zauważyła matka Maria Teresa Bordenave — przełożona generalna myliła się: Bernadetta była bardzo zręczna, wykonywała delikatne prace hafciarskie, a nadto była rozumną i troskliwą pielęgniarką).

— Zawsze jednak — odparł biskup — będzie mogła skrobać marchew, tak jak to czyniła na moich oczach w Lourdes... Matka wie, że wiele rodzin zakonnych pragnie ją mieć.

— Dobrze więc — zakończyła przełożona generalna — przyjmujemy ją, jeśli o to poprosi.”²⁶

W przytułku lurdzkim rozmowy o wizycie dostojnego przełożonego stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie ucichły zupełnie. Było to celowe: niech łaska Boża swobodnie pracuje w duszy Bernadetty. Lecz ona cierpiała w swym osamotnieniu. Gdyby tam była matka Urszula Fardes — myślała sobie — miałyby u niej światło i pomoc. Lecz pisząc do niej, mogła tylko ogólnikowo mówić o swoich troskach, gdyż listy jej przechodziły przez ręce nowej przełożonej.

„Korzystam z nadarzającej się sposobności, by porozumieć się z Przewielebną Matką — pisze do niej 2 maja 1864 r. Proszę mi wierzyć, Droga Matko, jest to dla mnie wielkie szczęście. Byłoby ono jeszcze większe, gdyby Pan Bóg mi dał łaskę widzenia się z Matką. Moje biedne serce dużo by miało Jej do powiedzenia...”

Co prawda, Bernadetta znajdowała przelotnie powiernicę w łagodnej matce Bernardzie Berganot, przełożonej domu w Lectoure, która czasem przyjeżdżała do Lourdes. Zakonnica ta rozumie młodą pensjonarkę, która czasem nazywa ją cicią i która spoufala się z nią.

„Myślę o Tobie, Droga Matko — napisze do niej dwa lata później Bernadetta — i lubię wspominać dzień, kiedy to mówiłaś mi w drwalni

o moim powołaniu. Ileż to razy przypominam sobie tę krótką rozmowę! Zdaje mi się, że jeszcze widzę tę scenę: Mateczka siedzi na jednym stopniu schodów, a ja na drugim.”²⁷

Niestety, już Bernadetta się nie spotyka z tą czcigodną przyjaciółką: w maju 1864 roku mianowano matkę Bernardę przełożoną pensjonatu w Sens — a to tak daleko! Komuż teraz się zwierzy? Bogu.

Jakoż istotnie, wolna od wszelkiego nacisku z zewnątrz, modli się i rozważa. Myśli jej coraz bardziej zajmuje kongregacja siostr z Nevers, która tak korzystnie wpłynęła na ukształtowanie jej umysłu i serca. Bernadetta żywi dla tych siostr „to uczucie głębokie i jakby wrodzone, które w nas naturalnie powstaje dla osób i rzeczy znanych i zawsze kochanych... Wszystko to oczywiście nie zdołałoby wywrzeć decydującego wpływu na jej powołanie. Lecz — jak to się zdarza w dziełach Bożych — wybór Bernadetty przygotowany został przez harmonijny spłot wskazówek Opatrzności.”²⁸

Wreszcie w dzień Wniebowzięcia sama zwraca się do matki Aleksandryny i oświadcza jej: „Droga matko, postanowiłam zostać zakonnica. Jeśli wasza czcigodna matka generalna zechce mnie przyjąć, z radością wstąpię do waszego zgromadzenia.”²⁹

Jaka w tej chwili była reakcja matki Aleksandryny? Czy przycisnęła po macierzyńsku to biedne maleństwo do serca? Nie wiemy. Faktem jest tylko, że odtąd pozwoliła jej brać udział w życiu siostr, tak jakby już w pewnym stopniu należała do ich kongregacji. Zauważywszy w niej „prawdziwe zamiłowanie i szczególną zdolność do delikatnego szycia i haftu”, powierzyła jej wykonanie alby. Wprawdzie sama kierowała pracą, lecz „alba była tak piękna — pisze s. Wiktoryna Poux — że podziwiała ją nasze najzręczniejsze siostry.” Stwierdziwszy nadto, że „Bernadetta byłaby świetną pielęgniarką, gdyż miała nie tylko dobre serce, co jest konieczne, lecz także zmysł porządku i niemałą zręczność”³⁰, przełożona zaprowadziła ją do sal chorych, gdzie ze szczególnym upodobaniem posługiwała „pewnej biednej chorej na raka kobiecie pokrytej ranami”.

Niestety, czemuż ta droga matka nie mogła ograniczyć liczby ciekawskich, którzy — często za zgodą ks. Peyramale’a — napływali do przytułku?! Są tacy, co „czekają przed furtą od godziny, w której klasztor zażywa jeszcze nocnego spoczynku. Siostry muszą ją wykradać na posiłki, zwłaszcza w dni świąteczne, kiedy to aż do wieczora należy ona do przybyszów.”³¹ Co ona z tego powodu cierpi, matka przełożona może się dowiedzieć choćby tylko z jej skąpej korespondencji. Oto skarżąc się otwiera swe serce ks. Boninowi, młodemu kapłanowi z diecezji Poitiers, który pozyskał jej zaufanie:

„Zawsze muszę tylko biegać tam i z powrotem... Od pewnego czasu w klasie nie mogę zrobić. Całym moim zajęciem od rana do wieczora jest przyjmowanie pielgrzymów. To mnie męczy.

Proszę się modlić, żeby Bóg mnie zabrał albo żeby mi dozwolił co prę-

dziej wejść do grona Jego oblubienic. Jest to moje wielkie, choć niegodne pragnienie.”³²

Bernadetta długo się zastanawiała, zanim wybrała Nevers. Teraz z kolei — poinformowana przez przełożoną lurdzką o słabym zdrowiu kandydatki — nie spieszy się z jej przyjęciem matka Józefina Imbert, która po matce Ludwice Ferrand została przełożoną generalną. Ta zwłoka niepokoi biskupa z Nevers. Tym razem (było to pod koniec 1864 roku) jemu poruczono głosić w Tuluzie nauki rekolekcyjne siostronom przełożonym. Zażądał wyjaśnień od matki Józefiny: „Przyjmujemy ją — brzmiała odpowiedź — skoro tylko polepszy się jej zdrowie.”

Biedna Bernadetta! Zima z roku 1864 na 1865 i następująca po niej wiosna nie bardzo jej sprzyjały. Za każdym „podmuchem wiatru” — jak to ona sama mawiała — mogła się spodziewać nowego ataku. Na szczęście, piękne lato i ciepła jesień przyniosły jej ulgę i siły, tak że przełożona przytułku już się nie sprzeciwiała jej podróży do kilku innych klasztorów tegoż zgromadzenia, gdzie siostry gorąco pragnęły zapoznać się z nią.

Niestety, zdradza ją jej uroczy pirenejski strój. W Pau została rozpoznana, w chwili gdy matka Aleksandryna wprowadzała ją do klasztoru. W okamgnieniu — opowiada przełożona — „tłum ludzi obległ konwent... — Musiano zawezwać policję. Dziedziniec klasztorny był pełen matek, które chciały, by Bernadetta dotknęła ich pociech. Z pomocą policji zaprowadzono jaki taki porządek i Bernadetta mogła teraz krążyć i dotykać dzieci... W końcu, by zadowolić siostry z Oloron, Bernadetta musiała opuścić Pau, a udać się do nich.”³³

W pensjonacie św. Anieli w Oloron proszono ją, by w sali lekcyjnej powiedziała uczennicom i nauczycielstwu kilka słów o swoich objawieniach. Weszła tedy na katedrę i, uczyniwszy znak krzyża świętego, rzekła: „Zegnajcie się zawsze w ten sposób, bo tak przeżegnała się Najświętsza Panna podczas pierwszego objawienia.” Następnie zwięźle opowiedziała te objawienia. Wreszcie wyjęła koronkę i odmówiła ze wszystkimi różaniec. Jej pobożność zrobiła silne wrażenie, tak na uczennicach jak i na nauczycielstwie. Kilka dziewcząt przyznało się następnie, że w dniu tym nauczyły się kochać Najświętszą Pannę³⁴.

3 października rodzina Védère’ów uzyskała pozwolenie na zabranie Bernadetty na 3 dni do Momères. Z tej parafii pochodził ks. Peyramale, który akurat w tym czasie tam się znajdował, tam bowiem jego brat był lekarzem. Proboszcz lurdzki pozwolił Joannie zatrzymać Bernadettę „dłużej niż miesiąc, gdyby ona sama chciała”. Bernadetta zaś przyjęła gościnność i ten pobyt nad uroczymi brzegami Adouru przedłużył się „aż do końca listopada”. Do Momères przybyła ona 3 października około dziewiętej wieczorem. „Nazajutrz rano — opowiada Joanna Védère — wszyscy w naszej wsi, w wioskach sąsiednich i aż w Tarbes wiedzieli, że Bernadetta jest u nas. Przez te siedem tygodni czas spędzała na modlitwie,

czytaniu (lecz wolała rozmyślanie niż lekturę), pracy, odbieraniu wizyt; składała też sama wizyty, jeśli w poszczególnym wypadku radziłam jej to uczynić." Odwiedzała Joannę w jej szkole, „bardzo bowiem lubiła dzieci i była przez nie lubiana”³⁵.

Po powrocie musiała okupić zmianę powietrza napadami duszności. Lecz nie niepokoila się nimi zbyt. „Zdaje się, że ten wieczny kaszel, który mnie tak męczy, już znikł” — pisze 9 grudnia do matki Augustyny Ceyrac, przełożonej domu w Figeac, departamentu Lot, która jej przysłała skuteczne leki. „Spędziłam spokojną zimę” — z radością donosi matce Urszuli Fardes, przełożonej w Puéchabon. Wreszcie 21 kwietnia 1866 roku wikariusz generalny Tarbes zapewni, że „Bernadetta jest zdrowa, zawsze równie pokorna i prosta jak niegdyś”.

W tych warunkach przełożona przytułku pod koniec 1863 roku przyjęła ją — a także inną panienkę, Leontynę Mouret — jako postulantkę.

Bernadetta jest już w pierwszej klasie. Klasa ta ma najmniej uczniów, lecz cieszy się najlepszą opinią. Jest to tzw. pensjonat albo — jak już wyżej powiedziano — klasa pięciofrankowa, w której kształciły się córki najbogatszych rodzin lurdzkich. Córka młynarza Soubirous nie jest tym olśniona. Cieszyła się jednak, że może częściej się widywać z kilku koleżankami, które jak ona tęsknią za życiem zakonnym, a zwłaszcza z bratanką kapelana, Leontyną Pomian, która podąży za nią do klasztoru w Nevers.

W tym czasie nasza pensjonarka w ortografii robi tylko nieznaczne postępy, lecz pismo jej staje się coraz ładniejsze; jej wypracowania, ubarwione zwrotami krótkimi, wyrazistymi, niekiedy obrazowymi, stają się bardziej osobiste, własne. Teraz można by ją zaliczyć do pierwszych uczennic³⁶.

Gdyby nie to, siostry prawdopodobnie nie powierzyłyby jej okazyjnie dziewczynek najniższej klasy, by je nauczyła stawiać pierwsze litery i sylabizować wyrazy. Możemy przypuszczać, że zaimprovizowana nauczycielka była dosyć dobrą wychowawczynią tych maleństw. „Moje pieszczoszki — odezwała się do nich pewnego razu — byłybyście grzeczne. Wynagrodzę was za to: odmówimy wspólnie »Zdrowaś Maryjo.«”³⁷

•

Już rychło wybije godzina Opatrzności.

Wkrótce po Wielkanocy, która w tym 1866 roku przypadła 1 kwietnia, Bernadetta za radą matki Aleksandryny zwróciła się bezpośrednio do mistrzyni nowicjatu w Nevers, matki Marii Teresy Vauzou, chwilowo zastępującej chorą przełożoną generalną by jej przedstawić swe wielkie pragnienie oddania się Bogu pod welonem sióstr z Nevers.

List jej tak zachwycił matkę Teresę, że przeczytała go zebrany nowicjuszkom. „Rozumiecie, moje córki — dodała mistrzyni — jaka to ła-

ska i jaki zaszczyt dla nas przyjąć uprzywilejowane dziecko Maryi, i jak powinniśmy się za to odwdziżyć. Dla mnie osobiście jedną z najszczęśliwszych chwil mego życia będzie widzieć oczy, które widziały Najświętszą Dziewicę.”³⁸

Serdeczna, tkliwa i zachęcająca odpowiedź matki Vauzou wydała się Bernadecie wezwaniem z niebios: przepoiła jej serce tą nadprzyrodzoną radością, która w chwilach najcięższych prób będzie jej światłem i siłą; niejako objawiła jej, że w klasztorze, w tym ogrodzie zamkniętym, którego najpocześniejsze miejsce zajmuje krzyż, znajdzie jednak przedsmak szczęścia zapowiedzianego jej w Massabielle.

„Najdroższa Matko — pisze ona 28 kwietnia do matki Urszuli Fardes — dziękuję Ci najserdeczniej za gorące modlitwy, które raczyłaś za mnie zasylać do Pana. Jestem przekonana, że zostały one już wysłuchane, ponieważ spieszo mi bardziej niż kiedykolwiek opuścić świat i ponieważ teraz jestem zupełnie zdecydowana. Zamierzam wkrótce odjechać.

O moja Najdroższa Matko, jakże tęsknię za tym pięknym dniem, w którym będę miała szczęście rozpocząć nowicjat, to bowiem musi być niebo na ziemi.”

Wielka radość jeszcze ją spotka przed odjazdem do Nevers.

Krypta stanowiąca podbudowę przyszłej bazyliki została ukończona. W wigilię Zielonych Świątek, 19 maja 1866 r., bp Laurence poświęcił jej pięć ołtarzy i odprawił w niej Mszę św. Inaugurację pięknej świątyni ustalono na poniedziałek świąteczny. Dzień ten zapowiadał się obiecująco: tłumy wiernych ciągnęły z bardzo daleka. Około 15 kwietnia otwarto kolej żelazną z Bordeaux do Lourdes. Nadchodzi właśnie pociąg specjalny, cały przepełniony, mimo że musiał „zostawić na stacjach tysiące ludzi”³⁹.

Ale czy ta rzesza zmieści się bezpiecznie w pobliżu Massabielle? Ks. Peyramale pomyślał o tym. „Dla ułatwienia pielgrzymom dostępu — pisze jeden z historyków — usunięto bloki skalne, teren wyrównano i osuszono, zbudowano długą i szeroką rampę granitową, która ma służyć za wał ochronny przeciw wylewom rzeki.”⁴⁰ Na miejscu starego koryta kanału Savy, którego bieg zmieniono, ciągnie się teraz wzdłuż Gave prawdziwy bulwar, wybiegający daleko poza grotę. Tę zaś na szczęście pozostawiono taką, jaką wyrzeźbił Stwórca, w całym jej „dzikim i religijnym pięknie” — i owszem: zabezpieczono ją żelazną kratą. Postawiono kilkuramienny drewniany świecznik, w który pobożni wkładają świece. Cudowne źródło wpływa do małej marmurowej budowli, na której wyryto czerwonymi literami: *Napij się ze źródła i umyj się w nim.*

Bernadetta niemal gubi się wśród tych wszystkich przemian. Na zapytanie pewnego księdza, w którym miejscu klęczała podczas pierwszego objawienia, odpowiedziała: „Kiedy wszystko tak tu zmieniono, że trudno mi się rozpoznać. Tam byłam.”⁴¹

Kaznodzieja dnia tego, o. Duboé, misjonarz z Garaison, zostawił entuzjastyczny opis ceremonii:

„Wchodząc do miasta, zauważało się nastrój świąteczny. U wylotu szerokich alei stały bramy tryumfalne, girlandy, a flagi przesłaniały domy; wszędzie były widoczne oznaki uwielbienia Maryi. Miasto tonęło w kwiatach.

Pochód uformował się w kościele parafialnym. Poprzez szeroki szpaler pątników, wspaniale udekorowanymi ulicami postępuje ku grocie ze śpiewem rozstawionych chórów niekończąca się procesja rozmodlonego ludu. Teraz wchodzi na zbocze Massabielle...

Na początku kroczą mężczyźni. Za nimi urocza droga wznosząca się łagodnie czterema pętlcami wśród zieleni skalnego stoku jaśnieje falującą wstęgą ubranych w biel dziewcząt. Wstęgę tę zdobi szlak licznych członkiń kongregacji Dzieci Maryi...”⁴²

Bernadetta, tym razem ciesząca się dobrym zdrowiem, szła wśród nich. Ta niesłychana uroczystość — to uwieńczenie jej misji; ten tryumf Matki Bożej Lurdzkiej — to rezultat jej świadectwa, jej, małej Soubirous! Zaiste, nie trzeba było więcej, by odurzyć każdą zarozumiałą, młodą dziewczynę. Lecz ona, jedyna jasnowidząca, nic nie odnosiła do siebie, myślała tylko o chwale Zjawy, cieszyła się, że znika w Jej blasku. „Spuść-że oczy! — napomina Julię Garros, która obok niej idzie w procesji. — Nie mogą: wpadł mi piasek, który mi dokucza. — To niedobrze: Bóg i Najświętsza Panna widzą ciebie.”⁴³ Oto dowód, do jakiego stopnia świat ją nie interesował. Szła cała zajęta swym wewnętrznym szczęściem.

Ludzie z Lourdes wskazywali ją w przejściu. W ubiorze dziecka Maryi — opowiada Joanna Védère, która przybyła z Momères na tę uroczystość „była piękna jak anioł”. Podziwiano ją pod tym białym welonem i w białej sukni, które przypominały statwę z grotty. Wśród tłumu słyhać było wołania: „Och, jak śliczna święta!... śliczna dziewica!... Jaka ona szczęśliwa!”⁴⁴ Ona zaś tego nie słuchała. Kilka razy ludzie, opuściwszy swe miejsca, otaczali ją. „O mało jej nie uduszono; obcinano jej welon. Zakonnice musiały ją otoczyć, w przeciwnym bowiem razie jej ubranie rozebrano by na relikwie. Kryła się między towarzyszki” i — nie mając innych francuskich słów na wyrażenie swego zdziwienia na widok wskazywania na siebie w sposób tak niedyskretny — mówiła: „Jacyż oni głupi!”⁴⁵

Między grotą a Gave wzniesiono ołtarz, przy którym bp Laurence odprawiał pontyfikalną Mszę św. Z miejsca, gdzie ją zaprowadzono, Bernadetta, nad którą czuwała matka Urszula Court, przełożona z Bagnères, mogła równocześnie widzieć i ołtarz, i statwę Niepokalanej. „Na podniesienie — opowiada o Duboé — nastąpiła głęboka cisza, tylko Gave szmerła. Była to wielka godzina tego wielkiego dnia, chwila podobna do chwil objawienia. Syn Maryi zstępował tam, gdzie zstąpiła Jego Matka. Przybył na Jej zaproszenie. To dla Niego Ona żądała od ludzi zbudowa-

nia świątyni. Teraz brał ją w posiadanie, zakładał w niej swe mieszkanie i dawał świadectwo Niepokalanemu Poczęciu.”⁴⁶ Podczas tej Mszy świętej Bernadetta przystąpiła do stołu Pańskiego⁴⁷.

Tymczasem nadciągały chmury, zanosilo się na burzę. O. Duboé z bardzo długiego przemówienia, które przygotował⁴⁸, wygłosił zaledwie kilka początkowych zdań, po czym tłumom zebranych po obu brzegach Gave poddał kilka okrzyków: „Niech żyje Matka Boża Lurdzka!... Niech żyje Pius IX, papież Niepokalanego Poczęcia!... Niech żyje biskup, niech żyje proboszcz lurdzki!...” Rzesza chętnie by też wiwatowała na cześć Bernadetty. Kaznodzieja byłby o niej kilkakrotnie mówił, nie wymieniając jej imienia. Tak się jednak złożyło, że ani nie wspomniano o niej, z czego bardzo się cieszyła.

Burza nie wybuchła nad Lourdes. Iluminacje nocne można więc było przeprowadzić zgodnie z planem. Wieczorem rzesza udała się do przytułku. Ponieważ brama wiodąca na dziedziniec była zamknięta, wdrapywano się na mur, by ujrzeć Bernadettę. Trzeba było zorganizować pozory obrony: kilku żołnierzy przebywających w przytułku włożyło mundury... Aby zadowolić lud, matka Urszula Court poleciła Bernadecie przechadzać się pod galerią. Ta zaś, znudzona i równocześnie rozbawiona tym, rzekła do matki Urszuli: „Ależ matka mnie pokazuje jak ciekawy okaz zwierzęcia!”⁴⁹



Odjazd do Nevers ustalono na jeden z pierwszych dni lipca.

Lecz jakże rodzice mogą się zgodzić na rozstanie się ze swoją córką? Bernadettą to już szóste dziecko, które ich opuszcza. W młynie Boly zmarło im, w dziecięcym wieku, dwóch chłopczyków o imieniu Jan. Gdy następnie przeszli z młyna Gras do młyna Baudéau, najlichszego z młynów Lapaki, odszedł od nich trzeci aniołek, również Janek. W młynie Lacadé, bardziej dochodowym, który dzięki wspaniałomyślności bpa Laurence’a mogli wydzierżawić⁵⁰, spotkały ich dwa wielkie zmartwienia: 1 lutego 1865 roku po ciężkiej chorobie umiera na rękach matki 10-letni Justyn oraz na początku tego roku 1866 przyszło im na świat, w warunkach bardzo ciężkich, dziewiąte dziecko — córeczka, która tylko tyle żyła, by otrzymać chrzest święty.

Od tego czasu straszliwa groźba zawisała nad tym ogniskiem: matka czuje w sobie zarodek śmierci. W takich to właśnie okolicznościach ma się zgodzić na to, by nie mieć przy sobie swej pociechy, swej chluby, swej Bernadetty. Niemniej jednak ani ona, ani jej mąż nie odmawiają Bogu tej ofiary.

Przeciwnie, ojciec postulanki Leontyny Mouret, która także zamierza odjechać do Nevers, nie okazuje tyle chrześcijańskiego ducha, co rodzice Soubirous. 26 maja Bernadetta wysłała mu przemiły list z zachętą, by poz-

wolił swej córce wstąpić równocześnie z nią do klasztoru Saint-Gildard.

„Wiem, że córka Pana już od dawna ma gorące pragnienie wstąpienia do klasztoru. Dlatego też zwracam się do Pana z prośbą o udzielenie jej pozwolenia, które ją uszczęśliwi.

Rozumiem, że rozstanie się z ukochaną córką jest dla rodziców wielką ofiarą. Bądźcie jednak wspaniałomyślni względem Pana Boga, który we wspaniałomyślności nigdy się nie da prześcignąć... Kiedyś Pan będzie bardzo zadowolony, że oddał Mu ją, ponieważ nigdzie nie można dziecka lepiej umieścić niż w rękach Bożych.

Pan gotów ponieść większe ofiary, by ją powierzyć człowiekowi, który, być może, byłby Panu nie znany i który by ją unieszczęśliwił — a miałaby jej Pan odmówić Królowi nieba i ziemi?! Och, nie, Drogi Panie: przede wszystkim Pan jest za bardzo religijny, by tak postąpić, a po drugie sądzę, że należałoby raczej dziękować Bogu za tę tak wielką łaskę, której Wam udziela i którą Pańska córka doskonale docenia.

Proszę więc Pana, by się jak najprędzej zdecydował, jeżeli bowiem córka ma odjechać ze mną, to w najbliższym czasie. Razem byłoby nam przyjemniej jechać i prędzej byśmy się przyzwyczaiły w Nevers.”

List ten wywarł na Mourecie silne wrażenie: Leontyna może bez przeszkód oddać się Bogu.

Odjazd nastąpi 4 lipca.

Ks. Peyramale i zakonnice z przytułku byli zdania, że Bernadetta nie może wyjechać ze swojej diecezji, nie poprosiwszy ks. bpa Laurence'a, który był tak dobry dla niej i dla jej rodziny, o ostatnie błogosławieństwo. Jednakże Bernadetta i matka przełożona, która jej towarzyszyła, „z wielką przykrością musiały powrócić do Lourdes bez widzenia się z biskupem”⁵¹, który w tych dniach był nieobecny w Tarbes.

Proboszcz parafii Bartrès zaświadcza, że Bernadetta odwiedziła miłe swemu sercu wzgórza, na których pasła jagnięta, szopę, do której je zaprowadzała na noc, stary kościół, dom kuzynów Lagues, gdzie weszła, by pożegnać się ze swoją mamką, której jedna z córek, 14-letnia Justyna, pójdzie w ślady swej krewnej. Bernadetta, okazała się odważna i zdecydowana. Gdy wszyscy wokół niej zaczęli płakać, ona rzekła: «Odwagi! To trochę czasu, który mamy jeszcze spędzić na ziemi, trzeba dobrze zużytkować. Jestem zadowolona, że odjeżdżam.»⁵²

W przeddzień odjazdu, 3 lipca, w towarzystwie kilku zakonnice udała się do groty. Weszła poza kratę, uklękła i utkwivszy oczy w figurę Niepokalanej, modliła się, aż wreszcie żaloszny szloch wstrząsnął jej piersią, a z ust wyrwały się słowa: „O Matko moja, Matko, jakżeż bym mogła Cię opuścić!” Wstała i złożyła pocałunek na skale pod dziką różą.

— „Musimy już odejść — rzekła jej łagodnie przełożona.

— Och, jeszcze chwilkę — błagała. — Wszak to już ostatni raz.”

Nagle, otarła oczy, rzuciła na białą statwę przeciągłe spojrzenie i nie oglądając się skierowała kroki ku miastu.

— „Bernadetto — zagadnęła ją matka Aleksandryna — dlaczego tak się smucisz? Czyż nie wiesz, że Najświętsza Panna jest wszędzie i że wszędzie pozostanie twoją Matką?

— Ach, tak, wiem — odpowiedziała — lecz grota to moje niebo.”⁵³

Ostatni wieczór spędziła w rodzinie w młynie Lacadé. Lecz dla rodziny zbyt krótka była ta późna wizyta, kiedy to tyle drogich wspomnień przychodziło każdemu na pamięć. Dlatego nazajutrz, 4 lipca, wcześniej rano przybyła na ostatnie pożegnanie cała rodzina: matka i ojciec; Tosia, 20-letnia panna; Jan Maria, który już miał 15 lat; Bernard Piotr, mający niespełna lat 7; ciotki: Bernarda, Bazyla i Lucyla. W ostatniej chwili wszyscy zaczęli płakać. Płakał też mały Bernard widząc, że i inni płaczą. Tylko odjeżdżająca nie miała łez w oczach. A jednak już wczoraj u groty zaczęła boleśnie odczuwać swoją ofiarę, lecz teraz chciała trochę pocieszyć tych, których opuszczała: „Jacy wyście dobrzy, że łzami okazujecie mi swoje przywiązanie — mówiła, tłumiąc własny ból i zmuszając się do uśmiechu — lecz przecież ja nie mogę pozostawać tu bez końca.”⁵⁴

Miała na sobie suknię błękitną w granatowe paski. Był to dar jednej z pań. Matka Aleksandryna z największą trudnością zdołała ją nakłonić, by go przyjęła. Kilka przyjaciółek, a między nimi pobożna Ida Ribettes, odprowadziły ją od przytułku aż na dworzec.

Razem z nią, odjechały do Nevers: matka Aleksandryna, przełożona lurdzka, matka Urszula, przełożona z Bagnères, Leontyna Mouret i jeszcze inna postulantka, Maria Lerotis. Ciotka i zarazem matka chrzestna Bernarda Nicolau-Castérot, Tosia oraz s. Wiktoryna, która ją bardzo kochała, towarzyszyły jej w wagonie aż do Tarbes.

Dla jasnowidzącej z Massabielle było to oddalenie się bezpowrotne. Przewidywała to, mówiąc: „Opuściłam Lourdes na zawsze.”⁵⁵

Miała wówczas 22 lata i 3 miesiące.

II

ŁZY I RADOŚCI POSTULANTKI

Nasze podróże zatrzymały się w Bordeaux i Périgueux. W miastach tych matka Aleksandryna i matka Urszula chciały zwiedzić zakłady swego zgromadzenia, no i dyskretnie poszczycić się Bernadettą.

Do Bordeaux przybyły 4 lipca około godziny 6 wieczorem i pozostały

tam do godziny 13 dnia 6 lipca. W tym wielkim mieście kongregacja miała kwitnących 6 domów. Siostry i kandydatki zwiedzają wszystkie po kolei. Bernadetta patrzy na wszystko jakby okiem nowo narodzonego dziecka. Cesarski instytut głuchoniemych, kierowany przez siostry z Nevers od samego jego założenia, imponuje jej swoją fasadą:

„Budowla — pisze 20 lipca 1866 r. — czyni wrażenie raczej pałacu niż domu zakonnego. To nie to, co w Lourdes”¹.

Nasze Pirenejki zwidziły stare kościoły, ogród botaniczny, port... Wielkie okręty wzbudzały podziw Bernadetty, mniej jednak niż coś zupełnie nowego, coś, co zachwycało jej prostotę...

„Zgadnijcie, co? Rybki — czerwone, czarne, białe, szare. A najbardziej mi się podobało, że te małe stworzonka pływały sobie wobec tłumu małych chłopców, którzy na nie patrzyli.”²

W sierocińcu sióstr z braku czasu tylko przeszła wzdłuż szeregów młodych pensjonarek, patrząc w oczy każdej po kolei. „To wywarło na mnie tak silne wrażenie — oświadczy w czterdzieści trzy lata później jedna z nich, która została w Saint-Gildard jako s. Gonzaga Champy — że dziś jeszcze czuję na sobie ten wzrok”³.

W Périgueux, dokąd przybyły 6 lipca około szóstej wieczorem, odwiedziły najpierw szpital sióstr z Nevers, położony w środku miasta. W pobliskim pensjonacie św. Urszuli Bernadetta złożyła pokłon Matce Bożej Przepotężnej, a następnie nauczycielki i uczennice wśród wzruszającego milczenia słuchały odpowiedzi, których Bernadetta udzielała na zapytania matki Ksawery, przełożonej pensjonatu⁴.

Nazajutrz rano — w sobotę 7 lipca — obie przełożone i trzy postulanki wyjechały i o godzinie 10,30 wieczorem przybyły do Nevers. Powóz klasztorny czekał już na nie. Bernadetta, zmęczona długą podróżą, za ledwie dostrzegła na ulicach nielicznych spóźnionych przechodniów, następnie czarną masę drzew parku. Wóz wjechał w bramę, na której stał krzyż. Otworzyły się drzwi, rzucając snop światła: w rozmownicy czekało kilka zakonnice. Jednakże przełożonej generalnej, matki Józefiny Imbert, która powracała do zdrowia po ciężkiej chorobie, nie było wśród nich. Podano gościom na prędko kolację.

Przyjezdne przełożone udały się do swych cel. Postulanki zaś zabrała jedna z sióstr i w milczeniu poprowadziła przez szerokie milczące krużganki do sypialni Świętej Maryi, najobszerniejszej ze wszystkich, zawierającej cztery szeregi łóżek przysłoniętych długimi białymi firankami. W głębi sali stała figura Patronki, przed którą migotała nocna lampka. Tam stało łóżko przeznaczone dla Bernadetty, do którego udała się ona na paluszkach⁵.

Wstępując do kongregacji Sióstr Miłości i Wychowania Chrześcijańskiego w Nevers, jasnowidząca lurdzka nie wchodziła w świat zupełnie nieznaną. Od dzieciństwa знаła te zakonnice — ich czarną suknię z licznymi fałdami, biały owalny kornet, którego dwa jęczyczki jak końce sza-

lika spadają daleko na piersi. One to, początkowo w szkole a następnie w pensjonacie, przygotowywały ją — a później ubierały — do pierwszej Komunii świętej, udzielały jej nauki, chroniły ją od kontaktu ze światem, prowadziły swoimi radami i przykładem. Nieraz z ich ust słyszała opowiadanie dziejów instytutu.

Istniał on już niemal od dwu wieków. Za panowania Ludwika XIV, w roku 1680, w Saint-Saulge, miasteczku zbudowanym wokół starożytnego monasteru, które dziś jest siedzibą kantonu (w okręgu Nevers) — mieszkał młody, 27-letni mnich, dom Jan Chrzyciel de Laveyne. Saint-Saulge, przeorstwo zależne od benedyktyńskiego opactwa Saint-Martin d'Autun, było — jak wówczas mówiono — „beneficjum regularnym”. Dom Jan Chrzyciel otrzymał je po jednym ze swych wujów, dom Nazariuszu Gourleau.

Zajęty praktycznie własną parafią, nowy beneficjusz nie może podobać pracy w tym przeorostwie. Niestety, zastaje tam wiele ciemnoty i nędzy. Ani szpitala, ani lekarza. Spieszy z pomocą chorym mężczyznom, lecz kto będzie pielęgnował dziewczęta i kobiety? Wzywa pomocy. Zgłasza się dwoje dziewcząt: Janina Lejay, której ojciec jest urzędnikiem królewskim, i Maria Marchangy, córka miejscowego notariusza. Kapłan daje im za przykład Martę, „wzór życia czynnego, którą konieczność miłości pobudza do poświęcania się bliźniemu”, i Marię, „wzór kontemplacyjnego, oddaną jedynie Bogu przez umiłowanie prawdy”⁶. Córki zrozumiały myśl ojca: zahartowawszy swe dusze modlitwą, odwiedzać będą chorych i ubogich w ich domach, uczyć katechizmu ich dzieci. Ideal pociąga inne szlachetne serca. Jedna z nowo przybyłych, Marcelina Pauper, której świętość Bóg potwierdził cudami, stanie się prawą ręką założyciela. Pożożne te niewiasty nazwały się Siostrami Miłosierdzia.

Jednakże dom de Laveyne w swej pokorze uznaje się za niezdolnego do gruntownego urabiania dusz zakonnych. Dwie z tych ochotniczych pielęgniarek wysłano więc do Sióstr Najświętszego Sakramentu z Montoire⁷, zwanych także Siostrami Miłości. Następnie przybyła z Montoire do Saint-Saulge jedna z Sióstr Miłości, s. Anna Maria Guillot, i została mistrzynią nowicjatu. Po roku ks. Bolacre, kapelan szpitala, odwołał ją do Nevers. Udała się tam, lecz z czterema nowicjuszkami: będzie to jądro zrzeszenia zakonnego poświęcającego się pracy w szpitalach.

11 lipca 1683 r. bp Vallot z Nevers oblókł w suknie zakonne cztery nowicjuszki dom de Laveyne'a. Jednakże nie chciał rozdwojenia: połączył w jedną rodzinę Siostry Miłosierdzia z Saint-Saulge i Siostry Miłości z Nevers oraz dał tej małej grupie, jeszcze bez określonej nazwy, księdza Bolacre'a za przełożonego.

W roku 1704 umiera ks. Bolacre. Teraz sam fundator ujmuje w swe ręce ster instytutu oraz nadaje jego członkiniom ostateczną nazwę: Siostry Miłości i Wychowania Chrześcijańskiego. Maria Marchangy, jako matka Maria Scholastyka, zostanie ich pierwszą przełożoną generalną. Dom

de Laveyne, rozsławiłszy po całej Francji 40 klasztorów, umiera w opinii świętości 5 czerwca 1719 r., mając lat 65.

Rewolucja rozproszyła zakonnice na cztery strony świata. Gdy zawierucha minęła, siostry wracały do klasztorów jak pszczoły do uli po burzy. Napoleon odstąpił im dawny klasztor wizytek⁸.

Około połowy XIX wieku wzrasta liczba powołań. Stary dom macierzysty staje się za ciasny. Trzeba zbudować nowy klasztor. Ukończony w roku 1856, wznosi się on, obszerny a mocny, z fasadą i dwoma skrzydłami, na szczycie wgórza położonego na zachód od Nevers, w miejscu, gdzie dawniej stał monaster zwany Saint-Gildard.

Bernadetta wchodzi więc — dnia 7 lipca 1866 roku — w bramy klasztoru całkiem nowego. Kongregacja, której staje się córką, jest w pełnym rozkwicie: roku poprzedniego oprócz bardzo licznych profesek miała ona 132 nowicjuszek i 30 postulantek; dwadzieścia jeden nowych postulantek przybyło w samym tylko maju 1866 r.

Przybycie jasnovidzącej z Lourdes było wydarzeniem szczególnie radosnym dla całego konwentu. Potwierdzają to ówczesne dokumenty.

Oto, co czytamy w księdze wstępujących, gdzie zwykle notatki są tak zwięzłe:

„Panna Bernadetta Soubirous, postulanka z Lourdes, lat 23, przybyła 8 lipca 1868 r.

Przyjęta bez posagu⁹. Przełożona (lurdzka) przekazała 60 franków na odzież, a my dałyśmy jej 135 franków i przedmioty na wiano za 22 i 1/2 franka.

Jesteśmy szczęśliwe, że Najświętsza Dziewica raczyła nam ją powierzyć”

W dzienniku klasztornym brzmi ta sama nuta serdeczności:

„Przełożone przytułku z Bagnères i Lourdes... przyprowadzają trzy postulantki.

Jedną z dwu lurdzkich jest Bernadetta, to uprzywilejowane dziecko osiemnastu objawień Przenajświętszej Panny. Cała społeczność klasztorna przyjęła ją z uczuciem szczęścia.”

Jeszcze więcej uczucia w kronice nowicjatu. Tu już właściwie entuzjazm graniczący z liryzmem:

„Spełniły się wreszcie nasze pragnienia! Bernadetta jest w nowicjacie. Jakże nasze pobożne i oddane Maryi serca tęskniły za posiadaniem tej szczęśliwej wybranki z grotty lurdzkiej!

Nowicjat tak bardzo kocha swoją dostojną Matkę! Będzie również bardzo kochał tę, która — szczęśliwsza od swoich nowych koleżanek — miała już na ziemi przedsmak nieba.”

Bezsprzecznie, w tej pięknej i zacnej społeczności nikt nie wątpił, że Bernadetta będzie przez wszystkich kochana i że jej wstąpienie jest błogosławieństwem Bożym.

Jednakże przełożona generalna i jej doradczynie zajęte są czym innym. Oczywiście, nie mają one najmniejszego uprzedzenia do tego dziewczęcia, które z takim zaufaniem poddaje się ich kierownictwu. Żadnej aluzji do jej przyjęcia bez posagu". Lecz stoją wobec wypadku wyjątkowego: odtąd mają obowiązek urabiać do życia zakonnego według własnych reguł i konstytucji, w cieniu swego klasztoru, dwudziestotrzyletnią dziewczynę słynną w świecie całym, którą Niepokalana nawiedziła tam, w Lourdes, którą wszyscy szanują, czczą, którą za życia rzesze ogłosiły świętą... Dotychczas była zabezpieczona przed próżnym upodobaniem w samej sobie. Lecz co by było, gdyby fama chwały, zwiększona jeszcze zdradliwymi podszeptami kusiciela, dotarła aż do niej, do „ogrodu zamkniętego” Saint-Gildard?... gdyby naraz uczuła, że jest jej za ciasno za tymi murami, gdzie tłumy nie mają dostępu?...

Bardziej niż kiedykolwiek myśl o Melanii Calvat, żadnej zwodniczych przygód, ciśnie się do głowy przełożonej generalnej i jej asystentek. W ciągu czterech lat jasnowidząca z La Salette dwa razy wstępowała do Sióstr Współczucia, dwa razy do Karmelitanek, trzy czy cztery razy zmieniała imię. Źle kierowana, za bardzo uwielbiana, stała się chwiejna, ustawicznie się błakająca, mogąca się nawet przedzierzgnąć w wizjonerkę."¹⁰

Dzięki Bogu, przełożone z Nevers dowiedziały się od autorów duchowych, jak należy się odnosić do dusz, które miały łaskę „objawienia Bożego”. W swej *Drodze na górę Karmel* św. Jan od Krzyża gani „nieroztropnych przewodników... którzy” z tymi duszami „wdają się w długie rozmowy” na temat ich objawień lub widzeń. „Przez to dają im do zrozumienia, że je wysoko cenią i w końcu one same zaczynają się cenić... Co się dzieje z ich pokorą z chwilą, gdy wyobrażają sobie, że Bóg tak szczególnie je ceni? W takich momentach dusze te, zajęte własnymi uczuciami, przestają odbierać natchnienia płynące z wiary.”¹¹ Jakież by to nieszczęście było, gdyby coś pobodnego miało się przydarzyć Bernadecie!

Aby ją od tego uchronić, przełożone będą jej nieznacznie broniły przed nią samą — wyłączając z góry wszelkie różnice między nią a jej towarzyszkami. A jeśli kiedy zaznaczy się jakaś różnica, to będzie ona polegała raczej na tym, że wybrance Najświętszej Dziewicy stawiać się będzie większe wymagania. A więc tak ze strony profesek, jak i nowicjuszek żadnego nadzwyczajnego szacunku, a nawet żadnej ciekawości co do objawień. Bernadetta opowie je raz na zawsze całemu klasztorowi, a potem — milczenie. Ludzie kierujący się dobrymi pobudkami będą prosić o widzenie się z nią; zresztą jej opowiadania mogą jeszcze zrobić dużo dobrego; lecz przede wszystkim trzeba strzec powołania i ducha zakonnego młodej postulanki oraz spokoju, którego wymaga życie klasztorne.

Dlatego widzenia uzależnione są od przełożonej generalnej; czasem nawet ordynariusz musi się w to wdawać...

Zresztą ten środek ostrożności podyktował sam biskup Forcade:

„Od pierwszej chwili — pisze on — kiedy Opatrzność, oddając Bernadettę pod moją władzę, raczyła ustanowić mnie jej stróżem, powzięłem niechlómne postanowienie bezwzględego uchronienia jej od publicznej ciekawości. Wielebna matka przełożona generalna całkowicie podzielała moje poglądy w tym przedmiocie.”¹²

Podobne środki ostrożności mogą razić, lecz tylko serca tkliwe; w każdym razie nigdy ludzi doświadczonych, psychologów.¹³

Nocy, której przybyła, bardziej niż przed odjazdem z Lourdes odczuła Bernadetta wielkość swej ofiary. O, bo jakież to skarby tam zostawiła: ta grotta, z którą ją wiążą tak niewymowne wspomnienia, a której ona już nie zobaczy; ta matka, na której wyniszczonej twarzy, w chwili pożegnania dostrzegła już cień śmierci, a której oczu nie będzie mogła zamknąć; ten ojciec wyczerpany pracą, którego siły tak umiała pokrzepić; ta siostrzyczka, ci braciszki, których przyszłością chciałyby pokierować... Tej nocy spała mało, a dużo płakała. Płacze też i nazajutrz¹⁴.

Łatwo sobie wyobrazić, jak nowicjuszek pragnęły ją poznać. „Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu — zapewnia s. Łucja Cloris — niczym się nie różniła od innych postulantek; chyba może tylko tym, że była bardziej nieśmiała.”¹⁵

A tymczasem trzeba wystąpić publicznie, i to przed jakimi słuchaczami! Pierwszego dnia po południu w majestatycznej sali nowicjackiej pod przewodnictwem matki przełożonej generalnej zebrały się wszystkie profeski, nowicjuszek i postulantki; zaproszono do domu macierzystego nawet siostry z innych miejscowych zakładów: żadna z nich nie chciała stracić jedynej okazji słyszenia powiernicy Niepokalanej”.

Wszystkie doznały wzruszenia, gdy Bernadetta ukazała się w swej skromnej, niebieskiej sukni, z pirenejską chusteczką na głowie.

„Uszy są nastawione, w sercach wzruszenie” — zanotowano w kronice nowicjatu. Ta cisza, ta emocja, którą wyczuwa, to główna rola, którą jej wyznaczono — wszystko to działa i na nią samą: jest przejęta; „próba, na jaką wystawiono jej skromność, jest za wielka”¹⁶. Tym razem opowiadanie o objawieniach będzie zwięźlejsze niż kiedykolwiek. Jej rysy uwydatniają zmęczenie po podróży. „Przełożona lurdzka musiała jej kilkakrotnie pomagać i zachęcać ją do opowiadania.”¹⁷ Podobnie czyniła mistrzyni nowicjuszek, matka Maria Teresa Vauzou. „Tylko dzięki pytaniom, na które odpowiadała bardzo zwięźle — zeznaje jedna z ówczesnych nowicjuszek — można było mieć krótkie streszczenie prawdy, którąśmy już znały.”¹⁸ Mimo wszystko była to scena bardzo wzruszająca.

Kronika nowicjatu przechowała nam coś z myśli i z wrażeń słuchaczek oraz najbardziej uderzające szczegóły opowiadania. „Jak ta Pani wyglądała?” — zapytuje matka Maria Teresa. Na to Bernadetta: — „Nie-

zrównanie piękna, cała ubrana w biel, na obu jej stopach były róże, ręce miała złożone." Mistrzynie zapuszcza się na zakazny teren trzech tajemnic, a następnie pochwała jej dyskrecję: „Bernadetta opowiada to, co wie, albo raczej to, co może powiedzieć... Najświętsza Dziewica opowiedziała jej rzeczy, których nie może nikomu wyjawić. Szczęśliwa istota, która już w czternastym roku życia miała tajemnicze rozmowy z Królową aniołów!"

Przełożona przytułku lurdzkiego wywołała mały incydent, który sprowadził uśmiech na usta słuchaczek. Bernadetta mówiąc o cudownym źródle, przyznała się, że kilka razy usiłowała „napić się ze źródła i umyć się w nim". Wtedy matka Aleksandra Roques uznała za stosowne szepnąć do ucha matki generalnej: „Matka może wywnioskować z tego, jak ona jest mało umartwiona." Bernadetta zaś, która miała bardzo dobry słuch, usłyszała to i z serdeczną poufalością odpowiedziała swojej dotychczasowej przełożonej: „Bo też woda była tak brudna!"

Bernadetta miała odtworzyć słowa i ruchy P a n i z chwili Jej przedstawienia się. Proste dziewczę zmieniło się nie do poznania. Gdy po rozłożeniu i znizeniu rąk znów je złożyła i, zbliżając je do serca, miała powtórzyć nieśmiertelne słowa: „Jestem Niepokalane Poczęcie", twarz jej rozjaśniła się boskim uśmiechem.

Nastało długie milczenie wśród sióstr.

*

Po rozejściu się zebranych, życie w Saint-Gildard potoczyło się normalnym trybem. Były tylko trzy postulanki lub — jak mawiały siostry między sobą — trzy czepeczki więcej, ponieważ Bernadetta i jej dwie towarzyszki, aczkolwiek chodziły w sukniach świeckich, wkładały na głowę, jako znak wyróżniający, przepaskę z czarnego tiulu. Był to skromny zakonny czepek z podwójną kryzą na czole i powiewającymi wstążkami.

Tej niedzieli wieczorem zaprowadzono Bernadettę do jej rodaczki, 25-letniej nowicjuszki Emilianny Duboé, która miała wkrótce wyjechać do innego domu¹⁹. S. Emilianna przez cały tydzień będzie aniołem opiekuńczym swej młodej przyjaciółki: oprowadzi ją po całym klasztorze, szczegółowo poinformuje o trybie życia i ćwiczeniach nowicjackich. Bardzo uważna Bernadetta swoimi pytaniami dowiedzie, jak pragnęła poznać nowe obowiązki.

Już teraz, względem tej towarzyszki, rozpoczyna swoje apostołstwo, którego nie zaniecha aż do śmierci. Zauważyła mianowicie, że s. Emilianna, wchodząc do kaplicy lub rozpoczynając modlitwy, żegnała się pospiesznie: „Siostra źle się żegna — śmiało jej mówi. Trzeba na to zwracać uwagę, gdyż żegnać się dobrze — to już dużo."

Były i lzy w tych kilku dniach. Trapi ją nostalgia, a zwłaszcza tęsknota za grotą. „Czyż ja zdołam się przyzwyczać do jej braku?" —

skarżyła się. „No, dobrze — odpowiadała łagodnie s. Emilianna — popłacz trochę: płacz to oznaka dobrego powołania.”²⁰

Próżno się starała ukrywać swoje zmartwienie: czerwone oczy ją zdradzały. Aby nieco zmienić bieg jej myśli, przełożona generalna już 12 lipca, tj. w pięć dni po jej przybyciu, udając się na wizytację do Varennes-lès-Nevers, gdzie był sierociniec i dom dla starszych sióstr, zabrała z sobą naszą postulantkę i przedstawiła ją całemu zakładowi.

Łzy niedługo obeschły. Przez cały ten tydzień próby Bernadetta pozostała wierna modlitwie. Postanowiwszy nie szukać pociechy u ludzi, kilkakrotnie w chwilach wolnych odprawiała gorliwie drogę krzyżową. W dwanaście dni po wstąpieniu do klasztoru, 20 lipca, widzimy ją szczęśliwą ze swej ofiary. Ona, która nie umie kłamać, dnia tego pisze do rodziców:

„Całkiem przyzwyczajona i najzupełniej zadowolona, proszę byście się o mnie nie niepokoili. Pomóżcie mi tylko dziękować Bogu za tę łaskę, że raczył mnie do siebie powołać.”

A do zakonnicy w Lourdes, napomykając o swym odjeździe, pisze:

„Zapewniam Was, że ofiara byłaby o wiele większa dzisiaj, gdyby trzeba było opuścić nasz drogi nowicjat. Czuje się, że to dom dobrego Boga. Trzeba go kochać wbrew swej woli. Wszystko nas do tego skłania, a przede wszystkim nauki naszej drogiej Mistrzynie. Każde słowo wychodzące z jej ust idzie prosto do serca.

Dlatego nie przestaję zanosić swych nieudolnych modlitw do Pana, by Mu dziękować za tyle łask, którymi nie przestaje mnie codziennie obsypywać. Proszę Was, Najdroższe Siostry, byście były tak łaskawe ofiarować za mnie kilka modlitw w tej intencji, a przede wszystkim, gdy idziecie do mojej drogiej grotty. Tam zresztą będziecie mogły mnie zastać klęczącą duchem u stóp tej skały, którą tak kocham.

Proszę Was szczególnie o pamięć przed tą dobrą Matką. Ja ze swej strony nie zapominam o Was przed Matką Bożą Wodną, która jest w głębi ogrodu w grocie. Tam szukałam ukojenia serca w pierwszych dniach i od tego czasu nasza droga Mistrzynie pozwoliła nam tam chodzić co wieczór...”²¹

Z jakimże okrzykiem radości odkryła Bernadetta — podczas przechadzki, w najodleglejszym zakątku wielkiego ogrodu, na końcu kamienistej ścieżki — tę figurę, która słodkim uśmiechem i gestem rąk przypomina jej P a n i ą z grotty!

Nasza postulantka nie wie, że w czasie, gdy odczuwała taką potrzebę „ukojenia serca”, przybywali do furty różni ludzie, prosząc o widzenie się z nią. Istotnie, w dzienniku klasztornym zaraz po wzmiance o przybyciu „panny Soubirous” czytamy, co następuje:

„Ludzie tłumnie przybywają, by się z nią widzieć; nasza Matka odpowiada odmownie.”

Odmownie... Jednakże bez wyjątków chyba się nie obejdzie, jakże

bowiem nie uczynić zadość pragnieniom takich dostojników, jak np. biskupi? 19 lipca ks. bp de Marguerie z Autun celebrował Mszę św. w klasztorze. Następnie nadchodzi bp Forcade, ordynariusz diecezji Nevers, lecz nie sam: przybywa z nim spowiednik Ojca świętego, Piusa IX, ks. de Mérode, arcybiskup *in partibus* Mitylenu, który przybył na kurację do Pougues koło Nevers. W dzienniku klasztornym czytamy, że po zwiedzeniu domu macierzystego „Ich Ekszelencje wyrazili życzenie widzenia się z Bernadettą. To pobożne dziecko przybyło do salonu z zachwycającą prostotą i skromnością. Czcigodni dostojnicy byli zadowoleni, a my im jesteśmy w najwyższym stopniu wdzięczne za te odwiedziny.”

- Postulanturę, która się rozpoczęła przed sześciu miesiącami, odbywała Bernadetta, w sposób zresztą dosyć nieokreślony, w pensjonacie lurdzkim. Przełożone wyższe miały prawo go przedłużyć, lecz nie uczyniły tego. Ich decyzję zanotowano, tkliwymi słowami, w dzienniku klasztornym: „Nasza mała Bernadetka została dopuszczona do obłóczyn.”

Obrzęd ustalono na niedzielę 29 lipca — uroczystość świętej Marty, patronki kongregacji. Bernadetta przygotowywała się do niego bardzo budująco.

„Razem odprawialiśmy rekolekcje — opowiada s. Emilianna Duboé — ona, by się przygotować do obłóczyn, a ja do profesji. Uderzyło mnie przede wszystkim jej skupienie. Byłam zachwycona jej postawą w kaplicy. Widok Bernadetty modlącej się czynił na mnie wrażenie, którego nie jestem w stanie wyrazić.”²²

Bernadetta nie lubiła przesady, a choć serce miała wzniesione do nieba, nogami mocno stała na ziemi. „Wszystko robiła jak inni, lecz lepiej niż inni” — stwierdza jedna z jej towarzyszek obłóczyn s. Emilia Marciillac. Podczas rekolekcji była próba obłóczyn. Przyszłe nowicjuszki posuwały się dwójkami; obok Bernadetty była właśnie s. Emilia. Otóż w dwójce bezpośrednio je poprzedzającej jedna siostra miała oczy tak spuszczone, że druga musiała ją prowadzić. Gdy potem była o tym mowa, Bernadetta rzekła: „Po co zamykać oczy wtedy właśnie, kiedy trzeba je mieć otwarte?”²³

Nadszedł dzień oczekiwany — niedziela 29 lipca. Rano 45 postulantek dopuszczonych do obłóczyn wchodzi do kaplicy według wzrostu. Bernadetta idzie pierwsza; w białej sukni i białym welonie wygląda niemal jak dziecko.

Między przemówieniem, które wygłosił bp Forcade, a Mszą św. na cześć św. Marty, którą miał odśpiewać bp Mérode, przybyły umyślnie z Pougues-les-Eaux, Bernadetta Soubirous otrzymała od swego biskupa welon nowicjuszki i imię zakonne.

Imię to dla sióstr z Nevers jest nowe, lecz dla Bernadetty stare. W istocie bowiem „odzyskała” ona swoje imię chrzestne: Maria Bernarda.

Z imienia tego była bardzo zadowolona, jednak nie prosiła o nie. Mistrzyni nowicjatu obrała je zupełnie niezależnie. „Było rzeczą jak naj-

bardziej słuszną — wyjaśniała potem matka Maria Teresa innym nowicjuszkom — dać jej imię Najświętszej Dziewicy, której jest uprzywilejowanym dzieckiem, oraz zatrzymać imię jej patrona, którego »Bernadetta« jest zdrobnieniem.”²⁴

W tym dniu wielkiego szczęścia s. Maria Bernarda zwierzyła się jednej z towarzyszek obłóczyn: „Przyszłam tu, by się ukryć.”²⁵

III

TRZY PIERWSZE MIESIĄCE NOWICJATU I PROFESJA IN ARTICULO MORTIS

Co myśli o s. Marii Bernardzie jej bezpośrednie otoczenie w piętnaście dni po jej obłóczynach? Prowadząca kronikę nowicjacką sekretarka — która wśród tylu innych wykształconych i dobrze wychowanych dziewcząt ma zapewne opinię najlepszej stylistki i której bez wątplenia matka mistrzyni pozostawiła zupełną swobodę notowania wrażeń własnych i wspólnych — tak pisze o s. Marii Bernardzie w połowie sierpnia roku 1866:

„Jest ona właśnie taka, jak ją przedstawia powszechna opinia: pokorna w swym nadprzyrodzonym tryumfie; prosta i skromna, podczas gdy dotąd wszystko się przyczyniało do jej wywyższenia i wystawienia na widok publiczny; uśmiechnięta i zadowolona, mimo że choroba od dawna nurtowała jej delikatny i wątki organizm.

W tym właśnie znamię wybraństwa Bożego: zawsze cierpienie obok niebiańskich radości. A któż więcej niż ona otrzymał tych niewysłowionych pociech?”

Matka Maria Teresa Vauzou musiała się uśmiechać, czytając te egzaltowane myśli: czyż bowiem nie za wcześnie było kanonizować świeżo upieczoną nowicjuskę, która przecież — mimo pochlebnej opinii — potrzebowała urobienia jak wszystkie inne?

Urodzona 10 sierpnia 1825 roku w Chatelet-de-Beauregard koło miasteczka Collonges w departamencie Corrèze, Laura Wilhelmina Vauzou była wnuczką i córką notariuszy. Początkowo kształciła się u Sióstr Miłości i Wychowania Chrześcijańskiego w Meyssac, skąd przeszła do pensjonatu św. Aleksego w Brive, prowadzonego przez te same zakonnice.

Już od wczesnej młodości objawiała zamiłowanie do rozkazywania. Oto co o niej napisano:

„Laura miała naturę żywą i gorącą, wybitnie spontaniczną. I trudno by było powiedzieć, żeby należała do tej kategorii dzieci, którym jarzmo przepisu nie ciąży, które nigdy nie usiłują go zrzucić. Inteligencja i siła charakteru zapewniały jej, jeszcze przed pierwszą Komunią świętą, pewną przewagę nad koleżankami. Już wtedy więc wystawiała je na próby, by się przekonać, czy by mogła liczyć na ich uległość.”¹

Tak więc pewien lekarz, przyjaciel rodziny Vauzou, oddając córkę do pensjonatu, prosił siostry, by dały jej Laurę za opiekunkę, żywił bowiem nadzieję, że tym sposobem łatwiej się przyzwyczai do nowego trybu życia. Gdy tedy przybyła mała pensjonarka, starsza wzięła ją na stronę i oświadczyła, że jeśli chce liczyć na jej pomoc, musi dać próbkę swego głosu wieczorem w sypialni podczas ogólnego milczenia. „Musisz innie słuchać — napominała to małeństwo — jeśli chcesz. Żebym się tobą opiekowała.” I rzeczywiście, wieczorem wśród ogólnej ciszy wypełnionej sypialni nieśmiały głosik intonuje francuską pieśń: „Niebo jest moją nagrodą...” A kto nazajutrz otrzymał burę? Panna Laura Vauzou.

Babcia Laury, mieszkająca w Cahors, pragnęła mieć ją przy sobie. W tym mieście też był pensjonat sióstr z Nevers, lecz z powodu choroby nie mogła tam się uczyć. Posłano ją tedy do słynnego pensjonatu panny de Brètes w Limoges. „Później s. Vauzou mawiała, że tam się przekonała, jaki wpływ ma perswazja na umysł i serce dziewczęcia.”

Po opuszczeniu pensjonatu 17-letnią panienkę pociąga świat, lecz wkrótce odrywa się od niego i tęskni do życia klasztornego. Wstępuje tedy 17 września 1844 roku — czyli w tym samym roku, w którym urodziła się Bernadetta — do Saint-Gildard i otrzymuje imiona Maria Teresa. Złożywszy dnia 11 czerwca 1846 r. śluby zakonne, udaje się w charakterze nauczycielki do seminarium pedagogicznego w Montpellier, prowadzonego przez siostry z jej zgromadzenia. Tutaj wykształci wiele nowych nauczycielek — tak pod względem umysłowym, jak i duchowym. 21 września 1853 roku młodej, 28-letniej s. Marii Teresie powierzono niełatwe zadanie zorganizowania w Blaye, w diecezji Bordeaux, pensjonatu, w którym mają się kształcić także eksternistki. Z misji tej wywiązała się znakomicie mimo konkurencji dwu instytucji świeckich. W trzy lata później powołano ją na stanowisko dyrektorki seminarium pedagogicznego w Montpellier. W roku 1860 zakłada pensjonat w Moulins. 26 lipca 1861 roku wraca jako mistrzyni nowicjuszek do domu macierzystego w Saint-Gildard, gdzie pewnego dnia sprawować będzie władzę najwyższą².

Do chwili więc, kiedy Bernadetta została jej powierzona, przebywała tam od lat pięciu.

Aby zrozumieć postawę, jaką ona w końcu przyjmie wobec jasnowidzącej z Lourdes, trzeba się koniecznie uciec do świadectw dwu jej ko-

lejných sekretarek: matki Marii Józefiny Forestier i matki Marii Teresy Bordenave, które kiedyś obejmą po niej przełożęństwo generalne. Tak, ale również pewne zeznania zwykłych zakonnic, których ona była mistrzynią nowicjatu, nie są bez znaczenia. Jedna z nich, mianowicie matka Julianna Capmartin, przełożona przytułku w Saint-Lizier, w departamencie Ariège, doskonale streszcza opinie wszystkich innych, gdy oświadcza ks. kanonikowi Guynotowi:

„Matka Maria Teresa Vauzou miała świetne uzdolnienia do kierownictwa dusz; miała po temu wszelkie dary umysłu i serca. Wprawdzie była nieco chłodna, a w jej oczach i całej postaci uwypuklało się coś, co świadczyło o pewnym despotyzmie. Mimo to jednak była bardzo dobra i miała serce macierzyńskie.

Gorąco pragnęła, żeby się jej zwierzano z całym zaufaniem. «Nie miejcie przede mną — mawiała — żadnych tajemnic, z wyjątkiem oczywiście tego, co jest przedmiotem spowiedzi. Gdy was wzywam do swego biura, to tylko po to, byście mogły swobodnie powiedzieć, czy nie macie jakichś cierpień, przykrości, jakie jest wasze współżycie z towarzyszkami, czy nie ma wśród nich takich, których towarzystwa szczególnie byście poszukiwały. Bądźcie otwarte, a zawsze będziecie zadowolone.»³

Posłuchajmy teraz, co o niej mówią jej dwie czcigodne sekretarki. „Będąc dwadzieścia lat mistrzynią nowicjuszek, osiemnaście lat przełożoną generalną, zyskała sobie w zgromadzeniu niezrównany prestiż” — mówi matka Bordenave. Był to „wybitny umysł”, który „z działalnością zewnętrzną umiał łączyć bardzo intensywne życie wewnętrzne”. Była wszakże bardziej kobietą czynu niż kontemplacji. Miała ona — jak zaświadcza matka Forestier — „wiarę nader żywą, szczerą pobożność, gorliwość o zbawienie dusz, złote serce. Pod pozorami chłodu kryła się w niej potrzeba dawania i odbierania dowodów miłości.”

Świadectwa te są raczej pochlebne. Lecz czyż nie pozwalają wnioskować, że cnota matki Marii Teresy Vauzou nie doszła do doskonałości świętych? Rozdaje miłość, ale też nie może się obejść bez wzajemności. Jest „nader wrażliwa”: pod wpływem przeciwności, rozczarowania sąd jej przestaje być trafny, „złote serce” traci wspaniałomyślność. W takich okolicznościach podwładną, która ją obraziła lub uczyniła jej zawód, kocha mniej, ceni mniej — na jakiś czas, niekiedy na zawsze. Wprawdzie hamuje się, rzadko kiedy daje upust wyrzutom. Jej zwyczajne oznaki przygany — to zamierzony chłód, milczenie. Ma bezsprzecznie cenną zaletę przełożonych: „jest w niej — zdaniem matki Bordenave — jakby magnes, który przyciąga.” Lecz oto siła przeciwna, odpychająca: matka Vauzou — według tego samego świadka — „należy do tych osób, względem których nie można być obojętnym: trzeba albo bardzo się jej bać, albo bardzo ją kochać... Jej sposób bycia jest taki, że sprawia cierpienie lub radość.” Na dowód matka Forestier przytacza przykład: „Matka Henryka Fabre, która zastąpiła matkę Marię Teresę Vauzou jako mistrzyni

nowicjuszek a następnie jako asystentka generalna, zakonnica święta, natura spokojna, rozsądna, bardzo dobra, zwierzyła mi się, że dużo cierpiała, a szczególnie w czasie trzech lat, z powodu chłodnego obchodzenia się naszej matki, która wyobrażała sobie rzeczy niezgodne z prawdą.”⁴

*

Dziecięca miłość... religijny lęk — który z tych stanów cechować będzie „naszą Bernadetkę”?

Pierwsze kontakty — jakieśmy widzieli — były obiecujące. Jeśli nowo przybyła wydaje się jeszcze dosyć zamknięta wobec matki mistrzyni, matka łatwo to sobie tłumaczy bojaźliwością początkujących: niejedna postulanka jest taka. Lecz podczas modlitw w kaplicy lub ćwiczeń nowicjackich zachowanie się siostry Marii Bernardy jest bez zarzutu.

Zresztą matka Maria Teresa słyszy, co mówią inne jej córki. Oto są zbudowane pobożnością, oczarowane prostotą ich nowej towarzyszkii. Ten znak krzyża świętego, który ona robi powoli, dotykając szerokim ruchem ręki każdego ramienia, „bez wątpienia tak, jak ją nauczyła Najświętsza Panna”⁵, był dla nich wszystkich rewelacją. Jej sąsiadki obserwują ją ukradkiem podczas odmawiania różańca. „Miało się wrażenie — zaświadcza s. Anastazja Carrière — że ona widzi Najświętszą Dziewicę tak jak w Lourdes.”⁶ S. Emilia Marcillac, która ją zaskoczyła „siedzącą w nowicjacie na taborecie” obok figury Matki Bożej i pogrążoną w rozmyślaniach, odkrywa w jej wzroku „jakby odbłask nieba”⁷.

Jeszcze jedna szczęśliwa dyspozycja, bardzo ceniona przez mistrzynię: s. Maria Bernarda jest „bardzo wesola na rekreacjach”⁸. Już gdy po raz pierwszy spostrzeża, że nowicjuszeki organizują zabawę, zapytuje, czy będzie się skakać przez sznur, i od razu woła, że gotowa go trzymać.

Mistrzynię, gdy czyta rzadkie listy młodej nowicjuszeki, zapewne rażą błędy ortograficzne, które w nich spotyka. Na szczęście charakter pisma zapowiada się dosyć ładny. I ortografia dzięki kursom będzie się stopniowo poprawiać. Pożądane są jeszcze postępy w arytmetyce... Konstytucje zgromadzenia nie przewidują żadnych różnic między zakonnkami: nie ma tu sióstr chórowych i sióstr konwerek; jest tylko zwyczajna różnica zajęć. Poza tym nowicjuszeki, zależnie od wykształcenia, podzielone są na kilka kursów. Oczywiście, s. Maria Bernarda nie będzie umieszczona w najwyższym⁹.

Mimo wszystko matka Vauzou daje ją za wzór całemu nowicjatomu — naturalnie, że w jej nieobecności — i mówi: „Zawsze się obawiam, żeby jej nam nie wykradzono!”¹⁰ Krótko mówiąc: ujawnia prawdziwe przywiązanie do niej.

Pierwsze tygodnie upływają młodej nowicjuszcze bez znaczniejszych wypadków.

Lecz oto miła niespodzianka! W uroczystość Wniebowzięcia po połud-

niu deszcz nie pozwala siostronom udać się — wedle zwyczaju — do katedry. Improwizują więc procesję na miejscu. W kronice nowicjatu zachowało się o niej poetyckie wspomnienie. „Wdzięczny orszak postulantek, nowicjuszek i profesek z chorągwią i krzyżem na czele krętymi alejkami, przecinającymi zieleń parku”, udaje się najpierw do pomnika Matki Bożej Wodnej.

W tym ustroniu, tak ukochanym, s. Maria Bernarda, zachwycona tym, że klasztor taką czcią otacza jej Matkę Pocieszycielkę, śpiewa wspólnie z innymi pieśń maryjną, prawdopodobnie swą ulubioną:

„Chciałabym, o Matko, pójść za Tobą:

Maryjo, zabierz mnie!”

Czuje, że jest obsypywana niezliczonymi łaskami w tym świętym nowicjacie; zdaje się nie móc pomieścić w sobie swego szczęścia. Musi się nim podzielić — dnia 21 sierpnia — z biskupem Tarbes:

„Najprzewielebniejszy Księżę Biskupie, szczęśliwa, że dobry Bóg raczył mnie przyprowadzić do tego pobożnego i świętego schroniska, gdzie zażywam najśłodszego pokoju i najczystszej radości, nie zapominam, ile wdzięczności — prócz głębokiego szacunku — winnam Waszej Ekscelencji.

Ośmielam się tedy upaść do Jego stóp i prosić o ojcowskie błogosławieństwo.

Mała owieczka z owczarni Waszej Ekscelencji, potrzebuje pomocy i łask, by mogła odpowiedzieć licznym dobrodziejstwom, które odebrała od Pana.

Coraz bardziej odczuwam swą niemoc, zwłaszcza od chwili gdy miałam szczęście otrzymać święty habit, który wespół z imionami Marii Bernardy, tak pięknymi i drogimi mojemu sercu, nakłada na mnie wielkie obowiązki...”

W tej porze roku nowe profeski, a nawet nowicjuszki, rozsyła się do innych domów kongregacji. Tym, co pozostają, powierza się drobne zajęcia w klasztorze. S. Maria Bernarda będzie pomocnicą już to zakrystianki, już to infirmerki. Obowiązki swoje spełnia oczywiście z największą gorliwością. Jednakże nie bez westchnienia żegna towarzyszkę. „Jak bym ja była szczęśliwa — zwierza się ona siostrze Emiliannie Duboé, swojej rodaczce — gdybym mogła pójść pracować; lecz muszę tu pozostać, by nic nie robić!”¹¹

Ona wie, że na przeszkodzie stoi jej słabe zdrowie: oprócz tej astmy, która ją dusi po każdym większym wysiłku lub emocji, codziennie — jak sama przyznaje — „cierpi na żołądek i głowę”¹². Mimo to regularnie uczęszcza na ćwiczenia nowicjackie i śpi w wielkiej wspólnej sypialni.

Drobne zajęcia, opowiedziane przez s. Anastazję Carrière — którą także pewnego dnia s. Maria Bernarda pielęgnowała „z wielką dobrocią i miłością” — dowodzi, że mimo słabego zdrowia spełnia ona wszystkie obowiązki swego stanu. Otóż razu pewnego w sierpniu 1866 roku s. Ma-

ria Bernarda z powodu zajęć w infirmerii spóźniła się na ćwiczenia nowicjackie. Przyszedszy tedy do chóru, uklęka i ucałowała pokornie ziemię. Mistrzynie natychmiast udzieliła jej surowej nagany. Wtedy nowicjuszka usprawiedliwiła się przed nią ze spóźnienia i poszła na swoje miejsce z twarzą całkiem naturalną, tak jakby nic przykrego jej się nie przytrafiło.”¹³ Istotnie, nie miała czemu się dziwić, a tym mniej czym się trapić: każda nowicjuszka w podobnych okolicznościach otrzymywała taką lekcję pokory. Taka była reguła, a mistrzyni tylko spełniała swój obowiązek.

Tymczasem więc matka Teresa Vauzou — tak jak to sobie przyrzekła — nie traktuje jasnowidzącej z Lourdes inaczej niż inne nowicjuszki. Lecz nie zna przyszłości: nie wie, że s. Maria Bernarda nie będzie dla niej taką nowicjuską jak inne i że w odniesieniu do niej zwyczajne metody wychowawcze okazały się nieodpowiednie.

Przedewszystkim zaraz w kilka tygodni po przybyciu częściowo usunie się ona na całe miesiące spod bezpośrednich wpływów matki Teresy. Biedna s. Maria Bernarda! Napady kaszlu przyprawiają ją o lekkie krwotoki. W pierwszych dniach września starsza infirmerka, s. Marta, mówi jej, że za kilka tygodni zamiast leczyć inne, sama musi się poddać leczeniu. Istotnie, wkrótce się znalazła na jednym z białych łóżek w szpitaliku św. Józefa, urządzonym w dużym pokoju, do którego przez dwa wielkie okna wchodzi obficie światło.

Infirmerka i jej pomocnice budują się, widząc, jak chora łączy się z praktykami swoich towarzyszek. Od świtu pogrąża się w głębokie skupienie, bo o tej porze w chórkę zacznie się wspólne rozmyślanie, następnie Msza św.

Mistrzynie, która teraz „okazuje się dla niej raczej życzliwa, codziennie ją odwiedza w infirmerii”¹⁴. Streszcza jej ostatnią konferencję duchową, wyjaśnia reguły i zwyczaje. Zależy jej zwłaszcza na poznaniu jej stanu duszy. Nowicjuszka zwierza się jej krótko, że i tego dnia jak najwierniej spełniała wszystkie obowiązki duchowe, że nie zapominała o przepisowej lekturze, że myśli o obecności Bożej, często wzbudza akty strzeliste. Gdy matka Maria Teresa zachęca ją do owocnego znoszenia cierpień, ona odpowiada: „Tak, wszystko to jest dobre dla nieba.”¹⁵ I więcej się nie zwierza.

A przecież — jeśli opinia przełożonej przytułku lurdzkiego nie jest błędna — Bernadetta Soubirous jest usposobienia serdecznego i ufego. Lecz — myśli sobie mistrzyni — może ona ma tendencję do zwierzania się tej lub innej zaufanej siostrze? W takim wypadku byłaby w niej — świadoma czy nieświadoma — ta „zbyt szczególna skłonność”, której — jakśmy już widzieli — matka mocno się obawia. Trzeba więc pod tym względem udzielić jej lekcji, przynajmniej pośredniej.

S. Emilia Marcillac przybrała sobie do pomocy Leontynę Mouret, „nowicjuskę z Lourdes, która przybyła do Nevers razem z Bernadettą”.

Wiedziała, że tym sposobem obu sprawi przyjemność. „Ale pewnego dnia — opowiada s. Emilia — nasza matka mistrzyni zażądała podania powodu tego wyboru i zakazała mi brać do pomocy przyjaciółkę Bernadetty. Nazajutrz Bernadetta, widząc inną pomocnicę, zapytała, czy jej towarzyszka z Lourdes nie jest chora. Odpowiedziałem jej: «Nie, lecz nasza matka zakazała mi brać jej do pomocy. — Ach, rozumiem» — odpowiedziała chora. Po lekkiej chmurce, która przebiegła po jej czole, poznałam, że ta ofiara była dla niej przykra, lecz się nie żaliła.”¹⁶

Pewien wypadek, który stał się tematem rekreacyjnych rozmów całego nowicjatu, dowodzi, że pobyt w szpitaliku nie pozbawił chorej ani dobroci serca, ani humoru. Pewnego dnia w porze posiłku wśród ogólnej ciszy rozległ się na korytarzu szcęk rozbijających się naczyń i okrzyk przerażenia. S. Bernarda zeskakuje z leżaka. Jakiż widok! Postulantka, która zastąpiła Leontynę Mouret, „upuściła tacę i wszystko rozprysło się po całym korytarzu!” Obok struchlałej siostrzyczki stoi z załamanymi rękami s. Emilia Marcillac i lamentuje: „Jesteśmy zgubione, jesteśmy zgubione!” Delikatność nie pozwala siostrze Bernardzie śmiać się wobec tej tragikomicznej sceny. „Moja biedna siostrzo Emilio — odzywa się ze współczuciem — po co się martwić do tego stopnia? Nie jesteś zgubiona. Ja to załatwię z moją drogą siostrą Martą”. I rzeczywiście, nazajutrz miłosierne wstawiennictwo łagodzi sprawę, a pośredniczka odzywa się do wypogodzonej już siostry Emilii: „No, nikt jakoś siostry nie zgubił!”¹⁷

Dnia 30 września chora przesyła rodzinie uspokajające wiadomości:

„Co mam Ci powiedzieć o sobie? — pisze do swego brata, Jana Marii, który już ma 15 lat. — Moje zdrowie nieco się polepszyło. Lecz muszę się pilnie strzec zimna, które mi szkodzi. Nie martw się jednak. W sali, gdzie przebywam, jest bardzo ciepło, a droga siostra infirmerka obchodzi się ze mną jak z jajkiem. Zresztą wszystkie siostry są bardzo dobre dla mnie. Aż mnie to onieśmiela.”

Koniec jej listu świadczy, że mimo odległości nie przestaje być starszą siostrą, czułą i stanowczą mamusią. Młodszemu braciszкови, który jest nieco słabej woli i zbyt niezdecydowany, daje tę męską radę:

„Polecam Ci przede wszystkim nie zaniedbywać obowiązków religijnych. Nie zapominaj, że chcesz to móc.”

Pisze, że czuje się lepiej, lecz tylko dlatego, żeby pocieszyć rodzinę. W rzeczywistości zaś z każdym dniem coraz bardziej traci siły. W połowie października matka Teresa Vauzou prosi o zdwojenie modlitw. Istotnie, dotychczas za żadną zakonnice tak się nie modlono: nowicjuszki udają się „grupami już to do kaplicy klasztornej, już to do kaplicy św. Józefa w ogrodzie, już to wreszcie do Matki Bożej Nowicjackiej”¹⁸. I przed tą uśmiechającą się statuą z otwartymi rękami „przez kilka dni płonie ustawicznie wiele świec”¹⁹.

Niestety, matka mistrzyni aż nazbyt trafnie wyraziła odczucie wszyst-

kich: „Nie jesteśmy godne jej posiadać.”²⁰ Pozostało tylko prosić o łaskę świętej śmierci dla s. Marii Bernardy.

Siostrę, która leżała obok niej, 25 października przeniesiono gdzie indziej: chciano jej oszczędzić zbyt przykrego widoku. Pod wymienioną datą czytamy w dzienniku klasztornym te nabrzmiałe bólem zdania:

„Nasza kochana siostrzyczka Maria Bernarda jest ciężko chora. Udzielono jej sakramentu ostatniego namaszczenia.”

Za radą ojca Douce'a, marysty, kapelana domu macierzystego i spowiednika zwyczajnego s. Marii Bernardy, który ją przygotowywał na śmierć, chora wyraziła pragnienie złożenia ślubów przed śmiercią. O tym samym myślała też przełożona generalna. Prawda, że chora zaledwie trzy miesiące przebywa w nowicjacie, lecz przecież to jasnowidząca z Lourdes! Matka Józefina Imbert niezwłocznie zbiera swą radę, która zgodnie wyraża opinię, że uprzywilejowane dziecko Maryi powinno należeć do zgromadzenia. Potrzeba jeszcze pozwolenia biskupa. I owszem, nie tylko zgadza się, by s. Maria Bernarda złożyła śluby zakonne *in articulo mortis*, lecz rezerwuje sobie łaskę ich przyjęcia. Przybywa więc co prędzej w towarzystwie wikariusza generalnego.

Lekarz oświadczył, że chora nie przeżyje nocy. Jest około siódmej wieczorem. Biskup więc natychmiast udaje się do niej; za nim podąża przełożona generalna i jej asystentki oraz mistrzyni. Umierająca jest w „pełni przytomności”²¹.

„Zastałem ją — pisze bp Forcade — ciężko oddychającą, niemal rżącą. Przed chwilą wyrzuciła z siebie kuwetkę krwi, która jeszcze stała koło łóżka.

Zbliżyłem się do niej.

— Drogie dziecko, wkrótce umrzesz, a powiedziano mi, że pragniesz złożyć profesję. Oto jestem, by ją przyjąć.

A ona głosem zamierającym odpowiada:

— Nie będę mogła wymówić formuły... Brak sił...

— To nie przeszkadza. Wypowiem ją za ciebie. Wystarczy, że dodasz: Amen.

Biskup wymawiał powoli:

„Ja, siostra Maria Bernarda, pragnąc poświęcić się służbie Bogu i dziełom miłości w zgromadzeniu Sióstr Miłości i Wychowania Chrześcijańskiego, założonym w diecezji Nevers, ślubuję zachować ubóstwo, czystość i posłuszeństwo w sposób objaśniony w regułach tegoż zgromadzenia, zatwierdzonego przez Ojca świętego. Proszę Pana naszego, Jezusa Chrystusa, za pośrednictwem Przenajświętszej Dziewicy, Matki mojej, o łaskę wiernego wypełniania tych zobowiązań.”

S. Maria Bernarda, która słuchała formuły swych ślubów „z anielskim zapałem”²², całe serce włożyła w swoje zakończenie: „Amen”. Natychmiast przełożona przybrała jej czoło w etaminowy welon, a mistrzyni

wsunęła w jej złożone ręce krucyfiks profesyjny oraz ułożyła na łóżku różaniec i regułę.

„Skierowałem do niej — kończy biskup — kilka słów zachęty, pobłogosławiłem ją, poprosiłem, by nie zaponinała o mnie w niebie, i oddaliłem się wzruszony, gdyż sądziłem, że już jej nie zobaczę żyjącej.”

Po tej patetycznej scenie nastąpiło zdarzenie, które historyk zobowiązany jest przedstawić w właściwym świetle.

Po odejściu biskupa i wikariusza generalnego przełożona i mistrzyni nowicjuszek zostały oczywiście w infirmerii. „Zaledwie wyszedł — opowiada bp Forcade — konająca odzyskała mowę... S. Maria Bernarda powstała ze swej śmiertelnej choroby — jak potem wykazało doświadczenie — zupełnie nagle. W chwili, gdy mniemano, że odda ostatnie tchnienie, stwierdzono ze zdumieniem, że wraca jej życie...”²³

Jakież oświecenie otrzymała ona w toku tego poświęcenia się, które uważano za ostatnie i najwyższe? Nie wiemy. Faktem jest tylko, że gdy matka Vauzou wyraziła postanowienie pozostania przy niej przez noc, ona rzekła do niej z uśmiechem: „Ja nie umrę tej nocy.” Określiła dokładnie: „tej nocy”, jutro bowiem należy do Boga. O pozwolenie złożenia ślubów prosiła w dobrej wierze, bo wtedy istotnie myślała, że umrze. Potem zaś w jakiś tajemniczy sposób dowiedziała się o odroczeniu; nie wiedziała wszakże, czy nie skończy o świtaniu.

Matka Józefina Imbert aż podskoczyła, gdy usłyszała oświadczenie jasnowidzącej. Nie zapytała się jej, czy miała tę pewność już przed wysłaniem gońca do biskupa, czy też nabrała jej dopiero po złożeniu ślubów, lecz od razu zaprotestowała: „Jak to, siostra wiedziała, że nie umrze tej nocy, a nie powiedziała! I tym sposobem naraziła ekscelencję na fatywę o tej niestosownej porze, a nas nabawiła takiego kłopotu. Co za głuptasek z siostry! Oświadczam, że jeśli siostra jutro nie umrze, zabiorę siostrze welon profeski, który przed chwilą otrzymała, i odeślę do nowicjatu ze zwykłym welonem nowicjuszki.”

Należy przypuszczać, że obdarzona intuicją s. Maria Bernarda w słowach tych widziała tylko wymówkę, jaką czyni matka córce, groźbę czyśto werbalną. Dlatego ta bura wcale jej nie zaniepokoiła. „Zachowując spokój i uśmiechając się w dalszym ciągu — pisze dalej bp Forcade — odpowiedziała: «Jak matka uzna za słuszne, niech tak postąpi.»”²⁴

Pozostała przy łożu sama tylko infirmerka, która zostawiła chorą w spokoju, by odpoczęła. Istotnie, s. Maria Bernarda zasnęła, a w każdym razie wydawała się pogrążona w głębokim skupieniu.

Okolo godziny 4 odezwała się tonem żartobliwym do siostry czuwającej: „Siostrze Emilio, czuję się lepiej. Pan Bóg mnie nie chciał. Doszłam aż do bramy, lecz On mi rzekł: Idź sobie: jeszcze za wcześnie.”²⁵ Był to zwykły żart czy też raczej przysłonięte zwierzenie rzucające pewne światło na dziwną przepowiednię wczorajszego wieczoru?

Tego dnia i dni następnych matka Teresa Vauzou posyłała grupkami

swoje nowicjuszki odwiedzić powracającą do zdrowia. Kilka nowo przybyłych widziało ją po raz pierwszy. Były zdumione, widząc wczorajszą umierającą tak rozradowaną i tak ożywioną. Ona zaś w prostocie serca pokazywała towarzyszkom krucyfiks, koronkę, podręcznik, regułę — wszystko ułożone na nowym welonie.

— „Ach, złodziejka! — zawołała uśmiechając się s. Karola Ramillon.

— Niech będzie złodziejka! — odparła szczęśliwa profeska. — Lecz tymczasem rzeczy te są moje; pilnuję ich. Należę do kongregacji i nikt nie będzie mógł mnie wydalic!”²⁶

IV

ZMIANY W MISTRZYNI NOWICJUSZEK

W kronice Saint-Gildard pod datą 26 października czytamy: „Od tego dnia naszej kochanej chorej jest lepiej.” Zachowało się także świadectwo nowicjuszki Łucji Cloris, która tak zeznała: „Bóg, nie chcąc dłużej wystawiać nas na próbę, wysłuchał wreszcie naszych modlitw. Nasza dobra siostra zaczęła mieć się lepiej i w końcu całkiem wyzdrowiała ku wielkiej radości naszych matek i całej społeczności klasztornej, a zwłaszcza nowicjatu.”¹

S. Maria Bernarda powróci do swoich towarzyszek znacznie później, niż one sobie wyobrażały. Pora roku była bardzo zimna: rekonwalescentka raz czuła się lepiej, to znów gorzej. Lekarz zakazał jej powrotu do życia wspólnego, dopóki się nie ociepli. Oświadczył jednak, że w chwilach znacniejszego polepszenia może przechadzać się po krużgankach, chodzić do kaplicy na nabożeństwa, nawiedzenia Najświętszego Sakramentu, nauki itp.

Mimo wszystko s. Maria Bernarda odczuwa przykre osamotnienie w murach tego szpitalika. Co wieczór wydaje się jej, że nazajutrz będzie miała dosyć siły, by powrócić do ukochanego nowicjatu, lecz rankiem nowe rozczarowanie... I tak zda się bez końca. W jakiż sposób ta żywa, „wibrująca” natura mogła w takich warunkach opanowywać przytłaczające poczucie bezsilności, unikać zniechęcenia, które na nią czyhało? Na pytanie to możemy odpowiedzieć dzięki świadectwu innej nowicjuszki, siostry Marceliny Lannessans, która chorowała w szpitaliku św. Józefa od 14 sierpnia 1866 r. do początku lutego 1867 r. Oto, jak jej towarzyszka walczyła przeciw depresji moralnej pracą, lekturą i modlitwą:

„Była wrogiem bezczynności i rozwijała intensywną działalność, gdy tylko zdrowie jej pozwalało. Dlatego, chociaż sama chora, jeśli tylko mogła wstać, natychmiast posługiwała innym...

Najchętniej czytała o Eucharystii i męce Pana Jezusa. *Nowy Testament* i *Naśladowanie Jezusa Chrystusa* to jej ulubione książki”.

W te dni, na pozór tak posepne, umiała zachować całą świeżość i cały zapał swej pobożności. „Lubiłam patrzeć, jak ona się modli — ciągnie dalej s. Marcelina — gdyż modliła się jak anioł... Jej miłość do Pana Jezusa ujawniała się przede wszystkim podczas komunikowania. Oczy miała wtedy spuszczone, twarz jej bladła i przemieniała się, jaśniała niebiańską pięknnością.” Nie wiadomo, czy robiła to w intencji tych, co prosili klasztor o modlitwy, czy też z własnej pobożności, dość, że „często odprawiała nowenny. Razu pewnego zauważyłam, że odprawiając nowennę do Matki Bożej, klęczała przed figurą św. Józefa. Rzekłam jej więc; Siostra się pomyliła, bo modli się do Najświętszej Panny, a klęczy przed św. Józefem. Ona zaś na to: «Najświętsza Panna i św. Józef są w doskonałej zgodzie. W niebie nie ma zazdrości.»”²

Zmuszona oddalić się z nowicjatu, nie przestaje żywo interesować się jego życiem, a nawet nowymi powołaniami. Pewna pani z Laval prosiła ją, by jej wymodliła łaskę wspaniałomyślnego złożenia Bogu wielkiej ofiary. Bernadetta odpowiedziała jej 7 grudnia z klasztornej szpitalika:

„Jakże ja się cieszę, że Córka Pani wkrótce przybędzie do naszego nowicjatu, tego drugiego i świętego schronienia, w którym doświadcza się tyle słodkiej radości pod kierownictwem tej, która jest dla nas czułą i oddaną matką.”

O swojej rodzonej matce często myśli. Przypuszcza, że siły ją opuszczają. Lecz Tosia, Janek i ciotka Bernarda, którzy z nią korespondują, ukrywają przed nią prawdę. Listy ich są więc uspokajające. Około 10 grudnia nadchodzi z Lourdes nowa wiadomość, tym razem — niestety — zbyt prawdziwa: siostry lurdzkie zawiadamiają przełożoną generalną o śmierci Ludwika Soubirous. Biedaczka cherlała całymi miesiącami, lecz ledwie na piętnaście dni przed śmiercią zdołano ją nakłonić, by się położyła. „W uroczystość Niepokalanego Poczęcia — opowiada s. Wiktoryna — przed nieszporymi wstąpiłam do matki Bernadetty, o której wiedziałam, że jest ciężko chora. Mówiłam o jej droгим dziecku. Przed odejściem — gdy zadzwoniono na nieszpory — powiedziałam, że napiszę do Bernadetty w jej imieniu. Biedna umierająca wyrazistymi znakami dała mi do zrozumienia, że moja propozycja jest jej miła i że mi dziękują. Po nieszporych zaszłam do Soubirous. Ludwika była już na innym świecie.” Zgasła, przeżywszy 41 lat i 2 miesiące.

Aby nie narażać tak kochającego serca na zbyt silną próbę, powiedziano zrazu s. Marii Bernardzie, że jej matka jest ciężko chora. Natychmiast „poprosiła, by jej pozwolono pomodlić się w kaplicy”³. Gdy wreszcie uznano za konieczne nie ukrywać prawdy — opowiada jedna z jej

towarzystek — „boleść jej była tak wielka, że zemdląca. Wkrótce jednak przysłała do siebie, zebrała swe siły duszy i zamiast się zniechęcać, błogosławiła Panu.”⁴

Pragnęła dokładnie wiedzieć, kiedy nastąpiła śmierć matki. Odpowiedziano jej, że matka oddała Bogu ducha 8 grudnia między drugą a trzecią po południu, gdy w krypcie nad Grotą odbywała się pierwsza procesja na cześć Niepokalanej. Wtedy Bernadetta zawołała: „Tym lepiej, bo jest już w niebie!”⁵

•

W kilka dni po Matce Bożej Gromnicznej s. Maria Bernarda powróciła do swych towarzyszek. Ponieważ normalne śluby roczne przypadały jej dopiero za 7—8 miesięcy, wzięła z powrotem welon nowicjacji.

„Dom Boży... pobożne i święte schronienie... drogie i święte schronienie...” — nie wiedziała, jak wyrazić swoją miłość dla nowicjatu. Czuli się szczęśliwi, że znów jest w tym miniaturowym klasztorze, który ma własny regulamin i zwyczaje — i dzwonek, który wzywa na nieco odmienne ćwiczenia.

Nowicjat zajmuje całe północne skrzydło domu macierzystego. Z jednej strony sal nowicjackich biegnie krużganek, którym nowicjuszek przechodzą do kaplicy i refektarza, wspólnego dla całego domu. Przed krużgankiem rozciąga się taras ozdobiony drzewami i kwiatnikami, skąd widać rozległe ogrodzone pola uprawne. Druga strona, bardziej tajemnicza, wychodzi na ogród — czarującą oazę z cienistymi alejkami, zdobną zielenicami, klombami kwiatów, gaikami krzewów — istny raj ziemski, gdzie postulanki i nowicjuszek, niedostępne niedyskretnym spojrzaniom, mogą z weselem i miłością czerpać zdrowie i rozwijać sprawność fizyczną. W środku ogrodu wznosi się figura Matki Bożej Zwycięskiej, którą — ze względu na łaskę otrzymywaną u Jej stóp — nazywa się tu Matką Bożą Mocy.

Przez czas choroby s. Marii Bernardy miejsce zebrań nowicjuszek — sala św. Gertrudy — nic się nie zmieniło: te same czarne stoły z fajansowymi kałamarzami; te same olbrzymie biurko z jasnego dębu, stojące pod ścianą, przy którym królowała matka Teresa Vauzou; na ścianach portrety dom de Laveyne'a i matki Marii Scholastyki Marchangy — wszystko to oświetlone czterema oknami, przez które widać, jako niemą zachętę, figurę Matki Bożej Zwycięskiej.

Matka Eleonora Cassagnes⁶, sekretarka generalna zgromadzenia, świątobliwa zakonnica, która od razu uległa urokowi nadprzyrodzonej jasnowidzącej z Lourdes, powiedziała, że „nowicjat s. Marii Bernardy upłynął bez żadnego nadzwyczajnego wydarzenia. Gorliwa i regularna, gubiła się pokornie wśród towarzyszek; była prawdopodobnie najbardziej ukryta z nich wszystkich”⁷.

Cała oddana pracy nad własnym urobieniem zakonnym, szczerze dąży do świętości. Otóż doskonałość osiąga się za cenę ustawicznych wyrzeczeń i poświęceń, co z kolei wymaga długotrwałej i wielkiej odwagi. Biedna siostrzyczka Maria Bernarda! Ledwie oddaliła się choroba, a już nadchodzi próba moralna, która ją dotknie do żywego.

*

Skoro tylko powróciła do swych towarzyszek, natychmiast wyczuła, że zmieniło się serce matki mistrzyni, że już nie ma ona dla swej nowicjuszki tych uczuć, co pierwiej... Dlaczego to nieoczekiwane oziębienie stosunku względem jasnowidzącej z Lourdes?

Matka Maria Teresa Vauzou — według powiedzenia jej dawnej sekretarki, matki Marii Teresy Bordenave — miała namiętność urabiania dusz. Umiała znaleźć dluto stosowne dla każdej i zręcznie się nim posługiwać. Względem Bernadetty stosowała nadzwyczajną surowość.⁷⁸ To, że — aby utrzymać jasnowidzącą w pokorze — mistrzyni nowicjuszek przeciwważyła upokorzeniami chwałę massabielskich wizji, tego nie można jej wziąć za złe: podobno metoda nie sprzeciwia się nauce autorów duchownych. Lecz surowość i chłód — to dwie rzeczy całkiem różne. Gdy dziecko o szczerym sercu czuje, że się je karci z miłości, wtedy jeśli cierpi, to tylko z powodu kary a nie rozmyślnej surowości matki; przeciwnie, jeśli czuje, że kara jest skażona jakąś nieżyczliwością, zwłaszcza jeśli spostrzega, że inne dzieci w rodzinie traktowane są z widoczną miłością, sprawia mu to o wiele większą przykrość, ponieważ stosunek matki wydaje się mu nacechowany brakiem serca.

Czyż to możliwe, żeby los tego rodzaju przez dziesięć lat był udziałem s. Marii Bernardy, zrazu nowicjuszki, potem profeski? Tak. A czy to było dla nie niedolą? Nie, lecz prawdziwym szczęściem. Przyszłość to wykaże.

Mistrzyni, jak już wiemy, chciała, żeby nowicjuszki miały dla niej serce szeroko otwarte. Gdy „powiernica Niepokalanej” opuściła szpitalik, mistrzyni powiedziała sobie, że nadszedł wreszcie czas poznania tej wyjątkowej nowicjuszki, której zwykła rezerwa dziwiła ją, lecz na razie jeszcze nie uraziła. Otóż trzeba przyznać, że s. Maria Bernarda na razie nie bardzo żywo reagowała na te względy. Matka Teresa Vauzou czuje się zatrzymana na progu tej duszy. Stąd przykre konsekwencje. Nie poznała jej. I z tego powodu gorycz i rozdrażnienie. Wyobrażając sobie, że jej zapal spalił na panewce jedynie z winy nowicjuszki, uznaje za obojętność i niedelikatność to, co u tamtej było tylko rezerwą albo nadprzyrodzoną roztropnością.

W Bernadecie zaznaczają się dziwne przeciwieństwa: nie zadrżała przed komisarzem policji, żandarmami, prokuratorem cesarskim; w szkole sióstr lurdzkich była wesoła i spontanicznego usposobienia, w nowi-

cyjacie podczas rekreacji okazuje się taka sama: zachowała więc duszę dziecka. Ale któż na ziemi dokładnie zbadał głębie duszy, w której odbiło się niebo? Dawniej, w przytułku lurdzkim, Bernadetta nie ukrywała, że pragnie żyć w zakonie. Lecz dalej się nie posunęła: nie odkryła swych najskrytszych myśli nikomu, nawet usłużnej s. Eleonorze Cassagnes, którą uważano za jej powiernicę i przyjaciółkę⁹. Wyznania, które s. Eleonora zdolała uzyskać, potwierdzają tylko działanie łaski w tej zamkniętej duszy. Jeśli zaś chodzi o matkę Teresę Vauzou, to rzecz by można, że wobec niej s. Maria Bernarda traci część samej siebie.

Właściwie zaś to w tym okresie życia zakonnego młodziutka nowicjuszka nie miałyby wiele do powiedzenia o swym życiu wewnętrznym: to jeszcze bez historii. Na razie żadnych znaczniejszych pokus do zwalczania, żadnych niepokojów moralnych czy opuszczenia przez Boga... Duchowość jak najprostsza, sumienie jasne jak promień słońca.

A może s. Maria Bernarda, nie będąc — mimo twierdzeń matki Teresy Vauzou — nowicjuszką taką samą jak inne, jest nieufna pod jakimś szczególnym względem? Istotnie, wiemy przecież, że Najświętsza Panna zapieczętowała jej usta u grotty: trzy sekrety, tajemnicza modlitwa przeznaczona dla nie samej, prawdopodobnie i inne jeszcze rzeczy czyśto osobiste, pewne wskazówki dotyczące jej przyszłości... Gdyby pozwoliła przełożonej mającej tak wielką władzę, wdrzeć się do tajników swej duszy, z czasem byłaby zmuszona nie ukrywać tego, czego nie miała prawa wyjawiać żadnemu stworzeniu.

Jakkolwiek by było, zdaniem świadka najlepiej poinformowanego „matka Maria Teresa Vauzou, której przenikliwe oko często czytało w sercach jej córek, nigdy nie odkryła nadprzyrodzonych bogactw duszy tej nowicjuszki”¹⁰ Przeciwnie, uznając wprawdzie zalety rzucające się każdemu w oczy, starała się wykrywać braki. A ponieważ „pobożność swych córek oceniała według ich zwierzeń z życia wewnętrznego”¹¹, dlatego w s. Marii Bernardzie, zbyt dyskretniej, widziała nieuchronnie nowicjuszkę bez wielkiej wartości i szczególnych cech. „Ani uniesień, ani zachwyków — napisał bp Forcade — ani nawet pobożnych ćwiczeń czy umartwień poza tymi, do których zobowiązywała reguła.”¹² Dla matki Teresy bladł, gasł blask massabielski, który zrazu w jej oczach przemieniał jasnovidzącą. Jej własny entuzjizm zanikł, a entuzjizm nowicjuszek zaczął jej się nie podobać.

Nad wewnętrzną życie s. Marii Bernardy mistrzyni o wiele więcej cenila np. mistyczne zachowanie się swojej zastępczyni „s. Marii Angeli Graffeuil, duszy uprzywilejowanej — jak się wyraża matka Teresa Bordenave — która ustawicznie żyła z Jezusem w Ogrodzie Oliwnym i której Bóg udzielił daru łez. Nasza matka robiła porównania i stwierdziła, że pobożność s. Marii Bernardy jest zwykła a Marii Angeli nadzwyczajna...”¹³

Wobec tego, co wyżej powiedziano, nasuwa się pytanie, czy matka

Vauzou nie przestała wierzyć w widzenia Bernadetty. „Słyszałem — mówi pewien zakonnik — że niewiele cenila sobie Lourdes, dokąd wszakże ze zrządzenia Bożego miała przybyć, by umrzeć.”¹⁴ Aby zrozumieć tę uwagę, trzeba się cofnąć do lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Otóż w epoce, kiedy Bernadetta odbywała nowicjat, po wydarzeniach massabielskich upłynęło zaledwie lat osiem; była to era, w której wahania, dyskusje i przeczenia jeszcze nie ucichły. Zresztą ponieważ nabożeństwo do Matki Bożej Lurdzkiej bynajmniej nie było jeszcze obowiązkowe, matka Teresa szła za głosem swego serca, które „skłaniało ją do tajemnicy boleści” Maryi¹⁵.

Oczywiście, nie wątpiła w prawdomówność Bernadetty wówczas, gdy z góry cieszyła się, że będzie „widziała oczy, które oglądały Najświętszą Pannę”. Jednakże czasem w przyszłości pewne drugorzędne szczegóły będą ją wprawiały w zakłopotanie. Poszukuje więc. Chciałaby mieć — jak ks. Peyramale — pewne dowody namacalne. „Jednego razu z miną zamyśloną” rzekła do matki Teresy Bordenave: „A jednak róża nie zakwitła!” Następnie zaś, jakby poprawiając się, dodała: „Najświętsza Panna wyborem tego miejsca dowiodła, że ma dobry gust.”¹⁶

Jeszcze za życia Bernadetty, we wrześniu 1875 r. — z okazji sakry udzielanej w Lourdes księdzu Ladoue, wikariuszowi generalnemu z Auch, który w Nevers zastąpi biskupa Forcade'a — matka Teresa Vauzou ukłęknie u grotty. W trzydzieści dwa lata później, leżąc w lurdzkim sierocińcu Maryi Niepokalanej na łożu, z którego już nie powstanie, poprosi o ostatnią pociechę — o przeczytanie jej opowiadania objawień. 15 lutego 1907 r. odda Bogu ducha, wzywając Matkę Bożą Lurdzką.

Zanim jednak nastąpi ta naprawa i ten hold, matka Teresa Vauzou nie tylko będzie usuwała „uprzewilejowane dziecko” Maryi w cień — co by wystarczyło — lecz nadto będzie je poniżała. Razu pewnego gdy w sali nowicjackiej wyjaśniała katechizm, siostra Maria Bernarda, siedząc z całą prostotą na estradzie jej biura, łątała ubranie. Po konferencji mistrzyni odzywa się, niemal szorstko, do s. Bernardy Dalías: „Dlaczego siostra tak patrzyła na s. Marię Bernardę? — Myślałam wtedy, że matka musiała być bardzo szczęśliwa, mając Bernadettę tak blisko siebie. — Ależ ja bym była równie szczęśliwa, mając przy sobie którąkolwiek z was. Bernadetta jest na drodze zwykłej”.¹⁷

„Droga zwykła...” Na ustach matki Teresy Vauzou znaczyło to, że skończył się dla Bernadetty okres nadzwyczajnych łask, że zniżyła się ona do poziomu zwykłych śmiertelniczek, z którego już się nie wydzwignie. Zresztą okoliczności i ton, którym te słowa były wypowiedziane, nadają im charakter uwagi nieprzychylniej. „Wyrażenie: »droga zwykła« było — jak wyjaśnia rozumna matka Bordenave — rodzajem frazesu oklepanego, który mimo wszystko tkwił w umyśle matki Teresy Vauzou”.¹⁸

Mistrzyni nie tylko że zalety młodej nowicjuszki widziała w fałszy-

wym świetle, ale nadto poczęła powiększać jej braki. „Gdy braknie sympatii — zauważył pewien zakonnik, dobrze obeznany z tymi zagadnieniami — jakże łatwo jest powiększać wady rzeczywiste i dodawać do nich urojone!”¹⁹

Pewna spostrzegawcza zakonnica wyłuszcza jedną z przyczyn — czy nie główną — które wypaczyły sąd mistrzyni o Bernadecie i oziębily jej uczucia dla tego dziecka. Bernadetta „bez wątpienia nie miała tego sztucznego wychowania, które się otrzymuje w świecie, lecz otrzymała takie, jakie się widzi u pewnych wieśniaków, odznaczających się rozsądkiem i cnotą. Jest to urobienie pochodzące od wewnątrz i takie niewątpliwie ma największą wartość. Mówię jasno, że nasza mistrzyni nowicjuszek nie znalazła w siostrze Marii Bernardzie tego szczególnego rodzaju dystynkcji, tej polityry, która, sędzę, miała dla niej wielkie znaczenie. Oto, być może, jeden z powodów (są bowiem i inne) uniemożliwiających mistrzyni właściwą ocenę Bernadetty.”²⁰

Już od nowicjatu publicznie uwypuklała różnicę między wychowaniem Bernadetty a wychowaniem jej przełożonych i towarzyszek. S. Stanisława Paschal opowiada, że z jakiejś okazji²¹ „losowano figurkę św. Germany Cousin. Wygrała ją s. Maria Bernarda. Wtedy matka Teresa Vauzou odezwała się tonem ironicznym: «Pasterka mogła się dostać tylko w ręce pasterki».”²² Innym razem — według tego samego świadka — lektorka doszła do „miejsca, w którym była mowa o pewnej osobie bardzo niskiego stanu, obdarzonej przez Boga nadzwyczajnymi łaskami. Wtedy mistrzyni zwróciła się ku s. Marii Bernardzie i powiedziała, że Bóg zawsze bardzo nisko trzyma tych, których chce obdarzyć łaskami.”²³

Miesiące, być może — lata całe po śmierci Bernadetty, mistrzyni nie będzie się krępowała mówić o dawnej pastuszce z Bartrès: „Och, to była mała wieśniaczka!”²⁴ W tym lekceważącym powiedzeniu było sporo prawdy. W Bernadecie życie zakonne nie zmieniło natury Pirenejki: mimo że była samą prostotą i pokorą, pozostała jej „wrodzona żywość”⁴⁵ z trudną do określenia dumą rodową, dumą rodziców, którzy aczkolwiek popadli w nędzę, nigdy nie zniżyli się do tego stopnia, by przyjąć nie zarobiony grosz.

Stąd w razie niespodziewanej przeciwności — żywa reakcja jej wrażliwej natury, te „pewne wybryki charakteru, które zresztą natychmiast pokornie naprawia”²⁶; stąd — jak przedstawia matka Teresa Bordenave — te „nieczęste cięte odpowiedzi, pochodzące po trosze z temperamentu pirenejskiego, czasami dość skorego do odbijania ciosów”²⁷.

O. Karol Peyrard, który miał dar wywoływania zwierzeń matki Vauzou w czasie, gdy już była przełożoną generalną opowiada: Razu pewnego rzekłem jej, że radbym usłyszeć „te odpowiedzi s. Marii Bernardy, których ton pozwalałby jej przypuszczać, iż nie pochodzą one od osoby świętej. Przytoczyła mi je, lecz ich nie zanotowałem. Zwróciłem wszakże matce uwagę, że w tych odpowiedziach nie było nic nagannego i że wi-

działem w nich jedynie różnicę między wychowaniem jej własnym a wychowaniem nowicjuszek. Moim zdaniem matka przywiązywała zbyt wielkie znaczenie do kwestii formy. Porównałem w myśli Bernadettę do Joanny d'Arc i doszedłem do wniosku, że matka Teresa Vauzou uznałaby Joannę d'Arc za źle wychowaną.”²⁸

Te spontaniczne odpowiedzi, którymi mistrzyni nadmiernie się przejmowała, były niewątpliwie rzadkie; jedna lub dwie zachowały się do naszych czasów. Wkrótce po powrocie s. Marii Bernardy do nowicjatu matka Teresa Vauzou, tłumacząc na swój sposób „częste kucie”, o którym mówi hymn „Fabri polita malleo”, rzekła do niej: „Teraz możemy siostrę obrabiać.”²⁹ Na to nowicjuszka odpowiedziała: „Mam nadzieję, że matka będzie to czynić delikatnie.” Innym razem zebrała się grupa zakonnic, a między nimi s. Leontyna Villaret, nauczycielka pensjonatu Najświętszej Maryi Panny, by „złożyć uszanowanie matkom w sali klasztornej”. Do grupy tych sióstr przyłączyła się, mimo choroby, s. Maria Bernarda, która wtedy była już profeską. Otóż matka Vauzou, spotkawszy ją na krużganku, rzuciła jej „jakieś uszczypliwe słówko”. Na to Bernadetta zawołała: «Och, наша mistrzyni!...», jakby chciała powiedzieć: «Nasza mistrzyni zawsze znajdzie coś dla mnie.» Tak przynajmniej zrozumiałam jej odpowiedź — tłumaczy s. Leontyna. Wtedy matka Teresa Vauzou dodała: «Ach, dotknęliśmy tę małą miłość własną!»³⁰

„Miłość własna — zapewnia św. Franciszek Salezy, ten bardzo doświadczony psycholog — umiera dopiero z naszym ciałem.”³¹ Ta zbyt pochlebna opinia, jaką człowiek ma o sobie samym, jest pozostałością grzechu pierworodnego. Czy miłość własna jest bardzo widoczna u Bernadetty? Całe jej życie dowodzi czegoś wręcz przeciwnego, a matka Vauzou jest bez wątpienia pierwszą i jedyną, która w niej widziała tę słabość w stopniu nagannym. Zresztą swoje sądy opierała ona na bardzo kruchych podstawach. W grudniu 1906 roku, na dwa miesiące przed śmiercią, rozmawiała o s. Marii Bernardzie z matką Henryką Fabre, która przybyła do Lourdes ją odwiedzić. W rozmowie tej rzekła m. in.: „Strona naturalna uwydatniała miłość własną.”

„Ale — wyjaśnia matka Henryka Fabre — matka Maria Teresa na dowód opowiedziała mi tylko jedno wydarzenie, które zaszło podczas rekreacji. Otóż gdy jedna z sióstr zarzuciła s. Marii Bernardzie, że ma miłość własną, s. Bernarda nakreśliła ręką koło na piasku i — włożywszy w nie, energicznym ruchem, palec wskazujący drugiej ręki — rzekła: «Niech ta, co nie ma miłości własnej, włoży tu palec.»³²

Nigdy — zapewnia z kolei matka Bordanave — nigdy matka Teresa Vauzou nie mogła przytoczyć innego faktu; gdyby był, zapewne by go nie ukrywała.”³³

Ze zbliżaniem się profesji, mistrzyni i jej pomocnice porównują i uzgadniają swoje spostrzeżenia o każdej z nowicjuszek, wskazując — obok zalet — wady, z których mają się poprawić. Matka Vauzou w swoim

tajnym notesie zapisała o s. Marii Bernardzie: „charakter sztywny, bardzo drażliwy, skromna, pobożna, oddana, dbała o porządek.” A więc przygany i pochwały. Ujawniając te określenia, matka Bordanave uznała za konieczne złagodzić surowość dwu pierwszych — jej zdaniem nadmierną.

„Szywny. Jest to w pewnym stopniu cecha temperamentu pirenejskiego, szczególnie w Hautes-Pyrénées...

Bardzo drażliwy. Moim zdaniem należałoby powiedzieć: bardzo wrażliwy”...³⁴

Lecz czyż u źródeł tego „braku sympatii” było tylko niezrozumienie ze strony matki Teresy Vauzou? Oto już przykro jej, że s. Maria Bernarda, jest wobec niej tak skrepowana, a tak swobodna z matką Natalią Portat, asystentką, i z matką Eleonorą Cassagnes, sekretarką przełożonej generalnej: więc ona — wbrew nadziei — nie jest pierwsza w sercu lurdzkiej jasnowidzącej, tej córki młynarza, która pod jednym względem ją przewyższa, pod tym mianowicie, że jest jedną z najświetniejszych osobistości w świecie katolickim. Matka Józefina Forestier nie obawiała się powiedzieć: „Zastanawiam się, czy — ze względu na swą naturę — nasza matka Maria Teresa nie wyobrażała sobie, że Bernadetta zacienia ją swoją powszechną sławą religijną.”³⁵ Czyż matka Vauzou nie zdradziła się sama, gdy będąc przełożoną generalną zwierzyła się matce Bordenave, swej sekretarce: „Nie rozumiem, dlaczego Najświętsza Panna pokazała się Bernadecie. Przecież było tyle innych tak delikatnych, tak dobrze wychowanych!... Zresztą...”³⁶ Westchnienie, które ma swą wymowę.

W celu rozwiązania tej zagadki niezrozumienia poważni świadkowie zmuszeni byli twierdzić, że takie było dopuszczenie Boże. Posłuchajmy jednego z najwnikliwszych:

„Gdyby matka Maria Teresa Vauzou mogła była wniknąć w tę duszę szczególnie wysubtelnioną tak poufałym obcowaniem z rzeczami nadprzyrodzonymi w grocie objawień, byłaby zachwycona jej ścisłym i trwałym zjednoczeniem z Bogiem, jej ukochaniem cierpień, tym całkowitym zdaniem się na wolę Bożą, które kształtowało wewnętrzne życie s. Marii Bernardy.

Sługa Boża taka, jak ją tu przedstawiłam, ukazuje mi się w świetle gruntownej analizy jej życia.

Że te fakty, choćby nawet częściowo, uszły uwagi osoby tak doświadczonej w prowadzeniu dusz, jaką była matka Maria Teresa, byłoby dla mnie tajemnicą, gdybym w tym nie widziała miłości Bożej pragnącej przekształcić swą służkę.

Jeśli się staram tak głęboko wniknąć w zagadnienie, to tylko dlatego, że w sumieniu — przed Bogiem — czuję się zobowiązana wyjaśnić w pewnej mierze stosunek matki Marii Teresy do jej nowicjuszki i sąd, jaki o niej wydała pod koniec nowicjatu.”³⁷

Powyższe wypowiedzi wskazują, że matka Bordenave jest obeznana z życiem duchowym, że wie o istnieniu doświadczeń i fizycznych, i mo-

ralnych, których celem jest oderwanie duszy od wszystkiego, co nie jest Bogiem. Wypowiedzi te dowodzą również, że — według słów św. Pawła — Bóg pomaga osiągnąć dobro tym, co Go miłują³⁸, to jest — jak w tym wypadku — tak dysponuje okolicznościami i ludźmi, że służą Jego sługom.

A zatem klucz do zagadki stosunku mistrzyni do nowicjuszek znajduje się w tym zdaniu, tak prostym i tak zarazem głębokim, napisanym w epoce, kiedy Bernadecie miano oddać najwyższą sprawiedliwość: „Aby zostać świętą, nasza siostrzyczka najpierw poddała się urabianiu Najświętszej Panny, potem mistrzyni nowicjatu, a w końcu się upokarzała.”³⁹

V

MECZENSTWO SERCA

Po czym s. Maria Bernarda poznała, że serce mistrzyni się zmieniło?

Och, żadnych zbyt żywych wybuchów, żadnych wyjątkowych skarceń; tylko słowo, co rani; gest, co odpycha; milczenie, co karze... Ale posłuchajmy raczej wyznań samej matki mistrzyni, która przeżywa swoje wspomnienia w lurdzkim sierocińcu, dokąd ją wysłano, by tam w spokoju i na modlitwie spędziła resztę dni swego życia: „Kiedykolwiek miałam coś do powiedzenia siostrze Marii Bernardzie — zwierzy się ona przed s. Leontyną Villaret — skłonna byłam powiedzieć to w sposób cierpki.”¹

Wydaje się jednak, że ta skłonność do cierpkości nie podpadała w równym stopniu wszystkim nowicjuszkom. S. Eugenia Calmes tylko dziwiła się temu lekko. „Słyszałam, że mistrzyni nowicjuszek była siostrze Marii Bernardzie powodem cierpień, lecz w nowicjacie tego wcale nie zauważyłam. Dziwne natomiast wydawało mi się, że tak mało ceniono służę Bożą.”² Przeciwnie, spozostzegawcza s. Aleksandra Carrière dobrze to zauważyła: „Mistrzyni nowicjatu surowo ją traktowała i chłodno do niej mówiła...”³ „Nigdy nie miała dla niej słowa zachęty”⁴ — twierdzi s. Bernarda Dalias, która jednak przesadza. „Lubiła sprzeciwiać się s. Bernardzie bardziej niż innym — oskarża s. Józefa Caldairou. Czasami słyszałam, jak mistrzyni mówiła do niej: «Siostrze Mario Bernardo, siostra ma taką a taką wadę, której powinna się wyzbycić.» Wszystkie dziwiłyśmy się tym wyrzutom, wiedziałyśmy bowiem, że na nie nie zasługuje.”⁵

Po tym wstępie lepiej zrozumiemy otwarte wyznanie matki Stefanii

Vareillaud, towarzyszki s. Marii Bernardy w Nevers, a później przełożonej sierocińca Maryi Niepokalanej w Lourdes: „Będąc jeszcze młodą i mało gorliwą nowicjuską, na widok upokorzenia, którego doznała s. Maria Bernarda, rzekłam sobie: «Jakie szczęście, że nie jestem Bernadettą!»”⁶

Nie zdarza się często, żeby nowicjuszka odkryła w mistrzyni inne pobudki działania niż wzgląd na dobro dusz. „Sądzę — oświadcza s. Bernarda Dalias — że matka Teresa, postępując w ten sposób miała na celu uchronienie Bernadetty od miłości własnej.”⁷ Spośród mniej więcej dziesięciu dawnych koleżanek nowicjackich siostry Marii Bernardy, które składały zeznania na jej procesie, pięć czy sześć użyło podobnych słów. Jednakże co najmniej jedna, mianowicie s. Walentyna Gleyrose, która w Saint-Gildard przebywała od roku 1866 do 1871 i na której „sposób odnoszenia się matki Marii Teresy do s. Marii Bernardy wywarł przykre wrażenie, uznała, że w tym odnoszeniu się widziała coś niesprawiedliwego”⁸. Zresztą s. Józefa Garnier zastanawiała się, czy matka Teresa nie postępowała w ten sposób „z jednej strony z obowiązku a z drugiej z natury”⁹.

*

Ale czy przełożona generalna i jej radne nie mogły ostudzić zapału mistrzyni?

Do tego trzeba by było, żeby władze zgromadzenia oddzieliły w niej to, co było jej „naturą”, od tego, co stanowiło jej „obowiązek”, albo po prostu żeby uznały za wskazane zmienić postanowienia, które zgodnie powzięły jeszcze przed przybyciem Bernadetty do Saint-Gildard. Znamy te wytyczne: Bernadettę należy traktować zupełnie tak samo jak inne, a nawet — jeśli by była potrzeba ze względu na zachowanie jej w pokorze — nieco surowiej niż inne. Rzeczą mistrzyni nowicjuszek było nie odstępować od tych wytycznych. I rzeczywiście, przełożona generalna i jej asystentki mogły niejednokrotnie stwierdzić, że matka Teresa Vauzou utrzymywała Bernadettę w poczuciu jej własnej miłości. Nic więc dziwnego, że cieszyła się ich zaufaniem.

A co przełożone dowiadywały się od innych nowicjuzsek? Bardzo mało. Posłuchajmy, co o tym mówi matka Bordenave: „Towarzyszki s. Bernardy miały dla niej wielką cześć, ale wczuwając się w zamiary przełożonych, ukrywały najczęściej te uczucia w głębi serca... A były też i takie — trzy czy cztery, dobrze mi znane — które — sądząc o wszystkim z góry i powierzchownie, a więc narażając się na wydawanie ocen zbyt śmiałych, jeśli nie błędnych, na przypisywanie niewłaściwych intencji — nie dostrzegały kierownictwa Bożego w sposobie postępowania przełożonych i powiększały męczeństwo serca siostry Marii Bernardy.”¹⁰

Idąc za pierwszym odruchem serca, matka Józefina Imbert byłaby

traktowała młodą nowicjuszkę jak rozpieszczone dziecko: jej zdaniem autentyczna jasnowidząca z Lourdes była najpiękniejszą duszą z całego zgromadzenia: „ona bardzo kochała swoje zakonnice, a szczególnie Bernadettę”¹¹; nigdy wewnątrznie się nie zgadzała na błędne oceny mistrzyni nowicjuszek. „Był to szeroki umysł, bardzo dobre serce.”¹² Jednakże obawiała się o pokorę ukochanej córki. W dzienniku klasztorным pod datą 14 listopada 1869 r. czytamy notatkę:

„Nasza Czcigodna Matka, troszcząc się o duszę s. Marii Bernardy, chce, żeby ona zawsze była pokorna i ukryta.”

Z tego to niewątpliwie powodu matka Józefina, wierna zresztą ustalonemu programowi, „nie objawiała jej zbyt swego uczucia”¹³. (Tak wyraża się przezornie pewien ksiądz, przyjaciel zgromadzenia.) „Jej sposób postępowania względem Bernadetty był zewnętrznie taki sam”¹⁴, jak mistrzyni nowicjatu. Według bpa Forcade’a, matka Józefina Imbert, „mimo że ją to wiele kosztowało, spełniała aż do końca (tj. przez więcej niż 10 lat) tę przykrą rolę, którą sobie narzuciła i która zresztą jest dosyć oczywistym dowodem wysokiego mniemania, jakie ten wielki umysł miał o cnotcie Bernadetty”¹⁵

Istotnie, musiała ją uważać za bardzo cnotliwą, skoro, spotkawszy ją raz na krużganku, rzuciła słowa: „Siostra się do niczego nie nadaje, nic lepszego nie zrobi!”¹⁶ Czasami też zapewne obawiała się, by jej nie okazać jakichś względów. Dnia 7 czerwca 1870 roku — opowiada s. Germana — matka przełożona, powróciwszy z Rzymu, „gdzie jej zapewne dużo mówiono o Bernadetcie... zastała na krużganku wszystkie nowicjuszki, które tam wyszły na jej powitanie. Każdą z nich ucałowała, rzucając przy tym jakieś miłe słówko. Gdy podeszła do Bernadetty, ucałowała ją, nie nie mówiąc.”¹⁷

Jednakże z tych wyżyn nie zawsze wichry uderzają na małą s. Bernardę. Nie tylko odbiera okazyjnie zachęcające uśmiechy inteligentnej matki Eleonory Cassagnes, ale nadto dozna czasami innych względów.

Gdy np. jakaś niedyspozycja zatrzyma ją w szpitaliku, matka Józefina Imbert wyzbywa się swojej taktycznej obojętności i poufale z nią rozmawia.

Razu pewnego¹⁸ zmiana powietrza okazała się pożądana dla obu. Oto, co w związku z tym czytamy w dzienniku klasztorным: „Nasza Czcigodna Matka, której zdrowie stale się polepsza, udaje się dzisiaj na przejażdżkę z kochaną s. Marią Bernardą, która również ma się lepiej. Jadą do Varennes i Fourchambault.”

Już w czasie nowicjatu matka przełożona interesuje się nią. Nie uważa jej — bynajmniej — za nieinteligentną, skoro stwierdza u niej „dość szybkie postępy w nauce”¹⁹. Podoba jej się styl s. Marii Bernardy, dlatego — nie zwalniając jej oczywiście z obowiązków nowicjackich — przeznaczają ją na kilka miesięcy do pomocy siostrze Walentynie Gleyrose, prokuratorce, która jej powierzy redagowanie listów handlowych. Po-

nieważ jednak — oświadcza s. Walentyna — nowicjuszka „nie objawiała do tego żadnego zamiłowania, lecz tylko raczej niechęć, wielebna matka kazała zatrudnić ją czym innym. Poleciałam więc jej sprawdzać i porządkować arkusze drukarskie i inne papiery”²⁰.

A oto przywilej ważniejszy i trwalszy, prawie niebywały w Saint-Gildard: Gdy s. Maria Bernarda złoży profesję, przełożona generalna upoważni ją do wchodzenia na teren nowicjatu i do spędzania rekreacji z nowicjuskami²¹.

Także i matka Maria Teresa Vauzou zwalczała czasem pokusę lekceważenia s. Marii Bernardy. Owszem, wyznaczyła jej trwałą zaszczytą funkcję. S. Stanisława Tourriol opowiada, że „w nowicjacie s. Maria Bernarda odmawiała różaniec i przewodniczyła w odmawianiu paciery”²². Co najmniej raz — 8 lipca 1867 roku — prosiła ją, by w jej imieniu odpowiedziała na list pewnej osoby wysokiego rodu²³. 27 lipca tegoż roku poleciła jej oprowadzić po klasztorze młodą postulantkę, przyszłą s. Stanisławę Paschal²⁴. Znacznie później matka Teresa Vauzou wzywa s. Bernardę do swego biura. Siedzi tam młoda panienka, cała we łzach. Mistrzynie nie może jej pocieszyć. Naraz świta jej myśl: „A może byś, droga córko, chciała widzieć się z Bernadettą?” Napięta twarz rozpromienia się. Bernadetta wchodzi:

— „Moja siostró — rzecz mistrzyni — oto dziecko, które dopiero co przyszło, a już tęskni.

— Biedna mała! — odzywa się współczująco Bernadetta.

— Siostró Mario Bernardo, ucałuj ją.”

Bernadetta zarzuciła swe ręce na szyję nowo przybyłej. Zmartwienie Ludwiki Poujade, która rychło stanie się s. Marcellą, rozplywało się w tym siostrzanym uścisku²⁵.

W jednym i tym samym spotkaniu matka Maria Teresa umie zmienić ton względem Bernadetty „z poważnego na łagodny”. Było to w roku 1869 podczas jakiegoś ćwiczenia nowicjackiego. Czytano o „nadzwyczajnych wydarzeniach lurdzkich” — prawdopodobnie z książki Henryka Lasserre’a, która właśnie niedawno wyszła. W głębi sali otwierają się drzwi. Wchodzi bohaterka książki. Ledwie robi parę kroków, gdy chłodny rozkaz mistrzyni przykuwa ją do miejsca: „Siostró Mario Bernardo, w niestosownej porze przychodzisz... Ucałuj ziemię i oddal się!” Niepożądany gość przykłada posłusznie usta do tej posadzki, o której inna siostra powiedziała: „Szukam płyty, której bym jeszcze nie pocałowała.” Po spełnieniu tego aktu pokuty, który wówczas był w powszechnym zwyczaju, s. Maria Bernarda odwraca się, by wyjść. Lecz oto rozkaz przeciwny: „Moja siostró Mario Bernardo, proszę przyjść tutaj.” Podchodzi więc, klęka przed krzesłem matki i mówi, w jakim celu przyszła (mianowicie w sprawie pewnej chorej). Po wydaniu decyzji, matka mistrzyni — opowiada siostrze, od której pochodzą te szczegóły — „położyła rękę na gło-

wie Bernadetty — co było u niej oznaką tkliwości i protekcji — i dodała: »Możesz już odejść, moja córko«²⁶

Po jakichś dziesięciu latach życia zakonnego siostry Marii Bernardy przełożone zastosowały względem niej amnestię. Widocznie stało się rzeczą oczywistą, że pycha już jej nie grozi. Jakkolwiek by było, zdarzyło się raz, że w pewnej szczególnej okoliczności matka Vauzou wyprowadziła ją z cienia. W roku 1875 podczas jakiegoś zebrania wieczornego, w którym brała udział s. Gonzaga Cointe, będąca wtedy nowicjuską, „mistrzyni poprosiła s. Marię Bernardę, by usiadła koło matek, bliżej figury Najświętszej Panny”²⁷.

Czy te ujmujące gesty ujawniają żal, choćby nawet nieznacznym? Ale przecież — jak matka Vauzou sama się przyzna rektorowi wielkiego seminarium duchownego w Nevers — jeśli „ona zdawała sobie sprawę, że czasem była twarda dla Bernadetty, to jednak sądziła, że ma słuszość i że spełnia swój obowiązek”²⁸. Czy jednak zawsze miała sumienie tak spokojne? Pod koniec swego przełożenia przypomina sobie wzruszające szczegóły ze świętego życia Bernadetty i dowiaduje się o nadzwyczajnych łaskach, cudownych uzdrowieniach, które wyprosiło wstawienie sługi Bożej. Otóż — zaświadcza matka Teresa Bordenave — „na wspomnienie swego twardego odnoszenia się do s. Marii Bernardy ogarnia ją niepokój”. Przejeżdżając przez diecezję narbońską, w toku wizytacji klasztorów w południowej Francji, postanowiła zwierzyć się ze swoich niepokojów pewnemu „świętobliwemu zakonnikowi, ojcu Janowi, którego uważano za cudotwórcę”²⁹, a który był kapelanem u cysterek w Fontfroide. Mistyk ten, przyzwyczajony wznosić się duchem ponad nędze i małości ziemskie, uznał, że niezrozumienia przełożonych wyszły tylko na korzyść Bernadecie, uspokajał więc, jak mógł, zakonnice, która otworzyła mu swą duszę.

„Rozmawiała z nim dosyć długo sam na sam w rozmownicy, a następnie poszła za nim do konfesjonału — opowiada matka Józefina Forestier, która jej towarzyszyła jako sekretarka. Po opuszczeniu klasztoru była bardzo wylewna. W drodze z Fontfroide do Narbonne powiedziała mi: «Jestem szczęśliwa, że widziałam tego świętobliwego człowieka... Obawiałam się, że byłam za surowa dla s. Marii Bernardy, i to mnie dręczyło. Opowiedziałam, dlaczego tak postępowałam. O. Jan mnie uspokoił i teraz nie mam najmniejszych obaw.»”³⁰

Wiemy już, że pod koniec jej życia, w samym Lourdes, wspomnienia o Bernadecie nie dawały jej spokoju. 5 grudnia 1906 roku, zaledwie kilka tygodni przed swoją śmiercią, jeszcze odczuwała potrzebę uniewinnienia się przed matką Henryką Fabre, która — już jako asystentka generalna — przybyła ją odwiedzić: „Bóg dopuścił, abyśmy, matka Józefina i ja, były surowe dla s. Marii Bernardy: dzięki temu wytrwała w poko-
rze.”³¹

Któż teraz nie zrozumie, czym było dla s. Marii Bernardy to „męczeństwo serca”³², o którym mówi matka Józefina Forestier?

W normalnych okolicznościach s. Maria Bernarda po złożeniu ślubów powinna była przejść pod bezpośrednią władzę matki Józefiny Imbert. Tak się jednak nie stało. „W czasie, kiedy s. Maria Bernarda była nowicjuską — wyjaśnia matka Henryka Fabre — przełożona generalna często bywała chora i ulegała wpływom matki Teresy Vauzou, i to do tego stopnia, że można śmiało powiedzieć: S. Maria Bernarda podczas nowicjatu, a nawet niemal przez całe swe życie zakonne była uzależniona od matki Marii Teresy.”³³ „Ta mistrzyni nowicjuszek — potwierdza matka Józefina Forestier — spełniała poniekąd funkcje przełożonej generalnej, przynajmniej w domu macierzystym, gdyż matka Józefina Imbert, dotknięta chorobą płuc, często nie opuszczała swej celi.”³⁴ Trwało to do stycznia 1878 roku, kiedy po śmierci matki Józefiny jej zastępczyni, matka Adelajda Dons ujęła ster rządów w swoje energiczne ręce. Wtedy właśnie dla Bernadetty atmosfera się zmieniła.

Lecz przez ubiegłe jedenaście lat, aczkolwiek koleżanki ją kochały i szanowały, ze szczytów wiał na nią niezасłużony chłód. Nigdy nie chciała ujawnić swych przykrości — mieszaniny zdziwienia z cierpieniem.

Przyjmowała potulnie publiczne nagany, i to nawet częstsze, niżby tego wymagała normalna kolej. „Mistrzyni ma rację — zwierzała się swej rodaczce, s. Emilii Duboé — bo ja mam dużo pychy.”³⁵ Krzyżem dla niej była nie gorycz przejściowej bury, lecz ten chłód zasadniczy i nieubłagany.

Dodajmy do tego wpływ, jaki stan fizyczny miał na jej stan moralny: Bernadetta była bardziej wrażliwa niż większość jej towarzyszek, które, nie zaznawszy goryczy ubóstwa, nie mając zdrowia podkopanego gruźlicą, cieszyły się najlepszym samopoczuciem, podczas gdy ona, chora na astmę, łatwo ulegała rozdrażnieniu. „Nikt nie widzi, co się wewnątrz dzieje — zwierzyła się raz siostrze Marcie du Rais — wszystko tam wrze. Nie byłoby zasługi, gdyby nic nie było do ujarzmienia.”³⁶

Otóż panowała nad sobą, chociaż — co prawda — nie zawsze bez wysiłku i wewnętrznej walki. Jedną z jej towarzyszek jasno o tym świadczy: „Dobrze sobie przypominam — mówi s. Bernarda Dalias — że mistrzyni nowicjuszek była bardzo surowa dla s. Marii Bernardy. Karciała ją słowami krótkimi i suchymi. S. Maria Bernarda bladła, lecz nigdy ani słowem, ani znakiem nie okazała niezadowolenia.”³⁷ Podobnie mówi s. Elżbieta Manhès, która siedem lat przebywała z Bernadettą w domu macierzystym; „Ona dużo cierpiała: często ją widziałam, jak płakała, lecz nigdy nie słyszałam, żeby się skarżyła!”³⁸ „Nigdy mi nie mówiła o swym cierpieniu moralnym”³⁹ — dodaje matka Józefina Forestier. Kochająca matka Eleonora Cassagnes, zastawszy ją raz płaczącą przed kapliczką św. Józefa, nie mogła od niej wydobyć przyczyny jej strapienia⁴⁰.

„Z miłości do Jezusa — czytamy w jej notesie — będę niosła krzyż ukryty w moim sercu...”

Nigdy się nie żaliła, nikogo nie obwiniała. „Nigdy — zaświadcza matka Bordenave — nie wypowiedziała słów, które by mogły być dla kogoś przyczyną cierpienia, trudności... Milczenie tym bardziej heroiczne, że była nader wrażliwa.”⁴¹

Nie— zapewnia s. Aniela Lompech — „nie miała urazy do przełożonych, które ją doświadczały uwagami mniej lub więcej przykrymi; przeciwnie, darzyła je za to dziecięcą miłością i szacunkiem”⁴². „Była pełna szacunku i czci dla swych przełożonych — zeznaje z kolei s. Wiktoria Cassou; widziała w nich przedstawicieli Boga.”⁴³ „Razu pewnego, gdy zauważyłam jej ból — mówi s. Józefa Ducout — ona mi oświadczyła: «Trzeba zawsze widzieć Boga w przełożonych... Przyjmuję mimo wszystko.»”⁴⁴ I znów czytamy w jej zeszycie: „Nigdy nie widzieć w niej stworzenia, lecz zawsze Boga.”

Uwagami tego rodzaju przywróciła pokój serca jednej ze swych koleżanek. S. Natalia Manent żyła w niepokoju, „przekonana, że przełożone źle ją sądzą, że nieprzychylnie oceniają to, co ona czyni... S. Maria Bernarda powiedziała jej m. in.: „Ależ, moja biedna siostrzyczko, umiej powtarzać: Odejdźcie, odejdźcie, stworzenia; Bóg mi pozostanie i Bóg mi wystarczy.» Siostrę Natalię uderzyły te słowa. Spokój powrócił”.⁴⁵

Jest faktem oczywistym, że Bernadetta nie wywnętrzała się przed przełożonymi, jak by tego czasem pragnęła. Chłodowi matki Vauzou odpowiadało u niej „skrępowanie, bardzo przykry ucisk serca”⁴⁶. Zapewnia o tym matka Józefina Forestier, której sąd w tym względzie jest trafny, gdyż ona sama przeszła podobną próbę:

„Bardzo kochałam naszą matkę — wynurza się ona. Ja także niekiedy cierpiałam z powodu jej temperamentu, zwłaszcza w pierwszych latach moich funkcji sekretarki osobistej. Gdy później lepiej poznałam jej naturę, rzucając się jej na szyję, czyniłam nieśmiałe próby ujęcia jej sobie; i tak na chwilę chłód ustępował. Lecz to nie zawsze skutkowało.”

Teraz, po tym wspomnieniu, matka Forestier, nawiązawszy do s. Marii Bernardy, zapytuje się: „Czy u niej religijny lęk był tak wielki, że nie śmiała uciekać się do tego przymilania, jakie myśmy stosowały, my, któreśmy ją lepiej znały?”⁴⁷ Właściwie to zwykła nowicjuszka nie powinna przymilać się mistrzyni. Jednakże razu pewnego w swej prostocie serca ośmieliła się jakoś na to.

Nowicjuszki zebrały się na krużganku na powitanie mistrzyni, która powróciła z podróży. S. Maria Bernarda stoi na czele grupki. Jej wzrost — jak wiemy — jest dla niej tytułem do tego przywileju. Skoro tylko matka się ukazała, Bernadetta spontanicznie rzuciła się w jej ramiona „z zapalem dziecka, które się rzuca w objęcia matki”. Może wyobrażała sobie, że inne uczynią to samo, albo raczej czy nie sama miłość pobudziła ją do tego? W każdym razie wysiłek jej był daremny. Gdy następnie

podczas rekreacji jedna z zastępczyń mistrzyni, s. Melania Monéry, zrobiła jej uwagę: „Siostró Mario Bernardo, jakież zapał!”, ona odpowiedziała prostodusznie: „Tak, droga siostró, uległam odruchowi zbyt naturalnemu. Mocno tego żałuję”.⁴⁸

Za chwilę ma się rozpocząć jakaś konferencja. Wtem zjawia się s. Maria Bernarda. „Siostró Mario Bernardo, proszę wyjść!” — odzywa się znany głos. A nowa profeska „tonem błagalnym” — jak zeznaje świadek: „Och, proszę matki!... — Proszę wyjść!” I musiała odejść.⁴⁹

Nie ulega wątpliwości, że s. Maria Bernarda nie mogła opędzić się myślom, czy i przełożona generalna nie podziela względem niej uczuć matki Vauzou. O przełożonej tej powiedziano, że ma głowę mężczyzny, lecz serce kobiety. „W odniesieniu do Bernadetty — spostrzega ks. bp Forcade — zdawało się, że ma tylko głowę... do tego stopnia obawiała się dla wybranki lurdzkiej straszliwych niebezpieczeństw pychy.” O tym już wiemy. Tak, lecz chodzi o to, że pobudka jej chłodnej rezerwy — jedyna, sama w sobie chwalebna — była siostrze Marii Bernardzie oczywiście zawsze nie znana. Ona tylko stwierdzała, że serce tej matki, której niezmierną dobroć tak chwalono, nie otwierało się zbyt szeroko dla najbardziej kochającej córki, i to ją w najwyższym stopniu onieśmiało.

„Byłam przełożoną naszego pensjonatu św. Teresy w Moulins-sur-Allier od roku 1875 do 1880 — opowiada matka Henryka Fabre. W czasie tego pięciolecia często przybywałam do domu macierzystego. Nie mówiono tam o s. Marii Bernardzie i byłabym nie wiedziała, że sługa Boża jest w Saint-Gildard, gdyby pewnego dnia sama nie była podeszła do mnie podczas rekreacji. Nie przypominam sobie naszej rozmowy. Musiałyśmy mówić o Lourdes. Pamiętam tylko, że pochylając parasol, by się pod nim skryć, powiedziała mi: «Och, jakże ja się boję matki Józefiny!»”⁵⁰

Fakty tego rodzaju bynajmniej nie pomniejszają s. Marii Bernardy; przeciwnie, powiększają zasługę jej wytrwałości.

„Wiele na jej miejscu byłoby się zniechęciło”⁵¹, twierdzi s. Emilia Marcillac, która ze względu na niski wzrost towarzyszyła zwykle Bernadecie. Ale — spostrzega matka Maria Teresa Bordenave — „skoro jej ufność w Bogu nigdy się nie zachwiała, musiała mieć nadzieję posuniętą aż do heroizmu... W zakonie, gdzie praktyka pokory przybrała dla niej charakter, który bym nazwała bolesnym, s. Maria Bernarda stała na wysokości wymaganych ofiar. Ta gotowość do ofiar była szlachetna i trwała.”⁵²

Co jeszcze, oprócz tej heroicznej nadziei, było jej ratunkiem? Jej nadprzyrodzony optymizm, radosne usposobienie duszy dziecka, ta radość duchowa, tak sławiona przez św. Franciszka Salezego, który z niej uczynił podstawę swej duchowości. Pszczoła znajduje miód nawet na najbardziej gorzkich kwiatach: u siostry Marii Bernardy próba, chociaż żywo

odczuta, niejako rozpuszcza się w wewnętrznym pokoju i radości. Oto jedna z tajemnic łaski Bożej.

Co do tego zachowywała zawsze największą dyskrecję. Raz jednak przedstawiła barwnym i dowcipnym słowem swój sposób patrzenia na własne „męczeństwo serca”, sposób ułatwiający jego znoszenie. Także jej drogiej przyjaciółce lat dziecięcych, s. Wincencie Garros, nowicjuszcze, nie wszystko szło jak z płatka. Jak sama opowiada — skoro tylko miała jaką trudność, zaraz szła do Bernadetty. „Uważałam ją za swą matkę i opowiadałam jej swoje trudności” — zwierza się dawna Julka. A ona odpowiadała jej swoim ukochanym narzeczem: „Co to wszystko znaczy? Głupstwa!... Nie zapominaj, że nowicjat jest niebem na ziemi.” „Zdarzało mi się — ciągnie dalej s. Wincenta — popelniać błędy i trzeba było za nie płacić. Wtedy ona mi mówiła: «Wszystko to są... cukierki!»”⁵³



Oświełając opatrnościowe wydarzenia, które przyczyniły się do moralnego udoskonalenia Bernadetty, a które były tak ciemne w toku ich rozwoju, matka Bordenave dochodzi do wniosku:

„Mogę zapewnić, że gdyby matka Maria Teresa była w stanie przeniknąć tę duszę, tak by sobie w niej upodobała, że jej miłość do niej, byłaby może zbyt wielka, świętość s. Marii Bernardy na tym by utraciła.”⁵⁴

Pewnego razu koleżance, która wyrażała jej współczucie z powodu „surowego traktowania jej przez mistrzynię nowicjuszek” przyszła święta odpowiedziała z przejęciem: „Ależ ja winnam jej wiele wdzięczności za dobro, jakie wyświadcza mojej duszy!”⁵⁵ Można więc bez obawy ironii dodać, że matka Maria Teresa Vauzou najintensywniej pracowała dla uwielbienia s. Marii Bernardy. Pewien doradca Kongregacji Rytów pod koniec ceremonii beatyfikacji oświadczył, że nic tak nie dowodzi heroiczności cnót Bernadetty jak jej trudności z matką mistrzynią⁵⁶.

Wreszcie — ostatnia narzucająca się refleksja — gdyby jasnowidząca z Lourdes szanowano, uwielbiano, pieszczono w Saint-Gildard, niewątpliwie zaznałyby tam pewnego szczęścia czysto ludzkiego, a wówczas jakże by się urzeczywistniła tak jasna zapowiedź Zjawy: „Obiecuję uczynić cię szczęśliwą nie na tym świecie, lecz na tamtym”?

PROFESKA I ZAKRYSTIANKA

Dramatycznego wieczoru 25 października 1866 roku, kiedy s. Maria Bernarda stała się profeską „w godzinę śmierci”, matka Józefina Imbert, zapowiadając jej — tonem żartobliwie surowym — że jeśli dożyje do dnia następnego, będzie musiała się pozbyć welonu profeski — przypomniała jej stary zakonny zwyczaj. Istotnie, za czasów Bernadetty wypadki profesji *in extremis* regulowała decyzja Kongregacji Koncylium z 20 marca 1649 r., według której nowicjuszka, w razie wyzdrowienia, po upływie roku od swej profesji powinna odnowić śluby¹.

Postanowiono tedy, że skoro tylko s. Maria Bernarda całkiem wyzdrowieje, będzie mogła złożyć śluby przy najbliższej okazji profesji innych siostr.

Wcześniej uprzedzona, s. Maria Bernarda przygotowuje swą duszę na wielki dzień niemniej starannie niż inne siostry. Jakie było wtedy jej największe pragnienie, sama to spontanicznie przedstawi. Było to 13 maja 1867 r. Wszystkie siostry ustawiły się na krużganku, by życzyć szczęśliwej podróży matce Józefinie Imbert i jej sekretarce, matce Eleonorze Cassagnes, udającym się do Paryża. Przechodząc przed zakonnkami, przełożona generalna pytała je, czy nie mają jakichś zleceń. Raczyła też zwrócić się do s. Marii Bernardy z zapytaniem:

— „A siostrze co mam przywieźć z Paryża?

— Wielebna matko, proszę mi przywieźć miłości Bożej.”²

W niedzielę 22 września przybył biskup na kanoniczny egzamin nowicjuszek. Czy egzaminował Bernadettę, nie wiemy. W każdym razie kapituła przełożonych nie rozstrząsała jej sprawy. Świadczy o tym lista zakonnicek, na której brak jej imienia. Musiano więc z góry dopuścić ją do profesji. Jej koleżanki spotkał jednak surowy sąd: z sześćdziesięciu zgłoszonych przyjęto tylko czterdzieści cztery.

Ceremonię ślubów, którą ustalono na środę 30 października, poprzedziły 7-dniowe rekolekcje. Przeprowadził je ojciec Pauley, jezuita z Bordeaux. Notes Marii Bernardy informuje o ich tematyce: cele ostateczne; święta obojętność; grzech; św. Józef — wzór posłuszeństwa; Jezus w Nazarecie — wzór życia wewnętrznego; krucyfiks; Eucharystia... Były to więc rekolekcje jak wiele innych. A oto końcowe postanowienia naszej rekolektantki:

„Żyć jedynie dla Boga, wszędzie dla Boga, zawsze dla Boga.

Srodkiem umożliwiającym widzenie Boga we wszystkim jest skupienie, wyrzeczenie się i umartwienie.

We wszystkich rzeczach widzieć tylko Boga, Boga wszędzie, Boga zawsze."

Celebrans, ks. bp Forcade, oświadcza, że w czasie wzruszającej ceremonii, kiedy to s. Maria Bernarda złożyła „drugą profesję, nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło”³. Składało wówczas 45 siostr ślubu czasowe, na jeden rok.

Każda z siostr, klęcząc przy stole Pańskim, odmawia krótką formułę wobec celebransa trzymającego Hostię Świętą, którą ślubująca ma przyjmować. Bernadetta odnowiła swe poświęcenie już pod koniec ceremonii, a może nawet zupełnie ostatnia, gdyż w podobnych okolicznościach wyższe wzrostem mają pierwszeństwo.

„Mam żywo w pamięci — opowiada s. Bernarda Dalias — wrażenie, jakim głosem siostra Bernarda odmówiła formułę ślubowania. Głos ten był pewny, miękki i całkiem naturalny. Śpiewaczki wstrzymywały oddech, by lepiej go słyszeć.”⁴

Po południu według zwyczaju nowe profeski otrzymają „listy posłuszeństwa” lub — z łacińska — *obediencie*, czyli skierowanie na miejsce pracy. Na tak ważną chwilę zbiera się cała społeczność klasztorna w wielkiej sali nowicjackiej. Prezyduje biskup. W miarę jak mistrzyni nowicjuszek je wywołuje, siostry podchodzą, klękają przed ekscelencją i otrzymują z jego rąk najpierw list posłuszeństwa, który całują, następnie krucyfiks, koronkę i regułę.

Formalność ta odbywa się w atmosferze swobodnej, rodzinnej. Aby złagodzić surowość decyzji przełożonych, która nieraz stawia młode profeski wobec zadania wymagającego niemal heroizmu, biskup i przełożona generalna żartami stwarzają odpowiedni nastrój, zapewniając że to lub inne stanowisko jest bądź szacowane, bądź interesujące.

Tak biskup, jak i przełożone byli zdania, że s. Maria Bernarda przy swym słabym zdrowiu nie mogłaby spełniać stałego i uciążliwego zajęcia czy to przy dzieciach w przytulku, czy też przy chorych w szpitalu, mimo że miała pociąg do tych prac. Z drugiej znów strony czy powierzenie jej jakiegoś lżejszego obowiązku gdzieś na prowincji nie stwarzałoby dla niej pewnego niebezpieczeństwa? Przełożona miejscowa mogłaby być z niej dumna i za bardzo ją wyróżniać, wszelkiego rodzaju ciekawscy mieliby do niej łatwiejszy dostęp. Nie, nie można dopuścić, by masowe lurdzkie wizyty powtórzyły się gdzie indziej. Postulat zresztą łatwy do urzeczywistnienia: zatrzymać s. Marię Bernardę w domu macierzystym i koniec.

Oto więc jak — według zakonnic obecnych na ceremonii — ułożyły się sprawy jasnowidzącej z Lourdes.

Dla s. Marii Bernardy — zeznaje s. Józefa Caldairou — nie było „listu posłuszeństwa”. Jeszcze dziś widzę, jak ona klęczy, a ks. bp For-

cade zwraca się do przełożonej generalnej: „Co matka robi z s. Marią Bernardą?” S. Stanisława Tourriol zauważyła, że pytanie to wywabilo uśmiech na ustach przełożonej. Ekscelencjo — odpowiedziała matka Imbert — „dziecko to jest do niczego niezdolne: ona byłaby tylko ciężarem domu, do którego byśmy ją posłali”. Nastąpiła chwila milczenia. Biskup zwrócił oczy na pokorną profeskę klęczącą u jego stóp. Spontanicznie, jakby pod natchnieniem, wskazuje jej wspaniałą zawód: „Zajęciem siostry będzie modlić się.” Lecz w kongregacji, której patronką jest Marta, nie można wieść życia tylko kontemplacyjnego. Biskup mówi tedy dalej:

— „Czy siostra by mogła podać choremu kubek ziółek, obierać ziemniaki?”

— Spróbuję — odrzekła zapytana.

— Więc dobrze — zdecydował biskup, zwracając się do matki Józefiny — zatrzymamy ją tutaj czas jakiś, a gdy ją uznamy za zdolną do jakichś usług, pošlemy na prowincję.”

„S. Maria Bernarda przyjęła z wielką pokorą to, co usłyszała.”⁵

„Niezdolna do niczego!”... Nowe profeski, które doceniały zwinność rąk koleżanki, łatwo odgadły cel podobnej przesady. Zrozumiałyśmy wszystkie — zapewnia s. Stanisława Tourriol — że jeśli tak z nią postępowano, to jedynie dlatego, by ją utrzymać w pokorze.”⁶

W każdym razie słowa upokarzające zostały wypowiedziane i s. Maria Bernarda dobrze je słyszała. Upokorzenie to mocno ją dotknęło. „Oczywiście, nic nie dała po sobie poznać, lecz później szczerze się do tego przyznała. Na najbliższej rekreacji zdwoiła swoją weselość i uprzejmość względem towarzyszek, tak jak gdyby nic nie odczuła.”⁷

•

W rzeczywistości dla s. Marii Bernardy była obediencja normalna. Przełożone zatrudniły ją w domu macierzystym, co świadczyło o wielkim zaufaniu do niej; zajęcie odpowiadało jej zamiłowaniom i było bardzo pożyteczne dla instytutu: została pomocnicą infirmerki, s. Marty Forès. Łagodna i cicha istota sama jest wątłego zdrowia; podtrzymuje ją tylko jej płomień wewnętrzny.

W tym czasie infirmeria zajmowała pierwsze piętro w północnej części budynku centralnego. Były cztery sale szpitalne: dwie dla poważniej chorych — dla profesek sala św. Brygidy, dla nowicjuszek sala św. Józefa, którą już znamy, tu bowiem s. Maria Bernarda złożyła śluby *in extremis*, oraz dwie inne, gdzie przebywały rekonwalescentki, gdzie leczono zwykle niedyspozycje — sala św. Katarzyny dla nowicjuszek, sala św. Julianny dla profesek.

Według dziennika klasztornego w chwili, gdy s. Maria Bernarda obejmowała swoje funkcje, co najwyżej trzy profeski przebywały w szpitaliku św. Brygidy, lecz wkrótce przybędzie więcej chorych: Od 20 września

1868 r. do 18 lipca 1869 r. było siedem wypadków zachorowania. W dzienniku klasztornym pod datą 16 listopada 1869 r. czytamy lakoniczne zdanie: „W ostatnich czterech tygodniach wiele siostr było chorych.”

Tak więc nasza salowa nie będzie miała bezrobocia. Obowiązkiem jej jest przede wszystkim dbać o porządek i czystość. Teoretycznie starsza infirmerka rezerwuje sobie tylko zabiegi lecznicze, lecz w tym względzie ma cenną asystentkę w tej małej siostrzyczce, prawdziwej służce chorych, która umie je rozweselić, zachęcić, podnieść na duchu jakimś pobożnym słówkiem.

W kilku listach przepełnionych miłością, które w tym czasie pisze do swoich⁸, tylko zapewnia rodzinę, że jest w dobrym zdrowiu, a o zajęciach ani nie wspomina. Jeśli więc chcemy widzieć ją przy pracy, musimy się odnieść do świadectw innych siostr. Lecz z tej strony same tylko pochwały.

Trzy dawne koleżanki nowicjackie, nie porozumiewając się, tak charakteryzują tę siostrzyczkę „niezdatną do niczego” z punktu widzenia jej delikatnych funkcji drugiej infirmerki: jest ona „wesola, miła, ujmująca, pełna dobroci, równie zręczna, jak gorliwa... bardzo umiejętnie usługuje chorym... umie znaleźć miłe a czasem dowcipne słowo dla zachęcenia do przyjęcia lekarstwa”. Przy tym dyskretna i powściągliwa w mowie. Żadnych pytań ni spojrzeń, ni gestów, które by zachęcały do zwierzeń. Jedno tylko słowo: „Będę się modlić za siostrę.” „Radością było dla chorych zostawać pod opieką s. Marii Bernardy.”⁹

„Wesola mimo własnego cierpienia, pielęgnowała mnie z niezmierną cierpliwością” — opowiada s. Aurelia Tournié. Szczególnie starała się rozweselić infirmerię w czasie rekreacji. „Często — opowiada s. Emilia Marcillac — śpiewała nam pieśni w narzeczu pirenejskim. A gdy ja nic z nich nie rozumiałam, była zadowolona i serdecznie się śmiała.”¹⁰

S. Maria Bernarda jako infirmerka nie była obowiązana udzielać posług niewiastom świeckim pracującym w klasztorze. Jednakże gdy tylko się dowiedziała, że któraś z nich choruje, natychmiast udawała się do ich sypialni na drugim piętrze. Aby chorej nie zaskoczyć, zbliżając się do drzwi, nucila jakąś pieśń. „W takich wypadkach — wspomina Janina Laurent, która jako 17-letnia panna Jaret zgodziła się w roku 1872 do pracy w kuchni siostr — uszczęśliwiona, mawiałam sobie: O, już idzie. Żadne inne odwiedziny nie miały dla mnie takiej wartości... Wszedłszy, skłoniła się najpierw figurce Matki Bożej znajdującej się w niszy na przeciw drzwi, a następnie zbliżyła się do mojego łóżka... Poprawiała poduszkę, ocierała mnie z potu i brała moją rękę z czułością prawdziwej siostry lub matki... Usługując mi, mawiała coś budującego: «Trzeba, moje dziecko, trochę pocierpieć dla Pana Boga. On tyle dla nas wycierpiał!» Powiedziała mi też: «Gdy się jest w niebie, jest się szczęśliwym, lecz tu na ziemi...» Zdanie to zakończyła ruchem, który miał znaczyć: Nie licz na to życie.”¹¹

Nieraz — głównie dla mycia sal — przybywały postulanki lub nowicjuszki do infirmerii pod mniej lub więcej bezpośrednio kierownictwo s. Marii Bernardy. Dla tych młodocianych zawsze była pobłażliwa. Umiała jednak, w sposób sobie właściwy, przyczynić się do ich duchowego urobienia.

Przykładem może tu być historia z kulami miedzianymi, która obiegła niejedno pokolenie nowicjackie, a którą można by tak zatytułować: Jak siostra Justyna w dosyć gorzkiej wymówce miała szczęście znaleźć prawdziwą formułę nadprzyrodzonej pokory. Otóż scena ma miejsce w 1868 r. S. Maria Bernarda jest więc od niedawna w infirmerii.

„Byłam jeszcze postulanką — opowiada sędziwa s. Justyna. Dano mi pracę w infirmerii. Otóż pewnego dnia generalnych porządków odkurzałam, myłam, froterowałam przez cały ranek. Gdy dzwonek zadzwonił, zabierałam się do odejścia. Wtedy Bernadetta rzekła do mnie: «Praca jest nie dokończona. Pozostało jeszcze to a to do zrobienia, lecz siostra już nie ma czasu. Niech więc to będzie na inny raz.» Miałam wówczas pecha powiedzieć jej z pewnym zadowoleniem: «Wyczyściłam proszkiem kule miedziane.» Chodziło o kule nad słupkami żelaznych łóżek. Bernadetta mi odpowiedziała: «Tak, ładnie się błyszczą. Siostra je dobrze wypolerowała, wycackała, lecz dlatego tak się przyłożyła do tej pracy, że skutki jej są widoczne.»

Uwagę tę wypowiedziała tak miłutko, że wcale mnie nie zraniła. Uczułam jednak, że lancetka dotknął mojego nadęcia. Wyszłam, wynosząc lekcję i mówiąc sobie: Słyszałaś? Tyle wysiłku poświęciłaś kulom, bo one są widoczne, lecz czy równie starannie wykonujesz pracę, której wyników nie widać, pracę, którą tylko Bóg widzi? Często sobie przypominam kule miedziane.”¹²

Wiosną roku 1869 mała infirmerka znów miała wyjść z ukrycia. Pod koniec maja przełożona generalna zwróciła się do swych córek z prośbą o modlitwy do Matki Bożej, aby szczęśliwie wypadła podróż, którą zamierza odbyć z sekretarką, matką Eleonorą Cassagnes. Gdy wymieniła Lourdes, cel podróży-pielgrzymki, wszystkie zakonnice drgnęły i odruchowo zwróciły się w stronę s. Marii Bernardy.

Lourdes! Niedługo już trzeci rok upłynie, jak Bernadetta je opuściła, a od tego czasu jeszcze nie odwiedziła swoich! Jakże by chciała się z nimi widzieć, zwłaszcza z drogim, biednym ojcem, który wszakże ją najbardziej kocha. Aczkolwiek z łaskawości biskupa Laurence'a stał się właścicielem młyna Lacadé, wyobrażała sobie, że postarzał się i że smutno mu w tej rodzinie, gdzie śmierć matki stworzyła niezapełnioną pustkę. A grota, którą te podróże mają po raz pierwszy odwiedzić! Jakie wrażenie stamtąd wyniosą?

Cały klasztor z niecierpliwością oczekuje wiadomości. I oto nadchodzi długi list z datą 6 czerwca, skierowany do matki asystentki przez skłonną do wynurzeń i sympatyczną sekretarkę. (Przezorna przełożona generalna

byłaby bez wątpienia zamknęła w nimniej ognia i ustrzegła się od takiego wynoszenia pod obłoki massabielskiej jasnowidzącej).

„Powracamy od groty -- pisze więc matka Eleonora. Czuję potrzebę powiedzieć Matce, jako też całej naszej drogiej społeczności klasztornej, że to czego się tam doświadcza, jest ponad wszelki wyraz. Opowiem Wam, cośmy widziały i słyszały. To zaś, cośmy tu odczuły, niechże dobry Bóg Wam ujawni, jeśli taka jest Jego wola, gdyż nie moją jest rzeczą to opisywać.

Nie można wyrazić wrażenia, jakie wywiera na duszy widok tych miejsc uświęconych obecnością Maryi. Zakątek ten, już i tak piękny sam z siebie, przybrał — wydaje się — cechę szczególną od chwili, gdy Niepokalana Dziewica raczyła postawiać tam swoje stopy. Bezpośrednio po przybyciu udałyśmy się do groty...

Jakże rozkoszne chwile spędziłam u stóp tej pięknej figury, stojącej w miejscu ukazania się Maryi naszej drogiej siostrzyczce Marii Bernardzie!

Ks. bp Laurence usilnie prosi o wiadomości od naszego Ordynariusza i wyraża nadzieje, że spotka się z nim na soborze, Ekscelencja nie zapomina o naszej siostrzyczce Marii Bernardzie i bardzo się cieszy, że ona jest w domu macierzystym...

Uprzejmie proszę jej powiedzieć, że nasza Matka widziała się z jej ojcem, z siostrą (Tosią) i jej córeczką, a także z ciotkami i kuzynkami, których cztery są u naszych sióstr.

Pobyt w Lourdes wydał mi się bardzo krótki. Tak błogo jest u groty! Trzy godziny upłynęły nam tam jak minuta.”

W lutym roku 1870 żałobna wiadomość mocno zasmuciła Bernadettę. 30 stycznia bp Laurence, zwany biskupem objawień, zmarł w Rzymie, dokąd — mimo osiemdziesięciu lat i wielkich dolegliwości — udał się, by uczestniczyć w soborze watykańskim. Siedem miesięcy przed ogłoszeniem dogmatycznym zaznaczył, w liście napisanym 15 stycznia w Wiecznym Mieście, że „zawsze wierzył w nieomylność papieża”.

Sobór watykański obradował jeszcze, gdy 15 lipca wybuchła wojna francusko-niemiecka. 3 października zorganizowano w domu macierzystym ambulans z dwudziestu łózkami. Jak troskliwie, z jaką słodyczą s. Maria Bernarda pielęgnowała rannych, ona, która tak pragnęła poświęcić się pracy w szpitalu! Lecz s. Marta coraz bardziej podupadała na zdrowiu. Trzeba więc było ją zastąpić. S. Maria Bernarda, stawszy się tedy praktycznie infirmerką naczelną, nie mogła opuszczać swoich chorych sióstr. Jednakże za obrońców ojczyzny ofiarowywała największą część swoich ofiar i modlitw.

Równocześnie bp Forcade, który widzi w niej ostoję miasta, żąda od niej szczególnych modlitw. Także diecezjanie zaczynają coraz więcej cenić jasnowidzącą z Lourdes. Świadczy o tym dziennik klasztorny, w którym pod datą 7 listopada czytamy:

„W kilku miastach krążą pogłoski, że s. Maria Bernarda miała nowe

widzenia i że ma ważną misję do rządu. Nasza Czcigodna Matka otrzymuje wiele listów w tej sprawie, odpowiada na nie, że to nie polega na prawdzie. Także Ksiądz Biskup zaprzecza temu w artykule, który zamieścił w *Semaine Religieuse*."

Przyczyna pogłosek? Między godziną 7 a 8 wieczorem 24 października cały klasztor — jak zresztą wiele osób gdzie indziej — widział wspaniałą zorzę polarną: „cały horyzont był purpurowy — rzekłbyś morze krwi.” Otóż s. Maria Bernarda, patrząc na to zjawisko i myśląc o grzesznikach, których winy ściągają karę, rzekła: „I jeszcze się nie nawrócą”¹³. Lecz w zdarzeniu tym — jakeśmy widzieli bynajmniej nie dopatrywano się ani cudu, ani proroctwa.

Podczas wizyty, którą w tym czasie złożył jej Gougenot des Mousseaux, pisarz nieco ulegający nastrojom prorockim, autor *Obyczajów i praktyk demonów* (*Moeurs et pratiques des demons*), oświadczyła, że „zupełnie nie bała się Prusaków” i że „lękała się tylko złych katolików”¹⁴. W jeźdźcach widzi bicz Boży.

„Mówią — pisze w listopadzie do swego ojca — że nieprzyjacieli zbliża się do Nevers. Nie pragnę widzieć Prusaków, lecz też nie boję się ich: Bóg jest wszędzie, nawet wśród Prusaków. Przypominam sobie, że będąc małą, słyszałam, jak ludzie po kazaniu księdza proboszcza mówili: «Ba! to jego zawód.» Sądzę, że i o Prusakach można by to samo powiedzieć.”

Myśl o pokucie nie opuszcza jej jeszcze pod koniec maja roku 1871, gdy jedna z sióstr powiedziała jej o spaleniu zamku królewskiego (Tuileries) w Paryżu. Odpowiedziała siostrze Magdalenie Bounaix: „Nie trzeba się niepokoić. Trzeba było zamek obelić: Bóg użył pędzla.”¹⁵

Lecz Saint-Gildard ma swoje troski. Dziennik klasztorny wiernie odbija stany długiego przygnębienia i krótkie zrywy radości i nadziei.

„2 grudnia. Doniesiono nam o 10 wieczorem, że nasi odnieśli w Paryżu zwycięstwo nad armią nieprzyjacielską. Wiadomość ta krzepi odwagę. Ekscelencja polecił odśpiewać *Te Deum*.”

9 grudnia. Donoszą, że Prusacy są u granic departamentu. W całym mieście niepokój. Nasi ranni oficerowie (z ambulansu) z obawy dostania się do niewoli uciekają na południe. Odchodząc wyrażają wdzięczność za wyświadczone im usługi.”

Pod koniec listopada saperzy na rozkaz gen. Barrata zaczęli przygotowywać podłoża pod armaty na tarasie klasztoru. 13 grudnia o zmroku popłoch w domu macierzystym.

„Generał z dwunastu jeźdźcami dokonuje inspekcji pozycji i miejsc, gdzie mają być ustawione działa. Jego słowa są mało pocieszające. Wszystko wskazuje, że tu będą stanowiska obronne i że będziemy musiały opuścić dom...”

Od 16 do 20. Nasze drogie siostry pakują rzeczy...

21. Gen. Bourbaki ze swą armią przybywa do Nevers. Sztab generalny w pałacu biskupim. Do naszych stajni wprowadzono osiem koni."

W cztery dni później jakże smutne Boże Narodzenie! Kaplica klasztor-na zamknięta dla publiczności, która tak lubi gromadzić się tu na Pasterkę. Także w dzień odprawia się tylko ciche Msze św.: śpiewaczki są w ambulansach.

Dnia tego s. Maria Bernarda w chwilach wolnych od pracy w infirmarii skreśli kilka słów do swej siostry Tosi. Oto ich ojciec, który już się na dobre stęsknił za uśmiechem swej Bernadetki, postanowił — mimo niebezpieczeństw ze strony nieprzyjaciela i srogiego zimy — przybyć do Nevers.

„Najdroższa moja Siostro, piszesz, że ojciec ma zamiar mnie odwiedzić. Sama gorąco pragnę widzieć się z nim. Powiedz mu jednak, by się nie puszczał w drogę. Gdyby mu się, na nieszczęście, coś przykrego stało w drodze, wyrzucalabym to sobie przez całe życie.

Nasza Czcigodna Matka Generalna zapewniła mnie, że mi pozwoli odwiedzić całą rodzinę, gdy tylko kaplica u grotty będzie poświęcona. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym mogła ujrzeć ojca, lecz szczęście będzie większe, gdy ujrzę Was wszystkich.

Moje zdrowie jest dosyć dobre. Proszę się tym nie niepokoić...

Mamy tylko jedno zadanie, mianowicie dużo się modlić do Najświętszej Panny, aby raczyła się za nami wstawić do swego drogiego Syna i wyjednać nam przebaczenie i miłosierdzie. Ufam, że ta czuła Matka przebłaga jeszcze sprawiedliwość Bożą, która nas w tej chwili karze..."

Skoro lurdzka jasnowidząca ma taką ufność i skoro wyraża ją tak dokładnie, to czyż mylili się ci, co twierdzili, że ona ma jakieś przeczucie przyszłości? Oto tam dalej na zachodzie Francji w Pontmain, w departamencie Mayenne, małe dzieci: chłopcy Barbedette i dziewczynki Labossé i Richer w ciągu trzech godzin przez otwarte wierzeje stodoły będą mieć widzenie Matki Bożej Dobrej Nadziei, podczas gdy tajemnicza ręka wypisze na nocnym niebie Jej orędzie: „Módlcie się, moje dzieci. Bóg was wkrótce wysłucha”¹⁶.

Wydarzenie miało miejsce 17 stycznia 1871 r. W sobotę 28 stycznia nastąpiło zawieszenie broni, o czym do Saint-Gildard dotarła wiadomość na trzeci dzień.

•

Niestety, oto nowe doświadczenia spotykają s. Marię Bernardę. Jej siostra, Tosia, która niedawno co wydała na świat ułomnego chłopczyka, patrzy na śmierć swej małej Bernadetki. W młynie Lacadé choruje ojciec. W tej samej „dzielnicy młyńskiej” ciężko zaniemogła ciotka Lucyla.

Mimo przewidywań lekarza ojciec zgaśnie wpieryw — w sześćdziesiątym czwartym roku życia, 4 marca, w rocznicę piętnastego objawienia.

Do samego końca zachował on pewnego rodzaju kult dla swej małej zakonnicy. Gdy raz, na krótko przed śmiercią, znalazł się sam w rozmownicy ojców misjonarzy, o. Sempé zastał go „klęczącego przed portretem Bernadetty i modlącego się żarliwie”. Śmierć jego „była śmiercią sprawiedliwych. Będąc już konającym, pokazywał z radością szkaplerz, który miał na piersiach. Przez kilka godzin przed zgonem i aż do ostatniego tchnienia nie przestawał się modlić.”¹⁷

Jak się zachowała i co myślała Bernadetta po otrzymaniu bolesnej wiadomości, opowiada jedna z jej pomocnic w infirmerii, s. Magdalena Bounaix:

„Okolo pół do ósmej weszłam do szpitalika św. Katarzyny, gdzie zastałam naszą drogą s. Marię Bernardę opartą o kominek i płaczącą.

Uklękałam koło niej i zapytałam: «Siostrzo droga, co siostrze? Może ni-mowolnie wyrządziłam siostrze jakąś przykrość?» Ona zaś mi odpowiedziała: «O, nie! Lecz przed dwoma tygodniami siostra miała zmartwienie (straciła bowiem jednego z braci), a ja siostrę pocieszałam; dzisiaj na mnie kolej przyszła: przed chwilą dowiedziałam się o śmierci ojca. Zmarł w sobotę o dziewiątej... Siostrzo moja, miej zawsze wielkie nabożeństwo do konającego Serca Jezusa, bo gdy się traci swoich i gdy się nie mogło być przy ich zgonie, myśl, że się za nich modliło, jest wielką pociechą. Pocięchy tej sama doznaję, choć modląc się w sobotę za konających, nie przypuszczałam, że modłę się za swego biednego ojca, który właśnie odchodził od wieczności.»¹⁸

W dwanaście dni później poszła za nim — przeżywszy lat 32 — oddana Bernadecie ciotka Lucyła, która nigdy nie wątpiła w prawdziwość widzeń i której świecę jasnowidząca nosiła do groty już od czwartego objawienia.

Przytłoczona ciężarem ponawiającej się żaloby, s. Maria Bernarda, tak rzadko pisująca, chce wylać swój ból najpierw w serce Tosi, następnie swego 12-letniego braciszka i chrześniaka, Bernarda Piotra, którego nowy biskup Tarbes, ks. Pichenot, umieścił w szkole ojców misjonarzy w Garaison, i wreszcie w serce brata Jana Marii, 20-letniego młodzieńca, który wówczas był postulantom u Braci Wychowania Chrześcijańskiego w Ploërmel. List do Jana jest najbardziej godny uwagi. Ujawnia się w nim charakter autorki — ludzki i zarazem nadprzyrodzony.

„Obejmuję dzisiaj z Tobą krzyże, które nasz Boski Mistrz nam zesłał. Prośmy Go o łaskę, byśmy za Jego przykładem mogli je nieść ulegle i wspaniałomyślnie.

Doświadczenia, któreśmy mieli w tym roku, są wielkie, nieprawdaz, Drogi Bracie? W ciągu niewielu dni odeszło od nas troje członków rodziny. Wprawdzie Bóg ma swoje zamiary, lecz cios był nader dotkliwy.

Nasz biedny ojciec odszedł tak prędko! Mamy jednak przynajmniej tę pociechę, że przyjął ostatnie sakramenty święte. Wielka to łaska, za którą powinniśmy Bogu dziękować. Módlmy się jednak, Drogi Przyjacielu,

i to dużo, o wieczny odpoczynek jego duszy, a także za naszą biedną ciotkę Lucylę, której dziewczynki są godne litości.

Polecam ci także modlić się do Matki Bożej za naszą siostrę Marię (Tosię), która bardzo tego potrzebuje. Wiesz, że ona miała nieszczęście stracić swoją małą Bernadetkę, którą tak kochała. Jakież zmartwienie dla matki!...

Żegnaj, Najdroższy Bracie. Módlmy się nawzajem; prosimy Jezusa o łaski tak potrzebne, by zostać świętymi. Bądźmy wspaniałomyślni w doświadczeniach, które Ten dobry Mistrz na nas zsyła, i ofiarujmy je za odpoczynek dusz tych, którzy od nas odeszli."

S. Maria Bernarda nie dozna pociechy ukłęknięcia na grobie ojca¹⁹. Nie weźmie udziału w poświęceniu „kaplicy u grotty”, które nastąpi w uroczystość Wniebowzięcia 1871 roku²⁰.

*

W tym roku zdrowie s. Marty Forès pogarszało się coraz bardziej, dlatego kierownictwo infirmerii przechodziło stopniowo w ręce s. Marii Bernardy.

Tak więc staje się ona — jeśli nie tytularnie, to przynajmniej praktycznie — pierwszą infirmerką i „aptekarką” (w Saint-Gildard obie te funkcje pełni jedna siostra). Odpowiedzialność tę bierze na siebie z zupełną świadomością. Osobowość jej coraz silniej się zaznacza.

Zrazu na luźnych kartkach, następnie w starej księdze recept, której kartki zapisali lekarze tylko w górnej części, spisała dla pamięci dane liczbowe o starych jednostkach wagi: granach, skrupulach, uncjach itp. Sporządziła spis roślin i produktów wykorzystywanych przez aptekarzy. (Być może, iż te właśnie środki miała w swej apteczce). Zebrała mnóstwo recept na ziółka i inne środki lecznicze...

Zresztą jeśli chodzi o jej zdolności zawodowe, mamy świadectwo pierwszorzędnej wagi i ciekawego pochodzenia.

Po wojnie roku 1870 ruch pątniczy do Lourdes został wznowiony, a nawet wzmagał się na sile. 8 grudnia 1871 r. komitet pań rozesłał po Francji okólnik wzywający wszystkich katolików do manifestacji krajowej na cześć Matki Bożej Lurdzkiej. W związku z tym Stowarzyszenie Matki Bożej Wybawicielki przystąpiło do zorganizowania pielgrzymki, która na cztery dni, tj. od soboty 5 października do wtorku 8 października, zgromadziła u grotty 60000 pątników. Pielgrzymkę tę, pierwszą w skali krajowej, nazwano pielgrzymką chorągwi, ponieważ w tych pamiętnych dniach podczas procesji obnoszono po mieście trzysta dwie chorągwie francuskie, którym przewodziły chorągwie Alzacji i Lotaryngii — dwu prowincji wyrwanych Francji traktatem frankfurckim.

Rozdrażnieni opozycjoniści zaczęli przeciwdziałać. Na wyrocznie Thier-sa, szefa władzy wykonawczej Republiki Francuskiej: „pielgrzymki już

nie są u nas w zwyczaju” — katolicy nie raczyli nawet zwrócić uwagi. Dumni! Trzeba ich zatrzymać w pełnym pochodzie. Wystarczy tylko zdyskwalifikować Wizję i wizjonerkę. To ich przywoła do porządku.

Wytoczono więc stare argumenty. Dzienniki, przeglądy, mówcy na konferencjach z przedziwną jednomyślnością na rozkaz łóż wszczęli kampanię przeciw osobom dotkniętym halucynacją w ogóle, a w szczególności przeciw Bernadecie. Z tej okazji lekarz domu macierzystego Sióstr Miłości i Wychowania Chrześcijańskiego, dr Robert Saint-Cyr, prezes stowarzyszenia lekarzy departamentu Nièvre, otrzymał od dra Damoiseau, prezesa Stowarzyszenia Lekarzy departamentu Orne, prośbę o informacje w następującej sprawie: Dr August Voisin, który ze szpitala w Bicêtre, przeszedł do paryskiego szpitala Salpêtrière, oświadczył w zakończeniu jednego ze swoich wykładów, że „cud lurdzki opiera się na wierze dziewczynki dotkniętej halucynacją, którą zamknięto w konwencie urszulanek w Nevers”.

3 września dr Robert Saint-Cyr odpowiedział doktorowi Damoiseau:

„Mój drogi Kolego, nie znaleźlibyście osoby bardziej kompetentnej do udzielenia potrzebnych Wam informacji o dziewczynce z Lourdes, która dziś jest siostrą Marią Bernardą.

Jako lekarz klasztoru przez długi czas opiekowałem się tą młodą siostrą, której delikatne zdrowie nabawiło nas niepokoju. Z czasem stan jej zdrowia poprawił się, tak że dawna pacjentka jest dziś moją infirmerką i ze swojego obowiązku wywiązuje się doskonale.

Mała, z wyglądu wątła, ma lat 27. Z natury spokojna, delikatna, pielęgnuje swoje chore bardzo umiejętnie, nie zaniedbując z przepisów lekarza; dlatego cieszy się wielkim poważaniem, a z mej strony całkowitym zaufaniem.

Widzicie więc, Drogi Kolego, że ta młoda siostra bardzo daleka jest od obłąkania. Co więcej: jej spokojna, prosta i delikatna natura żadną miarą nie czyni jej skłoną do tego stanu.

Cieszę się, mój Drogi Kolego, że przy tej sposobności mogę z Wami porozmawiać i wyświadczyć Wam przysługę przez dostarczenie żądanych wiadomości”.²¹

Większość ludu chrześcijańskiego pominęła ataki przeciwników wzgardliwym milczeniem, na które zasłużyły. W Lourdes — dla wygody rzeszy pątniczych — w dalszym ciągu pracowano nad ułatwieniem dostępu do grotty, zabrano się do odrestaurowania i poszerzenia czcigodnego Starego Mostu. A s. Maria Bernarda, zupełnie obojętna na zgiełk z zewnątrz i zbyt zajęta, by go słuchać, nie rozstawała się ze swym pogodnym uśmiechem.

Miała jasne poczucie odpowiedzialności. Pewne wydarzenia dowodzą, że obowiązki swoje traktowała poważnie. Doświadczyła tego na sobie matka Julianna Capmartin w toku swego nowicjatu w roku 1872.

S. Julianna się przeziębila. Zaniepokojona jej kaszlem, matka Teresa

Vauzou mówi do s. Marii Bernardy: „Proszę wziąć ją na górę i zaopiekować się nią.” Gdy nowicjuszka położyła się do łóżka w sypialni, infirmerka dała jej gorących ziółek, otuliła jej ramiona, zasunęła firankę i zakazała odkrywać się, by w ten sposób nastąpiło pożądane spocenie się. Gdy infirmerka wyszła, chora wyjmując najpierw jedną rękę, następnie drugą i bierze podręcznik stowarzyszenia Dzieci Maryi, który, jako drogą pamiątkę, przywiozła z sobą. Przyszła jej niewczesna chętka odmówienia swego małego oficjum o Najświętszej Maryi Pannie... Nie słyszała, że drzwi znowu się otworzyły. Spostrzegła się dopiero, gdy s. Maria Bernarda, odchyliwszy zasłonę, rzekła tonem surowym: „Oto gorliwość podszyta nieposłuszeństwem.” Oczywiście skonfiskowała kuszącą książkę i znów ręce odpornej zanurzyła w koldrę²².

S. Marta du Rais zeznaje o s. Marii Bernardzie: „Widziałam, że sama była niezdrowa, lecz mimo to chodziła. Nigdy nie spóźniała się ze swymi usługami.”²³ „Gdy zbliżała się do łóżka chorej, rzekłbyś — anioł miłości: tyle słodyczy i siły miały jej zachęty, tyle wносиły pokoju i pociechy... Nie mogła przejść obok cierpienia, by nie współczuć.”²⁴

Razu pewnego postulantka, wszedłszy po coś do szpitalika profesek, usłyszała, jak jedna z sióstr opowiadała chorej o Bogu, o cierpieniu, o niebie z takim przekonaniem i z taką słodyczą, że wywarło to na niej głębokie wrażenie. „Co to za siostra, która tak umie pocieszać?” — zapytała następnie. „To s. Maria Bernarda” — odpowiedziano jej. Jednej chorej — by ją podnieść na duchu — rzekła: „Odwagi! Niech siostra przyjmie te krzyże jako pieszczoty Pana Jezusa.”²⁵

Zadania, wobec których inne się cofały, ona spełniała z heroicznym poświęceniem. S. Anna Maria Lescure ociemniała, a prócz tego piersi jej toczył rak. Chore miejsce budziło taką odrazę, że s. Wincenta Garros, która wtenczas była nowicjuską pomocnicą infirmerki — jak sama się przyznaje — nie mogła nawet na nie patrzeć: była to głęboka i szeroka rana „pełna robaków”, które wypadały, a które Bernadetta zbierała do naczynka. Tę straszliwą ranę, której żadna nie miała odwagi dotknąć, „ona opatrywała, i to bardzo delikatnie”. „Jakaż z ciebie będzie siostra miłości? — napominała swoją rodaczkę. — Jakże małej wiary jesteś!” Innym razem tej samej siostrze, która bała się jej pomóc przy ubieraniu zmarłej, rzuciła: „Tchórzku, nigdy nie będziesz siostrą miłości!” I znów gdy s. Wincenta — mając, zgodnie ze zwyczajem, pocałować lodowate czoło zmarłej — mocno pobladła, s. Maria Bernarda rzekła jej: „Co to za siostra miłości, co nie może dotknąć zmarłych?!”²⁶

Zaiste, gdyby przełożeni byli posłali s. Marię Bernardę do szpitala pielęgnować ubogich, spełniliby jej najgorętsze pragnienie, a ona byłaby ich obsługiwała z nieustraszoną odwagą. S. Maria Bernarda „powiedziała mi — zeznaje s. Wincenta Garros — że powołanie siostry miłości jest niezmiernie cenne, ponieważ daje sposobność niesienia pomocy ubogim”. „Jeśli cię przełożeni posłają do szpitala, nie zapominaj — napominała ją —

że w każdym ubogim trzeba widzieć Chrystusa. Im wstrętniejszy jest ubogi, tym więcej trzeba go kochać.” „Opiekuj się nią jak samym Bogiem”²⁷ — rzekła jej innym razem — gdy ją wysyłała na przechadzkę z ową siostrą niewidomą i chorą na raka.

Nie przesadziła więc ta, co powiedziała o Bernadecie infirmerce: „W niej było więcej pobożności, więcej ducha nadprzyrodzonego niż u innych zakonnice mających pieczę nad chorymi”²⁸.

5 listopada 1872 r. żaloba w infirmerii: „Nasza dobra s. Marta Forès — informuje nas dziennik klasztorny — po pięcioletniej chorobie płuc oddała Bogu ducha. Otaczano ją troskliwą opieką, okazywano jej miłość, na którą zasłużyła rozumnym poświęceniem, z jakim pielęgnowała chore siostry.”

Urzędowo s. Maria Bernarda dziedziczy ten obowiązek. Ale czy długo jemu podola? Oto co w tymże dzienniku czytamy pod datą 17 stycznia 1873 r.: „S. Maria Bernarda miała atak astmy. Umieszczono ją w szpitaliku św. Julianny.”

Zaczął się rok cierpień.

Około Wielkanocy (13 kwietnia) nasza chora nabrała nieco sił. 28 kwietnia zawiadamia o tym Tosię: „I znów — po trzymiesięcznym leżeniu w łóżku — zmartwychwstałam. Zaczęło się to atakiem, który trwał dosyć długo. Nastąpiło silne plucie krwią. Musiałam leżeć spokojnie, gdyż każdy, nawet najmniejszy, ruch groził jego wznowieniem. Łatwo zrozumiesz, że to przygwożdżenie nie odpowiadało mojej żywej naturze.

Teraz już mi siły wracają. W Wielkanoc pierwszy raz uczestniczyłam we Mszy św.

Pan Jezus jest bardzo dobry. Miałam szczęście przyjmować Go do swego biednego i niegodnego serca przez cały czas swej choroby trzy razy na tydzień. Krzyż stawał się lekki a cierpienia słodkie, gdy myślałam, że Jezus mnie nawiedzi i że będę miała wielką łaskę posiadać Go; Jego, który przychodzi cierpieć z cierpiącymi, płakać z płaczącymi. Gdzie znaleźć przyjaciela, który by umiał współcierpieć i jednocześnie osładzać nasze cierpienia jak Jezus?...

Proszę Cię, bądź tak dobra przekazać uczucia mojego szacunku wszystkim drogim krewnym. Proszę Ciebie i ich, byście nie zapominali o mnie w swoich modlitwach, szczególnie gdy jesteście u mojej drogiej groty. Czasami i mnie tam znajdziecie. Chodzę tam bardzo często, nawet bez pozwolenia.”

Znowu pogorszenie; dwa tygodnie w łóżku i wreszcie rekonwalescencja, lecz jakże niepewna! Dnia 12 maja matka Józefina Imbert, która także wraca do stanu normalnego po długotrwałym przemęczeniu, korzysta z pięknej pogody, by zwizytować klasztor w Varennes-les-Nevers i Fourchambault. Zabiera więc do swego powozu s. Marię Bernardę. I oto jaki zaszczyt spotyka jasnowidzącą w Varennes. W gaiku, gdzie wznosi się figura Najświętszej Panny czekają dwa fotele na przełożoną generalną

i na skromniutką infirmerkę. A ponieważ jest to miesiąc Maryi, odbywa się nabożeństwo, modlitwy do Matki Bożej Lurdzkiej. Następnie na prośbę przełożonych Bernadetta wygłasza kilka słów do sierotek. Mówi tylko, że Najświętsza Panna jest ich Matką, że je bardzo kocha i że one powinny Ją kochać... W końcu czuje się bardzo wyczerpana, jest bliska zemdle-
nia: cztery największe dziewczynki unoszą ją z fotelem. Musiano jej pomóc wejść do powozu.

3 czerwca znowu zanotowano w dzienniku klasztornym: „Stan zdrowia naszej siostrzyczki Marii Bernardy budzi poważne zaniepokojenie. Udzielono jej sakramentów świętych.”

Po raz trzeci otrzymała ostatnie namaszczenie.

W poniedziałek 20 października wieczorem rozpoczęły się doroczne rekolekcje. Była już wtedy dosyć zdrowa, by wziąć w nich udział. Notatki z nich świadczą, że przeżywała próbę moralną. Po spowiedzi u o. Douce'a, który w dalszym ciągu był kapelanem klasztoru i który napominał ją, by — mimo wstrętu — chętnie udawała się do gości na każde wezwanie, wywiązał się następujący dialog, wpisany przez penitentkę do notesu:

— „Trzeba, żebyś na wzór Maryi niosła krzyż ukryty w swym sercu.

-- Pójdę więc z radością do rozmownicy, chociaż wewnątrz pełna jestem smutku... O Matko moja, w Twoim sercu złożyłam niepokoje swego serca...

— Nie lękaj się nieść krzyża, choćby nawet był całkiem nagi.

-- Z miłości do Jezusa muszę się przezwyciężyć albo umrzeć.”

I znów pojawiła się w infirmerii, tym razem jako infirmerka. Pobożna, oddana i miła s. Ambrozja Revoux jest jej zastępczynią. Lecz nie na długo: 5 listopada 1873 r. posłano ją do szpitala w Brive. Już zapowiada się zima. Czy tym razem oszczędzi s. Marię Bernardę? Po sześciu latach doktor Saint-Cyr zdaje sobie wreszcie sprawę, że duszne powietrze infirmerii nie jest odpowiednie dla jej chorych oskrzeli²⁹. Rada matki przełożonej uznała tedy za stosowne urząd infirmerki powierzyć ostatecznie pomocnicy siostry Marii Bernardy, młodej profesce, siostrze Gabrieli de Vigouroux.

„Wiem — zapewnia matka Eleonora Cassagnes — co kosztowało Bernadettę opuszczenie infirmerii, gdzie była bardzo kochana i gdzie chore żalowały jej bardzo.”³⁰

*

Funkcja, którą jej nadano z początkiem 1874 roku, była bardziej dostosowana do jej sił. W czasie nowicjatu była przejściowo pomocnicą zakrystianki. Teraz została nią znowu. Jest rzeczą niemal zbyt cenną podkreślać, że „kochala to zajęcie”, że „zdobienie ołtarza Matki Bożej i przebywanie w pobliżu Pana Jezusa było dla niej szczęściem”³¹.

Skromne to stanowisko niedługo miała piastować. Teraz jednak w czasie zajęć, których ośrodkiem był sam ołtarz, myśl o obecności Bożej tak ją pochłaniała, że życie jej stało się poniekąd kontemplacyjne. U niej ani rutyny, ani przyzwyczajenia. W tej „pracy w zakrystii, gdzie się jest narażonym na spoufalenie się z Bogiem i z rzeczami świętymi — zauważa s. Marta du Rais — odznaczała się skupieniem i pobożnością”³², okazując zawsze wielką cześć i szacunek dla rzeczy świętych³³.

Praca w zakrystii pozostawiała jej chwile wolne, które poświęcała już to na „uprawę kwiatów do zdobienia ołtarza”³⁴ — co czyniła z wielką przyjemnością, już to na czytanie ksiązek treści religijnej i żywotów świętych, a zwłaszcza św. Bernarda, już to wreszcie na osobiste notatki duchowe³⁵. Piękną porą wynosiła swoje krosna w zacieniony zakątek krużganka, gdzie była zasłonięta od wiatru, i tam „spędzała długie godziny w samotności i milczeniu”, tam wykonała wspaniałą albę dla ks. Forcade’a, który został mianowany arcybiskupem Aix-en-Provence³⁶.

Niejednokrotnie s. Wincenta Garros, z którą się szczególnie przyjaźniła, pomagała jej w pracy. „Razu pewnego — opowiada s. Wincenta — chciałam się dotknąć puryfikaterza. Bernadetta mnie powstrzymała i rzekła: «Na to trzeba mieć pozwolenie.» Następnie wzięła puryfikaterz i ze czcią włożyła go do bursy. Z takim szacunkiem dotykała paramentów kościelnych, że praca jej robiła wrażenie modlitwy.”³⁷

Pracę jej cechowała też czasem tkliwość. W Wigilię Bożego Narodzenia 1874 roku, „gdy żłóbek był już gotowy, s. Maria Bernarda wzięła Dzieciątko Jezus i kładąc Je w nim tak do Niego przemawiała: «Musiało Ci być zimno, mój biedny Jezuniu, w stajence betlejemskiej. Bez serca byli Ci ludzie, skoro Cię nie przyjęli do mieszkania. Lecz ja — jakżem ja szczęśliwa, że mogę Ci przygotować żłóbek.»”³⁸

Jak świeca mszalna, tak i ona spalała się w służbie ołtarza. Kilkakrotnie zemdląła w chóрку ze zmęczenia. Lecz po przyjściu do siebie zdobywała się jeszcze na uśmiech; mawiała też: „Mój Boże, jakże wy, drogie siostry, musiałyście być zgorszzone moim brakiem odwagi!”³⁹

W październiku 1875 r. nastąpił koniec jej życia czynnego: stała się niezdolna do jakiegokolwiek zajęcia. Oto więc sprawdziły się słowa matki Józefiny Imbert: teraz według powierzchownego mniemania ludzkiego jest niezdadna do niczego. Jednakże teraz właśnie — jak rychło zobaczymy — otwiera się przed nią w klasztorze Saint-Gildard nowe pole działania, rozpoczyna się jej wielka osobista misja.

VII

ASPEKTY DUCHOWE ŚWIĘTEJ

NATURA

Teraz, gdy s. Maria Bernarda stała się pozornie niepożyteczna, nadzedł czas uważniejszego przyjrzenia się jej: po tym, co już przytoczono, pozostało jeszcze sporo materiału, który umożliwi zgłębienie, dokładniejszy opis fizjonomii tak pociągającej.

Wykończając nasz obraz, wyjaśnimy jednocześnie, dlaczego Kościół ukazuje chrześcijaństwu tę małą zakonnice z Nevers jako arcydzieło łaski, jako świętą.

Święta — to znaczy ta, co w pełni zachowywała prawo Boże¹. A jak? Kochając Boga z całego serca, ze wszystkich sił, a bliźniego — jak samego siebie. Kto tak postępuje, Kościół wieńczy go aureolą. Nadzwyczajne znaki, intuicje, wizje, prorocтва, cuda nie stanowią same przez się świętości. Świętość to miłość nadprzyrodzona, życie i ośrodek wszystkich innych cnót².

„Uważam za konieczne oświadczyć — wyrazi się jedna z przelożonych generalnych Sióstr Miłości — że same objawienia lurdzkie nie usprawiedliwiałyby opinii świętości Bernadetty.”³

Zresztą w Bernadecie — tak samo jak w każdym innym mieszkańcu tego padolu leż wyniesionym na ołtarze Pańskie — nie możemy szukać cnoty idealnej, doskonałości absolutnej. Łaska jest zaszczipiona na naturze, a dusza ludzka, równie grzeszna jak cierpiętliwa, nie jest w stanie osiągnąć doskonałości anielskiej, lecz tylko ludzką. „S. Maria Bernarda — oświadczy bp Lelong, ordynariusz Nevers, pozostała córką Ewy nawet wówczas, gdy stała się szczególniejszą córką Maryi. Ta adopcja, jakkolwiek nadprzyrodzona, niekoniecznie wyrugowała pierwszą filiację: jak każde inne stworzenie musiała ona składać haracz ułomności ludzkiej... Bóg jej zostawił niedoskonałości, słabostki, by jej były — tak jak niegdyś świętemu Pawłowi — ochroną przed atakami pychy.”⁴

Taki sąd wydaje człowiek Boży. A ludzie uprzedzeni, zaślepieni? Ci nawet nie spostrzegli wielkich cnót s. Marii Bernardy, przysłoniętej pokorą, spragnionej zapomnienia. Lecz świętości nie oceniamy według sympatii czy antypatii otoczenia: mierzymy ją stopniem jej miłości. Otóż — jak spostrzega pewien konwertyta — „świętość Bernadetty polega na tym, że zdołała się ona utrzymać w najgorętszej miłości, nawet nie zdając

sobie z tego sprawy”⁵. Oto dlaczego została ona wyniesiona ponad wszystkie swoje towarzyski.

Zanim Kościół wydał swój uroczysty wyrok, dało się słyszeć kilka głosów krytyki. Poczujemy się do obowiązku powtórzenia ich. Trzeba jednak jeszcze dodać, że niektóre sprzeciwy były tylko pozorne albo też przemieniły się z czasem w niedwuznaczne uznanie.

Tak więc jeden z jej dawnych spowiedników, o. Douce, znakomity kapłan, oświadczył któremuś z kolegów, „że s. Maria Bernarda była dobrą zakonnicą, jednakże nic nadzwyczajnego w niej nie było”. Lecz w czasie, gdy — odpowiadając zapewne na niedyskretne pytania — z taką rezerwą mówił o swej penitencie, „w prywatnym notatniku wydawał o niej właściwą opinię...” „Znajdują się tam wezwania do niej lub wyrazy podziękowania za łaski uzyskane za jej wstawiennictwem.” Otóż — wyjaśnia; pewien świadek — „wiem, że o. Douce w ten sposób pisze w swym dzienniczku tylko o świętych, o błogosławionej Małgorzacie Marii i o czci-godnym Proboszczu z Ars”⁶.

Pewne, że uczucia tego rodzaju nie były udziałem nieprzejednanej matki Marii Teresy Vauzou. Ktoś jednak — oczywiście bez z góry powziętego planu — tak ją przyparł do muru, że musiała wreszcie zamilknąć. Ojciec Norbert Burose, misjonarz z Garaison, został mianowany kapelanem lurdzkiego przytułku sióstr z Nevers.

„Za pierwszym razem, gdy z tego tytułu przedstawiono mnie matce Marii Teresie Vauzou — opowiada o. Norbert — nawiązałem rozmowę o Bernadecie. Natychmiast matka Vauzou mi powiedziała:

— Ach, mój Ojcie, proszę nie sądzić, że Bernadetta była tak nadzwyczajna.

— Ja zaś zapytałem:

— Czy ona była pobożna?

— O, bardzo pobożna!

— Była posłuszna?

— O, tak!

— A była pokorna?

— O, tak, bardzo pokorna: nigdy samorzutnie nie mówiła o objawieniach.

— Wobec tego cóż matka chce? Ona była bardzo dobrą zakonnicą”⁷.

W ostatnich miesiącach swego życia — według opinii s. Łucji Cloris — matka Teresa Vauzou zmieniła swoje zdanie o Bernadecie. Wśród zapisków, „stanowiących jakby jej testament”⁸, znaleziono następujące zdanie, które zresztą zamieszczono na jej pośmiertnych obrazkach pamiątkowych: „Maryja kocha nasze zgromadzenie, skoro dała nam swe uprzywilejowane dziecko. Pamiętajmy o tym!”

W każdym razie bez względu na to, jakie było ostatnie zdanie matki Marii Teresy o jej dawnej nowicjuszcze, oprócz niej także kilka innych

siostr w Saint-Gildard oceniało s. Marię Bernardę niewłaściwie. Dopiero z biegiem lat sąd ich dojrzał, a wypadki stały się dla nich zrozumiałe.

Pewna zakonnica rodem z Bourbonnais, która w kwiecie szesnastu lat musiała w roku 1875 jako postulantka czekać w Imphy koło Nevers na przyjęcie do nowicjatu, oświadczyła bez ogródek ks. kanonikowi Guynotowi, który po złotym jubileuszu jej ślubów zwrócił się do niej, by mu podyktowała swoje wspomnienia:

„Powiem księdzu całkiem szczerze, iż Bernadetta mnie nie zachwycała. Och, gdy pomyślę, że to tę małą czarnuszkę dziś wynosi się tak wysoko, tak wysoko...

Prawdą jest, że wówczas nie umiałam rozpoznać w niej tej świętości, która dziś w pełni jaśnieje. Byłam zbyt młoda! Lecz teraz po latach zastanawiania się i z tą znajomością życia i serca ludzkiego, jaką zdobyłam, jaśniej widzę to, co wtedy po większej części uchodziło mojej uwagi.

Muszę wyznać, że doznaję czegoś w rodzaju wzruszenia, gdy widzę tak wielką tę, którą znałam tak małą i tak pokorną. Lecz przyznaję, że to wszystko jest słuszne i że ta wielkość była naprawdę ukryta w małości.”⁹

„Towarzyszki podziwiałały jej cnoty”¹⁰ — stwierdza matka Henryka Fabre — ale — dodaje s. Bernarda Dalias — matka Maria Teresa Vauzou — rzecz oczywista — „korzystała z każdej okazji, by nam uniemożliwić okazywanie czci siostrze Marii Bernardzie”¹¹. Dopiero później języki się rozwiążą.

„Zawsze uważałam, że s. Maria Bernarda jest małą świętą. Pragnęłam jak najbliżej niej przebywać; w zetknięciu z nią czułam się lepsza: jej zakonna skromność, jej posłuszeństwo zawstydzają mnie”¹². Do tego świadectwa siostry Dominiki Larretchard s. Józefa Farmier dodaje swoje, bardziej wykończone: „Siostrę Marię Bernardę uznaję za świętą, której Bóg pozostawił pewne niedoskonałości tylko po to, by ją zachować w większej pokorze.” „Moja miłość do s. Marii Bernardy graniczyła z czcią” — oświadcza s. Józefa Caldairou. „Mam taki szacunek dla s. Marii Bernardy — wyznaje s. Paulina Pubrier — że gdybym miała więcej odwagi, to, wchodząc do Saint-Gildard, całowałabym ziemię w miejscu, gdzie ona przebywała...”¹³ A oto, co mówi pokorna matka Elżbieta Blanc, przełożona sierocińca misji w Bordeaux: „Nie sposób jej naśladować. Kilka razy usiłowałam to czynić, starając się o to całą siłą swej woli, lecz nigdy mi się nie udawało.”¹⁴ I wreszcie ukończmy ten wieniec pochwał oświadczeniem s. Heleny Chautard: „Nigdy nie widziałam, by coś złego czyniła, nigdy nie słyszałam, by coś złego mówiła. Dlatego ją kocham, modlę się do niej i uważam ją za świętą.”¹⁵

Lecz co właściwie myślała o sobie sama Bernadetta? Wyraziła to niejednokrotnie, a zwłaszcza pewnego dnia we wrześniu 1874 albo 1875 roku podczas dorocznych rekolekcji.

„Było nas kilka w infirmerii — opowiada matka Filomena Roques,

która została przelożoną pensjonatu Sacré-Coeur w biskajskim Durango (Hiszpania). Wieczorem Święta wychodzi, mówiąc do nas: «Módlcie się za mnie, moje dzieci; idę do spowiedzi.» Miałyśmy tak wysokie mniemanie o jej cnocie, że odpowiedziałyśmy jednogłośnie: «Ależ siostra nie ma grzechów!» Słowa te sprawiły jej przykrość. Odparła nam tedy: «Och, nie mówcie mi tego!» Następnie, podnosząc i składając ręce, rzekła z wyrazem pokory, którą się odczuwało jako szczerą i prawdziwą: «Ileż ja mam grzechów!» W końcu dodała: «Któż jest bez grzechu?»¹⁶

Grzechy!... Zapewne miałyby niemaló kłopotu, gdyby ktoś jej zapytał, o jakie grzechy chodzi. W istocie, pod ten brzydki wyraz mogłaby podciągnąć tylko niedobrowolne niedoskonałości. Raz jednak się zdradziła, było to wyznanie, które się jej wyrwało i które tłumaczą okoliczności. Działo się to pod koniec października 1876 roku. Ks. Febure, były proboszcz parafii św. Gabriela w Fourchambault, a teraz kapelan klasztoru Saint-Gildard, niedawno miał kazanie o grzechu. S. Maria Bernarda wchodzi po schodach do infirmerii, prowadząc pod rękę infirmerkę, s. Kazimierę Callery, która piętnaście dni temu w komedyjce odgrywanej na imieniny matki Teresy Vauzou wystąpiła w roli Serafina.

— „O Serafinie — zawołała Bernadetta — jakżem ja zadowolona!

— Co takiego siostrę spotkało? — pyta zdziwiona towarzyszka.

— Siostra nie słyszała kazania?

— Słyszałam.

— No, więc ks. kapelan powiedział, że jeśli kto nie chce popełnić grzechu, nie popełnia go.

— Tak, słyszałam to. Więc co?

— Ja nigdy nie chciałam popełnić grzechu, więc nigdy nie zgrzeszyłam.”

„Promieniała radością — ciągnie dalej s. Kazimiera — i była w zachwycie wdzięczności. Trudno byłoby mi nie powiedzieć: «Siostra jest bardzo szczęśliwa. Ja tak nie mogę powiedzieć.»¹⁷

Mimo to, żadnej zarozumiałości u s. Marii Bernardy. Pewnego razu jedna z zastępczyń mistrzyni nowicjatu powiedziała o niej zdanie, pod którym nawet dobry teolog mógłby się podpisać: „Ależ to, że widziała Najświętszą Pannę, jeszcze jej nie umacnia w łasce.”¹⁸ Czy pokorna jasnowidząca była o tym przekonana? „Dlaczego siostra płacze?” — zapytała jej towarzyszka, która zaskoczyła ją całą we łzach. „Tyle łask otrzymałam — odrzekła. — Boję się, czy im odpowiem.”¹⁹ Wyznanie to uczyniła już raz — jeszcze za czasów pobytu w przytułku lurdzkim — ojcu Vignes’owi, misjonarzowi z Garaison, który rzekł jej: „Skoro Pani przyrzekła uszczęśliwić cię w przyszłym życiu, nie potrzebujesz się niczym niepokoić; możesz spokojnie polegać na tym przyrzeczeniu. — Ocho, proszę ojca, nie tak prędko — odpowiedziała żywo Bernadetta. Tak, będę szczęśliwa, lecz — uwaga! — jeśli będę postępować, jak należy, i jeśli pójdę prosto swoją drogą.”²⁰

Pewnego jednak dnia 1873 roku pod koniec rekolekcji w porywie bezgranicznej ufności napisze: „Muszę zostać wielką świętą. Mój Jezus tego chce.”

*

Święta, to znaczy osoba uprzywilejowana łaską, w której czynnik nadprzyrodzony opanował naturę, dominuje nad nią, nie niwecząc jej jednak.

Aby tym lepiej poznać św. Bernadettę, przypatrzmy się jej również zewnątrz, rozważmy jej cechy czysto ludzkie. W tym względzie właściwie nie powinno być niespodzianki, wiemy bowiem, że już w dzieciństwie była cicha i poważna a jednak żywa i bezpośrednia; na chwilę wylewna, potem znów dyskretna, zamknięta w sobie, tajemnicza; wesoła wśród uczennic, następnie smutna wobec doświadczeń ze strony jej najbliższych, wobec sprzeciwiania się jej posłannictwu... Czyż więc pod welonem tak dalece się odmieni?

Przypatrzmy się jeszcze jej portretowi namalowanemu przez siostry, które ją znały. Ma ona teraz lat około 30.

„Była drobna, miłutka, czarująca, nawet śliczna... Wydała mi się młodziutka. Ręce miała małe. Widzę jej oczy czarne i żywe z figlarną minką... Blask tych oczu był tak pociągający, że skoro raz się je widziało, nigdy nie można było ich zapomnieć; lecz zwłaszcza uderzała ich głębia, która zaiste była nadzwyczajna... Miałaś wrażenie, że ten wzrok ledwie dotykał ziemi, jak gdyby tajemniczo przyciągało go coś odległego a porywającego, coś, czego jej brakowało, i stąd w jej oczach, w jej ślicznym uśmiechu ta lekka melancholia, która jeszcze zwiększała jej powab. Jej uśmiech był skromny, lecz w tej skromności — jak zresztą w całej jej osobie — nie wyczuwało się wysiłku ani przymusu... Jeśli nie miała kultury i nie znała form światowych, a raczej tresury, niemniej jednak nie była pospolitą wieśniaczką, jakby ktoś mógł mniemać.”²¹

Mimo to wszystko pozostanie ona do końca Pirenejką. Pewna przełożona sierocińca św. Bernadetty, mieszczącego się w Lourdes przy drodze do Pau, tak charakteryzuje miejscowe pięcio- sześćioletnie dziewczynki: „Są to natury bogate, lecz tak żywe i niespokojne, że trudno nimi kierować. Mają gorące serce, które skłania je do wspaniałomyślności, lecz nieugiętą wolę, która czasami czyni z nich małe uparciuszki. Spostrzegam w nich jeszcze inną cechę etniczną, mianowicie pewien oryginalny dowcip, dzięki któremu odkrywają rzeczy zupełnie nieoczekiwane i często bardzo zabawne.”²²

Te same cechy charakteru, aczkolwiek nie tak ostro zarysowane, można łatwo odkryć w Bernadecie, która wprawdzie była zakonnica, niemniej jednak pozostała córką swej ziemi.

Pewien kapłan lurdzki, opierając się na świadectwie osób, które ją

odwiedzały, stwierdza, że już jako szesnastoletni podłotek „energicznie odpowiadała tym, co usiłowali doprowadzić ją do zaprzeczenia siebie samej. Jednakże żywość tonu i wysłowienia nigdy się nie przeradza w cierpkość czy gorycz... Usposobienie to jest dosyć charakterystyczne dla mieszkańców Lourdes i okolicy.”²³

Siedem czy osiem lat później, w okresie urabiania w nowicjacie, istota temperamentu pozostaje ta sama, jednak jego żywe objawy nie są tak częste i tak jaskrawe. „Obserwując z bliska s. Marię Bernardę nowicjuszkę, — spostrzega matka Henryka Fabre — można by w niej zauważyć pewną żywość, odpowiedzi zbyt skore, nigdy jednak nie raniące. czasami przejściowe objawy złego humoru lub niecierpliwości.”²⁴

U s. Marii Bernardy profeski nieznaczne wybryki charakteru zmniejszają się jeszcze bardziej. Jeśli dobra matka Eleonora Cassagnes twierdzi, że czasem uniesie się „fantazją”, to trzeba przez to rozumieć, że „w jej spostrzeżeniu czy wyjaśnieniu uwydatnia się pewna lekka gwałtowność”. Również „kaprysy”, które jej przypisuje, oznaczają „nieznaczne odruchy przekory”, które „w niczym nie naruszają jej szacunku i uległości względem kogokolwiek”²⁵.

Wytyka się jej pewne odruchy żywości, lecz zdarzają się one z dobrych pobudek. Tak więc matka Bordenave opowiada, że raz podczas rekolekcji „wszystkie zakonnice, zbliżając się do konfesjonału, pomijały pewną młodą i nieśmiałą siostrę, która również czekała na spowiedź. Spostrzegłszy to, s. Maria Bernarda energicznym krokiem poszła do matki asystentki wstawić się za pokrzywdzoną. Potem jednak wyrzucała sobie swoją żywość i jeszcze tego samego wieczoru publicznie się z niej oskarżała.” Innym razem — według tego samego świadka — przyniesiono jej jakiś szczegół z jej wyprawy rozdarty z niedbalstwa czy przypadkowo podczas prania. Wtedy ona rzekła żywo do siostry bieliźniarki: «Siostra powinna była być bardziej staranna: teraz trzeba będzie łątać.» Lecz zanim bieliźniarka odeszła, przeprosiła ją, mówiąc: «Bardzo siostrę przepraszam, że tak się odezwałam. Proszę się modlić o moje nawrócenie.»

Wyrzucano jej również, że „trzyma się uporczywie swych myśli”. Ona sama to przyznaje, lecz łatwo można wywnioskować — choćby tylko z jej wypowiedzi — że te myśli, przy których się upierała, nie były zbyt wywrotowe: „Byłam uparta przez całe swoje życie — wyznała z humorem. Nawet Najświętsza Panna u grotty dwa razy musiała mi mówić, żebym się napiła błotnistej wody. Lecz za to mnie ukarała, każąc się trzy razy prosić o wyjawienie mi swego imienia.”²⁶

Tak więc s. Maria Bernarda „nie była bez błędów”, a z drugiej strony nie usiłowała „ukrywać tych niedoskonałości, których natura ludzka nie może się ustrzec”²⁷.

Przypisuje się jej wreszcie niewinne figle, zabawne psoty. To już nie są niedoskonałości, lecz raczej akty rodzinnej miłości, które odprężają umysły, rozweselają serca.

Gdy Julia Garros przybyła jako postulantka do Saint-Gildard, bardzo się cieszyła, że znalazła tam swoją dawną towarzyszkę szkolną z Lourdes. Istne diablątko ta mała Julka! By się nieco ustatkowała, musiano ją umieścić obok Bernadetty, która była o pięć lat starsza od niej. „Okazuje się — mówi sama Julka — że mistrzyni nie mogła sobie ze mną poradzić, tak bylam niemożliwa.” Słuszne mniemanie, czyż bowiem raz nie podpaliła kądziałki swojej grzecznej sąsiadki²⁸?! A gdy potem przyszyła ją przeproszać, Bernadetta chwyciła ją w objęcia i zawołała: „Mam cię wreszcie, psotnico! A widzisz, nie wytrzymałaś!”²⁹ Julce znowu uśmiech zaigrał na ustach.

Także i s. Maria Bernarda splotała figła, lecz niewinnego i bez złośliwości, swojej młodej rodaczce, która w nowicjacie otrzymała imię siostry Wincenty. Z jakiejś przyczyny, której nie znamy, s. Wincenta była w szpitaliku. „Przygotuję ci dobry podwieczorek” — zapowiedziała Bernadetta. Istotnie, przyniosła potrawy a zwłaszcza owoce smażone w cukrze i jeden z nich podała przyjaciółce. Lecz gdy ta wyciągnęła rękę, Bernadetta powiedziała: „Dzisiaj sobota. Nie będziemy tego jeść; zrobimy dla Matki Bożej to małe umartwienie.”³⁰ Nie ulega wątpliwości, że tym razem uśmiech Bernadetty był weselszy.

Jeszcze jedna krótka scena z infirmerii: Mleko kipi na ogniu. Jedna z sióstr biegnąc na ratunek, woła: „Och, moje mleko ucieka!” A Bernadetta z łóżka: „Prędko, siostró, po żandarmów!”³¹

Tym razem rzecz się dzieje w bieliźniarni. Stoi tam kuferek, który przyniesiono wczoraj. Wchodzi szesnastolatka i na widok rzeczy przypomina sobie mamę, rodzinę, dom, okolicę... I płacze — płacze, ukrywając twarz w dłoniach i oparłszy łokcie na stole. Ktoś się zbliża bezszelestnie do niej. Słychać słodki i wesoly głos: „Och, panienko! oto solidne powołanie. Ależ ono będzie wzrastać, skoro je tak rzetelnie podlewasz. Dobrze więc, dobrze. Podleż jeszcze!” „Te proste słowa — powie później matka Julianna Capmartin, dawna płacząca postulantka — wywarły większy skutek niż kazanie. Płacząc śmiałam się. Lecz łzy niemal natychmiast obeschły i już nie powróciły, podczas gdy uśmiech pozostał... Tyle się później śmiałam, że nasza mistrzyni nieraz mi mówiła: «Moja mała, pójdiesz do czyścica: nie jesteś poważna.»”

Bernadetta z polecenia lekarza musi znowu zażywać tabakę. Otóż pewnej rekreacji siostra Chantal Guinet widząc, że zakonnica, do której głęboko się przywiązała, wyjmując tabakierkę, rzecze jej — niepewna, czy się nie myli:

— „Siostró Mario Bernardo, siostra nie będzie kanonizowana.

— Dlaczego?

— Dlatego że siostra zażywa: św. Wincenty à Paulo o mało nie przegrał swego procesu kanonizacyjnego z powodu tabakiery.

— A siostra Chantal, która nie zażywa, zapewne będzie kanonizowana” — odparła astmatyczka.

Pewnego dnia roku 1876 s. Maria Bernarda leży chora w łóżku. Nadchodzi matka Vauzou z jakąś postulantką i mówi: „Moja droga siostró, przyprowadzam ci to dziecko, któremu się przykrzy.” I zaraz się oddała. Infirmierka chodziła tu i tam. S. Maria Bernarda trzymała otwartą książkę, zapewne historię wydarzeń roku 1870. „Och, ta książka! — rzecze chora, rzucając ją jedną ręką ku infirmierce, która ją chwyta w locie. — Ona wzbudza we mnie chęć wyruszenia na wojnę.” Następnie zwraca się do postulantki, w której oczach odbijało się zniechęcenie: „Czyż nie widzisz, moja mała, że to szatan cię kusi?” A po krótkim milczeniu dodaje weselo: „Gdy on się zbliża do nas, trzeba mu pluć w nos!”³²

S. Stanisława de Basignan gorąco pragnie, by s. Maria Bernarda dotknęła jej różańca. Lecz trzeba wynaleźć jakiś pretekst... O, już go ma: „Siostró droga, zobacz ten mój różaniec — dlaczego on tak rdzewieje? — Dlatego, moja kochana, że za rzadko go odmawiasz.” Odpowiedź ta „mocno nas rozbawiła”³³ — kończy s. Klara Bordes. Lecz cóż z tego: podstęp się nie udał; Bernadetta nie dotknęła koronki.

Jednego roku w dzień Wszystkich Świętych s. Eleonora Bonnet nabiierała fiołków, rozkwitniętych mimo spóźnionej pory. Wie ona, że s. Maria Bernarda, która akurat jest chora, bardzo lubi kwiaty. Posyła jej więc do szpitalika skromny bukiet przez pewną nowicjuszkę z poleceniem, by powiedziała: „Droga Siostró, dzisiaj są twoje imieniny, bo wszak to uroczystość wszystkich świętych.” Nazajutrz ta sama nowicjuszka wręcza s. Eleonorze pakiet z kartką, na której sympatyczna chora pisze: „Skoro dziś imieniny moje, to i Siostry. Proszę więc przyjąć połowę moich ciastek, ale bez skrępułów, gdyż mam pozwolenie matki Asystentki.”³⁴

Razu pewnego jej krewna, s. Wiktoria Cassou, powtarza jej: „Jakże siostra jest szczęśliwa, że widziała Matkę Bożą!” Na to Bernadetta, chcąc urwać rozmowę, w toku której mogłoby dojść do niedyskretnych pytań, odrzekła: „Siostra też była przy objawieniach; trzeba było otworzyć oczy!”³⁵

Po otrzymaniu nagany zwierzyła się s. Wincencie Garros: „Dostałam cukierek. — Jaki? — zapytała zaintrygowana »podpalaczka kądziółki« — Och, to już moja rzecz.”³⁶

„O ile mi wiadomo — mówi dalej s. Wincenta — w domu macierzystym nigdy nie pominęła okazji do aktów miłości bliźniego.”³⁷ Któż by się nie podpisał pod tym zdaniem, widząc s. Marię Bernardę choćby nawet wykorzystującą podczas rekreacji swoje zdolności naśladowania, które — sądząc po skutkach — nie były pospolite. Lecz odnieśmy się w tym względzie do świadectwa matki Elżbiety Meyrignac, która została przełożoną konwentu Notre-Dame w Tonbridge, w hrabstwie Kent (Anglia).

„Podczas rekreacji przychodziła do nas, nowicjuszek, z czarującą prostotą zajmowała miejsce i przez cały czas wolny opowiadała nam zabawne historyjki, z których śmiałyśmy się, jak to się śmieje w tym wieku.

Ach, jakże piękne chwile jej zawdzięczam! Ileż zdrowego humoru nam przynosiła!...

Były to zazwyczaj scenki z życia w infirmerii, w których główną rolę niekiedy grał poczciwy doktor Robert Saint-Cyr. Zaczynał ten człowiek miał swoje maleńkie dziwactwa, które myśmy dobrze znały. Otóż Bernadetta rozśmieszała nas aż do łez, naśladując go nader dowcipnie, a nawet z odrobiną złośliwości. Należy jednak przyznać, że miłość bliźniego nigdy przy tym nie ucierpiała. Była to radość zdrowa i delikatna, pozostawiająca nas pod urokiem świętości..."³⁸

Jednakże matka Elżbieta nie chce zostawiać obrazu Bernadetty tylko bawiącej innych, dlatego pospiesznie dodaje: „Po rekreacji nasza droga siostra podnosiła się, oddawała nam miły ukłon i przybierała poważny wyraz twarzy, by nam dać poznać, że i my, nowicjuszki, powinnyśmy zastosować się do wymagań reguły.” Natychmiastowe — na pierwszy głos dzwonka — przejście ze stanu rozbawienia do głębokiego milczenia dowodzi, że jeśli s. Maria Bernarda ma usposobienie młodzieńcze i porywy dziecka, niemniej jednak jej wola i rozum panują nad nerwami. Silne nagłe wzruszenie może na nią wywrzeć wpływ, lecz tylko na krótko. Raz podczas rekreacji wszedłszy z s. Bernardą Dalias na łąkę, której dziś już nie ma, a na której rosły wysokie topole, rzekła z weschnieniem sama do siebie: „Och, te topole! Zawsze na ich widok przeszywa mnie dreszcz: one mi przypominają Lourdes.”³⁹ I rozmowa zeszła na inny temat.

Oczywiście, w swej tkliwości Bernadetta była kobietą. Kochająca, współczująca, „skrupulatnie wierna przyjaźni... wyszukanie wdzięczna za oddaną sobie przysługę”⁴⁰, „żywo odczuwała nawet najmniejsze względy, jakimi ją darzono”⁴¹. Kochała kwiaty: matka Julianna Capmartin jeszcze po długich latach będzie sobie ją przypominać, jak stoi pochyłona nad grządkami wzdłuż oszklonych łuków klasztoru Saint-Gildard i „dotyka stokrotkę polną tak delikatnie, jak gdyby chciała pogłaskać to maleńkie stworzenie Boże”.

Myliłby się ten, kto by z powodu tego gestu pełnego poezji wziął ją za marzycielkę lub osobę sentymentalną. W rzeczywistości jeśli „ona była kobietą przez nadzwyczajną zdolność czucia, cierpienia i kochania”, to miała też cechy męskie, jak pewność i dojrzałość swego sądu. Pacjentki swoje — oświadcza matka Julianna Capmartin, pielęgnowająca ubogie kobiety w przytułku w Saint-Lizier — „poznawałam po ich zwykłym spojrzeniu, tak niepokój umysłu odbijał się w zwierciadle oczu... Otóż nigdy nie widziałam wzroku przejrzystszego, bardziej przepelnionego pokojem i światłem niż wzrok mojej drogiej siostrzyczki Marii Bernardy. Był on jak śliczny kryształ, jak piękne źródło, źródło leśne, głębokie i czyste... Był jak jasność pogodna, wzmacniająca i uspokajająca, jasność rozumu i sądu, światło zdrowego rozsądku.”⁴²

Ten zdrowy rozsądek ujawnia się w najzwyklejszych okolicznościach.

w Saint-Gildard była osobliwa nowicjuszka, „brunetka, trochę Kreolka, usposobienia bardzo oryginalnego” — tak ją przedstawia matka Julianna Capmartin, sama bynajmniej niebanalna. Jej antylska francuszczyzna miała tę zaletę, że bawiła s. Marię Bernardę, „czasami aż do łez”. Raz podczas wieczornej rekreacji s. Angelika (ta brunetka), s. Maria Bernarda i s. Julianna szły w ogrodzie ścieżką Matki Bożej Wodnej. Nagle nietoperz, okrążywszy trójkę zakonnicy, spuścił się niedaleko na grządkę jarzyn. S. Angelika, która jeszcze nie widziała tego rodzaju „ptaków”, rzuciła się w tamtą stronę i już trzyma w ręku „mysz skrzydlatą”. „Rzuć tę brzydką bestię! — woła na nią s. Julianna. — Nietoperz!... Nie ma nic wstrętniejszego. To obraz diabła!” Przerazona Kreolka natychmiast odrzuciła zwierzątko. Tym razem s. Maria Bernarda się nie śmieje. Niemile uderzona porównaniem, wyrzuca swej przesądnej towarzysze tonem poważnym: „Nietoperz obrazem diabła! Stworzenie Boże obrazem diabła! Nie! To, co Bóg uczynił, jest dobrze uczynione i nie ma żadnych podobieństw do diabła. Jedno tylko jest podobne do szatana, mianowicie grzech.”⁴³

Ten „doskonały zdrowy rozsądek, który u niej był czynnikiem dominującym i którym znakomicie umiała się kierować”, uwypukla się zwłaszcza w jej listach, we własnoręcznych opisach objawień, w notatkach rekolekcyjnych... Nie ulega w nich wyobraźni, nie zapuszcza się w wyjaśnienia ani się wdaje w szczegóły... Jej praktyczny umysł zmierza prosto do rzeczy istotnej — czy to gdy idzie o zaspokojenie uzasadnionej ciekawości, czy o podniesienie na duchu wahających się lub smutnych, czy wreszcie o wprowadzenie zbłąkanych na dobrą drogę. Jej zrównoważony umysł lubi porządek, miarę. Po tej cesze łatwo ją poznać, a także czasem po szczególnym tonie drgań serca.

VIII

ASPEKTY DUCHOWE ŚWIĘTEJ

ŁASKA: MISTYCZNE OCZYSZCZENIE

Nie ma takiego stanu, w którym by nie można było kochać Boga z całego serca. Do świętości tu na ziemi można dojść wielu drogami. Jednakże metoda jest jedna: ta, której święty Paweł uczył młodą społecz-

ność chrześcijańską w Koryncie: „Tym, czym jestem, jestem z łaski Bożej, a łaska Boża we mnie nie była bezowocna. Ale też pracowałem więcej niż wszyscy inni apostołowie; och, nie! to nie ja pracowałem, jeno łaska Boża, która jest ze mną.”¹ Pokorne i dumne stwierdzenie, które św. Augustyn tak komentuje: „Ani łaska Boża sama, ani on sam, lecz łaska Boża z nim.”²

Bernadetta jak Paweł świadoma jest szczodrych darów Bożych. Z pewnością zwróciliśmy uwagę na jej wyznanie, zwilżone łzami: „Tyle łask otrzymałam!” Tytu nie zasłużonych dobrodziejstw stała się dłużniczką, że się obawia, czy zdoła dość godnie im odpowiedzieć: ten wybór jej mizernej osoby na świadka niebieskich objawień i odbiorczynię niewymownych zwierzeń; te natchnienia, te nadprzyrodzone siły, które — mimo jej słabości i niewiedzy — umożliwiły jej przekazanie „kapłanom”, później światu różnych zleceń Niepokalanej; wreszcie powołanie zakonne ze wszystkimi jego duchowymi konsekwencjami — wszystko to przecież zobowiązuje. Nie, ona nie zapomni tego ani nie okaże się niewdzięczną: odpłaci się Bogu, stając się — świętą. Jest to jedyna jej ambicja. Ufa, że z pomocą uwielbianego Dobroczyńcy będzie mogła ją zrealizować.

Nie ulega wątpliwości, że tak szczytne aspiracje wymagały czasu, by dojrzeć. Lecz oto epoka rozstrzygająca: błogosławione rekolekcje we wrześniu 1874 r., kończące się — na wzór *Ćwiczeń* św. Ignacego³ — pewnego rodzaju „wyborem”. Otwórzmy jeszcze raz jej notesik.

„Zapomnienie o przeszłości, a ufność co do przyszłości...”

«Jam jest Droga, Prawda i Życie. Lecz kto chce iść za mną, niech się wyrzeknie siebie, weźmie krzyż swój i niesie go aż do ostatniego dnia.»

Mój Boski Mistrzu, już dokonałam wyboru. Rozważyłam szeroką drogę, oceniłam wartość znikomych bogactw ziemskich, zmierzyłam długość trwania ulotnych przyjemności... Dzięki Twemu Boskiemu światłu wszystko zrozumiałam i odwracając usta od zatrutej czary, zawołałam z Mędrce: «Marność nad marnościami, wszystko na ziemi jest marnością, prócz kochania Boga i służenia Mu.»

- Wówczas podniosłam oczy i widziałam tylko Jezusa...

O, tak, mój Jezu, odtąd Ty sam bądź moim życiem, moim wszystkim. Pójdę za Tobą wszędzie, gdzie Ty pójdziesz...

Posłuszeństwo aż do zaślepienia,
ubóstwo w nagości ewangelicznej,
umartwienie aż do ukrzyżowania,
pokora aż do unicestwienia...”

Że myśli te, tak silne, s. Maria Bernarda czerpała z nauk ojca duchownego, to prawdopodobne. Niemniej jednak wyrażają one jej duszę zmierzającą do heroizmu.

Wśród jej notatek rekolekcyjnych czytamy jeszcze: „Precz z półowicznością! Stracić naturę, by uratować duszę.” A co ona tu rozumie

przez naturę? Wszelką niedoskonałość, nawet niedobrowolną, z której chce się poprawić.

W toku tych rekolekcji w roku 1874 pod kierownictwem spowiednika dokonała przeglądu wszystkich spraw swej duszy. Jaka wadę główną ojciec Douce w niej odkrył? S. Maria Bernarda wyraźnie na nią wskazuje: po ośmiu latach życia zakonnego wciąż jeszcze drażliwość. Ale czy zdoła całkowicie się z niej wyleczyć?

Drażliwość? Zaliż nie poddała, nie narzuciła jej tego przykrego określenia matka Maria Teresa Vauzou, która zapewne nieraz je użyła w jej obecności dla określenia tego, co w niej było tylko większą lub mniejszą wrażliwością? Przypomnijmy sobie w tym względzie uwagę matki Marii Teresy Bordenave. Wrażliwość ta, doszedłszy teraz do punktu kulminacyjnego, ujawnia się gestem lub słowem w krytycznej chwili cierpienia fizycznego czy moralnego. Istotnie, nie trzeba zapominać, że w tym okresie życia s. Maria Bernarda, aczkolwiek nie choruje obłożnie, nigdy nie jest wolna od cierpienia; trzeba też wziąć pod uwagę, że matka Teresa Vauzou, która teraz została tymczasową przełożoną generalną, w dalszym ciągu darzy ją chłodem. Zresztą — jak się wkrótce pokaże — nie na tym tylko polega próba wewnętrzna s. Marii Bernardy.

Jakkolwiek by było, spowiednik sądzi, że drażliwość powinna być zwyczajnym przedmiotem jej szczegółowego rachunku sumienia. Dowodzi tego zeszytek specjalny⁴, zresztą używany zaledwie od września do grudnia.

W ciągu tego roku 1874 s. Maria Bernarda wpisała już jeden przedmiot szczegółowego rachunku sumienia dotyczący równości usposobienia. Notatkę tę poprzedza modlitwa:

„Boże mój, udziel mi łaski, bym w cierpieniach i przeciwnościach zewnętrznych, a nawet wewnętrznych, mogła wyrwać zły korzeń drażliwości.”

Dalej zaś mówi, że korzeń ten podetnie „wspaniałomyślna miłość Pana Jezusa”.

Dlaczego s. Maria Bernarda tylko z trudem posługiwała się notatnikiem w pracy duchowej? Ona chce pozostać jak najwierniejszą obowiązкови szczegółowego rachunku sumienia, przepisanej regułą. Lecz ustawiczne skupianie uwagi na jednej niedoskonałości sprawia jej nieprzezwyciężalną trudność. Jej życie duchowe nie jest skomplikowane. Zwróciwszy całą uwagę na „wspaniałomyślną miłość Pana Jezusa”, będzie teraz wolała codziennie zastanawiać się, ile wysiłku wkłada w tę miłość.

Na drodze tej nigdy się nie zniechęcała, „pamiętając — jak mówi św. Franciszek Salezy — że jest natury ludzkiej, a nie anielskiej, i korzystając — stosownie do rady tegoż świętego doktora — nie tylko ze swoich utrapień, ale także z niedoskonałości”, aby „osiągnąć odważną pokorę i umocnić się w niej”⁵. Gdy tedy stwierdzi choćby najmniejszy pozór żywości — czy to podczas rekreacji, czy w infirmerii — „natychmiast

za te odruchy natury prosi o przebaczenie, czasem na kolanach, z rękami rozkrzyżowanymi”⁶. Tak więc s. Maria Bernarda wykorzystuje tę zdradziecką naturę do postępu w łasce.

*

Jeszcze przed tymi przemieniającymi rekolekcjami z roku 1874 w duszy jej rozpoczął się proces mistycznego oczyszczenia. Było to ukryte udręczenie, całkiem różne od doświadczeń zwyczajnych; jedno z tych źródeł niepokoju tryskających tylko w duszach, które Bóg powołuje do świętości. Czyż więc jasnowidząca z Lourdes, nad którą nie przestawało czuć najdoskonalsze ze stworzeń, miała być pozbawiona tej nadzwyczajnej łaski?

Dusza, którą Bóg chce szczególnie uświęcić, mogłaby upaść, nawet ze szczytów, gdyby przez pewnego rodzaju łakomstwo duchowe szukała zadowolenia, pociech w cnotach, w których się ćwiczy, i w ofiarach, które podejmuje. I to również rzecz ludzka, a Bóg postanowił wyniszczyć w niej wszystko, co ludzkie. W tym celu pogrąży ją w mistyczny czyściec, który św. Jan od Krzyża nazywa „nocą ducha”. Tam gruntownie pozna swoją wrodzoną nędzę i stwierdzając, że jest tak uboga, tak nędzna, uzna się za godną opuszczenia. Przedtem rady spowiednika czy lektura przynosiły jej pociechę, teraz zaś, gdy mroki ją otaczają, czerpie z tego tylko pozory pociechy. Co robić, jeśli nie zdać się, z bezgraniczną ufnością, na wolę Ojca, który jest w niebie? Do tego więc kresu Bóg chciał ją doprowadzić. Odtąd między Nim a nią już nie będzie bariery.

Naturalnie, że Bernadetta etapami dojdzie do tego szczytu. Jeszcze nie nadszedł ten czas, do którego się odnosi nieograniczenie entuzjastyczna ocena, wydana o niej przez jedną z dawnych towarzyszek, która z nią się zetknęła pod koniec jej życia. „Proszę mi powiedzieć — zwrócił się do tej czcigodnej zakonnicy ks. kanonik Guynot — proszę mi powiedzieć, jak mam sobie wyobrazić Bernadettę w Saint-Gildard. Chcę ją ujrzeć taką, jaką ją siostra jeszcze widzi.” Ona zaś po chwili skupienia rzecze: „Ksiądz żąda ode mnie rzeczy trudnej. Ksiądz chce, żebym opisała doskonałość. Bernadetta bowiem to doskonałość, która się stała siostrą z Nevers.”⁷

Jeśli można wnioskować z jej korespondencji, uświęcające doświadczenie zaczęło wyraźnie działać w jej duszy od roku 1872. Listy jej, w których zazwyczaj było niemało dowcipu, teraz zaczynają zdradzać jakieś tajemne cierpienie ich autorki.

Oto jeden z nich, skierowany 3 kwietnia do matki Aleksandryny Roques, przełożonej przytułku w Lourdes. Po kilku weselszych akcentach, zasmuca ją myśl o grzesznikach, a w końcu wspomina o swojej nędzy:

„Moja Droga Matko, nasamprzód chcę coś powiedzieć o naszej Drogiej i Czcigodnej Matce Przełożonej Generalnej, która od trzech miesięcy nie opuszcza swej celi... Przez cały marzec odprawialiśmy specjalne mo-

dlitwy do św. Józefa o jej zdrowie, lecz zapewne nie modliłyśmy się dobrze, gdyż nasza Droga Matka nie wyzdrowiała. Ma się nieco lepiej, lecz niewiele.

Proszę się modlić do Przenajświętszej Dziewicy o tę łaskę; jeśli to ma wyjść na większą chwałę Jej Boskiego Syna. Nie chciałabym oczywiście robić przykrości świętemu Józefowi, lecz przecież w niebie nikt się nie gniewa...

Pozwól, moja Droga Matko, że złożę Tobie, jak również wszystkim innym drogim Siostram, serdeczne życzenia „Wesołego Alleluja!” Lecz właściwie widząc naszą biedną Francję tak zatwardziałą i tak zaślepioną, powinniśmy raczej płakać niż się weselić. Jakże Pan Jezus jest obrażany! Módlmy się dużo za tych biednych grzeszników, aby się nawrócili. Przecież ostatecznie to są nasi bracia. Prośmy Pana Jezusa i Przenajświętszą Dziewicę, by raczyli przemienić te wilki w jagnięta.

Proszę zapomnieć o moim ciele, które ma się dobrze, a dużo modlić się za moją biedną duszę.

Proszę przekazać wyrazy mojej najgłębszej czci i szacunku oraz pozdrowienia świąteczne Księdzu Proboszczowi i poprosić Go, by w swoich pobożnych modlitwach raczył pamiętać o swojej owieczce.”

Pisząc tej samej wiosny do księdza Peyramale'a, by mu podziękować za jego dobroć dla jej braciszka Piotra, pensjonariusza ojców w Garaison, który od utraty rodziców stał się dla niej „przedmiotem wielkiej troski” — mile wspomina swego dawnego lurdzkiego spowiednika: „Bardzo proszę Księdza Proboszcza, by raczył wyrazić mój głęboki szacunek Księdzu Pomianowi i by polecił mnie Jego modlitwom. Tak bardzo ich potrzebuję...”

21 maja 1873 r. pisze do innej powiernicy, która ze względu na swój wiek nie umie czytać między wierszami: to 12-letnia Lucyla Konrada Pène, córka ciotki Bazyli. Tutaj s. Maria Bernarda nie waha się jaśniej sprecyzować swej myśli: „Najdroższa Kuzynko, dziękuję Tobie, jako też Twoim Rodzicom za modlitwy w mojej intencji. Módl się mniej o moje zdrowie, a więcej za moją biedną duszę. Proś często Pana Jezusa, by uczynił ze mnie zakonnicę według swego Serca. Zdrowia zawsze będę miała dosyć, lecz nigdy dosyć miłości do Pana Jezusa.

Co do własnego zdrowia tak się zwierzała dnia poprzedniego swemu bratu Janowi Marii, który w juwenacie w Eauze, departament Gers, otrzymał imię Maria Bernard: „Bądź spokojny. Nic mi nie jest. To tylko choroba serca, z którą można żyć długo, a zresztą mogę też umrzeć śpiąc. Oddaję się w ręce Pana Jezusa i Przenajświętszej Dziewicy.”

Te pogodne słowa kreśli 20 maja 1873 r., a 21 — jakeśmy widzieli — pisała, żeby w Lourdes nie niepokoiono się o jej zdrowie, lecz żeby w modlitwach proszono dla niej o miłość do Pana Jezusa. Zaliż nie możemy już odgadnąć, co jest przyczyną jej niepokoju? Oto niewystarczalność jej miłości do Pana Jezusa. Dwa lata później, w liście skierowanym 30

marca 1875 r. do Joanny Védère, która od roku 1867 jest cysterką w Blagnac⁸, skarga brzmi jeszcze żałośniej:

„Najukochańsza moja Kuzynko, prosz Pana Jezusa, by raczył mi darować iskierkę swej miłości. Żebyś wiedziała, jak mi jej potrzeba! Bardzo Cię proszę, przyrzeknij mi, że codziennie odmówisz za mnie krótką modlitwę, abym się stała świętą i gorliwą zakonnicą. A przynajmniej proszę o pobożne westchnienie. Prawda, że mogę liczyć na Twoją dobroć?”

Większość sióstr zupełnie nie zauważyła tego głębokiego cierpienia. Jest to istotnie — jak sama zapisała w swym notesiku — krzyż ukryty w jej sercu. Na zewnątrz jest ona spokojna i pogodna. S. Józefa Vidal, która we wrześniu 1873 r. przybyła z Fourchambault do domu macierzystego na chwilowy pobyt, mogła ją do woli obserwować. Otóż po powrocie pisała 29 tegoż miesiąca do pewnej korespondentki:

„Miałam szczęście być w Nevers i tam z jeszcze większą natarczywością polecić Twoją intencję naszej drogiej Bernadecie, która bynajmniej moim naprzykrzaniem nigdy się nie zraża...

Chciałabym mieć czas porozmawiać z Tobą o tej anielskiej siostrze. Żebyś wiedziała, jak ona jest miła! Co mnie najbardziej wzrusza, to jej miła prostota i pogoda, nawet wesołość, która podczas rekreacji dochodzi aż do figlów... Widać stąd, że ona cieszy się najśladszą błogością. Jakże mili są święci! Jak błogo będzie być w niebie w tak dobrym towarzystwie!”

Jednakże jej bezpośrednie otoczenie zaczyna coś podejrzewać. W czasie, kiedy s. Józefa Vidal pisała ten entuzjastyczny list, Bernadetta między dwoma atakami astmy zwierza się siostrze Wincencie Garros: „Bolesna to rzecz nie móc oddychać, lecz o wiele przykrzejsza być torturowaną cierpieniami wewnętrznymi. To straszne!”⁹

Czasami się wydaje, że jakaś zasłona zapada na jej najdroższe massabielskie wspomnienia. Dopiero co slyszełiśmy, jak mówiła o śmierci bez żadnej obawy. I słusznie, czyż bowiem Niebios Królowa nie zapewniła jej, że osiągnie wieczną szczęśliwość? Lecz oto nieco później drży na wspomnienie sądu.” Nie rozumiem obaw siostry — mówi jej s. Marta du Rais, która odebrała zwierzenie. Siostra jest pewna wygranej. — Nie tak bardzo!”¹⁰ — odparła Bernadetta. I nie dodała żadnych wyjaśnień.

W roku 1872 lub 1873 ułożyła i wypisała na luźnej karteczce rodzaj wiersza, doskonale wyrażającego aspiracje jej serca:

„Miej litość nad służką swoją,

która mimo wszystko chciałaby się stać jedną z Twoich

największych miłośnic.

Moim szczęściem będzie

naśladować Ciebie,

żyć z Tobą samym, lecz samotnie i w zapomnieniu,

by móc Cię lepiej kochać.”¹¹

Kochać Pana Jezusa, jak kochała Go Katarzyna Sieneńska, Teresa z Avili, Małgorzata Maria — oto jej gorące pragnienie. Otóż w chwilach próby czuje się daleko od Ukochanego, może więc tylko ubolewać nad niedostatkami swej miłości. Pogrąża się w „noc ducha”. W oddali jednak świta pocieszające światło: to przekonanie, że cierpi jako ofiara za grzeszników i że w ten sposób pełni massabielską misję. Ks. Febvre, nowy kapelan w Saint-Gildard, „doszedł do niezłomnego przekonania, że misją s. Marii Bernardy było żyć w domu macierzystym wskazaniem, które w Lourdes padły z ust Niepokalanej: pokutować, modlić się, umartwiać się, cierpieć za grzeszników”¹²

W cieniu konfesjonału ojciec Douce, ks. Febvre i jeszcze inni słuchali na ten temat bolesnych zwierzeń. Tajemnicę tych zwierzeń zabrali do grobu. Pozostał jednak notatnik, w którym jeszcze drgają autentyczne ich echa; echa, lecz nie wszystkie, gdyż s. Maria Bernarda nie opisywała szczegółowo swoich wewnętrznych cierpień. W notatkach jej można zauważyć myśli obce. Widać więc, że pisząc korzystała z lektury albo też ze wskazań kierowników sumienia. Zresztą zapożyczenia różnią się ortografią i stylem od jej myśli własnych.

Zapoznajmy się z cennymi zapisami.

Gwałtownie nękana smutkiem i zniechęceniem Bernadetta szukała pomocy u Jezusa konającego. Oto spontaniczne wołanie, które się wyrывa z głębi zboląłego serca: „Oto mój najśłodszy Jezu, ku Tobie wnoszą się westchnienia mego serca!”

Blaganie bez echa... Może więc akcenty inne niż małej zakonnicy z Saint-Gildard lepiej wyrażą Mistrzowi jej udrękę i jej życzenia. S. Maria Bernada pisze dalej:

„O Jezu strapiony i jednocześnie ucieczko dusz strapionych, Twoja miłość uczy mnie, że z Twojego opuszczenia powinnam czerpać całą siłę, której potrzebuję do znoszenia zaniedbań swoich...

Przez Twoje opuszczenie błagam Cię, o mój Boże, nie o to, żebyś mnie nie trapił, lecz żebyś mnie nie opuszczał w utrapieniach, żebyś mnie nauczył szukać w nich Ciebie jako jedyną moją pociechę, żebyś w nich podtrzymywał mą wiarę, wzmacniał ufność, oczyszczał miłość. Spraw łaskawie, bym widziała w nich Twoją rękę, bym nie chciała innego pocieszyciela prócz Ciebie...

I wy, święci Pańscy, którzyście przeszli przez tę próbę, miejcie litość nad tymi, którzy jeszcze jej podlegają, i uproście mi łaskę wierności aż do śmierci.”

W godzinach opuszczenia s. Maria wznosi się do Pana trzydziestym psalmem Dawidowym, który jest niejako typową modlitwą strapionych: „W Tobie, Panie, nadzieję miałam, bądź mi domem ucieczki, albowiem siłą moją jesteś... W ręce Twoje, Panie, oddaję ducha swego... Tyś mnie odkupił, Panie, Boże prawdy”.

Zdarza się, że wobec s. Marty du Rais, infirmerki dyskretnej i współ-

czującej, daje dowody upadku ducha: „Widziałam ją niekiedy przygnębioną; mówiła mi: «Jestem zniechęcona!»”¹³ Zapewne więc w jednym z tak bolesnych przejść przepisała do swego notesu „modlitwę biednej żebraczki Jezusowej”:

„O Jezu, proszę Cię, daj mi
chleba siły, bym złamała swoją wolę i zlała ją z Twoją,
chleba umartwienia wewnętrznego,
chleba oderwania się od stworzeń,
chleba cierpliwości, bym znosiła cierpienia swego serca.
O Jezu, chcesz, żebym była ukrzyżowana — fiat!”

Następnie zaś pisała dalej:

„Sprawiedliwy jest ofiarą, jego życie jest ołtarzem. Z miłości do Jezusa będę sobie zadawała gwałt, nawet przy najmniejszych okazjach.

O najbardziej współczujące Serce mojego Jezusa, przyjmij każdą moją łzę, każdy krzyk mej boleści jako akt błagalny za wszystkich tych, co cierpią, co płaczą; za wszystkich tych, co o Tobie zapominają.

Mój Jezu, ja cierpię i kocham Ciebie... Cierpię — lecz jęki moje wznoszą się nieustannie ku Tobie, mój Pocieszycielu; w Twoje najczcigodniejsze Serce przelewam łzy swoje; jemu polecam swoje westchnienia, udręczenia; jego goryczom swoje gorycze. Spraw, mój Jezu, by ten święty związek je uświęcił.”

W tych samych godzinach trwogi wzywa na pomoc także swą uniołwaną Panią Lurdzką. Do niej zasyła błagania nabrzmiałe bóleni swego znękanego serca.

O Maryjo, Matko boleści! U stóp krzyża otrzymałaś tytuł naszej Matki. Jestem dzieckiem Twych boleści, dzieckiem Kalwarii...

O Maryjo, moja dobra Matko, oto dziecko Twoje, które już nie może wytrzymać. Miej litość nade mną. Spraw, abym kiedyś znalazła się z Tobą w niebie.

Ty, któraś widziała i czuła niezmierne cierpienia swego ukochanego Syna, wspieraj mnie w czasie moich cierpień. W Twoje Serce złożyłam utrapienia swego serca. Z Twego Serca czerpię siłę i odwagę.

Niech, jak Ty, pozostaję u stóp krzyża, jeśli taka jest wola Twego Boskiego Syna! Niech już tu na ziemi, złączona duszą z Twoją duszą, zaczęć wielbić Pana wieczystym hołdem doskonałej uległości.”¹⁴

„Cierpię...” — przyznaje się sama sobie. A jednak w oczach jej daleko częściej widzi się pogodę uśmiechu niż wyraz boleści. Jakim sposobem pokój i prawdziwa radość mogą jednocześnie istnieć w duszy tak gruntownie przerabianej łaską? Święta Teresa usiłuje to wyjaśnić; pisze mianowicie, że cierpienia towarzyszące pracy łaski w duszy ludzi doskonałych, „wywierają wrażenie tylko na zmysłach i ich władzach”¹⁵. Niemniej jednak jest to tajemnicą. Dusze święte, które cierpią i jednocześnie są wesole — to zaiste zjawisko zdumiewające.

Normalnie, według autorów duchowych, oczyszczająca moc ducha po-

winna doprowadzić do „przemieniającego, spokojnego i trwałego połączenia z Bogiem, połączenia, które jest ostatnim etapem na drodze do mistycznego zjednoczenia, bezpośrednim przygotowaniem do uszczęśliwiającego widzenia”¹⁶. Wtedy — to już dziecięce zdanie się duszy na wolę Bożą, wtedy wprowadzić nie staje się ona bezgrzeszna, jednakże działa tylko z miłości. Zobaczymy, że i Bernadetta dosięgnie tego szczytu. Oto już teraz nowe, dotychczas nie znane promienie jej duszy przebijają jej „noc ciemną”: przeczytajmy te płomienne zdania wpisane na jednej z ostatnich stron jej notesu:

„Jezus żąda oderwania się od wszelkiego dobra, wszelkiego ludzkiego zaszczytu, wszelkiego stworzenia: pokory. Lecz łaskawość Jezusa, miłość Jezusa czyni to oderwanie mniej trudnym i mniej okrutnym dla natury.

Jezus jest dla mnie wszystkim. Nic nie może mnie odwrócić od Jezusa: ani miejsce, ani rzecz, ani osoba, ani myśl, ani uczucia, ani zaszczyty, ani cierpienie. To dla mnie zaszczyt, czar, serce, umysł. Ten, kogo kocham jest moją ojczyzną, niebem! moim skarbem! moją miłością! Jezus, i to Jezus ukrzyżowany, jest moim szczęściem!...

Ścisłe zjednoczenie z Jezusem, serce przy sercu z Jezusem — jak święty Jan — w czystości i miłości.”

By móc z zupełną swobodą posługiwać się podobnymi zwrotami, s. Maria Bernarda musiała dojść do heroicznego stopnia miłości i innych cnót. Istotnie. w ostatnich latach swego życia w trudnych okolicznościach z pomocą łaski Bożej wykazała energię ponad swoje przyrodzone siły, i to nie tylko przejściowo, lecz przy każdej sposobności.

IX

ASPEKTY DUCHOWE ŚWIĘTEJ

ŁASKA: CZYSTOŚĆ, POKORA, POSŁUSZEŃSTWO

Spśród zakonnice klasztoru Saint-Gildard poznaliśmy już sympatyczną postać s. Wincenty Garros. Ona to żyła z Bernadettą najdłużej i w najlepszych stosunkach; знаła ją więc doskonale, a ponieważ była jej rodaczką, przeto w myśl przysłowia: „Nikt nie jest prorokiem w ojczyźnie swojej” powinna była objawiać się u niej skłonność do surowego jej są-

dzenia. Mimo to jednak zeznała pod przysięgą: „S. Maria Bernarda była wzorem wszelkich cnót dla wszystkich zakonnice.”¹

To niezrównane świadectwo w ustach s. Wincenty znaczy, że z czystości i pokory, z dobroci, łagodności i cierpliwości, ze szczerości i posłuszeństwa przełożonym — cnót naturalnych, zbyt często bardzo niedoskonałych w duszach po prostu uczciwych — Bernadetta, dzięki łasce z góry, uczyniła cnoty nadnaturalne, nacechowane miłością Bożą — i że tych cnót stała się żywym przykładem.

Doprawdy, Dziewica przeczysta wiedziała, kogo wybrać.

Echo społeczności Saint-Gildard rozbrzmiewa jeszcze: „S. Maria Bernarda była anielska..., czysta jak lilia... Czytałam, że za łaską Najświętszej Dziewicy pozostała aż do śmierci czystą jak dziecko. Ocena ta w świetle tego, co na własne oczy widziałam, wydaje mi się bardzo słuszna.”² Tak mówią o naszej świętej trzy siostry jej współczesne, z których jedna była przełożoną generalną.

Tym, co już od pierwszego widzenia się z Bernadettą skłoniło biskupa Laurence'a do uwierzenia jej, była właśnie prostota, pewna naiwność, skromność tego dziecka”³.

Nie krępowany względami na dyskrecję ks. Lelong, biskup Nevers, po siedemnastu latach będzie mógł swobodnie wyrazić całą swą myśl nad trumną s. Marii Bernardy. Mowę swoją rozpocznie pochwałą tej czystości, która w niej jaśniała „jak diament bez skazy” i „która cała się odbijała w jej głębokim i przejrzystym wzroku”⁴. W tym wzroku, którego — jak twierdzi pewna czcigodna siostra — nie mogły oddać ani fotografia, ani sztuka malarska, ponieważ utworzył go „artysta niebieski”⁵.

Zaprawdę, rzadko oczy do tego stopnia były zwierciadłem duszy. „Oczy s. Marii Bernardy były zazwyczaj spuszczone — zaświadcza s. Marta du Rais. Lecz gdy się pokazały, wyglądały jasne i przejryste. Wydaje mi się, że pozostało w nich coś z promieniowania objawień.”⁶ S. Eugenia Calmes, która za czasów nowicjatu Bernadetty była postulantką, po przybyciu do domu macierzystego „gorąco pragnęła widzieć słynną małą Pirenejkę. Lecz ponieważ była indywidualistką i lubiła wydawać o ludziach i rzeczach własny sąd — zresztą umysłem pozytywnym i bynajmniej niesklonnym do entuzjazmu — rzekła sobie: «Spróbuję ją poznać sama bez niczyjej pomocy». Rozglądała się więc wokół siebie, uważnie patrzyła w twarze swoich młodych koleżanek i bez trudu poznała Bernadettę. «Jestem pewna — rzekła — że to te oczy widziały Najświętszą Dziewicę.»”⁷

„Z jej wzroku, postawy, rozmów, a nawet z jej miłych i niewinnych psot — zauważyła jedna z jej współczesnych — można było wnioskować, że serce miała bez skazy.”⁸ „Po jej twarzy widać było — stwierdza inna — że nie mogła znieść rozmowy o rzeczach choćby tylko nieco lekkich.”⁹

Wobec powyższego uznajemy za rzecz zupełnie naturalną, że tak po-

ważny teolog, jak o. Jan Klaudiusz Raffin, który został generałem Towarzystwa Maryi, złożył dziewicy z Nevers ten hołd podziwu:

„Co nas w niej najpierw uderzało, to prostota, niewinność, skromność i rezerwa, które ją całą otaczały i promieniowały wokół niej z jej wzroku, postawy i ruchów. Według powszechnej opinii zachowała niewinność chrztu, pozostała obsolutnie wolną od wszelkiej winy przeciw ewangelicznej cnotcie czystości i zachowała — w całej jej piękności, świeżości i woni — lilię dziewictwa.”¹⁰

Nie dziw więc, że s. Maria Bernarda darzyła szczególną miłością małe dzieci; a mówi przysłowie: „Z jakim przestajesz, takim się stajesz.” Przypominam sobie — mówi pewna pobożna mieszkanka Nevers — że podczas gdy modliła się w kaplicy, zbliżył się do niej mały ministrant z jakimś poleceniem. Ona uśmiechnęła się do niego wdzięcznie i pogłaskała go po główce.”¹¹

Wybuchem powszechnej radości reagowało 125 sierot, małych i dużych, wychowanek w klasztorze w Varennes — na zapowiedź dorocznych odwiedzin Bernadetty. Razu pewnego chcąc zrobić przyjemność czterdziestu pięciu dziewczętom jednej z pracowni, ustąpiła naleganiom i pozwoliła im przedefilować obok siebie, aby ucałować każdą. W Nevers w czasie wielkanocnym kierowniczką sal schroniska prosiły przełożoną generalną, jak o wielką łaskę, by raczyła przyjść do nich z lurdzką jasnowidzącą. Bernadetta już zawczasu malowała pisanki dla ich wychowanków, a następnie chętnie przybyła, by je rozdać¹².

„Zauważono — stwierdza przy tej okazji o. Raffin — że dzieci skwapliwiej przybiegały do niej niż do innych osób. Jakąż radością jaśniały, gdy, otaczając ją kolem, wpatrywały się w nią; a jak smutne były, gdy je opuszczała!

Rzec by można, że z s. Marii Bernardy promieniowała jakby emanacja prostoty, niewinności, czystości, która wabiła do niej i zatrzymywała te dzieteczki, która także, jak ona, są czyste, proste i niewinne.”¹³

Bernadetta nigdy się nie narażała na niebezpieczeństwo. „Przedsiębrała — zapewnia ten sam moralista — wszelkie środki ostrożności warunkujące zachowanie, w całej jej nieskazitelności, tej delikatnej i trwożliwej cnoty czystości. Zawsze czuwała nad swoimi zmysłami, a zwłaszcza nad wzrokiem — gdy pokazywała się publicznie...”¹⁴

Za czasów, kiedy była jeszcze dość silna, by móc „towarzyszyć do miasta siostrze odwiedzającej chorych i ubogich”¹⁵, przechodziły raz przez wielki park publiczny, sąsiadujący z terenem domu macierzystego. Towarzyszka zapewne zwróciła jej uwagę, że cienie tych wielkich drzew nie zawsze padały tylko na zabawy dzieci, których niewinność tak ją zachwycała... S. Maria Bernarda gorzko ubolewała nad ofiarami grzechu nieczystości. „Ubrałam lalkę dla córeczki naszego stróża --- opowiada s. Klara Bordes. Bernadetta wzięła ją i, huśtając ją na ręku, mówiła: «O moja biedna lalczko, wyglądasz jak te nieszczęśliwe dziewczęta, któ-

re chodzą do parku. Jakże one są nieszczęśliwe, że nie mają zrozumienia piękna czystości!»¹⁶

*

S. Maria Bernarda odznaczała się wielką pokorą. Pokora dodawała jej wdzięku, była strażniczką jej serca.

Z cnoty, jako też z powołania była najgodniejszą córką założyciela, który w swym *Dyrektorium* zamieścił tę złotą maksymę: Nowicjuszka — która, wstępując do klasztoru, nie jest zdecydowana zajmować w nim ostatniego miejsca przez całe życie — nie ma dobrego powołania. Otóż liczne zeznania i wydarzenia dowiodły nam, że Bernadetta zawsze uważała się za ostatnią ze wszystkich. „Przez całe swe życie miała wstręt do występowania publicznie.”¹⁷

„Jesteście, drogie siostry — mówił bp Lelong w dniu pogrzebu — świadkami tego, że nie ukrywano jej, lecz ona sama się ukrywała, i to jeszcze nie tak pilnie, jak tego, pragnęła. Jakże ona kochała to ustronie, a jak się bała z niego wyjść!... Nie lubiła mówić o przeszłości; rzec by można, że starała się o niej zapomnieć, a przynajmniej zatrzeć w pamięci innych.”¹⁸

I jeszcze więcej: „Dzisiaj dopiero rozumiałam, co było najcudowniejsze w jej pokorze — przyznaje pewna czcigodna zakonnica po przeszło czterdziestu latach od śmierci świętej. — Uczono mnie, że pokora to «milczenie o sobie». Otóż to było u Bernadetty; zupełnie to samo: u niej żadnego ja... Żadnego zajmowania się własną osobą... Byłam oczywiście tym zbudowana, lecz nie wiedziałam tak jak dzisiaj, że był to skutek bardzo wielkiej cnoty.”¹⁹

„Jestem zdania — twierdzi s. Emilia Marcillac, która nie może znaleźć ludzkiego wytłumaczenia tego cudu zapomnienia o sobie — jestem zdania, że tej pokory nauczyła ją sama Najświętsza Panna podczas objawień.”²⁰

Przełożona sierocińca w Cahors, zatrzymawszy się chwilowo w domu macierzystym, zapytała jej, czy po otrzymaniu tych niesłychanych łask nie czuje jakiegoś upodobania w sobie. Na to ona odpowiedziała niemal dosłownie — prawdopodobnie nie zdając sobie z tego sprawy — słowami Proboszcza z Ars: „Jakie wyobrażenie siostra ma o mnie? Czyż ja nie wiem, że skoro Najświętsza Dziewica wybrała mnie, to tylko dlatego, że byłam największą prostaczką? Gdyby była znalazła bardziej ciemną ode mnie, zapewne ją by wybrała.”²¹

Istotnie, zawsze ją zdumiewało to, że Matka Boża upatrzyła sobie ją, biedne i nędzne dziecko. Byłaby wolała całkowicie zniknąć w massabielskim świetle. „Zdawała się nawet nie przypuszczać — powiedział o niej pewien dostojnik Kościoła — że była w sytuacji nadzwyczajnej.”²² Dlatego „zachowywała głębokie milczenie o tym wszystkim, co by mogło dodać jej blasku”²³. W roku 1874 wpisała do notesu rekolekcyjnego to

postanowienie: „Główna łaska, o którą mam prosić: Życ w coraz większym ukryciu na wzór Jezusa i Maryi.”

Pewnego dnia dwie postulanki przybyłe z Lourdes pokazały jej fotografie groty. Chytre! Sądziły zapewne, że tym sposobem skłonią ją do mówienia o objawieniach. Ona jednak, pochylona nad obrazkami, które tak dużo mówiły jej sercu, rzuciła tylko to bezosobowe spostrzeżenie: „Och, jak urosły topole!” I odeszła.²⁴

Nie dała się także wprowadzić w zasadzkę pewnej niedzieli 1876 roku. Znowu fotografia groty. Pokazuje ją s. Filipina Molinéry, starając się odgadnąć z rysów twarzy reakcje Bernadetty. Ona zaś zapytuje się nagle:

— Co się robi miotłą?

— Też pytanie!... Zamiata się.

— A następnie?

— Stawia się ją na swoje miejsce za drzwiami.

— Otóż taka jest moja historia: Najświętsza Panna posłużyła się mną, potem umieszczono mnie na moim miejscu; jestem z tego zadowolona i pozostaję w tym miejscu.”²⁵

Towarzyszki w chwilach większej zażyłości mimo wszystko nie mogły nie wyrazić jej swego podziwu i uznania. Na to ona odpowiadała: „Cóż ja mam więcej niż inne? Pan Bóg posłużył się mną, tak jak np. posłużył się wołami w Bétharram, by odkryć cudowną figurę; oto wszystko, nic więcej.”²⁶

Niektóre nowo przybyłe postulanki — jak już wyżej powiedziano — poznawały ją po jej oczach od pierwszego spotkania. Przeciwnie, jedna z nich, zapewne równie mało spostrzegawcza, jak nieśmiała, poznała ją dopiero po miesiącu, tak s. Maria Bernarda umiała schodzić na dalszy plan. Przyszłej s. Bernardzie Dalias udało się wprawdzie wcześniej ją zidentyfikować, mimo to posłuchajmy, co się jej przygodziło. Sama o tym opowiada. Otóż przywieziona pewnego majowego dnia z Lectoure przez matkę Bernardę Berganot, przełożoną przytułku w tym mieście, panna Dalias — jak wszyscy ludzie — „gorąco pragnęła poznać powiernicę Matki Bożej”. Tylko że wyobrażała sobie Bernadettę „uroczystą, z twarzą poważną, ruchami miarowymi, tonem mowy bardzo dostojnym, z postawą jakby stworzoną do wielkich dzieł”. Trzy dni szukała więc wśród grup sióstr Bernadetty według swojej koncepcji... Jednakże pewna zakonnica „drobna i młodziutka” wzbudzała do siebie jej uczucia sympatii. Ale gdzieżby, to nie może być ta!... Wreszcie Dalias zdobywa się na odwagę i pyta matki Berganot, przy której była właśnie na krużganku ta uroczą siostrzyczka:

— „Proszę matki, to dziwne: już trzy dni tu jestem, a nie mogłam jeszcze poznać Bernadetty. Bardzo się tym martwię.

— Bernadetta — oto ona!

Byłam tak wstrząśnięta — ciągnie dalej s. Bernarda Dalias — że nie zdołałam powstrzymać niefortunnego okrzyku „To!”

A s. Maria Bernarda z najrozkoszniejszym uśmiechem chwyciła rękę młodej towarzyski i odpowiedziała radosnym głosem: „Ależ tak, panienko, nic innego, tylko to.”²⁷ Tym osobliwym komplementem nowo przybyła zyskała sobie jej serce; to — ta pogardliwa bezosobowa nazwa — doskonale streszczało, co Bernadetta myślała o sobie samej.

„S. Maria Bernarda prosiła jak o wielką łaskę, by mogła nie chodzić do rozmownicy. Udawała się tam tylko z posłuszeństwa. Niechęć jej była większa, gdy czekały na nią wysokie osobistości.”²⁸ „Znów muszę tam pójść — zwierzyła się raz s. Józefie Caldairou. — Gdyby siostra wiedziała, ile to mnie kosztuje, zwłaszcza gdy czekają na mnie biskupi.”²⁹ Nigdy nie była tak zarozumiała, by sądzić, że księżęta Kościoła przybywają do klasztoru tylko po to, by się z nią widzieć.

A jednak jej pokorne mniemanie o sobie nie zmienia faktu: w domu macierzystym odwiedzili ją: kardynał Donnet, arcybiskup Bordeaux, mons. Chigi, nuncjusz apostolski w Paryżu; ks. Landriot, arcybiskup Reims; ks. Dupanloup, biskup Orleanu; a nadto trzydziestu innych biskupów z Francji, piętnastu biskupów misyjnych, a między innymi bp Petijeau, wikariusz apostolski Japonii, następca bpa Forcade’a, bp Reyne z Gwadelupy, bp Guillemain z Kantonu, bp Macheboeuf, przełożony misji w Górach Skalistych, bp Vitte, wikariusz apostolski Nowej Kaledonii...

Na wszystkich tych biskupach „bez wyjątku — oświadcza bp Forcade — wywarła jak najlepsze wrażenie. Nigdy nie stwierdziłem, żeby życzliwe względy, które jej okazywali ci dostojnicy Kościoła, naruszyły, choćby w najmniejszym stopniu, jej pokorę. Okazując im wielki szacunek, była jednak wobec nich równie prosta i naturalna jak wobec zwykłych śmiertelników”.

Po każdej z tych wizyt, które by mogły olśnić niejedną, ona nie objawiała ani zadowolenia, ani dumy. „Razu pewnego — opowiada s. Maria Delbrel dwie siostry z domu macierzystego zabrały ją na wieś do pensjonatu Matki Bożej Anielskiej, gdzie byliśmy na odpoczynku. Właśnie biskupi chcieli się z nią widzieć. Ona jednak nic o tym nie wiedziała. Opuściła nas z żalem, otrzymawszy od nas przyrzeczenie, że jej opowiemy, cośmy robiły. A nazajutrz rzekła mi: «Ci biskupi lepiej by zrobili, gdyby pozostali u siebie, niż by mieli mnie wzywać.»”³⁰

Mimo wszystko biskup Nevers nie przestawał czuwać. „Spostrzegłszy raz — ciągnie on dalej — że pewien wysoki dostojnik Kościoła wpadł przed nią jakby w ekstazę, i obawiając się, żeby ona sama tego nie zauważyła, odezwałem się do niej nagle i niemal szorstko: «Czego tu siostra jeszcze czeka? Widziano siostrę i to wystarczy, już siostry tu nikt nie potrzebuje.» S. Maria Bernarda natychmiast odeszła, nie mówiąc ani słowa, nie okazując niezadowolenia, a nawet uśmiechając się.”³¹

Niejednokrotnie w dni, w które s. Maria Bernarda, chorując w infirmerii, czekała na swego zwyczajnego spowiednika, zjawiał się bp Forcade. Zrazu chodził, najobojętniej, od łóżka do łóżka, udzielając chorym zachęt

i rad. W końcu przyszedłszy do Bernadetty, pytał, czy nie potrzebuje jego kapłańskich posług. „To śmieszne — mówiła naiwnie — Biskup fatyguje się, by spowiadać chore siostry.” Nie mogła odgadnąć, że przychodził tylko ze względu na nią³².

Trzeba było racji naprawdę przekonywających, żeby przełożona generalna pozwoliła zwykłym księżom lub ludziom świeckim na widzenie się w rozmownicy z Bernadettą. Bardziej pobłażliwe były siostry dla tych, co chcieli tylko widzieć ją w przejściu. Zazwyczaj polecano im „sta-
nać naprzeciw drzwi prowadzących do kaplicy”. Puczano ich, że jasnowidząca z Lourdes zaliczała się do najniższych wzrostem, że szła w tym a w tym szeregu. „Był to dogodny sposób wskazywania jej tym osobom, bez zwracania na to jej uwagi.”³³

Lecz gdy s. Maria Bernarda domyślała się czegoś, wtedy trudno było ją uchwycić. Ks. Cointe, przyszedłszy wikariusz generalny Nevers, idąc z chóru do kaplicy, zauważył ją klęczącą w ławce. Spostrzegła, że patrzy na nią: „wstała szybko i wyszła.”³⁴ Ojciec Raffin, który często odprawiał Mszę św. w domu macierzystym, wychodząc krużgankiem, miał już właśnie pozdrowić zakonnicę zbliżającą się ku niemu. Była to Bernadetta. „Widząc, że ktoś wychodzi na jej spotkanie, weszła dyskretnie w najbliższe boczne drzwi.”³⁵ Pewien ksiądz z departamentu Corrèze, a więc rodak matki Marii Vauzou, „dobrze jej znany”, przybył do Nevers tylko po to, by zobaczyć Bernadettę. „Matka Maria Teresa powiedziała mu, żeby się przechadzał po krużganku, a ona skieruje tą drogą s. Marię Bernardę... Gdy więc tak się przechadzał, odmawiając brewiarz, pokazała się niska siostra z dłońmi ukrytymi w rękawach, z oczyma spuszczoneymi. Pozdrowiła go, on jej odpowiedział. Za chwilę wychodzi matka Maria Teresa ze swego gabinetu i pyta gościa: „Widział ksiądz Bernadettę? — Nie. Widziałem tylko małą siostrzyczkę bardzo skromną, która mnie pozdrowiła. — Ależ to była Bernadetta! — Ach, gdybym był wiedział, byłbym się jej lepiej przypatrzył!”³⁶

Nieraz mury klasztoru Saint-Gildard były świadkami zgorszenia, oczywiście krótkotrwałego, jakiejś wielkiej pani, która, poprosiwszy samą s. Marię Bernardę, by jej przyprowadziła Bernadettę, utyskiwała potem na niegrzeczność tej małej siostrzyczki, która śmiała nie spełnić jej życzenia³⁷. „Czasem — opowiada s. Maria Delbrel — używała zręcznych forteli, by się uchylić od wizyty. Raz gdy nasza wielebna matka — chcąc sprawić przyjemność mojej rodzinie przez umożliwienie widzenia sługi Bożej — wysłała ją do rozmownicy pod pretekstem zanieśienia pakunku, ona po drodze grzecznie przekazała go na krużganku nowicjuszcze, jakby na usprawiedliwienie tego, co przed chwilą powiedziała o niej przełożona: „Zdarza się, że poślę ją do rozmownicy. Lecz jeśli jej nie zobowiązę, żeby tam weszła, plan nie zawsze się udaje.”³⁸

„Lubiła tylko swój kącik”³⁹ — zaświadcza jedna z jej towarzyszek. Będąc już profeską, spontanicznie ustępowała miejsca zwykłym nowicjuszk-

kom i nie chciała, żeby „biednej siostrzyczce Marii Bernardzie” okazywały choćby tylko cień szczególnych względów. Jednego razu — opowiada matka Józefina Forestier — kilka nas nowicjuszek udawało się na rekreację. W tej chwili schodziła po schodach s. Maria Bernarda. Przystanęliśmy i, gdy ona się zbliżyła, skłoniliśmy się jej głęboko. Na to ona odezwała się do nas z miną surową, która u niej nie była zwyczajna: «Ponieważ okazujecie mi szacunek, na jaki nie zasługuję, nie zostanę z wami na rekreację.» Trzeba było przyrzec «poprawę», żeby ją zatrzymać. Nie bez trudu się to udało.”⁴⁰

Do głównych członków swej rodziny pisywała mniej więcej raz na rok. „Pisała mało, z pokory — informuje ks. kanonik August Perreau — i gorąco prosiła, aby nie pokazywano innym jej listów.”⁴¹ Gdy jej brat Jan Maria zwrócił się do niej w imieniu całej rodziny z zapytaniem, dlaczego o nich zapomina, ona mu odpowiedziała 7 października 1878 roku:

„Oto powód, dlaczego tak rzadko do Was pisuję: Dowiaduję się, że moje listy krążą wszędzie. To mi sprawia przykrość. Jeśli się to powtórzy, nie będę pisać do nikogo.”

Wśród innych notatek rekolekcyjnych napisała: „Założę swe szczęście na życiu w zapomnieniu, z Bogiem samym.”

Świadoma jednak, że nadprzyrodzoną cnotę pokory można osiągnąć tylko pokorną i ufną modlitwą, latami całymi codziennie zanosila do niezawodnej Pośredniczki tę oto piękną modlitwę:

„Tak, o czuła Matko, zniżyłaś się aż do ziemi, by się objawić słabemu dziecku i, mimo jego niegodności, zakomunikować mu pewne rzeczy. Jakże to wielki powód do pokory dla niego! Ty, Królowa nieba i ziemi, raczyłaś się posłużyć tym, co jest najsłabsze według świata. O Maryjo, obdarz tę, co śmie mienić się Twoim dzieckiem, tą cenną cnotą pokory. Spraw, o czuła Matko, by Twoje dziecko naśladowało Cię we wszystkim. Niech będę dzieckiem według Twego Serca i Serca Syna Twego.”⁴²

Że Bernadetta została wysłuchana, wiele osób to zaświadcza. „Pokora była jej cnotą ukochaną..., jej rysem wyróżniającym..., najcharakterystyczniejszą nutą jej życia.”⁴³ „Fakt, że s. Maria Bernarda mimo okazji szczytowania się ze swoich wizji prowadziła życie ustawicznie ukryte — kończy doświadczony o. Karol Payrard — dowodzi praktykowania przez nią heroicznej cnoty pokory.”⁴⁴

*

Wolna w tak wysokim stopniu od miłości własnej, Bernadetta mogła być doskonale posłuszna.

Nie tylko „nie objawiała żadnego niezadowolenia”, gdy jakieś rozporządzenie było dla niej przykre, ale nadto „biegła na każde skinienie”. Taką opinię wydaje o niej matka Józefina Forestier i jako najbardziej

autorytatywny świadek dodaje jeszcze: „Wszystkie mogliśmy podziwiać jej umiłowanie naszej świętej reguły.”

Dostosowywała się do niej nawet w najdrobniejszych szczegółach. Jedną z jej towarzyszek, chcąc mieć od niej pamiątkę, podała jej obrazek i ołówek z prośbą, by wypisała na nim jakieś zdanie lub swoje imię: „Och, ja nie mam pozwolenia — odpowiedziała Bernadetta... Lecz proszę.” Wzięła obrazek i paznokciem zrobiła na nim znak krzyża⁴⁵.

Gdy opowiadano wobec niej znany epizod z życia pewnego mnicha, który na pierwszy głos dzwonka wstał od pracy, nie dokończywszy nawet litery, wyrwało się jej spostrzeżenie: „To nie jest tak trudne.” Wszyscy w Saint-Gildard znali „jej punktualność i pośpiech, z jakim na pierwszy dźwięk dzwonka udawała się, gdzie należy”⁴⁶. Lecz ileż walk wewnętrznych musiała stoczyć, by dojść do tego! Wiadomo bowiem, że temperament pirenejski nie usposabia zbyt do uległości. „Sądzę — zapewnia matka Józefina Forestier — że jej natura najwięcej miała trudności z posłuszeństwem.”⁴⁷

Ze względu na ślub posłuszeństwa ona, posłanka Niepokalanej, musiała milczeć o swoich widzeniach. Jakże to wielka ofiara dla niej!

„Moim zdaniem — oświadcza matka Maria Teresa Bordenave — posłuszeństwo Bernadetty jaśnieje szczególnym blaskiem w związku z zakazem mówienia o wydarzeniach lurdzkich. A przecież cała jej dusza była przepelniona wspomnieniami o nich; towarzyski jej zapewne gorąco pragnęły, by im opowiadała o objawieniach; mimo to jednak zachowywała zawsze milczenie w tym względzie.”⁴⁸

Raz w czasie porządków w infirmerii s. Julianna Capmartin, myjąc fajansową statuetkę, pytała się podstępnie Bernadetty: „Prawda, że ta figurka Matki Bożej jest piękna.” Ani słowa odpowiedzi. „Kuszę ją w dalszym ciągu — mówi dalej s. Julianna: «Ja to nie lubię nieładnych figurek Najświętszej Panny». Wiedziałam, że nie zachwycą się naszymi statuami, sądziłam więc, że w związku z tym powie mi coś ciekawego. Nawet nie otworzyła ust. Istotnie, trudno jej było rzec coś na ten temat, by nie zbliżyć się do terenu zakazanego. W milczeniu tym niejednej cnoty się dopatruję: jest tam nie tylko posłuszeństwo, ale i pokora, i roztropność, i przedziwne panowanie nad sobą.”⁴⁹

Trzeba jednak przyznać, że aby nie wzbudzać w niej żalu (pewna przełożona powiedziała by: miłości własnej), unikano mówienia o Lourdes w jej obecności. Razu jednego, gdy jasnowidząca była już profeską, czytano w nowicjacie jakąś książkę o wydarzeniach lurdzkich. Naraz otwierają się drzwi. Siostra Maria Bernarda! „Wyobraźcie sobie poruszenie powszechne — opowiada jeszcze s. Julianna Capmartin. — Czyta się nam o cudach lurdzkich, a oto nagle przed naszymi oczyma staje opatrznosciowe narzędzie, świadek wybrany i równocześnie ta, która pierwsza głosila o tych pięknych rzeczach... Droga mała! Czy przypuszczała, że w tej chwili myślałyśmy o niej? Że książka mówiła o niej lub raczej

że ona sama mówiła nam przez tę książkę?” Instynktownie czy „na znak naszej mistrzyni” lektorka przerwała czytanie. S. Maria Bernarda, która przyszła prosić o jakieś pozwolenie dla chorej siostry, nie zadawała sobie pytania, dlaczego za jej wejściem nastąpiło milczenie⁵⁰.

Chociaż siostrom nie wolno było wypytywać jej co do samych wizji, to jednak pewne zagadnienia nie podpadały całkowicie pod zakaz.

„Gdzie siostra była podczas objawienia się Matki Bożej?” — zapytała jedna z nich, podsuwając jej przed oczy fotografię grotu. Ona zaś palcem wskazała miejsce, gdzie klęczała.

— „To zapewne dla siostry bardzo słodkie wspomnienie, nieprawdaż, droga siostrzo?”

Bernadetta spoważniała, stała się niemal smutna:

— „Och, tak, lecz ja nie miałam żadnego prawa do tej łaski.”⁵¹

„Jednego razu — opowiada matka Józefina Forestier — gdy była już profeską, wspomniałam jej o pewnej ceremonii w Lourdes. Jedyłą jej reakcją był tylko wykrzyknik: «Lourdes!» Nic więcej nie powiedziała, lecz ja czułam, że jej serce całe było przepelnione wizjami z grotu.”⁵² „Codziennie — zwierzała się komu innemu — odbywam myślą pielgrzymkę do tego miejsca.”⁵³

— „Czy nie pragnęłaby siostra odwiedzić grotę? — zapytała jej pewnego dnia 1873 roku s. Aurelia Gouteyron, która otrzymała skierowanie do Lourdes.

— Ach, moja droga siostrzo — odpowiedziała s. Maria Bernarda z wyłaniem — chciałabym być ptaszkiem, by widzieć, a nie być widzianą!”⁵⁴

W rzeczywistości złożyła ostatecznie ofiarę nawet z pragnienia odwiedzenia grotu. „Moja misja w Lourdes jest już skończona. Cóż ja tam miałabym robić?” — zwierza się matce Urszuli Lassale, przełożonej szpitala w Cosne, departamentu Nièvre⁵⁵. Pozostało jej tylko „jedno pragnienie, mianowicie, by Matka Boża była uwielbiana, kochana”⁵⁶. Gdy bp de Ladoue przed swoją pielgrzymką do Lourdes zapytał jej, czy i ona miałaby chęć tam się udać, ona mu odrzekła: „Zrobiłam ofiarę z Lourdes. Ujrzę Najświętszą Dziewicę w niebie. To będzie o wiele piękniej.”⁵⁷

Przełożone klasztoru były obecne podczas tej rozmowy. Gdyby więc s. Maria Bernarda nie była zupełnie zrezygnowana i doskonale posłuszna, tak jak to wyżej przedstawiono, czyżby nie skorzystała z tej jedynej okazji, by ujawnić pewne pragnienie lub przynajmniej żal?

ASPEKTY DUCHOWE ŚWIĘTEJ

ŁASKA: MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO, KULT PRAWDY,
DUCH UMARTWIENIA I UBÓSTWA

Słyszeliśmy już, jak w godzinie próby Bernadetta zwierzała się s. Józefie Ducout: „Trzeba zawsze widzieć Boga w przełożonych; zgadzam się mimo wszystko”, t.j. mimo że to bardzo przykre. Wzrok wiary skłania ją więc do przyjęcia ofiar — niekiedy wręcz krzyżujących — których się domaga ślub. Ona nie zna posłuszeństwa powierzchownego lub wyrachowanego, „by być widzianą”¹ — jak mówi św. Paweł. „Uległa zewnętrznie i wewnętrznie — dodaje s. Józefa Ducout — zawsze szanowała i czciła swe przełożone, w których — powtarzam — ustawicznie widziała Boga.”²

Również wszystkie swoje towarzyszki kochała miłością opartą na wierze, z najdoskonalszą bezinteresownością, nie oglądając się na wzajemność. Dla miłości Bożej przebaczała niedelikatne obchodzenie się z nią, niezasłużone upokorzenia. „Nigdy do nikogo nie żywiła najmniejszej urazy. Jeśli jej mówiono, że ktoś mógł jej być przeciwny, zrobić jakąś przykrość, ona odpowiadała: Zapomniałam o tym.”³

Bernadetta zażyła słodczy przyjaźni, ponieważ nawet w społeczności klasztornej można w sposób dozwolony okazywać komuś szczególne względy.

„Była dla mnie szczerą przyjaciółką — przypomina ze wzruszeniem s. Wincenta Garros. Kochała mnie miłością nadprzyrodzoną, w przeciwnym bowiem razie nie byłaby mnie tak znosiła.” „Ona była bardzo wierna swym pobożnym przyjaźniom — zaświadcza s. Bernarda Dalias — zwłaszcza przyjaźniom z okresu nowicjatu, które się jej wydawały czystsze, bardziej niebiańskie.”⁴ Jej najdroższą towarzyszką była prawdopodobnie, zawsze skupiona s. Marta du Rais, która przebywała z nią długie miesiące w szpitaliku⁵. Oto jej opinia o jasnowidzącej: „S. Maria Bernarda była świetną przyjaciółką. Zachowywała w żywej pamięci te siostry, które kochała. Nie była rozrzutna w przyjaźni, lecz gdy nią kogoś obdarzyła, już jej nie odbierała. I ja byłam przedmiotem tej przyjaźni. Dochowała mi jej aż do grobu i — mam nadzieję — poza grób. Niekiedy surowo mnie karcila, lecz ja wiedziałam, że to dla mojego dobra.”⁶

S. Maria Bernarda kochała miłością czystą: ona posiadała — jak pisze

słynny Lacordaire — „wielką tajemnicę kochania Boga nawet wtedy, gdy kochała coś innego”⁷. Dlatego instynktownie była nieprzyjaciółką tych przyjaźni, zwanych partykularnymi, które szkodzą miłości wspólnej: jeśli są ukryte, zajmują nadmiernie myśl, osłabiają pobożność, przeszkadzają miłości Bożej; jeśli są jawne, dzielą serca, tak że w końcu mogą doprowadzić do powstania stronnictw.

Od tego subtelnego niebezpieczeństwa matka Maria Teresa Vauzou — jak widzieliśmy — starała się ustrzec swoje nowicjuszki. S. Maria Bernarda skrupulatnie przechowywała jej nauki i przy okazji przekazywała innym. W jej notatkach rekolekcyjnych znajduje się to postanowienie:

„Nigdy nie pozwolić sobie na miłość partykularną. Kochać wszystkie siostry jedynie w tym celu, by się podobać Bogu.

Czuwać nad uczuciami serca. Będę słuchać Jezusa, który mi często mówi: «Córko, daj mi serce swoje. Chcę je mieć niepodzielnie.»⁸

Co najmniej raz wypowiedziała swoją myśl co do przyjaźni partykularnej. Pewnego dnia s. Julianna Capmartin, wówczas jeszcze nowicjuszka, zamiatając z nią klatkę schodową, opowiedziała jej prostodusznie jeden ze swych snów. Otóż znalazła się nagle w pensjonacie w Vic-Fezensac (departament Gers), gdzie pobierała naukę. Tam spotyka się z Matką Bożą, która jej daje na ręce Dzieciątko Jezus. Jakaż radość trzymać Je, jakaż duma pokazywać Je każdemu! Dwie najpierw spotkane zakonnice Dzieciątko Boże darzy uśmiechem. Niestety, gdy zbliżyła się trzecia, przestało się uśmiechać i nagle odwróciło główkę. A była to ulubiona przyjaciółka s. Julianny.

— „Siostrę tę bardzo kochałam, dlatego było to dla mnie taką niespodzianką i sprawiło taką przykrość, że się obudziłam.

— Siostra mówi, że kochała ją bardzo — odpowiedziała Bernadetta; początkowo tonem przekomarzenia się. — Ja zaś sądzę, że siostra kochała ją za bardzo”.

Następnie dodała poważnie:

— „Gdy my nazbyt coś kochamy, Bóg wcale tego nie kocha.”⁹

„Miłość silna i szlachetna nie polega na uczuciach” — zanotowała Bernadetta w swym notesiku. Jednakże pierwiastek ludzki nie jest nieobecny ani w jej współczuciu, ani w sympatii.

Na wiadomość, że wylewy Garonny, Gave i Adour spowodowały wyjątkowe spustoszenia, jej współczujące serce natychmiast zadrżało z lęku o losy ludności zamieszkałej nad tymi rzekami:

„Jestem Tobą mocno zaniepokojona — pisze dnia 4 lipca 1875 r. do Tosi. — Okazuje się, że Gave wylała. Chciałabym się jak najprędzej dowiedzieć, czy woda dużo wyrządziła szkody w Grocie¹⁰ i w młynach...

Powódź wyrządziła szkody także w Tarbes, w Bagnères. Podobno są straty również w ludziach.

Obawiam się o naszych krewnych w Momères. Jestem też bardzo niespokojna o naszą kuzynkę Joannę¹¹, która przebywa w pobliżu Tuluzy,

gdzie powódź wyrządziła straszliwe spustoszenia. Zdaje się, że wiele osób pochłonęła woda. Nigdy czegoś podobnego nie widziano.”

Lecz s. Maria Bernarda bardziej się martwi ruinami moralnymi, w których widzi wyjaśnienie tych ruin materialnych.

„Boże mój, jakże ślepy jest człowiek, jeśli po tak straszliwych nieszczęściach nie otwiera serca na światło wiary! Czy nie bierze nas pokusa zapytać się, kto to taki ściągnął tę straszliwą karę? Słuchajmy dobrze, a głos z głębi naszych serc odpowie nam: to grzech. Tak, grzech — to największe nieszczęście. On to jest przyczyną wszystkich kar... Oto szczęście i korzyści, jakie nam daje dzieło grzechu. O mój Boże, przebac nam jeszcze raz i okaż nam miłosierdzie.”¹²

Bernadetta jest zdania, że jej najbliżsi zdolni są zrozumieć tak twardą naukę, Ks. kanonik August Perreau z Nevers — któremu ona poleciła swego brata i zarazem chrześniaka, Piotra Bernarda, „by czuwał nad jego religijnym wychowaniem i nad zachowaniem chrześcijańskich zasad — z naciskiem podkreśla, że „kochala swych krewnych miłością czystą, nadprzyrodzoną... Prosiła dla nich nie tyle o zdrowie i dostatek, ile o cnotę i wierność religijnym obowiązkom. Prosiła ich jak o łaskę i osobistą przysługę, i to we wszystkich listach — by pozostali uczciwymi, dobrymi chrześcijanami.”¹³

Temu samemu kapłanowi — który, wybierając się w czerwcu 1876 r. do Lourdes na uroczystości ukoronowania posagu Niepokalanej, pytał Bernadetty, czy nie ma zleceń do rodziny — rzekła ze szczególnym naciskiem, aby tylko się nie bogacili!”¹⁴

Pewne wiadomości z Lourdes mocno ją zmartwiły. Zakonnice z przytułku, które w przejeździe wstąpiły do domu macierzystego, doniosły jej, że kilku jej krewnych zaniedbuje obowiązki religijne i że Tosia, która ma najwięcej powagi w rodzinie, nie zwraca im uwagi. Najbardziej jednak niepokoiła się Bernadetta o przyszłość Jana Marii i Bernarda Piotra. Jan Maria miał 25 lat. Niestety, już mu nie przysługiwały piękne imiona brata Bernarda Marii, które przybrał ze względu na swą starszą siostrę. Rzadko do niej pisywał, jak gdyby jej czuła miłość, skarb niedoceniany, była mu ciężarem¹⁵. Powołany do wojska, porzucił myśl życia zakonnego. Po zwolnieniu ze służby wojskowej pracował w Lourdes jako młynarz. Podobnie było z Bernardem Piotrem, który miał lat siedemnaście: na następny rok szkolny (1876/77) nie powrócił do oo. misjonarzy w Garaison. Jestże to chwilowe wahanie czy raczej ostateczna decyzja? Bernadetta obawiała się, by ten świetny uczeń nie utrwalał się w powołaniu do stanu duchownego ze względów nazbyt ludzkich...

Postanowiła wreszcie mówić otwarcie. Dnia 3 listopada 1876 r. do listu do swej młodej kuzynki, Lucyli Konrady Péne, z którą najczęściej koresponduje, a której rodzice mają gospodę, załącza dwa inne: jeden dla Tosi, drugi dla Jana Marii.

„Drzę o Was — pisała do Lucyli Konrady, lecz oczywiście słowa jej

odnosiły się do wszystkich krewnych — drzę o Was, gdy pomyślę, że Jezus Chrystus polecił nam szukać w pierw królestwa Bożego i sprawiedliwości Bożej...

Proszę Was, zachowujcie święty dzień niedzieli. Pracą w niedzielę nie wzbogacie się; przeciwnie, ściągniecie nieszczęścia na siebie samych i na swoje dzieci. Na miłość boską, nie czyńcie tego, winniście bowiem dobry przykład, i to nie tylko mieszkańcom miasta, ale i obcym, którzy przybywają do Lourdes.

Proszę Cię, Kochana Kuzynko, pozdrów serdecznie w moim imieniu mojego Drogiego Wujka, Drogie Ciocie oraz Kochaną Matkę chrzestną. Polecam Kuzynom i Kuzynkom, by zawsze byli wierni swoim obowiązkom religijnym..."

A oto lekcja, którą otrzymała w swoim liście Tosia Soubirous, małżonka Józefa Sabathé:

„Moja Droga Siostró, dziwię się, że odkąd Piotr jest w domu, nie pisujesz do mnie częściej.

Co on robi? Proszę Cię, powiadom mnie, czy myśli powrócić do Garaison. Trzeba wiedzieć, co on zamierza robić, gdyby nie czuł w sobie powołania do stanu duchownego; przecież jest w wieku, w którym trzeba się nauczyć jakiegoś zawodu. Nie chcę, żeby tracił czas, biegnąc w lewo i w prawo...

Mam nadzieję, Droga Siostró, że Ty, jako też Józef, nie zaniedbujecie obowiązków religijnych. Zalecam Wam, byście — ponad wszystko inne — przynajmniej starali się z całych sił służyć Panu Bogu. Nie zapominaj, że według zapewnienia Jezusa Chrystusa, skoro będziemy szukać królestwa Bożego, wszystko inne będzie nam z nadmiarem przydane.¹⁶

Proszę Cię, przekaż wyrazy mojego szacunku i szczerzej wdzięczności mojej mamce. Z bólem serca się dowiaduję, że mój ojciec żywiciel już nie żyje."

Piotr miał zaledwie 7 lat, gdy siostra odeszła do Nevers. Wychowywał się więc z dala od niej. A ona tak by pragnęła wywierać wpływ na jego życie, zwłaszcza pod względem duchowym. Zresztą, jako matka chrzestna i starsza siostra, czuje się do tego zobowiązana. Oto wyraz tego poczucia:

„Drogi mój Bracie, dowiedziałam się, że podczas wakacji dużo pracowałeś u groty. Powiedziano mi, że tego roku prawdopodobnie nie powrócisz do Garaison.

Jeśli istotnie sądzisz, że Bóg nie powołuje Cię do życia zakonnego, zachęcam Cię usilnie, abyś nauczył się jakiegoś zawodu. Trzeba, mój Drogi, myśleć o przyszłości. Co do mnie, to nie byłabym zadowolona, gdybyś w dalszym ciągu pracował tak jak dotychczas u groty. Żyjąc tak, możesz w przyszłości znaleźć się w przykrym położeniu. Jeśli natomiast nauczysz się jakiegoś zawodu i pokochasz pracę, będziesz mógł zawsze odpowiednio żyć i dawać sobie radę.

Wzywam Cię, Drogi Bracie, byś wobec Boga poważnie rozważył tę

sprawę. Za nic w świecie nie chciałabym, żebyś został księdzem tylko dla zapewnienia sobie bytu. Wolałabym, żebyś był szmaciarzem.

Mam nadzieję, Drogi Przyjacielu, że zrozumiesz, iż pisząc w ten sposób, kieruję się tylko najszczerzą troską o Twoją duszę. Módl się, zastanawiaj się dużo, a przede wszystkim proś Pana Jezusa i Przenajświętszą Dziewicę, by Ci objawili swoją wolę.

Proszę Cię, bądź zawsze bardzo wierny obowiązkom religijnym i posłuszny Józefowi i Marii¹⁷. Odpisz mi jak najprędzej.

Żegnaj, Drogi Chrześcianiaku. Ściskam Cię najserdeczniej.

Twoja najoddańsza siostra i matka chrzestna

s. Maria Bernarda Soubirous."¹⁸

Same te trzy listy, tak szczere, tak bezpośrednie, dowodzą, że Bernadetta nie znała sztuki owijania w bawełnę.

„Ona miała dla prawdy istny kult — twierdzi o niej s. Magdalena Bounaix. — Jej prosta i szczerą dusza nie znosiła wykrętów.” „Nienawidziła kłamstwa — zaświadcza ze swej strony s. Wiktoria Cassou — była prawa i szczerą w swym postępowaniu.”¹⁹ „Nawet najmniejsze naruszenie prawdy, szczerości, dyskrecji sprawiło jej prawdziwe cierpienie” — napisała matka Eleonora Cassagnes. O wiele wcześniej bp Laurence w liście pasterskim z 18 stycznia 1862 r. głosił: „Szczerość Bernadetty jest niezaprzeczalna; zresztą nikt jej nie podaje w wątpliwość.” „Raz — mówi s. Leontyna Villaret — przyszła do przytułku w Lourdes pewna pani i pyta nas:

— Co siostry myślą o Bernadecie i o objawieniach?

— W tej sprawie niech Pani się zwróci raczej do ks. Pomiana, naszego kapelana, który był spowiednikiem Bernadetty.

Oszczędny zawsze w słowach ks. Pomian odpowiedział: «Proszę pani, najlepszym dowodem objawień jest sama Bernadetta. Ona nie umiała kłamać ani też zmyślić choćby najmniejszej rzeczy.»²⁰

Mimo to raz w czasie nowicjatu nie sądziła, że postąpi niewłaściwie, jeśli dla zadowolenia towarzyszki ucieknie się do dziecinnego oszukiwania. „Kochałyśmy się bardzo — opowiada s. Józefa Caldairou — a ponieważ w szeregi ustawiano nas według wzrostu, przeto aby być razem, użyłyśmy dwa czy trzy razy niewinnego fortelu. Byłam niewiele wyższa od niej, dlatego nie trudno nam było się zrównać: ona się wspięła na palcach, a ja się trochę przykurczyłam.”²¹

*

Można by się spodziewać, że Bernadetta wiodła niezwykle surowy tryb życia. Czyż bowiem nie miała w pamięci trzykrotnego wezwania massabielskiej Pani: „Pokuty, pokuty, pokuty!”? Ona jednak rozumnie, posłusznie stosowała się do wskazówek spowiednika. Ze względu na słabe zdro-

wie dozwolone jej były tylko umartwienia przepisane regułą: abstynencja²² w dni wyznaczone, klęczenie, posłuszeństwo, niedogodności życia wspólnego, skromność oczu, milczenie. Dochodzi do tego cierpliwe znoszenie dolegliwości i chorób, tudzież tyle, tyle drobnych krzyżyków. „Najlepsze i najznakomitsze — jak to tak pięknie powiedział św. Franciszek Salezy — są umartwienia nie przyprawione sosem naszej własnej woli, a także te, które nas spotykają na ulicy, w ogrodzie czy gdzie indziej, o których nie myślimy i których nie szukamy; oraz wreszcie te, które nas spotykają codziennie, aczkolwiek są małe.”²³

W toku rekolekcji roku 1874, które prowadził w Saint-Gildard o. Con-dalon z Towarzystwa Jezusowego, s. Maria Bernarda gromadzi notatki o umartwieniu:

„Poważne przykładanie się do wszystkich obowiązków jest równoznaczne z ustawicznym umartwianiem się.

Umartwienie, którego Bóg od nas żąda, to dokładne zachowanie reguły, zwyczajów oraz poleceń przełożonych. Siostra bardzo wierna temu wszystkiemu praktykuje umartwienie w wysokim stopniu i bez żadnego niebezpieczeństwa próżności. Moim zdaniem — tak mówi ojciec duchowny — taka może wejść prosto do nieba, nie przechodząc przez płomień czyśćca.

Jest wiele codziennych umartwień, z których dusza skupiona i uważna korzysta. Np. kto wstaje rano o oznaczonej porze, nie ociągając się i nie przewracając z boku na bok, ten spełnia akt umartwienia bardzo miły Bogu... Gdy ktoś wchodzi, nie popatrzeć, nie zapytać, kto to jest. Nieograniczone możliwości umartwień — i to takich, których nikt nie spostrzeża — nastęrcza nam zmysł smaku. W ogóle zakonnica nie powinna objawiać upodobania lub wstrętu do tej lub innej potrawy...”

Przed zakończeniem rekolekcji roku 1875 r. s. Maria Bernarda zwraca się ponownie do o. Douce'a, marysty, u którego już się wyspowiadała, i prosi o wskazówki do życia pokutniczego. „Siostra będzie umartwiać zmysł smaku — odpowiedział zakonnik. — Proszę nigdy się nie skarżyć na pożywienie...”

Chorzy mają skłonność do pozwalania sobie na małe nieumartwienia: s. Maria Bernarda — przeciwnie — korzysta z samej choroby, by się umartwić. „Gdy jej dano coś niesmacznego — zeznaje s. Józefa Viguerie — brała to chętnie i korzystała z okazji do złożenia ofiary.”²⁴ Nowicjuszka s. Wincenta Garros nie zawsze była zbyt uważną pomocnicą infirmerki. Raz przypaliła czekoladę przeznaczoną dla s. Marii Bernardy. Podając ją — opowiada s. Wincenta — „spróbowałam jej, jak to miałam zwyczaj czasem czynić, i rzekłam do chorej:

— „Och, jaka smaczna! jaka rozkoszna!

Ona zaś skosztowawszy jej odrzekła:

— „Masz rację: jest lepsza niż dotychczas bywała.”²⁵

Ileż razy budziła się rankiem — w okresach, gdy w ogóle mogła spać

— z uczuciem niechęci do wszelkiego pokarmu. „Gdy jej przynosiłam śniadanie — mówi s. Emilia Marcillac, wówczas zastępczyni infirmerki — ona uśmiechając się mówiła mi: «Siostra mi przynosi pokutę!» Lecz mimo wszystko jadła, co jej przyniosłam”.²⁶

Pewnej nocy Bernadetta, trawiona gorączką, wołała młodą nowicjuszkę dyżurną, by jej podała pić. Nie mogąc jednak jej obudzić, wstała i wypila kilka kropel wody. Gdy s. Kazimiera Callery — która, będąc wtedy chora, leżała obok Bernadetty i której zawdzięczamy utrwalenie tego epizodu — zakrzyknęła na nią, ona odparła: „Cicho! To wszystko jedno. Proszę nie budzić biednej siostrzyczki. Ona tak smacznie śpi!”²⁷ A zresztą musiała już mieć wielką gorączkę, by sobie pozwolić na taką ulgę. Często, gdy jej dawano pić, odpowiadała: „Zaczekam jeszcze. Będzie to małe umartwienie za dusze w czyśćcu”. „Nigdy mnie nie prosiła o żadną ulgę”²⁸ — twierdzi s. Emilia Marcillac.

Nigdy nie popisywała się swoimi chorobami; przeciwnie, raczej je ukrywała. W październiku 1869 roku s. Cecylia Pagès podczas trzytygodniowej praktyki w infirmerii domu macierzystego przyłożyła jej do pleców dwie wezykatorie. „Ona się nie pieściła — zeznała s. Cecylia. — Gdy opatrywałam ranę po wezykatoriach, powiedziała mi: «Siostra może ciągnąć. Jestem trudna do zabicia jak kot.»”²⁹

Tak więc jej umartwienie polega na małych ofiarach ustawicznie ponawianych. Wytrwałość ta jest heroizmem. Więcej od niej Bóg nie żąda. Jednakże — zeznaje o. Józef Ducout — gdy się dowiedziała o pewnym zgorszeniu, głęboko się zasmuciła i „zadawała sobie dodatkowe umartwienia wynagradzające”³⁰.

*

U siostry Marii Bernardy duch pokuty szedł w parze z duchem ubóstwa.

Wśród notatek rekolekcyjnych z roku 1873 czytamy:

„Ubóstwo powinno być nie tylko dokuczliwe, lecz także krzyżujące. Wzorem ubóstwa był Jezus.

Co było moje, już teraz nie należy do mnie. Wszystko oddałam Jezusowi.”

S. Maria Bernarda była więc — jak powiedział o. Raffin — „wzorem zakonnego ubóstwa. Dużą dbałością o wszystko, co jej dano do użytku; troskliwością, z jaką pielęgnowała i naprawiała odzież, by jak najdłużej służyła; delikatną sumiennością, z jaką zawsze prosiła o pozwolenie w okolicznościach, w których wymagał tego ślub ubóstwa; wreszcie staraniem, by nie stracić ani chwili czasu, nawet wtedy, gdy choroba zmuszała ją do przebywania w szpitaliku — wszystkim tym najwyraźniej okazała, że chce żyć i umrzeć prawdziwie ubogą, żeby stać się godną przyrzeczeń, które Chrystus dał ludziom ubogim w duchu. Cnota ubóstwa

praktykowana w takim stopniu doskonałości jest niewątpliwie heroiczną.”³¹

Bernadetta, „w wysokim stopniu dbała o schludność — zaświadcza ze swej strony matka Józefina Forestier. — Jak najstaranniej oszczędzała rzeczy, które otrzymała do użytku. Nie przywiązywała do nich serca... Np. notatki odnoszące się do życia duchowego wpisywała do starych zeszytów szkolnych, do notesów zrobionych z luźnych, częściowo zapisanych kartek.”³²

„Drobne upominki przyjmowała z wdzięcznością — dodaje s. Emilia Marcilac — lecz natychmiast ich się pozbywała. Żaliła się czasem, że siostry z wielkiej miłości bliźniego zbyt troskliwie ją pielęgnowały. Ubogich tak się nie traktuje — mawiała.”³³

XI

ASPEKTY DUCHOWE ŚWIĘTEJ

ŁASKA: POBOŻNOŚĆ, ROZMYŚLANIE, NABOŻEŃSTWA

Aczkolwiek s. Maria Bernarda nosiła dokładnie te same suknie, co wszystkie inne siostry w Saint-Gildard, to jednak uważny obserwator, nie widząc nawet jej twarzy, mógłby ją rozpoznać wśród towarzyszek po ułożeniu welonu, po sposobie ubierania się: pokorna zakonnica, mimo że na co dzień wkładała tylko starą naprawianą odzież, zawsze była „ubrana bardzo starannie”¹. Podobnie było z życiem nadprzyrodzonym: chociaż „czyniła to, co i wszystkie inne”², swoje praktyki religijne spełniała jakby z przepychem nadprzyrodzoności, na co żadna inna nie mogła się zdobyć.

Znaków krzyża świętego nie robiła częściej niż jej towarzyszki, lecz już wiemy, z jak imponującą godnością ona się zegnała.

„Lubiłam — oświadcza s. Marcelina Lannessans — patrzeć na Bernadettę modlącą się, ponieważ modliła się jak anioł.”³ „Jeszcze dziś widzę, jak klęczy nieruchomo, głowę trzyma prosto, dłonie oparte o ławkę, oczy spuszczone lub utkwione w tabernakulum. Czuło się najwyraźniej, że przenika ją na wskroś obecność Boża. My, nowicjuszki, opuszczając kaplicę po Mszy św., zbliżywszy się do niej, zwalniałyśmy kroku, by ją

lepiej widzieć na rozmowie z Panem Jezusem.”⁴ Tak mówiła sędziwa zakonnica, przeżywając przeszłość. Lecz żaden ze świadków nie powiedział, żeby Bernadetta kiedykolwiek choćby troszeczkę zwróciła głowę czy zwolniła kroku dla popatrzenia na jakąś towarzyszkę modlącą się.

Nawet idąc w szeregu krążgankami do kaplicy, „miała — oświadcza matka Józefina Forestier — postawę tchnącą pobożnością i skupieniem w stopniu, jakiego nie stwierdziłam w postawie innych zakonnice”⁵.

„W okresach, gdy zdrowie jej pozwalało, była bardzo regularna w odprawianiu wspólnych rozmyślań.”⁶ Udawała się zawsze na nie nie tylko ze względu na regułę, ale nade wszystko dlatego, że były dla niej spotkaniem z Bogiem. Już w przytułku lurdzkim, a zwłaszcza po przyjęciu do postulatu, siostry zapraszały ją, by odprawiała z nimi poranne rozmyślanie. Przybywając do Nevers, знаła już metodę rozmyślania, którą się posługiwała kongregacja, jak zresztą wiele innych instytutów zakonnych, a która polega na tym, że jedna osoba czyta głośno odpowiedni tekst, a inni go rozważają. Bernadetta nie zastanawiała się, czy są inne sposoby odprawiania rozmyślania.

Metoda tradycyjna, którą posługują się dusze zmierzające do doskonałości drogami zwyczajnymi, była jej pomocna przez kilka lat. Znalazła w niej pokrzepienie i pociechę. Według tej metody ułożyła sobie w roku 1871 cały zbiór tematów do rozmyślania.

Lecz po upływie pięciu czy sześciu lat jakaż zmiana dokonała się w jej życiu wewnętrznym! Zmianą tą niepokoi się i trapi, nie może bowiem wytłumaczyć sobie oschłości duchowej, którą wszakże Opatrzność Boża doświadcza normalnie każdego, kto dąży do świętości. Rozumowania zawarte w książkach już nie poruszają jej serca. Wpływa to na jej komunie święte. Przystępuje do stołu Pańskiego, bo wie, że ją tam gorące pragnienie; lecz po przyjęciu Pana Jezusa nie wie, jak Mu wyrazić słowami swoją gorącą miłość. Stąd zmartwienie, którego wyrazem ta smętna uwaga w notesie: „Przygotowaniem do Komunii św. jest rozmyślanie. A ja tak źle je odprawiam!”

Jakaż rada na to, jak nie z tym większym wysiłkiem przykładać się do rozmyślania! Czyż mistrzyni nowicjuszek, kapelan i spowiednik nie pouczają, że byłoby zarozumiałością i niebezpieczeństwem porzucić zwyczajną metodę? Oto więc s. Maria Bernarda w roku 1874, po siedmiu latach życia zakonnego, sporządza sobie wytrwale drugi zbiorek tematów do rozmyślań⁷.

Mniej więcej w tym samym czasie zapisuje w notesie zdania ilustrujące stan jej duszy: „Lecz rano tak wielkie zmęczenie! Przypominać sobie będę ojca Avila, który raz idąc do kościoła, by odprawić Mszę św., miał pokusę zawrócić z powodu zmęczenia. Ale wtedy ukazał mu się Pan Jezus i wskazując na swoje Serce, powiedział, że zmęczenie nie przeszkodziło mu pójść aż na szczyt Kalwarii. Odwagi! I ja także winnam zadawać sobie gwałt.

Zresztą, jeśli będą zmęczona, nawet wyczerpana, odpocznię na Sercu Jezusa."

Zmordowanie fizyczne? Przygnębienie moralne? Zapewne i jedno i drugie, ponieważ u Bernadetty jest ścisły związek między tym znużeniem, które tylko męska odwaga może przezwyciężyć, a tym czyszcem „nocy ducha”, w którym widzieliśmy ją pogrążoną.

Otóż oschłość duszy, która ją trwoży, jest zapowiedzią tak wysokiej kontemplacji, że nawet nie wyobraża jej sobie. Sądzi, że się cofa w życiu duchowym, stąd nęka ją strapienie i tak wznosi się ku zjednoczeniu z Bogiem drogą zupełnego wyrzeczenia się. Pozbawiona jest łask odczuwalnych, w których mogłaby mieć upodobanie: Bóg zbliża się do niej, by zapelnąć próżnię, którą sam wyżłobił.

Przez tę samą próbę przeszła dusza świętej Małgorzaty Marii. Ona także czytała punkty rozmyślania i starała się je rozważać. Lecz oto co sama o sobie mówi: „Nic nie pozostawało w moim umyśle, wszystko się ulatniało; nie nie mogłam się dowiedzieć ani zapamiętać, prócz tego, czego mój Boski Mistrz mnie nauczał...” I w takich momentach — jak opowiadają jej współcześni — pozostawała przed Panem Jezusem „w tak wielkiej bezsilności, że serce jej było przejęte tylko obecnością swego Boga; i prócz miłości Bożej nie było w niej żadnych odruchów ani uczuć...”⁸

Oto dokąd doszła s. Maria Bernarda bez widzialnego przewodnika, bez książki pisanej ręką ludzką. Czy to w szpitaliku, czy w kaplicy, do której prowadzi ją siostra infirmerka, praktykuje ona tę „modlitwę zwykłego patrzenia się”⁹, która polega tylko na milczącym kochaniu. Zresztą i poza godzinami poświęconymi na modlitwę, podczas pracy i odpoczynku, radości i cierpienia, prawie zawsze żyje w obecności Bożej: „ona niemal zawsze modliła się”¹⁰ — stwierdza spostrzegawcza s. Marta du Rais. W notesiku Bernadetty czytamy: „Nie przeżyję ani chwili, w której bym nie kochała.”

Spontaniczne refleksje zdradzają, jak bardzo przyswoiła sobie najwznioślejsze, najświętsze myśli. Patrząc na kwiat, wołała: „Jak dobry i potężny jest Bóg!”¹¹ W czasie gdy mogła przechadzać się w ogrodzie wzdłuż szpalerów winnych krzewów, zwierzała się towarzyszkom: „Bardzo lubię winogrona: one mi przypominają krew Pana Jezusa.” Lecz na widok jabłoni, mówiła: „Nie lubię jabłek, bo mi przypominają grzech pierworodny.”¹²

Często wzbudza, nawet całkiem głośno, akty strzeliste, w których odzwierciedla się cały zapal jej serca: „O mój Jezu, miłosierdzia!... Boże mój, cała jestem Twoja!... Kocham Cię!... Nawróć grzeszników!”¹³ Pewnej osobie, która ma chęć przedłużyć z nią rozmowę w infirmerii, mówi: „Bóg sam, Bóg sam!”¹⁴

„Och — woła Bossuet do audytorium zakonnice nauczycielek — jakże dalece przewyższa wszystkich doktorów ta niewiedząca prostota, która.

nie kochając siebie, umie kochać tylko Boga. Umysł podsuwa jej wszystkie prawdy, nie czytając ich szczegółowo; wszystkie, bo przez światło wewnętrzne i głębokie, światło prawdy, przez doświadczenia i uczucia daje jej odczuć, że ona jest niczym, a Bóg jest wszystkim.”¹⁵ Dużo z tego jest w s. Marii Bernardzie rozmyślającej, a nawet więcej niż to wszystko. Ona bowiem z sekretami P a n i, z modlitwą, której się nauczyła w Masabielle, przyniosła z Lourdes — jak pisze jeden z autorów — „ten wspaniały bagaż duchowy którego zaszczytów i ciężaru nie mogła z nikim dzielić”¹⁶.

Z „jej postawy pełnej skupienia”¹⁷ s. Anastazja Carrière wnioskuje, że ona odprawia modlitwę myślną. W rozmowie z Bogiem s. Maria Bernarda początkowo zatapia się w swej nicości; małe grzechy przeszłości ukazują się jej w nowym świetle — jeszcze raz prosi o ich przebaczenie. Dziwi ją, że Bóg tak się z nią spoufala. „Tyle łask otrzymałam!” Słowa te w jej ustach — to czasem wyraz lęku przed odpowiedzialnością, lecz częściej okrzyk wdzięczności. Następnie „widok dobrodziejstw i cudów Boga wprawia ją w zdumienie i podziw, zmusza do milczenia”, a „ten podziw jest miłością”¹⁸. Tak więc przed oczyma jej duszy otwierają się tajemnice wiary.

Wielkimi przedmiotami jej kontemplacji i nabożeństwa są cierpienia Zbawiciela, Eucharystia i Najświętsza Panna.

Cztery opowiadania Męki Pańskiej znalazła niemal na pamięć i najczęściej się w nie zagłębiała. „Najbardziej lubiła je czytać bez komentarzy — takie, jakie nam zostawiła Ewangelia. Mawiała, że to ją bardziej wzrusza.”¹⁹ Pociąg ten zauważył u niej ks. Febvre. Raz, gdy s. Wincenta Garros, jeszcze początkująca w modlitwie myślniej, skarżyła się jej, że „nie może rozmyślać”, ona jej pokornie przekazała tę radę kapelana: „Przenieś się do Ogrodu Oliwnego albo pod krzyż i pozostań tam. Jezus Chrystus będzie mówił do ciebie, a ty będziesz słuchała.” Poczciwa nowicjuszka! Mniej doświadczona w życiu zakonnym, rychło przyznaje się prostodusznie siostrze Marii Bernardzie: „Byłam tam, lecz Pan Nasz nie mi nie powiedział.”²⁰

Także droga krzyżowa, której stacje obchodzi bez pośpiechu, jest dla niej okazją do kontemplacji. Nabożeństwo to odprawia codziennie już to w kaplicy, gdzie siostry budują się, widząc ją, słabowitą, klęczącą na kamiennych płytach, już to nawet w łóżku, jeśli jest chora. „Do dziś dnia przechowuje się w domu macierzystym wypłowiały, żółkły obraz przedstawiający czternaście stacji, którego ona używała.”²¹

W notatniku zapisała wynurzenia pewnej świętej duszy, które tak dobrze odpowiadały jej własnym uczuciom miłości do Ukrzyżowanego i do krzyża:

„O Jezu, zachowaj mnie pod sztandarem swego krzyża...

Niech krzyż będzie nie tylko przed moimi oczyma, na piersi, lecz także w sercu moim, żyjący we mnie! Niech sama będę tą żyjącą ukrzyżo-

waną, przemienioną w Niego przez zjednoczenie Eucharystii, przez pamiętywanie Jego życia oraz najskrytszych uczuć Jego serca! Niech z wyżyn tego krzyża, do którego Jego żyjąca miłość przykuwa mnie na wieki — pociągam dusze nie do siebie, lecz do Niego!”

„Eucharystia była oddechem jej duszy.”²² Jakże piękne i jak wymowne jest to świadectwo s. Bernardy Dalias! Z Eucharystii czerpała „siłę do cichego znoszenia niewymownych cierpień”²³. W niej widziała źródło oczyszczenia i wszelkich cnót.

— „Jakże trudno — zwierza się jej raz s. Emilianna Robert — jakże trudno się poprawić!”

Na to s. Maria Bernarda otworzyła szeroko oczy i odparła:

— „Jak to? Posiłać się Chlebem mocnych, a nie być odważniejszą?”²⁴

Ks. kanonik August Perreau, który często udzielał Bernadecie Komunii świętej, mógł ocenić, jak głęboka była jej wiara i miłość. Jej wzrok utkwiony w Hostii „wywierał” na kapłanie „silne wrażenie”, zwłaszcza gdy widział, jak zbliżała się „z falującą piersią”. Bywał zmuszony „zaczekać z udzieleniem Komunii świętej, dopóki się trochę nie uspokoiła”²⁵.

Kiedy s. Maria Bernarda przyjmowała Komunię świętą w szpitaliku, s. Angela Lefort, nowicjuszka, przez dość długi czas pomagała jej ubierać się, chora chciała bowiem przyjmować Pana Jezusa o ile możliwości w szatach Jego oblubienic. Gdy więc s. Angela była przy niej zajęta, rozmowa ograniczała się tylko do tego, co najkonieczniejsze. Potem oczekując przybycia kapłana, trwała w skupieniu, które zdawało się udzielać nawet infirmerkom przebywającym w sali zabiegowej. Skupienie to trwało przez cały czas dziękczynienia. Z oczyma zamkniętymi, dłońmi złożonymi na białym obrusiku, adorowała swego Oblubieńca.

„Czas dziękczynienia uważała za najdrogocenniejszy; zawsze się jej wydawało, że jest za krótki.”

— „Jak siostra to robi, że tak długo odprawia dziękczynienie?” — zapytała jej raz s. Wincenta Garros.

Ona zaś odpowiedziała:

— „Wyobrażam sobie, że to Najświętsza Panna daje mi Dzieciątka Jezus. Przyjmuję Go. Ja do Niego mówię, a On mówi do mnie.”

Ta młoda rodaczka miewająca nagłe napady roztargnień również się niepokoi, że w dziękczynieniach nie odczuwa dostatecznie obecności Pana Jezusa. Bernadetta, aby ją zachęcić do większego skupienia, mówi jej grzecznie: „Trzeba dobrze przyjmować Pana Jezusa, gdyż tylko miłym przyjęciem zasługujemy, by nam zapłacił komorne. Chodzi więc tu o nasz własny interes.”²⁶

S. Józefa Biermann opowiada, jak — śpiewając z innymi nowicjuskami na głównej galerii uroczystą jutrznię — lubiła „patrzeć na s. Marię Bernardę odprawiającą dziękczynienie na jednej z galerii bocznych. Ten anioł ziemski był tak zajęty swoim Gościem Niebieskim, że nigdy się nie domyślał mojej pobożnej ciekawości. Jej zalana łzami twarz wyglądała

jak przemieniona. Jakże ja prosiłam Jezusa-Hostię, by mi udzielił coś z jej gorącej miłości!"²⁷

Jej kuzynka i rodaczka, s. Wiktorja Cassou, przeniesiona z jednego klasztoru do drugiego, przybyła do domu macierzystego, by spędzić w nim święta Bożego Narodzenia. Zmiana ta nie była po jej myśli; stąd strapienie. Bernadetta znalazła bardzo prosty sposób podniesienia jej na duchu: „Podczas Pasterki siostra może obok mnie klęczeć — rzekła jej. — Jest wolne miejsce.” „Byłam z tego bardzo zadowolona — opowiada dalej s. Wiktorja. — Dane mi było stwierdzić wtenczas, jak ona była pobożna... Nic nie mogło narazić jej na roztargnienie.” Po przyjęciu Komunii świętej „weszła w stan tak głębokiego skupienia, że wszyscy wyszli, a ona nie zdała się zwrócić na to uwagi. Pozostałam koło niej, gdyż nie miałam chęci pójść z innymi siostrami na wieczerzę wigilijną. Długo się w nią wpatrywałam, a ona tego nie spostrzegła. Twarz jej była rozpromieniona i niebiańska jak podczas zachwyty w Massabielle. Gdy nadeszła jedna z sióstr zamknąć drzwi, potrząsnęła silnie kluczami. Wówczas dopiero Bernadetta wyszła z tego stanu, który był podobny do ekstazy. Opuściła kaplicę, a ja za nią. Pochyliła się ku mnie i rzekła cicho:

— Siostra nic nie jadła? (Chciała przez to powiedzieć, że nie byłam na wieczerzy wigilijnej.)

Na to ja odpowiedziałam:

— I siostra także nic.

Oddaliła się cichutko i tak się rozstałyśmy.”²⁸

W owym czasie jeszcze nie przynoszono codziennie Komunii św. do szpitalika. Gdy chorowała matka Józefina Imbert, s. Maria Bernarda korzystała ze szczęśliwej okazji komunikowania trzy razy na tydzień. Gdy ta okoliczność nie zachodziła, zadowalała się komunią świętą duchową. S. Klara Bordes nieraz słyszała, jak jej święta towarzyszka wyrażała w formie poetyckiego wezwania, swoje gorące pragnienie: „Idź, o mój dobry aniele; zaklinam Cię, idź, gdzie mój Jezus spoczywa. Powiedz Temu miłemu Więźniowi miłości, by przyszedł do mojego serca i uczynił w nim swoje mieszkanie.”²⁹

Gdy tylko mogła — opowiada s. Anastazja Carrière — nawiedzała Przenajświętszy Sakrament „jak wszystkie inne, w godzinach wyznaczonych regułą”, lecz „zawsze tak jakoś osobliwie, że pobudzała nas do pobożności”³⁰. Gdy była bardziej wyczerpana, wchodziła na galerię kaplicy albo prosiła, żeby ją tam wniesiono. I tak kilka razy na dzień przychodziła przed ołtarze. Tam — jak trafnie mówi matka Eleonora Cassagnes — szukała siły do znoszenia „w pokoju swej duszy niewymownych cierpień”.

Lubiła modlić się z twarzą zasloniętą z dwu stron welonem.

— „Dlaczego siostra to robi? — pytano jej.

— To moja kapliczka — odpowiadała. — Czuję się lepiej u siebie.”³¹
Być może, jej czarny welon zakonny, tak ułożony, przypominał jej

inny welon, biały, który był świadkiem niewysłowionych cudów. S. Wincenta Garros, która, idąc do spowiedzi, zauważyła Bernadettę w laweczce „całą zakapturzoną”, rzekła jej potem podczas rekreacji:

— „Siostra tak się kryje... Kto by powiedział, że miała swój kapturek pasterski.

— „Lubię być sama, gdy odwiedzam dobrego Boga”³² — odpowiedziała prosto Bernadetta.

Ks. kanonik August Perreau — w czasie gdy przy pomocy swego brata, ks. Jana Chrzyciciela, prowadził katedralną szkołę śpiewu kościelnego — w przeddzień pewnej uroczystości przyprowadził swoich małych śpiewaków do Saint-Gildard, by na galerii przygotować im miejsca na dzień następny. „W jednym z zakątków poznałem s. Marię Bernardę — opowiada ks. kanonik. Powiedziałem wtedy cichutko dzieciom: «To siostra Maria Bernarda.» Dzieci się zbliżają, starają się dostrzec jej twarz, lecz ona, zasłonięta welonem, trwa na rozmyślaniu, w którym nic nie może jej przeszkodzić. Jest nieruchoma jak posąg.”³³

Jej gorliwość o kult eucharystyczny zdradzało niekiedy jedno słowo, prosty szczegół. Wiemy już, z jaką delikatną troską — będąc zakrystianką — przygotowywała przybory do Mszy św. i zdobiła ołtarze. Gdy zdrowie jej pozwalało, brała z towarzyszkami udział w procesji Bożego Ciała, która się odbywała w parku szpitala miejskiego. Raz siostra Wincenta Garros, która jeszcze nie знаła tego parku (była bowiem wtedy nowicjuską), chciała skorzystać z okazji i go „zwiedzić”. Ale co zrobić, kiedy spuszczone welon zasłania oczy? S. Wincenta ma na wszystko radę. Wyjmuje z sukni grubą szpilkę i rozsuwa nią włókna etaminy. Jednakże fortel niezupełnie się udał: s. Maria Bernarda to zauważyła: „Jestem oburzona: uchybiłaś czci należnej Najświętszemu Sakramentowi, okazałaś brak wiary, zgorszyłaś towarzyszki... Popraw się.”³⁴ Potem, gdy, będąc chora, musiała przebywać w szpitaliku, prosiła, by jej opowiadano procesje Bożego Ciała. Jednego roku rolę sprawozdawczyni pełniła s. Magdalena Bounaix. W pewnej chwili s. Maria Bernarda zapytała jej: „«A dużo ludzi było, zwłaszcza mężczyzn?» I wyczułam — wyjaśnia s. Magdalena — że mówiąc to, żywo się interesowała tym szczegółem.”³⁵

Wiemy już, że w godzinach opuszczenia wołała z głębi swej „ciemnej nocy” do Serca Jezusowego, „jedynej ucieczki jej duszy”. Miłość i wdzięczność dla tego Boskiego Serca pobudzała ją do aktów przewybornej tkliwości. Będąc zakrystianką, wyrabiała małe gołąbki, które na uroczystość Najśłodszego Serca Jezusa miały być umieszczone w odpowiednich punktach klasztoru. Pewnego roku pierwsza zakrystianka powiedziała jej, że jedną z tych gołąbek, mianowicie najbardziej udaną, przytwierdzi do ramienia statuy: „Och, skoro tak — wykrzyknęła s. Maria Bernarda — to złożę pocałunek na jej skrzydełkach, aby go zaniósł Najświętszemu Sercu!”³⁶

Co rano polecała konającemu Sercu Jezusa osoby, które miały umrzeć tego dnia³⁷.

*

Oczywiście, jej nabożeństwo do Najświętszej Panny także było „szczególnie czule³⁸, szczególnie dziecięce³⁹”. Maryja, jej żyjący ideał, „była w jej sercu bardzo blisko Pana Jezusa — stwierdza s. Marta du Rais, która dobrze ją знаła. Trzeba było słyszeć, jak odmawiała «Zdrowaś Maryjo». Z jakim akcentem pobożności wymawiała zwłaszcza słowa «biednymi grzesznikami!»⁴⁰ Gdy powiedziała: «Moja Matka Niebieska», powiedziała wszystko.”⁴¹ Kiedy ktoś ośmielił się zapytać jej, czy obraz Niepokalanej z objawień nie zaciera się stopniowo w jej pamięci, ona odparła tonem przygany: „Zapomnieć go! Ach, nie nigdy!” I wskazując energicznym ruchem na czoło, dodała: „On jest tu!”

— „Ponieważ siostra wie — rzekła jej raz towarzyszka — jak Najświętsza Panna wygląda, powinna nam namalować Jej obraz.

— Nie mogę, nie umiem — odrzekła zagadnięta. — Co do mnie, to nie potrzebuję obrazu: mam go w sercu.”⁴²

Pobożność maryjna „niejako zapełniała całe jej życie”⁴³. Czyż potrzebowała „rozmyślać” o Matce Bożej? Wszak „jej serce i pamięć odtwarzały obraz Maryi zawsze i wszędzie”⁴⁴. Nigdy dla żadnej innej duszy zakonnej „modlitwa zwykłego patrzenia” nie była rzeczą łatwiejszą. „Kiedy modliła się do Najświętszej Dziewicy — zaświadcza s. Gonzaga Champy — miało się wrażenie, że widzi Ją jeszcze... Gdy od niej żądano, by wyprosiła jakąś łaskę, natychmiast odpowiadała, że zwróci się do Najświętszej Panny.”⁴⁵

Pewien wielki sługa Maryi stwierdza, że „s. Maria Bernarda zachwycała się śpiewem pieśni na cześć Matki Bożej. Z wielką radością starała się Ją wielbić, kochać, Jej służyć, opowiadać o Niej, naśladować Jej cnoty, a zwłaszcza pokorę i zamiłowanie do życia ukrytego”⁴⁶. Z pobożności interesowała się akrostychami. Ułożyła ich osiem i wypisała na luźnej kartce zatytułowanej: *Sposób zapisywania imion w sercu*. Pierwsza z tych skromnych kompozycji dotyczy Matki Bożej⁴⁷.

Matka Henryka Fabre — która raz w święto Wniebowzięcia zajęła w kaplicy miejsce nieco za s. Marią Bernardą, by ją mieć przed oczyma — opowiada, że „na słowa pieśni *Ach, widzę Ją! To Matka moja!*... s. Maria Bernarda jakby podskoczyła z radości”⁴⁸.

W modlitwach prywatnych Bernadetta najchętniej zwracała się do Matki Bożej wezwaniem *Nasza Pani Lurdzka*, które już było w powszechnym użyciu. Czasem czyniła sobie wyrzuty, że nie dość rozumiała swoje szczęście, gdy ukazywała się jej Najświętsza Dziewica: «Ach, gdyby to było teraz!» — wzdychała⁴⁹.

Jeśli nie zachwycała się pięknnością figur Matki Bożej Lurdzkiej, to

jednak czciła je ze względu na Tę, której są zbyt bladym obrazem. Jednego dnia w infirmerii ścierała kurz z kominka, na którym stała biało-niebieska figurka Matki Najświętszej. Sądziła, że jest sama. Tymczasem przez lekko uchylone drzwi obserwowała ją s. Klara Bordes, która opowiada: W pewnej chwili Bernadetta wzięła figurkę, „ucałowała jej stopki i postawiła na miejscu. Następnie stanęła nieruchomo i opierając złożone ręce o gzyms kominka, wpatrywała się w figurkę. Stała tak około pięciu minut.”⁵⁰

Paciorki koronki przesuwiała całą resztę życia tak, jak w Lourdes. „Różaniec był jej modlitwą ulubioną” — powiedziała pewna przełożona generalna⁵¹. Nieraz w infirmerii s. Gonzaga Champy odmawiała z nią na przemian zdrowaśki. I wtedy — jak wspomina ta siostra — „czarne, głębokie, błyszczące oczy Bernadetty stawały się niebiańskie. Patrzyła oczyma duszy na Najświętszą Dziewicę; wyglądała jak w ekstazie.”⁵²

„Wieczorem, udając się na spoczynek — tak radziła jednej z towarzyszek — niech siostra weźmie różaniec i niech zasypia, odmawiając go. W ten sposób siostra będzie postępować tak, jak małe dzieci, które zasypiając powtarzają: mama, mama...”⁵³

Niemniej dziecięce było jej nabożeństwo do św. Józefa. Gdy jeszcze była w infirmerii, jednej ze swych chorych w ten oryginalny sposób przyrzekła się modlić:

— „Siostra cierpi? Dobrze, zaraz pomówię o tym ze swoim ojcem.

— Ze swoim ojcem?

— Ależ tak. Czyż siostra nie wie, że teraz św. Józef jest moim ojcem?”⁵⁴

Podczas próby oczyszczającej, tej „nocy ducha”, kiedy to lękając się o swoje zbawienie, poczęła się „mocno bać śmierci”, powierzyła się patronowi dobrej śmierci. „W marcu — opowiada s. Marta du Rais — pobożnie odmawiała ze mną specjalne modlitwy do św. Józefa. Umieściliśmy obok jej łóżka malutką figurkę Świętego, którą ozdobiła kwiatami i przed którą płonęły dwie małe świece. Tu odmawialiśmy litanie i wszystkie modlitwy do św. Józefa, które tylko ona знаła. Czasem mówiłam jej:

— Już wszystko? Więcej siostra nie umie?

A ona mi na to:

— Och, nie umiem! To wszystko.

Powiedziała mi również, że wiele łask otrzymała przez św. Józefa i że trzeba z nim żyć w dobrej komitywie.”⁵⁵

Była też w wielkiej zażyłości ze swoim aniołem stróżem. Dowodem tego przyjacielska rada, której udzieliła nowicjusze s. Wincencie: „Jeśli, przechodząc obok kościoła, nie masz czasu się zatrzymać, poproś swego anioła stróża, by zaniósł twoje zlecenia Panu Jezusowi ukrytemu w tabernakulum. Spełni twoje życzenie i jeszcze zdąży cię dogonić.” „Zwyczaj ten zachowałam do dziś dnia”⁵⁶ — zapewnia s. Wincenta po upły-

wie przeszło trzydziestu lat od tego zdarzenia. Nie ulega wątpliwości, że Bernadetta postępowała tak samo.

Obok wezwań do Maryi i św. Józefa często zwracała się do św. Bernarda, swojego drugiego patrona chrzestnego. „Muszę się starać naśladować go — powiedziała raz. — On tak kochał Najświętszą Pannę!”⁵⁷

Było pokrewieństwo duchowe między Bernadettą a św. Franciszkiem Serafickim. Stąd u jasnowidzącej z Lourdes serdeczny kult dla Biedaczyny z Asyżu. Najwięcej pociągała ją „jego wielka miłość cierpienia i Jezusa ukrzyżowanego”⁵⁸. Konstytucje kongregacji nie pozwalały jej wstąpić do franciszkańskiego trzeciego zakonu, ale za to zaciągnęła się do Bractwa Paska św. Franciszka. Przyjął ją o. Emanuel Touzelier, gwardian klasztoru w Tuluzie, który w Nevers głosił nauki rekolekcyjne.

W toku swego zakonnego życia Bernadetta przeczytała wiele żywotów świętych. Mając bardzo czuły zmysł rzeczy nadprzyrodzonych, dziwiła się, że większość tych żywotów — to tylko panegiryki od deski do deski. Wolalaby, żeby biografowie zwracali większą uwagę na niedoskonałości tych wielkich sług Bożych. „Sądzę — powiedziała — że powinno się zaznaczać wady, które mieli święci, i wskazywać środki, których używali, by się z nich poprawić. To by i nam się przydało. Dowiedzielibyśmy się, jak się należy do tego brać. Lecz mówi się tylko o ich objawieniach lub o cudach, których dokonali. To nie może służyć do naszego postępu.”⁵⁹

Nie dodała, że bądź co bądź ci jednostronni autorzy i tak dobrze się przysłużyli chrześcijaństwu, podnosząc nadzwyczajne zalety świętych, i że w tym także znajdowała przykłady do naśladowania. Nieomylny Kościół pewnego dnia przywłaszczy sobie uzasadnione twierdzenie jednej z przełożonych generalnych kongregacji: „Osobiście sądzę, że w czasie swego życia s. Maria Bernarda praktycznie pełniła cnoty, które stanowią świętość.”⁶⁰

XII

ASPEKTY DUCHOWE ŚWIĘTEJ

LASKA: NADZWYCZAJNE DARY NADPRZYRODZONE

Czasami „dla dobra ogólnego”¹ udziela Bóg swoim uprzywilejowanym, którymi są święci, nadzwyczajnych, nie zasłużonych darów, które św. Pa-

weł nazywa charyzmatami, a do których zalicza dar cudów i dar proctwa².

Czy s. Maria otrzymała i ujawniła za życia te nadzwyczajne łaski? Liczne świadectwa uzasadniają odpowiedź twierdzącą.

Nie były cudami, w zwyczajnym znaczeniu tego słowa, łaski, które dla kogoś wyprosiła swoimi modlitwami, tym bardziej że — błagała o nie Boga, aby być łatwiej wysłuchaną, za przyczyną Matki Bożej Lurdzkiej. A nadto modlitw zleconych, zwłaszcza nowenn, s. Maria Bernarda nie odprawiała sama, lecz wspólnie z jakąś inną siostrą, którą przełożone jej wyznaczały. (Zaiste, na jakież to pomysły się nie zdobywano, żeby uchronić Bernadettę od pychy!) Tak więc pomyślnego skutku tych nowenn nie można było przypisać wyłącznie ani jednej, ani drugiej.

Lecz ci, co chcieli podziękować za polepszenie zdrowia lub za wyzdrowienie, nie wiedząc oczywiście o pobożnym podstępnie, mówili w listach tylko o Bernadecie. Matka Teresa Vauzou, przez której ręce przechodziły listy, zawsze ukrywała te pochlebne wiadomości. „Nigdy ani słówkiem mi nie powiedziała o tych uzdrowieniach” — zaświadcza jej sekretarka, matka Teresa Bordenave. A przecież „według zgodnej opinii całej społeczności klasztornej s. Maria Bernarda za życia wyprosiła swoimi modlitwami kilka uzdrowień.”³

Parę nastąpiło, tylko wskutek dotknięcia, w Lourdes, kiedy Bernadetta była pensjonarką przytułku.

W czerwcu 1862 roku (Bernadetta miała wówczas 18 lat) pewni państwo powracający z Cauterets z chorą córeczką, leżącą w wózku, zatrzymali się w Lourdes i prosili przełożoną przytułku, by wezwała Bernadettę, byli bowiem przekonani, że samo jej dotknięcie się dziecka uzdrowi je. Bernadetta istotnie przyszła, a przełożona poleciła jej poprawić dziewczynce poduszkę, co też uczyniła. Chora natychmiast poczuła się lepiej, a nazajutrz przyszła pieszo do grotty⁴.

Ten pierwszy fakt zapisano podczas procesu beatyfikacyjnego na podstawie zeznania matki Teresy Bordenave, która się dowiedziała o nim od zakonnic z przytułku albo od s. Wincenty Garros, ta zaś zapewnia, że „była świadkiem następującego uzdrowienia”: Pewna kobieta spoza miasta przyniosła do Lourdes swoje dziecko mające nieco więcej niż roczek. „Twarz i główka” biednego maleństwa „były całe schorzałe”. Czwartego dnia nowenny do Najświętszej Panny Lurdzkiej przybyła do schroniska owa matka z dzieckiem. Niemowlę płakało. Dano je Bernadecie, by je zabawiła. Wzięła to biedactwo, „przeszła się z nim wzdłuż krużganku i oddała matce zupełnie zdrowe. Wszelki ślad choroby momentalnie zniknął.”⁵

Było to w Nevers. W czasie gdy Bernadetta pracowała jeszcze normalnie, przybyła do klasztoru pewna pani z miasta. Pragnąc zdobyć dla swojego chorego dziecka coś takiego, czego dotykała się jasnowidząca z Lourdes, wpadła na następujący pomysł: Przyniosła kółderkę „roboty

szydelkowej, lecz nie dokończoną i z włóczką pogmatwaną”, i prosiła, żeby polecono Bernadecie ją wykończyć. S. Wiktorja Cassou, która wtedy była furtianką, wzięła kołderkę, weszła do sali, gdzie Bernadetta pracowała z towarzyszkami, i rzekła jakby nigdy nic: „Proszę siostr, pewna pani nie może sobie dać rady z dokończeniem tej kołderki. Może by któraś z was ją wyręczyła.” To rzekłszy, spokojnie pokazuje Bernadecie dzianie z rozczochraną włóczką. „O, pięknie, bardzo pięknie — tonem zabawnym odpowiedziała s. Maria Bernarda w imieniu wszystkich — te panie wikłają robótkę, a my musimy ją naprawiać... No, proszę mi dać tę kołderkę.” Po naprawieniu oddano kołderkę pobożnej matce. Ona zaś natychmiast okryła nią dziecko. I dziecko wyzdrowiało⁶.

Jeszcze jeden cud w domu głównym. „Pewna pani — zeznaje s. Klara Bordes — przyniosła do nas dziecko, które nie miało władzy w nogach, i prosiła, by Bernadetta dotknęła się go, miała bowiem przekonanie, że zaraz będzie chodzić.” Przełożona generalna, matka Józefina Imbert, wezwała s. Marię Bernardę i rzekła jej: „Niech siostra pobawi to dziecko, tam na trawniku, dopóki ta pani będzie ze mną zajęta.”⁷ Bernadetta — ciągnie dalej s. Bernarda Dalias — „bardzo kochała dzieci. Wzięła berbecia na ręce, lecz ponieważ był za ciężki, wkrótce potem położyła go na trawę.” Malec „rozradowany pobiegł do matki.”⁸

*

S. Maria Bernarda — zaświadcza znowu matka Maria Teresa Bordene — zdradziła kilkakrotnie w klasztorze dar widzeń proroczych. O kilku z tych nadzwyczajnych zdarzeń przechowała się pamięć.

Przede wszystkim musiała mieć nadprzyrodzone przecucia co do daty swej śmierci. Pewnego dnia 1870 roku, w czasie gdy leżała przejściowo w szpitaliku, jedna siostra przyszła do niej zapytać się w imieniu mistrzyni nowicjatu o zdrowie: „Proszę jej powiedzieć, żeby się nie niepokoiła — odrzekła chora — nie umrę ani dziś, ani jeszcze w ciągu długiego czasu.”

W sierpniu czy wrześniu 1878 roku pewna zakonnica często przybywa do jej łoża. „Niech siostra nie fatyguje się tak często — prosi ją chora. — Jeszcze mam więcej niż sześć miesięcy.”

Raz w roku 1873 grupa nowicjuszek przyszła ją odwiedzić w szpitaliku, dokąd ją zaprowadził kryzys astmy. Jedna z nich, wysoka i silnie zbudowana, zapytała jej bez osłonek:

— „Siostr Mario Bernardo, czy siostra boi się śmierci?”

— Och Boże, nie!

— A przecież te ataki astmy są tak silne, że mogą siostrę zadusić.”

Bernadetta, która widziała dalej, odpowiedziała:

— „No, no! siostra umrze wcześniej ode mnie.”

Wkrótce po tej zapowiedzi, która powinna była zachęcić ją do roz-

trojności, nowicjuszka, przeniesiona do innego domu na południe, umarła tam wskutek przeziębienia.

Postulantki natychmiast po przybyciu do Saint-Gildard objawiały chęć poznania jasnowidzącej z Lourdes. Oczywiście, życzeniom ich zawsze stawało się zadość. 24 października 1878 r. jedna z nich wchodzi do s. Marii Bernardy i zastaje ją malującą Serce Jezusa otoczone cierniową koroną. Malarka zwraca się ku postulantce, którą uderza nadzwyczajny wyraz jej oczu. Bernadetta przyrzeka modlić się o jej wytrwanie. Następnie tonem poważnym i z dziwnym uśmiechem dodaje, wskazując na obraz Najśladszego Serca: „Ale, panienko, trzeba będzie nauczyć się kochać cierpienie. Pan Jezus swoim przyjaciółom na ziemi daje koronę cierniową. Nie szukaj więc nic innego.” Pewnego dnia 1909 roku, lecząc ranę jednej chorej, zakonnica ta zakazi sobie palec i następnie będzie musiała poddać się amputacji prawej dłoni a wkrótce potem — przedramienia. „Wydarzenia — napisze ta siostra — urzeczywistniając słowa Bernadetty, niemało przyczyniły się do tego, że zaczęłam rozumieć sens tych słów.”

Raz s. Urszula Millien, jedna z zastępczyń mistrzyni nowicjuszek, przyprowadziwszy do Bernadetty grupę piętnastu młodych aspirantek, zauważyła, że ona wpatruje się w jedną z nich. Gdy aspirantki odeszły, s. Urszula zapytała: „Dlaczego siostra tak się patrzyła na jedną z nich? — Dlatego, że jej potrzeba jeszcze mamusi.” Panienkę tę s. Maria Bernarda widziała pierwszy raz. Parę dni później opuściła ona nowicjat.

Bernadetta знаła także przyszłość ks. prałata Peyramale'a i bpa Ladoue. O pierwszym powiedziała: „Będzie miał trudności z budową kościoła. Nie dokończy go, ale wzniesie w nim swój grób.” Po powrocie z ingresu biskupa do Nevers, s. Wincenta Garros zapytała ją: „No, jak się siostrze podoba nasz nowy biskup? — Jest mały, chłodny, lecz nie zostanie długo.” I tak się stało. Ks. Peyramale znalazł wieczny spoczynek w krypcie kościoła, którego wykończenie wymagało jeszcze dużo pracy, a bp Ladoue zgasł po czterech latach pasterzowania⁹.

W maju 1870 roku, gdy s. Aniela Lompech była zaledwie dwa miesiące w postulacie, przyszła z jej rodzinnej wioski, Saint-Sernin, w departamencie Lot-et-Garonne, smutna wiadomość: oto jej matka po urodzeniu dziewiątego dziecka walczy ze śmiercią. S. Maria Bernarda ujrawszy biedną postulantkę, płaczącą przed biurkiem mistrzyni, podeszła do niej. „Jej dobre serce — wykwintnie pisze s. Aniela — zgodziło się na przerwanie skupienia.” Zaraz zresztą dodaje: „Sądzę także, że otrzymała oświecenie od Najświętszej Panny. Jeśli mnie zatrzymała to dlatego, że miała mi powiedzieć coś, co pochodziło z góry. Zbliżając się więc do mnie, rzekła:

— Panienska płacze? Co się stało?

— Dowiedziałam się, że mamusia ciężko chora. Może już w tej chwili nie żyje.

Wtedy Bernadetta popatrzała na mnie z uśmiechem oczyma, których nigdy nie zapomnę.

— Nie, proszę nie płakać. Najświętsza Dziewica uzdrowi mamusię pannenki. Zaraz się pomodłę za nią.

Po tych słowach odeszła. Ja zaś osłupiałam. Lecz wkrótce odczułam ukojenie; przestałam płakać. Rychło nadszedł drugi list, tym razem radośny. Nastąpiło szczęśliwe przesilenie; chorej nie grozi niebezpieczeństwo. Później się dowiedziałam, że polepszenie nastąpiło w godzinie, kiedy Bernadetta mi powiedziała: «Proszę nie płakać...» Kochana mamusia przeżyła jeszcze trzydzieści siedem lat.”¹⁰

Najmłodszą klasę pensjonatu w Sens powierzono młodziutkiej s. Stanisławie Ducher z Bourganeuf, dep. Creuse. Bardzo przywiązana do swoich dzieciaków i moralnie pewna powrotu do nich, przybyła ona w lipcu 1875 roku do klasztoru macierzystego w celu złożenia profesji. Ponieważ do rekolekcji było jeszcze osiem dni, poprosiła o pozwolenie odwiedzenia Bernadetty, dla której miała list od swej przełożonej. Gdy szła do szpitalika, spotkała się z jedną z asystentek, matką Ludwiką Ferrand, która ją zatrzymała i rzekła tonem jak najbardziej kategorycznym: „Moja siostró, proszę sobie stanowczo wybić z głowy powrót do Sens.” Był to dla niej bolesny cios. „Jednakże — ciągnie dalej s. Stanisława — matka asystentka pocieszyła mnie, mówiąc, że po rekolekcjach będę miała dosyć siły do przyjęcia tej ofiary.” Ogarnął ją głęboki smutek. Bernadettę zastała „siedzącą w łóżku między białymi zasłonami i z trudem łapiącą powietrze”,

— „Co ci, moja mała? — zapytała słodko chora.

— Ach, moja droga siostró, mam wielkie zmartwienie.

— Jakie zmartwienie?

— Nie powrócę do Sens.

— Kto to siostrze powiedział?

— Ktoś, co jest dobrze poinformowany.

— No, a ja mówię, że siostró powróci do Sens.

— Skąd to siostró może wiedzieć?

— Proszę się nie trapić. Mówię, że siostró powróci do Sens.”

Wieczorem 29 lipca po rekolekcjach s. Stanisława Ducher z sercem przygotowanym na ofiarę staje przed biskupem Nevers:

— „Gdzie byłaś, moja córko?

— W Sens, proszę Ekscelencji.

— Dobrze, odsyłamy cię do Sens.”¹¹

W roku 1878 z wioski Gouttières, dep. Puy-de-Dôme, przybyła młodziutka panna Basset, która jednak zaraz po przyjęciu do postulatu musiała pójść do szpitalika, by tam zająć łóżko naprzeciw s. Marii Bernardy. Gdy zdrowie jej się nie polepszało, roztropny doktor Robert Saint-Cyr orzekł, że to pobożne dziewczę powinno wrócić do swych rodzinnych wzgórz. Jakież zmartwienie! Chora natychmiast zwierza się z niego tej, którą aż do końca życia będzie nazywać swoją „małą sąsiadką”. „Nie

placz, panienko — odrzekła jej po minucie skupienia s. Maria Bernarda — nie płacz. Dobry Bóg chce, żebyś była zakonnica; będziesz Mu służyła w innej kongregacji.” Następnie jakby na psotę surowemu doktorowi dała: „Panienska jeszcze wiele lat przeżyje.” A nawet, według poważnych świadków, miała się wyrazić: „Panienska umrze pewnej niedzieli w ubogim klasztorze.” Po odzyskaniu sił w rodzinnej wiosce w Owernii Anna Basset zwróciła się do Saint-Gildard o ponowne przyjęcie. Daremne zabiegi: doktor Robert był nieugięty. Zgłosiła się więc do Saint-Joseph de Cluny, gdzie ją przyjęto. Jako s. Bertylia została skierowana do Ederne, dep. Finistère. Pełna dobrych uczynków i zasług zgasła tam pewnej niedzieli 1926 roku, przeżywszy lat 71, z czego 48 po ślubach¹².

Przed Anną Basset inna postulantka przeszła w Saint-Gildard podobne strapienia. Dotknięta wkrótce po swoim wstąpieniu chorobą oczu Anna Durand z Gaillac musiała poddać się leczeniu w szpitaliku, gdzie i tym razem przebywała s. Maria Bernarda. Kandydatka dopiero po siedmiu miesiącach mogła powrócić do swych towarzyszek. Niestety, nazajutrz choroba powróciła do jednego oka. Więc nie była całkiem wyleczona. Czy w ogóle ta choroba jest uleczalna?... Anna już widzi się z powrotem wśród swojej rodziny. Na próżno przełożone starały się ją przekonać, że SS. Wizytki z ul. Paryskiej nie odmówiłyby jej przyjęcia: była niepokieszona. Litościwe siostry postanowiły jeszcze raz spróbować: 30 kwietnia Anna wraca do szpitalika. Lecz cóż to znaczy? S. Maria Bernarda, zawsze taka współczująca, teraz okazuje radość na jej widok. Postulantka, dziwiąc się opowiada jej ból swego serca. „Proszę być spokojną — rzecze jej powiernica Niepokalanej tonem jakoś dziwnie pewnym — proszę być spokojną. Panienska wyzdrowieje i zostanie przyjęta do kongregacji. Matka Boża nie chce, żebym sama odprawiała nabożeństwo majowe. Będziemy je odprawiać obie. Módlmy się dobrze do Niej, a Ona panienskę uzdrowi.” Istotnie, 1 czerwca Anna Durand — która pewnego dnia jako matka Marcelina zostanie przełożoną szpitala w Tulle — powróciła do postulatu¹³.

A oto historia jeszcze większej wytrwałości. Pewnego majowego dnia 1872 roku jakieś dziwne zaniepokojenie w rozmownicy matki generalnej. Wpadła tam (ze swoją pokojówką) jakaś dama w krynolinie wieczorowej. Przedstawia się: panna Joanna Izabela du Rais, córka wyższego urzędnika sądowego z Beauvais, ma lat 28; uciekła z domu ojcowskiego... Skorzystała z uroczystości rodzinnej, by zaakcentować prawo, które jej przysługiwało, a którego uparczywie jej odmawiano. Postanowiła wstąpić do zgromadzenia Sióstr Miłości, które pielęgnują chorych w szpitalu jej rodzinnego miasta. Przybyła więc do domu macierzystego i pokornie prosi o przyjęcie do nowicjatu. Łatwo zrozumieć zakłopotanie przełożonych. Przecież można było się spodziewać, że ojciec nie da córce za wygraną. Jakoż istotnie, „zdecydowany zabrać ją po dobroci lub po złości, rozpoczął on obleżenie domu macierzystego i biskupstwa według wszelkich prawi-

deł swej prawniczej sztuki, i to z taką siłą, że biedna Izabela uważała się już za straconą”. Lecz oto niespodziewana odsiecz: „Panienko — odzywa się do niej s. Maria Bernarda — dobry Bóg chce cię widzieć tutaj. On cię tu zatrzyma mimo wszelkich sprzeciwów». Słowa te dodały postulante otuchy. A gniew ojcowski ustępował... Od tej rozmowy datuje się solidna przyjaźń między dawną pasterką z Bartrès a znakomitą damą z Beauvais. Czterdzieści lat później, matka Marta du Rais, przełożona szpitala Opatrzności na Montmartre, odznaczona orderem Legii Honorowej, poświadczyła świętość s. Marii Bernardy przed trybunałem kościelnym.”¹⁴

O szczęściu wiecznym dusz drogich osób s. Maria Bernarda mówiła z taką pewnością, jakby miała oświecenia co do rzeczy pozagrobowych. Pamiętajmy, jak na wiadomość o zgonie swej matki zawołała: „Ona jest w niebie!” „Niektórzy członkowie mojej rodziny oddalili się od Boga — opowiada s. Kazimiera Callery. Prosiłam ją, by modliła się za nich. Powiedziała mi, bym ufała, gdyż Bóg nie pozwala, by rodzice zakonnicy byli potępieni.”¹⁵ Pan du Rais, ten, co tak gwałtownie sprzeciwiał się wstąpieniu córki do klasztoru, zmarł śmiercią niemal nagłą, tak że nie mógł przyjąć ostatnich sakramentów świętych. „Bardzo się niepokoiłam o zbawienie jego duszy — mówi s. Marta. — Przedstawiłam swoje strapienie s. Marii Bernardzie... Ona mnie pocieszyła, mówiąc, że trzeba mieć ufność w Bogu: «Skoro siostra wstąpiła do klasztoru w celu nawrócenia ojca, Bóg nie może pozwolić, by ojciec nie był zbawiony».”¹⁶

XIII

OSTATNIE ZATRUDNIENIE

Wejdźmy do szpitalika, gdzie leży s. Maria Bernarda. Są tam i inne zakonnice, wiekiem lub chorobą przykute do łóża. Zapytajmy jednej z nich o jasnowidzącą: „Co ona tu robi? — Nie ma zajęcia — zapewne i nam zagadnięta odpowie — więc nic nie robi, tak jak i my wszystkie.” A gdybyśmy tak zapytali samej s. Marii Bernardy?...

Jednego razu pewna przełożona (której imienia dokumenty nie wymieniają), przyszedłszy ją odwiedzić, zapytała bez ogródek:

— „Co też tu robi ten leniuszek?

— Oddaję się swemu zatrudnieniu, proszę matki.

— No, a jakie jest zatrudnienie siostry?

— Chorować.”¹

Genialna odpowiedź, odpowiedź godna uwiecznienia w kronikach świętości. W tym, co na pierwsze wrażenie wydaje się tylko dowcipną repliką na żartobliwe łajanie, kryje się dokładna definicja tego, co odtąd będzie się nazywać apostołstwem chorych. „Jej zatrudnienie — wyjaśnia ks. August Perreau we wnikliwym komentarzu — jej zatrudnienie, to być ofiarą. «Trzeba — powiedziała ona sama — żebym była ofiarą.» Wiedziała, że tego domagał się od niej Jezus Chrystus.”² Czy jeden z trzech massabielskich sekretów miał jakiś związek z tym tajemniczym powołaniem do cierpienia? Ks. Febvre, kapelan klasztoru Saint-Gildard, był zdania, że tak. „Wujek mój — zeznaje na procesie ks. Picq — był przeświadczony, że misją s. Marii Bernardy było żyć w domu macierzystym naukami, które w Lourdes padły z ust Niepokalanej: modlić się, pokutować, umartwiać się, cierpieć za grzeszników.”³

Tak więc ukryte męczeństwo dziecięcego serca, które napotyka niewytłumaczony chłód: udręczenia próby oczyszczającej; „nie kończące się cierpienia”⁴ biednego ciała, którego żadnej części nie oszczędził ból; wycieńczający bezruch w szpitaliku, podczas gdy ona chciałaby chodzić, pracować czynnie, biegać po klasztorze jak kiedyś po górach”⁵ — całą tę cierniową koronę cierpień fizycznych i moralnych składa Bernadetta Bogu jako heroiczną ofiarę na wynagrodzenie za grzech i o nawrócenie grzeszników.

Ileż to innych cierpiących i chorych przykład jej zaprowadzi na wyżyny chrześcijańskiej doskonałości! Wystarczy tylko popatrzeć na życie tych, co, przyszedłszy do Lourdes prosić o uzdrowienie, nie uzyskali zdrowia, lecz otrzymali łaskę większą, łaskę należytego znoszenia cierpień.

Dziennik klasztorny informuje nas, że po zwolnieniu z funkcji zakryśtiantki s. Maria Bernarda w październiku 1875 r. znowu powróciła na salę szpitalną. Nieco dalej, mianowicie pod datą 18 listopada, czytamy to pesymistyczne zdanie: „S. Maria Bernarda ma plucie krwią. Jej stan budzi niepokój.”

Do maja 1876 r. nie można było jej przenosić, dlatego w tym okresie ani razu nie uczestniczyła we Mszy św. Była to jedna z największych ofiar jej życia.

25 czerwca dzieli się ze swym bratem, Piotrem, wielką radością: już może słuchać Mszy św.: ale jeszcze jest słaba. Mając widocznie w tym dniu ochotę do pisania, kreśli jeszcze kilka słów do s. Wiktorii, przebywającej w Lourdes:

„Jestem w dalszym ciągu w swojej białej kaplicy. Jednakże już od trzech niedziel mogę brać udział we Mszy św. Lecz właściwie tylko na tyle wychodzę z łóżka.

Straciłam zupełnie władzę w nogach, tak że muszę korzystać z pomocy innych. Jest to dla mnie wielkie upokorzenie. Lecz siostry noszą mnie

tak chętnie, że ofiara staje się mniejsza. Zawsze się obawiam, żeby sobie nie zrobiły jakiej krzywdy, ale gdy im to mówię, one się z tego śmieją, a nawet — powiedziałabym — drwią ze mnie. Mówią, że poniosłyby cztery takie jak ja.”

Łatwo tedy zrozumieć, że będąc w stanie takiego osłabienia, w miesiąc później na zapytanie ks. Augusta Perreau, czy chciałaby być w Lourdes na koronacji posągu Matki Bożej — odpowiedziała, pokazując na swoje łóżko: „Moje miejsce jest tutaj.”⁶

Nie, ona już nie ujrzy Lourdes, lecz za to przybędzie do niej ktoś z łaski i radości Lourdes. W dzienniku klasztorным pod datą 15 września czytamy notatkę: „Przybył do Nevers ks. Pomian w sprawie założenia sierocińca w Lourdes.”

Jakaż dobroczynna niespodzianka dla s. Marii Bernardy, która przebyła chorobę zdolną doprowadzić do przygnębienia! Ks. Pomian... ten, któremu jednym słowem: „to kapłan”⁷ oddała najwymowniejszą pochwałę; ks. Pomian, jej pierwszy spowiednik, pierwszy powiernik po pierwszym objawieniu; ten, co ją przygotował do pierwszej Komunii św., do bierzmowania; co ją utwierdzał i kierował w dążeniu do życia zakonnego — ileż wspomnień pełnych świeżości i czaru — oto teraz ujrzy tego kapłana!... W dalszym ciągu jest kapelanem lurdzkiego przytułku. Przybył do domu macierzystego w celu omówienia z przełożonymi sprawy zbudowania dużego sierocińca w pobliżu groty⁸. Dzieło to, przeznaczone dla ubogich dziewcząt, już za pobytu u kochanych siostr lurdzkich wydało się Bernadecie pożądane. Chwile, które ks. Pomian spędził u jej wezgłowa, dostarczyły jej najśłodszych emocji, prawdziwego wzmocnienia.

W kilka dni po tej pamiętnej wizycie otrzyma podarek, który jej sprawi wielką nadprzyrodzoną radość. Odkąd przebywała w swojej „białej kapliczce” (wyrażenie, którego z upodobaniem używała), często myślała o tym podarku. Był on zresztą jedynym, o który w swym stanie ofiary mogła się ubiegać. Oto jak w liście z 21 września dziękowała za niego matce Zofii Cresseil, przełożonej pensjonatu w Cahors, od której go otrzymała:

„Nie wiem, jak Wielebnej Matce okazać swoją żywą wdzięczność za piękny krzyż, który Matka raczyła mi przysłać. Nie mogę wyrazić szczęścia, jakiego doznałam na jego widok. Już od dawna pragnęłam mieć wielki krzyż obok swego łóżka. Dlatego, całując i przyciskając go do serca, zawołałam: «Jakże szczęśliwe natchnienie miała ta moja kochana Matka Zofia!» Mam pozwolenie zatrzymać ten krucyfiks. Jestem szczęśliwsza na łóżku z krzyżem niż królowa na tronie.

Moja ukochana Matko, nie wiedząc, co zrobić, by Ci okazać swoją wdzięczność — spoglądam jak najczęściej na wizerunek Jezusa ukrzyżowanego i proszę Go, by coraz bardziej błogosławił Tobie, jako też całemu Twojemu personelowi...”

Pod wpływem wielkich wzmocnień duchowych i wyczerpujących cier-

pień Bernadetta napisała w swoim dzienniczku: „Życie chrześcijańskie ma nie tylko walki i próby, ale także pociechy. I jeśli z Taboru trzeba iść na Kalwarię, to z Kalwarii powraca się z Jezusem na Tabor. Tam jest przedsmak nieba.”

Na Boże Narodzenie 1876 roku ks. Peyramale, który od marca 1874 r.⁹ jest protonotariuszem apostolskim, nie otrzyma od swej świętej parafianki zbyt pocieszających wiadomości:

„Oto już minął rok, jak przebywam w swej białej kaplicy. Zbieram te trochę sił, które mam, by przy pomocy siostrzanego ramienia chodzić na niedzielną Mszę świętą. Zresztą, obym i tak mogła chodzić przez całą tę zimę!...”

List do swego proboszcza, aczkolwiek był on już prałatem, napisała s. Maria Bernarda odręcznie. Jednakże nie tak łatwo było dziewięć dni wcześniej z listem do najdosłowniejszej osobistości tego świata. Niewątpliwie, sama nigdy by się nie ośmieliła pisać do Piusa IX, lecz musiała być posłuszną.

Biskup de Ladoue przed swą pierwszą podróżą do Rzymu pomyślał, że Papież nie omieszką go zapytać o jasnowidzącą z Lourdes i że kilka słów od niej sprawiłoby mu niewątpliwie radość. 16 grudnia przybył więc do klasztoru i polecił zaprowadzić się do szpitalika. Jakież to wydarzenie dla naszej skromnej chorej!... A oto ekscelencja żąda, żeby ona sama, bez niczyjej pomocy, ułożyła list do Jego Świątobliwości! Początkowo polecenie to ją przeraziło, później jednak nabrała otuchy i nazajutrz wzięła się do dzieła. „Trzymałam jej podstawkę, żeby mogła pisać”¹⁰ — oświadcza infirmerka, s. Gabriela de Vigouroux. A oto tekst, który Bernadetta zredagowała sama, choć nie bez trudu i przeróbek, lecz który oczywiście przejrzały przełożone, by dokonać poprawek, co już zresztą z góry było uznane za konieczne:

„Przenajświętszy Ojcze!

Nigdy bym się nie odważyła — ja, biedna siostrzyczka — wziąć pióra, by pisać do Waszej Świątobliwości, gdyby nasz Zaczyn Pasterz, J.E.Ks. Biskup de Ladoue nie zachęcił mnie do tego, mówiąc, że ten, kto pisze do Ojca Świętego, może być pewny otrzymania jego błogosławieństwa, oraz zapewniając mnie, że On sam raczy się zająć moim listem. Wywiązała się walka między obawą a chęcią. Ja, biedna niewiedząca, mała chora siostrzyczka, ośmielić się pisać do Przenajświętszego Ojca — nie, nigdy!

Lecz po co się tak obawiać? Wszak to mój Ojciec, ponieważ zastępuje mi dobrego Boga na ziemi, Boga po trzykroć świętego, którego ośmielałam się tak często przyjmować do serca. Ponieważ jestem słaba, dlatego przyjmuję Boga mocnych. Ta sama pobudka zachęca mnie, Przenajświętszy Ojcze, zbliżyć się do Ciebie i rzucić się na kolana do Twoich stóp, by prosić Cię o Twe apostolskie błogosławieństwo, które — jestem tego pewna — będzie nową siłą dla mojej tak słabej duszy.

Co ja bym mogła uczynić, Przenajświętszy Ojcze, by okazać Ci swoją

żywą wdzięczność? Od dawna już jestem zuawem¹¹, lubo niegodnym, Waszej Świątobliwości. Moją bronią jest modlitwa i ofiara. Nie złożę jej aż do ostatniego tchnienia. Wtedy dopiero broń ofiary wypadnie z ręki, lecz broń modlitwy podąży za mną do nieba, gdzie będzie o wiele potężniejsza niż na tej ziemi wygnania.

Proszę codziennie Przenajświętsze Serce Jezusa i Niepokalane Serce Maryi, by raczyły jeszcze długo zachować Cię wśród nas, bo Ty tak dobrze uczysz Je poznawać i kochać. Ilekroć modłę się według Twoich intencji, wydaje mi się, że Najświętsza Panna powinna często z nieba zwracać swoje wejrzenie na Ciebie, Przenajświętszy Ojczy, skoro Ty ogłosiłeś Ją Niepokalaną i skoro w cztery lata później ta dobra Matka sama zesłała na ziemię, by powiedzieć: Jestem Niepokalana... Nie wiedziałam, co to znaczy; nigdy tego słowa nie słyszałam. Od tego czasu, zastanawiając się, mówię sobie: Jakże dobra jest Najświętsza Dziewica! Rzecz by można, że przyszła potwierdzić słowa naszego Ojca Świętego.”

Na tym kończy się pierwsza redakcja s. Marii Bernardy. Kapituła matek uznała oczywiście, że ta pierwsza próba napisana jest w stylu nie bardzo odpowiadającym listowi do Najwyższego Pasterza. S. Maria Bernarda wzięła się więc do pisania drugiego szkicu. Tym razem starała się zredagować tekst uroczysty i dłuższy, lecz zbyt wygładzony, wytworniejszy, lecz nie tak miły, który zakończyła słowami:

„Z tego wnioskuje, że powinna Cię otaczać swą szczególniejszą opieką. Mam nadzieję, że ta dobra Matka będzie miała litość nad swoimi dziećmi i że raczy jeszcze raz postawić stopę na głowie przeklętego węża.”

Gdy wreszcie tekst został zatwierdzony, s. Maria Bernarda musiała go ostatecznie przepisać. W pracę tę włożyła cały swój talent, całe swe serce. Bp de Ladoue zawiózł dostojnemu adresatowi wspaniały arkusz pisma kaligraficznego¹².

By podziękować s. Marii Bernardzie za list, Pius IX podarował jej — informuje s. Wiktorja Cassou — „posrebrzany krucyfiks, który ona ze czcią podała mi do ucałowania”. Była „całkiem zmieszana”, że Ojciec święty „raczył jej okazać swe względy”¹³.

W liście do swej rodziny w czerwcu 1876 roku s. Maria Bernarda mówi o swym „zwyczajnym stanie cierpienia”. Od wiosny do jesieni 1877 r. miewała okresy względnej ulgi.

I znów włącza się do życia wspólnego. Na czerwiec w sali nowicjacji wystawiono na stole wśród kwiatów figurę Najśłodszego Serca Jezusa. Pobożność Bernadetty jest zawsze czynna i pomysłowa. Z ciernistych gałązek uwiła koronę. Jeszcze w czasie choroby narobiła z pozłacanego papieru maleńkich róż. Teraz złożyła je w koszyczku u stóp figury. Co tydzień zachęca nowicjuszeki do praktykowania jakiejś szczególniejszej cnoty, a przede wszystkim ukochanej cnoty pokory. Siedem aktów obranej cnoty upowaznia do umieszczenia róży na cierniowej koronie. Tylko ko-

chające serce s. Marii Bernardy mogło się zdobyć na tak delikatny dar cierpiącemu Sercu Jezusa!

W piątek 8 czerwca, w uroczystość Najśłodszego Serca wspaniała procesja przechodzi dziedzińcami i ogrodami klasztoru; Bernadetta o kulach podąża wśród innych sióstr. Wieczorem około szóstej wybucha gwałtowna burza. Z rozplómonionego nieba spada piorun na klasztor i spływając po wysokiej żaluzji okna, obok którego leżała s. Maria Bernarda, wznieca pożar w zakrystii św. Łukasza, gdzie przechowywano dekoracje i dywany kaplicy. S. Kazimiera Callery zrywa się i zaniepokojona biegnie do Bernadetty. „Och — wyjaśnia jej jasnowidząca, nie tracąc spokoju — to szatan, który jest niezadowolony z naszego pięknego święta”.¹⁴

Głęboki dziecięcy smutek opada ją w samo święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. W sobotę 8 września przyszedł z Lourdes telegram: Ks. prałat Peyramale bardzo ciężko chory. Zgasł tego samego dnia o 11 minut 15. Nazajutrz druga depeza przyniosła tę wiadomość do domu macierzystego. Wspomagany w swych ostatnich godzinach przez ukochanego wikarego, ks. Pomiana, i o. Sempégo, przełożonego misjonarzy Groty, proboszcz Lourdes zmarł na kamienie w sześćdziesiątym szóstym roku życia, w pełni sił. W sali głównej, dokąd s. Maria Bernarda z trudem się przywłokła, matka Maria Teresa Vauzou zwraca się do niej o modlitwy za duszę ks. Peyramale'a, która już odeszła do Boga. Mimo że od rana знаła już treść pierwszego telegramu, opanowało ją niezmierne wzruszenie. Siedziała koło s. Wiktorii Cassou, która pomogła jej zejść. Nie mogąc powstrzymać łkania, pociągnęła kuzynkę za rękaw i obie wyszły na kruzganek. Wtedy Bernadetta z Lourdes dała swobodny upust łzom. Nie pamiętała lajań swego proboszcza — dwadzieścia lat temu to było! — myślała tylko o jego szlachetnym sercu, o jego oddaniu się biednym Soubirous, o zapale dla sprawy Matki Bożej. On sam miał dla swej małej parafianki tylko uczucia ojcowskiej miłości. Poprzedniego roku powierzył ks. Augustowi Perreau zlecenie: „Proszę powiedzieć Bernadecie, że ona zawsze jest moim dzieckiem i że ją błogosławię.”¹⁵ A oto teraz ona, uchwyciwszy się ramienia s. Wiktorii, która również oplakuje swego proboszcza, mówi przez łzy: „Ks. Peyramale i o. Sempé to dwie osoby, które najbardziej kochałam na ziemi: oni dokonali dzieła, którego ja nie mogłam zrobić.”¹⁶

Nie miała sił, by natychmiast napisać do ks. Pomiana. Zabrała się do tego dopiero następnego niedzieli.

„Przewielebny Księżę, bardzo mi przykro, że nie mogłam wcześniej napisać, lecz tak rychła śmierć naszego drogiego i czcigodnego Księdza Proboszcza mocno mnie przygnębiła... Tą piorunującą wiadomością otrzymałam w dzień Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. O godzinie 9 moja droga s. Natalia przyszła do mnie i powiedziała, że przed chwilą otrzymałam depezę donoszącą o nader poważnym stanie Księdza Proboszcza. Nazajutrz druga depeza oznajmiła jego śmierć.

Przewielebny Księżę, powiedzieć, co wycierpiałam — to rzecz niemożliwa. Lecz jak wielki był ból, tak wielkiej doznałam pociechy, czytając, że nasz nieodżałowany Ksiądz Proboszcz miał szczęście przyjąć ostatnie sakramenty święte w stanie zupełnej przytomności i że Ty, Przewielebny Księżę — jego serdeczny przyjaciel oraz wierny i gorliwy sługa — wspierałeś go w jego ostatniej godzinie.

Najświętsza Panna przysłała po naszego dobrego ojca w dzień swego narodzenia, by wynagrodzić ofiary i twarde doświadczenia, które podjął i wycierpiał dla Jej miłości¹⁷... Tylko myśl, że mamy w niebie jednego opiekuna więcej, może osłodzić naszą boleść.”

Zauważono, że od śmierci ks. Peyramale’a myśl o własnym końcu coraz częściej zajmowała s. Marię Bernardę. 27 października 1877 r. s. Kazimiera Callery, nowa profeska skierowana na prowincję, przy pożegnaniu wyraża nadzieję ponownego zobaczenia się z nią, lecz Bernadetta prostuje to optymistyczne mniemanie i dodaje: „Serafinie, gdy dowiesz się o mojej śmierci, racz się modlić za mnie, bo inni będą mówić: «Ot, ta świętoszka nie potrzebuje modlitw», a ja będę musiała w czyścicu się smażyć.”¹⁸

Ponieważ od pierwszej profesji s. Marii Bernardy nie upłynęło dziesięć lat, była ona jeszcze na ślubach dorocznych. Tego 1877 roku miała je ostatni raz odnowić, jak zwykle, dnia 21 listopada w uroczystość Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny. Tym razem była ona najstarszą powołaniem, więc pierwsza zbliżyła się do figury Najświętszej Dziewicy, otoczonej świecami i kwiatami, i poczęła wygłaszać formułę ślubów. Wówczas zdarzył się wypadek, który niestety był do przewidzenia, nagle Bernadetta przestała mówić. Gdy atak astmy minął, dokończyła spokojnie aktu swego poświęcenia.

W tym czasie s. Maria Bernarda przeszła z sali św. Katarzyny do sali św. Brygidy¹⁹. W pierwszych dniach 1878 roku umieszczono koło niej rekonwalescentkę, s. Klarę Bordes, by w razie potrzeby mogła jej posłużyć. Już pierwszej nocy s. Klara, zauważywszy, że oddech sąsiadki staje się coraz cięższy, zapytała jej:

- „S. Mario Bernardo, czy siostra czuje się gorzej?... Może co pomóc?
- Niech siostra Klara nie niepokoi się: nic mi nie potrzeba i jeszcze nie umrę.”²⁰

*

27 stycznia matka Józefina Imbert, która od sześciu lat prawie nie opuszczała swej celi, otrzymała ostatnie sakramenty święte. Wkrótce nowy biskup Nevers ks. Lelong, następca przedwcześnie zmarłego bpa Ladoue, przybył do Saint-Gildard, by przewodniczyć w wyborach nowej przełożonej generalnej. Głosy zgodnie padły na sześćdziesięciosześcioletnią matkę Adelajdę Dons, która od dwunastu lat była przełożoną schroniska w Nevers.

„Silnie zbudowana góralka z Castres o szerokich męskich rysach”,²¹ matka Adelajda była dobrocią samą. Matka Józefina Imbert, również bardzo dobra, pragnąc zachować jasnowidzącą z Lourdes w pokorze, przyjęła w stosunku do niej — jak widzieliśmy — wymuszoną postawę chłodnej rezerwy. To surowe ustosunkowanie się, zdaniem matki Adelajdy, nie miało już żadnego uzasadnienia: ona знаła dobrze Bernadettę; skrycie podziwiała jej niezachwianą pokorę. Co za pożytek z dalszego przeprowadzania tego doświadczenia? Przez tę trochę czasu, który jej pozostaje, s. Maria Bernarda oddychać będzie w atmosferze nieco naturalniejszej.

Wiosna 1878 roku była w Nevers nadzwyczaj łagodna. Trochę mniej cierpiąc, mogła Bernadetta pojawiać się od czasu do czasu na rekreacji. Matka Eleonora Cassagnes lub inne starsze siostry przeprowadzały ją od grupki od grupki. Chciała poznać nowe postulanki. „Pożerałyśmy ją oczyma” — powie jedna z nich²².

W lecie polepszenie jeszcze wyraźniej się zaznacza. Dokuczliwe bóle w kolanie teraz często ustępują: s. Maria Bernarda może zamienić kule na laskę. A oto miła wizyta: kuzynka Wiktoria Cassou, która od niedawna przebywa w Agriez, dep. Nièvre, wstąpiła do Saint-Gildard. Powraca z Lourdes, gdzie widziała się z rodziną. Ileż rzeczy do opowiedzenia sobie; naprawdę, jedno popołudnie — to nie za dużo. Matka Adelajda Dons, uprzedzając ich pragnienia, pozwoliła im na te chwile radości. Ale czy tak długie gawędzenie w ogrodzie nie zgorszy nowicjuszek? Pomysłowa Bernadetta szybko rozwiązuje wątpliwości. Człap, człap — prowadzi s. Wiktoria do wozowni. Tam obie kuzynki wchodzą na powóz i swobodnie rozmawiają „o grocie, o rodzicach, ojcu Sempém i o wielu innych rzeczach”. W pewnej chwili s. Wiktoria robi uwagę:

— „Siostra ma szczęście, że pozostała w klasztorze macierzystym.

— Och — odrzeczcie Bernadetta — co by tam za pociecha ze mnie była! Do niczego się nie nadaje²³. — Tutaj przynajmniej siostra się modli za tych, co się nie modlą. — To moje całe zajęcie. Modlitwa to moja jedyna broń. Mogę tylko modlić się i cierpieć.” Tak więc Bernadetta aż do końca pozostała „pokornego serca”²⁴.

W tym czasie s. Maria Bernarda przygotowywała się do złożenia ślubów wieczystych. Już jedenaście lat upłynęło od chwili, kiedy pierwszy raz złożyła śluby czasowe²⁵. Teraz miała na zawsze poświęcić się Panu Jezusowi publicznie i oficjalnie. Ceremonię tę wyznaczono na 22 września, uroczystość Siedmiu Boleści Najświętszej Maryi Panny²⁶.

„Widywałam ją w roku 1878 podczas rekolekcji przedślubnych — zaświadcza s. Irena Ganier. — Bardzo się budowałam, widząc, jak regularnie uczęszcza na ćwiczenia, mimo że jest słaba i że tylko z trudnością mogła uklęknąć.” Czy rekolekcjonista, o. Rabussier, jezuita, nie mówił za długo? W każdym razie podczas jednej nauki Bernadetta wydawała

się bliska zemdlenia. S. Irena, jej sąsiadka, nachyliła się ku niej. „Słabo mi się robi — wyszeptala chora jakby w półświadomości. — Już tam nie powrócę... Pozostanę w szpitaliku.”²⁷ Jednak nabrała odwagi i przycho-
dziła na nauki aż do końca.

Jedno zdanie s. Marii Bernardy wystarczyłoby dla wyrażenia szczę-
ścia, jakie odczuwała, gdy z sześćdziesięciu jeden towarzyszkami złożyła
śluby solenne! „Czułam się jak w niebie — opowiadała siostrze Marcie
du Rais. — Gdybym umarła, byłabym pewna wygranej, gdyż śluby są
drugim chrztem.”²⁸

Jesień roku 1878 początkowo zaznaczała się tylko coraz wcześ-
szym zapadaniem zmroku. Przełożona generalna była zdania, że s. Maria
Bernarda, chociaż od złożenia ślubów wieczystych bardziej cierpiąca, nie
powinna być pozbawiona świeżego powietrza i słońca; dlatego kilkakrot-
nie nie mogła odmówić sobie przyjemności zabrania jej na ogród.

Krewny kapelana klasztoru głównego, Jan Maria Febvre, 17-letni
młodzieniec ze spóźnionym powołaniem, przybył 4 października złożyć
Bernadecie uszanowanie przed wstąpieniem do małego seminarium²⁹.
Niech nam ten seminarzysta, który został proboszczem parafii Montā-
pas w diecezji Nevers, opowie, co mu się przydarzyło:

„Byliśmy w gabinecie ks. kapelana, gdy o godzinie 4 po południu ode-
zwał się dzwonek na rekreację. Krewny mój zapytał mnie: «Czy nie ze-
chciałbyś widzieć się z Bernadettą?» Po twierdzącej odpowiedzi wyszliś-
my. Idąc rzekł do mnie: «Nasza droga Bernadetta jest chora, a ponieważ
mamy piękny wieczór, jest rzeczą niemal pewną, że przełożona wypro-
wadzi ją na ogród.»

Gdyśmy w ogrodzie zbliżyli się na jakieś trzydzieści metrów do dwu
zakonnice przechadzających się alejką w górnej części ogrodu, kapelan
rzekł mi: «To one.»

W tejże chwili przełożona, spostrzegłszy nas, zawróciła i zaczęła się
zbliżać ku nam. Pokorna zakonniczka pozostała kilka kroków w tyle; ja
również uczyniłem to samo w stosunku do księdza kapelana. Następnie
wywiązała się krótka rozmowa między przełożoną a kapelanem. W pew-
nej chwili usłyszałem słowa polecenia matki: «Siostrzo Mario Bernardo,
proszę pójść w głąb ogrodu, pod mur i zerwać grono dla tego młodzień-
ca, który przybył z daleka.»

Pan jest w seminarium? Pan chce zostać księdzem? — zagadnęła
mnie, podając mi grono.

— Tak, proszę siostry, jeśli mi Bóg pozwoli.

— Więc pan będzie księdzem... Och, jakże to piękny widok: kapłan
przy ołtarzu!... Lecz pan wie (tu spojrziała na dzwonnice klasztorną), ka-
płan przy ołtarzu to zawsze Jezus Chrystus na krzyżu. Trzeba będzie
pracować i cierpieć. Odwagi!”³⁰

Z tego przypadkowego spotkania z Bernadettą ks. Jan Maria Febvre
wyniósł światło i siłę na całe życie.

XIV

ŚMIERĆ

Z dziennika klasztornego dowiadujemy się, że 30 października 1878 roku s. Maria Bernarda jeszcze raz zmieniła izbę chorych.

Odtąd aż do końca przebywać będzie w sali Świętego Krzyża, w środkowej części pierwszego piętra. Sala ta znajduje się naprzeciw dziedzińca i zewnętrznego wejścia do kaplicy. Niedawno zamieniono ją na szpitalik dla profesek, przybyło bowiem dużo chorych z prowincji. Stoi tam sześć łóżek w znacznej odległości jedno od drugiego. Oprócz Bernadetty, której łóżko jest w prawym rogu przy oknie, są tu trzy inne siostry. Nasza chora może więc korzystać ze względnej samotności.

W niedzielę 8 grudnia ma tę pociechę, że może przybyć do kaplicy, lecz już po raz ostatni, by wspólnie z towarzyszkami obchodzić Święto Niepokalanego Poczęcia, które zawsze tak słodko przemawia do jej serca.

W trzy dni później choroba przykuje ją na stałe do łóżka.

Od r. 1867 czy 1868 cierpiała ona na gruźlicę stawu prawego kolana. Zimą r. 1877 powstał głęboki wrzód. Obecnie obrzmienie ogromnie się powiększyło i sprawia przejmujący ból. Prócz tego w nadwątlonym kościecu próchnica wykonuje swe niszczyielskie dzieło. Dziesięć lat anemii nad brzegami Lapaki, miesiące w wilgotnym cieniu lochu na ulicy Petits-Fosés — nędzna ta przeszłość mści się teraz.

„Cierpienia jej były tak wielkie — pisze matka Bordenave — że zakonnice daremnie wprowadzały w czyn coraz to nowe miłosierne pomysły, by jej ulżyć. Twarz jej była trupio blada; wyglądała jak martwa. Noce miała bezsenne, a jeśli się zdarzyło, że, ulegając znużeniu, zasnęła na kilka minut, to ostre bóle rychło ją budziły, by znów ją torturować.”¹

Kilkakrotnie o mało nie wyzionęła ducha na rękach infirmerki. Do tychczas, gdy tylko kryzys mijał, mawiała: „Proszę się nie obawiać, jeszcze to nie ostatni mój dzień” albo: „Jeszcze długo pociągnę”. Obecnie nie wypowiada tego rodzaju uwag.

Może miała nadzieję, że przynajmniej teraz będzie mogła spokojnie cierpieć. Gdzie tam! Wiadomość o jej ciężkiej chorobie rozeszła się po całym kraju. Czyż nie pozostało do wyjaśnienia kilka punktów jej cudownej historii?... Trzeba się spieszyć!

Oto nowy fakt zapisany w dzienniku klasztornym pod datą 13 grudnia 1868 r.: „Ordynariusz diecezji Tarbes za papieskim upoważnieniem przysłał W. Ojca Sempégo dla wypytania s. Marii Bernardy co do objawień.

Rozmowa odbyła się w obecności Ks. Dubarbiera, wikariusza generalnego [Nevers], i naszej Wielebnej Matki.”²

Swym nieco górnolotnym stylem o. Sempé napisał takie sprawozdanie o tym pamiętnym spotkaniu: „Dnia 12 i 13 grudnia 1878 roku Bóg zażądał od Bernadetty, by jeszcze raz obwieściła światu, ostatnim i uroczystym zeznaniem, cuda, które Dziewica Niepokalana objawiła jej w grocie. Tym razem s. Maria Bernarda okazywała wielką radość — całkiem niezwykłą w takich okazjach³. Odpowiadała chętnie na długie serie pytań; swym pięknym językiem pirenejskim powtórzyła z wdziękiem słowa, które wyszły z ust Maryi. Przeszło dwadzieścia jeden lat po wydarzeniu, w obliczu śmierci i wieczności zakonnica potwierdziła to, co powiedziało dziecko; była zawsze wiernym echem Matki Słowa Bożego.”⁴

Gdy o. Sempé odjechał, 18 grudnia przybył kto inny z Lourdes zrobić Bernadecie niespodziankę. Po raz pierwszy po dwunastu latach zobaczyła kogoś ze swych najbliższych. „Och, Jan Maria! — zawołała, gdy zapowiedziano jej wizytę. Istotnie, w rozmownicy matki generalnej czekał na nią najstarszy z braci. Rozstała się z piętnastoletnim młodzieńcem, a teraz widzi 27-letniego mężczyznę. Był z nim pewien szlachetny pielgrzym, który dla niego kupił bilet podróży. Bernadettę zniesiono do rozmownicy w fotelu. Widzenie to nie było bez obustronnego wzruszenia”⁵ — napisze matka Adelajda Dons. Szkoda, że nie mamy więcej szczegółów z tej ostatniej rozmowy siostry z bratem.

Aczkolwiek s. Maria Bernarda jest schorowana i osłabiona, to jednak ciągle nowe ankiety i wypytywania nie dają jej spokoju. O. Sempé zadał jej „podwójną serię pytań zredagowanych przez jezuitę, O. Leonarda Crosa. Zakonnikowi temu ks. Jourdan, biskup Lourdes, i o. Peydessus, superior w Garaison, polecili dokończyć dzieła komisji ustanowionej w r. 1859 przez bpa Laurence’a, a mianowicie wykryć i zebrać jak największą liczbę dokumentów wydarzeń lurdzkich. Wytrwały i rozmiłowany w tej pracy, wysyłał o. Cros do Saint-Gildard kwestionariusz za kwestionariuszem: Trzeba, żeby Bernadetta objaśniła go co do najdrobniejszych szczegółów. Lecz ona nie jest zdolna do takiego wysiłku pamięciowego. Gdy np. raz „zapytano ją — odpowiada przełożona generalna — o układ welonu, o faldy itp., s. Maria Bernarda odpowiedziała, czyniąc przy tym wymowny gest: «Czyż ja mogę sobie to wszystko przypomnieć? Jeśli chcą się dowiedzieć, niech Jej każą znowu przyjąć!»”⁶

Później ojcowie Sempé i Cros żałować będą, że ją niepokoił, podczas gdy ona już dogorywała. „Gdybyśmy byli lepiej znali cierpienia Bernadetty — przyzna się o. Cros — być może, nie mielibyśmy odwagi tak jej pytać.”⁷

*

7 stycznia 1879 roku skończyła trzydzieści pięć lat.

Z każdym dniem stawała się coraz słabsza; dogorywała niemal. Wkrót-

ce trzeba będzie całymi nocami czuwać przy niej. Prawa jej noga z powodu olbrzymiego wrzodu spoczywa zazwyczaj poza łóżkiem na krześle. Próchnienie kości, „choroba szczególnie bolesna, podobna do najostrego bólu zębów”, co chwila „wrywa z jej ust mimowolne na pół stłumione jęki... Żadnych krzyków, żadnego słowa skargi, żadnego odruchu niecierpliwości, lecz zawsze to samo jęczenie urywane, zadyszane; jęczenie ofiary, która sama dobrowolnie weszła na stos, lecz która nie może powstrzymać objawów bólu: jęczenie woli, która pozostaje heroiczna w mdlejącej naturze...” Tak mówi o s. Marii Bernardzie jedna z zakonnice, która czuwała u jej łoża przez całą noc w lutym 1879 r. i która z przykrości, że nie może ulżyć cierpieniom chorej, nie odpoczęła ani chwili⁸.

Gdy jednak kto jej zapyta, jak się czuje, daje odpowiedź wymijającą: „Dzisiaj jak wczoraj, a wczoraj jak dzisiaj”⁹; Tak przynajmniej odpowiedziała siostrze Apolinie Vernet, zastępczyni infirmerki. Pragnęła nie narażać nikogo na jakiegokolwiek niewygodę; prosiła usilnie, by na nocne czuwanie u jej łoża przysłano tylko zakonnice o silnych nerwach, które by mimo wszystko mogły przy niej odpoczywać.

Jeśli zaśnie na kilka minut, odpoczynek jej zakłócają nocne przywidzenia. Raz nocny dyżur u niej przypadł na siostrę Filomenę Roques. Skoro weszła, s. Maria Bernarda mówi jej: „Moja siostrzyczko, proszę się usadowić wygodnie w fotelu i spać. Jeśli będę czegoś potrzebowała, obudzę siostrę.” Młodej zakonnicy nie trzeba było dwa razy prosić: wkrótce zasnęła. Następnie Bernadetta widocznie doznała ulgi, gdyż i ona się zdrzemnęła. Nagle jednak, wyrwana z tego mizernego odpoczynku, pyta się głosem zmienionym: „Kogo mi dano do czuwania nade mną?” S. Filomena zerwała się i nadbiega. Krople obfitego potu perlą się na skroniach chorej. S. Maria Bernarda „wydaje kilka jęków jakby pod wrażeniem przykrego snu... Następnie głosem urywanym mówi: «Byłam tam... w Massabielle... Był tam mały chłopiec... który rzucił kamieniami w potok.»” Prawdopodobnie patrzyła we śnie na jedną z tych profancyjnych scen, które przed dwudziestu laty szatan urządzał w okolicy groty¹⁰.

Najczęściej myśl Bernadetty ulata poza ziemię. W czasie swych długich nocy — opowiada ks. Perreau — przesuwała paciorki różańca.¹¹ Innym razem odprawia adorację, jakby się znajdowała wobec tabernakulum. Na zasłonkach jej łóżka przypięto obraz przedstawiający monstrancję. „Szczęśliwa jestem — zwierza się matce Walentyńie Audidier — że w godzinach bezsenności mogę się łączyć z Panem Jezusem. Jedno spojrzenie na ten obraz wznieca we mnie pragnienie i daje mi siłę do ofiarowywania się, gdy bardziej czuję odosobnienie i ból.”¹² „Jej wielkim szczęściem jest — zapewnia ks. Perreau — łączyć się myślą z Najświętszymi Ofiarami, które w danej chwili odprawiają się w tej czy innej części świata.”¹³ Tę świętą praktykę ułatwia jej inny pobożny pomysł, mianowicie tarcza zegarowa, na której chora odczytuje nazwy krajów, gdzie w danej godzinie kapłan wstępuje na stopnie ołtarza. Lubiła także wpa-

trywać się w skromny obraz podniesienia Hostii, zawieszony również na jej zasłonkach. Na obrazie tym przed celebranssem, klęczał ministrant, słiczna pacholę. „No, dzwoń!” — woła czasem do niego Bernadetta¹⁴.

Pragnie być jeszcze pożyteczną. Każdego wielkiego postu przygotowywała pisanki dla sierocińców w Nevers. I w tym 1879 r. mimo wycieńczenia zabrała się do roboty. Jedna z zakonnice zastaje ją „ze scyzorykiem w jednej ręce, a ładną różową pisanką w drugiej”. Rysuje na niej serce, zeskrobując farbę, by przeświecała biała skōrupka. Jeszcze ma na tyle siły, że uśmiecha się i mówi dowcipnie: „Ludzie już nie mają serca, więc rysują je na jajkach.”¹⁵

Trochę takiego ruchu w łóżku sprawiłoby jej pewną ulgę. Lecz powstrzymywała się od niego, jak mogła — i z miłości bliźniego: by nie przeszkadzać chorym, które koło niej leżały, i jeszcze z innego powodu, którego tajemnicę zdradziła swej rodaczce, s. Wincencie Garros: „Gdy się jest w łóżku, trzeba być nieruchomym i uważać siebie jakby za Chrystusa zawieszzonego na krzyżu.”¹⁶

Mimo wszystko nieznośne boleści nie zawsze dawały jej spokojnie leżeć. „Nie zwracajcie uwagi na moje kontorsje — mawiała czasem. To nic takiego”; nic takiego, bo „sądziła, że w porównaniu z cierpieniami Jezusa Chrystusa nic nie wycierpiała.”¹⁷

Za Jego przykładem wynagradza za winnych. W najbardziej torturujących atakach lub przed przyjęciem lekarstw, które budziły większą odrazę, a które — jak zauważa siostra pielęgniarzka — przyjmowała często, Bernadetta mawiała: „To za wielkiego grzesznika. — Któż to jest ten wielki grzesznik? — Och, Najświętsza Panna dobrze go zna.”¹⁸

Miała do swego użytku tylko trzy obrazy religijne. Uzyskała pozwolenie na oddanie ich towarzyszkom. Zachowała sobie tylko krucyfiks. „Teraz — rzekła — potrzeba mi już tylko Tego!”¹⁹ „Jestem jak ON”²⁰ — dodała z pokorną rezygnacją.

*

Wreszcie choroba zawiadnęła całym organizmem. Rany otwierały się na wszystkich członkach i stopniowo się powiększały. Pod koniec lutego już tylko z trudem się odżywia. „Tak wychudnie, że pozostanie niemal skōra i kości.”²¹

W takim to stanie dnia 18 marca przybyli ją odwiedzić siostra i szwagier, Tosia i Józef Sabathé. Była tak osłabiona, że ledwie mogła nieco głowę podnieść. Rozmawiała więc z nimi przede wszystkimi gestami i wzrokiem.

Nazajutrz klasztor obchodził uroczystość św. Józefa. Do s. Marii Bernardy dochodził tylko śpiew towarzyszek i dźwięki dzwonów. „O jaką łaskę siostra go prosiła? — zapytał ks. Febvre. — O łaskę dobrej śmierci”²² — odpowiedziała energicznie.

Lekarz wyraził opinię, że zbliża się już kres jej życia, więc matka Adelajda Dons wspomniała jej o ostatnich sakramentach świętych. Natychmiast wyraziła gotowość ich przyjęcia. Przyjmie je po raz czwarty w życiu²³. Był to piątek 28 marca, święto kościelne Matki Bożej Bolesnej. Kochająca przełożona generalna sama kierowała skromnymi przygotowaniami. Matki Teresy Vauzou nie było przy chorej w tej wzruszającej chwili. W styczniu sama zachorowała, a następnie 20 marca wyjechała do schroniska św. Anny w Neuilly-sur-Seine, by tam kontynuować swą kurację.

Posłuchajmy wspomnień ks. Febvre'a: „O godzinie pół do trzeciej po południu udzieliłem jej Wiatyku, a następnie sakramentu ostatniego namaszczenia. Po krótkiej przemowie, z jaką się do niej zwróciłem przed udzieleniem jej Komunii świętej, zabrała głos wobec licznie zebranych siostr i tonem tak silnym i wyraźnym, że aż nas dziwiło, odezwała się mniej więcej tymi słowy: «Moja droga matko, przepraszam cię za wszystkie przykrości, które ci sprawiłam swoimi niewiernościami w życiu zakonnym; przepraszam także swoje towarzyszki za złe przykłady, które im dałam...»”²⁴ Następnie dodała jeszcze z większym naciskiem: „A nade wszystko za moją pychę.” To ostatnie wyznanie nader pokornej Bernadetty wzruszyło aż do łez matkę Eleonorę Cassagnes, która z progu szpitalika wszystko słyszała”²⁵.

Gotowa przyjąć śmierć tego samego dnia, gdyby spodobało się Bogu ją zesłać, s. Maria Bernarda „przyjęła ostatnie sakramenty święte z wielką żarliwością”²⁶.

Jej męczeństwo przedłuży się niemal o trzy tygodnie.

„Ona cierpi jakby na nostalgię za niebem. «Niebo, niebo, niebo! — szeptała. Mówią, że są święci, którzy nie poszli tam prosto, ponieważ nie dość go pragnęli. Ze mną tak nie będzie.»”²⁷

„Siostra już rychło będzie zażywać rajskich radości — mówi jej ks. Febvre — będzie oglądać piękno i chwałę Pana Jezusa, o których Najświętsza Dziewica dała siostrze wyobrażenie. — Och, jakąż radość sprawia mi ta myśl!”²⁸ — odpowiedziała jasnowidząca.

Innego razu ks. kapelan, zastawszy ją bardziej przygnębioną, przypomina jej wielką obietnicę Matki Bożej Lurdzkiej — wieczne szczęście po przejściowej próbie — i dodaje: „Odwagi, moja siostro! Wspomnij na przyrzeczenia Maryi. Niebo jest na końcu. — Tak — wzdycha chora — lecz koniec długo nie przychodzi!... Istotnie, wspomnienie to pociesza mnie i zwraca serce ku nadziei.”²⁹

W Wielkim Tygodniu mówi jej o Chrystusie zmartwychwstałym, przemienionym i chwalebny — po tak bolesnej męce. „Moja męka trwać będzie jeszcze po Wielkanocy” — stwierdza Bernadetta³⁰.

„Jest jedna rzecz — zapisał ks. kapelan — która zwróciła naszą uwagę w ostatnim czasie jej choroby: jej oczy, zwykle żywe i przezroczyście, przybrały szczególny wyraz; uderzało to przede wszystkim, gdy wyma-

wiała akty strzeliste i wpatrywała się w krucyfiks albo gdy słuchając o rajskich radościach, spoglądała w niebo.”³¹

W Wielką Niedzielę, 13 kwietnia, ks. Perdriat, proboszcz parafii św. Stefana w Nevers, przyprowadził do Saint-Gildard swego kaznodzieję wielkopostnego, słynnego kapucyna z Orleanu, o. Moyse’a.

Na usprawiedliwienie swych odwiedzin kaznodzieja oświadczył, że s. Maria Bernarda, jako członkini Bractwa Paska Świętego, ma prawo do odpustu zupełnego na godzinę śmierci. Lecz pragnął on także — z czym się nie zdradził przed przełożoną — usłyszeć z ust jasnowidzącej najświetniejszego zdanie Najświętszej Panny. Pyta więc: „Jak Ona wypowiedziała słowa: »Jestem Niepokalane Poczęcie«: gwarą czy czystą francuszczyzną? — Gwarą.” I po raz ostatni odtworzyła oświecające słowa: *Qué soy ér’ Immaculado Councepciou*³².

W Poniedziałek Wielkanocny weszła do niej na krótko s. Leontyna Villaret, by jej złożyć życzenia „Wesołego Alleluja”. „Jestem zmielona jak ziarno pszeniczne”³³ — westchnęła cicha pacjentka, której choroba coraz bardziej dokuczała.

Tegoż dnia podczas południowej rekreacji inne zakonnice weszły na salę Świętego Krzyża. Wśród nich była ta, która przed dwunastu laty, spotkawszy się pierwszy raz z Bernadettą, zawołała rozczarowana: „To?!” i która natychmiast otrzymała za to tak wdzięczny uścisk dłoni. Teraz Bernadetta dogorywała, a jej koleżanki przyszły pożegnać się z nią. „Były to odwiedziny zarówno z obowiązku, jak i z miłości” — oświadcza s. Bernarda Dalias. Usunięto szerokie białe zasłony znad łóżka, żeby chora mogła swobodniej oddychać. Odwrócona do ściany, zdawała się spać. Obawa zbudzenia jej nie pozwalała odwiedzającym zakonnicom zbliżyć się do niej. „Ja jednak — opowiada s. Bernarda Dalias — nie miałam siły trzymać się tak z daleka jak moje towarzyszki. Podeszłam aż do tyłu łóżka... I tam cpierając się o metalowy pręt, wpatrywałam się w milczeniu w tę świętą przyjaciółkę... Sądzę, że w tej chwili wyczuła moją obecność... Odwróciła lekko głowę, otwarła oczy i utkwiała je we mnie. Wyciągnęła do mnie swą małą gorącą dłoń, którą chwyciłam pospiesznie i z serdecznym uczuciem.” Potem „głosem stłumionym” rzekła: „Zegnaj, Bernardo!... Tym razem to już koniec...” Ta, którą ona tak poufale nazwała tylko Bernardą, pochyliła się, by ucałować jej rękę. Ona jednak wyrwała ją i skryła pod kołdrę. Następnie „przybrała swą pierwotną pozycję i pograżyła się w skupieniu ostatnich godzin”³⁴.

Noc z poniedziałku na wtorek wielkanocny była dla niej nocą Getsemani. Od pewnego czasu już nie okazywała obaw co do swojego zbawienia. Tej nocy po jej miotaniu się, po zadyszanych krzykach poznano, że nie podlegała zwykłemu wewnętrznemu kuszeniu, lecz że nieprzyjaciel napastował ją zewnątrz. Słyszano, jak kilkakrotnie gromiła go: „Idź precz, szatanie!... Idź precz, szatanie!” Nazajutrz zwierzyła się ks. kape-

lanowi, „że demon usiłował rzucić się na nią, lecz ona, wezwawszy imienia Jezus, odzyskała spokój”³⁵.

Dziennik klasztorny informuje, że we wtorek rano 15 kwietnia miała jeszcze siłę przyjąć Komunię świętą. „Lecz jest o wiele słabsza — czytamy dalej... Wśród wielkich cierpień jest budująca i zdana na wolę Bożą.” Jeszcze ponowiły się nocne niepokoje, lecz słabsze. Przed południem znów poprosiła o ks. kapelana. Mówiła mu o spowiedzi. Ks. Febvre, sądząc, że koniec już bliski, udzielił jej odpustu zupełnego na godzinę śmierci. „Dziecko moje — rzekł przed błogosławieństwem — ponów żarliwie ofiarę z własnego życia. — Jaką ofiarę — zapytała z żywością, która zdziwiła kapłana. — To nie jest ofiarą opuścić nędzne życie, w którym spotyka się tyle trudności, gdy się chce oddać Bogu.” Ksiądz kapelan pozostał jeszcze dłuższy czas przy niej. Napadły ją okrutne ataki duszności, wśród których wzywała Serca Jezusowego, Niepokalanej, świętego Józefa... Skoro doznała nieco ulgi, rzekła: „Och, jakąż słuszność ma autor *Naśladowania*, nauczając, że nie trzeba zwlekać na ostatnią godzinę ze służeniem Bogu!... Wtedy bowiem człowiek tak niewiele może!”³⁶

Całe popołudnie było nieprzerwaną torturą. Na jej prośbę umieszczono wielki krucyfiks w ten sposób, by mogła łatwo go widzieć.

O zmroku zaszło coś niezwykłego. Matka Natalia Portat, druga asystentka, której sympatie do Bernadetty sięgały pierwszych dni pobytu jasnowidzącej w Nevers i która częściej się do niej zbliżała od czasu, gdy matka Adelajda Dons została przełożoną generalną — otóż matka Natalia modliła się w kaplicy: klęcząc przed ołtarzem Matki Bożej, polecała Jej swe umiłowane dziecko. Nagle usłyszała głos wewnętrzny nakazujący jej udać się do sali Świętego Krzyża. Na progu usłyszała trwożliwe wołanie: „Moja droga siostrzo!... Moja droga siostrzo! — No, co, s. Mario Bernardo? — Boję się!” Zimny pot wystąpił na czoło umierającej. Dusza jej przechodziła ostatnią fazę tej próby oczyszczającej, z której wyszła uświęcona. „Boję się — powtórzyła... Tyle łask otrzymałam, a tak mało z nich skorzystałam!”

Biedna dziecina! Matka Natalia pochyla się nad jej bladym czołem i mówi z czułością: „Siostrzyczko moja, wszystkie zasługi Serca Jezusowego są nasze. Ofiaruj je Bogu na zadośćuczynienie za swoje długi i na podziękowanie za wszystkie Jego dobrodziejstwa.” Czcigodna zakonnica dodała jeszcze kilka słów po cichu. „Och, dziękuję ci, matko! — odpowiedziała Bernadetta — która wydała się jakby uwolniona od wielkiego ciężaru”³⁷.

Czym była jej ostatnia ziemską noc, z wzruszającą prostotą opowiada jej pielęgniarzka:

„Weszłam na salę szpitalną po wieczornych modlitwach, około dziewiętej. Zbliżyłam się do kochanej chorej i pozdrowiłam ją. Odpowiedziała mi cichym i słabym głosem.

Zastalam ją tak osłabioną, że uznałam za roztropne nie kłaść się do

łóżka, jak moje poprzedniczki. Usiadłam u jej wezglowia, by być gotową spieszyć jej natychmiast z pomocą.

Od czasu do czasu cierpienie wyrывało jej cichy jęk, który mnie przejmował drżeniem. Jej biedne ciało było całe zbolale; rzec by można, że spoczywała na ranach. Wielokrotnie więc prosiła mnie, bym pomogła jej obrócić się.

Wówczas próbowałyśmy się porozumieć, jak wykonać ten obrót, który wcale nie był łatwy. Brałam za stopę chorej nogi i starałam się podążać za ruchem ciała tak, by w ten sposób mogła obrócić się od razu i bez pracy stawów nogi.

Zauważyłam, że tej nie kończącej się nocy nie wyszło z jej ust żadne słowo zniecierpliwienia czy niezadowolenia..."³⁸

Była to środa wielkanocna. A oto innej środy wielkanocnej dwadzieścia jeden lat temu, Massabielle oglądało „cud świecy”. Co wycierpiała Bernadetta przez cały poranek tego dnia, 16 kwietnia, jest nie do pojęcia. Matka Eleonora Cassagnes, która kilka razy ją odwiedziła, zostawiła tę lakoniczną notatkę: „Intensywność cierpienia pobożnej ofiary zdwoiła się.” Nieco po jedenastej zaczęła się dusić. Ułożono ją na fotelu przed kominem, gdzie trząskał duży ogień; nogi oparto na podstawce. Początkowo patrzyła na krucyfiks zawieszony na ścianie, następnie na figurkę Matki Bożej stojącą na kominku.

Zostawiono ją samą. „Między pół do pierwszej a pierwszą po południu przysłała do niej matka Józefina Forestier. Bernadetta próbowała podnieść kubek do ust, lecz na próżno. Ręce jej drżały. „Uważałam za swój obowiązek — oświadcza matka Józefina — powiadomić o tym infirmerkę i zaalarmować społeczność klasztorną.”³⁹

Posłano po księdza kapelana. Tymczasem kilka innych siostr podążyło za matką Eleonorą Cassagnes na salę. Matka Eleonora, która zasłużyła na miano „anioła stróża Bernadetty”, uklękła obok niej. „Moja droga siostrzo — odezwała się do niej — jesteś teraz na krzyżu.” Istotnie, święta umierająca rozłożyła ręce jak ukrzyżowana i z oczyma zwróconymi na krucyfiks rzekła: „Mój Jezus!... Och, jak ja Go kocham!” Matka uznała za stosowne dodać: „Poproszę naszą Niepokalaną Matkę, by siostrze udzieliła pociech. — Nie, nie pociech, lecz siły i cierpliwości... Wszystko to jest dobre dla nieba.”⁴⁰ Następnie, gdy słowo „niebo” ożywiło jej nadzieję i wzbudziło niezatarte wspomnienia, mówiła dalej, patrząc na figurę Niepokalanej: „Widziałam Ją, widziałam Ją!... Och, jakże Ona była piękna i jak mi spieszo znowu Ją oglądać!”⁴¹

Umierająca była w pełni świadomości. Przyszła jej myśl, że mogłaby jeszcze dostąpić odpustu zupełnego. Prosiła o podanie jej indultu Piusa IX, by w ten sposób mogła skorzystać z przywileju. Odpowiedziano jej, że dla zyskania odpustu nie ma potrzeby trzymać aktu w ręce. Nadszedł ks. Febvre. „Zastąpiłem chorą — opowiada on — siedzącą w fotelu. Ledwie oddychała. Cierpiała najokrutniejsze boleści.” Za jego radą Bernadetta

wezwała imienia Jezus, co było jedynym warunkiem wymaganym przez indult.

Prawie natychmiast utkwiała wzrok w jeden punkt ściany, wydała okrzyk zdziwienia: „Och!... och!... och!” i, zacisnąwszy palce prawej ręki wokół poręczy, usiłowała wstać⁴². Lecz oczy jej opadły.

Ponieważ już nie mogła utrzymać w rękę krzyża, położono go jej na sercu i przywiązano. Przyciskała go rękami, powtarzając akty wiary i miłości, które towarzyszyły jej podsuwały. Na ks. kapelana czekał ktoś u konfesjonału. Zanim wyszedł, polecił siostrze odmawiać modlitwy za konających, mimo że nie sądził, by śmierć była blisko.

Krótko przed trzecią dzwonek klasztorny oznajmił porę wspólnych modlitw. Dwie zakonnice pozostały; wszystkie inne z posłuszeństwa regule opuściły salę.

W tejże chwili matkę Natalię Portat, gdy odchodziła od konfesjonału, znów coś tknęło, by weszła do sali Świętego Krzyża. Podczas poprzednich odwiedzin asystentka przyrzekła Bernadecie, jeszcze drżącej z przerażenia po napaści złego ducha, że powróci, by ją wspierać w ostatniej walce. Umierająca z góry jej dziękowała. Teraz, ledwie matka przestąpiła próg, poznała, że biedna mała istotnie była „trapiąca torturami niewypowiedzianych cierpień wewnętrznych”. Siostry pielęgniarki skrapiały ją wodą święconą, a „ona całowała powoli rany Chrystusa — wszystkie po kolei.” Spostrzegłszy matkę Natalię, wyszeptła: „Proszę mi przebaczyć... Proszę się modlić za mnie, proszę się modlić za mnie!”

„Miałam wrażenie — pisze asystentka — że straszliwa walka toczy się jeszcze w tej niewinnej i uprzywilejowanej duszy. Niewątpliwie, Bóg chciał ją w pewien sposób upodobnić do naszego Zbawiciela umierającego na krzyżu.”

Poczęła jęczeć głosem strwożonym: „Boże mój, Boże mój!” W tych chwilach opuszczenia na jej Kalwarii było to jej: *Eli, Eli, lamma sabacthani!*⁴⁴ Raz jeszcze rozłożyła ręce jak jej Bóg ukrzyżowany i rzekła: „Pić mi się chce.” Gdy jedna z sióstr zbliżyła się, by ją napoić, ona znalazła jeszcze dosyć siły na wykonanie, po raz ostatni na ziemi, majestatycznego znaku krzyża świętego. Zwilżyła wargi napojem.

Pochylona nad nią, bezradna wobec jej cierpień, matka Natalia wpatrywała się w nią w milczeniu. Ona zaś z głową pochyloną w prawo opierała się na ramieniu infirmerki. Nagle asystentka przypomniała sobie swoje przyrzeczenie i poczęła błagać Najświętszą Dziewicę o pomoc przez odmawianie *Zdrowaś*. Wymawiała wyrazy bardzo powoli. Gdy doszła do słów „Święta Maryjo”, konająca przyłączyła się do niej. Wzruszona matka Natalia zamilkła, pozwalając jej samej kończyć. Pokorna i ufna aż do końca, Bernadetta odmówiła „głosem przeniknionym” raz całe „Święta Maryjo” i zaczęła znów mówić: „Święta Maryjo, Matko Boża!... módl się za mną... biedną grzesznicą... biedną grzesznicą...”⁴⁴

I prawie natychmiast wydała ostatnie tchnienie. Przyciskała jeszcze

krucyfiks do serca. Dwie wielkie lzy toczyły się po jej licach⁴⁵. Infirmierka zamknęła jej oczy⁴⁶.

Bernadetta Soubirous, w zakonie siostra Maria Bernarda, przeżyła 35 lat, 3 miesiące i 9 dni, z tego 12 lat, 3 miesiące i 18 dni w Saint-Gildard. Zmarła w środę 16 kwietnia 1879 roku o godzinie 3 minut 15 po południu.

Ongiś, gdy była chora w przytułku lurdzkim, pewna pani podczas odwiedzin rzekła jej: „Lecz dlaczego nie prosisz Najświętszej Panny, by cię na dobre uzdrowiła? — To bezcelowe — odrzekła. — Najświętsza Panna powiedziała mi, że umrę młodo.”⁴⁷

Jeśli ta perspektywa przedwczesnego końca pomagała jej odrywać się od rzeczy znikomych, to inna przepowiednia P a n i sprawiła, że próby tego życia stały się dla niej ustawicznie uświadomioną rękojmią lepszego życia przyszłego. „Obiecuję uczynić cię szczęśliwą nie na tym świecie...” Skoro pierwsza część zapowiedzi urzeczywistniła się w sposób tak oczywisty, Bernadetta mogła być pewna, że spełni się i druga: „lecz na tym”⁴⁸.

Dlatego śmiało zapisała w swym notesiku: „Dla nieba wszystko uczynię... Tam odnajdę swą Matkę w całym blasku jej chwały.”

XV

„I WYWYŻSZYŁ POKORNYCH”

S. Bernarda Dalias oświadcza, że natychmiast po śmierci „oblicze Bernadetty przemieniło się: stało się młode i spokojne, przybrało wyraz anielskiej czystości i szczęścia”¹.

Infirmierki ubrały ją w szaty zakonne. „Uczyniliśmy to bez żadnego trudu — stwierdza s. Gabriela de Vigouroux. Jej ciało było giętkie, chociaż od zgonu upłynęły już dwie godziny.”² Zresztą takie pozostanie aż do pogrzebu. Wieczorem wszystkie zakonnice domu macierzystego przychodziły po kolei modlić się wokół łoża, na którym ją ułożono.

Nazajutrz około jedenastej przeniesiono ją do kaplicy. Leżała w otwartej tymczasowej trumnie przybranej w białe draperie i lilie. W wieńcu z białych róż, włożonym na czarny welon; z koronką oplatającą złożone dłonie, w których trzymała krucyfiks i formułę ślubów wieczystych — Bernadetta wyglądała jak śpiąca³.

„Miałem możność stwierdzić — opowiada o. Raffin — z jaką szybkością rozeszła się po całym mieście wiadomość o jej śmierci, a także wzruszenie, jakie ta wiadomość wywoływała.”⁴ W Nevers i daleko poza nim w domach zakonnych i ogniskach chrześcijańskich słyszano się wołanie: „Odeszła, by znowu zobaczyć się z Najświętszą Panną w niebie!”⁵

Mimo nieustannego deszczu zewsząd wielkie tłumy podążały do Saint-Gildard. „Zdawało się — zauważa matka Józefina Forestier — że wszyscy ci ludzie chcieli teraz odbić sobie za to, że nie mogli zbliżyć się do Bernadetty za jej życia.”⁶ Wśród nich — dodaje pewna pani z miasta — „wielu było obojętnych, a może nawet niewierzących”⁷. Lecz „nie było hałasu ani szmeru”⁸. W drodze do klasztoru dwaj lekkomyślni młodzieńcy pokrzykiwali z szyderczym śmiechem: „I my idziemy zobaczyć tę świętą!” Jednakże w jej obecności byli „widocznie wzruszeni i pozostawali w postawie głębokiego szacunku, jak wszyscy inni”⁹.

Nie tylko nie czuło się żadnego lęku, ale jeszcze „coś pociągało do niej. Nawet małe dzieci doznawały radości, patrząc na nią.”¹⁰ „Nie ma co gadać! — zawołała pewna prosta kobieta po wyjściu z kaplicy. — To nie twarz zwykłej śmiertelnicy, to twarz świętej!”¹¹

Przez całe dwa dni, kiedy zwłoki były wystawione, główne drzwi kaplicy pozostawały „otwarte jak w Wielki Czwartek”¹², kiedy każdy może wejść, by pomodlić się przed Panem Jezusem w „ciemnicy”. Cztery siostry były ustawicznie zajęte dotykaniem do zmarłej przedmiotów kultu, które im podawano. Po tych dwóch dniach nie pozostało w składach Nevers ani jednego medalika, ani krzyża, ani jednej koronki... Widziano robotnice i robotników podających narzędzia pracy: młoty, nożyce, narpastki — by nimi dotknęło rąk Bernadetty. Kilku oficerów dotknęło do nich gardami swych szpad, a następnie, oddaliwszy się w głąb kaplicy, by nie hamować dostępu innym, bardzo długo pozostawali na modlitwie¹³.

Pogrzeb ustalono początkowo na 18 kwietnia. Musiano jednak odłożyć go o jeden dzień, gdyż mimo dobrze zorganizowanej służby porządkowej zbyt wielu nie mogło jeszcze wejść do kaplicy.

W sobotę 19 kwietnia już od świtu rzesze ludu zajmowały dziedzińce klasztoru i przylegające ulice. Gdy ktoś na dworcu w Nevers, zdziwiony widokiem tylu podróżnych wychodzących z pociągów, zapytał: „Co to się stało?”, usłyszał odpowiedź: „To pogrzeb małej lurdzkiej świętej.”¹⁴

O dziesiątej rozpoczęła się Msza św. żałobna, którą celebrował ks. kanonik Greuzard, archiprezbiter katedry. Dwaj bracia księży Perreau kierowali chórem. Ks. bp Lelong, który umyślnie przerwał podróż pasterską, by wziąć udział w pogrzebie¹⁵, przydywał w otoczeniu wikariuszy generalnych: bpa Crosniera i ks. kanonika Dubarbiera. Wśród członków kapituły katedralnej, zajmujących miejsce w chórze, znajdował się o. Sempé, superior kapelanów grotty, i ks. Pomian, dawny spowiednik Bernadetty. Nikt z rodziny nie mógł przybyć. Prócz profesorów i alumnów seminarium duchownego osiemdziesięciu kapłanów i zakonników zapeł-

nialo nawy boczne. Siostry Miłości i Wychowania Chrześcijańskiego, delegacje Sióstr Najświętszej Rodziny, Sióstr Nadziei, Małych Sióstr Ubogich, Sióstr Opatrzności z Portieux zajmowały całą nawę środkową. W nawie poprzecznej zajęli miejsca dostojnicy miejscy i przedstawiciele głównych rodzin; w pierwszym rzędzie świeckich był Henryk Lasserre, autor popularnej książki o Lourdes.

Przed modlitwami przy trumnie bp Lelong, ubrany w szaty pontyfikalne, zaimprovizował mowę, której akcenty dziś jeszcze wywołują wzruszenie. Uwielbiał dzieło Boże w pokornym i dziewiczym życiu Bernadetty, w cudach lurdzkich, które są następstwem jej świadectwa.

„Wyjątkowo — opowiada matka Józefina Forestier — siostry Marii Bernardy nie pochowano na cmentarzu miejskim, gdzie jest miejsce wiecznego spoczynku nawet przełożonych generalnych.”¹⁶ Matka Adelajda Dons, tknięta przecuciem, postanowiła — „z powodu wielkich łask, które otrzymała, a także z powodu świętości jej życia”¹⁷ — zatrzymać ją w obrębie klasztoru. Poleciała więc zbudować grób w samotnej kapliczce wśród winnic, wzniesionej przed dwudziestu laty na cześć św. Józefa.¹⁸

Aby wszyscy mogli w przejściu widzieć tak słodkie rysy „tej, która oglądała Najświętszą Dziewicę”, trumnę niesiono otwartą aż do miejsca spoczynku. Rzec by można, że istotnie Bernadetta była tylko uśpiona: jej piękne oczy były na pół otwarte; jej ręce i paznokcie miały kolor życia.

W tej chwili „olbrzymi tłum zapełniał dziedzińce, taras i ogród aż po kaplicę św. Józefa”¹⁹. Była to nie tyle żałoba, ile raczej tryumf. Entuzjasta o. Sempé musiał napisać: „Wspaniałe słońce opromieniało uroczystość, przypominając pirenejskie niebo.”²⁰

Według wzruszającego zwyczaju przestrzeganego w Saint-Gildard, po ostatnich modlitwach nad trumną, zaśpiewano *Salve Regina*. Tak więc od grobu Jej uprzywilejowanego dziecka wzniósł się do tronu łaskawej i miłosiernej Królowej Niebios hold ostatniej czci jako akt sprawiedliwego odwzajemnienia się.

Gdy około godziny drugiej trzeba było przystąpić do zamknięcia i zapieczętowania trumny — ołowianego relikwiarza w dębowej oprawie — „lud napłynął tak tłumnie, że musiano wezwać komisarza policji, aby go usunąć”²¹. Przy złożeniu ciała do trumny byli obecni tylko o. Sempé, ks. Pomian, ks. Febvre, p. Lasserre, przełożona generalna, jej asystentki, kilka sióstr, komisarz i dwaj policjanci oraz robotnicy.

Podczas gdy robotnicy byli zajęci swoją pracą, bezpośredni świadkowie pogrzebu odmówili na dwa głosy część chwalebną różańca. Na prośbę kapelana ojciec Sempé zapowiadał i objaśniał tajemnice różańcowe, odnosząc je do okoliczności.

Gdy robotnicy zakładali ołowiane wieko, które — zdawać by się mogło — na zawsze miało zasłonić oblicze Bernadetty, jeden z nich mruknął: „Szkoda!”²²

Począwszy od wieczoru Wniebowstąpienia — 22 maja 1879 r. — kiedy to s. Maria Bernarda została ostatecznie pochowana w kaplicy św. Józefa, przełożone generalne, za zupełną zgodą biskupów Nevers, nigdy nie zabraniały wiernym przychodzić tam modlić się. Liczba nawiedzających zwiększała się z roku na rok. Przybywali ludzie z różnych klas społecznych, ze wszystkich części świata²³. Zakonnice nic nie robiły, by hamować ten napływ, ale też nic nie czyniły, by go podtrzymywać; owszem zawsze zdecydowanie usuwały z grobowca wszystko to, co by mogło przypominać kult publiczny. Co najwyżej pozwalały dawać osobom, które o to prosiły, obrazki pamiątkowe z częsteczką odzieży Bernadetty.

Wkrótce poczęły zewsząd napływać do Saint-Gildard listy donoszące o wielkich łaskach, o zdumiewających uzdrowieniach i nawróceniach przypisywanych wstawiennictwu „małej świętej”²⁴. Wielu korespondentów wyrażało swoje pragnienie widzenia powiernicy Najświętszej Panny na ołtarzach Pańskich.

„Głos ludu” istotnie niezadługo stanie się „głosem Boga”.

Już dawno temu w samym domu macierzystym ośmielano się mówić o kanonizacji Bernadetty. Pewnego dnia w październiku 1869 roku s. Cecylia Pagès, przeniesiona do Paryża, przybyła do Saint-Gildard na trzytygodniowy pobyt. Aby ją zatrudnić, poruczono jej stanowisko pomocnicy infirmerki, które dopiero co — z powodu płucia krwią — opuściła Bernadetta. Raz, gdy podczas odwiedzin matka Józefina Imbert przysiadła na moment u naszej chorej, s. Cecylia zasłyszała okrucy rozmowy, która ją bardzo zbudowała: „Chciałabym pójść prosto do nieba — zwierzała się Bernadetta przełożonej generalnej. — Mówią, że kto uczyni ofiarę ze swego życia, nie przechodzi przez czyściec.” „Nie wiem — opowiada s. Cecylia — jaka była odpowiedź matki, lecz ja jej powiedziałam wesolo: «W naszej kongregacji nie ma świętej, będziemy więc mieli przynajmniej jedną.» A nasza czcigodna matka rzecze mi: «Siostra sądzi, że nie ma? Ja natomiast jestem zdania, że są.» — Ale nie kanonizowane — odparłam.”²⁵

Zaiste, do czegoż się wtrąca ta młoda zakonnica? Zali nie wie, że u kolebki zgromadzenia była świątobliwa Marcelina Pauper, pomocnica dom; de; Laveyne’a, założyciela? A on czyżby nie zasługiwał na chwałę ołtarzy?²⁶ Jakże można przypuszczać, nawet żartobliwie, że s. Maria Bernarda ma być pierwszą kanonizowaną zgromadzenia!

Lecz upłynęło trzydzieści lat. Polecenie spychania Bernadetty w najciemniejszy kąt przestało obowiązywać. Świadkowie jej życia nie szczędzą dla niej pochwał, a matki Marii Teresy Vauzou już nie ma, by ją poniżyć.

W styczniu 1881 r. wybrano ją przełożoną generalną na miejsce matki Adelajdy Dons i następnie jeszcze pięciokrotnie powoływano na to samo stanowisko. Przez osiemnaście lat dźmierzyła ster kongregacji; doczekała się szczęścia, że w maju 1883 r. Stolica Święta zatwierdziła ostatecznie tę kongregację; wreszcie w maju 1899 r., sterana pracą, zrezygnowała ze

swego wysokiego urzędu. Raz jeszcze udała się do Domu Emerytek św. Anny w Neuilly, by następnie w sierpniu 1901 r. dziwnym zrządzeniem Opatrzności schronić się w kraju Bernadetty. Miejscem jej ostatniego pobytu będzie Sierociniec Maryi Niepokalanej, skąd tak dobrze widać grootę i bazyliki.

I oto skazana na lata odosobnienia w swej celi. „Powiedzcie dobremu Bogu — rzekła raz siostrom z lekkim uśmiechem — że skazał mnie na porządną pokutę, lecz że ja nie żywię do Niego urazy za to.”²⁷ A jednak nie ma jeszcze zupełnego spokoju. Zdarza się, że „czasem wobec manifestacji tłumów u grotty czuje się rozdrażniona i nagle zamyka okiennice swojej izby”²⁸.

„Nurtują ją cierpienia wewnętrzne”; stopniowo działa w jej duszy urok Lourdes. „Jedną z jej ostatnich pociech było to, że czuła w sobie wzrost miłości do Niebieskiej Pani z grotty.” Jeszcze dane jej było święcić, 11 czerwca 1906 r., w ciszy sierocińca, diamentowe gody ślubów zakonnych. Przed śmiercią „prosiła Matkę Bożą Lurdzką o opiekę w chwili konania”²⁹. Zgasła 15 lutego 1907 roku, przeżywszy lat 81.

Kilka miesięcy wcześniej, wracając z pielgrzymki do Wiecznego Miasta, odwiedziła ją matka Józefina Forestier. „Oznajmiłam jej — opowiada przełożona generalna — że w Rzymie mówiono mi o możliwości rozpoczęcia sprawy Bernadetty. Ona zaś odpowiedziała mi na to: «Zaczekajcie, aż ja umrę.»”³⁰

Istotnie — zaświadcza s. Stanisława Pascal — „według tego, co słyszałam, matka Maria Teresa Vauzou miała oświadczyć, że w sprawie kanonizacji [Bernadetty] będzie advocatus diaboli... Dla mnie znaczy to, że wkładałaby kije między szprychy.”³¹

Ale czy by się odważyła na to? Przecież sława świętości dawnej jej nowicjuszki tak bardzo wzrosła! Jakkolwiek by było, do niej, którą Bóg powołał właśnie w czasie, kiedy rozpoczęto pierwsze kroki; do niej, nad której trumną jeszcze płoną świece, zwraca się matka Forestier z apelem — rzecz zdumiewająca — o wyjednanie u tronu Bożego, by Kościół Święty wziął pod uwagę pragnienia, którym ona za życia stałaaby w poprzek.

„Dnia 16 czy 17 lutego 1907 r. przed zwłokami zmarłej odmówiłam — opowiada matka przełożona — następującą modlitwę: «Moja dobra matko, w niebie nie zawsze widzi się rzeczy tak jak na ziemi. Teraz, gdy — jak mam nadzieję — jesteś oświecona czystym światłem z góry, racz ująć w swe ręce sprawę Bernadetty. Zostawiam ci inicjatywę w tym względzie. Ja nic nie będę robiła, czekać będę na znak z nieba.»

Zwierzyłam się z tego dwu moim towarzyszkom podróży: matce Henryce Fabre, asystentce, i matce Marii Teresie Bordenave, sekretarce generalnej, i modliłyśmy się.

5 marca otrzymałam list od ks. Gautheya, biskupa Nevers, pisany z Rzymu, w którym znalazłam żądany znak. Biskup, który oczywiście nie

wiedział o mojej modlitwie, powiadał mi: «Kardynał Vivès bardzo mnie przynaglał, bym przygotował sprawę Bernadetty. Powiedział, że trzeba niezwłocznie zebrać świadectwa wszystkich, którzy ją znali. Fakty nadzwyczajne nie są konieczne. Trzeba tylko wydobyć na jaw fakt spełniania cnót. Osobiście sądzę, że to nasz obowiązek; słowa tego świętego kardynała uważam za nakaz Opatrzności.»³²

Wolno nam z matką Józefiną Forestier wierzyć, że w tym było coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności i że śp. matka Maria Teresa Vauzou, uwolniona od swych ziemskich niezrozumień, spieszyła się naprawić je wobec Boga.

Oto więc nawiązała się łączność między Nevers a Rzymem. Stolica Apostolska żąda przede wszystkim uzasadnionej odpowiedzi na to podstawowe pytanie: Czy trzeba zająć się sprawą siostry Marii Bernardy?

Dnia 20 sierpnia w kaplicy domu macierzystego w obecności przeszło dwustu zakonnic, zebranych na doroczne rekolekcje, ukonstytuował się uroczyste, pod rzeczywistym przewodnictwem bpa Gautheya, Trybunał Kościelny, który przeprowadzi pierwsze badania — zwane procesem informacyjnym lub biskupim — co do życia, cnót, opinii świętości, cudów sługi Bożej. Przed zamknięciem tego pierwszego posiedzenia, na którym rozpoczęła się „sprawa” Bernadetty, ordynariusz Nevers uwypuklił obiecujące okoliczności tej sprawy, mianowicie: było to w uroczystość św. Bernarda; w tygodniu, w którym pielgrzymka krajowa sprowadzała do Lourdes olbrzymie rzesze; w roku jubileuszowym objawień³³...

Odbyły się jeszcze sto trzydzieści dwa posiedzenia, w toku których zeznawali członkowie rodziny Soubirous, liczni duchowni, wiele zakonnice i ludzi świeckich, którzy dobrze znali Bernadettę. Komisja duchownych dokazywała cudów aktywności: 23 października 1909 r. przekazano Kongregacji Obrządków wszystkie akta badania.

Miesiąc wcześniej, 22 września, w Nevers bp Gauthey przed ostatecznym zamknięciem procesu informacyjnego przystąpił, zgodnie z przepisami prawa kanonicznego, do ekshumacji zwłok siostry Marii Bernardy. Jakże głębokie było wzruszenie w kaplicy św. Józefa, gdy po trzydziestu latach przebywania w grobie powiernica Niepokalanej znów ukazała się oczom ludzi!

Ani śladu zepsucia. Ciało wyschnięte, lecz nie naruszone, zachowało swoją białość. Głowa, nakryta kornetem i welonem, oraz złożone na sercu ręce, z których zwieszał się krucyfiks i koronka z krzyżykiem, pokrytym grynszpanem — były lekko pochylone na lewo. Oczy, nieco zapadnięte w orbity, były zupełnie zamknięte. Wargi rozchyłały się jakby w uśmiechu... Wzruszająca postawa zmarłej przypominała — jak na to zwrócił uwagę bp Gauthey — postawę tych młodych dziewic pierwszych wieków, odnajdywanych w katakumbach³⁴.

13 sierpnia 1913 r. Pius X podpisał dekret o wdrożeniu sprawy. Odtąd Bernadecie będzie przysługiwał tytuł wielebnej³⁵. Teraz kolej na proces

apostolski, który ma zawyrokować o świętości życia, cnotach i cudach służki Bożej. Protektorem procesu został kardynał Vico, referent „sprawy”, a przewodniczącym — bp Chatelus, następca bpa Gautheya, który otrzymał nominację na arcybiskupa Besançon. Wskutek wybuchu wojny pierwsze z dwustu trzech posiedzeń mogło się odbyć dopiero 17 września 1917 r. 11 lutego 1920 r. dokumenty procesu złożono w Kongregacji Obrządków.

18 listopada 1923 r. w Sali Książęcej, wobec całej kolonii francuskiej obecnej w Rzymie, Pius XI ogłosił „dekret o heroicznosci cnót wielebnej s. Marii Bernardy Soubirous.” W odpowiedzi na przemowę bpa Chatelusa papież uznał za wskazane wyrazić swoją myśl o świętości Bernadetty:

„Nie ulega żadnej wątpliwości, że mamy przed sobą świętość w ścisłym i dokładnym znaczeniu wyrazu...”

W istocie bowiem, jeśli się rozważy życie Bernadetty, takie, jakie nam się ukazuje we wszystkich fazach procesu, długiego, skrupulatnego, surowego — jakim zresztą zawsze proces tego rodzaju powinien być — to z radością wypada nam powiedzieć — na większą chwałę Boga — że życie to można streścić w trzech słowach: Bernadetta była wierna w swej misji, pokorna w chwale, silna w doświadczeniu.”

Tymczasem Kongregacja Obrządków badała prawdziwość cudów potrzebnych do beatyfikacji. Spośród dziesięciu przedstawionych wybrano dwa przypadki uzdrowienia z drobiazgową dokładnością skontrolowane przez lekarzy.

Henryk Boisselet, 17-letni młodzieniec dotknięty w listopadzie 1913 r. gruźliczym zapaleniem otrzewnej, otrzymał ostatnie sakramenty święte. Rozpoczęto za niego i z nim nowennę do Bernadetty, która miała się skończyć 8 grudnia. W dniu tym Henryk wyzdrowiał momentalnie i zupełnie. Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, uznano go za zdolnego do służby wojskowej i powołano na front. Wzięty do niewoli wrócił zdrow po trzydziestu dwóch miesiącach pobytu w obozie jeńców.

S. Maria Melania Meyer ze zgromadzenia Sióstr Opatrzności z Ribeauvillé była infirmerką w instytucie Najświętszego Serca w Moulins. W roku 1910, a trzydziestym jej życia, ostre bóle w brzuchu i częste wymioty okazały się objawami raka żołądka. Wkrótce nie mogła przyjmować żadnego pokarmu. Będąc już bliska śmierci z wycieńczenia, postanowiła odbyć pielgrzymkę do grobu Bernadetty. W drodze z Moulins do Nevers zносиła prawdziwe męczeństwo. Znalazłszy się w kaplicy św. Józefa, zdobyła się na odwagę uklęknąć na płycie grobowcowej. Modliła się całą godzinę, już to klęcząc, już to siedząc. Nagle bóle ustąpiły. Uczuwszy straszny głód, jadła bez trudności. Od razu poczęły jej wracać siły. Powrotną podróż do Moulins odbyła już bez cierpień i bez zmęczenia. Nazajutrz powróciła do normalnego życia i zwykłych zajęć.

Świadectwa lekarzy i zeznania świadków zbadała Kongregacja na trzech posiedzeniach, odbytych 24 lipca 1924 r., 17 lutego i 28 kwietnia

1925 r. W tej ostatniej sesji, zwanej zebraniem ogólnym, uczestniczył Pius XI. Był on również obecny 1 maja tegoż roku podczas uroczystego czytania dekretu papieskiego, stwierdzającego autentyczność i wartość dwu cudów. Beatyfikacja Bernadetty jest już pewna.

2 czerwca w sali Konsystorza dekretem apostolskim *de tuto* Jego Świątobliwość podał do wiadomości, że można zupełnie bezpiecznie ogłosić Bernadettę błogosławioną. Na wiadomość o tym, iluż to ludziom w całym chrześcijaństwie nasunęło się spostrzeżenie, że Kościół Katolicki głosem swej Najwyższej Władzy oficjalnie stwierdził urzeczywistnienie się przyrzeczenia, które Najświętsza Panna dała Bernadecie: „Uczynię cię szczęśliwą na tamym świecie!”

*

Rankiem niedzieli 14 czerwca 1925 r., w uroczystość Najświętszego Sakramentu, bazylika Św. Piotra drżała z radości, promieniała światłem. Pod złożonymi sklepieniami jej kopuły zebrała się olbrzymia rzesza ludu, wśród którego poczesne miejsce zajmuje matka Maria Teresa Bordenave, przełożona generalna, z wielką liczbą swych zakonnice. Gdy na wezwanie dawnego sekretarza Piusa X, kardynała Rafała Merry del Val, archidiecezjalnego bazyliki watykańskiej, odczytano brewe beatyfikacyjne, cała świątynia zagrzmiała oklaskami. Następnie *Te Deum* rozwinęło swe majestatyczne skrzydła, odezwały się dzwony świętego Piotra i równocześnie spadła zasłona kryjąca dotychczas „Chwałę Berniniego”: na tym przepysznym tle ukazał się obraz przedstawiający jasnovidzącą z Lourdes niesioną przez aniołów do Niepokalanej Dziewicy, która do swej wybranki wyciąga ramiona.

Odtąd Bernadetta, zaszczycona tytułem błogosławionej, będzie miała — tam, gdzie Rzym na to pozwoli — swoje święto liturgiczne, swoje własne oficjum. Lecz ziemski przedstawiciel Boga „wywyższającego pokornych”, niejako zastrzegł sobie inaugurację tego publicznego kultu małej Soubirous. Wieczorem tegoż dnia Jego Świątobliwość, niesiony w *sedia gestatoria*, podąży do bazyliki Św. Piotra. Pięćdziesiąt tysięcy głosów wykrzykuje na jego cześć.

Uklękawszy w pośrodku chóru i wzniosłszy oczy ku „Chwale Berniniego”, Pius XI skupia się. Gdy już kończy modlitwę, ktoś zbliża się do niego: to najmłodszy brat Bernadetty, Piotr Soubirous, przychodzi, by we wspianej monstrancji złożyć Najwyższemu Pasterzowi relikwię swej błogosławionej matki chrestnej.

3 sierpnia tego samego roku wśród uroczystości godnych królowej przeniesiono zwłoki Bernadetty w odpowiednie miejsce, mianowicie do chóru kaplicy głównej domu macierzystego, i złożono je w relikwiarzu z połączanego brązu i kryształu, ozdobionym rzeźbami i emalią, które streszczają jej życie i symbolizują duszę³⁶.

Sila przyciągania błogosławionej jeszcze wzrosła na tym. Wpatrując się w nią, spoczywającą na tym łożu czci, któż nie będzie podzielał wrażeń mnicha *modelownika* o imieniu predestynowanym, brata Marii Bernarda, trapisty, który przyszedł szukać przed tym relikwiarzem natchnienia do nowego dzieła? „Tylko w niebie można się nauczyć tak składać ręce. Jakiż artysta ziemski mógłby kiedykolwiek wynaleźć taką postawę? To Dziewica Niepokalana podziwu godnym artyzmem ułożyła swoje uprzywilejowane dziecko w tej złotej kolebce.”³⁷

Gdy wielki relikwiarz wystawiono w kaplicy, mała Soubirous, ta pokorna gwiazda, już nie kryła się całkowicie w promieniach „Niewiasty obleczonej słońcem”³⁸: coraz częściej przychodzili wzywać jej orędownictwa pielgrzymi odosobnieni, grupy parafialne, pielgrzymki diecezjalne.

Także Lourdes nie zaniedbywało swej najczystszej chwały. w mieście i na obszarze grotty coraz więcej przybywało figur jasnowidzącej; jej biedny „loch więzienny” stał się kaplicą; 21 sierpnia 1927 r. ks. bp Schœpfer pod jedną z arkad na placu Bazyliki Różańcowej poświęcił ołtarz pod jej wezwaniem. Nawet wzgórze Bartrès, gdzie pozostało po niej prze-miłe wspomnienie, stały się celem pielgrzymek.

Bóg miał niezwłocznie nowymi cudami okazać, że podobały Mu się modlitwy zanoszone także do niej.

•

Dwa dalsze wypadki natychmiastowych uzdrowień, które następnie okazały się zupełne i trwałe, przedstawiono Kongregacji Obrządków.

Zaledwie czterdzieści dni po beatyfikacji ks. Aleksy Lemaitre, arcybiskup Kartaginy, rodem z Nevers, wyrusza z Paryża do Saint-Gildard, gdzie 3 sierpnia weźmie udział w uroczystym przeniesieniu relikwii.

Arcybiskup misjonarz „od przeszło dziesięciu lat cierpiał na ciężkie zakażenie amebowe, którego się nabawił w krajach tropikalnych, gdzie poprzednio z zapałem pełnił funkcje wikariusza apostolskiego. Daremnie zastosowano mu kilka kuracji: choroba tak się rozwinęła, że zdaniem opiekujących się nim lekarzy nie było żadnej nadziei wyzdrowienia, a przynajmniej wyzdrowienia natychmiastowego”. Podczas podróży miał poważny atak tej choroby. Znalazł jednak dosyć energii, by wziąć udział w ceremonii przeniesienia „i wówczas został natychmiast i całkowicie uzdrowiony”. Arcybiskup powrócił na swe stanowisko do Kartaginy, by tam „pracować z tą samą nadzwyczajną gorliwością, co poprzednio”.

Drugie cudowne uzdrowienie przypisywane wstwiennictwu bł. Bernadetty zaszło dwa i pół roku później nie w Nevers, lecz w Lourdes. S. Małria od św. Fidelisa z instytutu Sióstr Dobrego Pasterza cierpiała, oprócz wielu innych dolegliwości, na ropień w kolanie i chorobę Potta grzbietowo-lędźwiową. Choroba doszła do takiego stadium, że lekarz uznał uzdrowienie samymi siłami naturalnymi za niemożliwe, chyba po

długim okresie czasu... Ponieważ stan zdrowia się pogarszał, rozpoczęto nowennę do bł. Bernadetty. Piątego dnia modlitw, 6 lutego 1928 r. o szóstej po południu, s. Maria nagle poczuła się zupełnie zdrowa. Nazajutrz rano opuściła łóżko... W trzy lata później lekarze specjaliści po dokładnym zbadaniu stwierdzili, że nie pozostało ani śladu choroby, na którą cierpiała.”³⁹

31 maja 1933 r. w pałacu watykańskim odczytano wobec Ojca świętego dekret potwierdzający cuda. 2 lipca w uroczystość Nawiedzenia NMP nastąpił ostatni akt procesu rozpoczętego przed dwudziestu laty — odczytanie dekretu *de tuto*.

Tak więc cała ta „sprawa” toczyła się w ramach dwu jubileuszów objawień: pięćdziesięciolecia w r. 1908 i siedemdziesięciopięciolecia w r. 1933. Co więcej, jeśli rok 1858, w którym Najświętsza Dziewica ukazała się temu najpokorniejszemu dziecku, z łaskawości Piusa IX był Rokiem Świętym, to również r. 1933, w którym ta mała ma dostąpić nadludzkiego zaszczytu kanonizacji, jest Rokiem Świętym ze względu na wielki jubileusz Odkupienia. A oto jeszcze inna, wzruszająca okoliczność: Ojciec św. wybrał uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny dla najwyższego uczczenia Jej prawdomównej posłanki.

A więc w ten piątek 8 grudnia 1933 r. dla samej tylko Bernadetty Kościół Katolicki gromadzi wszystko, co ma najwspanialsze. Bazylika Św. Piotra otwiera swe podwoje. Oto jej rodzina według natury i rodzina według łaski: wdowa po jej bracie Janie Marii, jej bratankowie: Piotr, Franciszek i Bernard i jeszcze inni Soubirous oraz 160 Sióstr Miłości z Nevers ze swą przełożoną generalną, matką Marią Alfonsą Crapard na czele — wchodzą, promieniejąc radosną dumą, i udają się do trybuny Postulacji. Dziesięć tysięcy pielgrzymów przybyło z Francji; czterdzieści tysięcy osób zapelnia świątynię, gdy około godziny ósmej piętnaście pojawia się w *sedes gestatoria* papież Pius XI.

Poprzedza go długa procesja, w której kroczy osiemnastu kardynałów, osiemdziesięciu pięciu patriarchów, prymasów, arcybiskupów i biskupów. Po wysokiej postawie i misjonarskiej brodzie poznajemy ks. Lemaître’a, prymasa Afryki, którego obraz widnieje na jednej z dwu chorągwi powiewających na loggiach kopuły. Wśród tych książąt Kościoła rozpoznajemy ks. Flynna, biskupa Nevers i ks. Gerliera, biskupa Tarbes i Lourdes⁴⁰. W grupie przełożonych generalnych postępuje o. Pays, misjonarz z Garaison.

Ambasador Francji przy Stolicy Świętej, p. Charles-Roux, i cały personel ambasady, trzydziestu członków parlamentu francuskiego, wśród nich p. Józef Denais, deputowany Paryża, zajmują poczesne miejsce w trybunie dyplomatycznej.

Grzmia srebrne trąby; ze śpiewem liturgicznych hymnów, który coraz bardziej się zbliża, miesza się jakaś burza głosów: to zebrana rzesza

wydaje okrzyki — po kolei — na cześć przyszłej świętej i błogosławiącego Arcykapłana.

Po trzykrotnej prośbie adwokata konsystorialnego⁴¹, po odśpiewaniu na przemian litanii do wszystkich świętych, w chwili, gdy kończy się *Veni Creator*, wszyscy zgromadzeni wstają; wymowne milczenie zalega świątynię aż do ostatnich szeregów wiernych.

Pius XI, biskup i nauczyciel powszechny, siedząc z mitrą na głowie na katedrze apostolskiej, swym dźwięcznym i ciepłym głosem, który przy ostatnich słowach zdrzży, jakby z czułości, wygłasza formułę kanonizacji:

„Na cześć Przenajświętszej i Nierozdzielnej Trójcy, na chwałę wiary katolickiej i dla wzrostu religii chrześcijańskiej, powagą Pana Naszego Jezusa Chrystusa, błogosławionych Apostołów Piotra i Pawła i Naszą, po dojrzałych rozważaniach, po częstym wzywaniu pomocy Bożej, za radą Naszych Czcigodnych Braci Kardynałów Świętego Kościoła Rzymskiego oraz Patriarchów, Arcybiskupów i Biskupów, ogłaszamy, że błogosławiona Maria Bernarda Soubirous jest święta i wpisujemy ją w poczet świętych, a także postanawiamy, że jej pamięć będzie pobożnie obchodzona w Kościele Powszechnym corocznie 16 kwietnia, w dzień jej narodzin dla nieba. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.”

Zabrzmiał hymn tryumfalny *Te Deum laudamus*, rozkołysały się wraz z dzwonami bazyliki wszystkie dzwony Wiecznego Miasta.

Gdy około godziny pierwszej po południu papież w tiarze, oznaczającej jego potrójną władzę, powracał przez bazylikę, głosy owacji zagłuszyły fanfary srebrnych trąb... Następnie spontanicznie wybuchnął, tak jak w Massabielle, śpiew: *Ave Maria*.

W homilii, wygłoszonej po ewangelii swej Mszy św., Pius XI położył nacisk na pokorę tej „niewiedzącej córki zwykłych młynarzy, której całym bogactwem była prostota jej wytwornej duszy”. Jest ona jednak świętą rzeczywistością, świętą, której orędzie — po objawieniach Królowej Nieba i Jej napomnieniach do pokuty — zjednało światu te trzy wspańiałe świątynie i te pielgrzymki, i łaski nawrócenia, łaski cudownych uzdrowień, łaski powołań do życia doskonalszego — słowem: Lourdes.

Bóg wywyższa tylko pokornych...

W tym dniu największych zaszczytów Bóg wywyższył swą służkę; wywyższył, gdyż była pokorna. Pokora to wielka nauka z życia Bernadetty.